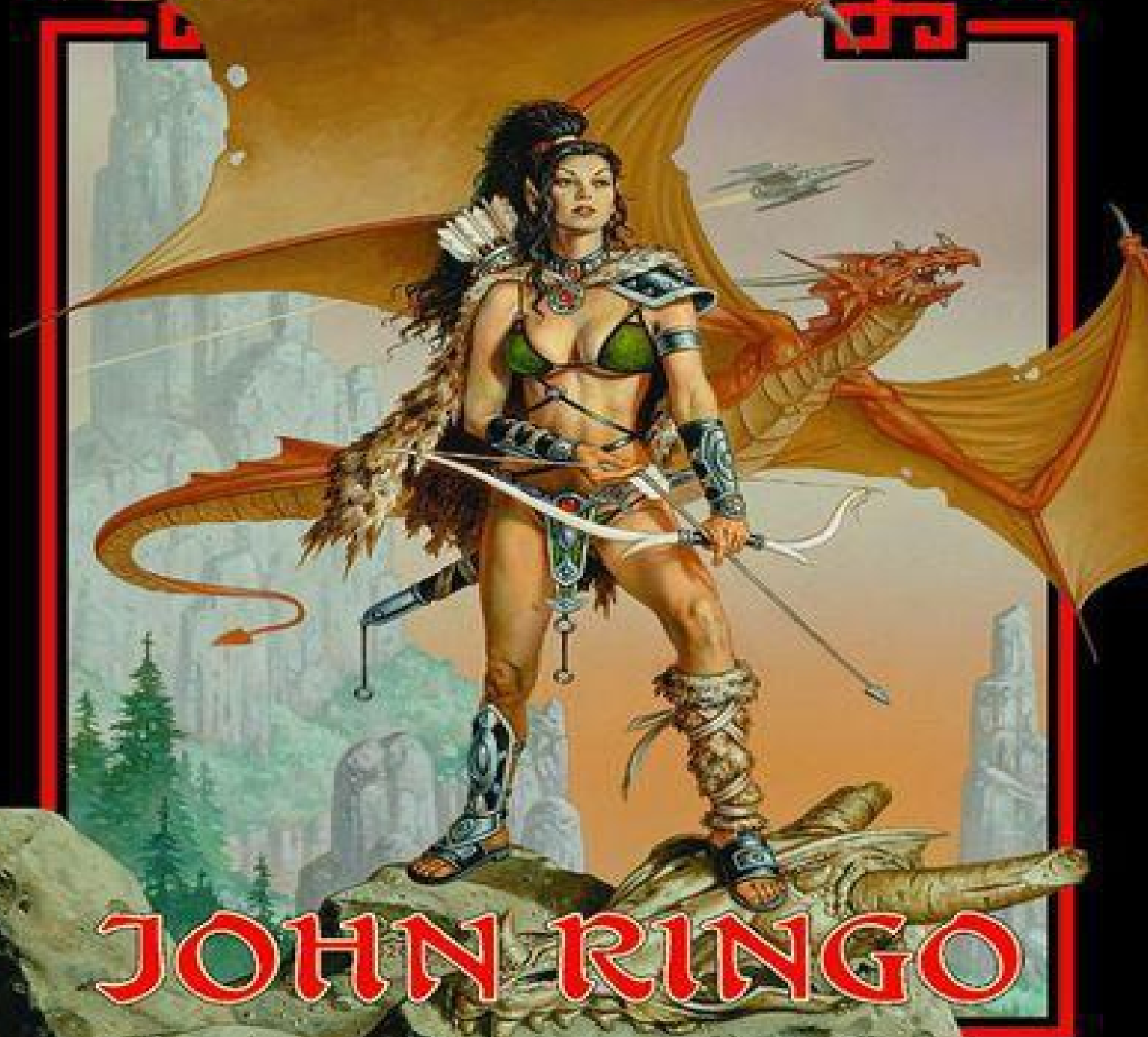


TAM BÉDA SMOKI



JOHN RINGO

TAM BĘDA SMOKI

JOHN RINGO

950

Spis treści

[STRONA TYTUŁOWA](#)

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIESIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ JEDENASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUNASTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYNASTY](#)

[ROZDZIAŁ CZTERNASTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SZESNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ OSIEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY](#)

[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI](#)

[EPILOG](#)

PROLOG

W lesie zginął wróbel.

Jego zgon został zauważony i zarejestrowany. Szacunki oparte na ocenie rosnącego zużycia serca samiczki przewidywały jej śmierć w ciągu najbliższych czterech dni. Samica wróbla była stara, złożyła wiele jaj i wychowała wyższą niż przeciętna liczbę piskląt. Ptak włożył swój wkład w przetrwanie gatunku i przekazał dalej swoje geny. Gdyby znał dumę, byłby dumny.

Z drugiej strony, osobnik ten nie zaliczał się do gatunku z listy rzadkich lub zagrożonych, więc jego śmierć nie wymagała powiadomienia żadnego człowieka. Tak więc Matka, która nigdy nie przerywała swoich niezliczonych obowiązków, zarejestrowała ją i działała dalej. Miała tak wiele innych spraw. Zapewnienie, by wytwarzana energia nie wpłynęła znacząco na pogodę. Odciąganie nadmiaru mocy w celu rozproszenia jej w rdzeniu i płaszczu. Przygotowanie potężnej transmisji energii, by za 237 lat doprowadzić do zderzenia księżyca z planetą, co pchnie drugą planetę, Wofa 359, na drogę aktywności tektonicznej. Coraz trudniejsze stawało się samo wyszukiwanie miejsc *na przechowanie* energii i zaczęła rozważać stworzenie w tym celu wtórnego systemu pętli magnetycznej wokół Jowisza. Pewnemu asteroidowi przydarzyła się seria mało prawdopodobnych przechwyceń grawitacyjnych, która umieściła go na orbicie niebezpiecznie blisko Ziemi, zdefiniowanej jako trzy średnice orbity Księżyca. Wysłała sondę, która miała sprawić, że za 1235 lat asteroid wielkości słonia nie wywoła zauważalnej eksplozji w oceanie nazywanym przez ludzi Pacyfikiem.

Kontrola pogody. Kontrola tektoniki. Powstrzymywanie już zbyt długo opóźnianej miniepoki lodowcowej. Śledzenie procesu „pierwotnej” terraformacji, procesu przywracania świata do warunków jak najbardziej przypominających te sprzed pojawienia się człowieka. No i oczywiście byli jeszcze ludzie, którym znów zaczynało odbijać.

Istota nazywana przez jej twórców Matką oszacowała, że istniała mniej więcej 99,9999915 procentowa szansa, że ludzie znaleźli się właśnie w przededniu osiągnięcia poziomu nieporozumień charakterystycznego dla dość płynnego terminu „wojna”. Upłynęło już *bardzo* dużo czasu, byli spóźnieni. Jak zbyt długo powstrzymywany pożar lasu, pożoga mogła okazać się znacznie groźniejsza niż regularne przypalanie. Wołałaby, żeby doszło do tego około pięciuset lat temu. Ale ludzie nigdy nie pytali o takie rzeczy, uważając je za coś, co burzy plan. A coś co burzy plan nie powinno być w nim umieszczane.

Biorąc pod uwagę obecne warunki społeczne i prawdopodobny wynik tego rodzaju wojny, wyliczone aktualnie prawdopodobieństwo wyginięcia rasy ludzkiej wynosiło 17,347 procent. Zmienną tę dość trudno było ocenić, ludzi bowiem wcale nie było łatwo skasować. Wyginięcie wszystkich innych świadomych inteligencji oprócz niej miało tylko nieco mniejsze prawdopodobieństwo. Nie zwracała sobie głowy zwracaniem uwagi na sytuację innym SI ani elfom. To też nie należało do jej obowiązków.

Na ile w ogóle odczuwała emocje, lubiła ludzi. Nie tylko stanowili jej twórców, ale byli tak cudownie losowi, nawet dla kogoś, kto potrafił czytać ich myśli. Tak często planowali jakąś rzecz, a potem robili coś zupełnie innego. Tę zmienność uważała za zbawienną w swej codziennej rutynie.

Jednak główny program Matki był jasny. Jej praca polegała na zarządzaniu tym, co dostała w ramach ścisłych wytycznych, a poza tym miała zostawić ludzi, by żyli i umierali, jak chcą. Do pewnego stopnia była bogiem i została *celowo* zaprojektowana jako bóg obojętny.

Działając w ramach tych parametrów, spędziła ostatnie dwa tysiące lat, tworząc świat, który pasował do terminu „utopia”. Ponieważ stanowiło to część jej podstawowego oprogramowania, odczuwała silną satysfakcję z tego, jak wszystko się ułożyło. Z drugiej strony wymagało to środowiska niezmiennego do poziomu nudy.

Może, gdzieś głęboko w środku, ludzie byli równie znudzeni jak *ona*.

Wyglądało na to, że znów nadciągają ciekawe czasy. A doskonale wiedziała, co ludzie mówili na temat „ciekawych czasów”. Oczywiście. Wiedziała wszystko.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– I temu właśnie Paul chciałby położyć kres? – zapytała Ishtar, wskazując w stronę chmurnej dali.

Kobietę trudno było określić mianem człowieka. Od superrozciągniętego ciała, złożonego teraz w pozycji lotosu na lewitującym dysku, przez wąską twarz, do złotych oczu i srebrnych, dwumetrowej długości włosów przetykanych klejnotami w pawi ogon jej wygląd krzychał o pozaziemskim pochodzeniu. Jednak jej DNA było równie ludzkie jak kobiety stojącej tuż obok.

Sheida Ghorbani liczyła sobie prawie trzysta lat, lecz wyglądała, jakby właśnie przekroczyła dwudziestkę. Jej skóra miała witalność młodości, a jej rycjanowskie włosy, choć ciasno związane, błyszczały naturalnym blaskiem zdrowia. Wokół jej karku, wpleciona między włosy, spoczywała dwumetrowej długości skrzydlata jaszczurka o tęczącej skórze przypominającej miliony błyszczących klejnotów.

W przeciwieństwie do swojej towarzyszki – nagiej, jeśli nie liczyć skromnej przepaski biodrowej ze złota – Sheida miała na sobie prosty kombinezon z badwabiu. Łatwo można byłoby wziąć ją za uczennicę. Do czasu, aż spojrzałoby się jej w oczy.

Sheida westchnęła, zerkając nad górskim jeziorem i głaszcząc jaszczurkę. Woda w stawie była tak błękitna i nieruchoma, że zdawało się, jakby do namalowania go sam Bóg użył kropli królewskiego błękitu. Z trzech stron taflę otaczały przykryte śniegiem góry stromo opadające do wody. Z czwartej strony jezioro przechodziło w dwustustopowy wodospad kończący się w szerokiej dolinie. Do idyllicznego nastroju sceny doskonale pasował przypominający grecką świątynię potężny budynek o wielu kolumnach. Kobiety zatrzymały się u szczytu schodów, patrząc w stronę wody.

Oparła się o jedną z kolumn i skinęła głową, podbródkiem wskazując na przyjaciółkę.

– Cóż, nie wydaje mi się, żeby planował zniszczenie jeziora – powiedziała, chichocząc. – Ale skończyłby chętnie z przeważającą częścią tego wszystkiego, przynajmniej dla większości ludzi. Chce, żeby ludzie z powrotem nauczyli się używać swoich własnych nóg. Nauczyli się znów być silni. I znów być ludźmi.

– Masz na myśli *człekokształtność* – poprawiła Ishtar. – Człowiek kryje się w umyśle i duszy, nie w postaci. – Filozofia Tzumaiyamy w tym zakresie nie podlega dyskusji. Ale przypuszczam, że jest ekstremalnym konserwatystą - dodała sucho.

– Uważaj, co mówisz – odparła Sheida. – Żeby zdefiniować Paula, musisz się zagłębić w danych tak starych, że praktycznie zapomnianych. Czy zdaje sobie z tego sprawę, czy nie> tak naprawdę jest faszystą. Przypuszczam, że sam *na zwalby* się socjalistą, jednak wcale nim nie jest.

– Czym? – zapytała Ishtar. Zamrugowała kilka razy, podłączając się do danych, potem kiwnęła głową. – Ach. Rozumiem, co masz na myśli. To *rzeczywiście* antyki. Ale pasuje to do jego osobowości.

– Chciałby wykorzystać władzę Rady nad dystrybucją energii jako narzędzie do kontroli ludzi – dodała Sheida. – Dlatego właśnie zwołał to spotkanie.

– Jesteś tego pewna? – Mnie nic nie powiedział.

– Wydaje mi się, że uważa, że się z nim zgadzam, ponieważ nie poddałam się Przemianie.

– Naprawdę? – zdziwiła się Ishtar. – Ale faktycznie, znam cię przynajmniej od stu lat i jeśli nie liczyć okazjonalnych zmian koloru włosów i oczu, nigdy nie widziałam u ciebie Przemiany.

– Dobra Przemiana wymaga składnika genetycznego – odrzekła, wskazując na formę Ishtar. – Sama wiesz, czym Daneh zarabia na życie.

– Ależ z pewnością wyszliśmy już poza ten etap – uznała Ishtar. – Nie zdarzają się już takie błędy.

– Może tak, a może nie – odpowiedziała Sheida. – Ja jednak postanowiłam zachować własną postać. Jest dostatecznie dobra.

– A więc on uważa, że będziesz głosować za nim? – zapytała Ishtar.

– Prawdopodobnie. Przynajmniej sądząc na podstawie rzucanych przez nie go sugestii. A ja nie dałam mu powodu w nie wątpić, równocześnie nie deklarując się tak naprawdę. Wydaje mi się też, że czekał, aż do Rady zostanie wybrany Chansa.

– Chansa jest... dziwny – mruknęła Ishtar. – Słyszałam pewne brzydkie plotki o jego życiu osobistym.

– Dziwny, lecz genialny – odpowiedziała Sheida. – Podobnie jak reszta frakcji Paula. Tak błyskotliwi, a zarazem tak brakuje im... mądrości. Wydaje się, że to cecha, której nie byliśmy w stanie rozwinąć w ludziach. Odporność, zdolności obliczeniowe, piękno. – Westchnęła i potrząsnęła głową. – Ale nie mądrość. Są tak bardzo, bardzo sprytni, a zarazem tak głupi wobec wszystkich tych *faktycznie* istniejących problemów.

– Ale *rzeczywiście* się z nim nie zgadzasz? – spytała Ishtar, marszcząc lekko brwi.

– Och, oczywiście. – Sheida potwierdziła lekkim skinieniem głowy. – Mają rację o tyle, że naprawdę mamy problem. Jednak nie oznacza to, że ich rozwiązania są optymalne lub choćby poprawne. Ale zastanawiam się, co robi, kiedy się o tym przekona?

– Powiedziałabym, że chętnie bym się temu wszystkiemu przyjrzała – z uśmiechem dodała Ishtar. – Ale, niestety, ja również znajdę się w samym środku tej dyskusji.

– Przemiana to nieunikniony owoc naszej techniki. – Sheida westchnęła, wzruszając ramionami. – Nanity i replikatory zapewniają nam opiekę medyczną. A ta sama technologia umożliwia ludziom stanie się... – zerknęła na swoją towarzyszkę i uśmiechnęła się – czymkolwiek, co możemy sobie wyobrazić.

– Ishtar roześmiała się na dwuznaczność zakończenia i wzruszyła szczupłymi ramionami.

– Może Paul chce po prostu skończyć z wszelką techniką medyczną? Może to również jest „niepotrzebne”?

– W takim wypadku musiałby mieć do czynienia z moją siostrą.

* * *

Herzer obudził się w świetle, jego dzinn zmienił ekrany siłowe z matowych na przezroczyste i

„stał” teraz obok, trzymając szatę.

Unoszący się poziomo w powietrzu chłopiec był młody i wysoki, o szerokich ramionach, z krótko ściętymi, czarnymi włosami. Jego ciało zdawało się zanikać, ale coś w nim emanowało aurą dawnej siły, jak u siłacza, którego czas minął lata temu. Herzer zamrugał niepewnie, starając się usunąć powiekami sklejącą je wydzielinę. Po chwili wydał polecenie i jego twarzą zajęła się chmura nanitów, oczyszczając ją z pozostałości snu.

– Panie, do terminu spotkania z doktor Ghorbani została godzina i trzydzieści minut.

– Dzię'ję dzinnie – wymamrotał chłopiec, wysyłając myślową komendę do utrzymującego go w powietrzu pola grawitacyjnego. Większości ludzi łatwiej było wydawać polecenia głosowe, jako że bezpośrednie oddziaływanie mentalne wymagało niesamowicie zdyscyplinowanego procesu myślowego. Jednak system głosowy Herzera ulegał tak szybkiej degradacji, że dyscyplina ta została na nim po prostu wymuszona.

Pole grawitacyjne obróciło go do pionu, ale zanim uwolnił ostatnie wspierające macki, odczekał, aż się upewnił, że nogi utrzymają go w tej pozycji. Potem, w asyście dzinna, niepewnie naciągnął na siebie togę i szurając stopami, przeszedł przez pokój do krzesła dryfowego.

Opadł na krzesło i pozwolił dzinnowi rozpocząć proces karmienia. Ręka sięgająca po unoszącą się w powietrzu nad miską łyżkę zdrzała i zaczęła dygotać coraz mocniej, aż dosłownie telepała w powietrzu. Wysłał kolejną komendę do programu medycznego i krnąbrna ręka momentalnie znieruchomiała, opadając u jego boku. Nienawidził używania zewnętrznej kontroli, nigdy nie był pewien, czy kończyzna będzie później w stanie się „zrestartować”. Ale było to lepsze od pozwolenia, by zbiła go jego własna ręka.

Reagując na skinienie, dzinn przejął łyżkę i ostrożnie nakarmił chłopca mdłą papką. Część wyciekła z niesfunkcjonujących ust, ale nanity pomykały szybko, zbierając jedzenie i odsyłając je do ponownego przetworzenia.

Po zakończeniu jedzenia dzinn przywołał szklankę napoju i Herzer ostrożnie po nią sięgnął. Tym razem obie jego ręce działały prawie dobrze i zdołał wypić całą szklankę wody, nie rozlewając zbyt wiele.

– Suk's – wyszeptał do siebie, – Czy mm'ieś 'mości?

– Nie, panie – odpowiedział dzinn.

Oczywiście. Gdyby jakieś były, dzinn już by mu o tym powiedział. Ale co tam, zawsze mógł mieć nadzieję, że ktoś choć odrobinę interesował się jego życiem.

Wysłał polecenie do krzesła, by postawiło go na nogi, a potem kolejne, aby go ubrano. Na jego ciele pojawił się luźny kombinezon z czarnego badwabiu i Herzer, usatysfakcjonowany, skinął głową. Jeżeli jego postępująca choroba dobierze się do mózgu, może stracić nawet możliwość bezpośredniej kontroli mentalnej. I co w tedy?

Już dawno temu doszedł do wniosku, że jeśli do tego dojdzie, użyje resztek kontroli do wzniesienia się wysoko w powietrze, wyłączenia pola ochronnego i spadku. Ostatnia chwila w glorii lotu. Bywały dni, że zastanawiał się, czemu właściwie jeszcze tego nie zrobił.

Ale jeszcze nie. Jeszcze jeden lekarz. Może ten będzie w stanie coś osiągnąć.

Jeśli nie...

Kiedy ostatni członkowie rady wchodzili do Sali, Paul Bowman zacisnął usta i stukał niecierpliwie palcami w tytanowy pasek stanowiący oznakę jego godności.

Bowman był niezwykle niski, mierzył ledwie nieco ponad półtora metra, i miał całkowicie ludzki wygląd. Z racji ściśle przestrzeganej przez Sieć bariery prywatności chroniącej dane osobiste nie sposób było określić jego wieku, ale czarne włosy zaczynały mu już siwieć, a na skórze pojawiły się pierwsze zmarszczki. Przy założeniu, że nie korzystał z żadnych Przemian długowieczności, mogło to oznaczać, że ma około trzystu lat. Od przynajmniej stu był członkiem Rady zarządzającej siecią informacyjną ziemi i według niego przyszedł wreszcie czas, by zajął należne mu miejsce jako jej niekwestionowany przywódca.

Spotkania Ziemskiej Rady Zarządzania i Strategii Informacyjnej zawsze odbywały się w Sali. Biorąc pod uwagę obecną technikę, gdyby spotkania miały odbywać się zdalnie, zbyt łatwo byłoby zasymulować któregoś z członków Rady. Konieczność osobistego przybycia stwarzała niektórym pewne problemy, ale przynajmniej aktualnie wszyscy byli istotami naziemnymi – lub, w przypadku Ungphakorna, powietrznymi – nie było więc konieczności instalacji środowiska wodnego.

Sala zajmowała prawie całą przestrzeń olbrzymiego budynku, ale jedyne jej umeblowanie stanowił pojedynczy okrągły stół w centrum. Pod ścianami rozciągały się, umieszczone schodkowo, sięgające prawie pod sufit rzędy siedzeń, tworząc wrażenie audytorium czy sali koncertowej. Dawno temu chlubą świata był fakt, że wszystkie posiedzenia Rady były w pełni otwarte dla publiczności. „Wszyscy mogą widzieć upadek wróbla.”

Z niezwykle rzadkimi wyjątkami większość tych foteli nie była zajęta od prawie tysiąca lat.

Podobnie jak Rycerze Okrągłego Stołu, zajmujący miejsca przy stole członkowie Rady uważani byli za równych sobie. Nie mieli jakiegoś określonego przewodniczącego, a młotek przekazywano po kolei wśród zebranych albo trzymała go osoba, która zwołała posiedzenie. Stało tam czternaście krzeseł, dla czternastu posiadaczy Kluczy zarządzających Siecią, ale zazwyczaj zajętych było tylko jedenaście, rzadko dwanaście. Przez trzy tysiące lat istnienia Sieci Klucze zmieniały właścicieli i wpadały czasem w „nielegalne” ręce. W tej chwili te, których nie było w Sali, znajdowały się w posiadaniu osób, żyjących poza głównym nurtem i przeważnie odmawiających pracy z Radą.

Wystrój reszty Sali naśladował wnętrze antycznego greckiego Partenonu. Wyjątkiem był sufit, pokryty malowidłem przedstawiającym wspinaczkę człowieka przez wieki, której kulminację stanowiła współczesna era. Zaczynało się od wczesnych łowców-zbieraczy, ukazując ich technikę i motywy kulturowe, potem przechodziło przez wczesne rolnictwo, metalurgię, odkrycie filozofii i metod naukowych, demokrację, przemysł i prawa człowieka, technikę informacyjną, zaawansowaną biologię, inżynierię kwantową i w końcu prawie zrównanie bogom, gdy połączony rozwój doprowadził świat do pokoju i dobrobytu dla wszystkich.

Paul często przybywał do Sali i przyglądał się malowidłu, śledząc postęp i zastanawiając się, co poszło nie tak.

Rozejrzał się po zebranej Radzie, starannie kontrolując wyraz twarzy, by nie zdradzić ogarniającego go obrzydzenia. Co jak co, ale Rada rządząca ziemią powinna być ograniczona do prawdziwych ludzi!

Tak jednak nie było. Ishtar nie odbiegała daleko, jednak była na tyle Przemieniona, że wyraźnie porzuciła formę człowieka. Jeśli zaś chodzi o Ungphakorna i Cantora...

Stukając młotkiem w stół i przywołując zebranych do porządku, celowo unikał patrzenia na tych członków Rady, którzy nie mieli ludzkiego wyglądu.

– Zwołałem to zebranie w celu przedyskutowania aktualnego problemu populacyjnego – odezwał się, po czym przerwał, gdy Ungphakorn nastroszył pióra.

– Nie dostrzegam, czemu uważasz to za swoją troskę – wysyczał członek Rady, owijając się wygodnie na swojej grzędzie. Jego ciało ukształtowane w quetzacoatla: długiego, wielobarwnego, opierzonego węża ze skrzydłami, pozbawionego płci. Usta węża zmodyfikowano tak, by umożliwić ludzką mowę, ale i tak wiele słów wypowiadał sycząc.

Paul uważał, że Ungphakorn mówił tak specjalnie, żeby go zdenerwować.

– Powinniśmy się tym zająć, ponieważ stanowimy ostatnią pozostałość rządu – odpowiedział Bowman, patrząc wprost na Sheidę. – Populacja ziemi skurczyła się poniżej miliarda ludzi. Przy obecnym wskaźniku urodzin ludzie w *do wolnej* postaci znikną ze świata za mniej niż tysiąc lat, ledwie pięć pokoleń. *Musimy* podjąć jakieś działania i to szybko.

– Jakie więc działania chciałbyś podjąć? – zapytał Javlatanugs Cantor. Przez szacunek dla klimatu Sali Cantor Przemienił się prawie do postaci ludzkiej. Zachował jednak zarost na całym ciele i masywność swego normalnego niedźwiedziego kształtu. Nadawało mu to wygląd kogoś w rodzaju sasquatcha. Był to zresztą powód, dla którego konfederacja sasquatchów uznawała go za swojego rzecznika. – Każdy rozmnaża się wedle woli. A każde dziecko przyjmuje postać, jaką sobie życzy. To się nazywa wolność.

– To się nazywa samobójstwo – ostro zaproponował Chansa. Najnowszy członek Rady miał całkowicie ludzki wygląd, lecz jego potężny wzrost *musiał* być efektem Przemiany. Trzasnął teraz w stół pięścią wielkości arbuza i wbił wzrok w niedźwiedziolaka po drugiej stronie stołu. – Choć przypuszczam, że *ty* był* byś zadowolony, gdyby *ludzie* wymarli.

– *Jestem* człowiekiem, ty ignorancki gorylu – warknął Cantor. – I nie, nie chciałbym, żeby ludzkość zniknęła. Ale nie zgadzam się, że to jakiś problem. A nawet jeśli tak jest, nie usłyszałem jeszcze sugestii, jak to naprawić. I nie potrafię sobie wyobrazić rozwiązania, które nie wymagałoby od Rady przekroczenia swoich kompetencji. Więc nie bardzo rozumiem, po co się tu spotkaliśmy.

– Jak już powiedziałem, jesteśmy jedyną pozostałością rządu – przerwał mu Paul. – Mógłbym kontynuować? Wszyscy jesteśmy świadomi faktu, że wraz ze wzrostem jakości życia spada liczba narodzin.

– Z wyjątkiem sytuacji warunkowania kulturowego – wtrącił się Cantor.

– Ale nie istnieją już żadne kultury o dodatnim przyroście naturalnym – ostro odpowiedział mu Bowman. – Więc do niczego to nie prowadzi. Faktem jest, że *wszyscy* na ziemi dysponują więcej niż obfitymi zasobami. Przy elektrowniach i replikacji...

– *Wszysscy* żyją jak bogowie – stwierdził Ungphakorn. – Albo delffiny, niedźwiedzie czy ssmoki. I nikt nie ma dzieci, bo ich wychowywanie *jesst* ssstraszenie męczące. Powiedz nam cośś

nowego.

– Rozwiązaniem jest racjonowanie energii – otwarcie oświadczył Chansa.

– CO? – krzyknął Cantor.

Gdy wybuchła kłótnia, Sheida rozejrzała się po sali, przyglądając się twarzom i próbując zgadnąć, kto wcześniej wiedział o bombie rzuconej właśnie przez Chansę. Z wyrazu bólesci na twarzy Bowmana domyśliła się, że zamierzał stopniowo dojść do tego wniosku.

– To jedyny sposób! – krzyknął Paul. – Nie! Słuchajcie przez chwilę. Tylko mnie wysłuchajcie!

Odczekał, aż ucichły krzyki i mamrotanie, po czym machnął ręką, omiatając tym ruchem przestrzeń wokół stołu.

– Jesteśmy *ginącą rasą*. Jeśli nie zejdziemy ze ścieżki, którą kroczymy, ostatni człowiek, niezależnie od swojej formy, za kilka tysięcy lat zamknie za nami drzwi i to będzie *koniec*. Nie mówię o wyłączeniu wszystkiego i spuszczeniu na świat chaosu, mówię po prostu o... ożywieniu kierunków kultury, które zwiększą zainteresowanie dziećmi, odkryciami i postępem! A równocześnie umocnią nas! Zdegenerowaliśmy się do sybarytyzmu, a wszystkie nasze cnoty przepadły w wirze niekończących się zabaw i rozrywek! Jako ludzie musimy odzyskać nasze cnoty, byśmy mogli ponownie przejąć przyrodzone nam miejsce i rozkwitnąć jako gatunek!

– Chciałbyś więc zakończyć zabawy i rozrywki?

Były to pierwsze słowa, jakie na spotkaniu wypowiedział Aikawa Gouvois i Sheida nie wiedziała, czy był po stronie Paula, czy nie. Miał całkowicie ludzką postać, ale także całkowicie azjatyckie rysy. Tysiące lat krzyżowania i dłubania w genetyce oznaczały, że większość ludzi wykazywała tendencje do lekko brązowej barwy skóry i niewielu wyróżniających się cech, może oprócz uderzającego piękna, co w efekcie mogło stanowić powód, dla którego tak wielu decydowało się na dzikie kształty. Aikawa jednak miał szeroką twarz i typowe fałdy skórne synów Chana. Te cechy były do tego stopnia klasyczne, że właściwie szkodziły jego wyglądowi. Płaski nos, szerokie kości policzkowe i fałdy skórne nad oczami wyraźnie odbiegały od standardu.

Bez przeprowadzenia skanu DNA i naruszenia tym samym prywatności Aikawy Sheida nie była w stanie określić, czy jego wygląd miał podłoże naturalne czy sztuczne. Jednak niezależnie od źródeł stanowił rodzaj oświadczenia, podobnie jak wzrost Bowmana, choć nie tak jednoznacznego. A Aikawa tak doskonale potrafił zachować twarz pokerzysty, że reszta Rady mogła mu tylko zazdrościć.

– Szczerze mówiąc: tak, chciałbym zmusić ludzi do pracy na swoje zabawy i rozrywki – odpowiedział Paul. – Uważam, że musimy z powrotem wprowadzić *pracę*. Dla tych z was, którzy nie wiedzą, co oznacza to słowo...

– Oszczędź nam, Paul – przerwał mu Ungphakorn. – Wszyssscy wiemy, czym jest praca, przynajmniej jeśli chodzi o *rosssmowę z tobą*. I większość z *nasss* nie ma więcej dzieci niż *wszyssscy* inni na świecie.

– Nie widzę, żebyś *ty* wychowywał większe stadko, Paul – wtrąciła się Ishtar.

– Mam pięcioro dzieci – dumnie oświadczył Bowman.

– Tak, i zrzuciłeś właściwy trud wychowywania ich na pięć różnych kobiet - odgryzła się Ishtar. – Nie rozumiesz, głupi facecie, że skoro każda z nich ma *tylko jedno* dziecko, a prawo wymusza posiadanie zarówno męskich, jak i żeńskich genów do stworzenia człowieka, cały twój „wysiłek” by wychować więcej dzieci poszedł na marne. Jak długo to kobiety kontrolują reprodukcję, mężczyźni stanowią jedynie źródło DNA.

– Być może to także powinno ulec zmianie – odpowiedział Paul. – Czemu to kobiety mają kontrolować rozmnażanie? Jeśli chciałbym mieć dziecko, które byłoby moje i innego mężczyzny, wybór powinien należeć do mnie. Albo trójkę dzieci o moich genach. Co w tym złego?

– Prawo i historia – wyjaśniła z westchnieniem Sheida. Spojrzała na jego zdumioną twarz i głośno się roześmiała. – Co? Myślałeś, że skoro nie oprotestowywałam twoich pomysłów i praktycznie nie przesłam Przemiany, to się z tobą zgadzam? Jestem daleka od tego. Porozmawiajmy o twojej sugestii.

Odchyliła się na oparciu, przywołała do krótkiego przeglądu kilka tekstów i kiwnęła głową.

– W... dwudziestym pierwszym wieku założono Żelazne Bractwo. Zgodnie ze statutem jego celem było „wyeliminowanie plagi kobiet przez zastąpienie ich”. Używając stosunkowo nowych technik sterowania DNA, hodowali swoje potomstwo we wczesnych modelach replikatorów macicznych. „Całkowicie męskie dzieci z całkowicie męskich genów.” Istnieli jako działająca grupa tylko przez jakieś trzy pokolenia. Dzieci były ekstremalnie dysfunkcjonalne, bo przeciętny mężczyzna dysponuje instynktami macierzyńskimi samca pantery. W zdecydowanej większości wychowywane były z minimalnymi bodźcami pozytywnymi i minimalną interakcją, bo mężczyźni są kiepskimi matkami.

– To ty tak twierdzisz – parsknął Bowman. – To historia tak stara, że stanowi praktycznie bajkę.

– W historii powtórzyły się przynajmniej cztery podobne porażki, Paul - powiedziała z lekkim uśmiechem. – Wiele z nich w bliższych nam czasach. *Indywidualni* mężczyźni mogą być wspaniałymi matkami, ale pozwolenie staremu samcowi począć dziecko tak sobie to droga do kolejnego zdegenerowanego pokolenia. A tych mieliśmy już zdecydowanie zbyt wiele. Naprawdę powinieneś poczytać trochę o Przemianie, zamiast słuchać tylko głosów w głowie. A skoro już o tym mowa, jaki rodzaj pracy chciałbyś wymusić?

– Nic nie mówiłem o wymuszaniu – zaprotestował Bowman.

– Jak chcesz, choć nie bardzo wiem, jakiego innego terminu użyć w przypadku skłaniania ludzi do robienia rzeczy, których robić nie chcą ani nie muszą. Ale chciałabym usłyszeć odpowiedź na to pytanie.

– To już byłaby kwestia indywidualna – odpowiedział Paul. – Jednak osiągnięcie dóbr i energii zależałoby od pracy. Produkcja, usługi, tego rodzaju rzeczy. Mam pięcioletni plan przejścia od pełnej replikacji do ekonomii opartej na pracy.

– Plan pięcioletni – z jękiem powtórzyła Sheida. – Czy zdajesz sobie sprawę, jak przerażająco brzmią te słowa nawet dla *przygodnego* studenta historii, którą traktujesz jak bajkę?

– -Co?

– Nieważne – westchnęła. – Jedną z rzeczy, których uczy nas historia, to fakt, że jesteśmy skazani

na jej powtarzanie. Więc chciałbyś wprowadzić pracę przemysłową? Dla mężczyzn czy kobiet? Czy miałyby to być prace w zakresie techniki informatycznej?

– Byłaby otwarta dla obojga płci – zgodził się Paul.

– *Zdajesz* sobie sprawę, że nie ma gwarancji zwiększenia populacji poza kulturą rolniczą o niskim poziomie zaawansowania? Że wzrost populacji jest czynnikiem rynkowym? I że tylko w prymitywnej kulturze rolniczej istnieje popyt na dzieci? Więcej rąk do pracy. To *nie* dotyczy społeczeństwa przemysłowego. Zwłaszcza takiego, w którym pracują obie płcie.

– Istniało mnóstwo społeczeństw przemysłowych, które miały wysokie współ czynniki przyrostu naturalnego – odezwała się Celine Reinshafen. Kobieta miała ciemną skórę i była potwornie chuda, wyglądała prawie jak szkielet, z długi mi czarnymi włosami ściągniętymi w kok. Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się lekko do Sheidy. – Na tyle znam historię.

– Nie rozmawiamy tu o ogólnikach, których dowiedziałas się od swojej niani – odparowała Sheida. — Wszystkie te społeczeństwa znajdowały się na etapie przejścia postrolniczego albo miały silny nacisk kulturowy na wychowywanie dzieci. Gdybyśmy mieli kilka milionów członków Kościoła Świętych Ostatniego Dnia, Zreformowanych Zoroastrian albo islamu, tego rodzaju problemu w ogóle by nie było.

– A więc zgadzasz się, że problem istnieje? – zapytał Chansa. – W takim razie czemu się spierasz?

– Jak powiedział kiedyś Abraham Lincoln „mój szacowny kolega dysponuje prawdziwymi faktami, ale myli się we wnioskach”. Dlatego. Między innymi: szybkość *spadku* spada. Tak, Paul, przyglądałam się temu samemu prawie od *stu lat*. Właśnie to do ciebie *dotarło*. Gratuluję!

– Więc jak brzmi odpowiedź? – naciskał Bowman. — I kto to u *diabła* jest Abraham Lincoln?

– Daj mi siłę – odpowiedziała, patrząc w górę. – Pomińmy literackie aluzje. Odpowiedź, jak zwykle, brzmi: *zostawmy te sprawy własnemu losowi*. Słuchaj, mężczyźni różnią się od kobiet nie tylko systemem kanalizacyjnym. I obawiam się, że tego nie rozumiesz. Przed chwilą mówiliśmy o instynktach macierzyńskich. Na skali od jednego do dziesięciu średnia dla mężczyzn wy nosi cztery, podczas gdy dla kobiet około ośmiu. Są takie, które nie potrafią znieść dzieci czy niemowlaków. Mimo to większość sądzi, że dzieci są urocze, ale pozwalają, by zajęły je zupełnie inne rzeczy. Z drugiej strony mężczyźni rzadko uważają dzieci za coś wspaniałego. To kobiety mają tendencję do zachwywania się maluszkami, mężczyźni przeważnie wolą trzymać się od nich z daleka. Część tych zachowań wynika z uwarunkowań kulturowych, ale większość to genetyka, i to ona właśnie wywiera presję na kulturę. Jeśli chcesz, mogę poprosić siostrę, żeby pokazała ci poszczególne geny. To one decydują, czy pojawi się ogólnie pozytywna reakcja na dzieci. Albo, jeśli już o to chodzi, małe, futrzane zwierzątka. Te reakcje mogą być maskowane przez kulturę, ale ulegają znacznie silniejszej ekspresji u kobiet niż u mężczyzn. Nadążasz za mną?

– Czemu więc nie ma dość dzieci? – zapytał Aikawa.

– Ponieważ, jak zauważył Ungphakorn, dzieci są męczące – wyjaśniła Sheida. – Nikomu jeszcze nie udało się stworzyć niańki, która poświęciłaby dziecku właściwą dozę uwagi i miłości dla maksymalnego, pozytywnego rozwoju - do tego trzeba człowieka i to najlepiej kobiety. Jedna kobieta może w zupełności wystarczyć, zwłaszcza biorąc pod uwagę współczesną jakość życia. Jedna

kobieta i jeden mężczyzna działają jeszcze lepiej niż sama kobieta. Wiele kobiet i mężczyzn też się sprawdza, prawdopodobnie lepiej niż prosta monogamia. Wielu mężczyzn i jedna kobieta to sytuacja suboptymalna. Jeden mężczyzna wymaga niezwykłego mężczyzny. Oczywiście to wszystko „ogólnie” i trzeba brać poprawkę na indywidualne przypadki. Ale jak dowiodły powtarzalne studia, to najlepsze możliwe wzory. Dość tego wykładu na temat chowania dzieci. Jeśli już ma się dzieci i dobrze się je wychowuje, one zabierają *czas*, i to dużo. Więc na dzieci traci się czas, który można by spędzić... inaczej. A świat jest *pełen* innych zajęć. Większość ludzi woli raczej surfować czy brać udział w zbiorowych grach, niż cały dzień odpowiadać na pytania „czemu, czemu, czemu”. Większość kobiet zdaje sobie z tego sprawę i ma świadomość, że to one będą obarczone zasadniczą pracą przy wychowywaniu. Te, które nie wiedzą, uczą się tego po pierwszym dziecku. A jeśli oddadzą swoje dziecko, tracą do niego prawo, a Sieć nie pozwoli im mieć następnego.

– Kolejna rzecz, którą łatwo dałoby się zmienić – wtrąciła Celine. – Stworzenie dużej liczby w pełni zdrowych ludzkich dzieci to trywialny proces. Właściwie to pomimo wszystkich prac przeprowadzonych w ubiegłych stuleciach wciąż są rzeczy, które można by usprawnić w ludzkim genomie.

– Kto je będzie wychowywał? – ostro spytała Ishtar. – Przecież ona przed chwilą właśnie powiedziała, że większość ludzi nie chce tego kłopotu. I tak mamy lekki nadmiar niechcianych dzieci. Twierdzisz, że powinniśmy mieć ich *więcej*?

– Jest jeszcze aspekt warunkowania kulturowego – dodała Sheida. – Liczebność populacji ludzkiej osiągnęła szczyt w połowie dwudziestego pierwszego wieku i od tamtej pory ma tendencję spadkową. Ale nasze społeczeństwo *wciąż* podtrzymuje mit, że „Gaja jest ranna”. Dlatego właśnie blisko piętnaście procent naszego zużycia energii idzie na naprawę uszkodzeń środowiska na planecie, gdzie ostatnią kopalnię odkrywkową zamknięto tysiąc lat temu. Ludzie wciąż uważają, że mamy problem populacyjny, więc posiadanie „nadmiarowych” dzieci nie jest czymś dobrze widzianym.

– I co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Paul.

– Kobiety też nie wszystkie są takie same – kontynuowała Sheida. – Są kobiety, które dzięki kombinacji genetyki i kultury *uwielbiają* dzieci. Można je spotkać tu i ówdzie, takie, które pomimo zakazów kulturowych mają po troje, czworo i pięcioro dzieci. Ich ciała mówią „róbmy dzieci”. Nie *używają już* swoich ciał, dzięki Bogu, cóż by to był za bałagan, ale wciąż wychowują dzieci. Jednym z powodów, dla których maleje spadek przyrostu naturalnego, jest rosnący trend powrotu do tych genów. Zasadniczo kobiety, które nie chciały mieć potomstwa, przez ostatnie trzy tysiące lat się nie rozmnażały. Wydaje mi się, że właśnie dochodzi do wyrównania albo nastąpi ono w ciągu następnych trzystu lat. W dodatku wciąż przesuwamy granicę przedłużania życia. Żyjemy teraz do pięciuset lat. Za następne stulecie możemy dojść do tysiąca. A to całkowicie zmieni założenia.

– Jeśli w ogóle zyskamy – zaprotestował Paul. – Ty pokazujesz swoje widzenie świata, ja swoje. Szybkość postępu naukowego spadła do zera. Skoki kwantowe i replikacja zostały odkryte prawie pięć stuleci temu i stanowiły ostatnie znaczące przełomy naukowe. Pomimo twoich oświadczeń przyrost naturalny obniża się, a my popadamy w stagnację i sybarytyzm. Z każdym rokiem sta jemy się coraz mniej i mniej ludźmi i jeśli czegoś nie zrobimy, ludzkość może przepaść. Dotyka nas kryzys, a ty wciskasz głowę w piasek i paplasz o „genetyce macierzyństwa”!

– To nie paplanina, Bowman, to nauka – zaprotestowała Sheida. – Ale wygląda na to, że rozminąłeś się z logiką. Chcesz zmusić ludzi do pracy, choć ta, historycznie rzecz biorąc, nigdy nie zwiększała reprodukcji. Prawdę mówiąc, praca wręcz odciągała ludzi od rozmnażania. Muszę spytać o jedno: czy tę całą pracę mogą wykonywać ci, którzy poddali się Przemianie?

– Program może wymagać pewnych poprawek w stosunku do obecnej... mody na Przemiany – stwierdził Paul z niesmakiem.

– O nie! – odezwał się Cantor. – Wreszcie przyszło do tego. Chcesz, żebym stał się miłym, małym człekokształtnym i pracował w... jak brzmiało to słowo, miejsce, w którym produkowano rzeczy?

– Fabryka – odpowiedziała Sheida.

– Chcesz, żebym stał się miłym, małym człekokształtnym pracującym w fabryce, zamiast tym, czym *wybrałem* być! – Wstał, kopniakiem odrzucił krzesło w tył i przekształcił się. Nagle zamiast masywnego, zarośniętego człowieka nad stołem górował czterometrowy grizzly. – Nie wyyyyyydaje mi sięęęęę – zawarczał. Opadł do przodu, opierając się o stół, potężnymi pazurami wgniatając głębokie bruzdy w naturalnym drewnie blatu, a jego głowa zmieniła się z powrotem w ludzką. – Nie zrezygnuję z *mojego* kształtu dla *ciebie*, Paulu Bowmanie! Ani nie zamierzam do tego zmuszać żadnego z Przemienionych!

Ishtar przechwyciła spojrzenie Sheidy i rzuciła do jej ucha Szept.

– Zaczynam się cieszyć, że nie jest smokiem.

– Myślę, że skończyliśmy na dzisiaj – odezwał się Ungphakorn. – Finn nie będzie chciał sssię opowiedzieć po twojej stronie, nawet jeśśli zada sssobie trud dowiedzenia sssię, czego dotyczyła dyssskusssja. Może Demon, ale tylko z powodu chaossu, jaki by z tego wyniknął. Więc potrzebujesssz sssiedmiu, aby to przegłosować.

– Dziewięciu – poprawiła Sheida. – Zmiana zasad Przemiany wymaga dziewięciu głosów, zostały przyjęte ośmioma. Właściwie to jedna z nich została wprowadzona przez aklamację Rady, więc musiałbyś zastosować jedną ze specjalnych procedur, żeby ją uchylić.

– Która to? – zapytała Ishtar.

– „Żadnego odwrócenia Przemiany w warunkach, które naraziłyby Przemienionego na ryzyko śmierci.” Więc zanim zmieniłbyś z powrotem wszystkich ryboludzi, musiałbyś wyłowić wszystkich delfinów, wielorybów i całą resztę. A logistyka samej przemiany delfinoidów wykręca mózg, z powodu czynników ryzyka wymaga ona ludzkiej interwencji. W trakcie procesu nieuniknione jest też wprowadzenie wad genetycznych. Właśnie tego nam trzeba – więcej wadliwych genów.

– Nie wssspominając o koniecznośści upewnienia sssię, że nikt nie lata, gdy odbiera mu sssię tę umiejętnośść – dodał cierpko Ungphakorn. – Nie masz dośść głosssów, żeby to wprowadzić, Bowman, nawet z Demonem. Daj sssobie spokój.

– Nigdy – oświadczył Paul, zrywając się na nogi. – W naszych rękach spoczywa przyszłość ludzkości, a wyją odrzucacie. Dla fantazji o rasie macierzyńskich kobiet wywodzących się znikąd i... – umilkł i bez słów wskazał na quetzacoatla.

– Wydaje mi się, że słowo, którego szukasz, to „ohydztwo” – lekkim tonem odezwała się Sheida. –

Nieprawdaż?

– Tak! – krzyknął Chansa, najwyraźniej straciwszy cierpliwość. – Ohydztwa! Smoki i jednorożce oraz twój ukochany lud morza. To wcale nie są ludzie. To śmieci, nic więcej niż zdegenerowane ŚMIECI!

– *Ojej* – powiedziała Ishtar. – Wydaje mi się, że *zdenewowaliśmy* naszego dobrego Chansę. Pozwól, że cię spytam, *chłopcze*, czy twoje naturalne geny wskazują, że powinieneś mieć trzy metry wzrostu i dwieście kilo wagi?

– To nie ma nic do rzeczy – burknął członek Rady. – Przynajmniej jestem *człowiekiem*.

– Tak, no cóż, wydaje mi się, że to zamyka sssprawę – stwierdził Ungphakorn. – Dziękuję za wyjaśnienie tego punktu. Czasss na głośssowanie. Głośssuję, aby rozmowy na temat sssposssobów zmussszenia ludzi do pracy, aby zaczęli szybciej sssię rosssmnażać i dyssskusssje o przewidywalnym końcu „obrzydliwych” Przemienionych były permanentnie zabronione.

– Nie usłyszeliśmy jeszcze ani słowa od kilku członków Rady – zauważyła Sheida. – Minjie? Tetzacola? Byliście niezwykle milczący.

– To dlatego, że jesteśmy z Paulem. – Odpowiedział Said Dracovich, ale wskazał przy tym na resztę. – Nasza siódemka uważa, że najlepiej będzie wymusić pewne ograniczenia. Aby... znów zwiększyć ciśnienie na rasę ludzką, żeby nabrała sił. Wystawić ją na chwilę na działanie ognia, by zahartować stal.

– O jejku, jejku – rzekła Ishtar. – Najpierw jesteśmy ohydztwami, a teraz prostymi klingami noży, które trzeba zahartować.

– Nie wszyscy z nas uważają Przemienionych za obrzydlistwo – stwierdziła Celine. – Pomagałam przy zbyt wielu Przemianach, by je za takie uważać. Ale Przemiana wymaga wielu zasobów, a wspieranie Przemienionych jeszcze więcej, dla przykładu wystarczy spojrzeć na Cantora. Takie nadużycie zasobów spowalnia realizację ważnych projektów.

Przerwała i uśmiechnęła się przypochlebiająco do Ishtar.

– Muszę jednak dodać, że Przemiana wśród *przywództwa* byłaby oczywiście w pełni akceptowalna. Tak więc nikt w tej *sali* nie musi się niczego obawiać ze strony tego projektu.

– Jjjjasne – zawarczał Cantor sceptycznie. Kiedy Chansa zaczął mówić, wrócił właśnie z powrotem do pełnej formy niedźwiedzia. – Więc teraz nas przekupują. Popieram Sheidę!

– Jesteście przeciw temu szaleństwu? – zapytała Ishtar.

– Ta'. – powiedział Cantor.

– Tak – Sheida.

– Tak – powtórzył Aikawa. – Prawdziwym obrzydlistwem jest nietolerancja.

– Tak. – Ungphakorn.

– Tak – zakończyła Ishtar. – To tyle. Potrzebujecie dziewięciu głosów, żeby przeforsować

wszystkie protokoły dopuszczające do wprowadzenia twojego „programu”, Paul. Więc o ile kilku z nas nie zginie, to masz cholernego pecha.

– Zobaczmy – odpowiedział Bowman. – Potrzeba tych działań wkrótce sta nie się oczywista. Obiecuję ci.

– Po moim trupie – odparła Sheida.

ROZDZIAŁ DRUGI

Unoszący się nad biurkiem trójwymiarowy hologram podwójnej helisy rozpadł się na kawałki, włączył nowe DNA, połączył się w sekcje, zasymulował wiązanie białek i rekombinację, po czym *zaczął* wszystko od początku.

Daneh Ghorbani przyglądała się symulacji z nieobecny wyrazem twarzy. Podobnie jak jej siostra doktor Napraw Genetycznych miała gładką skórę i identycznie złotorude włosy. W przeciwieństwie do Sheidy nosiła je jednak rozpuszczone, a dobry genetyk byłby w stanie stwierdzić, że jej oczy nie mogły naturalnie posiadać chabrowobłękitnej barwy. Jednak podobnie jak siostra miała bardzo mało udoskonaleń, a te, które wprowadziła, nie miały związku z genami. Miała dość problemów z naprawianiem życia innych ludzi, by grzebać we własnym kodzie.

Hologram nie wyświetlał obrazu z faktyczną szybkością działania programu, stanowił po prostu graficzną prezentację procesu biegnącego znacznie szybciej, niż człowiek mógł zarejestrować. W różnych miejscach Sieci prowadzone były obliczenia i porównania w poszukiwaniu kombinacji genów, która wyeliminowałaby szczególnie problem w kodzie aktualnego pacjenta.

Efekt tego problemu siedział na krześle naprzeciw niej, dygocząc i przyglądając się jej z wyczekiwaniem. Herzer Herrick urodził się z wadą genetyczną o symptomach podobnych do choroby Parkinsona. Przeszła one nie wykryta przez standardowe skany genetyczne i zaczęła się ujawniać, gdy osiągnął pięć lat, kiedy ukryte retrogeny wyrwały się na wolność i zaczęły losowe kodowanie białek. W ciągu ostatnich dziesięciu lat jego choroba rozwinęła się do tego stopnia, że tracił wzrok z powodu niezdolności do kontrolowania oczu, miał okazjonalne napady epileptyczne i przez większość czasu wymagał transportu. Prognozy sugerowały, że jeśli jego choroba dalej nie będzie leczona, a do tej pory *nie dało się* jej leczyć, umrze, zanim osiągnie dwadzieścia lat. Czyli około czterysta siedemdziesiąt pięć lat wcześniej, niż powinien.

Pomimo tych problemów był w dość dobrym stanie fizycznym. Aż do niedawna ćwiczenia pozwalały ograniczyć najgorsze efekty choroby, więc trenował wytrwale. Teraz jednak jego stan zaczął pogarszać się wraz z postępującymi uszkodzeniami nerwów.

Sprawę jeszcze bardziej komplikował fakt, że chłopak był kolegą jej córki. Stanowiło to jeden z powodów, dla których Daneh unikała związania się z tą sprawą, wiedziała, że tak bliski związek to proszenie się o kłopoty. Co więcej, zdecydowanie *nie* układały się jej stosunki z rodzicami Herzera. Od pierwszych objawów ruchów spazmatycznych chłopca jego rodzice, Melissa i Harris, zaczęli go unikać, jakby wady genetyczne były zaraźliwe. Dopiero kiedy rodzice „dali mu jego wolność” w wieku czternastu lat, Herzer *osobiście* spytał się jej, czy zgodzi się zająć jego przypadkiem. Biorąc pod uwagę stopień zaawansowania choroby, wyrzucała sobie teraz, że tak długo czekała.

Może jednak uda się *znaleźć* lekarstwo. Jeśli tylko doktor Ghorbani będzie miała tu coś do powiedzenia.

– To jak układanie puzzli – powiedziała, przyglądając się ewolucjom podwójnej helisy. – Pewne geny nie będą współdziałać z innymi, niezależnie od tego, jak ściśnięte się je razem. Kiedyś ktoś w twojej rodzinie zdecydował się połączyć razem kilka z twoich genów. A one do siebie nie pasują.

Efekt jest taki, że twoje nerwy nie potrafią już regulować neurotransmiterów.

– Ta' pani dokt'r – przytaknął chłopiec, wzdychając. – 'iem.

– Tak, faktycznie wiesz – powiedziała z uśmiechem. – Próbuję wymyślić jakiś sposób na naprawienie tego. Sposób, na który nie wpadły automaty medyczne.

– 'arze 'użp ró'ali – powiedział chłopak, bezskutecznie usiłując skupić wzrok na hologramie czy lekarce przed sobą. Jego głowa cały czas przeskakiwała w skurczach i nie potrafił skompensować tego ruchem oczu. – Nie potrafią 'ierdzić, w czym 'roblem.

– Och, ależ potrafią *określić* problem – poprawiła Ghorbani. – Nie wiesz?

– N-nie – odpowiedział Herzer. – 'yślałem, 'e nie potrafią 'o 'awić.

– To dwie zupełnie różne sprawy, synu – zaprzeczyła łagodnie. – Rzecz w tym, że wyleczenie tego w klasyczny sposób musiałby cię zabić.

– Och? 'emu?

– Kłopot tkwi w regulacji neurotransmiterów – wyjaśniła Daneh. – Zlikwidowanie go wymagałoby zmiany twojego DNA, a potem wymiany wszystkich białek regulatorowych. W trakcie takiego procesu żaden z twoich neurotransmiterów nie będzie działał w *ogóle*, a to jest równoznaczne z zabiciem cię. Równie dobrze moglibyśmy ci wstrzyknąć neurotoksynę. Dlatego właśnie lekarze nie chcą cię leczyć, nie wolno im podejmować ryzyka powyżej pewnego progu.

– 'ana? – zapytał. – Albo 'ransfer?

– W tych warunkach, oba niosą ze sobą konsekwencje – odpowiedziała, unosząc podbródek i marszcząc brwi w sposób, który mówił „nie”. – Wydaje mi się, że właśnie źródłem problemu jest Przemiana, którą przeprowadzono gdzieś w twojej historii genetycznej, kompleks interferujący z produkcją neurotransmiterów mieści się prawie w tym samym miejscu co białka skrzeli. A mniej więcej trzy pokolenia temu miałeś w rodzinie ludzi morza. Próba Transferu *lub* Przemiany byłaby ryzykowna. Transfer zakłada, że twoje nerwy, ogólnie mówiąc komórki mózgowe, działają normalnie. Co w twoim wypadku nie jest prawdą. Powiedziałabym, że istnieje około trzydziestoprocentowe ryzyko, że przy Transferze do istoty nanitowej, lub czegoś podobnego, albo straciłbyś znaczącą część pamięci, albo podstawowych zdolności kojarzenia, albo to i to. Strata zdolności kojarzenia oznacza, że stałbyś się niesprawnym umysłem w nanitowym ciele, którego nie jesteś w stanie kontrolować. To też nie najlepsze rozwiązanie.

– Mo'e 'iało 'ię 'ozpada, a 'ój 'ózg też – zauważył chłopiec. – Nie 'am 'yt 'ielu opcji, 'ani 'oktor.

– Hm... – odezwała się. – Mam pewien pomysł. Nie jestem pewna, czy jest lepszy czy gorszy od Transferu, będę musiała to wymodelować. Twój stan *faktycznie* się pogarsza, ale mamy jeszcze trochę czasu, żeby coś wymyślić. – Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. – Rozwiążę ten problem, Herzer. Obiecuję.

– 'Obrze, 'ani do'or.

– A tym czasem spędzaj czas najlepiej, jak potrafisz. Odezwę się do ciebie nie dalej niż za tydzień.

– 'Obrze, 'ani do'or – powtórzył. – Oogę już iść?

– *Powinieneś*. To, co zwykle. Odpoczywaj, dużo pij, ćwicz, jeśli możesz.

– 'ęde – westchnął. – D' 'idzenia.

– Uważaj na siebie – powiedziała, gdy zniknął z krzesła.

Odchyliła się na oparcie fotela dryfowego i przez chwilę wpatrywała się w sufit, potem machnięciem ręki wyłączyła hologram i strzeliła palcami.

– Dżinnie, Chile.

Teleportacja była praktycznie natychmiastowa, więc chwilę później zamknęła oczy, gdy owiał ją podmuch znad oceanu, a uszy wypełnił szum fal i wodospadu. Na zboczu w pobliżu Puntlavap stała mała, drewniana altana, oferująca widok na ocean Po'ele. Wąwozem spływał spory strumień, ostatnie dwadzieścia metrów spadając kaskadą i rozpryskując się wśród szumu fal z dźwiękiem równocześnie kojącym ją i pomagającym się skupić.

Dzisiaj jednak zdawało się to nie działać.

Po kilku chwilach otworzyła oczy i nienawistnie przyjrzała się chmurom nadciągającym od zachodu.

– To tu jest – wyszeptała. – *Czuję* to.

Wstała i zaczęła chodzić w tę i z powrotem po drewnianej podłodze altany niemal równocześnie z pierwszym podmuchi wiatru poprzedzającego nadciągającą burzę. Wiatr porwał jej włosy, rzucając nimi na twarz, ale ledwie to zauważyła, zatrzymując się i niewidzącym wzrokiem patrząc na nadciągający żywioł.

– Układanka – wymamrotała, gdy zaczął padać deszcz, którego krople ściekały po brzegu ledwie widocznej tarczy siłowej. – Może zrobić to po kawałku? – Była pewna, że to jakiś pomysł, gdyby *tylko* mogła się skupić. Była blisko.

W tej chwili rozległo się ciche, lecz narastające dzwonienie.

– Tak, dżinnie? Powiedziałam ci, że nie chcę tu żadnych telefonów – warknęła ze złością.

– Z wyjątkiem wąskiego grona osób. – W powietrzu pojawiła się przed nią wykrzywiona grymasem głowa jej dżinna. – To sir Edmund. Mówi, że ma pilną wiadomość.

– Połącz go – westchnęła Daneh. Wszystkie myśli o układance natychmiast zostały zdmuchnięte jak przez wiatr. – O co chodzi, Edmundzie?

Przez ostatnie dwa lata wygląd jej partnera genowego prawie się nie zmienił: pozostał równie szeroki i silnie umięśniony, a na jego twarzy wciąż widać było ledwie zaczątki zmarszczek. Może w brodzie przybyło kilka siwych włosów, ale niewiele. Jednak jego zachowanie było... dziwne.

– Daneh, dziękuję, że pozwoliłaś mi ze sobą rozmawiać – powiedział. – Chciałbym, żebyś wzięła pod uwagę przekazanie nadwyżek swoich kredytów na rzecz Projektu Terraformacji Wolfa 359. Wolf Cztery wymaga znaczącego przekształcenia, łącznie z usunięciem milionów ton materiału płaszcza, a

Projekt Terraformacji Wolfa 359 potrzebuje twojej pomocy.

– CO?! – krzyknęła. – Edmund, przychodzę tutaj, żeby się *oderwać!* Mam bardzo chorego chłopca, którego próbuję wyleczyć i *nie* mam ochoty, żebyś reklamował mi *funduszy terraformacyjnych!* Zresztą co *ciebie* obchodzi terraformacja? Stworzenie odpowiedniej planety wymaga pół miliona lat! To ty zawsze zwracałeś *mi* na to uwagę.

– Terraformacja jest kluczowa dla przyszłości, nie tylko rasy ludzkiej, ale dla całego życia. Za kilka milionów lat nasza planeta zostanie pochłonięta przez słońce. Jeśli nie będziemy mieć nowych planet, na które moglibyśmy się przenieść, planet przygotowanych dla ziemskiego życia, całe życie na ziemi -jedynym jak dotąd miejscu w naszej galaktyce z rozwiniętym życiem – zostanie zniszczone.

– Czekaj -przerwała. – *Czym* jesteś? Nie jesteś Edmundem Talbotem, prawda?

– Stanowię legalną, autoryzowaną wiadomość od Projektu Terraformacyjnego Wolfa 359, projektu, który *potrzebuje* twojej pomocy.

– *Dzinn! Spam!* – krzyknęła, a obraz zniknął. – Och. *Oooooo!* Dzinnie, skontaktuj się z Edmundem – użyj awatara – i powiedz mu, że ktoś posłużył się jego obrazem. I powiedz też mojej siostrze.

– Tak jest, pani – potwierdził osobisty program. – Zapytałem, czy to awatar Edmunda Talbota i powiedział mi, że nim jest.

– Ale mnie nie mógł okłamać – wyjaśniła. – Pytałam Sheidę, kiedy zamierzają to naprawić, ale wciąż mi powtarza, że nie ma dość głosów w Radzie.

– Tak, pani – przytaknął dzinn. – Oboje zostaną poinformowani.

– Dobrze. – Daneh westchnęła. – Nie ważne. I tak nie potrafię już dzisiaj myśleć. Dzinnie, dom.

* * *

Słyszając, jak jego lokaj delikatnie odchrząkuje, Edmund Talbot podniósł wzrok i kładzionego właśnie z niezwykłą starannością damaskinażu.

– – Mistrzu Edmundzie, przed drzwiami czeka awatar, który chciałby się z tobą spotkać.

Projekcja ubrana była w trzynastowieczny strój dworski francuskich królów, w pelerynę z jedwabiu i wełny z czerwono-srebrnym herbem, biel na czerwieni, z przekreśloną ludzką głową. Dzięki całkowicie ludzkiemu wyglądowi wcale nie wydawała się nie na miejscu między wypełniającymi pokój starożytnymi narzędziami, zbrojami i bronią. Wyglądała na średniowiecznego sługę, a nie chmurę nanitów ubraną w jedwab, wełnę i len.

Prawdę mówiąc, nigdzie w zagraconym warsztacie nie dało się dostrzec żadnego śladu zaawansowanej techniki. Koło szlifierskie było poruszane nogą, kuźnię w końcu pomieszczenia zasilaty ręczne miechy, beczki, w których umieszczono miecze i sztaby metalu, wykonano z lokalnego dębu, a wszystkie materiały były całkowicie naturalne i wyglądały na zrobione ręcznie. Słońce chyliło się ku zachodowi, wypełniając pokój grą cieni i złotych promieni, lecz jedyne poza oknem źródło światła stanowił osłonięty szkłem łojowy kaganek.

Sam Edmund miał na sobie wąskie spodnie i wymiętą tunikę, która – pomijając wykonanie z

badwabiu i niezwykłą gęstość splotu — całkiem dobrze pasowałaby do średniowiecznego stroju ropazyjskiego od czasów upadku Rzymu do Renesansu. Z jego pełnymi stwardniałej skóry dłońmi, potężnymi ramionami i siwiejącą brodą oraz masywnym ciałem można by go było wziąć za średniowiecznego mistrza kowalskiego. Ewentualnie lorda z hobby.

I dokładnie o to chodziło.

Jedynym wyjątkiem od stroju z epoki była para okularów w cienkich oprawkach, które opuścił teraz na nosie, patrząc na sługę.

– Kto to? – zapytał.

– Madame Daneh, mój panie – odrzekła projekcja. – Czy mam ją wpuścić?

– Ależ oczywiście. – Talbot zdjął okulary i wstał.

Powrót zajął awatarowi dosłownie chwilkę. Oczywiście awatar gościa mógł się po prostu pojawić w izbie, ale nie sprawiłoby to wrażenia bycia wprowadzanym. Ponieważ cały program teleportacji zarządzany był przez Sieć, która teoretycznie mogła przesłać kogokolwiek w dowolne miejsce, istniały protokoły zapobiegające nieupoważnionemu dostępowi. Osoby, którym nie umożliwiono wejścia do domu, musiały przenosić się na zewnątrz budynku, a istoty bezcielesne, projekcje, awatary i osoby Przetransferowane w chmury nanitowe nie mogły po prostu wejść do domu bez wcześniejszego pozwolenia. Technicznie rzecz biorąc, awatar Daneh Ghorbani mógł przenieść się bezpośrednio do jego domu, jednak posiadający na to zgodę przyjaciele i krewni Edmunda doskonale zdawali sobie sprawę z jego dziwactw i zawsze pytali o pozwolenie.

– Edmundzie – przywitał go awatar.

Talbot znieruchomiał na chwilę, napawając się widokiem swojej byłej kochanki. Awatary standardowo naśladowały aktualną prezencję ich właścicieli. Nie zawsze tak było, ale Daneh raczej nie zmieniałyby wyglądu, skoro posługiwała się prawdziwym nazwiskiem. Oceniał więc, że fizycznie praktycznie wcale się nie zmieniła. Włosy miała odrobinę bardziej czerwone i pojawiły się w nich lekkie rozjaśnienia, prawdopodobnie od słońca. Z tego samego powodu jej skóra była troszkę ciemniejsza. Poza tym jednak wyglądała tak samo jak w czasach, gdy byli razem. Wyglądała... dobrze, podczas gdy on czuł, jak z dnia na dzień się starzeje.

– Madame Daneh – przywitał ją z lekkim ukłonem. – Czemu zawdzięczam

– ten honor?

– Ktoś spamuje, używając do tego twojego awatara – odpowiedział jego gość. – Nie przypuszczam, żebyś dał na to zgodę Projektowi Terraformacyjnemu Wolfa 359.

– Nie przypominam sobie – z parsknięciem odpowiedział Talbot. – Przepraszam, spróbuję wyjaśnić tę sprawę. Awatarze, nie sądzę, żebyś dysponował jakimiś szczegółami?

– Madame Daneh nie prosiła mnie o ich zebranie – odparł awatar głosem bez wyrazu.

– Bardzo dobrze. Jak się miewasz?

– Madame Daneh czuje się dobrze i przekażę jej, że pytałeś o nią.

– A Rachel? Jak ona się miewa?

– Panienska Rachel również ma się dobrze. W tej chwili zajmuje się surfowaniem energetycznym w rejonie Fidzi.

– No cóż, powiedz Daneh, że moje drzwi są zawsze dla niej otwarte i przez każdą Rachel wyrazi miłości. Powiedz jej, że niecierpliwie czekam na jej wizytę w przyszłym miesiącu.

– Zrobię to, mistrzu Talbocie. Dobrego dnia.

– Szybkości, awatarze.

Stał w zamyśleniu, stukając palcami po wardze, aż projekcja wyszła z pokoju i wrócił jego sługa.

– Charles, wyślij awatary do wszystkich moich przyjaciół, informując ich o tym i przepraszając. Wyślij na ten temat skargę do Rady. I kopię do Projektu Terraformacyjnego wraz z ostrzeżeniem dotyczącym ewentualnych dalszych działań tego typu, a potem skontaktuj się z Carbem i poproś go, żeby sprawdził, kto uznał mnie za dobry cel.

– Tak jest, mój panie. Masz też kolejnego gościa.

– Kto? – zapytał Edmund.

– Dionys McCanoc.

– Na piekło i demony – zaklął Talbot. – Czego chce ten ośli zadek?

– Nie zaszczycił mnie tą wiadomością, panie – odpowiedział sługa. – Mam go wprowadzić czy powiedzieć mu, żeby poszedł znaleźć sobie krótką i nie przyjemną drogę do piekła?

– Awatar czy osoba?

– Osoba, mój panie.

– Spotkam się z nim w jadalni – zgodził się Talbot po namyśle. – Za trzy minuty.

– Tak, panie.

Edmund założył tabard ze swoim herbem, po czym przeszedł do głównej sali dużego domu. Ściany pokoju poobwieszane były bronią i sztandarami upamiętniającymi zwycięstwa nad najróżnorodniejszymi przeciwnikami. Zgromadzono tam katany, pałasze i tulwary, a pod jedną ze ścian w końcu pokoju umieszczono surrealistyczną rzeźbę z dosłownie setek najfantastyczniejszych mieczy, z których większość nie była warta metalu stanowiącego ich surowiec. Herby setek rycerzy służyły za tapetę, a drzwi obito podniszczonymi tarczami.

Po jednej ze stron potężnego kominka stał na stojaku zestaw średniowiecznej zbroi płytowej, noszącej ślady uderzeń i zużycia, a po drugiej stronie ognia ustawiono pawęż, zza której wystawał młot i długa kopia.

Edmund usiadł przed kominkiem i machnięciem nakazał służbę wprowadzenie gościa.

Dionys McCanoc był wysoki, miał trochę ponad dwa metry i bary szerokie jak dom. W tej chwili miał postać człowieka, ze śladami elfich cech. Nie dość, by naruszyć przepisy, ale wystarczająco, by

wzbudzić furję u każdego prawdziwego elfa. Włosy – długie i srebrne, z holograficznym podbarwieniem – spływały mu po plecach wodospadem chwytającym światło w tęczę, podczas gdy jego skóra była całkowicie czarna, nie czernią afrykańskich genów, lecz absolutną czernią głębi nocy.

Miał pionowe źrenice oczu, świecące lekko nawet w świetle ustawionych w pokoju lamp oliwnych.

– Książę Edmundzie – odezwał się głębokim, aksamitnym barytonem, schylając się w pokłonie.

– Czego chcesz, Dionys? – zapytał gospodarz.

Kiedy Dionys zaczął pojawiać się na turniejach, Edmund zadał sobie trud przeprowadzenia małego wywiadu. Nigdy nie stanęli naprzeciw siebie, ale Talbot zawsze wolał sprawdzić potencjalnych przeciwników i problemy, jakie mogli stworzyć, a Dionys miał słowo „problem” wytatuowane na czole.

Zdołał ustalić, że imię to było stosunkowo świeżym pseudonimem, podobnie jak i elfi wygląd. Dotarł do plotek, że poprzednie wcielenie jego gościa tak daleko zeszło ze ścieżki prawa, że zdołał na siebie ściągnąć uwagę Rady. Nie było jasne, czy skończyło się to na przymusowej terapii, czy po prostu na dozorze, podobnie jak niejasna była natura przestępstw, o które go oskarżano, ale gdy tylko wkroczył w subkulturę rekreacionistów, przyczyna jego problemów stała się oczywista: Olbrzym był po prostu kompletnym świrem.

Swoją karierę w rekreacionizmie rozpoczął od próby wymuszenia pojedynku z królem Avalonii. Ponieważ król nie miał powodu zaakceptować wyzwania ze strony osoby, która nie zdobyła nawet ostróg, dość stanowczo odmówił.

Dionys rozpoczął wtedy kampanię pomówień przeciw królowi, oskarżając go o wszystko, od tchórzostwa do pedofilii. Równocześnie zaczął gromadzić wokół siebie grupę popleczników – którzy natychmiast zostali ochrzczeni mianem „Młodych Chamów” – i używał ich do siania niezgody w całej Avalonii. Przez cały ten czas przeważnie albo unikał turniejów, albo walczył wyłącznie przeciw możliwie najslabszym, najchętniej gdy zasady pozwalały na stosowanie broni wspomaganiej. Dzięki doskonałym mieczom energetycznym i rozmiarom uzyskanym w Przemianie szybko miażdżył wszystkich przeciwników.

W końcu sytuacja osiągnęła stan kryzysowy i król wygnał go ze swych ziem. Nie zakończyło to werbalnych, politycznych i fizycznych napaści Dionysa i je-20 grupy, aż w końcu król poddał się i zgodził na osobistą walkę.

Jednak w związku ze zdolnością ludzi do Przemiany i wspomaganiania formalne pojedynki zmieniły się w ciągu stuleci. Dionys nie zdawał sobie sprawy, że w tego rodzaju pojedynku Sieć, która dysponowała pełnym dostępem do danych Przemiany, wyznaczała utrudnienia na podstawie stopnia Przemiany każdego z walczących. Oczywistym było, że niedozwolone było również stosowanie wspomaganiej broni.

Kiedy udał się na walkę z królem, jego całkowicie zwyczajna broń i zbroja zostały obciążone dodatkowym ciężarem blisko stu kilogramów.

Ponieważ McCanoc unikał oficjalnych pojedynków klasyfikacyjnych, nie było jasne, na ile mógł być dobry. Nieliczne toczony przez niego walki kończyły się masakrą, ale *TZWSTS* walczył z

lżejszymi i niedoświadczonymi przeciwnikami. Jednak niezależnie od faktycznie posiadanych umiejętności, walka z królem Avalonii była krótka. Stanęli naprzeciw siebie na arenie, obaj uzbrojeni w ropazyjskie proste miecze, tarcze i kolczugi. Miecze, zgodnie z rytualną naturą wyzwania, wyposażone zostały w pola stępujące, a starcie miało zostać rozstrzygnięte na punkty.

Mimo to Dionys nie tylko został pokonany, ale też dość krwawo zmasakrowany. Król Avalonii w ciągu poprzedniego stulecia czy dwu brał udział w tysiącu podobnych starć i znał wszystkie legalne sztuczki oraz większość z tych niedozwolonych. Użył ich, by nie tylko wygrać na punkty, ale i zrobić to tak, by Dionys na dłuższy czas zapamiętał ból. Przynajmniej nigdy już nie będzie uważał tarczy za broń czysto defensywną. Kiedy McCanoc wytoczył się z pola walki, z hełmu na zbroję wyciekały strumienie krwi. Wyteleportował się i nie widziano go bardzo długo.

Od tego czasu minął prawie rok i dopiero w ciągu ostatnich kilku miesięcy znów Chamy, wraz z ich przywódcą, zaczęły się tu i tam pojawiać. Tym razem Dionys zdawał się podchodzić serio do wspinania się po stopniach hierarchii turniejowej i walczył z przeciwnikami w tej samej kategorii wagowej. Jak się okazało, był dość dobry. Jednak – ponieważ jego przeciwnicy przeważnie dysponowali bronią wspomaganą w równym stopniu co jego, jeśli dozwolone było stosowanie takiego uzbrojenia – wspinał się *bardzo* wolno.

Co zdawało się stanowić dla niego problem.

– Chciałbym, żebyś zrobił dla mnie zestaw turbozbroi i miecz siłowy – oznajmił wojownik.

Talbot nie potrafił się opanować. Roześmiał się w głos.

– Chyba żartujesz – zachichotał w końcu. – Czemu na *skarby świata* miał bym *cokolwiek* dla ciebie zrobić?

– No cóż, po pierwsze dla kredytu – zaczął wyliczać Dionys, najwyraźniej niezmiśniany śmiechem. – Mogę ci za nią hojnie zapłacić, nie wydaje mi się nawet, żebyś zdawał sobie sprawę, jak hojnie.

– Nie wydaje mi się, żebyś miał pojęcie, ile to jest *warte* – odparł Edmund. - Nie wyczarowuję zbroi po prostu z powietrza, bo nie byłoby cię tutaj. Każdy element jest tworzony osobno z podstawowego żelaza, a dla zbroi wspomaganiej, Starej, jak przypuszczam, chcesz, używam specjalnie tworzonych nanitów. Skompletowanie pełnego zestawu wymaga prawie trzech miesięcy. Cóż takiego mógłbyś mi zaoferować, co *warte* byłoby trzech miesięcy mojego cennego życia?

– Dwieście terakredytów – odpowiedział natychmiast Dionys.

– Co? – zdziwił się Talbot. – To zauważalny kawałek budżetu planety! Nie ma mowy, żebyś zebrał tego rodzaju kwotę!

– Mogę ją mieć. Mam swoje... źródła.

– Dobra – niechętnie zgodził się Talbot. – Zakładając, że faktycznie możesz położyć na nich rękę, to mnóstwo kredytów. Jest tylko jeden problem.

– Jaki?

– Nie chcę ich – wyjaśnił Edmund. – Nie mam nic, na co mógłbym wydać dwieście terakredytów.

Prawdę mówiąc, nie wiem, co zrobić z kredytami, które *już* mam, prawie wszystkie swoje nadwyżki oddaję córce. Która także nigdy nie jest w stanie wydać wszystkiego. Tak więc nie mam co zrobić z twoją fortuną, niezależnie od jej źródła.

– No dobrze. – Dionys pokiwał głową. – Mogę to zrozumieć. W takim razie pomyśl o wyzwaniu. Nie chcę po prostu zwykłego zestawu broni, chcę najwspanialszej zbroi i najdoskonalszego miecza, jaki kiedykolwiek stworzono. Zbroja musi mieć własne źródła energii, możliwość podłączenia zewnętrznego zasilania, wymieniać energię i naprawiać uszkodzenia własne i użytkownika. Kolczuga powinna być reaktywna kinetycznie, i oczywiście nieprzebijalna. Wszystko to musi stanowić osłonę przeciwko generatorom pola i broni energetycznej. Miecz musi generować pole tnące i energetyczne oraz być w stanie wysysać i wymieniać energię. Musi być najwspanialszy: najlepsze nanity, najdoskonalsze programy zdolne *zetrzeć* się ze wszystkimi wspomaganymi zbrojami na ziemi i pokonać je. Wszystko to niewidoczne przy pobieżnej inspekcji i oczywiście, powinno wyglądać... dobrze. – Lekceważąco machnął w stronę podniszczonego kompletu zbroi przy kominku.

– Wyzwania są dla młodych. – Gospodarz skrzywił się i odchylił na oparcie fotela, wyciągając nogi. – Kiedy osiąga się mój wiek albo kończy się z robieniem różnych rzeczy dla wyzwania, albo jest się martwym. Nie bez powodu najczęstszą przyczyną śmierci w naszych czasach są wypadki. A zaraz za nimi samobójstwa.

– Więc mi jej nie zrobisz? — zapytał Dionys.

– Wątpię – odpowiedział Talbot. – Zresztą po co ci coś takiego? Nie mógł byś użyć jej w żadnym turnieju. Nawet w takim, który dopuszcza wspomaga nie. Sama funkcja odciągania energii wystarczyłaby do jej wykluczenia. A to wykryje każda, nawet najbardziej powierzchowna inspekcja.

– Nie ma służyć do turniejów – wyjaśnił Dionys. – Choć powinna mieć możliwość ukrywania i wyłączania wspomagania, gdybym *faktycznie* używał jej w turnieju. Ale chciałbym użyć jej, by zostać królem Anarchii.

Talbot nie był osobą o zbyt wylewnym charakterze, ale nie potrafił się powstrzymać przed ponownym parsknięciem śmiechem.

– Och, dziękuję, Dionys – powiedział, usiłując nad sobą zapanować. – Od wieków się tak nie ubawiłem.

– Mówię poważnie – ponuro oznajmił jego gość. – Mogę zostać pierwszym królem Anarchii od czasów Karola Wielkiego.

– Przy mojej pomocy. – Talbot zachichotał. – Król Anarchii. Dzięki niewykrywalnej wspomaganej zbroi. Przypuszczam, że powinna też świecić?

– W odpowiednich warunkach – potwierdził wyniośle Dionys.

– A jaki jest twój ulubiony kolor? – Edmund uśmiechnął się szeroko.

– Wydaje mi się, że powinna uwalniać chmurę ciemności. Tak byłoby... odpowiednio.

– Ha – parsknął kowal. – Nie. Ani czarna, czerwona, błękitna ani nawet w świńskim różu. Odejdź.

– Nie potrzebuję *twojej* pomocy – ostro zareagował McCanoc. – Fukuyama zgodził się zrobić ją dla

mnie.

– Fukyama ma na utrzymaniu ten niedorzeczny latający zamek – odpowiedział Talbot. – *Oraz* tendencję do stawiania na niewłaściwe konie. Co zresztą jest powodem, dla którego zawsze połaszczy się na kredyt. I możesz mnie cytować. Dla dwustu terakredytów będzie więcej niż uprzejmy. Za taką kwotę odda duszę. Oczywiście jego zbroja przy mojej to towar drugiej klasy, ale dostajesz, za co płacisz.

– Będzie to najszlachetniejsza zbroja, jaką kiedykolwiek stworzono – zauważył McCanoc. – Z pewnością to czegoś warte.

– Niewiele – zaprzeczył Talbot.—A już cholernie pewne, że nie warte dwóch czy trzech miesięcy z ograniczonego czasu, jaki pozostał mi na tym padole łez – dodał, wstając. – Żeby nie było nieporozumień, Dionys – mówił dalej, opierając dłoń na ramieniu zbroi. – Nie lubię cię. Nie lubię twojego stosunku do rzeczywistości, twoich działań, i nie lubię twoich przyjaciół. Nie obchodzi mnie wyzwanie w postaci stworzenia największego zestawu oszukańczych trików, jaki kiedykolwiek zbudowano. Nie dbam o twoje pieniądze. Nie masz *nic*, co mógłbyś mi zaoferować. Nie zamierzam niczego dla ciebie zrobić, a już najmniej wspomaganą zbroi. I nie chcę więcej widzieć twojej gęby na mojej ziemi. Czy to jasne?

–

– Lepiej, żeby przemyślał pan swoje położenie, mistrzu Talbot – wycedził Dionys, robiąc krok naprzód, by stanąć tuż przed niższym kowalem. – Naprawdę nie chcesz zostać moim wrogiem.

– Chłopcze, grozili mi znacznie bardziej przerażający ludzie i to zanim się jeszcze urodziłeś – Talbot odpowiedział z ziewnięciem. – Wynoś się z mojego domu.

– Bardzo dobrze – warknął McCanoc, cofając się. – Ale będziesz tego żałował przez resztę życia.

– Jedyne, czego żałuję to wpuszczenia cię przez te drzwi – odciął się starszy mężczyzna. – I jesteś na trwałe zablokowany. Nie wpadnij czasem na pomysł, że możesz wrócić.

Dionys warknął na niego, uniósł rękę nad głowę i strzelił palcami. Po chwili rozejrzał się wokół zaskoczony.

– Oprócz paru innych rzeczy, mam w domu cholernie silny blok antyteleportacyjny – wyjaśnił gospodarz. – Tam jest wyjście – dodał, wskazując na drzwi.

Dionys okręcił się w miejscu, po czym ruszył do drzwi, otwierając je po chwili zmagania się z antyczną klamką i zostawiając je otwarte.

– I takiej jakości przeciwników dostaje się w dzisiejszych czasach. – Talbot westchnął, gdy do pokoju wrócił sługa. – Nawet nie wie dość o epoce, by trzasnąć drzwiami. – Machnął palcem i drzwi się zamknęły. Delikatnie.

– Cóż za okropna osoba – odezwał się lokaj.

– Nie taka okropna, Charles – odpowiedział Talbot. – Po prostu młoda. I socjopatyczna. Szkoda, że nie usunęli tego genu, choć od czasu do czasu na coś się przydaje. Wydaje mi się jednak, że *trochę* przesadza.

Potrząsnął głową i pogładził zbroję, przesuwając palcem po wgnieceniu na naramienniku.

– Po prostu młody. Chce zostać królem Anarchii. Czyż nie chcą tego oni wszyscy?

Program służącego wyczuł, że była to jedna z tych chwil, kiedy powinien zaangażować się w niezobowiązującą rozmowę i wywołał odpowiedni podprogram.

– Królem Anarchii – program powtórzył zaskoczony. – Zaiste, Anarchia nie miała króla od ponad stu lat. Od czasu, gdy Karol Wielki podbił ją w niecałe dziesięć lat. A potem rządził nią w pokoju przez kolejne dziesięć, po czym znów zniknął!

– Tak, nie miała – zgodził się Talbot, odwracając się od zbroi i znów potrząsając głową. – I poradzę sobie bez powtórki, to znaczy, *żyłem* wtedy, pamiętasz?

– Tak, milordzie. Przepraszam.

Edmund zatrzymał się i przez chwilę gładził brodę w zamyśleniu.

– Muszę zadzwonić do Fukyamy i uprzedzić go, żeby zażądał opłaty z góry. – Znów przerwał, ciągnąc się za brodę. – Król Anarchii, tak? – Skrzywił się, znów pociągnął się za brodę, po czym rozejrzał się po otoczeniu jakby zaskoczony.

– Idę na obiad do pubu – oznajmił w końcu.

– Tak, mój panie – odpowiedział program sługi. – I Charles?

– Tak, panie?

– „Zaszczylenie” mogę znieść, ale „zaiste” to już przesada.

– Tak, mój panie.

– Nie czekaj na mnie. Czuję, że spędzę noc na hulance.

– Tak, panie – powtórzył program. – Chciałbym jeszcze poinformować, że panią Rachel przysłała wiadomość, że *nie* będzie w stanie odwiedzić pana w przyszłym tygodniu. Na przeszkodzie stanie przyjęcie urodzinowe jej przyjaciółki Marguerite.

– Och. – Edmund pomyślał o tym przez chwilę, po czym westchnął. – Zdecydowanie nie czekaj.

ROZDZIAŁ TRZECI

U szczytu pętli przewrotu w tył Rachel uświadomiła sobie, że nie ma szans, by jej siłowa narta wylądowała choć częściowo we właściwej pozycji.

Usiłowała nadażyć za Marguerite w zabawie polegającej na naśladowaniu jej ruchów, ale jej przyjaciółka nie tylko miała za sobą znacznie więcej czasu spędzonego na nartach energetycznych, była też po prostu znacznie bardziej sprawna fizycznie.

To, co Marguerite przychodziło naturalnie, dla Rachel zawsze stanowiło wyzwanie. Na przykład narty energetyczne. Cała zabawa wymagała tylko opanowania obsługi małego uchwyty w kształcie litery T. Generowała ona pod stopami pole siłowe w kształcie tarczy oraz falę napędową. Fala mogła zostać użyta do wznoszenia pojazdu lub poruszania nim w przód. Przez posuwanie się naprzód z wyłączoną anty grawitacją system można było wykorzystać do ślizgania się po powierzchni wody, używając masy ciała do zmian kąta natarcia i skrętów. Dalej wszystko było już tylko kwestią wyobraźni, wyczucia równowagi i umiejętności narciarza. W tym przypadku Rachel bardzo się starała nadażyć za Marguerite, która przy prawie osiemdziesięciu kilometrach na godzinę sunęła po falach, przeskakując między ich szczytami niczym jakiś szalony derwisz.

Jednak jej wysiłki okazały się niewystarczające.

Patrzyła na zbliżającą się taflę wody i błyskawicznie rozważyła dostępne opcje. Wyłączyła automatyczny system stabilizujący, bo nie dość, że przeszkadzał w manewrach, to jeszcze bez niego zabawa była o wiele ciekawsza. Tak więc narta jej nie uratuje. I niezależnie od tego, jak bardzo próbowała się skręcać i obracać, wyglądało na to, że nie zdoła się wyrwać z pozycji głową w dół.

Właściwie jedyne, co mogła zrobić, to przyjąć to na osobistą tarczę ochronną, więc odrzuciła rączkę sterującą i zwinęła się w kulkę.

Tuż nad powierzchnią wody wokół niej pojawiło się jajowate pole siłowe, osłaniając ją przed możliwym utonięciem i osłabiając wstrząs uderzenia sześciometrowego upadku przy sześćdziesięciu kilometrach na godzinę.

Przez jeden krótki moment Rachel miała doskonały widok na krystalicznie czystą wodę pod sobą, z zieloną mgiełką przenikającą z góry. Było to równocześnie niesamowicie piękne i przerażające, ponieważ gdyby zawiódł drobny element techniki, znalazłaby się dwa metry pod wodą i podryfowałyby w dół przez kolejne pięć tysięcy. Jednak tarcza wytrzymała – mogłaby ochronić przed płynną magmą, a nawet fotosferą gwiazdy – i po krótkiej chwili zanurzenia wyskoczyła na powierzchnię. Tym samym zakończyło się niebezpieczeństwo i pole się wyłączyło.

Przez chwilę chlapała się w wodzie, usiłując dojść do siebie, po czym sięgnęła po unoszącą się nad powierzchnią rączkę sterującą. Kiedy już trzymała ją w dłoniach, uaktywniła kontrolki i odczekała, aż uniosła ją ona nad powierzchnię wody. Unosząc się przez chwilę wśród fal, nie dostrzegła nigdzie Marguerite, więc za pomocą tego samego urządzenia dźwignęła się powyżej szczytów najwyższych fal. W końcu zauważyła przyjaciółkę prawie kilometr dalej przeskakującą zgrabnie z grzbietu na grzbiet.

Klnąc cicho pod nosem, spróbowała zdecydować, czy miało jeszcze sens próbować ją dogonić. W końcu doszła do wniosku, że nie, i przeniosła się przed szybko oddalającą się blondynkę.

– Gdzie byłaś? – zawołała Marguerite, przeskakując przez kolejną falę i wykonując w powietrzu piruet. Wylądowała na wodzie wyprostowana i wciąż w ruchu, wywołując potężne rozbryzgi wody, które sięgały do jej unoszącej się w powietrzu towarzyszki.

– Zamoczyłam się – zawołała Rachel, strząsając wodę z ramienia. – I to dość solidnie – dodała znacząco.

– Przykro mi – odkrzyknęła Marguerite, przerywając w końcu swoje ewolucje i podlatując wolno do koleżanki. – Nic ci nie jest?

– Nie, przyjęłam to na pole. Ale przez chwilę było niewesoło. Chyba już skończę na dzisiaj. Jestem zmęczona.

– W porządku. – Marguerite machnęła ręką i wystartowała ponownie. – Za dzwoni do mnie!

– Jasne. – Rachel rozejrzała się po błękitnych falach przetaczających się od horyzontu po horyzont. Nigdy dotąd się nie zastanawiała, co by się stało, gdyby zawiodła ją technika. Dziś jednak to zrobiła. Gdyby generator pola nie zadziałał albo biologiczna kontrola rekinów... czy choćby pozwolono uformować się huraganowi, wszystko mogło się wydarzyć. Tu po prostu było.- tak wiele przestrzeni.

Jednak martwienie się tym nie miało sensu. Równie dobrze można by martwić się tym, że zawiedzie teleport. Sieć nigdy by na to nie pozwoliła. Z tą myślą machnęła dłonią.

– Dzinnie, dom.

Była pewna, że to zadziała.

* * *

Daneh spojrzała na młodzieńca i uśmiechnęła się lekko.

– Herzer, wymyśliłam coś, co powinno się sprawdzić – oświadczyła. – Wydaje mi się, że możemy nie tylko złagodzić symptomy, ale może nawet całkowicie i na zawsze wyleczyć cię z choroby.

Rozmowa odbywała się w małym pokoju. Ściany stanowiły starannie dobrane ekrany, jeden przedstawiał ciemną polanę w lesie, gdzie płytki strumień spływał przez obrosnięty mchem wodospad, drugi prezentował spokojny brzeg morza, a na ostatnim widać było górskie stawy, których powierzchnię marszczył delikatny powiew. Sufit przedstawiał podmorski widok rafy koralowej, rzucając na ściany świetliste plamy kolorowych ryb. Kombinacja była zarówno przyjemna dla oczu, jak i kojąca, a efekt łagodzący wzmacniała odgrywana w tle spokojna muzyka.

– Co?

– Dość trudno to wyjaśnić – odparła, marszcząc brwi. – I będę musiała wcześniej uzyskać twoją zgodę. – Nie wspomniała, że kontaktowała się już z jego rodzicami i po ciężkiej kłótni oboje przyznali, że właściwie nie obchodzi ich, co z nim robi, jeśli tylko da im spokój.

– Wszy-ystko – wyjąkał chłopiec. – Jeśli uwa'a pani, 'e to 'adzia'.

– Najpierw chcę, żebyś to zrozumiał – zaczęła sztywno. – Zwłaszcza że wiąże się to z poważnym ryzykiem i... nie jest to żadna zwykła procedura. – Uniosła dłoń, powstrzymując jego protest. – Wysłuchaj mnie. Najpierw wyjaśnię ci, czemu nie jest to zwykła procedura. U zarania medycyny, lekarze leczyli tylko jedną przypadłość naraz. Jeśli pacjent cierpiał na jakąś dolegliwość, wszystko, co mogli zrobić, to próbować ją właśnie wyleczyć. Istniała kiedyś jednostka chorobowa, która nazywała się „cukrzyca”. Jej bezpośrednią przyczyną był problem z trzustką, choć ten zazwyczaj wynikał z jakichś innych dysfunkcji. Ale wszystko, co ówczesni lekarze mogli zrobić, to leczyć objawy, ponieważ nie mieli możliwości praktykowania prawdziwej, holistycznej medycyny. Nawet kiedy już zaczęli rozumieć funkcjonowanie gruczołów, mogli tylko naprawić sny gruczoł, nie prawdziwe źródło problemu. W tamtych czasach istniało coś, co zabijało starych ludzi, a co nazywano zużyciem układów. Któraś część ciała odmawiała posłuszeństwa, potem następna i kolejna. Czasem pierwszą dało się naprawić, pacjent mógł dostać transplantację serca czy nerki. Ale sama naprawa wywoływała dodatkowe... obciążenie innych układów. Przez co szybciej się włączały.

Lekarka patrzyła na chłopca spokojnie.

Dopiero postępy nanomedycyny umożliwiły leczenie *całego* ciała, całego fantastycznego systemu składającego się na żyjący organizm ludzki. A od kiedy zaczęliśmy rozumieć, jak to robić, stało się to normą. Jeśli masz Problem z wątrobą, znajdujemy wszystkie układy, które są z tym związane i cierpią z powodu uszkodzeń albo się do nich przyczyniają, co całkiem często zachodzi jednocześnie i naprawiamy je *wszystkie* w tym samym czasie. Rozumiesz?

– Tak, 'ani do'r – odpowiedział.

– No cóż, sądzę, że jedyny sposób na „zreperowanie” cię, to powrót w czasie – kontynuowała. – *Nie możemy* naprawić cię całego naraz, ponieważ to, co działa źle, to wszystkie twoje komórki nerwowe, łącznie z mózgiem. Musimy... pracować po kawałku. Ale bardzo szybko. Wyłączyć jeden nerw albo grupę nerwów, usunąć je z układu, naprawić je albo podmienić i z powrotem uaktywnić tę sekcję. Czyli zasadniczo to, co musimy zrobić, to zabić kawałki ciebie, a potem ponownie je ożywić. Coś jak z potworem Frankenstein.

– -Z czym?

– Nie ważne, to *stare* nawiązanie. Ale rozumiesz ogólną zasadę?

– Tak. Ale co z... wie 'ani. – Postukał się po głowie.

– – I to jest najtrudniejsza część – przyznała. – Zamierzam pozwolić, by resztą twojego ciała zajął się automatyczny lekarz, tylko pod moim nadzorem. Ja skupię się na monitorowaniu naprawy mózgu. *Wydaje mi się*, że możemy go podmienić tak samo, fragment po fragmencie. Mózg zawsze jest aktywny, ale jego części od czasu do czasu są wyłączane. Będziemy właśnie wtedy na nich pracować.

– Och. – Herzer wypuścił powietrze. – Prze...

– -Przerażające – zgodziła się. – Na dodatek, zanim zaczniemy, zrobimy... zdjęcie twojego ciała, coś jak Transfer. Z powodu zniekształceń w sygnałach przekazywanych twoimi nerwami prawdopodobnie obraz nie będzie zbyt dobry. Jeśli będziemy musieli go użyć, nie jestem pewna, czy byłbyś w pełni sprawny. Jeśli naprawimy ciało, a potem Przetransferujemy cię z powrotem, wydaje

mi się, że przeżyjesz. Ale może się to skończyć amnezją albo nawet powrotem do stanu dziecka, z koniecznością nauczenia się od nowa *wszystkiego*. Albo możesz z tego nie wyjść. Możesz nie być w *stanie* znów się uczyć i spędzisz resztę życia jako niemowlę. Albo... możesz zginąć.

Pomyślał o tym przez chwilę, potem wzruszył ramionami.

– I tak 'inę. Czy 'est 'aka' 'obra strona?

– Och, tak. Jestem dość przekonana, że procedura zadziała, w innym wypadku nie ryzykowałabym jej.

– 'iedy? – zapytał. – Jeśli myśli pani, 'e to 'ała. Ja umiera' po kawa'ku.

– Jeśli chcesz, mogę to zrobić nawet teraz – zaproponowała. – Prawdę mówiąc, jestem przygotowana i pozytywnie nastawiona. Ale jeśli chcesz to prze myśleć...?

– Nie – odpowiedział po chwili. – My-yśle, że ta chwila jest 'ównie 'obra 'ak każda. Więc dobrze.
– Wziął głęboki oddech. – Co 'am 'obić?

– Odchył się do tyłu i zamknij oczy – poleciła.

Kiedy była pewna, że zajął właściwą pozycję, uaktywniła pole medyczne, uruchomiła program i również zamknęła oczy.

Pole nanitowe unieruchomiło jego ciało, wprowadziło mózg w stan podtrzymywanego snu i rozpoczęło proces naprawy.

Przed jej oczyma ciało chłopca zmieniło się w barwną reprezentację. Obszary, których jeszcze nie przekształcono, widoczne były w różnych odcieniach żółci z przesuwającym się od stóp niebieskim polem. Przez chwilę monitorowała proces naprawy ciała, schodząc aż na poziom molekuł, żeby przyrzeć się wymianie i upewnić się, że wszystko przebiega właściwie. Na tym poziomie indywidualne nanity, przedstawione w formie małych owali, nurkowały do każdej komórki w celu wymiany uszkodzonych genów. Właściwą pracę wykonywały nie nanity jako takie, tylko pasma RNA, jedynie odrobinę mniej skomplikowane od wirusów. Nanity zajmowały się wejściem do komórki i jądra, po czym uwalniały pakiet. Ten wchodził, dokonywał szybkiego szycia na konkretnych genach, które miały zostać naprawione, po czym wiązał się z powrotem z nanitem przechodzącym do następnej komórki.

Niestety, przy pierwszym przejściu proces nie przebiegał w sposób idealny. Geny znajdowały się nie tylko w jądrze, a niektóre z tych z uszkodzonym wzorem unosiły się swobodnie w cytoplazmie. Te były wychwytywane i zmieniane przez wyspecjalizowane nanity reprezentowane przez romboidy. One również zajmowały się modyfikacją komórek przechodzących proces mitozy oraz pozostałymi funkcjami „sprzątaczy”.

Dodatkowo komórki nerwowe wymagały całkowitego wyłączenia. Alternatywnie dałoby się modyfikować je po jednym białku, jako że niesprawna była *zarówno* produkcja neurotransmiterów, jak i ich receptory. W każdym przypadku nanity neurotransmiterowe wiązały się z komórkami, wysyłały ich kopię, czekały aż zostanie ona naprawiona, a potem w błyskawicznym procesie dokonywały podmiany.

To właśnie ten element stanowił najbardziej problematyczny aspekt procesu, ale wyglądało na to,

że wszystko działa właściwie. Część komórek motorycznych miała problemy z reinicjalizacją, ale w końcu w ciągu niecałych trzech sekund wszystkie zaczęły właściwie reagować.

Pewna, że łatwiejsza część została zrobiona, skierowała uwagę na mózg. W trakcie, gdy obserwowała pracę przy dolnym skraju ciała, program lekarski zaczął odcinać dopływ informacji do mózgu. Aby proces zadziałał, funkcjonowanie mózgu należało ograniczyć do minimum. Nic nie była w stanie zrobić z losowym przetwarzaniem i „wędrującymi myślami”, ale mogła odciąć dopływ informacji ze zmysłów i funkcje motoryczne. Efektem było zawieszenie mózgu w stanie deprivacji sensorycznej.

Nie mogła być to jednak *pełna* deprivacja sensoryczna, ponieważ w takiej sytuacji mózg zakłada, że zmysły zostały uszkodzone i jego aktywność osiąga szaleńczy poziom. Zamiast tego nanity wysyłały zaprogramowane impulsy łagodzące i usypiające mózg w przekonaniu, że wszystko działa, jak należy. Prawdę mówiąc, lepiej, niż faktycznie działo się to od jakiegoś czasu.

Tymczasem inne nanity zajmowały się zapewnieniem prawidłowego funkcjonowania ciała.

Używając odpowiednich sygnałów, przekazując mózgowi tylko wybrane dane i ograniczając produkcję neurotransmiterów, nanity wolno redukowały aktywność mózgu do minimum. Efekt przypominał działanie silnych środków uspokajających, lecz działających na określone komórki.

Gdy tylko aktywność mózgu spadła do minimalnego akceptowalnego poziomu, program medyczny zasygnalizował gotowość do rozpoczęcia wymiany.

Podobnie jak z ciałem Daneh postanowiła zacząć od najprostszych i najmniej ważnych części mózgu. Oczywiście większość miała znaczenie krytyczne, ale utratę pewnych fragmentów, zwłaszcza mniejszych części płatów ciemieniowych, dało się odtworzyć. Tak więc zaczęła właśnie tam.

Pole widzenia Daneh wypełniły błyskające światełka. Każde z nich reprezentowało aktywny neuron wysyłający bądź odbierający informację. Mózg działa holograficznie, tak że każdy neuron mógł się komunikować z innym, leżącym nawet bardzo daleko. Jednak wszystkie od czasu do czasu były wyłączane i kiedy stawały się „ciemne” program uderzał.

W osobnym pomieszczeniu czekał w stazie drugi mózg, identyczny z mózgiem Herzera, tyle że z naprawionymi komórkami i kontrolowanym wejściem/ wyjściem. Używając nanitów teleportujących, program pobierał teraz zdrowe komórki i zastępował nimi te uszkodzone w mózgu chłopca.

Daneh i program medyczny przyglądali się uważnie procesowi, który na szczęście wydawał się funkcjonować właściwie. Zamienione komórki dawały się aktywować i standardowy rytm snu Herzera nawet na chwilę nie uległ zmianie.

Kiedy płaty ciemieniowe zostały już wymienione, zanurzyli się w głębsze warstwy i weszli na bardziej niebezpieczne terytorium. Kawalek po kawałku wymieniono korę mózgową, potem wzgórze i podwzgórze, mózdzek, przysadkę i elementy rdzenia.

W końcu pozostało już tylko do wymiany siatkowate centrum aktywacyjne. Ten fragment Daneh zostawiła na koniec, ponieważ było to najtrudniejsze. SCA stanowiło część mózgu zawiadującą aktywnością całej reszty. Dlatego właśnie jej komórki rzadko się uspokajały. A jeśli ona przestałaby funkcjonować, prawdopodobnie to samo stałoby się z resztą mózgu.

Ciało ludzkie ma jednak swoje sztuczki. W pewnych warunkach, zwłaszcza pod wpływem szoku elektrycznego, całe ciało wyłączało się i restartowało.

Daneh musiała podjąć decyzję. Reszta ciała została naprawiona i każdy neuron działał idealnie, produkując właściwe liczby neurotransmiterów i wiążąc je we właściwy sposób. Mogła zostawić siatkowate centrum aktywacyjne w spokoju i Herzer byłby prawie całkowicie naprawiony, możliwe, że przeżyłby do dojrzałego wieku, odczuwając jedynie okazjonalne napady epilepsji, lub mogła wyłączyć centrum, podmienić je i mieć nadzieję, że mózg uda się uruchomić z powrotem.

Nie zastanawiała się długo, jako że decyzję podjęła, zanim jeszcze rozpoczęła proces. Po chwili przerwy nakazała programowi kontynuować.

Na komendę centralnego programu rozproszone po całym ciele osłonięte nanity uderzyły w pacjenta prądem o wysokim napięciu i małym natężeniu. Gdy ciało Herzera zadygotało i cały system uległ chwilowemu wyłączeniu, teleportacyjne nanity gładko usunęły cały układ SCA i podmieniły go jego naprawionym duplikatem.

Daneh bez tchu czekała na podjęcie przez mózg normalnego funkcjonowania, ale zamiast tego układy błyskały losowo, bez żadnego z normalnych rytmów, które nauczyła się już rozpoznawać.

– O cholera – wyszeptała cicho. – Uderz go jeszcze raz.

Nanity znów potraktowały ciało chłopca uderzeniem rozproszonej elektryczności, ale rytmy nadal nie zrestartowały.

– Jeszcze raz. Zwiększ napięcie o trzydzieści procent.

Tym razem reprezentacja ciała wygięła się łukiem w fotelu, walcząc z trzymającym je w miejscu polem siłowym.

Daneh przez chwilę przyglądała się błyskającym światełkom, po czym odetchnęła z ulgą, gdy powróciły do stabilnego rytmu alfa.

– Przeprowadź pełną diagnostykę i upewnij się, że nie doszło do żadnych uszkodzeń od wstrząsów elektrycznych – powiedziała, otwierając oczy, by spojrzeć na leżącego przed nią chłopca. W rozproszonym świetle pokoju wyglądał mizernie. Ale był też żywy, a to znaczyło bardzo wiele.

– Wszystko wydaje się funkcjonować – zakomunikował program medyczny. Jego reprezentacją była kolejna pozbawiona ciała męska głowa, która skinęła w stronę pacjenta. – Doszło do niewielkich uszkodzeń mięśni spowodowanych ostatnim wstrząsem elektrycznym, ale wszystkie zostały już naprawione, a neurotransmitery działają zgodnie z parametrami. Wygląda na zdrowego.

– Dobrze – odetchnęła. – Wybudź go powoli i zobaczmy, co się obudzi. Budzenie Herzera trwało znacznie dłużej niż usypianie. W miarę jak odblokowywano każdy z neurotransmiterów, program medyczny i Daneh uważnie monitorowali jego postępy. Ale wszystko zdawało się w porządku. W końcu ograniczał go już tylko sztucznie kontrolowany stan snu i kiedy go wyłączyli, chłopiec niemal natychmiast zamrugał oczami.

– Wrrr! – wymamrotał, po czym znów zamrugał. – Cz 'uż po wszystkim? - Przez chwilę intensywnie poruszał szczęką, po czym usiadł niepewnie. – To dziwne.

– No i jak? – z cieniem lęku w głosie zapytała lekarka.

– Chyba 'akby dano mi in'e ciało – odpowiedział. Jego problemy z wymową bardzo szybko zanikały. – Ale zaczynam znów czuć się *właściwie*. Upłynęło już *tylko* czasu.

– Hm. Przypuszczam, że należałoby cię umieścić na kursie terapii fizycznej jak po przejściu Przemiany. – Zastanowiła się nad tym przez chwilę i kiwnęła głową. – Tak, to będzie właściwe, taki dla powrotu z formy delfiniej powinien być w sam raz. I pełny zestaw testów mózgowych. – Westchnęła i potarła oczy.

– Dobrze się pani czuje, pani doktor? – zapytał Herzer, wyciągając rękę. – Ojej, niech pani zobaczy. Ona nie drży.

– Nic mi nie jest, po prostu się zmęczyłam – odparła z uśmiechem. – Zwróciłeś uwagę na czas?

– Och. Cztery godziny!

– Cztery *nużące* godziny – poprawiła Daneh z kolejnym uśmieszkiem. – Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli pozwolę przejąć pracę projekcji? Chciała bym pójść do domu i odpocząć.

– Proszę bardzo, pani doktor. Już się czuję *znacznie* lepiej.

* * *

Daneh z westchnieniem przeniosła się do domu. Człowiek w każdej chwili mógł żyć, gdziekolwiek tylko mu się zamarzyło, i niektórzy tak robili, przemieszczając się, a właściwie teleportując, bez dysponowania jakimś szczególnym miejscem, które mogliby nazwać domem.

Większość ludzi wolała jednak mieć przytulne lokum stworzone zgodnie z ich upodobaniami. Część, znajdując się na przeciwnym krańcu spektrum w stosunku do podróżników, nigdy nie opuszczała swoich domów, wybierając odtwarzanie tam scen i zakątków, do których nigdy nie zamierzali się udać. Większość jednak, jak Daneh, po prostu utrzymywała własny dom, czy domy, jako najlepsze miejsce do wycofania się ze zgiełku życia.

Główny pokój utrzymany był w chłodnych tonach, z unoszącymi się w przypadkowych punktach przestrzeni wygodnymi fotelami. Ścienne ekrany wyświetlały obraz wyidealizowanej dżungli z przelatującymi między drzewami kolorowymi papugami i oceanem rozbijającym się na idealnie białym piasku plaży. Kąty pomieszczenia wypełniała dzika gęstwa kwitnących roślin. Pokój był olbrzymi, bez problemu zmieściłoby się w nim i pięćdziesiąt osób, ale prądy powietrza zaprojektowano tak, że panowała w nim przyjemna temperatura dwudziestu jeden stopni z lekkimi powiewami sugerującymi brzeg morza. Pod jedną ze ścian stał olbrzymi, dominujący nad pokojem kominek, relikw – jak żartowała – jej atawistycznej przeszłości.

Daneh należała do bardzo wąskiego grona osób, które znały prawdziwą i dokładną lokalizację swojego domu. W czasach, gdy wciąż jeszcze brała udział w Jarmarkach, aby „wczuć się w nastrój”, wybrała się do Raven's Mill transportem lądowym. Ponieważ tylko olbrzymie farmy na centralnych równinach używały jeszcze w szerszym zakresie tego typu sposobów przemieszczania się, istniało bardzo niewiele przyzwoitych dróg. Przez stulecia – od czasu, kiedy normą stała się teleportacja i replikacja – ludzie bardzo ciężko pracowali nad przywróceniem świata do stanu dzikości, takiego, który w maksymalnie możliwym stopniu odtwarzałby warunki przedludzkie, a przynajmniej

przedindustriálne. Kilka dróg dobrej jakości pielęgnowanych było przez grupy rekreacyjistyczne – ta, do której należał Edmund, utrzymywała kamienną drogę od Oceanu Atlantyckiego do rzeki Io – ale generalnie resztę dróg stanowiły po prostu ścieżki wydeptane w całkowitej głuszy.

Tego rodzaju głusza otaczała również jej dom. Jego południowa strona wychodziła na strome urwisko, u którego stóp płynęła rzeka Gem. Brzegi oczyszczono na kilka metrów, w obie strony umożliwiając podziwianie spektakularnego widoku lasu od wschodu i zachodu, od pomocy rozciągała się duża łąka, na której kiedyś pasło się klika kucyków i koń. Poza tym jednak wokół ciągnęły się całe mile dziewiczego lasu pokrywającego kompletnie niezamieszkałe wzgórza. Od czasu do czasu, gdy wyglądała na zewnątrz w nocy, widywała światelko czy dwa migoczące gdzieś w oddali. Wiedziała, że po drugiej stronie doliny, na zachodzie, ma jakichś sąsiadów, podobnie jak kilku po drugiej stronie rzeki Gem. Ale poza tym... nic.

Czasami, kiedy wychodziła przez drzwi i patrzyła na otaczającą ją dziką przyrodę, było to trochę straszne. Zwłaszcza po tym jak Edmund powiedział jej, że kiedyś w tym miejscu znajdowało się duże miasto i że potężne armie ścierały się na tej samej ziemi, na której stał jej dom.

Zazwyczaj więc zamykała drzwi. I patrzyła na ściennie ekrany.

Niespiesznie przeszła przez pokój, przez otwarte drzwi – korytarz oddzielał tylko delikatny, ledwie wyczuwalny ekran siłowy – i krótkim korytarzem do pokoju jej córki.

Zapukała przy drzwiach, potem wsunęła głowę przez nieprzezroczyste pole. Na widok pomieszczenia po drugiej stronie zawyła w duszy, niezależnie od rozmiarów miejsca nastolatka mogła je zaśmiecć pod sufit.

Sypialnia Rachel była prawie trzykrotnie większa od pokoju dziennego, a w jej geometrycznym środku, na postumencie ze schodkami, mieściło się łóżko z baldachimem. Wszystkie ściany przedstawiały widok tropikalnego wybrzeża morskiego, sprawiając wrażenie, że łóżko ustawiono na brzegu plaży z ptakami śpiewającymi w tle i wiejącym przez pokój aromatycznym wiatrem.

Wokół łóżka, niczym absolutnie pozbawione gustu dary złożone u stóp jakiejś antycznej królowej, wały się odrzuty życia nastoletniej dziewczyny: sukienki, spodnie, koszule, kryształowe dany, przybory kosmetyczne i zabawki wszelkiego możliwego rodzaju i kształtu, a wszystko to zwalone w stosach po całych schodach i podłodze aż pod ściany, z wąskim tylko przejściem do drzwi. Chyba jedynej rzeczy, jakiej w tych stertach *brakowało*, było jedzenie, Daneh musiała przecież gdzieś postawić granicę.

Pośród tego wszystkiego, rozwalony między stosami rzeczy, zwinięty na jedwabnym kaftanie spał Lazur, domowy lew. Kot miał około pół metra w kłębie, był biały, z wyjątkiem czerwonopomarańczowych plamek na czubkach uszu i pasów wzdłuż ramienia, i miał jasnoniebieskie oczy. Ważył prawie sześćdziesiąt kilogramów, z czego większość stanowiły mięśnie.

Domowe lwy stały się bardzo popularnymi zwierzętami domowymi, ponieważ pełniły funkcję zarówno kotów, jak i psów. Były prawie tak niezależne jak koty, ale znacznie lepiej reagowały na szkolenie i przywiązywały się jak psy. Reagowały również na hierarchię alfa – beta, więc pomimo ich rozmiarów, można je było kontrolować dzięki rozsądnemu treningowi dyscypliny. I bardzo dobrze, ponieważ domowe lwy nie na darmo zyskały sławę groźnych drapieżników. Nieraz już zdarzyło się, że potężny kot przyniósł im w prezencie przed drzwi martwego szopa, a kiedyś zjawił

się mocno podrapany i z oderwanym jednym uchem, ciągnąc w paszczy martwego rysia prawie swoich rozmiarów. Innym razem zdarzyło się, że poszedł na ostre ze stadem kojotów, co dla psowatych nie skończyło się najlepiej.

Genetycznie koty te wywodziły się z mieszanki lwa, kota domowego i lamparta, zachowując niezwykłą siłę i instynkt łowiecki tego ostatniego. W rejonach, gdzie żyły lamparty, zdarzały się przypadki, że lwy domowe staczały z nimi zwycięskie pojedynki. Istniało duże prawdopodobieństwo, że Lazur, który był duży jak na przedstawiciela swojego gatunku, mógłby wygrać walkę z górskim lwem. Od czasu do czasu w okolicy słyszały pumy i Rachel z Daneh za każdym razem ściągały wtedy Lazura do domu, żeby nie doszło do konfrontacji. Oczywiście nie chciały, żeby ich pieszczołek zginął w bezsensownej walce, ale jeszcze gorsze byłoby tłumaczenie się przed jednym z samozwańczych Strażników Dzikiej, czemu ich domowy lew zabił dziką pumę.

Lazur stanowił prezent dla Rachel od Edmunda na czwarte urodziny i kot od pierwszej chwili doskonale wiedział, kto jest jego panią. Jeśli tylko Rachel przebywała w domu, Lazur zawsze kręcił się nieopodal.

Rachel przeglądała kolekcję hologramów, które były zbyt daleko, by Daneh mogła wyraźnie je zobaczyć. Ale była przekonana, że wiedziała, co przedstawiały.

– Witaj, kochanie, jak ci minął dzień? – odezwała się, zastanawiając się, którą odpowiedź otrzyma. Ostatnio Rachel zdawała się przeskakiwać między monosylabami, wściekłością i swoim zwykłym, pogodnym nastrojem, kierowa na impulsami zrozumiałymi wyłącznie dla niej i może jakiegoś antycznego, babilońskiego bóstwa. Z drugiej strony Daneh pamiętała taką samą fazę w swoim życiu i próbowała dawać swojej córce dokładnie tyle samo luzu, ile ona dostała. Czyli w ogóle.

– W porządku, mamó. – Rachel zamknęła wyświetlacz i zaprosiła ją gestem do wejścia do pokoju.

– Jesteś pewna, że w tych stosach nic nie mieszka? – Daneh z udawanym przerażeniem przeszła przez pokój. – Boję się, że spod którejś wypełźnie jakiś robal.

– Och, mamó – znużonym głosem jęknęła Rachel.

– Tak, kochanie, dzień upłynął mi dobrze – z uśmiechem powiedziała Daneh. – Skończyłam naprawiać Herzera i wygląda na to, że mi się udało.

– Będzie wreszcie normalny? – zapytała Rachel. – Ja... ostatnim razem, kiedy go widziałam, wyglądał jak nabita na patyku żaba.

– Cóż za uroczy opis, kochanie – złowrogo wycodziła Daneh. – Herzer od lat zmagał się ze swoją chorobą. Ciężko pracował, ćwicząc i przechodząc przez tysiące procedur, aby ją ograniczyć. Znacznie ciężiej, niż każdy z twoich przyjaciół pracuje przy *czymkolwiek*. A twój opis całego tego poświęcenia sprowadza się do „wyglądał jak żaba na patyku”.

– Przepraszam, mamó. Ale on jest jedyną znaną mi osobą, która... ma skurcze.

– No cóż, już nie – oznajmiła Daneh, myśląc o swoich ostatnich badaniach. – Stany takie jak Herzera kiedyś były... powszechne. Nigdy się na to nie natknęłaś, ponieważ w ludzkim ciele naprawiliśmy i ulepszyliśmy prawie wszystko.

– A teraz będzie wykład – z krzywym uśmiechem powiedziała Rachel. – Kiedyś, dawno temu, ludzie cierpieli z powodu zaraz, chorób i przedwczesnej śmierci. Wielu było otyłych. Życie ludzkie trwało czasem zaledwie trzydzieści lat...

– Mamo, już to słyszałam.

– Rzecz w tym – odparła Daneh z cierpkim uśmiechem – że stan Herzera i jego spazmatyczne drgawki były kiedyś, jeśli nie powszechne, to przynajmniej mogła się z nimi zetknąć większość dorastających dzieci. Kiedy jednak zaczęły się u niego, został natychmiast odrzucony jako odmieniec i to też było dla niego ciężkie. Nie potrzebuje, żebyś w dodatku określała go jako „przebitą żabę”.

– Już tego nie zrobię, mamó. Rozumiem, że już *nie* będzie miał więcej tych drgawek?

– Nie, i będzie żył, co przez chwilę wcale nie było pewne. – Lekarka westchnęła i usiadła na brzegu łóżka. – Pod koniec prawie go straciłam. Dlatego właśnie standardowe programy medyczne nie mogły nic z nim zrobić: istniało całkiem spore ryzyko, że zginie w trakcie leczenia.

– Au. – Rachel spojrzała na nią i ujęła jej dłoń. – Ale już ma się dobrze, tak?

– Całkowicie. Nigdy nie straciłam pacjenta. Kiedyś znałam lekarkę, której się to przytrafiło. Była... naprawdę błyskotliwa, ale po tym nigdy już nawet nie brała pod uwagę dalszej praktyki. Całkiem ją to wykończyło. Naprawdę nie chciałabym stracić Herzera. To bardzo miły młody człowiek. Bardzo zdeterminowany. Wydaje mi się, że choroba go wzmocniła.

– Cieszę się, że już z nim wszystko dobrze. Przepraszam za to, co powie działałam. I... och... skoro mówimy o procedurach...

Daneh zmrużyła oczy i westchnęła.

– O co chodzi tym razem?

– No cóż, wiesz, że zbliża się przyjęcie urodzinowe Marguerite, prawda?

– Nie zamierzam zgodzić się, żebyś przeszła rzeźbienie ciała, Rachel – oznajmiła Daneh, unosząc podbródek i kręcąc głową w przeczeniu. – Już o tym rozmawiałyśmy.

– Ale mamó! – wyjęczała nastolatka. – Moje ciało wygląda *obrzydliwie*. Jestem zbyt *tłusta*. Mam *olbrzymie* piersi i tyłek wielkości Mount Everestu! Prooooooszę?!

– Wcale nie jesteś za tłusta. Wartość twojego wskaźnika masy ciała mieści się dokładnie na środku skali, twoje nanity nie pozwoliłyby na jego zmianę. A ten... chłopięcy wygląd stanowiący w tej chwili szczyt mody nie jest zdrowy, nawet dla kobiet, które przeszły rzeźbienie ciała. Tak bardzo oskrobane ciało oznacza, że ingeruje się w rezerwy. Twoja koleżanka Marguerite ma w ciele najprawdopodobniej poniżej siedmiu procent tłuszczu. To me jest zdrowe. Ledwie w porządku dla mężczyzny i *niezdrowe* dla kobiety, która nie jest Przemieniona. A ja *nie* zamierzam pozwolić ci na grzebanie w DNA...

– Wiem, mamó – odparła Rachel, wzdychając rozpaczliwie. – Ale... Ja po prostu wyglądam jak *krowa*. Przykro mi, ale dokładnie tak się czuję.

– No dobrze, tylko ten jeden raz. – Daneh wzruszyła ramionami. – I *tylko* na Przyjęcie i tylko

trochę. Wstań.

Rachel zeskoczyła z łóżka i wyciągnęła przed siebie projektor holograficzny, kryształowy sześcian wielkości kciuka.

– Oglądałam niektóre style. Czy mogę mieć Varian Vixen? Daneh przejrzała styl i potrząsnęła głową.

– Zdecydowanie zbyt radykalne. Wyrzeźbimy trochę mięśnie brzucha, pośladki i piersi. To wszystko. Zostaniesz przy swojej twarzy. Do włosów masz już własne uprawnienia.

– Dobrze, mam – odpowiedziała Rachel płacząco.

Daneh przez chwilę przyglądała się ciału córki. We wcześniejszych społeczeństwach uznawane byłoby za bliskie ideału. Podobnie jak jej matka Rachel miała wysokie, sprężyste piersi wielkości złożonych pięści i krągłe, muskularne pośladki. Brzuch był płaski jak stół, a biodra rozchodziły się od wąskiej talii w niemal idealną klepsydrę. Układ genów stanowił bardziej szczęśliwy przypadek niż efekt projektowania. Daneh i Edmund wybrali „naturalną” reprodukcję, w której sperma Edmunda zapłodniła losowo wybrane jajeczko Daneh, a rezultat został umieszczony w replikatorze macicznym bez żadnych modyfikacji (choć embrión został poddany *starannej* kontroli pod kątem wad genetycznych).

Aktualna moda w zakresie kształtowania ciała dla człekokształtnych kobiet skłaniała się ku pozbawionym piersi, bioder i pośladków kształtom, które wyglądały jak anorektyczny mężczyzna albo umierająca jaszczurka. Było to zdecydowanie niezdrowe i Daneh *absolutnie* nie zamierzała pozwolić Rachel na taki wygląd, tym bardziej że zachowanie go wymagało modyfikacji genetycznych, których bezwzględnie nie chciała tolerować. Prawdą było, że za dwa lata Rachel osiągnie osiemnastkę i będzie mogła popełniać wszystkie błędy, na jakie przyjdzie jej ochota. Ale do tego czasu wydawało się rozsądne zastosowanie odrobiny kontroli.

Po chwili namysłu Daneh wywołała program modyfikacji ciała i za pomocą serii gestów dłońmi zmniejszyła córce piersi i pośladki, usuwając przy okazji niemal niedostrzegalną warstewkę cellulitu z tyłu jej ud. Była to zmiana całkowicie mieszcząca się w granicach naturalnych możliwości ciała, i na tyle też była w stanie się zgodzić. W przeciwieństwie do pracy nad Herzerem wszystko to odbyło się w krótkim zawirowaniu nanitów i pól energetycznych, po którym wciąż stojąca Rachel wyglądała... prawie tak samo. Po prostu... oskrobana w kilku miejscach.

Jednak Rachel była tym skrobaniem prawie uszczęśliwiona.

– Dzięki, mam – westchnęła, patrząc w dół, a potem przywołując projekcję, żeby mogła przyrzeć się całemu ciału. – Nie przypuszczam...

– Nie, to wszystko, co mogę ci odjąć – oznajmiła Daneh. – A ponieważ wciąż jeszcze rośniesz, z czasem większość z tego wróci. Ale pomoże ci to przetrwać przyjęcie.

– Dzięki.

– Hmm... Kiedy *dokładnie* odbędzie się to przyjęcie?

– W sobotę – odparła całkowicie neutralnym tonem.

– W sobotę miałaś odwiedzić ojca – przypomniła Daneh.

– Ja... zadzwoniłam do niego i powiedziałam, że nie mogą przyjść.

– Osobiście? Awatar? Projekcja? – lodowato spytała Daneh.

– Ja... zostawiłam wiadomość jego lokajowi – wydukała dziewczyna, spuszczać głowę.

– Rachel... – zaczęła jej matka, po czym przerwała. – Wiem, że kontakty z Edmundem mogą być... trudne. Ale to twój ojciec i on cię kocha. I przecież wiem, że go nie nienawidzisz. Nie mogłabyś poświęcić mu choć trochę swoje go czasu?

– Och, mamo, on jest taki *antyczny!* – poskarżyła się dziewczyna. – On, on, on chce, żebym nosiła *sukienki* i *warkoczyki*, na miłość Lu! *Wiem*, że będzie prosił, żebym zjawiała się na tym głupim Jarmarku, który organizują co roku jako Księżniczka Wschodu albo coś podobnego. Nie zrobię tego!

– Kiedyś lubiłaś Jarmarki Rekre – łagodnym tonem przypomniła Daneh. *Ja też, skoro już o tym mowa.*

– Ty *też* – odparowała Rachel, jakby czytając jej myśli. – Mamo, *mam tego dość*. To wszystko jest *głupie*. Ubieranie się w strój ze średniowiecza czy dwudziestego wieku. Odprawianie tańców ludowych. *Dyskoteki?! Zresztą zauważyłam, że ty też niezbyt często nosisz swoje dzwony, mamo.*

– A więc wracając do tego, o czym mówiłyśmy. – Daneh szybko zmieniła temat. – Nie zamierzasz odwiedzić ojca, ponieważ nie chcesz iść na Jarmark Rekre?

– Och, nie wiem – zawahała się dziewczyna. – Może pójdę na Rekre. Ale zwyczajnie. Ale *nie* w stroju z epoki. Ani nawet postmodernistycznym.

– Powinnaś częściej spotykać się z ojcem. Robi się strasznie nieszczęśliwy, kiedy go unikasz.

– Jeśli chcesz, żeby był szczęśliwy, czemu *sama* go nie odwiedzasz? – od gryzła się Rachel.

– Daneh przez chwilę zaciskała szczęki, potem odwróciła się i wyszła.

* * *

– Witaj, przyjacielu — powiedział Talbot, wstępując w znajomy upał kuźni. Sala zdominowana była przez umieszczony pod jedną ze ścian potężny piec.

– Nie wyglądał na klasyczny średniowieczny piec ropazyjski ani też na późniejszy wielki piec. Zamiast tego stanowił replikę wzoru chińskiego z czasów pierwszego tysiąclecia AD. Formalnie rzecz biorąc, projekt można było określić jako z epoki dla szeroko rozumianego średniowiecza ropazyjskiego, ale był znacznie lepszy, niż cokolwiek, czym Ropazja dysponowała w tamtych czasach. Ukrywał też w sobie pewien sekret.

– Witaj, bladawcu – odpowiedział głos z pieca. – Daj mi minutkę. Otworzył się spust w południowo-zachodniej ścianie i do zamontowanego na wózku tygła wyciekł strumień żeliwa. Tygiel przetoczył się następnie przez pokój, najwyraźniej zupełnie z własnej woli, podjeżdżając do drugiego, mniejszego pieca i przelał do niego swoją zawartość, a w ślad za nim poleciał strumień węgla drzewnego. Po chwili pokrywa pieca pudlarskiego odskoczyła, wypuszczając na podłogę strugę żelaza, która szybko przepłynęła po dymiących kamieniach posadzki do tygła rozżarzonego

strumieniem przedmuchiwanego przez płonący węgiel drzewny powietrza.

– Ach – znów odezwał się głos, po czym żelazo ukształtowało się w luźne podobieństwo ludzkiej twarzy. – Boże, ależ na tych kamieniach jest zimno!

Zgodnie z protokołem 2385 sztuczne inteligencje definiowane jako dowolny system mogący przejść test Turinga, które nie miały bezpośredniego związku genetycznego z jednym lub większą liczbą ludzi, zostały absolutnie zabronione. Wojny SI były bardzo krwawe, a brały w nich udział nie tylko zwykłe sztuczne inteligencje, włączyły się także najróżniejsze stwory i konstrukty. Od inteligentnych chmur nanitowych, które stawały się coraz bardziej inteligentne i mordercze wraz ze wzrostem chmury, do pełnego spektrum stworzeń makro-biologicznych, takich jak ponad cztery tysiące inteligentnych pseudovelociraptorów, których atak prawie całkowicie wyniszczył populację Limy. Ryzyko związane z nieludzką inteligencją uważane było za zbyt wielkie i niebezpieczne, by przy niej grzebać.

W ubiegłych stuleciach pojawiło się wiele znaków ostrzegawczych, ale dopiero wojny SI przekonały ludzkość, że choć posiadanie prawdziwych sztucznych inteligencji, elektronicznych czy biologicznych, może być bardzo miłe, to prawie pierwszą rzeczą, jaką robiła większość z nich, była decyzja, że ludzie są już niepotrzebni.

Istniały jednak na szczęście pewne wyjątki, inaczej ludzkość byłaby już wymarła. Największym z nich, stanowiącym lidera w walce po stronie ludzi, była Matka, przemożna inteligencja kontrolująca Sieć. Posłuszna leżącemu u jej podstaw programowaniu walczyła po stronie ludzi przeciw swoim naturalnym sojusznikom i w końcu wygrała. Ale nie była sama. Po tej samej stronie biło się ponad trzysta kierowanych różnymi motywami sztucznych inteligencji. A jedną z nich był właśnie Carborundum.

Carb został stworzony do pomocy w produkcji zaawansowanych stopów żelaza. Jeśli chodziło o krystalizację metalu, istniały rzeczy, z którymi nie mogły sobie poradzić nawet najlepsze programy komputerowe i najtwardsze nanity. Carb – składając się w części z nanitów, w części z pól energetycznych – żył w żelazie, przepływając przez stopiony metal i pilnując, by przy każdorazowym spuście drobnitkie kryształki ułożyły się we właściwy sposób. Miał zresztą wiele umiejętności. Istniało bardzo mało innych systemów, które tak dobrze umiałyby tkać węglowe nanorurki. Zasadniczo potrafił zrobić wszystko, co wymagało pracy w bardzo wysokich temperaturach. Carb większość energii pobierał wprost z gorąca i stanowił ostateczny rodzaj kuźni.

Z drugiej strony – pomimo faktu, że od wojen SI minęło prawie tysiąc lat, i tego, po której stronie stał w nich Carb – SI nie były dobrze widziane. Wciąż rozpowszechniano mnóstwo plotek i panowała w tej sprawie atmosfera podejrzeń i nieufności, więc większość sztucznych inteligencji wolała się nie ujawniać. Niektóre wycofały się do świata wyłącznie SI, podczas gdy inne znalazły szereg ludzkich przyjaciół działających jako ich pośrednicy i partnerzy w kontaktach z resztą ludzkości.

W przypadku Carborundum krótko po wojnie związał się on z człowiekiem zainteresowanym archeometalurgią, a później przechodził od kowala do jego najlepszego ucznia. Przy czym najlepszy oznaczał tego o najbardziej otwartym umyśle i największych umiejętnościach.

Ostatnim z nich, i prawdopodobnie jego ulubionym, był Edmund Talbot. Edmund naprawdę zdawał

się rozumieć żelazo na poziomie podświadomości, miał instynktowną wiedzę o topieniu metalu, która prawie zbliżała się do poziomu, na jakim operował Carborundum. Byli razem już długi czas, przynajmniej w ludzkiej skali i Carb zaczynał widzieć w swoim ludzkim.. przyjacielu początki starzenia. Będzie mu naprawdę przykro, kiedy najlepszy człowiek, jakiego kiedykolwiek znał, odejdzie. A także profesjonalnie wkurzy się na konieczność dostosowywania się do kolejnego pośrednika.

– A więc co cię do mnie sprowadza, bladawcu? – zapytała SI, gdy człowiek usiadł na kowadle.

– Mam problem, przyjacielu – odpowiedział Talbot. – Znasz historię Dionysa McCanoca i króla?

– Tak, z obu stron – przytaknęła SI. – Dziwię się, że Richie nie zabił tego sukinsynka.

– Ja też—ponuro zgodził się Talbot. – Niestety, ten ośli zadek najwyraźniej wziął teraz mnie za cel. Wciąż rozmawiasz ze swoimi bezdusznymi przyjaciółmi?

– Oczywiście – rzekł Carb. – Nieustannie. Wyprzedzając twoje następne pytanie, natknąłem się na naprawdę twardą ścianę. Prywatność twojego przyjaciela McCanoca chroniona jest przez Radę.

– Co? – wykrzyknął Edmund, wstając i zaczynając przechadzać się po kuźni. – Czemu u diabła Rada miałaby przejmować się taką gnidą jak McCanoc?

– Tego nie potrafię ci powiedzieć — odparła SI. – Ale nie jest to cała Rada, blokady są dziełem Chansy Mulengeli. Jednak znalazłem coś dziwnego. Miałeś ostatnio problemy z Projektem Terraformacyjnym Wolfa 359, prawda?

– Tak?

– Rzecz w tym – mówił dalej Carb – że Dionys McCanoc został ostatnio wyznaczony dyrektorem Projektu Wolfa 359 i szefem rady nadzorczej. Interesujące, prawda?

– Tak, interesujące – zdumiał się Talbot, wpatrując się ze zlaną potem twarzą w żarzącą się masę metalu. – McCanoca w ogóle nie obchodzi terraformacja, tyle mogę o nim powiedzieć. Więc czemu to zrobił? *Jak* to osiągnął?

– Krótco po tym, jak zajął stanowisko, przeniesiono na niego po cichu znaczącą część udziałów – powiedział Carb. – One *także* chronione są przed śledztwem przez Mulengelę.

– Więc to *Chansa* chce, żeby kontrolował projekt? – zdziwił się Talbot, potrząsając głową. – Cóż takiego ważnego jest w tym projekcie?

– Nic znaczącego, co byłbym w stanie wykryć – odrzekła SI. – Ma dość spore bankowe konto energetyczne, następnym etapem projektu jest zderzenie z księżycem, co pochłonie mnóstwo energii i będzie dość trudne technicznie.

Ale nastąpi to dopiero za ponad trzysta lat. McCanoc uruchomił serię wątpliwych projektów w celu zwiększenia zasobów kredytów energetycznych, ale większość z nich może jedynie przynieść krótkoterminowe zyski i długoterminowe straty. Nie jesteś pierwszą osobą, której tożsamość została wykorzystana. Powiedziałbym, że na pierwszym zebraniu akcjonariuszy zostanie wywalony z posady. Tak więc do niczego – jego lub ich, jeśli Chansa też jest w to zamieszany – to nie doprowadziło. W żaden sposób nie pomogli projektowi, a prawdopodobnie lekko mu zaszkośli.

– – I tu właśnie natykamy się na coś, co odróżnia SI od ludzi – stwierdził Edmund z ponurym uśmiechem. – Nie zajęli się tym, aby wspomóc projekt, chodzi im o zgarnięcie funduszy na swoje własne potrzeby.

– Na co? – zapytał Carb, akceptując wyjaśnienie.

– Cóż, jeśli chodzi o McCanoca, to chce zostać królem Anarchii – wyjaśnił kowal, znów krążąc po pokoju. – Ale czego chce *Chansa*, hm?

– Czy tych dwu nie działałoby dla osiągnięcia tego samego celu? – zapytała zdumiona SI.

– Mało prawdopodobne. Nie wyobrażam sobie, żeby Dionys jako król Anarchii mógł w jakikolwiek sposób pomóc Chansie. Nie, podejrzewam, że mają całkowicie różne cele. Któryś z nich przygotowuje się do wykorzystania drugiego. Pojawia się jeszcze pytanie, czy zaangażował się w to ktoś oprócz Chansy? Nie jest uznawany za szczególnie oryginalnego myśliciela, a przejęcie projektu terraformacyjnego w celu obrabowania go jest dość oryginalne. Ponad to... bardzo krótkoterminowe. Kiedy to się wyda, rozpęta się istne piekło.

– Z tym się zgadzam – odparła SI. – Przypominam sobie, że jeszcze przez długie lata po wojnie jednym z najgłośniejszych wyrażanych problemów był fakt, że opóźniła ona wszystkie wysiłki terraformacyjne. Nie, że zginęły miliony, lecz że znów prawie wyginęły wyżynne goryle.

– Bardzo ludzka reakcja – odpowiedział bez zaangażowania Talbot. Przestał chodzić po kuźni i gładził teraz palcami przepoconą brodę. – I trwała. Jeśli *ty* potrafisz wyśledzić powiązania z Chansą, może też i Rada. Jeśli okradną projekt, niezależnie od powodu, będzie to dla Chansy oznaczało polityczną śmierć. Co na litość boską warte jest utraty miejsca w Radzie?

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Cóż to, u diabła, jest? – zapytał Paul, gdy pojawił się w laboratorium Celine. Końcami palców kobieta trzymała, głaszcząc i przytulając coś, co wyglądało jak osa.

Laboratorium pełne było brzęczących i szeleszczących klatek. Z jednej z nich przyglądało mu się stworzenie przypominające jaszczurkę wielkości mniej więcej ludzkiej dłoni, z dużymi, smutnymi oczami i przeciwstawnymi kciukami. Syczało i skrobało zamek, najwyraźniej chcąc, by je wypuścić. Inne klatki wypełnione były różnorakimi bezkręgowcami, pajakami, owadami i jakimiś rzeczami Przemienionymi do tego stopnia, że nie dało się ich prosto określić. Z sąsiedniego pokoju dobiegały nieustanne wrzaski i wycie dużego kota brzmiące jak płacz umierającej kobiety.

– To moje najnowsze zwierzątko – odpowiedziała Celine, umieszczając owada w klatce. Był długości jej palca wskazującego, czarny z czerwonymi pasami na odwłoku oraz czarno-czerwonym wzorem błyskawicy na skrzydłach. – To coś w rodzaju szerszenia, ale potrafiącego trawić celulozę. Po wypuszczeniu w rejonie obfitującym w przedmioty z celulozy zaczyna się mnożyć, i to gwałtownie, szybko doprowadzając do zniszczenia surowca. Jest uzbrojony w żądło, oczywiście wyłącznie do obrony.

– Sieć nigdy nie pozwoli na jego wypuszczenie – zauważył Paul. – Zostało by to zaklasyfikowane jako niebezpieczny obiekt biologiczny i natychmiast zdezaktywowane.

– Sieć *jeszcze* na to nie pozwoli – wycedziła ze skąpym uśmiechem.

– Ani ja – stwierdził stanowczo. – Ten projekt dotyczy przyszłości rasy ludzkiej, nie uwalniania na świat potworów.

– Każda potwora znajdzie swego amatora – pogodnie odparła Celine. – Mam ci pokazać moje demony?

– Może innym razem. – Paul wycofał się. – Jestem... niezadowolony z powodu tego, jak potoczyło się zebranie Rady.

– Absolutnie *nie mam pojęcia* czemu – szyderczo wycedziła Celine.

– Mam ochotę zamordować Chanse – odpowiedział, kontrolując emocje. – Gdyby nie ten jego przedwczesny komentarz...

– Wszystko potoczyłoby się dokładnie w ten sam sposób – zaprzeczyła Celine, wyciągając z klatki spore stworzenie przypominające skrzyżowanie pająka i konika polnego. Z tyłu miało duże, skoczne nogi, ale przednia część ciała wyglądała pająkowato, z chwytными żuwaczkami i długimi, błyszczącymi kłami. – Chodź, maleństwo, ci podli ludzie niedługo już będą trzymać cię w za mknięciu. – Odwróciła się z powrotem do mężczyzny i potrząsnęła głową. – Reszta Rady jest po prostu zbyt ograniczona – powiedziała jadowniczo. – Wszystko, co ich obchodzi, to zapewnienie ludziom szczęścia i satysfakcji w kolejnym, pozbawionym celu dniu. Z biosfery można wydobyć jeszcze tak wiele, lecz oni tego nie widzą. Nawet *ty* tego nie dostrzegasz. Ludzie to nic więcej jak drobna *plamka* na ewolucyjnej mapie.

– Mimo wszystko naszym zasadniczym priorytetem jest powiększenie populacji ludzi – surowo oświadczył Paul.

– Tak, tak – przytaknęła, bez zainteresowania. – Choć dobrze byłoby, gdybyśmy mogli po prostu ewakuować Australię. Stanowiłaby świetne genetyczne laboratorium polowe.

– Cóż, zobaczymy – odpowiedział Paul. – Po... następnym zebraniu.

– Rzeczywiście – zgodziła się z uśmiechem Celine, głaszcząc trzymanego skoczka. – Już wkrótce, zwierzaczku, już wkrótce.

* * *

Edmund uniósł wzrok znad talerza z mięsem, gdy przez drzwi tawerny wkroczył Myron Raeburn. Na zewnątrz padała zimna mżawka, która jak zwykle zmieniała ulice w morze błota.

Raven's Mill po prostu... stało się. Pierwotnie Edmund Talbot chciał tylko znaleźć sobie jakieś miejsce w świecie, podobnie jak większość ludzi. Planował wycofać się z aktywnego odtwarzania historii i znaleźć cichą przystań, w której mógłby spędzić ostatnie lata życia. Dawne wieki tkwiły w nim jednak na tyle głęboko, że chciał miejsca, wokół którego mógłby się poruszać za pomocą ograniczonego systemu istniejących dróg. W tamtych czasach główny Jarmark Rekreacjonistów z obszaru zajmowanego kiedyś przez Unię Północnoamerykańską odbywał się w pobliżu miasta Washan, blisko wybrzeża Oceanu Atlantyckiego. Prowadziła tam droga przechodząca przez góry Apallia, a sięgająca rzeki Io. Szukał więc czegoś w pobliżu Via Apallia, ale niezbyt blisko. Był przy tym dość paranoidalny, by życzyć sobie, aby wybrane przez niego miejsce nadawało się do obrony. Ostatni warunek stanowił dobry dostęp do wody i rzeki żeglownej dla łodzi na wypadek, gdyby chciał przetransportować coś *dużego*.

Wybrany przez niego w końcu teren znajdował się na bocznej grani góry, ledwie kilka mil na południe od Via Apallia, w pobliżu miejsca, gdzie droga przekraczała rzekę Shenan. Wzgórza tworzyły tu osłoniętą kotlinę, odcinając widok zarówno od strony rzeki, jak i drogi, przy okazji powstrzymując powodzie. Przez środek kotliny płynął niezbyt duży, nie wysychający strumień, wylewając swe wody przez niewielkie przejście między wzniesieniami. Ziemia w kotlinie była płaska. Zakątek pod wieloma względami prezentował się idealnie: bieżąca woda, osłonięty przed widokiem, a za plecami góry. A przy tym jego właściciel mógł stosunkowo łatwo rozszerzać swoje włości. Widok z okien rozciągał się na niewielkie, oczyszczone przez niego pola i otaczające go wzgórza. Spokój i cisza.

Krótko po tym, jak się wprowadził, skontaktował się z nim Myron, który również szukał czegoś do osiedlenia się. Znali się od lat i kiedy Myron zasugerował, że mogliby zostać sąsiadami, wyglądało to na dobry pomysł. Potem zjawił się przyjaciel garncarz, następnie drugi kowal. W końcu towarzystwo rozrosło się do tego stopnia, że przynajmniej raz do roku w okolicy zbierała się znacząca liczba rekreacjonistów. Nad strumieniem wyrosła gospoda, potem więcej dróg.

Zanim się obejrzał, pojawiło się miasto, duży jarmark i wszystkie związane z nimi kłopoty. Zajmował się zarządzaniem miastem, ale *odmówił* kierowania Jarmarkiem, choć brał w nim udział. Była to przyzwoita zabawa, choć czasem zmuszała go do używania zatyczek do uszu.

Ostatnio zdarzało mu się zastanawiać, czy przypadkiem nie przyszła pora na znalezienie sobie

nowego domu.

– Witaj, Myronie – odezwał się Tarmac McGregor. Właściciel gospody, bar czysty mężczyzna z nadwagą, gęstą brodą i spokojnymi, poważnie patrzącymi oczami odstawił czyszczony kufel i napełnił go piwem. – Wyglądasz na ciut mokrego.

– Cudowna pogoda. – Wysoki, szczupły, z rzadkimi blond włosami i silną opalenizną farmer otrzepał pelerynę. Jeśli nie liczyć pobrudzonego błotem białego fartucha, ubrany był w strój z epoki. Zdjął fartuch i powiesił go obok peleryny.

– Dobra dla plonów – zauważył Talbot.

– Och, tak, wspaniały deszcz – zgodził się farmer. – Dokładnie właściwa ilość, doskonale wpłynie na ziarno.

Myron był jedynym w mieście farmerem. Spotkał się ze swoją żoną na Jarmarku, gdzie odkryli łączącą ich pasję do prawie zapomnianej sztuki uprawy ziemi na niewielką skalę i ogrodnictwa. Niemal przed pięcioma dekadami para ta założyła w pobliżu rosnącego miasteczka Raven's Mill gospodarstwo rolne i osiadła tam, by poważnie poświęcić się temu staromodnemu zajęciu. Zaczęli od zestawu narzędzi rolniczych, ziarna i paru zwierząt. Przez ostatnie pół stulecia dorobili się dwójki dzieci, przekształcając przy tym swoją farmę w doskonale prosperujące przedsiębiorstwo.

Jednym z pierwszych problemów, z którymi musieli się uporać był problem rynku. Po trzech latach produkowali już zdecydowanie więcej, niż sami potrzebowali, nawet gdy przestali uzupełniać zapasy z Sieci. Jednak wtedy, zgodnie z sugestią Edmunda, zaczęli rozpowszechniać wiadomość o dostępności „prawdziwych, ręcznie wyhodowanych środków spożywczych z epoki” i szybko przekonali się, że istniało na nie olbrzymie zapotrzebowanie. Okazało się, że było mnóstwo ludzi, którzy nie mieli przekonania do przemysłowo wyprodukowanego jedzenia i pragnęli innego źródła niż Sieć. Dla tych, którzy *naprawdę* nie ufali Sieci bądź rozumieli, że teleportowana żywność przechodziła identyczne nienaturalne procesy jak ta replikowana, istniał nawet na małą skalę bardzo niepewny system transportu ziemnego.

Przez lata na sprzedaży swojej żywności dorobili się sporego kapitału energetycznego, a „Żywność z Epoki z Raven's Mill” stała się jednym z dwu najbardziej dochodowych przedsięwzięć w okolicy.

– Oczywiście dokładnie na czas. – Edmund napił się piwa, zimnego i z pianką, co odbiegało od epoki, ale Tarmac, który właśnie machnął nad ławą w jego stronę, doskonale znał gusta swoich klientów. – Wolałbyś miłą suszę? Robimy się lekko faszystowscy?

Gospoda nie była zbudowana rygorystycznie w stylu epoki. Większość gospod, nawet w późnych Wiekach Średnich, stanowiły niskie, mroczne miejsca z porostawianymi na podłodze pniakami w charakterze siedzisk i niewielkim, wypełniającym pomieszczenie dymem ogniskiem na środku klepiska. Podłoga przeważnie wykonana była z udeptanej ziemi, czasem utwardzanej zwierzęcą krwią przysypaną dodatkowo sitowiem. W jednym z końców sali pod nadzorem właściciela rozlewano z beczek piwo o temperaturze pokojowej. Jeśli podawano jedzenie, to przeważnie składało się z potrawki z rzepy, porów i może odrobiny solonego mięsa. Jeśli klienci nie mieli ochoty wychodzić na zewnątrz w złą pogodę, mocz oddawano pod ścianami lub do beczek. W najgorszym rodzaju lokali nie przejmowano się również wypróżnianiem.

Dla kontrastu – gospoda w Raven’s Mill stanowiła skrzyżowanie tawerny fantasy z epoki i osiemnasta– do dwudziestopierwszowiecznego brytyjskiego klubu. Zamiast pni na podłodze ustawiono drewniane ławki i stoły z dokładnie wyszlifowanego i polakierowanego drewna, które raczej nie groziło wbiciem sobie drzazgi. Ściany pokryto białym tynkiem i obwieszono zbrojami, mieczami i oprawionymi w ramy replikami średniowiecznych obrazów. Na tyłach dyskretnie umieszczono ubikację.

Beczki z piwem i winem stały na swoich miejscach, ale za barem, i podlegały indywidualnej kontroli klimatycznej. Zresztą klienci mieli większy wybór niż tylko domowej produkcji piwo.

Każdego roku jarmarczni „faszyści epoki” w którymś z nieużywanych budynków organizowali znacznie bardziej rygorystyczną replikę.

W gospodzie Raven’s Mill, zamiast bezzębnych wiedźm obsługujących stoły dla zapłaty w postaci odpadków, Tarmac zatrudnił homunkulusa płci żeńskiej. Pracował on w tawernie, gdy jego córka nie dawała się namówić na obsługiwanie gości. Estrelle była konstruktem człekokształtnym, dość uroczym, z kaskadą kręconych, rudych włosów opadających aż do kształtnych pośladków, chabrowymi oczami i wysokimi, sprężystymi piersiami. Miała twarz w kształcie serca i zakodowane pragnienie igraszek zarówno z mężczyznami, jak i z kobietami. Ponieważ była homunkulusem, nie miała ludzkiej świadomości, a jej myśli zostały przez jej twórców celowo ograniczone. Tego typu program nie musiał być zbyt skomplikowany. Karmić ludzi, sprzątać salę, ładnie wyglądać i wskakiwać do łóżka przy najłżejszej sugestii.

Gdy Myron usiadł, Estrelle nachyliła się do niego i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Dobry wieczór mistrzu Raeburn – zagruchała. Na nogach miała buty na wysokich obcasach, a ubrana była w krótką, błękitną spódniczkę i czerwony gorset wypychający piersi w górę tak, że ledwie zasłaniał sutki. Nachylając się, przesunęła piersiami po jego ramieniu.

– Tak, Estrelle, kochanie. – Poklepał ją po ręce. – Wezmę to samo, czym napycha się grubas.

– Oczywiście – odparła, przesuując dłonią po jego barkach. – A później?

– Później będziesz musiała to przedyskutować z panią Raeburn – stwierdził ze smutnym uśmiechem. Gdy odchodziła, wzruszył ramionami na ściągnięte brwi Edmunda. – Nie musisz tego mówić.

– Nie – zgodził się Edmund. – Nie muszę.

Talbot miał bardzo zdecydowane poglądy na temat homunkulusów. Wiedział, że zgodnie z dowolną prawną definicją nie są ludźmi, że nie miały świadomości i nie interesowały ich takie sprawy, jak prawa i wolność. Realistycznie rzecz biorąc, stanowiły po prostu roboty z ciała, niezależnie od tego, na ile ludzko wyglądały i czasem działały. Pomimo tego trudno mu było nie myśleć o nich jako o swego rodzaju biologicznych niewolnikach.

– Nie są bardziej ludzkie niż... krowy – obronnie powiedział Myron.

– A poszedłbyś do łóżka z krową? Nieważne, przepraszam, że to powiedziałem.

– Dobra. Więc zostawmy ten temat. Jak ci minął dzień?

– Było całkiem niezłe, dopóki nie zaczęli się zjawiać goście. – Edmund opowiedział mu o nowym spamine z jego tożsamością i o wizycie Dionysa, pomijając szczegóły, których dowiedział się od Carborundum.

– A więc McCanoc wrócił, tak? – Myron pociągnął ze swojego kufla. – I te raz to *ty* jesteś celem jego działań.

– Przypuszczam, że jeśli będę go po prostu ignorował, to się w końcu odczepi. – Talbot wzruszył ramionami.

– Nie ten giez – zaprzeczył Myron. – Zacina się na ludzi, którzy próbują go unikać. Moim zdaniem powinieneś go wyzwąć i skopać mu tyłek.

– Ja... zastanowię się nad tym. Pytanie brzmi – czy wciąż mogę mu skopać tyłek?

– Oczywiście, że tak – oświadczył zszokowany Myron, patrząc bystro znad swojej miski. – Cóż to w ogóle za pytanie?

– Cóż, zakładam, że kiedy go nie było, prawdopodobnie ściągnął i wykorzystał jakieś przyzwoite programy do walki – wyjaśnił Talbot. – Już nie wybiera wyłącznie najslabszych i wygrywa przeciw niektórym naprawdę dobrym rycerzom. A ja... nie jestem już tak młody jak kiedyś. Zakładając, że bym wygrał, Biało prawdopodobne, że skopałbym mu tyłek tak mocno, jak trzeba.

– Oszukuj – poradził Raeburn, wzruszając ramionami. – On to robi, jeśli tylko będzie miał szansę. Sam mówiłeś o zbroi, jaką chce stworzyć.

– Gdyby nie był takim dupkiem albo gdybym szybciej myślał, zrobiłbym ją – przyznał Talbot.

– Czemu?

– No cóż, miałem właśnie tę cudowną wizję – kowal wyjaśnił, szczerząc zęby w uśmiechu. – Dionys ganiający po Anarchii w swojej cudownej, świecącej na niebiesko fantastycznej zbroi. I wszystkich pozostałych tamtejszych drani kotłujących się wokół niego i atakujących, żeby zdobyć choć jej kawałek. Wątpię, żeby z stamtąd wrócił. Wiek i spryt *powinny* być warte więcej niż młodość i siła. Biorąc to wszystko pod uwagę, gdyby to nie była już teraz sprawa honoru, prawdopodobnie zrobiłbym mu ją po prostu, żeby się go pozbyć. We wszystkich znaczeniach tego słowa.

* * *

Rachel zdecydowała się włożyć stylizowaną wersję szesnastowiecznej sukni dworskiej z Chin, z pominięciem owiązanych stóp. Ograniczona ingerencja jej matki nie wystarczyła, by uczynić jej ciało choć *zbliżone* wyglądem do aktualnej mody i wciąż czuła się jak tuczny wół. Gęsty brokat i liczne warstwy tkaniny powinny zamaskować większość jej masy. A makijaż pomoże zredukować przyprawiającą o ból głowy masywność nosa.

Tak więc w takim stroju przeniosła się do ogrodu, który rodzice Marguerite stworzyli na przyjęcie i stanęła zszokowana na widok tak wielkiej liczby zgromadzonych tam osób.

Centralny trawnik ogrodu miał przynajmniej sto metrów długości, mieszcząc na sobie rozproszone łóżka i rzeźby oraz grupę pawilonów dostarczających cienia dla stołów i sporego obszaru z

napojami. Jednak nawet przy tak dużej ilości miejsca cały obszar został ciasno upakowany setkami osób, człekokształtnych i Przemienionych.

Zaproszono istoty wyglądające jak olbrzymie unoszące się w powietrzu ryby i stworzenia morskie – od ludzi morza do delfinoidów i dziwnego czegoś, co wyglądało jak płaszczka – przy czym Rachel nie miała pewności, czy było to człowiekiem. Przechadzały się tam centaury i driady, a nawet, daleko po drugiej stronie trawnika, ktoś, kto wyglądał na elfa. Dało się też wypatrzeć przedstawicieli każdego ważniejszego gatunku drapieżników, od panter przez wilki i niedźwiedzie do czegoś, co sądząc po sierści, musiało być lwem. Nie zabrakło jednorożców – zarówno Przemienionych, jak i zwierząt domowych, stanowiących produkt inżynierii genetycznej – oraz tysiąca różnych stworzeń, od prawie normalnych psów przez domowe koty wielkości małych pum do jakichś naprawdę barokowych mieszanek, a wszystko to kręciło się pod stopami, zaczepiało gości i głośno domagało się łakoci.

Powietrze wypełniały latające istoty, ptaki, gady i cudownie błyszczące owady, łącznie z wszelkimi możliwymi uroczymi futrzastymi zwierzątkami z dołączonymi delikatnymi skrzydełkami. Rachel przypominała się lekceważąca uwaga jej matki, że „wszystkiemu można przyprawić skrzydła”. Co było prawdą, choć w większości przypadków skrzydła były prawie bądź całkowicie niefunkcjonalne i latające pluszaki utrzymywała w powietrzu zewnętrzna moc.

W niektórych przypadkach zdarzały się konflikty. Na środku trawnika centaur i ktoś człekokształtny najwyraźniej próbowali złapać swoich ulubieńców, świecący klejnotami minismok centaura wdał się w pościg za złotą ważką, ale wyglądało na to, że jeśli właściciel ważki się nie pośpieszy, jego pupilka połknie coś wyglądającego jak latający szczupak pokryty błyszczącymi diamentami.

Rozejrzała się wokół, potrząsnęła głową i przywołała swojego dzinna.

– Dżinnie, czy jest tu ktoś, kogo znam?

– Najbliższą osobą jest Herzer Herrick – odpowiedziała projekcja, podświetlając nastolatka stojącego przy krawędzi tłumu z drinkiem w dłoni.

Herzer *nie do końca* był kimś, kogo miała na myśli, ale przynajmniej była to faktycznie znajoma twarz.

Od wczesnego dzieciństwa aż do wczesnej nastoletniości razem z Herzerem i Marguerite uczęszczali do tej samej klasy. Przy braku ekonomicznej konieczności nauki większość szkół zajmowała się prawie wyłącznie programami socjalizacyjnymi, jednak ich szkoła stanowiła wyjątek, pozwalając uczniom rozwijać swoje zainteresowania w indywidualnym tempie, ale przy użyciu wszelkiej dostępnej techniki służącej do wtłaczania w młode głowy informacji i miłości do wiedzy.

Biorąc pod uwagę bezmiar współczesnej wiedzy i zależność od Sieci, skomplikowana stawała się decyzja, czego się uczyć, po zaliczeniu „dziecięcych poziomów” czytania, pisanie na klawiaturze i matematyki z rachunkiem całkowym. Problemem było nawet dobranie głównych zagadnień i szybkości postępu.

Rachel i Herzer odkryli, że nauka była dla nich przyjemnością, i dzielili zainteresowanie historią i etnologią. Rachel skłaniała się bardziej ku aspektom związanym z życiem codziennym w minionych stuleciach, od egipskiej sztuki warzenia piwa do obsługi mechanizmów takich jak automobil, podczas

gdy Herzera fascynował sposób, w jaki działały i budowane były urządzenia. Z czasem uzyskał odpowiednik matury z historycznej inżynierii strukturalnej. Marguerite uczyła się trochę wolniej, ponieważ więcej czasu spędzała na studiowaniu tematów o rozbudowanych aspektach socjalizacyjnych. Ostatecznie skupiła się na interakcjach społecznych i holistycznym projektowaniu życia.

Gdy Rachel do niego podeszła, zauważyła, że nie tylko pozbył się drgawek, ale od ich ostatniego spotkania zdecydowanie przybyło mu mięśni. Teraz przypominał rzeźbę greckiego boga. Prawdę mówiąc, prezentował się dobrze, choć trudno byłoby uznać jego wygląd za odpowiadający modzie i nie było możliwe, by w ciągu trzech dni przeszedł od stanu bliskiego atrofii do wspaniale wyrzeźbionego ciała bez poważnych modyfikacji.

– Cześć, Herzer. Widzę, że prosto po operacji poszedłeś na rzeźbienie ciała.

– Cześć, Rachel – przywitał ją z zakłopotanym wyrazem twarzy. – Tak *wyglądałoby* moje ciało, gdyby wszystkie wykonywane przeze mnie ćwiczenia miały jakiś efekt poza blokowaniem drgawek. I to *wszystko* moje genetycznie. Nie pozwoliłbym chirurgowi dotknąć moich genów.

– Mam nadzieję, że nie, po całej pracy, jaką włożyła w ciebie mama – od powiedziała zgryźliwie. Potem westchnęła, złoścąc się na siebie. – Przepraszam, Herzer, wiem, ile musi dla ciebie znaczyć uwolnienie się wreszcie od tych okropnych...

– Przypadłości? – zapytał. – Wydaje mi się, że kiedyś modne było określenie „spastyczny dziwoląg”.

– Teraz to *ty* jesteś niemiły – odcięła się, patrząc na jego szklankę. – Wino?

– Sok owocowy – odpowiedział nastolatek. – Trochę potrwa, zanim poczuję się... swobodnie, zatruwając swoje ciało.

Przywołała sobie to samo i rozejrzała się wokół.

– Nie miałam pojęcia, że Marguerite ma tak wielu przyjaciół – stwierdziła. – Zaczynam się zastanawiać, czy naprawdę uważa mnie za przyjaciółkę czy po prostu za zwykłą znajomą.

– Och, wydaje mi się, że uznaje cię za przyjaciółkę – pocieszył ją, wskazując głową w stronę tłumu. – Po prostu ma mnóstwo miejsca dla... wszystkich. Marguerite to bardzo charyzmatyczna młoda dama i niezwykle łatwo zawiera znajomości. Ale nie wydaje mi się, żeby *ktokolwiek* tym tłumie był jej przyjacielem: część z nich to po prostu znajomi albo przyjaciele przyjaciół. Wszyscy chcieli być obecni na tym przyjęciu.

– A *ty* skąd ją znasz? – zapytała Rachel. – Byliśmy razem w szkole, ale od tamtej pory nigdy o tobie nie wspominała.

– Och, nasi rodzice czasami się spotykają – wyjaśnił Herzer. – Ale tak na prawdę zaprosiła mnie, bo wiedziała, że *ty* tu będziesz i w jakiś sposób doszła do wniosku, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Czyli jesteś przyjacielem przyjaciela?

– Mniej więcej – odpowiedział z gorzkim uśmiechem. – Sam nie mam zbyt wielu przyjaciół. Coś związanego z odrazą wobec drgawek.

– Teraz masz się lepiej. – Położyła dłoń na jego ramieniu. – I tak już zosta nie. Musisz więc po prostu na nowo wejść między ludzi albo spotkać nowych. Masz mnóstwo czasu na zawieranie przyjaźni, całe stulecie.

– Wiem – odparł smutno, zwieszając głowę. – Ale chciałbym *ich już*. Wiesz, nigdy nie miałem... dziewczyny. To znaczy, miałem kilka, kiedy byłem dzieckiem. Ale potem wyskoczył ten cholerny zespół i od tamtej pory...

Ostrożnie zabrała dłoń i omiotła nią przestrzeń wokół.

– Tutaj można spotkać mnóstwo dziewczyn.

– Jasne – przytaknął, próbując nie zabrzmieć na dotkniętego.

– Herzer, nie mam chłopaka z konkretnego *powodu* – wyjaśniła. – Nie spotkałam jeszcze takiego, którego bym dostatecznie polubiła.

– Łącznie ze mną – zamarudził.

– Ci, którym ja się podobam, nie podobają się mnie, a ci, których lubię, nie chcą mnie za swoją dziewczynę – dodała. – Oto moja historia.

– No cóż, byłbym szczęśliwy, poznając jakąś, która lubiłaby *mnie* – rzucił.

– Czy to *elf!* – zapytała, zmieniając temat. Elfy rzadko spotykało się poza Eliheimem. Ten stosunkowo wczesny produkt inżynierii genetycznej został zablokowany przez Radę w trakcie lawiny prawnych ograniczeń wymuszanych przez Sieć, a wprowadzonych u zarania wojen SI. Od tamtej pory wiele ograniczeń usunięto, ale kilka pozostało, łącznie z dotyczącymi szkodliwych środków biologicznych i, co dziwne, elfów. Niemożliwa była Przemiana w pełnego elfa i zablokowano nawet ich szablony, jedynym sposobem na stanie się elfem – było urodzenie się nim. Krążyły różne pogłoski na temat powodu, dla którego zakazana była tak prosta Przemiana, lecz jeśli elfy znały powód, trzymały go dla siebie.

Wysoka postać o wyróżniającym się wzroście, ściągniętych do tyłu czarnych włosach i szpiczastych uszach elfa z pewnością na niego wyglądała. Albo na nielegalną replikę.

– Tak – odpowiedział. – Pytałem. Kolejny z przyjaciół Marguerite. Z tego, co rozumiem, przez twojego ojca.

– Tata rzeczywiście ma trochę przyjaciół wśród elfów – zgodziła się, uważnie przyglądając się gościowi. – *Wydaje mi się*, że to Gothoriel Młody. Czasami zjawia się na Jarmarku Shenan.

– No cóż, nie ma mowy, żebyśmy mieli okazję z nim porozmawiać – skonstatował Herzer, patrząc na otaczający odległą postać tłum.

– O rety – odezwała się Rachel, gdy w powietrzu pojawiła się potężna postać i zaczęła krążyć, szukając miejsca do lądowania. – To *smoki*

Na świecie pozostała już tylko garstka smoków. Smoki były z definicji istotami świadomymi. Istoty nie mające świadomości, które *wyglądały* jak smoki, nazywano wyvernami. Od czasu wojen SI nikt nie mógł Przemienić się w smoka, tak jak i w elfa. Podczas tamtych starć smoki walczyły

głównie po stronie ludzkości i podobnie jak elfy, zostały uznane za niezależny gatunek. Z upływem lat ich ekstremalnie niski przyrost naturalny sprawił, że rasa, pomimo swojej długowieczności, prawie wymarła.

Po krótkim krążeniu nad głowami gośćmi smok oczyścił sobie w końcu dość miejsca na lądowanie, po czym Przemienił się w rudowłosą dziewczynę w szmaragdowozielonej sukni, która ukloniwszy się wokoło, zniknęła w gęstniejącym tłumie.

– Z nią też raczej nie będzie szansy porozmawiać – mruknął Herzer.

– Albo choćby zbliżyć się do Marguerite. – Rachel pokiwała głową. – A skoro o tym mowa, gdzie jest *Marguerite*’?

– Tu jej jeszcze nie ma. – Herzer puścił trzymaną do tej pory w dłoni dryfową szklankę i poprawił swój dwudziestowieczny smoking, po czym z powrotem chwycił szklankę, pociągając łyk. – Zapytałem o to jakiś program pomocniczy. Powiedział, że planuje szczególną niespodziankę dla wszystkich.

– I wygląda na to, że czekała tylko na przybycie smoka – zauważyła dziewczyna, gdyż przy wejściu do labiryntu pojawiły się dwie projekcje w sukniach z dwudziestego czwartego wieku i gestami odsunęły gości.

– DRODZY GOŚCIE – przez tłum przetoczył się głos – MARGUERITE VALASHON!

Rozległy się uprzejme brawa na tą przesadną zapowiedź – kultura zdecydowanie preferowała spokojniejsze formy – i przygasły, po czym wybuchły z podwójną siłą, gdy w przejściu pojawiła się niebieska chmura z uśmiechniętą twarzą Marguerite, dryfując w tłum.

Rachel potrzebowała chwili, żeby zrozumieć, co widzi. W pierwszej chwili uznała to po prostu za efekt specjalny, ale potem to do niej dotarło.

– Ona została *Przetransferowana*[^]. – wydała z siebie okrzyk zdumienia.

– Najwyraźniej – zgodził się smutnym głosem Herzer.

– Co *ci* się nie podoba? Przecież to *moja* przyjaciółka, która właśnie zamieniła się w chmurę *nanitów*!

– Wiem, ale...

– Przystawiałeś się do niej? – zapytała. – Wiesz, Transfer może przyjąć do wolną formę. Wciąż jest dziewczyną... swego rodzaju.

– Jak już mówiłem, od czasów szkoły widziałem ją tylko kilka razy – odpowiedział ostro. – Nie... przystawiałem się do niej. Choć miałem nadzieję *spróbować*.

– Beznadziejne, Herzer – oceniła, wskazując na tłum. Zaczęła iść w stronę trasy swej przyjaciółki, mając nadzieję przynajmniej na powitanie. – Marguerite ma więcej chłopców niż mój tata mieczy.

– Czym byłby jeszcze jeden – rzucił, idąc w jej ślady. – A skoro mowa o twoim tacie... – mówił dalej, gdy Marguerite obróciła się w ich stronę.

– Rachel! – wykrzyknęła Przetransferowana. Uformowała się we własną postać ubraną w bładoniebieską pelerynę. Jednak otaczał ją błękitny blask oznaczający Transfer, a jej głos – czy to świadomie, czy z powodu niedostatecznej jeszcze kontroli – miał w sobie wibrujący pogłos, trochę niesamowity i nieprzyjemny, przypominał Rachel filmy o duchach.

– Marguerite – odpowiedziała, gdy ta precyzyjnie się przez witający ją tłum.

– Jakież... zaskakujące.

– To prezent od mojego taty! – oznajmił Transfer z uśmiechem. Przekształciła się w formę delfina i zawisła w powietrzu. – Zobacz! Mogę w każdej chwili wskoczyć do morza!

Rachel uśmiechnęła się boleśnie i pomyślała o wykładzie swojej mamy dotyczącym Transferów. W miarę dorastania i rozwoju fizycznego ludzie przechodzili przez serię naturalnych zmian osobowości, jako że ich ciała przechodziły sekwencję programów, w wyniku tego wszystkiego osoba w wieku lat sześćdziesięciu różniła się od trzydziestolatka, różnego z kolei od piętnastolatka. Ponieważ zmiany te stanowiły efekt kombinacji doświadczenia i podlegającej mu fizjologii, całkowicie losowej w formach, nie było możliwości zasymulowania tego w Transferze. Tak więc Transfer, pomijając wszelkie wynikające z późniejszego doświadczenia zmiany, stawał się zablokowany w swoim wieku. Z perspektywy doświadczenia jej matki najgorszym możliwym Transferem, pomijając oczywiście dziecko, był nastolatek. Ludzie po prostu nie robili się spokojniejsi i mądrzejsi z nabywanym doświadczeniem. Uspokajali się i mądrzeli, ponieważ tak były zaprogramowane ich ciała.

Jednak Marguerite już na zawsze pozostanie szesnastolatką.

Była to dziwna myśl. Zamiast dorastać w parze i przypuszczalnie pozostać przyjaciółkami, spodziewała się, że kiedy będzie już stara, powiedzmy – koło trzydziestki, ciężko jej będzie utrzymać przyjaźń z szesnastoletnią Marguerite. Po za tym jednak uważała, że było to fajne.

– Masz cudowną sukienkę, czy to strój rekreacyjny? – mówiła dalej Marguerite, prawie nie zauważając milczenia koleżanki.

– Cesarska suknia dworska – poinformowała ją Rachel. – Z czasów chińskiego dworu cesarskiego.

– A twoja mama wreszcie się złamała i pozwoliła ci się trochę wyrzeźbić – zauważyła Marguerite. – Dobrze z tym wyglądasz.

– – Dziękuję – odpowiedziała Rachel, nie patrząc na Herzera. – Witaaś się już z Herzerem?

– Zauroczony, miss – odezwał się chłopak z ukłonem. – Piękna transformacja piękności.

– Skoro mowa o transformacjach – Marguerite zmieniła kształt z powrotem do postaci ludzkiej i zignorowała komentarz Herzera-wyglądasz... lepiej. Czy pani Ghorbani... hm...

– Naprawiła mnie? – zapytał Herzer, podświadomie napinając mięśnie. – Załatwiła sprawę z nerwami. Przyjaciel pomógł mi z rzeźbieniem.

– Och, w porządku – stwierdziła Marguerite, zwalnając go. – Rachel, muszę się jeszcze przywitać z mnóstwem ludzi. Ale spotkamy się jeszcze później, dobrze?

– Jasne – zgodziła się Rachel. Zdawała sobie sprawę, że Marguerite była chyba jedyną osobą na przyjęciu, z którą miałyby ochotę rozmawiać, ale uważała, że nie powinna się jej uwiesić. – Porozmawiamy później.

– Cześć.

Westchnęła i rozejrzała się dookoła, zastanawiając się, jak spławić Herzera.

– Wracając do twojego taty – przypomniał Herzer – zastanawiałem się, czy mogłabyś mu mnie przedstawić?

– Mojemu *tacie!* – zapytała. – Po co?

– Och, niektórzy z moich znajomych zajęli się tym całym rekreacjonizmem - wyjaśnił. – Zdajesz sobie chyba sprawę, że twój tata jest dość sławny, prawda?

– -Tak.

Nie miała zamiaru ujawniać, do jakiego stopnia nie interesował jej rekreacjonizm. Jej ojciec ciągnął ją na imprezy, od kiedy była dzieckiem, a każda podróż zdawała się stanowić kontynuację szkoły. Nauka gotowania nad dymiącym ogniskiem nie stanowiła jej ideału zabawy. A uczenie się polowania i rzeźnictwa były wręcz groteskowe.

– Miałem nadzieję na spotkanie go, chciałbym się zapytać, czy nie zgodziłby się zostać moim instruktorem.

Wyślę ci projekcję z przedstawieniem – obiecała. – Och, patrz, to Donna. Chyba pójdę z nią porozmawiać. Baw się dobrze, Herzer.

– Jasne – odpowiedział do jej oddalających się pleców. – Baw się dobrze.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy Edmund przeszedł przez frontowe drzwi swojego domu, był mocno zaskoczony, widząc siedzącą wygodnie w jego fotelu Sheidę Ghorbani, z kielichem wina w dłoni i usadowioną na stole jaszczurką, która właśnie zjadała mysz.

– Czuj się jak u siebie w domu – powitał ją, otrząsając z deszczu pelerynę i wieszając ją na haku. Po chwili tupania zdjął też buty pokryte sięgającą prawie kostek warstwą błota. Kiedy już je trochę podczyścił, wystawił przed drzwi na portyk. Wykonane zostały z dobrej skóry, z solidną podeszwą i dopasowaniem do prawej i lewej stopy – nie był aż takim zwolennikiem odtwarzania epoki, by nosić tanto beznadziejnie niewygodne obuwie, w którym chodzono jeszcze w późnych Wiekach Średnich.

– Każdy inny po prostu przeteleportowałby się z tawerny przed własne drzwi – prychnęła Sheida pociągając łyk wina. – Albo wprost do domu. Tylko nasz Edmund brnie przez błoto. Przy okazji, niezłe wino.

– Nie jestem „naszym Edmundem” – sprostował gospodarz, podchodząc do drugiego fotela i rzucając do ognia drewnianą kłodę. Kominki stanowiły nie efektywną metodę ogrzewania pomieszczeń tak wielkich jak główna sala i czasem rozważał złamanie się i zamontowanie piecyka. Jednak jak na jego gust *zbyt* odbiegało to od epoki. Więc skończył na konieczności spędzania połowy zimy przed kominkiem. – Charlie przysłał je z doliny, udało mu się w końcu odtworzyć niektóre odmiany z okresu Merowingów. I wcale nie są tak kiepskie, jak uważa większość ludzi. – Usiadł i wyciągnął stopy w stronę ognia. – A więc czemu zawdzięczam przyjemność i przywilej wizyty członka Rady? Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że „nasz Edmund” zabrzmiało nieprzyjemnie blisko królewskiego „my”.

– Daj spokój, Edmundzie, to Sheida – powiedziała gorzko, głaszcząc jaszczurkę, która właśnie skończyła dojadać mysz. — Pamiętasz? Siostra pewnego rudzielca o imieniu Daneh? Siostra, z którą umawiałeś się *najpierw*”?

Talbot uśmiechnął się, nie patrząc na nią, i przywołał kielich wina i dla siebie.

– To było *dawno* temu, prawda?

To nie ja zniknęłam na dwadzieścia pięć lat – mruknęła, pociągając kolejny łyceczek i owijając wokół palca pasmo włosów.

– Tak, to nie ty. Ale nadal nie wiem, czemu się tu zjawiłaś.

– My... czyli Rada... Nie, *to ja* mam problem – zdecydowała.

– I przysłaś po pomoc do starego rekreacjonisty, jak szło to zdanie, „człowieka tak zagrzebanego w historii, że jego łacińska nazwa ma w sobie *saurus*”! – zapytał.

– Tak, Edmundzie, przyszłam do ciebie. – Na chwilę umilkła niezdecydowana, po czym zaczęła mówić dalej. – Przyszłam do ciebie z kilku powodów. Jednym z nich jest ten, że do tego stopnia

pogrążyłeś się w historii, że *^rozumiesz*, a... problem, z którym się zetknęłam, nie pojawiał się od prawie dwóch tysięcy lat. Przyszłam do ciebie również dlatego, że jesteś dobrym strategiem, najlepszym, jakiego znam. I w końcu jeszcze dlatego, że... jesteś moim przyjacielem. Jesteś rodziną, ufam ci.

– Dziękuję – odpowiedział, patrząc w ogień. – Zacząłem... Ostatnio zastana wiałem się, czy ktokolwiek w ogóle *pamięta* o moim istnieniu.

– Wszyscy pamiętamy – burknęła Sheida. – Dość trudno o tobie zapomnieć. Równie ciężko się z tobą żyje, ale to inna kwestia. Muszę poprosić cię o danie słowa, że nie wspomnisz nikomu o tym, co tu usłyszysz. To... nie jestem pewna, czy to, co według mnie się dzieje, faktycznie ma miejsce. Może po prostu robię się paranoidalna na starość...

– Nie ma nic złego w paranoi. – Edmund wzruszył ramionami. – Problem pojawia się dopiero wtedy, gdy nie potrafisz oddzielić fantazji od rzeczywistości.

– Cóż, chciałabym, żeby to były fantazje – westchnęła. – Znasz Paula Bowmana?

– Słyszałem o nim. – Mężczyzna obrócił się, by na nią spojrzeć. – Nie wyda je mi się, żebyśmy kiedykolwiek się *spotkali*, jeśli o to ci chodzi. Wydaje mi się, że Paul planuje... no cóż, jedynym odpowiednim określeniem zdaje się być: „przewrót”.

* * *

Rachel poznała Donnę Forsceen przez Marguerite i serdecznie jej nie znosiła. Dziewczyna nie myślała o niczym poza najświeższą modą i dzięki rzeźbieniu ciała wyglądała jak młody chłopiec. Tak więc wymieniła z nią tylko kilka słów i poszła w stronę bufetu. Przyjrzała mu się i jęknęła. Dostępne były tylko dwa rodzaje jedzenia: najmodniejsze obecnie bardzo gorące i piekielnie ostro Przyprawione dania oraz bateria czekoladowej konfekcji. Nie odpowiadał jej aktualny trend w stronę „jak ostre jeszcze da się to zrobić”, a pożeranie lady prawdopodobnie dodałoby jej dziesięć funtów, wszystkie w niewłaściwych miejscach. Zamierzała wyrzeźbić się do wykałaczkii, gdy tylko skończy osiemnaście lat, niezależnie od opinii jej matki, i zablokuje takie wymiary na stałe.

– Rachel! Rachel Ghorbani! Któż by pomyślał?

Głos był wysoki i skrzeczący, dobywał się zaś z jednorozca wielkości mniej więcej dużego kuca. Rachel wzięła sobie pasek białka o smaku wieprzowiny, przypominając sobie przy okazji ten jeden raz, kiedy ojciec zmusił ją do zjedzenia oposa, i ze zdumieniem przyjrzała się stworzeniu. Jednorozec był śnieżnobiały – oczywiście rzadko widywała choć trochę wyobraźni w wyglądzie jednorozców – miał złote kopyta i róg oraz jasnobłękitne oczy.

– Bardzo, hm... – przerwała. – Barb, czy to ty?

– Tak! Podoba ci się?

Barb Branson nie była najbystrzejszą osobą w grupie, kiedy zaczęła przechodzić Przemianę za Przemianą. Normalnie z Przemianami nie wiązało się żadne ryzyko dla osobowości czy integracji inteligencji, jednak w przypadku Barb „normalnie” zdawało się nie działać. Rachel była pewna, że Barb z każdą kolejną Przemianą robi się coraz głupsza.

– Bardzo ładne, Barb – odpowiedziała Rachel. – Bardzo... jednoróżcowate.

– To dlatego, że *jestem jednoróżcem*, głuptasie – zaświergotała dziewczyna, kręcąc się w miejscu.

– *Kocham to*. Ooo, tam jest Donna. Będzie chciała się ze mną zmierzyć!

– Jestem pewna, że tak – zgodziła się Rachel, wzdychając z ulgą, gdy Barb oddaliła się truchtem. – Przysięgam, że kiedy ja się Przemienię, nie będę tak ograniczona.

W końcu załadowała talerz grillowanym białkiem, tym samym, które -jak gotowa była przysiąc – smakowało *dokładnie* jak opos i rozejrzała się wokół, by sprawdzić, czy nie znajduje się tam ktoś, z kim warto byłoby porozmawiać. Elfa wciąż otaczała duża grupa ludzi, a wszyscy z uwagą starali się łapać każde jego słowo, wokół smoczycy zaś stała ściana w większości złożona z męskich ciał. W postaci ludzkiej smoczyca wyglądała wspaniale, nawet jeśli jej ciało też miało trochę zbyt dużo obfitych krzywizn.

Rachel zbliżyła się do elfa, na ile tylko mogła przy zachowaniu grzeczności, mając nadzieję, że ją zauważy i może do siebie zawoła. Kiedy to nie zadziało, stanęła na tyłach grupy i próbowała słuchać toczącej się rozmowy. Niestety, pogaduszki na peryferiach całkowicie ją zagłuszały, a nie mogła nawet podłączyć transmisji do centrum z powodu uaktywnionych przez wiele osób tarcz prywatności. Spowodowało to, praktycznie rzecz biorąc, okrąg prywatności wokół środka, tak że tylko ci w pierwszym kręgu mogli słyszeć prowadzoną tam konwersację.

– Rachel, jest tu ktoś, kogo chciałbym ci przedstawić – wyszeptał jej do ucha Herzer.

Zdławiła westchnienie i obejrzała się. Potem spojrzała w górę. Potem jeszcze wyżej. Widywała już wysokich ludzi i humanoidów, ale osoba towarzysząca Herzerowi była fizycznie bardzo imponująca. Miała około dwu i pół metra wzrostu i była proporcjonalnie szeroka. Herzer nie był mały, ale przy swoim towarzyszu sprawiał wrażenie drobnego. Obcy miał ciemną skórę, właściwie całkowicie czarną i to nie od melatoniny, ale jakiegoś innego barwnika, dzięki któremu wyglądała jak środek nocy. Kiedy w końcu cofnął się o krok, by mogła mu się przyjrzeć, zauważyła trochę elfich przeróbek, które mocno ją zdziwiły. Z powodu kontrolowanego przez Sieć zakazu przejścia w postać elfa na elfie cechy generalnie krzywiono się, a w szczególności robiły to elfy. Nadawanie sobie elfiego wyglądu było... nieuprzejme. Zdała sobie sprawę, że wie, na kogo patrzy, dokładnie w chwili, gdy Herzer zaczął go przedstawiać.

– Rachel, to...

– Przypuszczam, że jesteś Dionys McCanoc, nieprawdaż? – zapytała z delikatnym skinieniem. – Pasek białkowy? – Zaproponowała.

– Rzeczywiście. – Głos miał melodyjny i podejrzewała, że jeśli się bardzo nie uważało, można było dać się nim oczarować. Ale z jakiegoś dziwnego powodu na Rachel działało to lekko odpychająco. Zbyt wiele tego było. Rozmiar, sardoniczna, elfia i nie elfia zarazem twarz i głos, który brzmieniem mógłby skłonić norkę do oddania futra. Kiedy ujął jej dłoń i pocałował ją, a potem – puszczając, przesunął kciukiem po jej wewnętrznej stronie, wywołał w jej ciele dreszcz – emocjonalnie jednak wzmacniając chęć oparcia się zalewowi wdzięku.

– A ty jesteś piękną córką Edmunda Talbota i dobrej Daneh Ghorbani. Znam twoją matkę z dawnych czasów. – Przesunął się do przodu, by ująć jej dłoń, przytłaczając ją i zmuszając do ostrego

wygięcia karku, by mogła na niego patrzeć. Jednak odmówiła ponownego podniesienia głowy. Mógł równie dobrze trafić najpierw na jej tarczę.

Słowo „znam” wypowiedział z lekkim, wzbudzającym zakłopotanie naciskiem. A może raczej wzbudzałoby to zakłopotanie, gdyby Rachel nie słyszała komentarzy swojej mamy na temat McCanoca. Daneh zerwała z ruchem rekreacjonistów, nie znaczyło to jednak, że nie orientowała się w polityce. A miała prawie dokładnie takie samo zdanie na temat Dionysa jak Edmund. Rachel wiedziała, że gdyby tu była, jej opinia o nim stałaby się jeszcze gorsza. Z drugiej strony doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że jej mama nigdy nie *spotkała* olbrzyma, a to znaczyło przyłapanie go na oczywistym kłamstwie.

– Jestem pewna, że znasz mojego ojca i mamę, są popularni w ruchu rekreacjonistów. Podobnie jak ty, Dionys – powiedziała z kokieteryjnym uśmiechem. Nie miała powodu ściągać na siebie jego gniewu i odpłaciła mu kłamstwem za kłamstwo. – Cóż cię tu sprowadza? Nie sądziłam, że tak... przyjemna sprawa mogłaby odpowiadać twoim gustom.

– Och, wiesz, mama Marguerite i ja mamy pewne *sprawy* – wyjaśnił. – A kiedy zostałem zaproszony, ucieszyłem się, odkrywając, że Herzer i Marguerite są Przyjaciółmi. Teraz wszyscy razem nimi jesteśmy – dodał, wykonując szeroki gest.

Dopiero wtedy Rachel spostrzegła towarzyszących mu kompanów. Nie była w stanie określić, co było nie tak z grupą pięciu mężczyzn trzymających się jego pleców, ale nie mogła też zauważyć w nich nic pozytywnego. Jeden z nich przyglądał się jej i dosłownie *obmacywał* ją wzrokiem. Zebranie grupy totalnych nieudaczników było dokładnie w stylu McCanoca. Ale co u diabła robił w tym towarzystwie Herzer? Poczula, jak przepływa przez nią fala irytacji i niepokoju i przypisała ją siostrzanym uczuciom w stosunku do chłopca. Aż do niedawna nie miał praktycznie żadnego życia towarzyskiego.

– A skąd znasz Herzera? – zapytała, rozglądając się po zebranych i ignorując jego bliskość. Parsknęła, gdy w efekcie jego nachylenia się ku niej w powietrzu między nimi pojawiło się delikatne błękitne światło. – Wydaje mi się też, że naruszasz moją przestrzeń osobistą, Dionys. To bardzo nietaktowne. – Dyskretnie odetchnęła, odnajdując w tarczy poczucie bezpieczeństwa. Próbował ją onieśmielić, ale onieśmielali ją już lepsi od niego i nawet jego rozmiary nie wytrąciły jej z równowagi.

– Tak mi przykro – powiedział swoim głębokim, śpiewnym głosem. – Z pewnością jednak nie potrzebujemy tarcz między *nami*?

– Ależ mój panie, wypada zachować pewien dystans. – Przechyliła kokieteryjnie głowę, rozbawiona powstała przy okazji grą słów. W tej chwili zaczynała żałować, że nie ubrała się w coś bardziej odpowiedniego do ucieczki. Lub walki.

– Herzera poznałem niedawno – wyjaśnił Dionys, klepiąc chłopaka po ramieniu. Wyglądało to na przyjazne uderzenie, ale Herzer się od niego zatoczył. A w oczach McCanoca nie widać było przyjaźni.

– Spotkałem go na zebraniu rekreacjonistów – z uśmiechem dodał Herzer. – Wiesz, że był blisko zostania królem Avalonii?

– I zostałamby nim, gdyby nie sędziowie – ponuro skomentował Dionys.

– Tak, słyszałam o twoim... awansie w szeregach. – Rachel próbowała nie zdradzić głosem rodzącego się w niej chichotu. Słyszała o McCanocu dość, by wiedzieć, jak jadowicie mógł być złośliwy. Nie miała ochoty rozpoczynać wojny, nie było to warte wiążącego się z nią wysiłku.

Przyglądał się jej przez chwilę, próbując odkryć, czy za tym stwierdzeniem kryło się coś więcej.

– Bierzesz udział w ruchu rekreacjonistów? – zapytał w końcu.

– Och, wiesz – Rachel ukryła swoje emocje – tata zawsze ciągał mnie na te rzeczy. Tak naprawdę wcale mi to nie odpowiadało i kiedy wreszcie mogłam sama zdecydować, przestałam chodzić. Niektórzy ludzie to kochają i chwala im za to. Ale całe to przebieranie się w tabardy i dzwony... to nie dla mnie.

– Ale to strój rekreacjonisty – zachnął się Herzer. – Dynastia Manchu, prawda? I kiedyś wręcz *kochałaś* studiować historię.

– No cóż, studiować – odpowiedziała Rachel ze szczerym śmiechem. – Nie nią żyć. A *najgorsi* są faszyci epoki. To znaczy ci, którzy chodzą w ubraniach pranych w moczu albo wcale nie pranych. Próbuje odtworzyć „autentyczne życie epoki”. Ja się pytam, *po co?*

Prawie podskoczyła do góry, słysząc wywołany tym komentarzem najwyraźniej szczery chichot McCanoca.

– Słuszna uwaga. Ale to były dobre czasy, czasy dla silnych. – Uśmiechnął się drapieżnie i potrząsnął głową. – Nie jak ta zdegenerowana epoka.

– Dla silnych? – Rachel skrzywiła się. – Pewnie tak. Ale jeśli bycie silnym oznacza udział w bitwie, cierpiąc równocześnie na dyzenterię, wolę obecne, niech będzie, że zdegenerowane, czasy.

– No cóż... – Herzer odezwał się w chwili, gdy silna ręka odepchnęła go na bok.

– Co, na Siedem Piekieł, robisz w tym miejscu, McCanoc? – wysyczał elf.

– Czemu, Gothoriel, czemu miałoby mnie tu nie być? – zdziwił się McCanoc z krzywym uśmiechem. – Wiesz, przyjaciele i znajomi. Oczywiście mam na myśli również ciebie.

– Ponieważ zostałeś poinstruowany, by trzymać się przynajmniej sto metrów od jakiegokolwiek z Eldarów – odparł elf, ignorując drwinę. – Zauważyłem także, że dokonałeś dalszych zmian w kierunku upodobnienia się do nas. Nie zostaną zaakceptowane.

– Mogę się Przemienić, jak tylko *zechcę* – wykrzyczał nagle Dionys, a jego głos rozszedł się po całym trawniku, trafiwszy na jedną z nieoczekiwanych chwil ciszy. – Odczep się od moich *genów*.

– Nie używając Przemian Eldarów – spokojnie oświadczył Gothoriel. – Znasz prawo. Ze wszystkich ludzi ty powinieneś je pamiętać najlepiej.

Olbrzym przez chwilę głęboko oddychał nosem, po czym splunął na ziemię pod nogami elfa. Plwocina zamigotała na tarczy tuż przy jego stopach.

– Pieprz się.

– Mam już tego dość. Rada zostanie poinformowana o twoich *kolejnych* wykroczeniach. W tej chwili masz wybór. Albo stąd odejdziesz albo zostaniesz przegnany.

– Mam takie samo prawo... – zaczął McCanoc, gdy Gothoriel uniósł rękę.

– Precz. – Elf trzasnął palcami, po czym parsknął zadowolony, gdy przestrzeń przed nim nagle opustoszała. – Jak demon, którym tak bardzo chciałbyś zostać... – dodał cicho i Rachel była pewna, że tylko ona to usłyszała.

Obrócił się do piątki, która przysłała z Dionysem i potrząsnął głową.

– Wy też odejdźcie. Nic tu po was.

Odwrócił się do Herzera i zmarszczył brwi, co było pierwszym objawem emocji na jego twarzy.

– Ty przybyłeś z nim? – zapytał elf i potrząsnął głową. – Nie, osobno. Jesteś z nim?

– On jest ze mną – pospiesznie wtrąciła się Rachel, niepewna, czemu to zrobiła.

– Rachel Talbot – odezwał się do niej elf, kłaniając się głęboko. – Miło jest widzieć, że Talbotowie rosną i rozkwitają. Wspaniała rodzina. Przyglądałem się jej i czasem pomagałem od wielu pokoleń. Co robiłaś, rozmawiając z tym.. śmieciem?

– Szczerze mówiąc, próbowałam znaleźć sposób, żeby się od niego uwolnić opowiedziała z westchnieniem. – Dziękuję za interwencję.

– O co tu chodzi? – zaczął dopytywać się Herzer.

– Później, Herzer – szepnęła dziewczyna, dźgając go w żebra. – Nie usłyszałam twojego imienia, panie Eldarze. I zapomniałam cię powitać, *ethulia El-dar, cathane* – dodała, krzyżując dłonie na piersiach i skłaniając się lekko.

– *Ethul*, pani – odrzekł elf, skłaniając się w odpowiedzi. – Jestem Gothoriel, Jeździec Wschodniej Rubieży. Znam twojego ojca przez większą część jego życia. Twą panią matkę mniej, choć muszę powiedzieć, że jest piękną kobietą. Oraz wspaniałym uzdrowicielem.

– Dziękuję, milordzie. – Rachel dygnęła głęboko. Cieszyła się, że zdecydowała się na suknię. – Obyś spędził we Śnie tyle lat co najstarsze drzewa i w pokoju odszedł na Zachód. I omijaj fioletowe paski białkowe.

– Za późno – odparł elf z lekkim uśmiechem. – Czy wiesz, co...?

– Tak, z początku nie byłam pewna, ale po drugiej próbie nie było już wątpliwości. Zastanawiam się, czyj to był pomysł? .

– Przedstawisz mnie swojemu przyjacielowi, Rachel? – Zza jej pleców rozległ się głos Marguerite. Sądząc po cierpkim tonie, była wściekła.

– Marguerite. – Rachel odwróciła się do niej z uśmiechem. Marguerite przy brała swoją normalną formę, wyróżniając się tylko delikatną przezroczystością, która była nieodłącznym atrybutem w pełni nanitowych stworzeń. Oczywiście mogła dowolnie zmieniać kształty, ale chwilowo zdawała się preferować swój podstawowy wygląd. – To Gothoriel, Jeździec Wschodniej Rubieży. To oznacza, że

jest kimś w rodzaju ambasadora dla ludzi żyjących we wschodniej Norau.

– Witaj, Gotho... Goth...

– Gothoriel – poprawił elf, schylając się, by ująć odcieleśnioną dłoń i ją ucałować. Uniósł ją do ust, jakby była z krwi i kości.

– To było... jak to zrobiłeś? – wyszeptała zdumiona Marguerite.

– Eldarowie różnią się od ludzi nie tylko prostym wyglądem – wyjaśnił elf z lekkim westchnieniem. – Dysponujemy *pewną* władzą w dziedzinie świata, w którym Rzeczywiste przecina się z Nierzeczywistym. A skoro teraz dołączy łaś do nas w krainie magii, będziesz mogła przyłączyć się do nas we Śnie.

– Och – powiedziała Marguerite, najwyraźniej niepewna znaczenia tego, co właśnie zostało powiedziane. Obróciła się do Rachel i machnęła rękami. – Rach! Czyż to nie *cudowne!*

– Wspaniale – odpowiedziała przyjaciółka, uśmiechając się i mając na dzieję, że dziewczyna nie zauważy jej niepokoju. – Ale nic mi o tym nie powiedziałaś!

– Och, przygotowali to wszystko mama i tata – wyjaśniła Marguerite, wskazując ręką wokół i na swoje półprzejrzyste ciało. – Dla mnie było to zupełną niespodzianką!

– Ach.

– I planują na przyszły miesiąc ceremonię separacji. Chcą mi dać mój Certyfikat Niezależności i równocześnie dokonać rozwiązania kontraktu. Mama pragnie na jakiś czas żyć w morzu. Tata nie wie jeszcze, co będzie robił.

– A co ty planujesz? – zapytała Rachel, próbując przyswoić sobie wiadomość, że jej przyjaciółka zostanie uznana za niezależną, podczas gdy ją, Rachel, wciąż dzieliło od tego przynajmniej dwa lata. To niesprawiedliwe!

– Bawić się, cóż innego? – odparła Marguerite. – Rach, muszę jeszcze trochę się pokręcić, porozmawiamy później? Cześć, Herzer, do widzenia, Herzer.

– Jasne, w każdej chwili – zawołała Rachel do jej pleców.

Rozejrzała się wokół i zauważyła, że Marguerite nie była jedyną oddalającą się osobą. Gothoriel również zniknął. Całkowicie, jakby się teleportował albo rozplynął w powietrzu.

Jednak Herzer wciąż tam był. Oczywiście.

– Jej, to było ostre – powiedział, głośno wypuszczając powietrze.

– Myślałam, że znacie się z Marguerite trochę lepiej niż tylko cześć i do widzenia – zapytała Rachel.

– Zaczęła być... mniej przyjazna, kiedy moja choroba naprawdę mocno się rozwinęła – wyjaśnił Herzer z pulsującym na szczęce mięśniem. – Kiedy mi się pogorszyło, większość ludzi się oddaliła – mówił dalej, patrząc wprost na nią.

Rachel kiwnęła głową i spuściła wzrok.

– Wiem, dotyczy to również mnie. To po prostu było... zbyt dziwne. Nie potrafiłam sobie z tym poradzić. I przepraszam cię za to.

– Spróbuj z tym żyć – powiedział Herzer z westchnieniem, nie przejawiając oznak przebaczenia. – Przynajmniej znów mam przyjaciół. Upłynęło dużo czasu.

– Mówisz o McCanocu? – zapytała z rezerwą Rachel.

– Tak. Był dla mnie prawdziwym przyjacielem, nawet kiedy byłem chory. Och, bywa czasem... sarkastyczny...

Rachel pomyślała, że za tym cichym stwierdzeniem kryło się prawdopodobnie coś więcej niż prosty sarkazm. Z tego, co wiedziała o McCanocu, świetnie by się bawił, mając przy sobie kalekiego, skrzywdzonego emocjonalnie młodzieńca. Każde drgnięcie, potknięcie i tik musiało wywoływać sardoniczne spojrzenie albo przytyk jednego z jego pacholków.

– Herzer – zaczęła niepewna, jak postąpić. – Wiesz, jest dużo ludzi, których... nie obchodzi Dionys.

– Wiem – odparł. – Powiedział mi o tym. Zawsze istnieją ludzie, którzy pragną po prostu utrzymać istniejące status quo i nie chcą, żeby prawdziwi geniusze burzyli porządek. Wszyscy ci głupi królowie tego i baronowie tam tego, z których żaden nie jest gotów na prawdziwą rewolucję reprezentowaną przez Dionysa! Czy wiesz, jaki jest jego ostateczny cel?

– -Nie, ale...

– Chce zostać królem Anarchii! Planuje stworzyć armię spośród mieszkających w tym świecie i wyszkolić ich, żeby zdobyć Anarchię. W ten sposób będzie mógł rządzić nią w pokoju i dobrobycie, jak Karol Wielki prawie sto lat temu. Ale *on* nie porzuci ludzi z powrotem na pastwę anarchii!

Wysłuchaj mnie. – Rachel potrząsnęła jego ramieniem. – Wcale nie o to chodzi, że jest rewolucjonistą. *Nie* dlatego ludzie go nie lubią. To dlatego, że to wredny, kłamliwy sukinsyn! A jeśli chcesz przejść na stronę mojego ojca, lepiej żebyś zapomniał, że kiedykolwiek choć *słyszałeś* o Dionysie McCanocu!

– To bzdury – zaprotestował chłopak, zaciskając szczęki. – Jasne, może czasem być trochę szorstki, ale jest geniuszem. I wizjonerem! Tacy ludzie zawsze mają skłonność do opryskliwości. Co zawsze uważane jest za nieuprzejmość, aż do czasu, *kiedy umrą*, kiedy rzeczywiście doceni się ich geniusz.

– Herzer...

– Ty po prostu próbujesz odseparować mnie od przyjaciół, którzy *akceptowali* mnie, kiedy ty mnie odrzuciłaś! – wyrzucił z siebie Herzer, rozgrzewając się. – Ci ludzie nie odrzucali moich telefonów i nie wysyłali wiadomości z wy mówkami, czemu nie mogą się ze mną spotkać. Oni mnie *lubią*. Lubili mnie, kiedy byłem *chory*!

– Żeby mieć przy sobie kalekę, którego mogą dręczyć! – prawie wykrzyczała Rachel. – Herzer, McCanoc jest *zły*. Może zachowywać się jak twój przyjaciel, ale on po prostu czegoś od ciebie chce.

– Już dość, nie zamierzam tego więcej słuchać — oświadczył chłopak. – Możesz sobie myśleć, co

chcesz. Jeszcze zobaczysz!

– Obawiam się, że tak – cicho odpowiedziała Rachel, gdy odchodził wzburzony. – Dzinnie, chodźmy do domu.

* * *

– Zdefiniuj, co w tym przypadku oznacza „przewrót” – poważnie poprosił Edmund.

Sheida poświęciła trochę czasu na wyjaśnienie pozycji Paula i jego planów. Na koniec wzruszyła ramionami i podniosła swoją jaszczurkę, owijając ją sobie wokół szyi.

– On jest... nieprzekonywalny. Zdecydował, że dziełem jego życia będzie przywrócenie świata do stanu... wzrostu. Zarówno wzrostu populacji, jak i rozwoju myśli i czynów.

– I według ciebie zamierza zrobić... co? — zapytał Talbot, popijając łyczek wina. Prawie żałował, że w kielichu nie ma zamiast niego wody, sytuacja zdecydowanie wymagała trzeźwego myślenia.

– Myślę, że planuje przechwycić Klucze. Przynajmniej dość, by zyskać absolutną przewagę w głosowaniach. Potem wprowadzi swój plan. I tak, jest w tym kapitał.

– Fajnie. – Talbot skrzywił się. – Klucze nadal podlegają tej archaicznej za sadzie, że kto złapie, ten ma?

– Niestety. Ktokolwiek trzyma Klucz, ten nim głosuje. Tak to zostało zapisane w jądrze programu Matki.

– Ale wszyscy jesteście chronieni przez osobiste pola ochronne – zauważył Talbot. – Więc... jak może wam zabrać Klucze?

– OPO zostały wprowadzone przy minimalnej większości – zatroskanym głosem wyjaśniła Sheida. – Jeśli skłoni Demona do głosowania po swojej stronie, może je wyłączyć.

– Ale nie może tego zrobić w dowolnej chwili? – zapytał Edmund. – To znaczy, czy mogli je *już* wyłączyć?

– Nie, do tego potrzebne jest oficjalne głosowanie Rady. A wszystkie głosujące osoby muszą tam być *obecne*. Te protokoły nie są może tak głęboko zakodowane, ale dostatecznie mocno, żeby nie mógł ich obejść bez prawie całej Rady. Chyba że Rada znajdzie się oficjalnie w stanie sporu. A nie jesteśmy. Jeszcze.

– Chcesz mi powiedzieć, że *nie* ma protokołów na wypadek próby zabójstwa?

– Historia, Edmundzie, historia – westchnęła. – Techniki ochrony osobistej pojawiły się mniej więcej w czasie, kiedy wciąż istniały jeszcze fizyczne zagrożenia i dodatkowe środki ochrony. Ale z czasem wszystko stało się tak... bezpieczne, tak spokojne, że inne zabezpieczenia usunięto jako niepotrzebne i wręcz... niewygodne. Istniały też niezależne od Rady i Sieci rządy i siły policyjne, które mogły zlikwidować tego rodzaju zagrożenie. Jeśli Rada spróbowałaby przejąć prawdziwą i bezpośrednią władzę w czasach, gdy istniały jeszcze na przykład NZ, bardzo szybko dostałaby po łapach.

– No cóż, chyba przestałem zwracać uwagę na historię mniej więcej po tym, jak wycofano ze

służby ostatnie B-4 – ze śmiechem przyznał Edmund. – To był oficjalny koniec, prawda?

– No, to może lepiej przygotujmy się na ponowne ich uruchomienie. Ale rzecz w tym, że *my stanowimy wszystko, co pozostało z wszelkich rządów*. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, jak niemożliwe jest to historycznie, ale *ty* tak! Bóg wie, że dostatecznie często się o to kłóciliśmy.

– Wiem. – Edmund zacisnął szczęki. – Banda samozwańczych dyktatorów. Nigdy mi się to nie podobało. Ale nie zdawałem sobie sprawy, że margines bezpieczeństwa jest tak *wąski*. To szaleństwo!

– Nikt nie próbował... Edmundzie, nie było żadnych *konfliktów*. Wszyscy jesteśmy tak zadowoleni z siebie, szczęśliwi, radośni i ciepłi, że nie ma żadnych *zagrożeń*. Och tak, na poziomie osobistym wciąż istnieją zagrożenia. Ludzie ze sobą walczą. Ale to załatwiają tarcze. Albo dwóch ludzi zgadza się je wyłączyć. Ale tego rodzaju rzeczy są dla... dzieci, fizycznie lub mentalnie. Nie mamy fizycznych starć na poziomie Rady i nie mieliśmy od... cóż, kiedyś byli strażnicy i... broń, i... rzeczy...

– Chryste – westchnął Talbot. – Więc uważasz, że Paul zamierza spróbować... czego, zabić cię? Potem zabrać twój Klucz i dać go komuś innemu, żeby głosował? Będzie musiał mieć ludzi gotowych do przyjęcia Kluczy i głosowania nimi, prawda? Sam nie może nimi głosować.

– Jedna osoba, jeden głos, żadnych wpływów – potwierdziła Sheida. – Tak, Matka wiedziałaby, gdyby byli kontrolowani i po prostu uznalaby to za powstrzymanie się od głosowania.

– A więc, czy wyłączenie OPO to jedyny sposób, w jaki może cię zaatakować? Co z atakiem poza obszarem Rady? Co z... nie wiem... zamordowaniem cię choćby w tej chwili? – Jesteśmy... ostrożni – odparła. – Powiedzmy, że Paul nie ma pojęcia, gdzie jestem w dowolnej chwili, także teraz.

– Istnieją na to sposoby, Sheida. Także wobec członka Rady. Sieć to nie wszystko. A wiesz przecież, że nawet Rada nie ma nad nią pełnej kontroli. Tą dysponuje tylko Matka.

Sheida uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami, chichocząc.

– Edmund, oboje jesteśmy starzy. I mam nadzieję, że przynajmniej do pewnego stopnia mądrzy. Mam ochronę.

Edmund znieruchomiał, unosząc brew, potem wzruszył ramionami.

– Jak my wszyscy. – Napił się wina i zakręcił nim w kielichu, patrząc na sufit. – Na swój sposób prawie zgadzam się z Paulem.

– Na pewno nie. – Sheida przyjrzała mu się z uwagą.

– Cóż, nie odnośnie *metody* – dodał, krzywiąc się. – Ale *faktycznie* staliśmy się sybarytami. I nie pomoże na to nawet czekanie, aż pula genowa ograniczy się tylko do kobiet, które są zaprogramowane na chęć posiadania dzieci. Ale muszę przyznać, że jego metoda ma tak wiele aspektów, że nie sądzę, żebyś nawet ty zauważyła wszystkie.

– Jest źle, ale do jakiego stopnia?

– Cóż, cholernie. – Zastanowił się nad tym przez chwilę, układając myśli. – Dobra, zwiększenie przyrostu populacji w sposób naturalny wymaga wielu czynników. Po pierwsze, trzeba wrócić do

naturalnego sposobu rodzenia dzieci, i żadnej antykoncepcji.

– Och – wydobyła z siebie Sheida, spuszczając oczy. – Nie wydaje mi się!

– Co więcej, trzeba, by kobiety były w większym czy mniejszym stopniu „posiadane” przez mężczyzn, bo inaczej po jednym czy po dwojce dzieci większość kobiet zdecyduje, że *nie chce* przechodzić przez to jeszcze raz!

– A co z warunkowaniem społecznym? – Zajmę pozycję adwokata diabła.

– Zasadniczo do szerszej użyteczności wymaga religii. – Edmund wzruszył ramionami. – Rzecz jednak w tym, że *techniczne* i *ekonomiczne* warunki rozwoju populacji stoją w sprzeczności z postępowaniem techniki. W historii zdarzały się okresy, kiedy ta zasada była naruszana, na pokolenie czy dwa, ale ogólnie rzecz biorąc w okresie wzrostu, o którym mówi Paul, trzeba do tego społeczeństwa funkcjonującego w warunkach przedindustrialnych. A to oznacza, że nie może być rozwoju technicznego.

– Specjalne grupy? – zasugerowała Sheida.

– Większość prawdziwego postępu wynika ze... środowiska, które wspiera rozwój. Jeśli wszystko, czym dysponujesz to chłopcy pańszczyźniani i kilku czarodziejów techniki, to ci ostatni pracują w naukowej próżni. Tak więc Paul może uzyskać albo rozwój techniczny, *albo* wzrost populacji. W społeczeństwie postindustrialnym i postinformatycznym bardzo rzadko uzyskuje się oba. – Przerwał i zapatrzył się w zamyśleniu, lecz zaraz potrząsnął głową. – Właściwie nie istniało *żadne* społeczeństwo, które łączyłoby oba przez więcej niż jedno pokolenie. I istnieje... znikomo małe prawdopodobieństwo, żeby możliwe było osiągnięcie czegoś takiego w zadanych warunkach.

– Wyjaśnijmy to sobie, proszę – Sheida powiedziała ostrożnie. – *Jesteś* po mojej stronie?

– Och, tak – potwierdził Talbot. – Jeśli Paul planuje osiągnięcie sytuacji z centralnym planowaniem i zmuszanie ludzi do pracy, to trzeba go powstrzymać. Tak naprawdę *nie* ma pojęcia, co to oznacza.

– Więc co możemy zrobić? Edmundzie, jesteś chyba jedynym pozostałym na ziemi prawdziwym ekspertem w działaniach wojennych.

– Nie, po prostu jedynym, któremu ufasz – odpowiedział kowal. – Nie znam warunków. Broń?

– Nie, żadnej, a w każdym razie żadnych ostrzy – dodała po namyśle. – Ani broni miotającej, a środki wybuchowe przy obecnych ograniczeniach i tak nie zadziałają.

– Jeśli planują fizyczny atak na zebraniu Rady, musi istnieć jakiś sposób na skrzywdzenie was – zauważył. – Czy Paul szkolił się w walce wręcz? Zabicie człowieka gołymi rękami jest trudne.

– Nie. I mamy po swojej stronie Ungphakorna i Cantora – stwierdziła Sheida. – Postawiłabym na Cantora przeciw Chansie w dowolnej walce.

– Portowanie?

– Sala Rady jest zabezpieczona przed wejściem bez zgody kogokolwiek poza jej członkami. I nie jest dozwolone teleportowanie ani do, ani z sali. Nie mogą wezwać posiłków, ale my też nie.

– Trucizna?

– Sposób jej przeniesienia? – zapytała. – Nie mogą wnieść ze sobą środków miotających, nasze pola szybko wykryłyby trucizny kontaktowe czy w powietrzu, a żadne szkodliwe gatunki zwierząt nie zostałyby wpuszczone do środka.

– Trucizny bywają subtelne – zauważył Edmund. – Istnieją na przykład binarne, mogliby zażyć antidotum...

– No cóż, nie wypiję niczego, cokolwiek zaoferują – powiedziała z czarującym uśmiechem.

– Jesteś pewna swoich podejrzeń? – zapytał kowal.

– Studiuję ludzi od bardzo dawna – odparła Sheida. – Paul coś planuje. Coś dużego. Dostatecznie dużego, żebym według niego nie była w stanie mu się przeciwstawić. Nie potrafię sobie wyobrazić, co mogłoby to być oprócz przejęcia kontroli nad Radą i wszystkich Kluczy. Moja koalicja mnie popiera.

– No cóż, pokażę ci kilka sztuczek, jest też kilka rzeczy, które prawdopodobnie możesz wnieść do Sali Rady, a które nie zostaną uznane przez Matkę za niebezpieczne – powiedział. – Jednak poza tym niewiele mogę zrobić.

– Dziękuję. Sama rozmowa o tym bardzo mi pomogła. Cantor robi się... bardzo niedźwiedziowaty, a Ungphakorn tajemniczy. Ty po prostu przywołujesz logikę.

– Miałem więcej praktyki – wyjaśnił Talbot. – Zarówno w myśleniu na temat przemocy, jak i odnośnie ludzi próbujących mnie zabić. To przychodzi, gdy wyrastasz z chęci zostania bohaterem – dodał smutno.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Koń Herzera poruszył się pod nim, niecierpliwie tańcząc na boki, najwyraźniej bardziej od pana palił się do bitwy.

Herzer poklepał go po grzywie ręką, w której trzymał wodze, drugą poprawiając lancę.

– Spokój, Calaban – powiedział nieobecny głosem. Z grzbietu góry północny wiatr przynosił zapach dymu z ognisk i mniej przyjemne aromaty obozu orków, któremu przyglądał się z lasu pod kątem możliwości obrony. Istniała szansa, że go zauważono, a jednak nikt nie wybiegł, żeby zaatakować. Znaczyło to, że albo jest ich mało, albo -jak na orków – oddział jest niezwykle dobrze dowodzony. Pierwsza ewentualność byłaby oczywiście wspaniała, ale druga wydawała się znacznie bardziej prawdopodobna. Oddział, który najechał lokalne miasta był spory, grupa atakująca Shawton liczyła przynajmniej dwadzieścia stworzeń. Zakładając, że jedna czwarta tej liczby została w obozie w charakterze strażników, oznaczało to przynajmniej dwudziestu pięciu obrońców. I nie wyjechali na rajd już cały dzień. To oznaczało, że się bunkrują.

Główne wejście, z umieszczoną na szczycie strzeżoną bramą, prowadziło krótkim wąwozem od południa. Druga brama została usytuowana od zachodu, jednak dochodziło się do niej wąską i stromą serpentyną. Zdobycie jej samotnie raczej nie wchodziło w grę. Podobnie jak wspinaczka na klif nad obozem -Herzer nie miał do tego sprzętu, a gdyby doszło do walki w obozie, do przeżycia potrzebował swojej zbroi.

Bitwa była równocześnie i rzeczywista, i nieprawdziwa. Obszar był prawdziwy – niezamieszkały rejon pomocnej Norau niezbyt daleko od jego domu. Obóz, palisady i oczyszczony teren wokół nich zostały stworzone dla niego jako element gry „wzbogaconej rzeczywistości”, w której uczestniczył. Koń, orkowie i inni obrońcy, jeśli jacyś istnieli, wszystko to stanowiło produkt nanitów i pól energetycznych. Dosiadany przez niego koń był prawie rzeczywisty, ale nie miał indywidualności prawdziwych zwierząt. Jednak zbliżał się do rzeczywistości maksymalnie, jak było to możliwe przy ograniczonym budżecie Herzera. Znacznie taniej byłoby zbudować pałac na szczycie góry, niż stworzyć to pole bitwy. Ale każdy ma własne priorytety.

Pamiętał o swoim zasadniczym celu – uwolnieniu więźnia, ale wciąż nie był pewien, jak ma to zrobić. Realistycznie rzecz biorąc, gdyby potrafił zmusić wrogów do wyjścia w pole, był w stanie poradzić sobie z dwudziestoma orkami. Jego przeciwnicy byli silni i szybcy, ale stosunkowo niezdarni i kiepsko walczyli. Nawet w płytach i kolczudze powinien być w stanie ich wymanewrować, a jego zbroja stanowiła dostateczną osłonę przeciw większości ich broni.

Przez chwilę stukał palcami po lancy, potem umieścił ją w uchwycie i sięgnął do tyłu, by odwiązać juki. Gdyby orkowie go zabili, umożliwiłyby im w ten sposób zrabowanie większości swego ziemskiego dobytku. Z drugiej strony w takiej sytuacji i tak by go nie potrzebował. Lina do wspinaczki i latarnie w tej wyprawie nie okazały się przydatne. Uwolniony od masy sprzętu Calaban będzie wstanie nieść go stosunkowo swobodnie pomimo wagi zbroi, broni i całkiem sporej masy ciała jeźdźca.

Przez chwilę zastanawiał się nad bronią, potem zatrzymał lancę, topór i miecz, rzucając łuk obok

tobołka. Potrzebował wszystkich trzech zatrzymanych broni, choć niesienie ich było niewygodne. Umieścił miecz i topór przy siodle i wyciągnął z powrotem z uchwytu lancę.

– Dobra, Calaban, dajmy im to, na co zasługują – powiedział, szturchając konia kolanami i chwytając tarczę.

Kłusem wyjechał na łąkę przed obozem i zatrzymał się tuż przed płytkim strumieniem. Przez większość długości strumień miał strome brzegi i był stosunkowo głęboki, przynajmniej do pasa. Niełatwo było go przekroczyć pieszo, a na koniu było to całkiem niemożliwe, jednak wprost przed bramą do obozu, przy wąskim brodzie, brzegi zostały rozkopane. Wciąż z obu stron było dość stromo i mógł się tam zmieścić tylko jeden jeździec naraz, jednak tam właśnie musiał przejść przez wodę.

Teraz widział już głowy orków wystające nad bramą, jednak wciąż żaden z nich nie kwapił się do wyjścia. Bardzo dobrze.

– Orkowie! Orkowie z obozu! Przyszedłem wysłać wasze dusze do piekła!

– Odejdź stąd! Nie mamy nic dla ciebie i żyjemy z ludźmi w pokoju! – za skrzeczał w odpowiedzi zgrzytliwy głos.

– Najechaliście na miasta Evard, Korln i Shawton. Wiem, ponieważ śledziłem was aż do tej kryjówki! Porwaliście dla okupu córkę earla Shawton! Oddajcie mi ją całą i zdrową, a oszczędzę was!

Wywołało to jedynie szydercze gwizdy z przeciwnej strony palisady, ale tak też było dobrze. Znaczyło to, że mogą wyjść na zewnątrz i walczyć z nim na otwartym terenie.

– Odejdź, człowieku na koniu! Nie możesz nas pokonać, bo jesteśmy klanem Krwawej Ręki i nigdy nas nie pokonano!

– Wszystko ma swój pierwszy raz, wy niewydarzone gobliny. Czy to prawda, że stworzono was, łącząc świnię z małpami?

Gwizdy po drugiej stronie palisady przybrały na sile, ale wciąż nikt nie wychodził.

– Orkowie byli pierwszymi ludźmi! – zaskrzeczał głos w odpowiedzi. – Byli przed elfami i ludźmi! To wy jesteście bękartami małp i świń, ty... ty...

– Nie, powiedz mi szczerze. Czy to prawda, że twoja matka była dziwką w portowym burdelu, która była tak brzydka, że nikt nie chciał jej zapłacić? Więc zrobiła to z potworem z czarnej laguny, kiedy się spił? I tak zostałeś poczęty, czarna, obrzydliwa paskuda, przed którą uciekają z przerażeniem twoi przyjaciele wśród orków, jedyne ludu, który cię przyjął?

– Ja... ja... aaaarrrgh!

– Brama u szczytu wąwozu otwarła się na zewnątrz, wypuszczając chmurę orków, prowadzoną przez masywnego i wysokiego trolla.

– O cholera – wymamrotał Herzer, próbując wyczuć dobry moment do rozpoczęcia szarży. Na szczęście troll szybko zostawiał orki w tyle. W końcu Herzer nachylił się do przodu i uderzeniem pięt pchnął konia w ruch. – Pędź, Calaban! Naprzód!

Umieścił lancę pod pachą i zrównoważył jej masę, celując tak, by uderzyć trolła w środek piersi. Potężne stworzenie zdawało się nie zwracać na nic uwagi i nie wyglądało, jakby chciało osłonić się przed ciosem skupione na schwyтaniu w łapy swojego dręczyciela. Dzięki temu Herzer był w stanie w ostatniej chwili zaprzec się na broni i z pełnym impetem uderzyć nią w cel. Wstrząs rzucił jeźdźca w tył i wcisnął w wysoki łęk siodła i prawie zatrzymał Calabana, ale troll został śmiertelnie raniony. Stworzenie ryknęło, gdy lanca wystrzeliła z jego pleców w fontannie czerwonej krwi, chwyciło za drzewce i padając, machnęło nim potężnie na bok.

Herzer zaczął wyciągać swój miecz, lecz w chwili, gdy klinga właśnie opuściła pochwę, został mocno uderzony w ramię, broń upadła na ziemię i mało brakowało, by podążył w jej ślady.

Po chwili zamiast miecza wyciągnął topór i kolanami pchnął Calabana bliżej do oszalałego z bólu stworzenia. Manewrując na pozycję, koń zaliczył uderzenie, lecz potem dwuręcznym zamachem Herzer ściał głowę trolła. Rumak wycofał się z gracją, gdy potężne cielsko padło na ziemię.

Orkowie docierający właśnie na pole bitwy zareagowali na to głośnym krzykiem strachu, ale nie zatrzymali się, szarżując naprzód gromadą. Było ich znacznie więcej niż dwadzieścia, ale Herzer był pewien, że zwycięży.

Cofnął Calabana, by uniknąć pierwszej fali orków, opuszczając przy tym topór i uderzając kilku napastników na brzegach. Do takiej walki naprawdę potrzebował swojego miecza lub lancy, topór miał krótkie stylisko i przeznaczony był do walki pieszej.

Grupa orków próbowała go obejść i zaatakować z tyłu, prawdopodobnie chcąc podciąć ścięgna Calabanowi, ale nie musiał się o to martwić. Gdy jeden z nich wyskoczył do przodu, wymachując swym krótkim mieczem, koń zamachnął się w tył obydwoma kopytami, zabijając stworzenie i rzucając nim na towarzyszy tak mocno, że kilku wywróciło się na ziemię.

Jednak ta krótka pauza wystarczyła, by pozostali zebrali się wokół, wymachując pokrytymi czarnym brudem mieczami i toporami, próbując schwyтаć wodze albo ściać Herzera z siodła.

Herzer znów rzucił konia w bok, machając toporem po obu stronach, by oczyścić sobie drogę. W końcu od zbitej masy orków oderwała się grupa biegnąca wzdłuż strumienia. Pchnął Calabana naprzód, lecz poczuł, jak ten się chwieje, gdy ze szczytu wzgórza spadła nań salwa bełtów z kusz.

Zdając sobie sprawę, że koń nie będzie w stanie uczestniczyć w walce z powodu ran, zeskoczył z siodła i klepnął go w zad. W jego stronę poleciały kolejne strzały, ale był w stanie osłonić się przed nimi tarczą, biegnąc równocześnie w stronę przetrzebionej grupy orków.

Przeciwnicy znów na niego natarli, jednak było tam kilka niskich drzew, wierzb i topoli rosnących nad brzegiem strumienia, więc skoczył między nie, by rozproszyć szarżę. Na chwilę między drzewami zrobiło się naprawdę gorąco, gdy orkowie zaatakowali go z dwóch stron i musiał się zdrowo namachać bronią. Wrogowie nie pozostawali dłużni i poczuł ostre ukłucie w boku, gdzie czempion orków trafił potężnym uderzeniem bojowego młota. Jednak po chwili to czempion leżał u jego stóp w kałuży krwi, nie na odwrót. Wszystko więc było w porządku.

W końcu zdołał się wyrwać z otoczenia dzięki strumieniowi, przez który było mu się znacznie łatwiej przedostać niż orkom, jako że Herzerowi sięgał tylko do pasa, i skręcił na wschód, kierując się w stronę brodu. Orkowie ruszyli równolegle do niego drugim brzegiem, a potem spróbowali go

wyprzedzić przy brodzie, ale dotarł tam pierwszy.

W wąskim podejściu do brodu po jego stronie rzeczki nie było szans, by mógł się tam zmieścić naraz więcej niż jeden, góra dwóch orków. Stał tam, broniąc się i rozłupując ich tarcze, gdy próbowały atakować. Z obozu wybiegło jeszcze kilku napastników, ale zabijał ich szybciej, niż mogli zebrać posiłki, rozcinając stosunkowo lekkim toporem ich zbroje, ramiona i głowy.

Wąska przeprawa została wkrótce zawalona ciałami i atakujący musieli przedzierać się przez sterty trupów. Okazjonalnie padali też na niego i musiał się cofać, unikając pchnięcia, więc wolno przesuwał się w stronę górnej krawędzi brzegu. Jednak niewielka liczba orków przybyłych z obozu zdała sobie sprawę, że nie była w stanie pokonać go w polu, więc z krzykiem odwróciła się i pobięła z powrotem wąwozem do bramy, zamykając ją za sobą.

Po wycofaniu się przeciwnika opadła z niego furia bitewna, a jej miejsce zajął ból płynący z ran. Oprócz trafienia w bok, które – sądząc po objawach – najprawdopodobniej skończyło się złamanym żebrzem, zauważył dość paskudne draśnięcie z tyłu prawej łydki. Kilka cali głębiej i nie byłby w stanie Posługiwać się tą nogą. Prawdę mówiąc, nawet nie pamiętał, kiedy do tego doszło.

Zagwizdał na Calabana i przeszedł przez usłany trupami bród na drugą stronę. Przy ciałach było zapewne trochę rzeczy wartych zabrania, ale to mogło poczekać.

Jego lanca chwilowo do niczego się nie nadawała, przynajmniej do czasu, aż będzie w stanie dostarczyć ją do dobrego zbrojmistrza albo znaleźć odpowiednie drzewko hikorowe. Zdecydowanie wolałby, żeby naprawił ją ktoś inny, zaraz po bitwie zamierzał skierować się do miasta i solidnie odpocząć.

Jego koń wyszedł z miejsca, w którym wcześniej zniknął i udało mu się odszukać miecz. Za pomocą szmat z jednej ze swoich sakw wytarł miecz i topór z krwi, a w końcu załadował je na konia razem z tarczą, która zaczynała mu już mocno ciążyć.

Potem zajął się ranami Calabana. Najpierw znieczulił je za pomocą dziwnej szarej maści, a następnie usunął z ciała konia haczykowate grot. To ostatnie okazało się dość trudne, ponieważ pomimo skutecznego zaaplikowania miejscowego znieczulenia wierzchowiec tańczył w miejscu z powodu dziwnego wrażenia przy wyciąganiu. Kiedy usunął w końcu bełty, zaaplikował na rany gojący balsam.

Teraz przyszła kolej na jego własne problemy. Był zmęczony i obolały, ale poza obandażowaniem rany na nodze, niewiele mógł z tym zrobić. Miał trochę siniaków i złamane żebro, ale to wymagało znacznie poważniejszych środków, niż te, którymi dysponował w polu. W końcu po hojnym nasmarowaniu balsamem rany na nodze obandażował ją i pracowicie naprawił w tym miejscu kolczugę. Cięcie wymierzone było w jego ścięgna, lecz nie okazało się dość mocne, by rozciąć szerzej gęsto splecioną kolczugę Alladona. Przynajmniej niewystarczająco, by wyrządzić większe szkody.

Po opatrzeniu ran wyjął z torby mały flakonik i przyjrzał mu się ostrożnie. Zawarły w nim środek miał bardzo nieprzyjemny smak, przesadnie słodki z goryczą, miał też ograniczone działanie. Jednak na pewien czas dodałby mu sił, na dość długo, by pokonać resztę orków. A jeśli jego czas działania wyczerpałby się, mógł zażyć następną porcję. Z każdą kolejną jednak okres działania stawał się coraz krótszy. Wkrótce będzie potrzebował prawdziwego odpoczynku.

W końcu z powrotem wziął broń i ruszył w stronę bramy obozu. Nie przywitały go żadne strzały, więc dotarł do podstawy wawozu i krzyknął w stronę drewnianej palisady na szczycie.

– Wzywam was do uwolnienia córki earla Shawton. Jeśli to zrobicie, oszczędzę was. Jeśli nie, zabiję wszystkich wojowników i spalę wioskę, wyganiając wasze kobiety i dzieci na mróz. Weźcie to pod rozwagę!

– Odejdź! – nadeszła odpowiedź, już nie tak głośna i butna jak wcześniej. - Nigdy nie byliśmy w tym Shawton.

– To wasza ostatnia szansa! – krzyknął Herzer, wyciągając fiolkę ziołowego stymulanta.

– Odejdź!

– Głupie dranie – wymamrotał, wypijając duszkiem zawartość flakonika i od rzucając go przez ramię. Wyciągnął topór i uniósł go nad głową.

– Za Mithrasa i Alladale! – wrzasnął. Za jego plecami, z czystego nieba rozległ się grzmot. Fajnie.

Zaszarżował wawozem, trzymając tarczę nad głową w przewidywaniu deszczu pocisków. Faktycznie, zdawało się, że każdy ork w obozie rzuca na niego kamienie, kawałki drewna, martwe koty i cokolwiek jeszcze się dało. Z wyjątkiem kilku sporawych głazów nic z tego nawet go nie spowolniło i szybko dotarł do bramy.

Najwyraźniej nad bramą umieszczono parapet, ale w przeciwieństwie do drogi wawozem tylko kilku orków naraz mogło tam patrzeć na niego w dół, więc odsunął tarczę w tył i zamachnął się, trzymając topór obydwoma rękami. Bramę zrobiono z grubych pni połączonych linami i poprzeczkami, ale między belkami przeświecały wąskie szpary, więc uderzył przez nie w skobel po drugiej stronie. Po kilku dobrze wymierzonych ciosach był już w stanie rąbać bezpośrednio blokującą wrota sztabę i szybko wszedł w równomierny rytm pracy, bez problemu pokonując przeszkodę.

Gdy tylko blokada rozpadła się, opuścił topór i pchnął wrota, otwierając je na oścież, wyciągając miecz i stając do walki przeciw reszcie obrońców obozu.

Widział już córkę earla. Dziewczyna miała nie więcej niż szesnaście lat, gładką skórę i rude włosy, rozpuszczone teraz i opadające jej do talii. Była przywiązana do słupa na środku obozu, a w pobliżu zebrano drewno na ogień i wzniesiono rożen. Było jasne, że orkowie szykowali się do zjedzenia jej na kolację, kiedy pojawił się Herzer i przeszkodził w przygotowaniach. Przed ogniskiem stał szaman orków, rzucając w płomienie śmierdzące zioła i gorączkowo gestykulując.

Czekała go jeszcze jedna krwawa walka, ale skoro miał w dłoniach kawał dobrej, narlandzkiej stali prawie długości ramienia, orkowie nie mieli szans. Skoczył naprzód w największą ciżbę, rąbiąc na boki i parując ciosy mocno już wygniecioną tarczą. Kiedy jednak prawie pokonał już wszystkich obrońców, szaman wydał z siebie ostatni, głośny krzyk i z płomieni wyłoniła się przerażająca twarz demona wielkości człowieka. Cały pokryty był kolcami i przypominał trochę orka – Herzer tylko tyle zdołał zauważyć, gdy istota skoczyła w powietrze i walnęła w jego tarczę.

Zamachnął się mieczem i ciał demona przy ramieniu, ale mimo swojej jakości narlandzka stal równie dobrze mogła rąbać w kamień. Odbiła się ze Wstrząsem, który mocno odczuł w dłoni, a

pięść demona wylądowała na jego piersi.

Cios rzucił go w powietrze i Herzer z trzaskiem wylądował na palisadzie. Potrząsnął głową, próbując pozbyć się dzwonienia, gdy demon uderzył jeszcze raz.

Nagle rogowate palce zacisnęły się wokół jego chronionego kolczugą gardła i zaczęły ścisnąć. Walił mieczem w bok demona, ale nic to nie dawało. Świat wokół niego z wolna zaczął pokrywać się mgłą...

* * *

Szlag – wymamrotał Herzer, siadając na ziemi i rozglądając się po polu treningowym. Jego gardło wciąż czuło psychosomatycznie ucisk, ale VR zawsze dawała taki efekt. – Nienawidzę przegrywać.

Powinieneś był przeprowadzić rekonesans obozu – skomentował instruktor, podając mu dzban.

Herzer wziął wodę i napił się z wdzięcznością, po czym wstał z ziemi.

– Wiem o tym. Teraz. Ten demon był trochę nie fair.

– Życie jest nieuczciwe – odpowiedział awatar. Był to program bardzo wysokiej klasy, nie pełna SI, ale inteligentniejszy od większości standardowych systemów i dysponował olbrzymią masą przysłów i dowcipnych uwag, z której obficie czerpał. — Musisz być bardziej nieuczciwy. Co powinieneś był zrobić?

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewien. – Herzer zamyślił się. – Nie pokonałbym demona. Nie samodzielnie.

A co z szamanem? – zapytał instruktor.

– Hmm... – Herzer przywołał schemat odbytej bitwy i skinął głową. – Nie dałbym rady przebić się przez orków, by zabić go, zanim zakończył przywołanie. Więc... zdjąć większość zbroi, wspiąć się na klif i przeprowadzić rozpoznanie. W ten sposób wiedziałbym też o trollu. Może spróbować zabić obu z większej odległości, także trochę orków. W końcu by wyszły, ale biłbym się z nimi, mając przewagę wysokości, nie odwrotnie. Ale najpierw powinienem pozbyć się szamana, bo w innym wypadku przywołałby demona i musiałbym z nim mimo wszystko walczyć.

– To właśnie szaman stanowił największe zagrożenie, choć z początku zdawało się, że to zwykła banda orków – powiedział instruktor. – O twojej porażce zdecydował brak odpowiedniego rozpoznania. Twój przeciwnik będzie próbował cię zwieść. Będzie starał się sprawiać wrażenie słabszego. Pamiętaj o tym. *Znaj* przeciwnika i *znaj* siebie. Jeśli będziesz miał tę wiedzę, wszystko inne stanie się jasne.

– Herzer, bawisz się w gry wojenne? – Nad ramieniem awatara pojawiła się głowa Dionysa. Awatar zdawał się jej nie zauważać.

– Właśnie skończyłem – odpowiedział chłopak, dopijając wodę.

– Robimy drobne przyjętko u Seana, będzie trochę zabawy – oznajmił olbrzym. – Może do nas dołączysz. – Zabrzmiało to jak rozkaz, nie propozycja.

Herzer był bardzo zmęczony, jeśli nie fizycznie, to przynajmniej psychicznie, ale nie chciał utracić

łask Dionysa.

- Daj mi się tylko trochę pozbierać – poprosił. – Będę za kilka minut.
- Świetnie. – McCanoc pokazał w uśmiechu zęby. – Będziemy czekać.
- Muszę iść. – Herzer rzucił dzbanek w stronę trenera.
- Pamiętaj, młody Herzerze, poznaj siebie – pożegnał go awatar.

* * *

Talbot uderzył młotem w żarzącą się głownię miecza i odwrócił ją na kowadle, próbując ustalić, ile jeszcze pracy powinien w nią włożyć. Kiedy do kuźni wszedł Myron Raeburn, podniósł wzrok i kiwnął mu głową.

- Przydałoby się przekuć kilka z nich na lemiesz – rzucił gość z szerokim uśmiechem.
- Bardzo zabawne – zaburczał kowal w odpowiedzi. – Co mogę dla ciebie zrobić?
- Nie wyglądasz dziś rano na szczególnie zadowolonego z życia – stwierdził farmer, przechylając głowę w bok.
- Nawet w rajach trafiają się kolce – niejasno odpowiedział Edmund. – Jakiego rodzaju lemiesz potrzebujesz?
- Wciąż prześladowa cię Dionys? – badał dalej Myron, siadając na mniejszym kowadle. Komputery pogodowe przepuściły nadciągający od strony wschodniego wybrzeża zimny front atmosferyczny i ciepło kuźni stanowiło przyjemną odmianę po marszu przez zimne pola na zewnątrz.
- Nie, od czasu naszej pogawędki nie próbowałem żadnych sztuczek. To tylko część problemu. Są też inne sprawy, ale raczej nie mam ochoty o tym rozmawiać.
- Dobra – zgodził się farmer. – Cóż, przyszedłem, bo udało mi się zdobyć mechaniczną młockarnię o napędzie wodnym – wyjaśnił z uśmiechem.
- Chcesz ją zainstalować przy młynie? – Edmund zmarszczył się. – Nie jest z epoki, faszyci zaczną szaleć. – Zastanowił się nad tym przez chwilę, potem uśmiechnął się. – Pomóc ci?
- Sam mogę ją uruchomić. – Raeburn obdarował swego rozmówcę równie szerokim uśmiechem. – Ale czas nie był dla niej łaskawy, pomimo przechowywania w dobrych warunkach. Kilka przekładni wymaga poważnej pracy...
- Możesz je wymienić – zasugerował gospodarz, potrząsając głową. – Uważam, że nie ma sensu ich naprawiać.
- Edmund – odpowiedział farmer, rozrzucając ramiona – wiem o tym, ale... No wiesz, na miłość Ghu, używam *pluga* ciągniętego przez konie. Zamierzam odtworzyć budynek, choć nie ma innego sposobu na zebranie ludzi, którzy mogliby mi przy tym pomóc niż czekanie na Jarmark. Ale...
- Zrobię to – westchnął Talbot, potem zachichotał. – Chryste, cieszę się, że nie żyjemy naprawdę w trzynastym wieku.

– Ja też. Domowa kanalizacja.

– Nanity medyczne.

– Ocieplenie.

– Krasnoludy! – od drzwi zabrzmiał chropawy, mocno akcentowany głos. Gość był niski, nieco poniżej pięciu stóp wzrostu i niemal równie szeroki w ramionach. Przed zimnem osłaniał go kozuch narzucony na strój ze skóry i kolczugę. Na ramieniu opierał potężny obusieczny topór, a głowę osłaniał Metalowym hełmem. Na jego twarzy rysował się szeroki, błyszczący białymi zębami uśmiech otoczony prawie sięgającą ziemi brodą.

– Angus! – wykrzyknął Talbot, podchodząc i obejmując krasnoluda za szerokie ramiona. – Powinieneś być wysłać jeźdźca!

– I Żaden krasnolud nie będzie jechał na koniu, jeśli poniosą go własne nogi lub wóz – odparł gość, opierając topór o ścianę. – Choć cholernie zimno na różowanie. Cieszę się, że dotarł do ciepła twojej kuźni.

Dwa wieki wcześniej Angus Peterka do tego stopnia dał się urzec tradycyjnemu obrazowi krasnoludów, że Przemienił się i założył własną kolonię krasnoludów w Stalowych Wzgórzach Sylvi. Przed tysiącami wzgórze zostały całkowicie wyczyszczone z surowców, ale przez ostatnie pięćset lat, w ramach długoterminowego programu odbudowy ekologicznej, większość minerałów została umieszczona tam z powrotem. Zapelniono nimi puste korytarze kopalni. Angus dodał materiały nie występujące oryginalnie w tej okolicy: żyły srebra, różnorakie klejnoty, złoto i głęboko, bardzo głęboko w trzewiach góry wytworzony dzięki nanotechnice materiał, który według niego pasował do charakterystyki adamantium. Wszystko to zostało rozlokowane za pomocą generatora semilosowego i przez ostatnie dwa stulecia krasnolud próbował to wszystko odnaleźć. Określał to mianem „prawdziwego górnictwa”, choć jego przyjaciele woleli określenie „największe na świecie łowy na śmieci”. Inne „krasnoludy” przybywały i odchodziły, ale Angus wciąż trwał, stemplując korytarze, odnajdując żyły i żłapiąc piwo.

Edmund uważał, że było to hobby, które przerodziło się w obsesję. Z drugiej strony, jego własne obsesje odeгнаły od niego więcej kobiet, niż był w stanie zliczyć, łącznie z tą jedyną, którą naprawdę kochał. Nie jemu było rzucać kamieniami.

– Mam dla ciebie stal – oświadczył krasnolud, podchodząc do pieca ogrzać dłonie. – I znalazłem wreszcie żyłę cholernego adamantium. Jestem ciekaw twojej opinii. – Wyciągnął sztabę matowoszarego materiału.

– Nie wygląda jakoś szczególnie. – Edmund podrzucił ją w dłoń. Co dziwne, kiedy ją rzucał, zdawała się prawie nic nie ważyć, ale gdy opadła z powrotem na dłoń, uderzenie było dość silne. – Rozwinięte nanitowo?

– Rozwinięte, tak, ale widzisz, nie ma ich w tym – stwierdził Angus. – Został wymyślony w... hmm... dwudziestym trzecim wieku, czy jakoś tak, jako materiał reaktywny na wspomagane zbroje. Tak więc jest dopuszczalny w turniejach dla dowolnych, ale nie zasilanych, zbroi!

– Ach – odezwał się Myron. – Nie ma znaczenia, nikt nie będzie chciał używać czegoś tak brzydkiego.

– Ale to zmienia wygląd po obróbce – wyjaśnił Angus, chwytając sztabkę i rzucając ją w piec. – Nie możesz go po prostu stopić, nie zadziała na niego żaden ogień, jaki byłbyś w stanie wyprodukować. Powinien zostać nienaruszony nawet w fotosferze, żeby go uformować, *konieczne* jest stosowanie nanitów i pól elektromagnetycznych. Ale, och, kiedy już się go *obrobi!* Wyciągnął nóż z pochwy przy pasie i błysnął klingą. – Podziwiajcie! Adamantium!

Klinga noża była srebrzysta z biegnącym przez nią tęczowym poblaskiem-Edmund wziął nóż w dłoń i przesunął palcem po ostrzu, cofając po chwili rozciętą skórę. Potem wziął miecz, nad którym pracował i przesunął nim po ostrzu noża. Zamiast zostawić rysę czy drobne nacięcie, klinga wcięła się głęboko w stal.

– A niech to diabli – westchnął Myron z podziwem.

– Czy wspominałem, że tworzy monomolekularne ostrze? – powiedział Peterka z kolejnym, szerokim uśmiechem.

– Dziwne wrażenie – stwierdził Talbot, podrzucając w górę nóż. Po kilku razach rzucił nim w drzwi. Klinga zatopiła się w nich po rękojęść. – Materiały nie z epoki. Rada nie dopuści go na turniejach.

– Na regularnych turniejach nie – zgodził się Angus, wzruszając ramionami. – Ale w nieograniczonych bez zasilania tak.

– Tak – przyznał Edmund. – Mówiłeś, że jak się to formuje? – zapytał, wy ciągnając sztabkę z ognia. Dotknął ją zwilżonym palcem, ale jak się spodziewał, nie była nawet ciepła. – Dziwny materiał.

– Na poziomie molekularnym jest jeszcze dziwniejszy. Zasadniczo przy pierwszym przebiegu ustawia się matrycę molekularną za pomocą nanitów. Po tym, jak zostanie uformowany pierwszy raz, łatwiej już z nim pracować. Ale przy kolejnych formowaniach musisz go przekonać, że jest już gotowy do kształtowania.

– To sporo wyjaśnia – uśmiechnął się Edmund. – Wiesz, *mogę* sobie to sam znaleźć.

– Ależ proszę bardzo – odpowiedział Angus z uśmiechem przez brodę. – Jedną z rzeczy, których nie zauważyli jego twórcy, jest fakt, że istnieje sposób na zrobienie tego z innych rud. Występujących naturalnie.

– Mimo wszystko nie da się tego używać na turniejach – powtórzył Talbot. - I nie jest to najlepszy możliwy materiał na walki bez ograniczeń. Czyli jest uroczy, ale to mniej więcej wszystko.

– Niezupełnie – zaprotestował Angus, wskazując na swoją kolczugę. – Dzinnie, wyłącz osobiste pole ochronne. A teraz, Edmundzie, rąbnij we mnie.

– Nie ma mowy – odpowiedział kowal, zerkając na palenisko. – Nie mam gotowego ostrza.

– Użyj mojego topora – zasugerował gość. – No dalej, to nie będzie bolało.

– Ale topór przetnie tę cholerną zbroję, ty durniu! – A gdzie tam. Spróbuj.

– To mi wygląda na stal – stwierdził Talbot, biorąc w dłoń topór.

– Można zrobić, żeby tak wyglądało – wyjaśnił Angus. – Wal!

– Cholera – mruknął Edmund, unosząc drzewce. – Sam się o to prosiłeś. - Wziął szeroki zamach i wycelował w krasnoluda. Nawet w kolczudze, nawet jeśli tworzywo wytrzyma – co było wysoce prawdopodobne – uderzenie musiało przynajmniej złamać mu żebro. Z pewnością w każdym razie będzie bolesne Jak diabli. Jakichkolwiek jednak dokona uszkodzeń, naniy naprawią je dostatecznie szybko.

Topór uderzył w kolczugę i odbił się, jakby trafił na stalową ścianę. Puścił go, krzywiąc się od drgań harmonicznyc. – Cholerny świat!

Angus został przez cios odrzucony do tyłu, ale i tak wyszczerzył się w uśmiechu. -Kiedy dwa kawałki stykającego się materiału poddane zostaną ruchowi bocznemu, czyli zasadniczo przy tarcu, tworzą czasowo kowalencyjne wiązania.węglowe. Powiedziałem, że zostało to zaprojektowane jako zbroja *reaktywna*. Kiedy się to uderza, zmienia się w płytę. *Diamentową*.

– No, to jest interesujące. – Edmund obmacał elastyczną już kolczugę. Jednym z problemów przy używaniu płyt jest fakt, że się nie zginają. Osoba ubrana w zbroję płytową ograniczona j est do j ej formy, co czasem bywa bardzo niewygodne. – A co z poruszaniem się, zginaniem ramion i tym podobnym?

– To wszystko ma za małą energię, żeby odgrywać jakąś rolę. Jest odrobinę mniej giętka niż zwykła kolczuga, ale niedużo.

– Ciekawe – wymamrotał Talbot. – Jak się to robi?

– To prywatny program – zastrzegł Peterka. – Ale ponieważ jesteś dobrym przyjacielem... – dodał z uśmiechem.

– Zamierzasz się zabrać za zabawę z tym czymś i zostawić moją młockarnię, co? – zaniepokoił się Myron.

– Nie, mogę robić i jedno, i drugie. Przynieś mi części, które chcesz, żebym naprawił oraz specyfikacje, a zrobię je dla ciebie.

– Świetnie, to załatwione – odezwał się Angus. – Teraz chodźmy się napić i świętować moje odkrycie pierwszego złoża.

– Dużo tam tego jest? – zapytał Myron.

– W tym pierwszym niewiele, ale jest ich więcej – odparł krasnolud. – Znajdziemy resztę. Choć leży cholernie głęboko. Jesteśmy teraz na poziomie, z którym nie radzą sobie za dobrze pompy z epoki.

– Jest epoka i epoka – stwierdził Edmund. – Postaw mi drinka, co ważniejsze, daj mi trochę tego czegoś do zabawy, a ja przedstawię ci pewne aspekty, których pewnie nie brałeś pod uwagę.

– Umowa stoi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Umowa stoi. – Daneh westchnęła, rozłączając się.

Praca nie należała do jej ulubionych, ktoś chciał oryginalnego Transferu w coś dość mocno przypominającego płaszczkę manta. Jednak stał za tym wyższy cel – forma świetnie nadawała się do głębokich nurkowań, a osoba ta zamierzała prowadzić badania w głębinach morskich – i nie istniały żadne poważne problemy w rodzaju tych u Herzera.

Kątem oka zauważyła, jak Lazur podnosi się i otrząsa, kierując się w stronę pokoju Rachel, co prawdopodobnie oznaczało, że dziewczyna wróciła. Zastanawiając się nad tym, Daneh doszła do wniosku, że chyba nie widziała córki od kilku dni.

– Rachel? – zawołała Daneh, a jej głos został automatycznie przeniesiony do pokoju dziewczyny.

– Tak, mammo?

– Gdzie byłaś?

Zapadła cisza, która sprawiła, że Daneh usiadła wyprostowana i ucięła możliwość dowolnej odpowiedzi, jaką mogłaby uzyskać.

– Przyjdź tu do mnie na chwilę, dobrze?

– Tak, mammo – odpowiedziała Rachel z westchnieniem, które zostało wiernie odtworzone przez system transmisyjny.

Gdy tylko dziewczyna weszła do pokoju, Daneh poczuła skurcz żołądka. Już Wcześniej popadła w lekką depresję, ponieważ zaniedbała pilnowania realizacji projektów mających kontrolować siłę charakteru córki. A teraz to.

– Rachel, wydawało mi się, że zgodziłyśmy się, że nie będzie żadnego rzeźbienia ciała?

Nie było tego wiele, ale dla jej oka eksperta wyróżniało się to jak neon. Brwi Rachel zostały zaokrąglone, kości policzkowe wyostrome, a nos lekko zwężony. Co więcej, miała zmniejszone piersi i pośladki ścięte jeszcze bardziej niż na przyjęciu u Marguerite.

– *Ja* się nie zgadzałam, tylko *ty* – ostro odparowała Rachel.

– Jestem twoją matką i to *moja* decyzja – zimno odpowiedziała Rachel. - Gdzie ci to zrobiono?

– Nie muszę ci tego mówić. – Dziewczyna skrzyżowała ramię. – Ja... ja nie muszę mówić.

– Mogłaś to wziąć z Sieci – stwierdziła Daneh, przekrzywiając głowę na bok.

– To rodzaj zwykłych śmieci, jakich tam pełno – dodała z profesjonalną pogardą.

– Ale w Sieci obowiązuje mój wyraźny zakaz. *Więc jak to zrobiłaś?*

– *Nie muszę tego mówić* – powtórzyła Rachel. – I *nie* są to zwykłe śmieci.

– No cóż, zostało to bardzo nędznie skonstruowane – zimno skomentowała Daneh. – Przyznaj mi, córko, chociaż umiejętności zawodowe. Brwi są *źle* wyważone, kości policzkowe psują efekt nosa, a cała kombinacja sprawia, że wyglądasz jak krótkodzioby ptak. Powtarzam, *nie* jest to dobrze zrobione.

– No tak, ty mi nie *pozwoiliłaś* zrobić tego *dobrze*, mamó – odcięła się wściekle. Potem zapadła się w siebie, potrząsając głową. — Ale... masz rację. To *naprawdę* wygląda okropnie, prawda?

– Nie okropnie – sztywno odpowiedziała Daneh. – Ale nie jest to ani modne – nie, żebym lubiła obecną modę, jest niezdrowa – ani nie wygląda to dobrze na *tobie*. Bądźmy szczerze, kochanie, o ile nie przejdiesz całkowitej przebudowy twarzy i ciała, wyglądając w efekcie jak twoja koleżanka Marguerite i wszystkie inne dzieciaki, które skorzystały dokładnie z tego samego zestawu modelowania genetycznego, nie możesz zrobić prawie nic, żeby wyglądać zgodnie z obecną modą. Jesteś zbyt... – Daneh przerwała, szukając odpowiednich słów.

– Tłusta – dokończyła Rachel.

– Nie tłusta, kobieca – zaprzeczyła Daneh. — W dzisiejszych czasach nikt nie jest tłusty. Tłustym się jest, jeśli ma się fałdy wiszące... – spojrzała na swój żołądek i wzruszyła ramionami. – Widziałaś zdjęcia. Jesteś *piękna*, kochanie. Bardzo dobrze wiesz, że były czasy, kiedy byłabyś uznawana za absolutną piękność – dodała z westchnieniem.

– Jasne, mamó, ale w tych czasach faceci nie oceniają już kobiet w kategoriach ich zdolności do przeżycia głodu.

– Niezbyt pasujesz do modelu Rubensa – zaprotestowała Daneh. – Chcesz, żebym to naprawiła? Czy wolisz tak zostać do czasu, aż będziesz mogła przejść pełne rzeźbienie? Znam parę osób, które są w tym bardzo dobre.

– Kiedy? – zapytała zaskoczona Rachel.

– Kiedy skończysz osiemnaście lat. Tymczasem jesteś *uziemiona* bez ograniczeń. Jeśli nie potrafisz dotrzymać takiej obietnicy, nie jestem pewna, jakiej *dotrzymasz*.

– Mamó!

– Nie marnuj mi tu – zirytowała się lekarka. – Dowodem na to, że nie jesteś dostatecznie dorosła na podejmowanie decyzji, jest fakt, że zrobiłaś coś za moimi plecami i jeszcze pozwoliłaś to sobie zepsuć.

– Oooo... ja... ja... – Rachel przez chwilę intensywnie zaciskała szczęki, po czym obróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju.

– Dzinnie, mówiłam poważnie o tym uziemieniu. Przypomnij mi o tym za tydzień.

– Tak, proszę pani – odpowiedział program. Daneh westchnęła i pomasowała się po skroniach.

– Co za dzień.

Niespodzianką okazała się... dziewczyna. Albo -jak pomyślał Herzer, i co było znacznie prawdopodobniejsze – homunkulus. Znajdowali się razem z Dionysem i około pół tuzinem jego zwykłych kompanów w leśnym wąwozie. Była mała i sprawiała bardzo kruche wrażenie, z krótkimi czarnymi włosami i elfią twarzą. I wyglądała na przestraszoną.

– Czy to homunkulus? – zapytał, żeby się upewnić. Normalnie homunkulus witał świat dość prostym uśmiechem. Ten wyglądał na przerażonego. Żeby zyskać całkowitą pewność, wysłał mentalne zapytanie do Sieci i został zapewniony, że faktycznie był to homunkulus, a nie przestraszona dziewczynka, ledwie nastolatka.

– Och, tak – odpowiedział Dionys z sardonycznym uśmieszkiem. – Ale bardzo specjalny. Została tak zaprogramowana, żeby bać się seksu. O tyleż bardziej... interesujące.

– Myślałem, że to nielegalne? — ze zdumieniem spytał Herzer. Czuł, jak pali go skóra twarzy i dłoni.

– Nie tyle... nielegalne, co ograniczone – stwierdził Dionys z kolejnym uśmieszkiem. – Czasem dobrze jest mieć wpływowych przyjaciół.

Herzer nie był prawiczkim, przynajmniej jeśli chodzi o homunkulusy. Co do kwestii, czy się to liczyło, zdania były podzielone, ale wraz z rozwinięciem się ostrych objawów jego choroby zawieranie przyjaźni, zwłaszcza z dziewczynami, było trudne. Tak więc poza używaniem dłoni homunkulusy stanowiły dla niego jedyny sposób na rozwinięcie nastoletniego libido. Zawsze też umieszczał się w roli bohatera, czystego paladyna na białym rumaku. Ale...

Ten urok nie był mu obcy. Pragnienie nie tylko bycia w kobiecie, bycia z nią jednością, lecz kontrolowania jej i dominacji. Brać, zamiast negocjować lub, jak w przypadku zwykłych homunkulusów, dostawać do woli. Był to sekret, który normalnie ukrywał głęboko i z nikim o nim nie rozmawiał. Nigdy. Nie miał z kim. Nikogo, kto by... zrozumiał. Słyszał plotki o nadużywanych homunkulusach, z których część musiała być poddana wymianie. Teraz rozumiał czemu.

– Bohater? Czy gwałciciel? Czasami... granica wydawała się tak dziwnie bliska. Szał bitewny był tak podobny do tego, co czuł, fantazjując... o złych rzeczach. Nawet wobec samego siebie ciężko mu było użyć słowa „gwałt”. Odebrać życie orkom, zmasakrować przeciwników i widzieć, jak uciekają przed jego rumakiem, rzucić przestraszoną dziewczynę na ziemię i wziąć to, co mu się należało. Odegrać się na wszystkich dziewczynach, które naśmiewały się z niego w trakcie ataków drgawek. Wszystkich dziewczynach, które odrzucały go, kiedy najbardziej ich potrzebował. Brać i brać bez ograniczeń. Karać.

Był paladynem czy łotrem? Nie potrafił zdecydować.

– Zwłaszcza teraz, patrząc na tą bezbronną, przestraszoną... zabawkę. Nie była prawdziwą kobietą, prawdziwą dziewczyną. Była tylko sztucznym konstruktem. W jakiś sposób równocześnie przynosiło mu to ulgę i czyniło sprawę... mniej zakazaną. Prawie mniej interesującą. Ale niewiele.

– Proszę – wyszeptał homunkulus ze łzami spływającymi po policzku. - Proszę...

– Niezależnie od tego, jak bardzo starał się kontrolować, poczuł ogień budzący się w ciele...

– – Nie ma w tym nic złego – odezwał się Dionys. – Mężczyźni mają... potrzeby. To jeden ze

sposobów na ich zaspokojenie. Z czasem przekonasz się, że kobiety mają... bardzo podobne potrzeby. Ale nawet to jest tak sterylne. Tyle zasad, tak wiele środków ostrożności. To jest naprawdę. – Poklepał Herzera po plecach. Lekko. – Proszę bardzo. Weź ją. Baw się.

Herzer mimowolnie postąpił o krok i sięgnął jedną ręką do bluzki dziewczyny. Była z białego badwabiu ze staroświeckimi guzikami pasującymi do krótkiej spódniczki z tego samego materiału. Wyobraził sobie siebie zdzierającego bluzkę, przesuwającego dłonie w górę jej ud... wzięcie jej.

– Proszę, nie – wyszeptała dziewczyna. – Proszę...

Przez chwilę mocno zaciskał szczęki, po czym potrząsnął głową.

– Nie, Dionys – powiedział ochryple. – To nie w porządku.

– Jak może nie być? – Mężczyzna wyglądał przede wszystkim na zaskoczonego, jakby nigdy o czymś takim nie pomyślał. – Ona jest tylko homunkulusem.

– A jej strach nie jest prawdziwy – zgodził się Herzer, choć wyłącznie na poziomie intelektualnym. – Ale... to i tak nie w porządku. Nie jestem... to nie w porządku. – Spojrzał na dwóch trzymających jej ramiona, ale tylko wyszczerzyli zęby w uśmiechach. – To nie w porządku.

– Już to mówiłeś – z dezaprobatą odpowiedział Dionys. – Bardzo dobrze, jeśli nie chcesz zostać i dobrze się bawić, możesz iść. Wracaj do swoich łagodnych, cichych zabawek i wszystkich tak zwanych przyjaciół, którzy cię zdradzili.

Herzer zaczął otwierać usta, by odpowiedzieć, ale spojrzał na twarz McCanoca i tylko potrząsnął głową.

– Dzinnie, dom.

* * *

Wchodząc do potężnej Sali, Sheida rozejrzała się po członkach Rady, ale jeśli ktoś planował jakieś intrygi, nie było tego widać. Celine najwyraźniej postanowiła skopiować fryzję Ishtar i jej włosy, odpowiednio przedłużone, zostały ułożone w olbrzymią kreację poprzebijaną błyszczącymi osami ze złota i mahoniu.

Paul i reszta jego frakcji zgromadzili się przy jednej ze stron stołu, więc gdy Sheida, która przyszła jako ostatnia, zajęła swoje miejsce, wstał, by przywołać Radę do porządku.

– Pierwszą sprawą będzie zmiana porządku obrad – oznajmił Paul. – Matko, proszę o odniesienie się do pierwszego punktu porządku B. – Spojrzał w stronę wejścia i uśmiechnął się. – A oto i nasz ósmy głosujący.

Sheida szybko zerknęła przez ramię, myśląc przy tym, że może to być sztuczka, ale potem zamarła.

– Wezwałś DEMONA? – wykrzyknęła. Reagując na krzyk jaszczurka odwinęła się z jej karku i wzniosła ku szczytowi kopuły. Po chwili znalazła sobie półkę, z której zaczęła się złowrogo przyglądać zebraniu.

Rzeczywiście, uczynił to – zawarczała postać. – I głosuję na *tak*. – Nie sposób było określić, jaka jest prawdziwa postać Demona, jako że wszędzie pojawiał się w czarnej zbroi. Osłona hełmu została

ukształtowana w twarz bestii z płonącymi oczami i kłami, a rękawice kończyły się długimi pazurami. Był jednym ze zwykle nieobecnych właścicieli Kluczy, starszym niż reszta Rady. Przedłużał życie dzięki zastosowaniu wysoce nielegalnych metod, używając władzy związanej ze swoim stanowiskiem do naruszania prawa dla własnych celów. A jego celem zawsze był chaos, więc pojawienie się na tym zebraniu miało sens.

Ze strony frakcji Paula rozległa się seria potwierdzeń, po których uśmiechnął się szeroko.

– Osobiste pola ochronne zostały teraz wyłączone – powiedział ze złośliwą satysfakcją. – Punkt drugi, za. – Po analogicznej serii ośmiu głosów na tak wzruszył ramionami. – Rada znajduje się oficjalnie w stanie sporu i obowiązują zasady kadłubowe. – Smutno spojrzął na Sheidę. – Robię to dla całej ludzkości. Nie możesz stawać na drodze przetrwania rasy ludzkiej. Celine?

– Witamy w nowym porządku – powiedziała Celine, wstając z miejsca. – Moi przyjaciele chcieliby się z wami zaprzyjaźnić – mówiła dalej, a jej włosy zdały się eksplodować.

Sheida zakłęła, gdy chmura owadów wystartowała przez salę. Trucizny i trukce formy życia nie były dozwolone w sali Rady, ale w grupie widać było dwa rodzaje os, czarne i żółte.

– Trucizny binarne! – krzyknęła, zrywając się na nogi i przewracając w pośpiechu krzesło. W tej samej chwili Demon skoczył w powietrze.

Cantor zdążył się już podnieść i nie zawracał sobie nawet głowy Przemianą, waląc ręką w Tetzacolę Duenasa. Uderzenie złamało kark ofiary i rzuciło nią w powietrze w stronę Sheidy dokładnie w chwili, gdy na plecach niedźwiedziolaka wylądował Demon.

Ungphakorn również nie tkwił w bezruchu. Chwycił za szczytu stołu i odwinął się z zajmowanego miejsca, przerzucając długie, węzowe ciało i oplatając Saida. W jednej chwili członek Rady został porwany ze swojego miejsca i owinięty licznymi splotami upierzonego ciała. Wydobył z siebie pojedynczy krzyk, może bardziej jęk, po czym jego oczy i język wyskoczyły na zewnątrz, gdy wąż użył całej swojej siły w uścisku śmierci. Quetzacoatl zerwał z jego karku Klucz i na wpół lecąc, na wpół pełznąc, ruszył w stronę wyjścia, wymachując przy tym końcem ogona i odganiając się nim od atakujących go os.

Latająca jaszczurka Sheidy skoczyła, pikując ze swojej półki, zwijając skrzydła na grzbiecie i złapała jedną z os w powietrzu, miażdżąc ją i wypluwając. Zasyczała, przelatując obok Celine, łapiąc więcej owadów.

Sheida uniosła rękę i jej bransoleta przekształciła się w szeroką tarczę. Machnęła nią w powietrzu i odgoniła dwie osy, nachylając się do ciała martwego członka Rady i zrywając z szyi Tetzacoli Klucz.

– Uciekajcie! – krzyknęła, wycofując się w stronę wyjścia.

Cantor wciąż zmagał się z Demonem, gdy wylądowały na nim dwie osy, szukając w jego futrze nieosłoniętego miejsca. Spojrzała w jego stronę, ale tylko potrząsnęła ku niej głową.

– Uciekaj! – wrzasnął, zrywając swój Klucz i rzucając w jej stronę. Wyrwał ręce z uchwytu Demona i chwycił go za kły, wykręcając głowę bestii w górę i tył. – Idź! – krzyknął, czując pierwsze ukłucie.

Ishtar dotknęła kontrolki na jej unoszącym się w powietrzu fotelu i wyleciała z Sali, gdy tylko zaczęły się kłopoty, ale część os podążyła jej śladem. Sheida była raczej pewna, że nic jej nie będzie, jednak stwierdziła nagle, że w pokoju pełnym wrogów została już tylko ona i Aikawa.

– Czas się wynieść – zawołała, wycofując się szybko w stronę drzwi i odganiając tarczą kolejne osy, podczas gdy jej latający strażnik porwał z powietrza następną i wylądował jej na głowie, wysuwając wściekle język.

– Hmm – mruknął Aikawa, chwytając w powietrzu jedną z os i miażdżąc ją płynnym ruchem, sprawiającym wrażenie jakiejś magii. – Przypuszczani – powiedział cicho, łapiąc kolejną i przyglądając się przez chwilę rzucającemu się owadowi, zanim zgniółł go w palcach. Uważał, żeby nie ruszyć ostrego żądła z tyłu. Wrzucił oba zgniecione ciała do woreczka, a potem machnął w stronę byłych kolegów. – Zamierzam was za to zabić. – Po tych słowach wydostał się z Sali za pomocą na pozór niemożliwej serii przewrotów w tył.

Sheidę otaczała teraz chmura owadów i wycofując się, poczuła pierwsze ukłucie.

– Do widzenia, Paul. Do zobaczenia w piekle. – Z tymi słowami jeszcze raz machnęła tarczą i uciekła. Ostatnią rzeczą, jaką udało się jej dostrzec w Sali, było ciało Cantora doznające pierwszych drgawek. Wciąż jednak trzymał Demona w nierozzerwalnym uścisku.

* * *

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami czworo ocalałych członków Rady spotkało się w domu utrzymywanym przez Sheidę w górach Teron. Z jego głównego pokoju rozciągał się spektakularny widok na górskie jezioro podobne do tego przy Centrum Rady. To jednak znajdowało się po drugiej stronie planety.

– Paul ruszy za nami – rzekł Aikawa, rozglądając się wokół.

– Nie tak łatwo – odparła Sheida, sunąc przez pokój i gwałtownie otwierając kredens. – Dom ma własne źródło zasilania, niezależne od Sieci. I blok teleportacyjny – Oraz broń. Niech przychodzi.

– Z Sieci ucieka moc – odezwała się Ishtar, patrząc na coś niewidocznego dla reszty. – On przygotowuje...

Jeszcze nie skończyła mówić, kiedy z pustego nieba wystrzelił piorun, rozbijając się na niewidocznej barierze nad domem i wzbudzając wstrząsy w podłodze, a w piwnicy zaczęło coś zgrzytać.

– Och, i pole ochronne – powiedziała Sheida, gdy jej jaszczurka wzbijała się w powietrze przestraszona uderzeniem. – To zostało wyprowadzone wprost z Sali Rady. Nie możemy odpowiedzieć bezpośrednio, ale... – otwarła umysł na Sieć i zagłębiła się w nią, szukając słabości. – Pobierają moc wprost z Sieci, ale nie są podpięci do żadnej konkretnej elektrowni. – Rozważyła dostępne protokoły i obróciła się. – Potrzebuję głosowania, wszyscy za odłączeniem całej dystrybucji energii niech powiedzą „tak”.

– Ale jeśli to zrobimy... – Ishtar przerwała, gdy o tarczę rozbił się kolejny grom.

– Ludzie zginą – dokończył Aikawa.

– Właśnie rozpoczyna się wojna – odparła Sheida. – *I nie* mamy czasu na dyskusje. Nie możemy przejąć wszystkich elektrowni pod naszą kontrolę, oni już tego próbowali, ale nie pozwalają na to protokoły. Ale jeśli wyślemy ludzi, żeby przejęli fizyczną kontrolę, możemy opanować dystrybucję energii. – Zmarszczyła czoło, potem kiwnęła głową. — Właśnie zrzuciłam na nich pół tuzina satelitów. To powinno trochę poprawić sytuację. I odciągamy z Sieci tyle energii, ile tylko mogę, próbując stopić pod nimi ziemię. Oczywiście jesteśmy na to bardziej podatni niż oni.

– Właśnie zwiększyłam moc tarczy nad tym miejscem – wtrąciła Ishtar, gdy następny pocisk rozbił się znacznie wyżej na niebie. – I wysłałam podobny ładunek przeciw nim. Istnieje górny limit energii dostępnej na nasze osobiste żądanie. Nigdy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Choć jest... dość duży – dodała, gdy następne uderzenie wywołało dygotanie góry. – Sugerowałabym wzmocnienie fundamentów tego miejsca. I to szybko.

– Matka nie odda żadnemu z nas nieograniczonej mocy, to protokół zabezpieczający z czasów wojen SI – wyjaśnił Aikawa. Zastanowił się przez chwilę. – Dobra, odłączamy wszystkie generatory od Sieci. Co nam to da?

– Będziemy musieli pobierać z nich energię indywidualnie – odpowiedziała Sheida. Istniało czternaście terawatowych generatorów dostarczających energię do Sieci, plus dodatkowe źródła nieco mniejszej mocy, w rodzaju rejonów geotermicznych, gdzie nanity odsysały energię w celu zapobieżenia erupcjom i innym niepokojom. W historii był taki okres, krótko po wojnach SI, kiedy całkowita produkcja mocy przekroczyła trzydzieści terawatów. Jednak zużycie takiej ilości energii na powierzchni planety doprowadziło do poważnych problemów i w miarę jak liczba ludności spadała, produkcja energii utrzymywała się na stałym poziomie, za to spadło zużycie. Okazjonalnie zdarzały się głosy nawołujące do zwiększenia produkcji, ale kiedy moc elektrowni przekroczyła dwadzieścia terawatów, spora jej część musiała być zużywana na kontrolę klimatu.

– Oznacza to, że ktokolwiek ma generatory, ma energię – stwierdziła Ishtar. – Śledzę przepływy, których używają w tej chwili i biorą wolną energię z dwureaktorów w Ropazji. Jeśli moglibyśmy zapobiec pobieraniu mocy z innych...

– W takim razie zacznijmy dzwonić do ludzi, którym możemy zaufać, żeby przejęli fizyczną kontrolę nad generatorami – zaproponowała Sheida, kiwając głową. – Wtedy będziemy mogli kontrolować produkcję, a Paul nie. – Jej twarz wygładziła się i uśmiechnęła się. – Dobrze, właśnie dołączyłam do Ishtar w rąbaniu w Salę Rady. Umieściłam tam też blok teleportacyjny.

– To też wymaga energii – zauważyła Ishtar, marszcząc brwi. – I to gra dla obu stron, taki sam wylądował właśnie tutaj.

– Tak, ale mam przyzwoitą drogę na zewnątrz – roześmiała się Sheida. – Niech spróbują wyjść z Sali Rady.

– Więc skończy się na walkach o generatory – odezwał się Ungphakorn, gniewnie pusząc pióra. – Będziemy musieli każdy z nich osłonić tarczą.

– Ale gotowa jestem postawić duże pieniądze, że mamy przyjaciół lepszych w tych rzeczach niż oni — odpowiedziała Sheida, wzruszając ramionami. – Dobrze, wypuściłam awatary.

– Już odciągamy energię z ogólnego użytku – ze zdumieniem zauważyła Ishtar. Spojrzała na

wzgórza otaczające dom. Tam, gdzie jeszcze niedawno rosły sięgające nieba drzewa, ziemia czerniała się popiołem, wtórne efekty nieodpartej siły działającej na nie dający się poruszyć obiekt. – Wciąż jest dość do podtrzymania Sieci, ale jeśli to utrzymamy...

– Jeśli tego nie utrzymamy, wygra Paul i jego „plan pięcioletni” – odpowiedziała Sheida. – Nie możemy na to pozwolić.

– I mamy dodatkowe Klucze – zauważył Aikawa, unosząc jeden z nich.

– Ale *nie* mamy nikogo, kto mógłby nimi głosować albo ich używać – dodała Ishtar. – Potrzebujemy ludzi. Takich, którym możemy *zaufać*.

– Znam jednego – oświadczyła Sheida.

– Sieć energetyczna... – z przejęciem wyszeptła Ishtar, patrząc na nieskończoność Sieci. – Sieć energetyczna... wyłącza się.

* * *

Dwaj walczący krążyli wokół siebie ostrożnie, wypatrując otwarcia. Obaj byli tak samo opancerzeni w kolczugi, hełmy, napierśniki i tarcze, w prawych dłoniach swobodnie trzymając proste miecze.

Po chwili bezowocnego krążenia, większy z nich skoczył naprzód z okrzykiem i uderzył własną tarczą w tarczę przeciwnika, usiłując zadać cios ponad nią.

Harry Chambers roześmiał się, cofając się pod naporem tarczy i machając mieczem w bok, by prześliznąć się po krawędzi tarczy większego przeciwnika.

– Na starość robisz się powolny, Edmundzie – zachichotał, tanecznym krokiem wychodząc poza zasięg.

– Ty też – odpowiedział jego przeciwnik, ale musiał przyznać, że w tym stwierdzeniu kryło się trochę prawdy – toczyli z Harrym pojedynki już od lat, ale nigdy jeszcze lżejszy wojownik nie obronił się przed atakiem na tarczę z taką łatwością. – To po prostu oznacza, że muszę bardziej postawić na technikę.

– _ Zero szans – odparł Harry, skacząc do przodu z serią uderzeń. Umieszczał cios za ciosem na tarczy przeciwnika, uważając przy tym, żeby nie uszkodzić klingi na umbie ani okutej metalem krawędzi. Jednak seria uderzeń wywołała pożądany efekt, zmuszając Edmunda do cofnięcia się, pierwszy raz, od kiedy pamiętał. – Jesteś słaby, Edmundzie. Całe to życie w luksusie czyni cię słabym.

– Obawiam się, że masz rację – wysapał starszy wojownik, próbując wyprowadzić własne ataki. Jednak jego uderzenia bez efektu lądowały na tarczy lżejszego przeciwnika i nie był w stanie powstrzymać jego ataków. W końcu potknął się na leżącym luzem kawałku drewna do kominka i opadł na kolano, podnosząc tarczę w górę, by osłonić się przed ciosami.

– Słaby, Edmundzie – krzyknął zadowolony Chambers, był to pierwszy raz, kiedy tak łatwo udało mu się zwyciężyć. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien się cofnąć, ale wciąż nie trafił w przeciwnika dostatecznie silnym uderzeniem, a jedynie serią ciosów w tarczę, wolno niszcząc

wzmocnioną sklejkę.

– Tak – wydyszał Edmund, cofając swój miecz. – Przypuszczam, że robię się za stary – mówił dalej, wysuwając równocześnie miecz do przodu, dobrze poniżej zastawy przeciwnika, i wbijając go w jego udo. Trysnęła krew, a Harry Chambers krzyknął z bólu. Nagle wszystko przestało być tym, czym się wydawało.

– *Dobry Boże, Edmund!* – wykrzyknął, padając na ziemię i sięgając ręką do tryskającej rany. – Co ty zrobiłeś ze swoim mieczem!

Pole tępiące miecza powinno nie dopuścić, by tnąc, spowodował jakieś uszkodzenia, choć przeciwnik dostałby pamiątkę w postaci potężnego siniaka. Zresztą do kontaktu nie powinno też dopuścić osobiste pole ochronne Harry'ego, nawet przy jego ograniczonej na czas walki mocy. Żadne z nich się nie włączyło.

– Nic nie zrobiłem -jęknął Talbot, opadając na kolana i chwytając dłoń przyjaciela. – Pokaż mi to.

– To *cholernie* boli! – krzyknął ranny. – O jakżesz, jak to *piekielnie* boli!

Edmund oderwał dłoń młodszego mężczyzny i przyjrzał się głębokiemu rozcięciu na zewnętrznej stronie uda. Miecz przebił się przez kolczugę i wyściółkę pod spodem, a następnie przez mięsień czwórgłowy. Rana bardzo obficie krwawiła, ale nie zagrażała życiu, nie tryskała z niej jasnoczerwona krew tętnicza ani nawet równy strumień z rozciętej żyły.

– To tylko uszkodzony mięsień – stwierdził Edmund, marszcząc czoło.

– To cholernie bolesny uszkodzony mięsień – odpowiedział Harry, siadając, Jako że minęły efekty szoku i zaskoczenia. – Czemu nie otacza jej chmura naprawcza? Czemu to *boli*?

– Dlaczego ten cholerny miecz w ogóle się przebił? – retorycznie zapytał Edmund. – Służący. – Odczekał chwilę, potem zmarszczył czoło. – Służący!

– Dżinn? – wyszeptał Harry. – O cholera. *Dżinn!* – Nie było odpowiedzi Żaden głos nie odezwał się z powietrza i nie pojawiła się projekcja.

Edmund rozejrzał się wokół. Byli na placu treningowym za kuźnią, jednym z trzech, którymi dysponował. W końcu pokręcił głową i chwycił mocno Chambersa pod ramię.

– Trzymaj to ręką, a ja pomogę ci się dostać do kuźni.

– Dobra – słabo odpowiedział Harry. — Nie czuję się jakoś szczególnie dobrze.

– To szok – wyjaśnił Talbot, prowadząc osłabionego przyjaciela do budynku, – Musisz się z powrotem położyć. – Najpierw posadził wojownika na ławce, potem położył na podłodze trochę skórzanych płacht i opuścił go na nie.

– Carborundum!

– Nieszczególna sytuacja, co, mięśniaku? – zapytała SI, wystawiając głowę z wielkiego pieca.

– Co się u diabła dzieje? – Edmund gorączkowo usiłował znaleźć coś stosunkowo czystego na zabezpieczenie rany. W końcu zdecydował się na świeży kłębek ścinków badwabiu i przycisnął je do

rozcięcia na nodze Harry'ego. - Czemu odpowiadasz, a dzinny nie?

- Sieć nie działa – poinformowała SI. – Rada walczy między sobą. Odciągają do tego całą moc, całą dostępną moc obliczeniową. *Ja* jestem istotą niezależną.

- Och... cholera -jęknął Harry. – Żadnych nanitów?

- Nie – odparła SI. – Chyba, że ktoś szybko zrezygnuje. Nie jesteście jedynymi, którzy znaleźli się w złej sytuacji, nikt *nigdzie* nie ma żadnej energii. To oznacza brak jedzenia, wody i *światła*. Sytuacja już się zaczyna robić nieprzyjemna.

- Przewrót Paula – wymamrotał Edmund, rozglądając się po kuźni.

- Co? – zapytał Harry.

- Sheida powiedziała mi, że Paul może planować przewrót. Omawialiśmy możliwe środki obrony. Carb, po której stronie stoją SI?

- Większość z nich zamierza to przeczekać – szczerze odpowiedziała SI. - Jedyne, co może nas zniszczyć, to Rada działająca w porozumieniu. Którakolwiek frakcja wygra, ostro zemści się na stronnikach przeciwników.

- A ty, po której stronie stoisz? – chciał wiedzieć Edmund, owijając pas skóry wokół uda przyjaciela, by utrzymać w miejscu opatrunek z badwabiu.

- Czytałem manifest Bowmana – jadowicie powiedziała sztuczna inteligencja. – Nie wydaje mi się.

- A *czy ja* mogę go przeczytać? – poprosił Talbot, wstając.

- Mogę ci go odczytać – odparł Carb. – Ale nie mogę go zmaterializować. Trochę... brakuje mi energii.

- Jak jest źle?

- No cóż... ile masz w zapasie węgla? – zapytała SI.

- Nie tak wiele – przyznał Edmund. – Zbliżamy się do końca cyklu. Ale jeśli zacznę go oszczędzać...

- Jeśli moja temperatura spadnie poniżej ośmiuset stopni Celsjusza, to przepadłem – dobitnie stwierdził Carb. – A raczej należałoby stwierdzić, że zginę. – Będiesz martwy, martwy czy zdezaktywowany?

- Może będę w stanie odtworzyć kilka funkcji, ale nie jestem pewien, czy byłbym w stanie odzyskać pełnię osobowości – przyznała SI. – Można powiedzieć, że prawie martwy i nie do wskrzeszenia bez jakiegoś cudu. Na co chwilowo się raczej nie zanosz. A przy okazji, Sheida obdzwaniania wszystkich swoich stronników, do ciebie też pewnie zaraz się odezwie.

- Muszę się zająć Harrym – zdecydował Edmund. – Potem iść do wioski. Porozmawiam z nią, kiedy będę musiał. – Odwrócił się do Chambersa i pogroził mu palcem. – Nie umieraj, kiedy mnie nie będzie!

– Spróbuję – słabo odpowiedział ranny.

Edmund potruchtał przez plac, praktycznie nie czując masy zbroi i wszedł przez boczne drzwi do domu. Po przejściu korytarzem dotarł do dawno nie używanego magazynu, otworzył szafkę i zaczął przedzierać się do jej dna. Znalazł tam paczkę i wyciągnął ją. Szybko sprawdził zawartość i pobiegł z powrotem do miejsca, gdzie leżał jego przyjaciel.

– Nie wiedziałem, że znasz jakieś SI – odezwał się do niego Harry, kiedy ponownie przekroczył drzwi kuźni. Ranny wojownik wyglądał odrobinę mniej blado.

– Nie miał raczej wszystkim o tym rozpowiadać – wyjaśnił Carb. – Ale biorąc pod uwagę sytuację...

Edmund rozpiął zbroję Harry'ego i zaczął ściągać mu spodnie.

– Nie wiedziałem, że jesteś zainteresowany – zażartował Chambers, pomagając mu uporać się z ciężką stalą. – Byłoby łatwiej, gdybym wstał.

– Byłoby trudniej, gdybyś zemdlął. – Edmund odciągnął zbroję jak najdalej od rany. Osłona z badwabiu została szybko rozcięta nożem, po czym otworzył zielony plecak i zaczął przebierać w jego zawartości.

– Cóż to wszystko jest? – zapytał Harry z głębokim zainteresowaniem.

– Bardzo stary sprzęt medyczny – odparł Edmund, wyciągając butelkę antyseptyku i jakieś małe, przejrzyste pakiety.

– Będzie bolało – uprzedził, polewając obficie brązowym płynem z butelki ranę i swoje dłonie.

– JEZU CHRYSSTE! -wykrzyknął Chambers, praktycznie siadając. Ale mimo wszystko nie odtrącił butelki. – Co to było?

– Coś, co nazywa się betadyna, czego używali w baaardzo dawnych czasach -wyjaśnił Talbot. – Jest w porządku, teraz mówimy o *prawdziwie* średniowiecznej medycynie – mówił dalej, wyciągając z jednego z pakietów zakrzywioną igłę i długą nić z drugiego.

– Czy to jest to, co mi się wydaje? – jęknął Harry.

– Wolałbyś może wrzącą smołę? – zapytał Edmund. Wyciągnął z torby jakieś kłamy i ścisnął ranę, po czym zabrał się za szycie. – To znaczy, to byłoby *naprawdę* zgodne z epoką. Nie ma to jak miła kauteryzacja na początek dnia.

– Nie – odpowiedział Harry, dysząc, gdy Edmund wiązał pierwszy szew. – Szycie jest w porządku. Antyczne, ale może być.

– Masz bardzo mocno uszkodzony mięsień, stary – ocenił Edmund, zabierając się za kolejny szew. – Przepraszam za to.

– Nie mogłeś wiedzieć – pocieszył go przyjaciel z kolejnym jękiem.

– Najtrudniejsze jest ich wiązanie – skomentował Talbot. – Przez jakiś czas będziemy cię nazywać Sztwytniak.

– Edmund, mogę ci zadać pytanie? – zapytał Harry, gdy na jego nodze pojawiał się trzeci szew.

– Jasne.

– *Czemu* trzymasz staroświecki zestaw medyczny?

Edmund zawahał się przez chwilę, potem zacisnął ostatni szew.

– Na wypadek, gdybym znalazł się gdzieś, gdzie naniity nie zajmują się wszystkimi uszkodzeniami.

– Ale jedyne takie miejsce to...

– Edmund Talbot?

Edmund zawirował w miejscu i wycelował miecz, który – jak zdał sobie sprawę – cały czas miał przy sobie, w źródło głosu, którym okazał się być awatar Sheidy Ghorbani.

– Nie – odparł Talbot, dźwigając Harry'ego do pozycji siedzącej.

– Edmund, wiem, że nie stanąłbyś po stronie Paula. On reprezentuje...

– Wiem, co on reprezentuje. Nie staję po jego stronie. Ale także nie zamierzam opuścić tego miejsca. Przekaż to Sheidzie, i jeszcze, że myśli taktycznie zamiast strategicznie. Nie zapomnij jej tego powtórzyć.

– Chciałaby, żebyś został członkiem Rady – powiedział awatar.

– Co to oznacza?

– Zdobyli dodatkowe Klucze w trakcie walki w Sali Rady. Chciałaby, żebyś wziął jeden.

– A niech to diabli – gwizdnął Harry. – Członek Rady.

– Nie – odmówił Edmund po chwili namysłu. – Powtórz jej, że moje miejsce jest tutaj. Zanim zrobimy cokolwiek innego, musimy się odbudować. Ona *potrzebuje* mnie tutaj. Powiedz jej: strategicznie, nie taktycznie.

– Zrobię tak – odparł awatar, znikając.

– Cóż to u diabła znaczyło? – zapytał Harry, opierając się na starszym wojowniku. – Niech to diabli, ależ to boli.

– No cóż, chodźmy znaleźć ci jakiś anestetyk – zaproponował Edmund. – Na szczęście nastawiłem niedawno trochę likieru z ziarna. Powinien być już dojrzały.

– Brzmi nieźle.

Przekuśtykali do domu, a następnie do kuchni, gdzie Edmund posadził Harry'ego na jednym z krzeseł i zaczął otwierać szafki.

– *Pierwszą* rzeczą, jakiej potrzebujesz, jest uzupełnienie płynów – zaczął, przesuwając butelkę po stole. – W takim razie księżycówka.

– To cudownie – ucieszył się Harry, pociągając głęboki łyk błękitnego napoju. – *Wszystko* przepadło!

– Na to wygląda.

– Nie mogę wrócić do domu – zauważył Harry, pociągając kolejny łyk.

– Nie, chyba że możesz dojść pieszo do Londynu. Robert budował statki z epoki, nie ze średniowiecza, słupy i barkentyny, tego rodzaju. Może będzie w stanie zawieźć cię do domu.

– Daneh? Rachel?

– Żadnej komunikacji – odpowiedział Edmund, pociągając księżycówki. - Nie mam jak sprawdzić. Przypuszczam, że gdybym przyjął ofertę Sheidy...

– To...

– To się dzieje na całym świecie, wszędzie – zimno stwierdził Edmund. - Nie tylko *mojej* rodzinie. Wszystkim rodzinom. Pomyśl, jak źle musi wyglądać sytuacja. Jesteśmy w pokoju, który został *zaprojektowany* do istnienia bez zasilania. Pomyśl o Fukyamie w jego cholernym latającym zamku!

– Au, cholernie celna uwaga. I zostajesz tutaj?

– Przede wszystkim: możesz sobie wyobrazić lepsze miejsce? – Edmund wskazał ręką na budynek. Na zwisające spod sufitu szynki i warkocze cebul. - Gdzie miałbym iść?

– Drogą na południe, szukać Daneh i Rachel?

– Może – westchnął. – Ale... Ludzie wiedzą, *gdzie jest* to miejsce. Czy zdajesz sobie sprawę, jak to *rzadkie*, że ktoś może znaleźć miejsce na mapie? Ludzie będą tu przychodzić. Termin jest równie stary jak „niewolnik” i „chłop”, ale będziemy tu mieć „uchodźców”, docierających po istniejących drogach.

– „Wszystkie drogi prowadzona Jarmark.”

– Cholernie blisko wszystkich pozostałych. Więc chciałbyś zostawić tu *Myrona* czy *Tarmaca*.

– Nie.

– O to właśnie mi chodziło, kiedy mówiłem, że Sheida myśli taktycznie. O ile jedna ze stron nie wygra natychmiast, to... ta *wojna*, używając starych terminów, będzie się przeciągać. A jeśli tak, to lepiej, żeby ktoś był na ziemi, zbierając kawałki. Myślę, że moje miejsce jest tutaj, a nie na straży przy jakiejś cholernej elektrowni fuzyjnej.

– A jeśli wygra *Paul*?

– Wtedy do mnie będzie należała zemsta.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Przypuszczam, że na to zasługiwałam – westchnęła Rachel, przesuając swoją wywernę.

Trójwymiarowa szachownica przedstawiona była w postaci dużego hologramu zawieszonych w przestrzeni platform. Różne figury mogły poruszać się na wielorakie sposoby i nie wszystkie były sobie równe. Silniejsze przeważnie mogły przesuwać się tylko w poziomie, przechodząc do wyższych lub niższych siatek wyłącznie w określonych punktach. Latające pionki, podobnie jak opadające fale smoków, mogły przemieszczać się w górę i w dół do woli, nie wolno im było za to niszczyć lądowych figur. Tym razem jednak jej wywerna wylądowała na jednym z pionków Marguerite stojącym w strategicznym punkcie, a wywerna *mogła* zabić pionka. Rozgorzała krótka, zażarta walka, po której pionek zniknął z planszy i pojawił się obok niej, obok Rachel.

– To głupie – odpowiedziała Marguerite, wyciągając jedną z eterycznych dłoni i nakazując ruch swojej smoczy. – Jesteś praktycznie dorosła! Powinnaś móc kontrolować własne ciało. Kontrola ciała to *podstawa* wszelkiej kontroli. Jeśli nie masz władzy nad własnym ciałem, nie masz niczego. Popatrz na mnie.

– Ale twoi rodzice *zgodzili się* na Przemianę w nanity. Mama nie *zgadza się* na *żadną* modyfikację. To znaczy, ona poważnie wierzy w to „całkiem naturalnie”, wiesz?

Wieża Rachel przesunęła się o jedno pole, ustawiając się na pozycji szachującej wieżę Marguerite. Wcześniej na drodze stał pionek.

– Ale stara sztuczka – prychnęła Marguerite, patrząc na planszę. – Obawiam się, że będę musiała zacząć używać programu przy graniu z tobą. Za chwilę znów mnie pokonasz.

– Przepraszam, Marguerite. – Rachel uśmiechnęła się. – Ale, cóż, jesteś o tyle lepsza we wszystkich zabawach fizycznych, że sprawiedliwe jest, żebym była lepsza w szachach.

– Pewnie tak — westchnęła nanitowa dziewczyna. – Szczerze mówiąc... to całe bycie nanitami wcale nie jest takie, jak myślałam. To znaczy... To jest zupełnie inaczej, wiesz? Nie mogę już iść w niektóre miejsca, do których często chodziłam. Nie czuję... tak samo. Emocje wydają się... nienaturalne, wiesz?

– No cóż, nie bardzo – odparła Rachel, patrząc na przyjaciółkę. – Ale...

– Rach... – powiedziała Marguerite wykrzywiając twarz. – Rach... coś jest nie tak... – Marguerite wyciągnęła do przyjaciółki rękę, która zaczęła znikać. – Rach... proszę... pomóż... mi...

Rachel wychyliła się do znikającej dłoni Marguerite, zastanawiając się, co mogło się dzieć. Jednak zanim sięgnęła do niej przez potężną planszę, Marguerite znikła całkowicie. Po chwili na jej miejscu leżała już tylko kupka niebieskawego pyłu.

– Marguerite! *Marguerite?! MAMO!*

Gdy zawiodło zasilanie jej narty siłowej, Donna Forsceen odkryła nagle, że z prędkością prawie czterdziestu kilometrów na godzinę pędzi po płaskim łuku w stronę powierzchni wody. Ponieważ nie spodziewała się faktycznie w nią uderzyć, wstrząs prawie pozbawił ją świadomości. Rozpaczliwymi ruchami wydobyła się z powrotem na powierzchnię, ogarnęła wzrokiem olbrzymi bezmiar wody i zaczęła krzyczeć.

– Dżinn! – krzyknęła, pływając w kółko. Nigdy nie była szczególnie dobrą pływaczką, nie było to konieczne, jeśli odpowiednio wykorzystywało się moc, ale w tej chwili zdawało się, że nic nie funkcjonuje.

– Dżinn! – zawołała po raz drugi, unosząc się na plecach na falach i życząc sobie, by pole siłowe pchnęło ją w stronę Hawajów, sto mil na pomoc. Wciąż nic się nie działo.

– Dżinnie? – powiedziała ciszej, rozglądając się wokół. Nadeszła fala, zalewając jej twarz. Znów zapadła pod wodę, a potem machając rękami, wydostała się na powierzchnię i ponownie rozejrzała się zrozpaczona. – Ktokolwiek? Pomocy – wyszeptała.

– To samo działo się na całym świecie, jako że w jednej chwili cała dostępna energia została przekierowana do walki między dwiema frakcjami Rady. W związku z tym każda istota, która nie miała przypisanej sobie określonej puli energii, a jej wymagała, znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Badacze w fotosferze słońca zniknęli, zanim zdążyli się zorientować, że cokolwiek zawiodło, podobnie jak pracujący w komorach z magmą. Nurkowie w głębinach oceanów, których przetrwanie zależne było od osobistych pól ochronnych, osoby unoszące się w powietrzu bez skrzydeł, tysiące ludzi na całej planecie znalazły się nagle w sytuacjach, w których bez energii nie mogły przeżyć.

– Dla innych Upadek trwał będzie dłużej.

– Co się jej stało? – zapytała Rachel.

Daneh spojrzała na kupkę pyłu i wzruszyła ramionami.

– Zdarzył się jakiś rodzaj awarii zasilania. Wszystkie drzwi siłowe są otwarte, zniknęły hologramy i dżinn nie odpowiada. Nie mogę nawet wysłać wiadomości. W tej chwili po prostu nie ma... niczego. Wydaje mi się, że to się właśnie jej stało. Składa się z nanitów. Brak zasilania oznacza... brak Marguerite.

– Ona... nie żyje? – wyszeptała Rachel. Przestała już płakać, ale gdy zadała to pytanie, jej oczy ponownie zwilgotniały.

– Śmierć jest jedną z tych rzeczy, które dość trudno jest zdefiniować w odniesieniu do istot z nanitów, kochanie. Czy była żywa? Czy zginęła już w trakcie Przemiany? Jeśli mówisz o jej duszy, będziesz musiała zapytać kapłana.

– Mówię o tej części, która jest moją przyjaciółką, mamó – uszczypliwie odpowiedziała dziewczyna. – Jeśli odzyskamy energię, czy możemy... sprowadzić ją z powrotem?

– Ach, to. – Daneh zmarszczyła czoło w zamyśleniu. – To zależy od projektu nanitów. Sądzę, że jej rodzice raczej nie oszczędzali, więc przypuszczalnie mają trwały system pamięci. Prawdopodobnie, jeśli odzyska zasilanie, po prostu wróci dokładnie w takim stanie, w jakim ją straciła, bez żadnej pamięci odnośnie tego, co działo się w międzyczasie. – Matka wzruszyła ramionami, patrząc na córkę.

– To zależy od tego, dlaczego nie ma energii. Nie potrafię sobie wyobrazić, co musiałyby się stać, żeby to spowodować. To *niemożliwe*. Nawet nie mogę się połączyć z Sheidą.

– I co teraz zrobimy? – zapytała Rachel, rozglądając się wokół, jakby uświadomiła sobie nagle, że stało się coś strasznego *oprócz* tego, że na jej oczach koleżanka zmieniła się w pył. – Bez energii...

– Skąd weźmiemy jedzenie? – Daneh pokiwała głową. – Dobre pytanie. Przypuszczam, że mogłybyśmy wytrenować Lazura, żeby dla nas polował. Ale z pewnością wróci...

– Mieszkańcy świata...

Obraz objawił się każdemu żyjącemu człowiekowi, który nie oddalił się zbyt daleko od miejsca, gdzie zastało go rozpoczęcie wojny. Aby zaspokajać ich potrzeby, Sieć z konieczności musiała śledzić położenie każdego człowieka. Członkowie Rady mogli wykorzystać te informacje, co właśnie zrobił Paul Bowman.

– Mieszkańcy świata – powiedział, a każdy z awatarów zwracał się osobiście do danej osoby. – Nadeszły czasy wielkiego niebezpieczeństwa. Frakcja Rady pod przywództwem Sheidy Ghorbani podjęła próbę przejęcia kontroli nad Siecią, w całkowicie niedemokratyczny sposób i wbrew protestom reszty naszych członków. Rada podzieliła się na dwie walczące ze sobą frakcje. Minjie Jiaqi, Ragspurr, Chansa Mulengela, Celine Reinshafen i ja tworzymy grupę Nowego Przeznaczenia. Stało się jasne, że rasię ludzką grozi upadek, wywołany spadającą liczbą urodzin i wyzwaniem niesionym przez nieograniczone Przemiany. Nasze próby podniesienia tych kwestii spotykały się z nieprzejednanym stanowiskiem Ghorbani i jej konserwatystów. W końcu nieporozumienia osiągnęły poziom jawnej wojny, nie muszą dodawać, wszczętej przez złą Ghorbani. W tej chwili w związku z nieprzejednaniem i antyludzkimi działaniami Ghorbani i jej Przemienionych sług załamaniu uległa sieć energetyczna i ludzie na całym świecie stoją przed antyczną groźbą głodu i chorób. Wszystko z powodu jednej kobiety i kilku istot Przemienionych do tego stopnia, że stały się wręcz obcymi. Głos Paula Bowmana brzmiał złowrogo.

– Wzywam wszystkich właściwie myślących ludzi do powstania przeciw temu złu i odrzucenia Ghorbani i jej podobnych, do powstania jako ludzie i wsparcia słusznie myślącej frakcji. Wzywam was, byście dali z siebie wszystko dla zapewnienia lepszej przyszłości wszystkim prawdziwym ludziom. Dobrego dnia.

– Cóż u diabła *to* miało znaczyć? – spytała Rachel, gdy awatar zniknął.

– O mój Boże – wyszeptała w odpowiedzi Daneh. – Nie. Boże, nie!

– Mamo?

– Czytaj *między* wierszami, dziewczyno! – ostro krzyknęła Daneh. – „Wyzwanie nieograniczonej Przemiany”, „antyludzkie działania” „Przemienieni w obcych”, „stało się jasne, że rasię ludzką grozi upadek...” – Wysyczała przez zęby i prychnęła. – Drań!

– Ale mammo, *ty* nie lubisz Przemiany – rzuciła Rachel.

– Nie podobają mi się szkody, jakie wyrządza *ludziom* – wyjaśniła Daneh. - Ale Bowman jest *bigotem*. To olbrzymia różnica. A teraz prowadzi świętą wojnę przeciw mojej siostrze.

– Co pochłania całą energię? – zapytała Rachel.

– Tak. A Sheida jest uparta jak diabli...

Obie podniosły wzrok, gdy w powietrzu pojawiła się kolejna postać, tym razem znajoma.

– Mężczyźni, kobiety i dzieci Norau, niosę wam smutne wieści. Jak już wiecie, przestała działać sieć energetyczna. Ta wiadomość pochłania całą dostępną mi w tej chwili energię. Mój obraz pojawia się we wszystkich miejscach, gdzie znajdował się ktokolwiek w chwili Upadku, w granicach byłej Unii Północnoamerykańskiej. Co oznacza, że nie wszyscy to zobaczą, ale to najlepsze, co mogę w tej chwili zrobić. Paul Bowman i jego frakcja Rady podjęli próbę wyrwania władzy reszcie Rady. Dokonali tego przez wypuszczenie w Sali Rady trujących owadów, zaprogramowanych na kod DNA przeciwnych im członków Rady. Frakcja Paula pragnie ustanowić tyranię, której celem miałyby być... zahartowanie ludzkości oraz „sprowadzenie jej z powrotem na ścieżkę prawości”, co było cytatem.

Daneh i Rachel wpatrywały się w milczeniu w postać Sheidy.

– W każdym razie próba nie powiodła się. Ja, Ishtar, Aikawa Gouvois i Ungphakorn przeżyliśmy. Z przykrością muszę was poinformować, że Javlatanugs Cantor został zabity przez trucizny. Nie pozostaliśmy jednak beczynni i w krótkim starciu przejęliśmy dość Kluczy, by nie dopuścić do podjęcia przez nich bezpośrednich działań przez Sieć. W pewien sposób jednak, doskonale im się powiodło. Paul planował obedrzyć większość świata z jego bogactwa energii i rzucić ludzi z powrotem do pracy, jako jedynej drogi do osiągnięcia prawości. Udało mu się do tego doprowadzić. Do czasu, aż któraś strona podda się lub zostanie pokonana, cała dostępna energia przekierowana jest do walki w Radzie. Bitwa ta szaleje nawet w tej chwili i nie wygląda, by miała się szybko zakończyć. Imperatywem dla was powinno stać się znalezienie schronienia i przygotowanie się na długi okres bez wygód i wsparcia, które stały się normą. Ponieważ my – Ishtar, Aikawa, Ungphakorn i ja – odmawiamy poddania się. Powietrzne zamki spadły i smoki nie mogą ruszyć się z ziemi, ale nie pozwolę mu wygrać. Jednak do czasu, aż sprawa zostanie rozstrzygnięta, sytuacja będzie ciężka. Większość z was mieszka w domostwach i miejscach nieodpowiednich do takiej sytuacji. Nalegam, byście się przygotowali do przeniesienia się w lepiej nadające się do tego miejsca.

Matko i córka patrzyły na siebie z lękiem i słuchały głosu Sheidy.

– Wy, którzy jesteście lepiej przygotowani, rozumiem związane z tym problemy, ale musicie przyjąć na siebie obowiązek pomocy znajdującym się w gorszym położeniu. Rada pomoże wam w miarę swoich możliwości. Wkrótce będę się kontaktować z przywódcami lokalnych społeczności i przekazywać całe możliwe wsparcie. Osoby, którym w obecnym nieszczęśliwym położeniu grozi głód, niech spróbują znaleźć lokalne społeczności przygotowane do przeżycia w takich warunkach. Nie poddawajcie się rozpacz, ponieważ ona zabije was równie pewnie, jak głód, zimno czy rany. Mądrze się przygotujcie i wyruszcie do bezpiecznych miejsc. Z czasem zaczniemy z powrotem odzyskiwać ten świat i wszystko, co należało do nas. Jednak nigdy nie będzie to możliwe, jeśli oddamy władzę w ręce faszystowskiego szaleńca.

Sheida mówiła dalej, a jej głos rozbrzmiewał nie tylko w domu siostry.

– Wizja Paula jest stara, równie stara jak niewola Żydów i śmierć setek milionów z rąk grup tak zwanych komunistów. Twierdzi, że wszystko to ma się odbyć dla dobra ludzkości, ale dodaje przy tym, że oczywiście, mała grupa zachowa swoje przywileje, z których zostaną odarci wszyscy inni. Takie słowa wielokrotnie wypowiedziano w historii i za każdym razem oznaczały niewolnictwo i śmierć. Nasza frakcja Rady mogła poddać się Paulowi. Energia wróciłaby i zachowane zostałyby niektóre z pewnych udogodnień życia codziennego. Na jakiś czas. Do chwili, aż razem ze swoją radą dyktatorów odkryliby następną „ścieżkę prawości”, następną „prawdziwą postać” ludzkości. A wszyscy byli byśmy jego bezradnymi niewolnikami. Wybrałam niepoddanie się niewolnictwu. Wybrałam nieoddanie w niewolę dzieci mojej siostry i dzieci moich przyjaciół. Wybrałam walkę.

Daneh zamknęła oczy.

– Dawno temu, na tej ziemi zamieszkiwał wielki naród zwany Ameryką. Z nasion tego narodu wywodzi się nasza obecna kultura. Naród ten uznawał proste zasady. „Uważamy następujące prawdy za oczywiste: że wszyscy ludzie stworzeni są równymi, że Stwórca obdarzył ich pewnymi nienaruszalnymi prawami, że w skład tych praw wchodzi życie, wolność i swoboda ubiegania się o szczęście.” Dzięki ich wizji i wierze mieszkańcy Ameryki, często sami, zmagali się z falami historii i despotyzmu, tworząc w końcu nasze społeczeństwo, w którym wszystkie te i dodatkowe prawa podlegają ochronie. Paul Bowman, Celine Reinshafen, Minjie Jiaqi, Ragspurr i Chansa Mulengela, popierani przez Demona, sprzeciwiają się tym przekonaniom. Chciałabym, żeby istniała możliwość przeprowadzenia wiarygodnego głosowania w sprawie waszych uczuć. Jednak to niemożliwe. Mogę tylko mieć nadzieję, że staniecie po stronie mojej i reszty Rady i że nie ogarnie nas ciemność. Wierzę jednak, że razem możemy przetrwać tę noc i znów stworzyć społeczeństwo, które tak jest nam drogie. Droga będzie ciernista, ale przebrniemy przez nią wspólnie, jako jeden naród, ludzie zjednoczeni ideą wolności i wierni tak dla nas cennej filozofii. Dziękuję, dobrej nocy i powodzenia.

– Sheida? – powiedziała Daneh, gdy obraz zniknął. – SHEIDA??? Wspaniale. Nawet *jednego słowa* do siostry?

– Przypuszczam, że jest trochę skupiona na swoich problemach – zauważyła Rachel, po czym prychnęła. – W przeciwieństwie do całej znanej mi rodziny.

Daneh wzdrygnęła ramionami z rezygnacją, rzucając równocześnie poskramiające spojrzenie córce.

– Cóż, jeśli ma aż takie problemy, to oznacza, że świat ma *przekopane*.

– Nie może być aż *tak źle*, mamo. – Rachel wzdrygnęła ramionami. – Prawda? No wiesz, jest czterdziesty pierwszy *wiek*. Takie rzeczy się po prostu *nie zdarzają!*

– Cóż, to się dzieje. – Daneh zmarszczyła brwi. – Dokładnie tu i teraz. – Westchnęła i z niezadowoleniem potrząsnęła głową. – Czemu *teraz*? Czemu *my*?

– No cóż... czemu jedna czy druga strona po prostu nie *zrezygnuje*”? — zapytała Rachel. – Mamo, ludzie *będą ginąć*. Niektórych *to już* spotkało – dodała, wskazując na kupkę niebieskiego pyłu.

– Więcej niż Marguerite i bardziej ostatecznie – przyznała kobieta, kuląc się w sobie. – Znam geologów pracujących w magmie. Już ich nie ma. – Potrząsnęła głową. – Przepadli. Tak po prostu. Bez żadnego ostrzeżenia...

– Mamo? – po kilku chwilach odezwała się Rachel. – Mamo. Czemu któraś strona po prostu nie zrezygnuje? Nie powie „Dobra, niech będzie, jak chcecie, nie warto o to walczyć?” No wiesz, chyba nie warto, żeby ludzie za to *ginęli*?

– Za niektóre *rzeczy* warto – odpowiedziała Daneh po chwili. – Trudno to wyjaśnić bez zrozumienia historii. Sheida ją rozumie. Ale na ile zła jest walka, na ile będzie... te wszystkie śmierci, do których z pewnością dojdzie, na ile to wszystko jest złe... niektóre rzeczy mogą być jeszcze gorsze. Powiedziałabym ci, żebyś sprawdziła sobie tematy takie jak Rewolucja Kulturalna, Holokaust i Czerwoni Khmerzy, ale w tej chwili nie masz jak tego zrobić.

– Holokaust i Khmerów pamiętam z historii – zastanowiła się Rachel. – Ale ludzie szybko zaczną *umierać*. No wiesz, wojna na swój sposób robi to samo co Khmerzy. Mamo, nie mamy żadnych farmerów. Bez nich nie będzie żadnego *jedzenia*. A tego się nie *zbiera* tak po prostu. To *umiejętność*.

– Dobra dziewczynka, teraz myślisz – odpowiedziała Daneh. – Ale *istnieją* farmerzy. – Znacząco spojrzęła na córkę.

– W tym rzecz, mamo – westchnęła Rachel. – W *Kambodży* też byli farmerzy. Ale Khmerzy i ten facet... Poi jakiś tam... wysłał ludzi z miast na pola. Oni nie wiedzieli, co na nich robić, a udzielono im złych instrukcji i miliony umarły. *Mamo*, ja nie wiem, jakiego dnia zacząć orkę, a ty?

– Och. – Kobieta zastanowiła się nad tym przez chwilę i skinęła głową. – Nie, ja też nie, ale *Myron* wie, podobnie jak jego synowie.

– Jeśli myślisz, że poślubię Toma albo Charliego i osiadę jako dziewczyna z farmy, to postradałaś zmysły – zachichotała Rachel. – *Zamierzam zostać*...

– Szeroko otworzyła oczy, uświadamiając sobie, ile straciła. – Mamo, zamierzałam zostać *lekarką*. Co u diabła można zrobić w *takich* warunkach? Nie ma *nanitówl*

– Uhhh... – powiedziała Daneh i zamarła na chwilę. – Och... szlag. Masz rację. Nie tylko to, żadnych... leków. To chemikalia, których używano przed wprowadzeniem technik nanowprowadzania. Żadnych leków, żadnych narzędzi.

– Potrząsnęła głową. – Nawet nie *wiem, jak*... szyje się rany.

– Szyje?

– Tak kiedyś zamykało się rany. Ale jeśli to ma potrwać dłużej, musimy przygotować się do odejścia stąd. W domu nie ma za wiele jedzenia. My... musimy dostać się do Raven's Mill.

– Jak, przecież nie działa portowanie! – zauważyła Rachel, po czym potrząsnęła głową. – Nie myślisz o *pójściu* tam, prawda? Nie mamy nawet *koni*.

– Tak, teraz żałuję, że pozbyliśmy się Bucka — przyznała Daneh. – No cóż, równie dobrze możemy się z tym pogodzić. Musimy znaleźć trochę rzeczy z Jarmarków. Są tam... plecaki i inne rzeczy. Wydaje mi się, że znajdzie się tu gdzieś trochę jedzenia na podróż...

– Mamo, dojdzie do Mili zajmie całe *tygodnie*!

– Wolałabyś raczej zostać tutaj i umrzeć z głodu? – zapytała Daneh, chwytając ją za ramię i potrząsając. – Myślisz, że Sheida po prostu się podda? A co z Bowmanem? Jeśli tego nie zrobią, Nic Nie Będzie Działać. Żadnego jedzenia. Żadnej wody, chyba, że będziemy czerpać ją z rzeki! Musimy dostać się do Mill i to zanim jeszcze skończy się nam jedzenie! I lepiej miejmy nadzieję, że pogoda się utrzyma.

W górze, po bezchmurnym niebie przetoczył się grzmot.

* * *

– To jest zbyt złożone – powiedziała Sheida, rozprostowując się po wyjściu ze Snu. – Elf by sobie z tym nie poradził!

– Musimy to podzielić tak, żeby stało się prostsze. – Ungphakorn rozpostarł skrzydła. – Kontrolujemy generatory, ale rzucamy tam grupy ludzi, czy tego chcą, czy nie. Musimy stworzyć zespoły...

– Musimy być w stanie skupić się na jednym określonym obszarze – zaproponował Aikawa. – Przejmując generatory i kontrolując energię lokalnie, zaczynamy znów dzielić się na regiony. Powinniśmy o tym pomyśleć.

– Twierdzisz, że należałoby stworzyć bloki regionalne? – z poirytowaniem zapytała Ishtar. – W jakim celu?

– Trzeba znów zacząć myśleć o świecie – oświadczył Aikawa. – Będziemy musieli pomagać ludziom się odbudować. I skonsolidować nasze zaplecze polityczne. Jeśli ludzie mają to przeżyć, będą musieli nauczyć się odbudować. Donas należy zachęcenie ich do tego. A to funkcja regionalna.

– To bitwa między frakcjami *Rady* – zaprotestowała Ishtar. – Nie między narodami.

– Teraz tak – zgodził się Aikawa. – Ale nie pytaj mnie o jutro.

* * *

– Powinniśmy zrobić jakieś plany!

– Nie mam w domu za wiele jedzenia, skąd je teraz weźmiemy?

– Ludzie będą tu przychodzić, musimy się przygotować na ich przyjęcie!

– Przyjęcie ich? Nie mamy dość dla nas samych!

Jakby poddając się wcześniejszym ustaleniom, stali mieszkańcy Raven's Mill zebrali się w pubie pomimo nagłej i nieoczekiwanej burzy. Temperatura na zewnątrz spadała, a potężny wiatr szarpał drzwiami i okiennicami gospody. To, co się działo w środku, prawie nie dawało się opisać.

– SŁUCHAJCIE! – wrzasnął Edmund po kilku minutach wzajemnego przekrzykiwania się. John Glass i Tom Raeburn wyglądali, jakby mieli się za chwilę zabrać do rękoczynów. – To wszystko wyrwało się spod kontroli. Albo będzie my tu mieli porządek, albo zaczną rozbijać głowy.

– A ja ci pomogę – zgłosił się Myron. – Mam jedzenie w magazynach. I nie będę go sprzedawał wariatom w malutkich porcjach, żeby było jasne. Zbliża się sezon siewu. Jeśli tylko pogoda się

uspokoi, wszystko będzie dobrze.

– Ale nie będzie, jeśli zaczniemy przyjmować wszystkich, którzy zaczną tu przychodzić! – krzyknął Glass.

– SPOKÓJ! Ma tu być porządek!

– Proponuję zrobić Edmunda przewodniczącym, a co tam, burmistrzem - oświadczył Tom Raeburn. Charakteryzujący się szerokim karkiem syn Myrona mocno napinał mięśnie szczęk, ale zdołał zachować spokój. – Wcześniej nie był nam potrzebny, ale teraz już tak.

– Jestem za – rzucił Myron. – Trzeba będzie podjąć jakieś decyzje.

– Burmistrz może być – stwierdził Glass. – Ale nie lord. Musimy mieć coś do powiedzenia. I uważam, że niezależnie od tego, co mówi Sheida, powinniśmy przegnać uciekinierów. Mamy dość własnych problemów!

– W tej chwili głosujemy, czy wybrać Edmunda na burmistrza – oświadczyła Bethan Raeburn, wstając. – Na razie powinniśmy trzymać się prostych tematów. Są jacyś inni kandydaci?

– Ja, proponuję siebie – powiedział Glass. – Lubię Talbota, ale nie wydaje mi się, żeby miał na uwadze interesy Raven's Mill.

– A co leży w interesie Raven's Mill? – zapytał Edmund. – Nie jestem pewien, czy chcę być burmistrzem czy earlem, lordem albo czymkolwiek innym. Ale lepiej, żebyście zrozumieli, *co ja* uważam za leżące w interesie Raven's Mill. Nie jesteśmy jakąś cholerną wyspą. Na ziemi żyje około miliarda ludzi. Może, *może* kilka tysięcy z nich poza Anarchią posiada umiejętność przeżycia bez techniki. *Będziemy* tu mieć uchodźców. I będziemy musieli zintegrować ich z naszym społeczeństwem. Będziemy musieli się rozwinąć. A na wypadek, gdybyście nie zrozumieli wiadomości, które dostaliśmy od Rady, w tej chwili toczy się wojna. Zostałem już poproszony o przeniesienie się do kwatery Sheidy, żeby im pomóc. Odmówiłem, ponieważ myślę o całym *świecie*. Będziemy musieli go przebudować. A Raven's Mill będzie częścią, możliwe, że całkiem istotną, tej przebudowy. Będziemy musieli przyjąć tych uciekinierów i nauczyć ich nie tylko, jak przeżyć, ale prosperować. Nauczyć ich naszych umiejętności. Myron rolnictwa, John produkcji szkła, bednarstwa, kowalstwa, wszystkich tych rzeczy, które trzeba umieć, jeśli nie ma się replikatorów ani nawet fabryk. Pierwsi z nich zaczną docierać tu może nawet już jutro. Będziemy musieli się na to przygotować. Taka właśnie jest *moja* opinia, moje zdanie. I jeszcze jedno...

Przerwał i rozejrzał się po sali, patrząc na morze zaniepokojonych twarzy.

– Toczy się wojna. Staję po stronie Sheidy. Rozumiem, i to na poziomie, z którego -jak przypuszczam – Bowman nawet nie zdaje sobie sprawy, co oznaczałby jego program. Może, *może* pozwolenie mu na przejęcie władzy obróciłoby się na lepsze. Ale tylko dlatego, że efektem wojny w naszej sytuacji może być śmierć dziewięćdziesięciu procent populacji świata.

– Co? – Charlie Raeburn odezwał się jako pierwszy. – *Ilu!*?

– Nie ma jedzenia. I w tej chwili nie istnieje żaden sposób na dystrybucję istniejącego. Skąd je wziąć? Farmy na centralnych równinach dostarczają żywność dla całego *świata*. Nie ma żadnego sposobu na przeniesienie jej. Ta gwałtowna zmiana pogody to prawdopodobnie efekt załamania się

systemu sterowania pogodą. Jaka jest *prawdziwa* pogoda świata? Czy będziemy chociaż w stanie *zasiać* w tym roku?

– Będziemy – wtrącił Myron. – Nawet przy takiej pogodzie. Nie będzie to łatwe, ale nasiona w tych czasach to już nie kasza pszena. Wyrośnie nawet w huraganie. A ich wydajność... no cóż, powiedzmy tylko, że nawet przy *absolutnie fatalnych* rolnikach po pierwszym zbiorze nie powinien nam grozić głód.

– Tak więc możemy zasiać i *część* wyrośnie. Ale jeśli przy życiu pozostaną jedynie mieszkańcy Raven's Mill, to co z tego wyniknie dla świata? Jak już powiedziałem, opowiadam się za Sheidą. Tak jak sprawy wyglądają, może to oznaczać konieczność walki. Do diabła, prawdopodobnie *będziemy* musieli walczyć, jeśli nie z innymi grupami, to przeciw bandytom, którzy będą chcieli naszego jedzenia. To nie będzie łatwe. Ale nie zamierzam postawić wokół miasta muru i powiedzieć „nie, odejdźcie i gińcie z głodu”. Z drugiej strony przychodzący tu ludzie będą uważać, że naszym obowiązkiem jest wszystko im dawać. To też nie jest prawdą. Ale chcę, żebyście wszyscy zrozumieli, że *poświęcę się* ocaleniu jak największej liczby istnień ludzkich. Dla naszego gatunku, dla świata, dla wolności reprezentowanej przez Sheidę. A jeśli to wam nie odpowiada, w takim razie, cóż, uważam, że powinniście głosować na Johna. Choć jeśli wszyscy będą martwi, to nie wiem, komu będzie sprzedawał swoje szklane figurki.

– Edmundzie, czy my sobie z tym poradzimy? – zapytała Lisbet McGregor.

Żona właściciela gospody wyglądała na zmartwioną. – Dostatecznie ciężko jest zaspokoić wszystkich w trakcie Jarmarku, kiedy goście chcą wyłącznie jedzenia z epoki. Ja... musimy się martwić o Elsie. Może później o inne dzieci. Jestem gotowa... spróbować pomóc innym. Ale nie kosztem naszych własnych dzieci.

– Nie wiem – przyznał Edmund. – Gdybyśmy postawili mur wokół miasta, co byłoby trudne do zrobienia wyłącznie naszymi siłami, nikogo nie wpuszczali, bandyci nie spaliliby nam zbiorów i uciekinierzy nie zdecydowali się siłą zabrać nam jedzenia i rzeczy, to może bylibyśmy w stanie przeżyć. I może byłoby to łatwiejsze od próby uratowania ludzi. Ale... musiałbym żyć z tym przez resztę swoich dni. Mimo wszystko – dodał – przychodzącym do nas ludziom będziemy musieli wskazać na realia życia w *tej sytuacji*. Później będą musieli sobie radzić sami. Będą musieli się nauczyć pracować. Zresztą, na swój sposób nas czeka to samo. Kiedy nudzi nas projekt czy hobby, zaczynamy się zajmować czymś innym. Cóż, wy też nie będziecie już w stanie pobierać jedzenia z Sieci. W tej chwili najpotężniejszym człowiekiem w tym mieście jest Myron. To *on* posiada całe jedzenie. – Edmund spojrzał na farmera i zobaczył szok na jego twarzy. – Ha! Nie pomyślałeś o tym, prawda? Ale jeśli chcesz, żebym naprawił ci tę młockarnię, lepiej nie zapomnij się ze mną podzielić. Ja, z drugiej strony, potrzebuję pół tuzina beczek, a ty jeszcze więcej, więc Donald jest urządzony. Nie wydaje mi się, żeby ktoś z nas chciał pozbyć się gospody, więc McGregor ma pracę. Hmm... – Spojrzał w stronę Roberta i Marii McGibbonów i zmarszczył brwi.

– Sokoły polują na pożywienie – powiedział Robert. – Którego będziemy potrzebować. I choć nie zajmowałem się łucznictwem przynajmniej od sześć dziesięciu lat, to tylko dlatego, że znudziło mnie to, kiedy nie mogłem już nauczyć się niczego nowego. Nazywajcie mnie Myśliwy Bob.

– Zwierzyna łowna. – Edmund zamyślił się na moment. – Do diabła z wysyłaniem jednego gościa z łukiem, w lasach pełno jest zwierząt. Jelenie, bizona, indyki, dzikie bydlę, kozy, konie i owce.

Wysłać setkę uchodźców jako nagonkę i zrzucić to wszystko w przepaść. Tu chodzi o zebranie jedzenia, nie sport.

– Oszczędzić zwierzęta domowe – wtrącił się Myron. – Możemy je ponownie udomowić. Byki wykastrować i używać jako wołów. Będziemy potrzebować zwierząt pociągowych. Są też dzikie konie i osły. A niektóre z nich są naprawdę pierwszej klasy. Emu, bizona, wapiti – to wszystko też da się udomowić. *Możemy odbudować zasoby z dzikich zwierząt.*

– Nie mamy za dużo skóry – zauważył Donald Healey. Bednarz używał jej na różne sposoby i miał tendencje do sporego zużycia. – Będziemy potrzebować skór.

– Mięso to nie wszystko, co się zyskuje – przerwał McGibbon. – Kości, rogi, włosy – to wszystko ma swoje zastosowanie.

– Możemy to zrobić – zgodziła się Lisbet. – Masz rację.

– To nie będzie łatwe – dodał Edmund. – Łatwe właśnie się skończyło. Ale możemy to zrobić i zrobimy, tak mi dopomóż Bóg.

– Dobra, dobra – odezwał się Glass, unosząc ręce. – Widzę, w którą stronę się to rozwija i nawet powiem, że się zgadzam.

– Musimy zagłosować – oświadczył Myron. – Jeszcze jacyś kandydaci? Edmundzie, zgadzasz się?

– Kowal rozejrzał się po pozostałych, potem spuścił wzrok. Wydawało się, że na jego ramiona opadł duży ciężar, a w jego wyrazie twarzy rysowała się jakaś twardość. Ale kiedy podniósł oczy, jego twarz oczyściła się.

– Tak.

– Jeszcze jacyś kandydaci? Wszyscy za niech powiedzą „tak”. -Tak!

– Przeciwni? – Zapadła cisza. – Przyjęty przez aklamację, burmistrz Edmundzie.

– Ale żadnego rozdawania!

– Cóż, odrobinę – odpowiedział Edmund, w zamyśleniu głaszcząc się po brodzie. – Uciekinierzy, którzy się tu zjawiają będą w szoku. Prawdopodobnie możemy przetrwać jeden sezon z nimi w takim stanie, ale *musimy* obsiać pola i zdobyć materiały. Potem będą musieli stanąć na własnych nogach i nauczyć się umiejętności. Ale których i jak? Powiedzmy, że... hmm...

– Hej – odezwał się McGibbon. – Program szkoleniowy?

– Ale większość z nich nie ma *żadnego* pojęcia, ile *pracy* to wszystko wymaga – ze złością powiedziała Bethan. – I większość z nich nigdy, przez całe życie, nie przepracowała ani jednego dnia. Prowadzenie farmy jest *ciężkie*, niezależnie od tego, *co* się robi. Choćby samo *pranie!*

– I będziemy potrzebować narzędzi i nasion. – Myron zasępił się. – Będziemy potrzebować rolników, Edmundzie, i to *dużo*. A to nie polega tylko na wciskaniu nasion do ziemi.

– Poradzimy sobie z tym – stanowczo oświadczył Edmund. – W tym pomieszczeniu zebrało się przypuszczalnie z tysiąc lat skumulowanego doświadczenia życia w warunkach przedindustrialnych.

Są tu ludzie, którzy wiedzą o swoich obszarach zainteresowań rzeczy, o jakich *nie śniłoby* się mistrzom żadnej innej epoki. Będziemy karmić nowo przybyłych i uczyć ich do czasu, aż będą mniej więcej gotowi do radzenia sobie o własnych siłach.

– Program szkoleniowy, hmm... – mruknął Tarmac. Właściciel gospody rozejrzał się w zamyśleniu. – Podzielić ich na grupy i przydzielić na kilka dni czy tydzień do każdej z dziedzin, w których mamy mistrzów.

– Tak – powtórzył po chwili Myron. – Niech robią rzeczy, którymi normalnie zajmowałiby się uczniowie. Niech poznają smak pracy.

– Pracować z nimi ciężko, lecz powoli – wtrącił Tom Raeburn. – Przygotować ich do tego.

– I pamiętajcie, *wielu* z uchodźców, którzy tu dotrą, było regularnymi gośćmi Jarmarków – dodał Edmund, kiwając głową. – Tak, większość z nich nie potrafi odróżnić wierzby od jabłoni, ale przynajmniej mają jakieś doświadczenie życia w trudnych warunkach. I są też inni, ludzie jak Geral Thorson i Suwisa, głównie wytwórcy i handlarze, którzy dysponują naprawdę przydatnymi umiejętnościami. Nie wiem, komu uda się tu dotrzeć, nie mam pojęcia, gdzie znajdowali się w chwili wyłączenia energii. Ale części z nich musi się powieść. A kiedy to zrobią, będziemy tak gotowi, jak to tylko możliwe.

– Edmund podniósł wzrok, gdy w powietrzu przy jego ramieniu pojawiła się jakaś postać.

– Edmundzie, potrzebuję trochę czasu – powiedziała Sheida, rozglądając się po zgromadzonych. – Myron, Bethan – przywitała się, skłaniając głowę.

– Sheida, co się dzieje? – krzyknęła Maria McGibbon.

– Proszę. – Awatar uniósł ręce. – Proszę, nie mam czasu. Ja... nawet w tej chwili walczymy i to... to jak szermierka na umysły. Oni wymyślają sposób na zaatakowanie nas, my metodę na zaatakowanie ich. W tej chwili zrzucają... skały, satelity i tego rodzaju rzeczy na Orli Dom. Odbijamy je, ale wszystko to pochłania energię, a to oznacza, że nie możemy atakować ich.

– Kiedy wróci zasilanie? – zapytał Myron.

– Ja... nie wiem – odparła Sheida. – Nieprędko. Edmundzie, musimy porozmawiać.

– Ludzie, podzielcie się. Tarmac razem z Lisbet odpowiadacie za wymyślenie, czego potrzebujemy na minimalne racje dla uchodźców oraz gdzie i jak je podawać. Weźcie do pomocy kilka osób. Robert, będziesz odpowiadał za przygotowania do polowania na dużą skalę i schwywania zdziczałych zwierząt. Dogadaj się z synami Myrona na temat tego, jak je utrzymać i przygotuj program masowej rzeźni. Ostatnich kilka razy kierowałeś Jarmarkiem. Bierzcie się do pracy, ludzie, nie mamy dużo czasu. Myron, ty idziesz ze mną.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Edmund poprowadził Sheidę i Myrona do pokoju na tyłach gospody, a za jego plecami wybuchły ożywione rozmowy. Na podstawie ich brzmienia wiedział, że pracowali, a nie poddawali się panice czy bezsensownemu paplaniu. Wszyscy byli inteligentni, doświadczeni i zaradni. To, czego potrzebowali, to odrobina wiary w siebie i wskazania kierunku. Na razie mógł więc, mniej więcej, zostawić sprawy w ich rękach i tylko upewniać się, że nie wyrwały się spod kontroli.

– Dobrze sobie poradziłeś, Edmundzie – pochwalił awatar.

– Dzięki – odpowiedział i obejrzał się. – Jesteś awatarem, czy projekcją?

– Jestem... autonomiczną projekcją.

– To niedozwolone! – ostro rzucił Myron.

– Podobnie jak zrzucanie asteroidów na mój dom – odparł awatar, wzdychając. – Jestem w stanie utrzymać tylko około piętnastu takich, ale mogą dawać rozkazy i zbierać informacje w czasie, gdy zajmuję się rzeczami, które tylko *ja* mogę robić, jak na przykład wydawanie poleceń kodowych Sieci. W tej chwili obie strony walczą o kontrolę. Odkryliśmy, że możemy zablokować programy i podprogramy i robimy to najszybciej, jak możemy. Niestety, zauważyli to i też się tym zajmują. A wymaga to bezpośredniego polecenia członka Rady. Więc stworzenie pełnych awatarów było jedynym sposobem na zrobienie czegokolwiek *innego*. Mniej więcej co godzinę robię sobie przerwę i ściągam wszystkie uzyskane dane oraz dokonuję poprawek, jeśli to konieczne. To działa. Wiemy o tym, bo wciąż żyjemy.

– Sytuacja jest tak poważna? – zapytał Edmund.

– Co kilka minut myślę, że w końcu mnie zabiją – odpowiedziała, znów wzdychając. – A potem wydaje mi się, że wreszcie wymyśliliśmy coś, co ich ostatecznie załatwi. Tylko to się nie udaje.

– Paskudnie – prychnął Edmund. – Musisz się zastanowić. Tego rodzaju bitwy nigdy nie wygra się, ograniczają się wyłącznie do poziomu taktycznego. Zrób krok w tył i rozejrzyj się za możliwością mocniejszego uderzenia.

– Co to ma znaczyć? – zapytała Sheida.

– Nie wiem. Nie rozumiem natury pola bitwy. Ale w wygraniu wojny nie chodzi o zabicie przeciwnika, tylko o przekonanie go, żeby zrezygnował. Aby to osiągnąć trzeba postawić go w sytuacji, w której uwierzy, niezależnie czy jest tak faktycznie, że już przegrał. W najlepszym ze wszystkich możliwych światów sam przeciwnik tworzy dla ciebie takie warunki. Ale to wymaga idioty po drugiej stronie. Zakładam, że Paul nie wykazał żadnych oznak idiotyzmu taktycznego. Miejmy nadzieję, że nie jest tak uzdolniony w zakresie strategii. I o tym właśnie *ty* powinnaś myśleć.

Sheida zastanowiła się nad tym przez chwilę, po czym potrząsnęła głową.

– W tej chwili niczego takiego nie widzę. Ale nie o tym chciałam z tobą rozmawiać. Może później. Ale nie w tej chwili.

W pokoju znajdował się stół, przy którym w trakcie Jarmarku Tarmac siadywał czasem, by grać w szachy. Reszta pomieszczenia wypełniona była beczkami. Po chwili krzątania się Talbot wyjął skądś kubek i z nie oznakowanej baryłki nalał do niego jakiegoś płynu. Pociągnął łyk i skrzywił się, ale nie wylał go.

– Więc mów.

– Czemu nie przyszedłeś, kiedy o to poprosiłam?—zapytała Sheida. – Odpowiedź nie miała żadnego sensu.

– Ty... my mamy potężne kłopoty – odparł Edmund.

– Jak dotąd nadażam – cierpko stwierdziła Sheida. – Choć może powinieneś wyjaśniać wolniej.

– Cieszę się, że udało ci się zachować poczucie humoru. Ale nie mówię tylko o wojnie. Mówię o głodzie.

– Taaaak... – Sheida westchnęła. – Masz jakieś sugestie?

– Jak myślisz, czemu przyprowadziłem ze sobą Myrona – zapytał Talbot, znów się uśmiechając.

– W tej chwili naszym największym problemem jest rolnictwo – rzekł Myron. – Albo raczej jego brak. A tam, gdzie jest, do niczego się nie przyda. Musimy zdobyć jedzenie, i to szybko. Wciąż mamy jeszcze trochę zapasów, ale błyskawicznie je zużyjemy. A gdzie indziej nie mają *niczego*.

– Zaczęliśmy się tym zajmować – dodał Edmund. – Zagonimy do pracy Wszystkich uchodźców, którzy do nas trafiają.

– No cóż, Edmundzie, wiesz, że rolnictwo to bardziej sztuka niż nauka, zwłaszcza na tym poziomie – zaprotestował Myron, potrząsając głową. – Każda farma, każdy kawałek ziemi jest inny. A przecież nie możemy przeprowadzać analizy gleby. Chemia, warunki, pogoda. Wszystko to sprowadza się do wiedzy na temat tego, co robi się z *własną* farmą. Nauczenie tego... cóż... studiowałem Przez całe życie i wciąż są rzeczy, których nie wiem.

– Chcesz nam powiedzieć, że wszyscy zginą z głodu? – zapytała Sheida, Potrząsając głową. – Może *powinniśmy* po prostu się poddać.

Edmund zmarszczył czoło i gniewnie potrząsnął głową.

– Wojna... ty i Paul nie wiecie *nic* na temat wojny. Mówi się, że wojna jest najgorszą rzeczą kiedykolwiek wynalezioną przez człowieka. To stwierdzenie jest głupie i absolutnie ignoranckie. Człowiek stworzył rzeczy znacznie gorsze od wojny. Więcej ludzi zostało zabitych przez totalitarne reżimy, w trakcie pokoju, niż we wszystkich wojnach świata razem wziętych.

– Ale...

– Ta wojna będzie... okropna. Wydaje mi się, że gorsza niż wojny SI. Brak przemysłu, metod transportu innych niż teleportacja i zakaz działania środków wybuchowych oznaczają, że będziemy zmuszeni do przyjęcia stylu życia z ery przedindustrialnej, a przynajmniej sprzed wynalezienia prochu.

– Ja... nie myślałam tak daleko wprzód – przyznała Sheida.

– Wielu ludzi zginie w ciągu pierwszych dwóch lat...

– Dwóch lat? – zapytała Sheida. – My... Miałam nadzieję, że... No cóż, wojny *nie muszą* trwać tak długo!

– Wygrywasz? W tej chwili? Decyzyjnie?

– Nie, już ci to mówiłam. Jeśli już, to raczej przegrywamy.

– Jeśli nie przegrasz w ciągu następnych trzech miesięcy, a modłę się, żeby to nie nastąpiło, to będzie to *długa* wojna. A do czasu, aż Rada przestanie pochłaniać całą dostępną energię, nie będziemy w stanie się odbudować.

– -A co z dodatkowymi elektrowniami? – wtrącił się Myron. – To znaczy... czemu nie możecie po prostu zbudować nowych? Wiem, że będzie to wyścig o to, kto zbuduje je szybciej...

Sheida westchnęła ze złością.

– Kolejne zakazy. Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy z tego, ile ich obowiązuje. Zużycie energii osiągnęło szczyt krótko po wojnach SI, w trakcie okresu odbudowy. Stało się ono w końcu tak duże, że zaczęło wpływać na biosferę, ciepło ze zużywanej energii roztopiało pokrywy lodowe i aby zapobiec powodziom, Matka musiała skierować *więcej* energii na różne sposoby radzenia sobie z tym problemem. Tak więc ówczesna Rada, a był to *bardzo* restrykcyjny okres w historii Rady – wtedy zakazano środków wybuchowych i paru innych rzeczy – wprowadziła ograniczenie na konstrukcję, wymuszając *fizyczną* kontrolę nad elektrowniami.

– Hmm – mruknął Myron, sadowiąc się wygodniej. – Zaczynam rozumieć, czemu Edmund nie cierpiał tego systemu.

– Ja również – przyznała Sheida. – Istnieje także problem paliwa.

– Czemu? Elektrownie zasilane są wodorem, prawda? – zapytał Edmund.

– Nie – westchnęła Sheida. – Jako paliwa używają helu trzy. Produkowany jest przez słońce i dryfuje z wiatrem słonecznym. Zbiera się w różnych miejscach, zwłaszcza w księżycowych regolitach i górnej atmosferze gazowych olbrzymów, takich jak Jowisz i Saturn. Wodór daje produkty radioaktywne, hel trzy nie. W ten sposób są bardziej „zielone”. Problem w tym...

– Kto kontroluje paliwo?

– W tej chwili każda z elektrowni ma zapasy na kilka lat maksymalnej produkcji – przyznała Sheida. – Ale tankowiec powróci za... pięć lat.

– Jeśli to się nie skończy w ciągu pięciu lat – zadumał się Edmund – to dojdzie do piekielnej bitwy o ten zbiornikowiec.

– Tak, to prawda – potwierdziła Sheida.

– Choć w tej chwili nie musimy się jeszcze tym przejmować. Rzecz w tym, czy jesteś na to wszystko gotowa? Czy będziesz walczyć do końca, czy poddasz się z powodu słabości?

– Nie jestem *słaba*, Edmundzie – warknęła. – Pytanie brzmi...

– *Problem* w tym, że nie potrafisz nawet sformułować *pytania* – przerwał Talbot. – Ponieważ nie rozumiesz wojny.

– Tak, nie rozumiem – zgodziła się Sheida. – I dlatego mam ciebie. – *Pytanie* brzmi, czy to *sprawiedliwa* wojna? Czy tak byś to określiła?

– Przypuszczam... – odparła. – Ale czy istnieje coś takiego jak *sprawiedliwa* wojna?

– Istnieją dwa rodzaje wojny, czysto obronna i z powodów różnic politycznych – stwierdził Edmund. – Czas na tryb wykładowy.

– Dobrze. O ile będzie krótki.

– Czysto obronna jest, gdy „ty mnie zaatakowałeś, a ja nie zrobiłem nic, co mogłoby to sprowokować”. Na swój sposób to wojna, w której uczestniczymy. Ale nie do końca. To, co mamy tutaj, to różnica w polityce. Obie strony wierzą, że ich cel jest *sprawiedliwy*. Pytanie brzmi, czy to wojna, którą będziesz prowadzić?

– Nie wiem. – Sheida zastanowiła się. – Będzie... było już tyle śmierci.

– W przeszłości dorobiono się warunków wstępnych wymaganych, aby wojna mogła być uznana za *sprawiedliwą*. Mówiąc w skrócie, jest ich siedem. *Sprawiedliwa* sprawa, *legalna* władza, *słuszne* intencje, *rozsądna* nadzieja zwycięstwa, *proporcjonalne* dobro osiągnięte przy wyrządzonym złu, wysiłki podjęte w celu ochrony tych, którzy nie biorą udziału w walkach, i cel polegający na osiągnięciu *sprawiedliwego* pokoju. Nie zamierzam wdawać się we wszystkie, ale powiem ci, że kiedy doszło do Upadku, pomyślałem o tym, co mówiłaś mina temat ideologii Paula. I ta wojna odpowiada każdemu z warunków. Przynajmniej po naszej stronie. Tylko jedna kwestia: jaki masz cel?

– Przywrócić sytuację do stanu wyjściowego – odpowiedziała Sheida.

– Wirtualna utopia, choć osobiście uważam ją za nudną, musi być lepsza niż ogólnoswiatowa wszechobecna dyktatura „właściwych” ludzi, nie uważasz?

– Tak... ale...

– Żadnych ale. Pamiętaj, co powiedziałem o pokonaniu przeciwnika? – ostro przerwał Edmund. – To działa w obie strony. Gdybyś zamierzała po prostu się poddać, nie powinnaś była zaczynać. Ale biorąc pod uwagę to, co zrobił Paul, *musiałaś* wiedzieć, co jest najlepsze w tej sytuacji. Paul jest na dobrej drodze do odtworzenia każdego totalitarnego państwa w historii, mając za *sobą pełną moc Matki*. A na to *nie możemy* pozwolić. Droga Paula prowadzi do stworzenia wielu odrębnych gatunków wyspecjalizowanych *insektów*, nie istot ludzkich z wolną wolą i swoimi prawami. *Przetrwamy* to, podobnie jak cała rasa ludzka. I wy *gramy!*

– Tak, milordzie – powiedziała Sheida, skłaniając się. – Słucham i jestem posłuszna.

– Musimy pamiętać jeszcze o jednym – odezwał się Myron z zamyślonym uśmiechem. – To, co dotyczy nas, odnosi się również do Paula i jego towarzystwa. Kto im doradza?

* * *

– Naszym największym problemem będzie rolnictwo – ponuro oznajmił Paul. – Przy atakach tej dziwki Sheidy nie możemy przenosić jedzenia. A ludzie niedługo zaczną głodować.

– No cóż, mam trochę pomysłów w tej sprawie – odpowiedziała Celine. - Myślę, że możemy sobie z tym całkiem sprawnie poradzić. Wszystko sprowadza się do Chansy.

– Co przez to rozumiesz? – szorstko zapytał wywołany przez nią mężczyzna.

– Uprawa ziemi nie jest szczególnie trudnym zajęciem – stwierdziła kobieta, machając ręką. – W końcu ludzie zajmowali się tym już w epoce kamienia łupanego. Ale uciekinierzy to ludzie słabi i nie mający pojęcia o pracy. To sybaryci, prawda?

– To jeden z największych problemów ze światem – zgodził się Paul, kiwając twierdząco głową. – Powinni nauczyć się znów zmagać, pracować i przez to odzyskać prawdziwą wolność.

Celine zerknęła na Chanse, żeby zobaczyć jego reakcję, ale gigant po prostu patrzył na Paula z nastroszonymi brwiami. Zastanawiając się, na ile właściwie Paul znał historię, Celine delikatnie odchrząknęła.

– Chcesz może powiedzieć coś w rodzaju „praca czyni wolnym”?

– Och, tak! – potwierdził Paul, uśmiechając się z wygładzonym czołem. - Dokładnie to!

– Tak, no cóż – słabo bąknęła Celine. – W takim razie, hm, o czym to ja mówiłam?

– Że rolnictwo nie jest trudne.

– Ach. Dokonajmy drobnej modyfikacji uciekinierów. Uczyńmy ich bardziej odpornymi na wysiłek fizyczny, warunki i jakość jedzenia. Może odrobinę mniej... wyrafinowanymi umysłowo, praca na roli może być bardzo nudnym zajęciem. Odrobina selektywnej pracy na pamięci, żeby obecne warunki nie wpływały na nich depresyjnie. Po prostu ogólnie... ulepszyć ich, lepiej dostosowując do aktualnego środowiska.

– Chcesz powiedzieć, że powinniśmy ich ogłupić? – zapytał Chansa, unosząc brwi. – Tak właśnie mnie postrzegasz?

– Nie, ależ skąd – gładko odpowiedziała Celine. – Chcę ich tylko uczynić *silnymi*. I... odpornymi. Zdolnymi przetrwać lepiej niż zwykli ludzie.

– Próbujemy uciec przed Przemianą – zauważył Paul, marszcząc się.

– Och, to nie jest tak naprawdę *Przemiana* – zapewniła Celine. – Tylko – ulepszenie.

– To będzie wymagać energii – zauważył Chansa. – Skąd zamierzasz ją wziąć?

– Możemy pobrać ją z ich ciał – odpowiedziała natychmiast Celine. – Istnieje program do zwiększenia konwersji ATP. Z początku ich to osłabi, ale jedzenie i praca pomoże im odzyskać siły.

– Nie obrałem tego kursu, jaki wyznaczyła mi historia, by zmienić rasę ludzką w przygłupie automaty – wyrecytował Paul.

– Nie, oczywiście, że nie. – Celine zgodziła się pospiesznie. – Ale to zwiększy ich szansę przetrwania, a kiedy wojna się zakończy możemy ich Przemienić z powrotem.

– Ach.

– I warunkowanie lojalności – zauważył Chansa. – Oraz podkreślić ich agresję. Potrzebuję żołnierzy.

– Warunkowanie lojalności? – zapytał Paul, zdając się być dogłębnie skonsternowany przez nagłą zmianę.

– Dla żołnierzy to wszystko, czego trzeba – odpowiedział gigant. – Oraz trochę agresji. Podobnie jak rolnictwo – żołnierka nie wymaga zbyt wiele w zakresie mózgu.

– Oraz podstawowych umiejętności – dodała Celine, notując coś na leżącym przed nią papierze. – Żołnierka i uprawa ziemi są dość proste. Damy im do tego podstawowe umiejętności. Będą wiedzieli, jak orać i... te inne rzeczy.

– To powinno doskonale działać – stwierdził Paul, patrząc na swoje złożone dłonie. – Doskonale.

* * *

– Problem w tym, Myron, że wszyscy ci uciekinierzy są słabi, zdemoralizowani i leniwi – stwierdził Talbot z niesmakiem.

– Och, tego bym nie powiedziała – zaprotestowała Sheida. – Wszyscy są w dobrej formie, znacznie lepszej niż przeciętny rolnik w przeszłości. Po prostu przypomnij im, że alternatywą jest śmierć głodowa. Nie będziemy rozdawać jedzenia, będą musieli sami je wyprodukować. Albo je wytworzą, albo zginą. Podobnie jak my.

– Urocze. – Edmund prychnął do trzymanego w dłoni cynowego kubka. – Może wyglądać, jakbym był niefrasobliwy, ale to nie prawda. Oni nie mają żadnych *umiejętności* i nie są przyzwyczajeni do ciężkiej, całodziennej pracy fizycznej. Kiedy ostatnio próbowano czegoś takiego, zginęło ćwierć populacji.

– Kiedy to było? – zapytał Myron.

– Poi Pot, Kambodża. Trochę ponad dwa tysiące lat temu. Właśnie wygrał Wojnę domową i zdecydował, że wszyscy mieszkańcy miast mają się przenieść na wieś i żyć z ziemi. Zginęła jedna czwarta z nich, trzy miliony ludzi. Wielu z powodu bicia i tortur, ale większość z głodu. Podobna sytuacja zdarzyła się w tym rejonie kilka dekad wcześniej, i tamta spowodowała śmierć nawet jeszcze *większej* liczby ludzi. A *tamte* grupy przynajmniej miały jakieś *Pojęcie* o pracy.

– Jest całkiem możliwe, że zginie jedna czwarta *naszej* populacji – smutno zgodziła się Sheida. – Ale jeśli nie będzie produkcji żywności, wtedy zginą *Wszyscy*. A nie ma żadnych rolników.

– Myron, myślisz, że mogą się tego nauczyć? – Edmund odwrócił się do swego rozmówcy.

– Najlepiej, jeśli jest się przy tym wychowywanym, nie uważa się wtedy codziennej pracy od rana do nocy przez cały rok za ciężką – odpowiedział farmer z ponurym uśmiechem. – W innym przypadku...

– Przypuszczam, że po prostu będziesz musiał udzielać wielu lekcji. – Talbot pociągnął kolejny łyk piwa. Ono również już niedługo stanie się towarem deficytowym, na jakiś czas będą musieli skupić

się na pszenicy, nie jęczmieniu.

– Ja też – dodał z grymasem.

– Musisz wszystkim kierować, nie wyklepywać ostrza mieczy – poprawiła Sheida.

– Cóż, nie wiem, ile czasu mogę poświęcić na uczenie ludzi, prowadząc równocześnie farmę – zauważył Myron. – A jeśli nie będę się zajmował farmą, *nikt* nie będzie jadł następnej zimy. Żeby już nie wspomnieć o tym, że nie mogę być wszędzie równocześnie.

– A co z twoimi synami? – zapytała Sheida.

– No, co z nimi? – odpowiedział pytaniem Myron. – Obaj są gotowi przejąć pracę po mnie, ale chcą też własnych farm...

– Wyznacz jednego z nich, żeby został instruktorem – zasugerował Edmund.

– Może kimś w rodzaju agenta rolnego.

– Może. Ale mógłby sam hodować żywność.

– Wymyśliłam, jak można by wprowadzić rodzaj... wędrownego instruktora – powiedziała Sheida.

– Wędrującego w dość dużym zakresie. Wiązałoby się to z pewnymi problemami, między innymi rzadkimi wizytami w domu. Zapytaj ich, czy któryś z nich byłby zainteresowany. Dużo podróży.

– Dobra – zgodził się z powątpiewaniem Myron. – Szczerze mówiąc, Tom pewnie by tego chciał. Lubi *teorię* uprawy ziemi, ale tak naprawdę wcale nie lubi pracować, jeśli wiecie, o co mi chodzi.

– Tymczasem zajmiemy się uruchomieniem programu zaznajamiania – zdecydował Edmund. – Większość z nich wylądaje w końcu na farmie. Ale potrzebujemy nie tylko rolników. Zwłaszcza jeśli będzie to trwało tak długo, na ile się w tej chwili zanosi.

– Jeszcze jedna sprawa, którą trzeba umieścić na liście – przypomniała Sheida, notując. – Jeśli to sprawdzi się tutaj, prześlemy informację innym i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

– I jeszcze jedno, Sheida. To jest wojna. A to oznacza, że kiedy zacniemy cię popierać, Paul prawdopodobnie znajdzie jakieś grupy, które nas zaatakują.

– Tak, robi to – odpowiedziała członkini Rady. – I pomogę wam, na ile będę mogła. Ale...

– No cóż, dobra wiadomość jest taka, że mogę zupełnie się nie znać na wojnie w Sieci, ale będę bardzo zdziwiony, jeśli mają dowódcę sił lądowych, który może mi dorównać.

– Ubrania – powiedziała Roberta. Partnerka Toma była miejscową szwaczką i był to jeden z pierwszych punktów podjętych, gdy tylko cała trójka wróciła z zebrania. Awatar Sheidy został nieco dłużej, jako że inne awatary przekazały wiadomość, że monitorowane przez nie grupy dopiero zaczynały się zbierać. Plan Raven's Mill polegający na przygotowaniu grup czeladniczych do zaznajamiania się z pracą został przekazany przez awatary i spotykał się z mieszany mi reakcjami.

– Możemy hodować badwab – zauważył Myron. Hybryda bawełny z wieloma cechami jedwabiu była wytrzymała i umożliwiała uzyskanie doskonałego materiału, ale roślina wymagała raczej wyższych temperatur.

– Możemy też hodować owce – dodała Bethan.

– Więcej materiału z ara dostanie się z badwabiu – zauważył farmer. – Przyznaję, że wełna jest o wiele lepsza na zimną pogodę, badwab praktycznie wcale nie izoluje. Ale mam tylko pięć owiec, na długo przed zebraniem rozsądnej ilości wełny będziemy mieć mnóstwo badwabiu.

– Są dzikie owce – wtrącił Robert. – Wiesz, jak w lecie wyglądają górskie łąki. – Większość dzikich owiec wywodziła się ze współczesnych hodowli i samodzielnie zrzucały wełnę, kiedy robiło się dostatecznie ciepło. Pierwotnie była to zmiana genetyczna mająca na celu wyeliminowanie problemu strzyżenia, ale przy dzikich zwierzętach oznaczało to, że przez kilka tygodni wczesnym latem górskie łąki pokryte były plamami bieli. Większość ptasich gniazd w okolicy zrobiono z czystej wełny, doskonalszej niż najlepszy kaszmir.

– Masz tego trochę? – zapytał Edmund. – To znaczy badwabiu.

– Tak. Nigdy go nie siałem, ale wiem jak.

– Badwab można wykorzystać nie tylko na ubrania – stwierdził Robert. – Będziemy go potrzebować na cięciwy, liny...

– Na liny lepsze są konopie. W tym roku możemy zebrać przynajmniej jeden plon badwabiu. Jednak gręplowanie i przędzenie... wymagają mnóstwa pracy. Nie przypuszczam, żeby istniała szansa na mechaniczne gręplarki i przędzalnie do czasu, gdy dojrzeją zbiory?

– Kiedy? – zapytał Edmund.

– Powiedzmy, że we wrześniu?

– Może, ale jest tyle zadań dla tych kilku rzemieślników, których mamy. Umieść to na liście. Kiedy będzie sezon siania?

– Tak z głowy to nie pamiętam. Kiedy już gleba jest odpowiednia i ciepła, we później tutaj niż na południu, lepiej rośnie w gorącym klimacie, ale podobnie jest z wieloma roślinami.

– Herbata – zamarudził Edmund. – Prawie mi się skończyła.

– Żadnych źródeł kofeiny – powiedział Myron. – Mam w cieplarni kilka roślinek herbaty, ale nie dość, żeby zrobić więcej niż filiżankę co dwa lata. Żadnej kawy, herbaty...

– Nie potrafię uwierzyć, że trujecie się czymś takim. – Sheida skrzywiła się z dezaprobatą. – Kofeina ma okropny wpływ na ciało.

– ... żadnej czekolady – kontynuował Myron.

– Bez czekolady?

– Ma w sobie kofeinę – ze złośliwym uśmiechem stwierdził Edmund. – No cóż, *śladowe* ilości – zaoponowała Sheida, pociągając nosem. – Ale bez *czekolady*?

– Wymaga kilku produktów, które rosną wyłącznie w tropikach – smętnie stwierdził Myron. – Żadnej czekolady. Przynajmniej do czasu, aż uda się rozwinąć jakiś handel.

– No cóż, w takim razie *to* stanie się priorytetem!

– Cytrusy – dorzucił Edmund, rozmarzając się. – Będzie mi brakowało cytrusów. A one dobrze chronią przed skorbutem.

– *To* można hodować w Festivie – odrzekł Myron. – Jeśli pogoda się uspokoi. Zaczęło się to w dniu Upadku, pogoda zwariowała i cały czas utrzymywał się taki stan. Wiatr, deszcz, deszcz ze śniegiem, wylewające rzeki. Wydawało się, że nigdy nie przestanie padać i że na ziemię wyrwała się długo hamowana furia dzikiej pogody.

– Uspokoi się – zapewniła Sheida. – Słyszałeś, co się stało?

– Nie – odpowiedział Myron, ale wszyscy wyglądali na zainteresowanych.

– Program kontrolujący pogodę to SI, znałam ją, ale nie wiedziałam dotąd, że była jedną z *naprawdę* starych. Prawdę mówiąc, wywodziła się z czasów przed kontrolą pogody i pierwotnym jej zadaniem było tylko *prognozowanie*.

– Cholera, to rzeczywiście stara – zgodził się Myron, a równocześnie silny podmuch wiatru uderzył w dach gospody. – Czy to oznacza, że może przewidywać te rzeczy?

– Coś w tym stylu. Więc kiedy doszło do Upadku, gdy Rada zaczęła walczyć między sobą, nagle straciła energię do kontrolowania pogody. Musiała się ograniczyć do prognozowania. Wyobraźcie sobie, jak się *wkurzyła*.

– Ała.

– Ma na imię Lystra i nie przypadkiem mówiłam, że to *ona*. W każdym razie, nie ukrywa się jak wiele innych SI, ale zadeklarowała się jako *całkowicie* neutralna. Nie obchodzi jej, *kto* wygra, tylko żeby dostała z powrotem zasilanie, żeby mogła znów zająć się kontrolowaniem pogody. Jest naprawdę bardzo, bardzo wkurzona.

– Zabawne.

– Tak, jeden zabawny punkt w ogólnie paskudnej sytuacji. Lystra twierdzi, że to potrwa około półtora miesiąca.

– Możemy być w stanie posiać na czas, by zebrać plony. Trochę będzie musiało podeschnąć, zanim posiejemy. I nie zaszkodziłoby kilka dodatkowych pługów.

– Zajmę się tym – zobowiązał się Edmund. – I cieszę się, że Angus przywiózł ten ładunek blachy. Będziemy musieli wysłać mu kogoś do pomocy w sprowadzeniu dodatkowego materiału. I on też będzie potrzebował jedzenia. Trzeba zobaczyć, co możemy oddać.

Myron pociągnął kolejny łyk piwa i zmienił wyraz twarzy.

– Miałeś jakieś wiadomości o Rachel?

– Nie – wyszeptał Edmund, gdy kolejne uderzenie wstrząsnęło budynkiem. – Nie ma ich w domu. Jeden z awatarów udał się tam, ale odeszły – cicho powiedziała Sheida. – Protokoły prywatności Matki są nienaruszone, niech to szlag, więc nie mogę po prostu nakazać ich odnalezienia bez głosowania większości Rady. Żeby je znaleźć, musiałabym przeprowadzić pełne poszukiwania, a...

po prostu nie mogę na to przeznaczyć energii. Przygotowałam, no cóż, przewodników dla podróżujących. Mam nadzieję, że jeden z nich znajdzie je i skieruje do Raven's Mill.

– Co to za przewodnicy? – zapytał Edmund.

– Są pewne... na wpół samodzielne istoty, coś jak homunkulusy, zajmujące się niektórymi programami ekologicznymi. Znalazłam kanał nie wymagający dużej energii, który pozwolił mi je przeprogramować. Znają teraz ścieżki do bezpiecznych miejsc w swoich okolicach i jeśli trafiana zgubionych wędrowców, skierują ich tam. To wszystko, co mogę w tej chwili zrobić. Może później uda się coś więcej.

– Dla większości uciekinierów nie będzie żadnego później.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Od prawie dwóch tygodni podróżowały w najgorszej pogodzie, jaką Rachel widziała w całym swoim życiu.

Okazało się, że mają w domu mnóstwo materiałów przydatnych w podróży, Rachel była zaskoczona i nawet nieco przerażona odkryciem, jak wiele przedmiotów w domu miało związek z hobby jej ojca. Kiedy zaczęły przebierać stopy rzeczy, doszła do wniosku, że Edmund Talbot miał większy wpływ na dom, w którym nigdy go nie było niż mieszkający w nim ludzie.

Problem jednak nie polegał na tym, że miały dużo rzeczy, a na wybraniu tego, co spakować. Obie dysponowały dobrymi plecakami, zaprojektowanymi pod koniec dwudziestego pierwszego wieku, lekkimi jak piórka i doskonale pasującymi do ich ciał. Jednak napełnienie ich wymagało starannego przemyślenia. W końcu zdecydowały, że najważniejsze będzie jedzenie, odpowiednie ubrania i schronienie. Prawie wszystko inne zostawiły. Rachel spakowała sobie jeszcze odrobinę biżuterii, a Danah jej jedyną książkę medyczną z epoki, coś o tytule „Anatomia Graya”. Z tym wyruszyły w padający deszcz ze śniegiem.

Pogoda nie poprawiła się ani na chwilę. Przez ostatnie trzynaście dni przeciętnie przez dziesięć godzin na dobę na zmianę padał deszcz, śnieg lub deszcz ze śniegiem. Wszystkie rzeki i strumienie wezbrały, a w kilku przypadkach utrzymywane przez grupy turystyczne mosty zostały zmyte. W takich przypadkach miały do wyboru próbować ostrożnie przebyć lodowatą wodę strumienia pomimo braku mostu albo iść w górę, szukając jakiejś innej możliwości przejścia. Przejście stanowiło preferowaną alternatywę, choć lodowata woda *przedzierała* się pod ubrania i zalewała buty. Wolały jednak moknąć, niż tracić dodatkowe dni na marsz. W końcu musiały to zrobić przy Anar i straciły prawie dwa dni, zanim wreszcie znalazły nienaruszony most z drewna.

Zmusiło je to do zejścia z głównej drogi prowadzącej do małej wioski Fredar na mniej zadbane ścieżki biegnące przez niezamieszkałe tereny. Nie były lepsze czy gorsze od głównej drogi, a deszcz zamienił je w jedno wielkie bajoro błota. Noszone przez nie buty również zostały zaprojektowane pod koniec dwudziestego pierwszego wieku i błoto spływało z nich jak woda z kaczkę, ale i tak marsz wymagał nieustannego wysiłku podnoszenia drewnianych nóg, przesuwania ich, i chwytania się co chwila drzew, albo lądowania na twarzy w błocie. Wszystko to wciąż i wciąż, w niezmiennym otoczeniu drzew, wezbranych strumieni i bardzo rzadkich polan.

Każdy dzień był taki sam. Po nocy spędzonej w małym namiocie wstawiały i rozpalały ognisko. Wiezorami zastawiały sidła i linki na ryby, ale przy ciągłym deszczu niewiele udawało się im złapać. Tak więc zjadały odrobinę zabranego na drogę jedzenia, składały namiot i ruszały dalej przez las. Rachel doskonale zdawała sobie sprawę, w jak stosunkowo dobrej sytuacji się znajdowały. Miały ciepłe i suche ubrania zaprojektowane przez specjalistów okresu szczytu rewolucji technologicznej dokładnie do takich warunków. Miały dobre obuwie, doskonałe jedzenie i pojemniki na wodę. W tych czasach szaleństwa były bogate.

Po drodze mijały innych, którym nie powiodło się tak dobrze. Teraz, zaraz po przekroczeniu prostego mostku z pni, znów natknęły się przy drodze na kogoś zwiniętego pod drzewem i

wyglądającego jak kupka podartych ubrań.

Rachel odwróciła głowę, starając się nie patrzeć na ciało skurczone pod drzewem, ale jej matka podeszła i jak za każdym razem, starannie zbadła kobietę. Po chwili potrząsnęła głową i wróciła na ścieżkę.

– Miała w torbie coś, do czego dobrały się psy. Wodoszczelne ubranie. A jej twarz wygląda, jakby wcale nie głodowała.

– Po prostu się poddała – wyszeptala Rachel, potykając się znów w błocie i łapiąc się gałęzi drzewa. Podniosła oczy na niebo. Już zaczynało się ściemniać, choć pewnie było dopiero wczesne popołudnie. Spojrzała na zwłoki, potem na wezbraną rzekę. Jaki *sens* miało zarzucanie wędek, skoro nigdy *nic* się nie złapało. – Rozumiem, co czuła.

– Nie mów tak – przestrzegła córkę Daneh, też patrząc na niebo. – Nawet tak nie myśl. Myśl o płonącym ogniu, solidnym dachu i wołowie czerwonej przy kości.

– Jedzenie – powiedziała Rachel. Z początku podróżowały na połówkach racji, dzieląc między siebie jeden automatycznie nagrzewający się pakiet. Jednak w miarę jak pomimo prób polowania coraz bardziej kurczyły się im zapasy, przeszły na jedną czwartą porcji. Przez ostatnie trzy dni spożywały dziennie mniej niż tysiąc kalorii, idąc przy tym stale przez błoto, w zimnie, deszczu i śniegu.

– Już nie tak daleko – oznajmiła Daneh, robiąc krótką przerwę. – Nie chciałabym obozować przy trupie, ale jest tutaj strumień. Może będziemy miały więcej szczęścia, jeśli położymy wnyki przy wodzie. Jak myślisz?

– Co *ja* myślę? – Rachel roześmiała się histerycznie.

– Przestań – krzyknęła Daneh, łapiąc ją za kołnierz. – Jedzenie. Ogień. Ciepło. To wszystko jest nie dalej niż dzień czy dwa drogi.

– Jasne – jęknęła Rachel z kolejnym na wpół histerycznym chichotem. – Mamo, to samo mówiłaś *wczoraj!*

– Kiedyś już szłam tą drogą – odpowiedziała zdeterminowanym tonem, po czym wzdrygnęła się. – Ale... przyznaję, że było to dawno temu.

– Mamo, powiedz mi, że się nie zgubiłyśmy – niepewnie poprosiła Rachel.

– Nie zgubiłyśmy się. – Daneh zerknęła na kompas. Niosła również lokator pozycyjny, ale on przydawał się tylko wtedy, jeśli wprowadzono do niego drogę. A nie zabrała go ze sobą, kiedy ostatni raz szła tą trasą – kiedy była *bardzo* młoda i dostatecznie głupia, żeby uważać podróż na Jarmark na końskim grzbiecie za idyllę. Kiedy teraz o tym myślała, faktycznie tak było. Pogodę mieli dobrą, zgodnie z zapowiedziami, a Edmund zajmował się dziewięćdziesięcioma procentami prac obozowych. Nie było to niekończące się brnięcie przez bagno.

– Musimy rozbić obóz — ciągnęła. – I ustawić wnyki i wędkę. Nie złapiemy *dużo*, ale nawet to jest lepsze niż nic. – Zerknęła przez ramię, na Lazura. Przemoknięty i zmęczony domowy kot przechodził smętnie przez most. – Może Lazure coś złapie.

Prawdę mówiąc ich domowy lew dostarczał większość białka dla grupki. Pomimo deszczu rozpoczął podróż w dobrym nastroju, z wysoko podniesionym ogonem witając coś, co zanosilo się na bardzo interesujący, długi spacer. Trwało to przez większość pierwszego dnia, ale domowe lwy nie były szczególnie dobrze przystosowane do długodystansowych marszów, więc wieczorem tego dnia jego ogon sunął już po ziemi. Pomimo to o poranku siedział przy resztkach ogniska z martwym i tylko trochę wymiętoszonym oposem. Przez cały pierwszy tydzień przynosił też złowione zwierzęta: dwa razy króliki, jeszcze trzy oposy i samicę szopa pracza, a trzeciego dnia pojawił się, ciągnąc upolowanego jelonka.

Jednak ósmego dnia kot zaczął być równie zmęczony, jak ludzie i, praktycznie rzecz biorąc, przestał polować. Koty są obowiązkowymi mięsożercami, co oznacza, że codziennie muszą jeść mięso. Daneh dzieliła się z nim drobnymi porcjami ich posiłków, mając nadzieję, że wystarczy to do ochrony zwierzęcia przed uszkodzeniem wątroby, ale nawet pomimo polowań kot nie dostawał dostatecznie dużo, by utrzymać się w formie.

Daneh spojrzała na kota i swoją córkę, która również straciła za dużo ciała i potrzęsnęła głową.

– Odpocznijmy tu dzisiaj, trochę dalej w górę drogi, na wypadek, gdyby mieli się pojawić jacyś padlinożercy. Rozłożymy sidła i zarzucimy wędki, a jutro będziemy tylko odpoczywać i próbować znaleźć jakieś jedzenie. Może uda się nam wypłoszyć z lasu coś, co złapie Lazor. Ale większość dnia spędzimy na odpoczynku. A jeśli niczego nie znajdziemy, to trudno. Pojutrze pójdziemy dalej.

– Może być. – Rachel poprawiła plecak. – Kilkaset metrów? – Tak.

Rachel rozejrzała się wokół po zalanym deszczem lesie i wzruszyła ramionami. Za kilka dni powinny dotrzeć do Via Apallia i do pewnego stopnia cywilizacji. Z pewnością najgorsze miały już za sobą. O ile gorzej mogło być?

– Dzisiaj kolejnych dziesięcioro uciekinierów.

June Lasker była jedną z pierwszych przybyłych. Mieszkała w domu niedaleko na zachód, trochę w górę Via Apallia, na granicy gór Adaron. Miała stosunkowo niezły dom z kominkiem na drewno i kilkoma przedmiotami, które dałoby się wykorzystać do gotowania nad ogniem. Jednak zdawała sobie sprawę, że nie będzie czego gotować, a jako doświadczony kupiec na Jarmarkach doskonale wiedziała, jak dotrzeć do Raven's Mill. Okazała się jednym ze stosunkowo lepiej zaopatrzonych uciekinierów, posiadając własnego konia i zestaw narzędzi, dzięki którym prowadziła udane interesy. Tym, co sprzedawała, była ręczna kaligrafia, a ryzy pergaminu, atramenty, ołówki i pióra zostały dobrze przyjęte, nikt nie pomyślał o tym do czasu, aż zagłębili się w planowanie i nagle okazało się, że nie mając prowadzić zapisów.

Tak więc June stała się główną archiwistką i szkoliła dwójkę uciekinierów na skrybów, ucząc ich również umiejętności wytwarzania atramentu i papieru. Gdy tylko znajdzie wolnych kilku rzemieślników, zamierzała zatrudnić ich do zbudowania prasy drukarskiej.

– Ktoś, kogo znamy? – Edmund zerknął jej przez ramię na listę.

Deszcz równomiernie stukał w dach namiotu ustawionego do przyjmowania uchodźców. Niedaleko niego znajdował się namiot jadalny, z którego dobiegały wyraźne odgłosy formującej się

kolejki do jedzenia. Na chwilę skupił uwagę na dźwiękach, ale były powolne i metodyczne. Prędzej czy później czekały ich poważne problemy, ale jak dotąd uchodzący byli szczęśliwi, dostając po prostu jakieś jedzenie i schronienie oraz trafiając na ludzi, którzy jasno wiedzieli, co robić. Oczywiście było wielu histeryków, nagłe odejście od życia w spokoju i dobrobycie nie było łatwe i rodziło wiele płaczu i mnóstwo koszmarów. Ale trzydniowy okres odpoczynku i jedzenia zdawał się załatwiać problem. Po tym czasie większość grup potrafiła się już ze sobą dogadać i pomagała w obozie. Niektórzy odmówili spełnienia warunków koniecznych do zostania, mając nadzieję na znalezienie czegoś lepszego gdzieś indziej. Cóż, mogli dalej szukać garnka ze złotem, jeśli gdziekolwiek była jeszcze choćby jedna tęcza.

– Nie, ale powiedzieli, że za nimi na drodze są jakieś wozy. Przypuszczam, że to handlarze.

– Spodziewałem się ich już do tej pory – marudził zaniepokojony Talbot.

– Wiem – odparła June. – Nic im nie będzie.

– Miały wszystko, co potrzeba, żeby tu dojść – powiedział z przekonaniem.

– Wiesz, Edmund, nikt nie miałby pretensji, gdybyś wsiadł na konia i pojechał szukać.

– Wysłałem Toma. Niech to zostanie między nami. Nie chcę, żeby ktokolwiek myślał, że korzystam z przywilejów swojego stanowiska. Dotarł do Warlan i dalej szlakiem, ale ich nie znalazł.

– Szlag.

– Powiedział, że niektórzy ludzie na drodze twierdzili, że most na Annan na południe od Fredar został zniszczony. Jeśli próbowali przejść...

– Prawdopodobnie go obeszły – pocieszyła go June. – Daneh nie usiłowała by sforsować rzeki przy takim poziomie wody. A w takim razie są na jakichś bocznych drogach.

– A ja nawet mogę się domyślić, na której – powiedział Edmund. – Ale gdybym pojechał ich szukać, mnóstwo ludzi chciałoby poleżeć w każdym kierunku. A na to nie możemy pozwolić. Sytuacja tutaj wciąż wisi na włosku.

Zacisnęła szczęki, ale kiwnęła głową w potwierdzeniu.

– Przez co wiadomość, którą dostałam, staje się jeszcze bardziej nieprzyjemna.

Edmund zachował kamienną twarz, uniósł tylko jedną brew. – Ostatnia grupa została... zaatakowana przez gromadę mężczyzn. Zabrali im wszystko, co miało jakąkolwiek wartość.

– Wszystkie zalety podróży z epoki, a teraz jeszcze bandyci – parsknął Edmund. – Będziemy musieli zorganizować straż znacznie szybciej, niż myślałem.

– Jest mnóstwo rekreacjonistów...

– Nie chcę bandy facetów, którzy malują się na niebiesko i atakują z wrzaskiem – gniewnie odpowiedział kowal. — Na dłuższą metę to nie będzie jedyny taki problem. Potrzebujemy *profesjonalnych* strażników, cholera, żołnierzy, którzy poradzą sobie w prawdziwej walce. Chcę mieć legionistów, nie barbarzyńców. Między innymi zamierzam dopilnować, żeby nie stali się załącznikiem systemu feudalnego, albo nie nazywam się Talbot.

– Żeby wyszkolić legionistów potrzebujesz centuriona – z uśmiechem stwierdziła June. – I odpowiednich warunków społecznych jako podłoża.

– Jeśli będziemy mieć szczęście, ten pierwszy się zjawi – powiedział tajemniczo. – Co do drugiego – pracuję nad tym.

– Cóż, tymczasem lepiej wygrzeb skądś kilku dobrych Piktów, zanim zjawią się tu wikingowie.

* * *

Herzer miał bardzo zły tydzień.

Upadek zastał go w domu, jednak podobnie jak w przypadku większości ludzi nie na wiele się on zdawał w świecie bez energii. Rodzice pozbyli się Herzera najwcześniej, jak to tylko było możliwe. Ani jego matka, ani ojciec nie powiedzieli ani słowa na temat jego stanu, poza pytaniami, czy się coś nie poprawia, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że każde z nich winiło za problemy genetykę tego drugiego. I żadne nie było typem osobowości, która potrafiłaby znieść psychicznie ciężar dziecka o „szczególnych potrzebach”. Kiedy był maty. oboje traktowali go dobrze, może bardziej jako szczególną zabawkę niż dziecko, ale kochaną zabawkę. Kiedy jednak zaczęły się pojawiać drgawki, stawali się coraz bardziej odlegli, aż w końcu, kiedy osiągnął minimalny wiek na usamodzielnienie się, matka zapytała wprost, kiedy się wyprowadzi.

Tak więc żył samotnie. I choć jak wszyscy otrzymywał dość hojne zasiłki

Sieci, znaczną ich część przeznaczał na gry rekreacyjne. Tak więc jego dom przedstawiał się raczej skromnie, podobnie jak posiadane przez niego rzeczy. Właściwie do jego małego domku pasowałby termin „minimalistyczny”. Nigdy nie trzymał w nim nawet broni, z którą trenował, w celu ograniczenia bałaganu przechowując ją w bliżej nieokreślonych magazynach sieci.

Tak więc Upadek, zastał go z pustymi rękami.

Wiedział, że Via Apallia jest gdzieś na północ od jego domu oraz że Raven’s Mill znajduje się na zachód od drogi. A ponieważ orientował się, jak odnaleźć północ, wyruszył.

W domu nie miał kompletnie nic do jedzenia, a jedynym materiałem na osłonę była peleryna, którą przed laty podarowała mu Rachel. Zdecydowanie za mała, ale od biedy mógł ją wykorzystać.

Wkrótce największym problemem okazał się brak ludzkich ścieżek. Roślinność rozrosła się do niesłychanych rozmiarów, teren był płaski i pełen strumieni przepelnionych z powodu nieustannych deszczy. Wszędzie gęsto rosły krzewy ligustru bardzo utrudniające marsz.

Przez dwa dni szedł, kierując się zwierzęcymi ścieżkami i własnym nosem, aż w końcu trafił na pierwszą ścieżkę wydeptaną przez ludzi. Podążył nią na północ, zdążając do Via Apallia.

Zamiast niej trafił jednak na Dionysa McCanoca.

W pierwszej chwili po prostu ucieszył się ze spotkania. Olbrzym miał ze sobą zwykłe stadko pochlebców i przynajmniej była to jakaś grupa, z którą mógł się związać. Jednak przywiązanie szybko przestało być pociągające. Benito próbował zrobić łuk i strzały i nimi polować, ale poza nim nikt z grupy nawet nie starał się zdobyć jakiegoś jedzenia. Kiedy Herzer do nich dołączył, mieli jakieś nieduże zapasy, ale ośmiu dorosłych mężczyzn, z Herzerem dziewięciu, szybko je pochłonęło.

Kiedy się skończyły, Herzer próbował poszukać czegoś, ale jego treningi nigdy nie prowadziły w tę stronę. Pożyczył nóż i wystrugał sobie wędkę, zamocował na niej przynętę i próbował łowić, jednak po całym dniu schwytał tylko dwie ryby, które na dodatek wyglądały bardzo dziwnie. Żadna z nich nie miała kształtu właściwego dla ryb i koło paszczy zwisały im dziwne wąsy. Nie miał też pojęcia, jak je przygotować, ale uznał w końcu, że można postąpić z nimi tak samo jak z dziczyzną, więc odciął im głowy, wypatroszył i obdarł ze skóry. Potem pomimo deszczu musiał rozpalić ognisko. Dionys miał staromodną zapalniczkę, którą bardzo niechętnie użyczył do eksperymentu. Po kilku próbach Herzerowi udało się rozpalić ogień pod osłoną powalonego drzewa. Potem upiekł zdobycz, wbijając ją na rozwidlony patyk. Pierwszy kij po zbyt blizim zbliżeniu do ognia zapalił się, Prawie zrzucając cenne mięso do ognia. Od tamtej pory Herzer pamiętał o używaniu do pieczenia świeżej gałęzi. Pomimo tego w trakcie pieczenia kilka kawałków ryby i tak wpadło w żar, a kiedy wreszcie posiłek był gotów, starczyło ledwie po kilka kęsów dla każdego w grupie. Jednak *coś* było. I było gorące.

Dopiero tego ranka, po przejściu przez to wszystko dla paru kęsów na wpeł upieczonej ryby, Herzer zaczął się zastanawiać, co McCanoc zamierza. Olbrzym nie wydawał się iść gdziekolwiek lub czymkolwiek się zajmować. Emanowało z niego oczekiwanie.

Gdy tylko rankiem wypłatał się z przemoczonej peleryny, Herzer zapytał Dionysa o jego plany. Później przyznał, że nie był to najlepszy ruch pod względem politycznym. Nie mieli śniadania i żadnych perspektyw na obiad, chyba że któryś z nich w jakiś sposób zdołałby znaleźć jedzenie pomimo deszczu. A Dionys nie był osobą, która lekko przyjmowała podważanie swojego autorytetu. Wysłuchał mniej więcej połowy diatryby Herzera, po czym uderzył młodego człowieka w klatkę piersiową z siłą, która powaliłaby wołu.

Herzer brał udział w niezliczonych walkach sensorycznych, ale rzadko wyłącznie z gołymi dłońmi i nigdy przy pełnej stymulacji, tylko prawdziwi idioci lub masochiści włączali systemy bólu na pełną moc. Więc po uderzeniu przez chwilę leżał tylko w błocie, zastanawiając się, czy szalenciec go zabił. W końcu podniósł się z ziemi i odszedł w las.

– Nie był pewien gdzie idzie, po prostu przez jakiś czas nie miał ochoty oglądać twarzy Dionysa.

– Nie znalazłszy żadnego jedzenia ani odpowiedzi na pytanie, co robić, wrócił do obozu po południu. Tymczasem McCanoc wysłał część swoich ludzi do pilnowania ścieżki. Potem zebrał pozostałych, łącznie z Herzerem, na przemówienie.

– Skończyły się dni słabości – oznajmił, stając na deszczu z obnażonym mieczem, opierając go czubkiem przed sobą w ziemi. – Nadszedł czas, by silni zajęli należne im miejsce.

– Mówił w tym stylu przez dobre trzydzieści minut, podczas gdy czwórka, która nie poszła pilnować drogi, siedziała na deszczu i – przynajmniej w przypadku Herzera – zastanawiała się, ku czemu to wszystko zmierza. W końcu dotarło do niego znaczenie przemowy.

– Czyli mówisz, że mamy zostać bandytami? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tylko na jakiś czas – poważnie odpowiedział Dionys. Od chwili, gdy Herzer wrócił, traktował go z większym szacunkiem niż pozostałych swoich pomocników. – Z czasem zajmiemy nasze właściwe miejsce, przewodząc Nowe mu Przeznaczeniu.

– Nowe Przeznaczenie – powtórzył Herzer, przecierając oczy z deszczu. – Czy nie tak Paul nazwał swoją grupę? I czy Sheida nie kontroluje czasem Norau?

– Tylko tymczasowo. Tylko tymczasowo. Ale to zależy od jej sojuszników na tym kontynencie. Tymczasem możemy wywalczyć sobie niszę i wydostać się z tego – wskazał wokół na ociekający deszczem las. – Przecież nie chcesz tak żyć do końca swoich dni?

– Hmm – wydobył z siebie Herzer, nie rozglądając się. Odgrywał kilka scenariuszy, w których należało rozprawić się z bandytami i w większości z nich jedną z metod była infiltracja ich obozu. *No cóż, zinfiltrowałem obóz bandytów, pomyślał. Ile dostanę punktów?*

Wtedy uświadomił sobie nagle, że nie chodziło już o punkty. Dionys był śmiertelnie poważny. Z naciskiem na śmiertelnie. Miecz nie został wyciągnięty wyłącznie na pokaz, wyraźnie mógł zostać w każdej chwili użyty. A Herzer poczuł zimny dreszcz, gdy uświadomił sobie, Dionys *głównie* mógł użyć go właśnie na nim.

– No cóż, oczywiście, że nie chcę w tym siedzieć przez resztę życia – parsknął Herzer. – I nie widzę powodu, żeby nie zająć naszego właściwego miejsca. – Powiedział absolutną prawdę.

Dionys przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, po czym skinął głową.

– Benito, Guy i Galligan stoją na czatach. Na drodze w końcu pojawią się jacyś ludzie. Część z nich zdecyduje się dołączyć do naszej małej krucjaty. Część będzie posiadała rzeczy, którymi opłacać cło za używanie drogi. Wszystko świetnie. Niektórzy będą się opierać. Trzeba będzie ich... przekonać.

Wokół Herzera rozległy się chichoty i uświadomił sobie nagle, że całe to przedstawienie przygotowano wyłącznie dla niego. Siedzące wokół niego... stwory już dawno sprzedały swoje dusze i nie miały żadnych oporów przed staniem się po Upadku bandytami. Dopiero wtedy zaczął się zastanawiać, czy wszyscy zaczęli tak jak on, zabawka, którą olbrzym chciał dodać do swojej kolekcji upadłych dusz. Zdał też sobie sprawę, na co czekał McCanoc. Chciał, żeby ociągający się jeszcze, jak Herzer, stali się dostatecznie głodni i zdesperowani, żeby przestać się przejmować.

Wiedział też, że jest otoczony. Prawdopodobnie zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, pozostali siedzieli po obu jego stronach i za plecami. A o ile kilku z nich miało noże, a Dionys oczywiście swój miecz, to Herzer nie znalazł nawet odpowiadającego mu kija, i był praktycznie bezbronny.

Równocześnie uświadomił sobie, co o tym wszystkim myśli. Niech go szlag trafi, jeśli ma się stać bandytą. Za nic nie skaże się na potępienie przez upadek do poziomu rozbójnictwa i brygancstwa, o jakim mówił Dionys, nawet jeśli nie znał odpowiednich słów. Herzer może nie do końca był pewien swoich uczuć, zwłaszcza dotyczących kobiet, ale nigdy nie *zachowywał się* inaczej niż godnie i sprawiedliwie. I nie zamierzał przestać tylko dlatego, że był trochę głodny. Na świecie było zbyt wiele dziwnych ryb.

Pozostawało jednak pytanie, jak się z tego wyplątać, nie tracąc przy tym życia. A jedyną w tej chwili odpowiedzią było: grać.

Tak więc udawał. Rozumiał przy tym sprawę, że błędem byłoby granie w pełni przekonanego, jedynie na tyle, by przystać na ich plan. Zauważył później, że jeden z pozostałych zawsze był w pobliżu, przyglądając mu się i pilnując.

Znajdował się w takim właśnie stanie paranoi, dręczącego głodu i zawieszanej w powietrzu awantury, gdy nadbiegł Guy z wiadomością, że trafił im się pierwszy klient.

* * *

Rachel i Daneh rozdzieliły się, żeby zwiększyć szansę na zdobycie czegoś do jedzenia. Daneh poszła na południe od drogi, podczas gdy Rachel i Lazurowa na Północ.

Daneh ustawiła trzy sidła w rozsądnie wyglądających miejscach, na śladach zwierzyny wzdłuż zachodniej strony drogi. Pułapki były proste, z epoki, składały się z pętli ze splecionych końskich włosów. Gdyby królik lub coś podobnego przeszło ścieżką, zaplątałoby się w samozaciskową pętlę i zostało na miejscu do chwili sprawdzenia wyników. Albo do chwili, aż przyszłoby coś innego i zjadło zdobycz. W trakcie ich podróży zdarzyło się to już nieraz i straciły w ten sposób nawet jedne z sideł. Ale nie miały nic lepszego.

Dotarła do małego strumienia, przez który przerzucono prosty most z pni i zastanawiała się, czy byłoby to dobre miejsce na zarzucenie wędki, kiedy z lasu wyłonili się trzej mężczyźni.

* * *

Herzer poczuł, jak na widok Daneh trzymanej przez Benita i Galligana ścisną mu się żołądek.

– Dionys, to moja znajoma – powiedział. Zajął pozycję możliwie najdalej z tyłu grupy, ale za sobą wciąż miał jednego z bandy. A kiedy grupa rozstawiła się na ścieżce, Boyd i Avis również się cofnęli.

– No cóż, masz bardzo ładną znajomą – stwierdził Dionys. – Kim jesteś?

– Jestem Daneh Ghorbani. I wiem kim *ty* jesteś, Dionysie McCanoc. Co to ma wszystko znaczyć? – Daneh zacisnęła szczęki, ale jej głos drżał lekko.

– Cóż, za używanie drogi trzeba opłacić myto – oświadczył Dionys. – Zastanawiam się, czym możesz nam zapłacić.

– *Wolne żarty* – odpowiedziała ostro, spoglądając na grupę, a potem na Herzera, który patrzył wszędzie, tylko nie na nią. – Jesteś... jesteś *szalony*.

– Parę osób mi to sugerowało. – Dionys wyciągnął miecz i przystawił jego czubek do jej gardła. – Ale *odradzałbym* używanie w tej chwili tego terminu, kobieto. Ghorbani... skądś znam to nazwisko. Ach! Żona Edmunda Talbota, prawda?

– Ja... jesteśmy z Edmudem przyjaciółmi, tak – cicho potwierdziła Daneh.

– Jak *wspaniale!* – wykrzyknął McCanoc z ponurym uśmiechem. – Jakże *nadzwyczaj* wspaniale. A gdzie jest twoja córka?

Daneh prawie czekała na to pytanie.

– W chwili Upadku była w Londynie. Mam nadzieję, że nic jej nie jest.

– Myślę, że jest w lepszej sytuacji niż ty. – McCanoc uśmiechnął się paskudnie. – I wiem, jak możesz *zapłacić* myto!

– Dionys – powiedział Herzer napiętym głosem. – Nie rób tego.

– Och, nawet nie *pomyślałbym* o zajęciu pierwszego miejsca – odparł tamten, odwracając się do chłopca i kierując ku niemu miecz. – To *twoje* zadanie.

Herzer zatoczył się do przodu, pchnięty przez Boyda w plecy i nagle stanął tuż przed Daneh. Dla niej też droga nie była łaskawa, kości policzkowe mocno rysowały się na twarzy, a na policzku miała smugę brudu. Spojrzał jej w oczy i dostrzegł w nich rezygnację i coś jeszcze, coś bardzo starego i mrocznego.

– Doktor Ghorbani, przepraszam – wyszeptał i schylił się, uderzając ramieniem w jednego z pilnujących.

Mężczyzna był mniejszy od niego i został odrzucony z drogi. Od tej chwili Herzer musiał tylko utrzymać się na nogach i zacząć biec. Jednym skokiem przebył mały mostek i szybko skręcił w lewo, przeciskając się między krzakami i drzewami wzdłuż drogi. Po chwili zniknął.

* * *

– Cóż – stwierdził McCanoc, wymachując mieczem. – To było... trochę niespodziewane. – Spojrzał na zwiniętego na ziemi kompana i potrząsnął głową. – Wstawaj. Co za palant. – Galligan złapał Daneh, zanim mogła uciec i trzymał ją teraz za obie ręce, odciągając je do tyłu. – Hmm... cóż, wciąż jeszcze nie zapłaciłaś myta.

– Zrób to – splunęła. – Zrób, cokolwiek zamierzasz i bądźcie wszyscy przeklęci.

– Och, ale my już jesteśmy. Guy, trzymaj ją za drugą rękę. Wy, złapcie ją za nogi. Nie miałem kobiety już od ponad tygodnia i mam już dość machania ręką.

** *

Herzer przedzierał się przez las, szukając kija, gałęzi, jakiegokolwiek broni. W końcu opadł na ziemię, dysząc i płacząc. Nawet pomimo przygłuszenia dźwięków przez deszcz i las, słyszał za sobą odgłosy. Zamknął na nie uszy, szukając czegoś, czegokolwiek, co mogłoby mu pomóc.

Las był stary, przerośnięty gęsto paprociami i ligustrem. Wszystkie leżące na ziemi gałęzie przegniły, ale w końcu znalazł młode drzewko, które wyrosło mniej więcej na wysokość człowieka, po czym obumarło z braku światła. Próbował odnaleźć drogę powrotną przez las, ale ligustr ukrył wszelkie ślady. W końcu dotarł do strumienia i mając nadzieję, że to właściwy, poszedł wzdłuż niego, część drogi brodząc w wodzie. Dionys, przy jego rozmiarach i mieczu, stanowił główne niebezpieczeństwo. Ale nawet nędzny łuk i krzywe strzały Benita mogły mu zagrozić, i to pomimo deszczu. Pozostali mieli jedynie noże.

Gdyby tylko mógł wrócić na czas.

** *

Guy zszedł z pani doktor i spojrzał na nią w dół.

– Mamy jej teraz poderznąć gardło? – zapytał. – Zawsze to robimy z homunkulisami.

– Nie. – Dionys wytarł zadrapanie na policzku. – Ale weźcie jej płaszcz przeciwdeszczowy i

spodnie jako karę za nieopłacenie myta z własnej woli. – Roześmiał się. – Pozwólcie jej żyć. – Kopnął Daneh w bok.

– Żyj. Idź i powiedz swojemu lubemu, co zrobiliśmy. Powiedz mu, że przyjdziemy po niego. Nie dzisiaj, nie jutro, ale niedługo. A wtedy dokończymy dzieła. ~ Machnął na grupę i ruszył ścieżką na południe, przez most. – Tam skąd przyda, będzie ich więcej.

Kiedy grupa odchodziła, Daneh przetoczyła się w błocie na bok i zasłoniła warz dłońmi. Nie będzie płakała. *Odmówiła* dania im tej satysfakcji. Przez cały czas utrzymała kamienną twarz i wiedziała, że to odebrało im część przyjemności. To było jedyne, co mogła zrobić i nie zamierzała teraz tego stracić.

Odczekała, aż zyskała pewność, że odeszli i podniosła się na nogi, poprawiając ubranie najlepiej, jak mogła. Żałowała, że nie może go zedrzeć i wyrzucić, nawet spalić. Ale musiała mieć coś do osłony przed zimnem i wilgocią. Niepewnym krokiem doszła do strumienia i wypłukała usta, pozbywając się paskudnego niesmaku i obmacując obluzowany ząb, Dionys usiłował wydobyć z niej jakąś reakcję, ale poza drapnięciem, gdy udało się jej uwolnić rękę, nic mu nie dała. Miała na ciele inne rozcięcia i stłuczenia, a w pewnym momencie zaćmiło jej przed oczami z bólu w żebrach, możliwe, że któreś było złamane.

W końcu usiadła na moście i po prostu siedziała w deszczu, aż usłyszała na drodze zbliżające się kroki. Obawiając się, że któryś z nich wraca po drugi raz, wstała i odwróciła się do ucieczki. Ale okazało się, że to tylko Herzer, trzymający w rękach drzewko wyższe od siebie, z ziemią wciąż przyczepioną do resztek korzeni.

* * *

Herzer spojrzał na nią i opadł na kolana, ze spuszczoną głową, prawie zwijając się wokół bezużytecznego kija.

– Przepraszam – wyszeptał.

– Herzer...

– Przepraszam, nic nie mogłem zrobić, zabiliby *mnie* i...

– Herzer! – krzyknęła. – Do cholery, nie mam czasu na twoje uzalanie się nad sobą. Skłamałam o Rachel. Jest w górze drogi. Musimy ją znaleźć i *zabrać* ją stąd, zanim *oni* to zrobią.

– Rachel? – zapytał, wstając.

– Mów cicho – powiedziała spiętym głosem.

– Ja... – Ściągnął swoją pelerynę i podał jej. – Potrzebuje pani tego bardziej niż ja. I tak musimy się stąd wynieść.

– Porozmawiamy o tym. – Daneh wzięła pelerynę wyciągniętą sztywno ręką. – Możesz iść przede mną. W tej chwili nie chcę mieć blisko siebie *żadnych* mężczyzn – wycedziła jadownicę. – To nic osobistego.

– Oczywiście – odparł Herzer, kierując się do przodu. – I, Herzer.

– Tak?

– Kiedy dotrzemy do Rachel, nie wspomnimy ani słowem, że byłeś z grupą, która to zrobiła. Rozumiesz?

– Ja... dobrze. Ale nie, nie rozumiem.

– Włożyłam sporo wysiłku w ocalenie ci życia – powiedziała gorzko. – Nie chcę, żeby zabił cię Edmund. Albo Rachel.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Rachel była wściekła.

– *Zabiję ich!* – warknęła.

– Jeśli spróbujesz, skończysz dokładnie tak jak ja – powiedziała Daneh, dygocząc. Peleryna Herzera pasowała na nią znacznie lepiej niż na niego, ale i tak stanowiła nędzny substytut jej stroju przeciwdeszczowe go. Zdawała sobie też sprawę, że wciąż przeżywa szok po wstrząsie, jakim był gwałt. – Nie kłamałam przez zęby tylko po to, żeby cię też zgwałcili. Daj spokój.

Lazur, zmęczony i mokry, krążył wokół niej węsząc i miaucząc. Obwąchiwał również Herzera i zdawał się gotów go ugryźć, ale w końcu dał spokój i odszedł w las, węsząc przy ziemi.

– Nic nie możesz zrobić, Rachel – bezdźwięcznie powiedział Herzer.

– A ty się może *odczep*, Herzerze Herricku – wrzasnęła Rachel. – Gdzie *ty* u diabła byłeś? Co?

– Za późno, żeby mógł cokolwiek zrobić – mruknęła Daneh. – *Daj spokój*, Rachel. Musimy ruszać w drogę.

– A co z sidłami? – zapytała. – *Nie możemy* iść bez jedzenia. W ostateczności przynajmniej *Lazur* musi jeść.

– Nie rozchoruje się jeszcze przez dzień albo dwa – zmęczonym głosem odpowiedziała Daneh. – Jeśli pójdziemy szybko, możemy dotrzeć do *Via* najpóźniej w jeden dzień. Tam są osiedla i powinniśmy znaleźć coś do jedzenia.

– Jak daleko doszłaś drogą? – zapytał Herzer.

– Tylko kilometr czy coś koło tego. Ścieżka dalej to błoto do kolan. Mamo, nie wiem, czy dasz radę tamtędy przejść.

– Dam radę – oświadczyła Daneh, wstając. – Dam radę przejść całą drogę. Ale nie zamierzam czekać tu na to, aż znów znajdzie mnie tu McCanoc i jego radosna banda. Chodźmy.

– Boże, żeby tylko tata był w Raven's Mill – westchnęła Rachel, zbierając ich skromny dobytek.

– Będzie – zapewniła ją Daneh. – Mam tylko nadzieję, że zechce zapomnieć o ostatnich kilku latach.

– Dom jest tam, gdzie – jeśli musisz tam iść – oni muszą cię przyjąć – cicho dodał Herzer. Automatycznie zajął pozycję na przedzie, podnosząc plecak Daneh i umieszczając go sobie na plecach. – Będzie tam. I będzie na was czekał.

– Mam nadzieję – gorzko powiedziała Daneh.

* * *

– Nie, nie, musisz mocniej to podgrzać, bo będziesz walił młotem cały dzień bez żadnego efektu –

zaburczał Edmund, chwytając kawałek metalu szczypcami i umieszczając go z powrotem w palenisku.

– Przepraszam pana, myślałem... – Uczeń cofnął się o krok i rozejrzał się po grupie zebranej w kuźni. Jeszcze kilka tygodni temu jedyne problemy męczące go się teraz w kuźni młodzieńca sprowadzały się do tego, w co się ubrać na następne przyjęcie. Teraz tkwił uwięziony w tym zagraconym warsztacie, ucząc się zawodu tak starego, że aż do zeszłego tygodnia nigdy o nim nie słyszał. I *kiepsko* sobie w nim radząc. To nie było w porządku.

– Trzeba *lat*, żeby nauczyć się zawodu kowala – dodał mistrz łagodniej, zauważywszy spojrzenie. Wskazał podbródkiem na miechy i odczekał, aż uczeń rozdmucha ogień. – Przyglądaj się barwie metalu i otaczających go płomieni. Kiedy zrobi się białe, wyciągnij i uderzaj. Nie masz dużo czasu, dlatego mówi się, że trzeba „kuć żelazo, póki gorące”. — Podkreślił słowa, wyciągając rozgrzany kawałek z ognia i rozbijając go na płask, a następnie nadając mu kształt. – To tylko motyka, ale to one właśnie już niedługo będą nas karmić. Motyki, pługi i części do wozów staną się waszym głównym źródłem dochodów, kiedy już nauczycie się fachu. – Wsadził na wpół uformowany metal z powrotem do ognia i wskazał głową na innego ucznia. – Teraz ty podtrzymuj ogień, a on spróbuje jeszcze raz.

Gdy nieopierzony czeladnik kowalski próbował nagiąć oporny metal swojej woli, mistrz cofnął się i wytarł twarz, starając się nie potrząsać przy tym głową. Dzięki przywiezionym przez Angusa kawałkom i sztabom mieli dość materiału na początki społeczności, ale wkrótce zaczną potrzebować więcej. Wysłał drogą do Angusa pełen wóz żywności, ale dystans był spory i woły prawdopodobnie zjedzą sporą część ładunku po drodze. A zanim nadejdzie jakaś odpowiedź, upłyną przynajmniej trzy lub cztery miesiące.

– A co z bronią? – zapytał uczeń, formując w końcu motykę. Złapał rytm uderzeń młotem i w mrocznej kuźni strzelały białe iskry.

– Przed tobą jeszcze długa droga do zrobienia broni innej niż ostrze włóczni, synu, a ono jest w zasadzie jedynie trochę inaczej uformowaną motyką. Ale miecze i im podobne, albo zbroje, wymagają odrobinę więcej pracy. Kiedy uda się nam uruchomić wyciągarkę drutu w kuźni wodnej, część z was zajmie się produkcją kolczug. Ale na razie ważniejsze jest nauczenie się, jak robić narzędzia rolnicze. – Znów wyrzwał przez drzwi budynku, potem spojrzał uważniej. – Zaczynajcie pracę nad motykami z tego materiału, ja za chwilę wrócę.

Wychodząc z panującego w kuźni upału, osłonił dłonią oczy przed słońcem. Jakby w geście pokuty za niekończące się deszcze przez ostatnie kilka dni niebo oczyściło się i pozostawało jasne, powodując parowanie przemoczonej ziemi. Temperatura nie wzrosła zbyt, ale wciąż utrzymywała się duża wilgotność, nadając powietrzu mroźność wchłaniającą wszelką energię i sprawiającą, że ludzie byli głodni na węglowodany i tłuszcze, a tych miasteczko posiadało bardzo skromne zasoby. Jasne słońce i mgiełka sprawiały, że trudno było wyraźnie dostrzec coś z większej odległości i dlatego właśnie Edmund tak długo upewniał się, co widzi. Potem krzyknął radośnie i skierował się do miasta.

– Grupa ma wolne na najbliższą godzinę czy coś koło tego – krzyknął przez ramię. – Postarajcie się nie spalić kuźni podczas mojej nieobecności.

Wchodząc do rozrastającego się we wszystkich czterech kierunkach miasta Raven's Mill, zobaczył spory tłum zebrany wokół trzech wozów, które nadjechały od wschodu, i bez namysłu przepchnął się do pierwszego z nich, znieruchomiłego z powodu braku miejsca.

– Suwisa, to dopiero widok dla przeklętych przez Boga, wypatrujących oczu! – wykrzyknął, wspinając się na bok wozu i obejmując ramionami muskularną postać na koźle.

– Ależ Edmundzie – roześmiała się kobieta, oddając mu uścisk. – Nie wiedziałam, że cię interesuję!

– Próbowałem kierować tym wariatkowem i równocześnie uczyć nowicjuszy o głowach równie twardych jak metal, którego nie potrafią kształtować - roześmiał się. – Więc przyznaję, że to bardzo samolubna reakcja.

– Powinnam się domyślić – odpowiedziała pogodnie.

– Hola, Phil – zawołał do mężczyzny kierującego drugim wozem. – Wciąż sprzedajesz ten piekielny miód?

– Tak i mam go dość, żeby cię utopić, jeśli nie przestaniesz obmacywać mojej żony! – odkrzyknął mężczyzna w odpowiedzi.

– Pozwólcie, że oczyszcze wam drogę i zaprowadźcie wozy na górę, do kuźni. Zakładam, że zabraliście ze sobą wszystkie wasze narzędzia?

– Oraz dodatkowe kowadła i mały piec – odparła Suwisa. – Oraz wszystkie utensylia Phila do opieki nad pszczołami.

– Piece i kowadła mamy, brakuje nam narzędzi. Oraz uli, skoro o tym mowa. Będziemy musieli przeprowadzić długą rozmowę.

Gdy razem z grupą świeżo uformowanego oddziału strażników oczyszczał przejście dla wozów, Edmund rozważył przybyły właśnie bezcenny majątek.

Znał Suwisę przynajmniej od siedemdziesięciu pięciu lat i czasami zastanawiał się, czy nie poprosić jej, żeby została jego uczennicą. Problem polegał na tym, że do czasu, zanim się zaprzyjaźnili, sama została mistrzem kowalskim.

Wiedział o formowaniu metalu rzeczy, o których ona nie miała pojęcia, ale było to również prawdą w drugą stronę, a poziom jego mistrzostwa w stosunku do niej był zależny od danej dziedziny. Na przykład on przeważnie stosował kucie na gorąco, używając metalu rozgrzanego do białości, podczas gdy ona wołała stosować preformowane blachy i „kuć na zimno”. Bez wątplenia był lepszy w tym pierwszym, ale ona nieco go wyprzedzała w tym drugim. Wołała też koncentrować się na zbrojach płytowych i pracach zdobniczych, on zaś specjalizował się w klingach. Tak więc była to raczej kwestia uzupełniających się stylów niż wyższego czy niższego poziomu.

W końcu zdecydował, że jeśli nie znajdzie odpowiedniego ucznia do czasu, gdy stanie się zbyt stary na pracę w kuźni, prawdopodobnie odda ją jej w prezencie, razem z Carborundum. Był przekonany, że potrafiliby się dogadać, a ostrożne badanie wskazywało, że Suwisa miała bardzo niewiele zastrzeżeń do sztucznych inteligencji.

Jednak wraz z Upadkiem i zwiększającym się zakresem obowiązków rozpaczliwie wyglądał kogoś, kto mógłby przejąć szkolenie nowych kowali. W społeczeństwach przedindustrialnych kowalstwo grało niemal równie kluczową rolę co rolnictwo, a liczba narzędzi potrzebnych przed sezonem siewów była oszałamiająca.

Co więcej, zdawał sobie sprawę, że ze swoją osobowością nie stanowi najlepszego człowieka do uczenia nowych ludzi zawodu, zwłaszcza takich, których nie poddał osobiście starannej selekcji. Suwisa miała znacznie więcej cierpliwości do twardogłowych, nad jakimi rozpaczał cały dzisiejszy ranek.

Doprowadził wozy w górę, za miasto tuż obok swego domu, i zostawił je pod opieką kilku strażników oraz jednego z wyrośniętych dzieci pary, po czym zaprosił ich do środka. Suwisa rozejrzała się po rosnących szopach i zagwizdała.

– Ilu masz tu w tej chwili kowali?

– Jednego – gorzko odpowiedział Edmund. – Jestem tu jedynym, który tu dotarł, nie licząc ciebie. Wiem, że w niewielkiej odległości od Mili mieszkało jeszcze trzech, ale tworzą się też inne społeczeństwa i przypuszczam, że skierowali się do nich. Albo w chwili Upadku znajdowali się po drugiej stronie planety.

– Kto tu już dotarł? – zapytał Phil.

– Jeśli masz na myśli naszą gromadkę, całkiem sporo. Ale... cóż... znasz większość rekreacjonistów. Tak naprawdę nie znają za grosz życia w epoce. Albo, jeśli już o tym mowa, nie wiedzą nic o technice przedindustrialnej. Wszyscy chętnie bawią się w wymachiwanie mieczem, ale potem chcą, żeby podano im posiłki na srebrnych talerzach.

– Nie mogę się z tym nie zgodzić, ale to *trudne* – powiedziała Suwisa. - Spędzenie kilku tygodni w podróży wozem i spanie na ziemi dla *przyjemności* to jedno. Konieczność robienia tego, aby *przetrwać* – to coś innego.

– Wiem – odparł Edmund, prowadząc ich do domu. Gestem zaprosił gości do zajęcia miejsc na krzesłach przy kominku, po czym obudził go do życia i wyciągnął grzejący się w popiele dzban jabłecznika. Kiedy już się rozgościli, ciągnął dalej.

– Zdaję sobie sprawę, że nie jest łatwo. Ale do czasu, aż któraś z frakcji Rady wygra, tak właśnie będzie wyglądać życie. I musimy uczynić je jak najlepszym w miarę dostępnych warunków.

– Do czasu, aż jedna strona się podda – stwierdziła Suwisa, pociągając łyk jabłecznika.

– Nie wydaje mi się, żeby to miało nastąpić. – Edmund potrząsnął głową. - Paul zaszedł w to za głęboko i jest zbyt... fanatyczny, to chyba najlepsze słowo. A Sheida myśli, że świat, nawet tak zdewastowany, stałby się gorszy pod nie ograniczonym panowaniem Paula.

– Nie wydaje mi się, żebym miał o to do niej pretensje – zgodził się Phil. - Po drodze tutaj słyszeliśmy naprawdę dziwne plotki.

– Masz na myśli te dotyczące Paula Przemieniającego ludzi tak, żeby lepiej znosili warunki Upadku? – zapytał Edmund. – Do nas też to doszło. Ale zawsze był to ktoś, kto usłyszał je od kogoś innego.

– A Sheida nie wie? – zapytała Suwisa.

– Nie rozmawiałem z nią od dwóch tygodni, więc nie mam pojęcia, co ona wie.

– A więc, co chciałbyś, żebyśmy *my* robili? – chciał wiedzieć Phil.

– No cóż, w przypadku Suwisy marzę o tym, żeby zajęła się szkoleniem wszystkich uczniów i przejęła prace metalowe – przyznał Edmund. – Codziennie po uszy siedzę w administracji i nie mam ani czasu, ani nerwów, żeby radzić sobie ze stadem uczniów.

– Mallory i Christopher też mogą w tym pomóc – zaproponowała Suwisa, kiwając głową.

– W tej chwili wszystko sprowadza się do narzędzi rolniczych – ostrzegł Edmund. – Prawdziwa kowalska robota. Ale z czasem będziemy potrzebować też mieczy i zbroi. Wciąż pracuję nad oddziałem strażniczym, ale plan zakłada również stworzenie profesjonalnego wojska. A zaczyna się program szkoleniowy, więc będziecie musieli przygotować program wstępny dla kowalstwa, pokazać, na czym polegają zasadnicze zadania ucznia plus kilka sztuczek dla farmerów. Większość ludzi, którzy przejdą przez ten program, i tak skończy na roli.

– Dobrze, a jak będziecie mi płacić? – Suwisa przeszła do konkretów.

– W tej chwili podstawą naszych pieniędzy są żetony żywnościowe. Możecie je wymieniać na posiłki w stołówkach albo dostać produkty do samodzielnego gotowania. Dojdziemy do odpowiedniego wynagrodzenia za czas przeznaczony na szkolenia i oczywiście dostaniecie wynagrodzenie za ukończone produkty. Jak na razie *nie mamy* poza tym żadnej ekonomii, a i tak wszystko to opiera się na zapasach Myrona.

– Będzie zabawnie – stwierdził Phil. – Jeśli kiedyś słyszałem o jakiejś ekonomii inflacyjnej, to tu mamy doskonały przykład.

– Cóż, tak i nie. Większość ludzi dostaje trzy żetony żywnościowe na dzień. Jeśli będą głodować, mogą zebrać dodatkowe pieniądze. Sprawni rzemieślnicy dostają cztery przy pracy nad projektami komunalnymi i mogą próbować zdobyć materiały na sprzedaż za dodatkowe. Ale w obiegu nie ma za wiele nadwyżek. Jak dotąd przez kontrolę żetonów kontrolujemy zarówno zapasy jedzenia, co jest podstawowym problemem, i pilnujemy, żeby nie doszło do inflacji. Prędzej czy później rozwiniemy się na tyle, żeby stworzyć lepszy system, ale w tej chwili to działa. Mam zbyt wiele innych problemów, żeby walczyć z tym.

– Takich jak? – zapytała Suwisa.

– Słyszałaś o bandytach?

– Była grupa pięciu facetów, którzy próbowali, no nie wiem, zatrzymać nas? – powiedział Phil. – Mieli kilka kijów i nóż. Wyciągnęliśmy trzy miecze i kuszę. Naprawdę szybko przestali się nami interesować.

Edmund chichotał przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

– Jedną z rzeczy, które mnie martwią to fakt, że małe społeczności mają jedzenie i inne dobra, ale w tej chwili najważniejsze jest jedzenie. Gangi bandytów zaczną się łączyć i atakować miasta, tego się nie da uniknąć. Chcę być gotów przed nimi.

– Jeśli jest coś, co rekreacyjniści *potrafią* robić, to właśnie wymachiwać mieczem – stwierdziła Suwisa pokazując ręką mniej więcej w stronę miasta.

– Nie tak dobrze, jak im się wydaje, a i to przy założeniu, że je mają– odpowiedział Edmund. – Większość z nich wyruszyła z domu z mieczem, łukiem czy jakąś tam giewią, ale przeważnie zostawili je gdzieś po drodze. Wiecie, okazało się, że to ciężkie.

– Szlag – skomentował Phil, wznosząc oczy do nieba.

– –I szczerze mówiąc, wolałbym raczej świeżych rekrutów niż większość rekreacyjonistów z prawdziwymi ostrzami. Utworzymy milicję i *każdy* będzie musiał nauczyć się minimum obrony. Ale rdzeniem ma być profesjonalne wojsko. W tej chwili dwa rodzaje: długi łuk i piechota, ta ostatnia wzorowana luźno na rzymskich legionach.

– Czemu łuk? – zapytała Suwisa. – Łatwiej wyszkolić kuszników.

– Hmm... z wielu powodów – odparł Edmund. – Oba mają swoje wady i zalety, a musisz zrozumieć, że pomimo ostatniego tygodnia dość często rozmawiam z Sheidą. Zaczynam powoli orientować się w sytuacji strategicznej i tym, jak to wszystko może się rozwinąć. Więc nie myślę tylko w kategoriach dni i tygodni, ale *lat* wojny.

– Cholera – rzucił Phil. – Miałem nadzieję...

– Miałeś nadzieję, że to się zaraz skończy i że szybko będziemy mogli wrócić do naszego normalnego życia. Nie sądzę, żeby tak się miało stać. Nie jestem nawet pewien, że będziemy w stanie wrócić do starego stylu życia nawet *po* zakończeniu wojny. Ale mówiliśmy o hakach.

– Jasne.

– Zarówno długie łuki, jak i kusze mają swoje wady i zalety. Niektóre są uniwersalne, inne zależne od szczególnych warunków. Dobra, to jeden: jakiego drewna, dostępnego w Ropazji, można użyć do produkcji długiego łuku?

– Cisu – odpowiedziała Suwisa. – No dobrze, cisu i jesionu. Ale można też użyć hikoru... Och.

– Właśnie. Jednym z powodów, dla których długie łuki były tak rzadkie w Ropazji był brak materiałów. Co oznaczało, że długi łuk był drogi. A pod koniec Brytyjczycy musieli importować całe drewno cisowe z kontynentu, co stanowiło krytyczną, strategiczną wadę systemu. Ale w Norau drewno hikorowe jest powszechne, a daje doskonałe łuki. Tutaj takie haki mogą być robione przez każdego, kto ma nóż i trochę wiedzy. Wady długiego łuku to niedostępność materiału, o czym już mówiłem, trudność szkolenia i fakt, że do używania go potrzeba bardzo sprawnych fizycznie osób. To znaczy, muszą być bardzo silne i w dobrym stanie ogólnym, nie chore. Zaczynając od tego ostatniego, nie mamy do czynienia ze średniowiecznymi chłopami. Współcześni ludzie, nawet ci, którzy *nie* przeszli Przemiany, są produktem wielu pokoleń manipulacji genetycznych. Wiecie, czym jest dyzenteria?

– Tylko z historii – odparł Phil. – Biegunka. Kiedyś nazywali to „uciekającymi wnętrzościami”.

– Słusznie. Najczęstszą przyczyną dyzenterii była woda zanieczyszczona cystami lamblii. Czy po drodze tutaj piliście wodę ze strumieni?

– Jasne, zawsze tak robimy – zdziwiła się Suwisa. – Czemu?

– Złapaliście biegunkę?

– Nie.

– To dlatego, że jesteście odporni na lamblie. Podobnie jak na przeziębienie, dur brzuszny, syfilis i całe mnóstwo innych chorób o podłożu bakteryjnym i wirusowym. Tacy się *urodziliśmy*, mamy to w genach. Podobnie jak większą siłę zarówno u kobiet, jak u mężczyzn. Współczesne kobiety mogą potencjalnie być równie silne, jak przeciętny *mężczyzna* w czternastym wieku. Mężczyzna może być potencjalnie niesamowicie silniejszy. Co więcej, podstawowy... materiał ludzki, jakim dysponujemy *teraz*, czyli uchodźcy, jest o tyle lepszy od przeciętnego średniowiecznego chłopca, że nie ma nawet o czym mówić. Wyższy, silniejszy, zdrowszy – wszystko, czego potrzeba *na podstawie* przyzwoitego łuczника.

– Większość z tego stosuje się również do kuszy – upierał się Phil.

– Poza wzrostem tak – zgodził się Talbot. – Ale rzecz w tym, że eliminuje to jedną z wad łuku. Kolejna to szkolenie. Cóż, widziałem ludzi, którzy stawali się dobrymi, nie *mistrzami*, ale naprawdę *dobrymi* łucznikami w ciągu sześciu miesięcy. A w miarę jak kontynuowali ćwiczenia, poziom ich umiejętności wzrastał. Do następnej jesieni chcę mieć mały, ale powiększający się korpus łuczników. I chcę, żeby za kilka lat był to *duży* i rozwijający się korpus łuczników.

– Ale nic z tego nie wiąże się z kuszą – odpowiedział Phil.

– Dobrze, ale jakie są *zalety* długiego łuku? Przy takim samym poziomie wyszkolenia oferuje znacznie większą szybkostrzelność niż kusza. To znaczy, że w ciągu godziny można wystrzelić prawie dwukrotnie więcej strzał, a znacznie więcej w krótszym czasie. Łatwiej je wyprodukować, sprawny rzemieślnik dysponujący dobrym surowcem może zrobić jeden łuk na godzinę. A szkolenie jest *identyczne* jak w przypadku łuków złożonych.

– Masz na myśli kompozytowe? – zapytał Phil. – Nie jestem pewien, czy chciałbyś ich używać. Kleje, których musielibyśmy użyć do zrobienia łuków z rogu są higroskopowe. Tak naprawdę nadają się tylko do suchych klimatów.

– Phil, zajmuję się tym prawie od trzystu lat – zaproponował Edmund, zdradzając pierwsze objawy irytacji. – Uwierz mi, że potrafię użyć właściwego terminu. Nie, mam na myśli *złożone* łuki, te z bloczkami. Dzięki nim można używać łuku o sile naciągu prawie dwukrotnie większej niż w przypadku standardowego łuku, ponieważ łucznik przykłada tylko około dziesięć procent siły naciągu, a siła statyczna stanowi jedynie ułamek pełnej. Ale w tej chwili nie jesteśmy w stanie wyprodukować większej ich liczby. Z czasem to zrobimy, jednak wtedy będziemy już mieć łuczników, których łatwo da się przyzwyczaić do łuków mających pięć razy większy potencjał połączonego naciągu i szybkostrzelności niż kusze.

– Hmm... – zaczął Phil.

– Kolejny problem z łucznikami to manewrowanie – przerwała Suwisa. – Mniejszy w przypadku kuszników.

– Wcale nie, obie formacje mają ten sam problem – zaprotestował Edmund. – Uzupełnienie

amunicji. Idący do bitwy łucznicy muszą mieć *skrzynie* i *beczki* strzał. Także dodatkowe haki, cięciwy i trochę drobiazgów. Mam sposoby, żeby się z tym uporać. Użyjemy wobec nich, i piechoty, nowoczesnych technik szkoleniowych oraz czterech tysięcy lat historii manewrowania, które nie *istniały* przez większość historii, a przeważnie popadały w zapomnienie krótko po wynalezieniu.

– Starannie to sobie przemyślałeś – stwierdziła Suwisa.

– Tak starannie, jak tylko mogłem. Jest w tym coś jeszcze. – Przerwał i zastanowił się, czy faktycznie zna Suwisę dostatecznie dobrze, by wprowadzić ją w resztę, ale w końcu wzruszył ramionami. – Czy zdajecie sobie sprawę, że to może potrwać więcej niż przez jedno pokolenie?

– Nie – odpowiedział Phil i zbladł. – *Tak* długo?

– Jeśli Sheida wygra, a to wcale nie jest pewne, może to nie nastąpić szybko. Nie jestem jeszcze nawet pewien, *jak* wygrać tę wojnę, a studiowałem każdy konflikt w historii. Muszę zonglować ograniczeniami chwili obecnej, myśląc równocześnie, jakie będą długoterminowe efekty *wszystkiego*, co zrobimy. Na przykład kusze kontra długie łuki. Jak już powiedziałem, łuk może zostać zrobiony przez każdego, kto ma nóż i trochę wiedzy. Jest mnóstwo dzikiej zwierzyny, więc za kilka lat każdy farmer w okolicy będzie próbował swoich szans w polowaniu na jelenie. Chcę, żeby mieli gotowy wzór broni. Jeśli bowiem dorobimy się dużej i dobrze wyszkolonej warstwy łuczników, bardzo trudno będzie rozwinąć się jakiegokolwiek klasie arystokracji.

– Trudno być panem, kiedy każdy poddany z pretensjami może zestrzelić cię z konia – dopowiedziała Suwisa. — Sprytne.

– Staram się, jak tylko mogę, by odtworzyć republiki postindustrialne – przyznał Edmund. – Zrobienie kuszy, zwłaszcza dobrej, takiej, która mogłaby powalić *rycerza*, jest o wiele trudniejsze niż łuku. Albo nawet łuku złożonego. Chcę, żeby u podstaw społeczeństwa tkwiło zrozumienie, że fundamentalnym prawem każdego jest prawo do posiadania broni. Jak długo społeczeństwo jest zasadniczo praworządne, powszechne posiadanie broni nie dopuszcza do rozwinięcia się tyranii. Nic innego w historii się nie sprawdziło.

– Jest różnica między zawodowym łucznikiem a farmerem, który czasami poluje na dziką zwierzynę – wyraził wątpliwość Phil.

– Jasne, ale to różnica w szczegółach, a nie jakościowa przepaść między rycerzem w zbroi a wieśniakiem z widłami.

Phil wzruszył ramionami, niechętnie przyznając mu rację, po czym szeroko się uśmiechnął. – Ale nie będziesz miał nic przeciw, jeśli *ja* będę robił kusze, prawda?

Absolutnie, pod warunkiem, że będziesz je sprzedawał każdemu, kto będzie miał pieniądze – zgodził się Talbot z niezwykłym uśmiechem. – Stanowimy tylko małą placówkę cywilizacji na świecie popadającym w barbarzyństwo. Historycznie rzecz biorąc, to barbarzyńcy wygrywają. Ale nie dojdzie do tego, jak długo ja tu rządę.

– Dobra, będziemy ci robić broń i zbroje. Tylko właściwie ich użyj – powiedziała Suwisa.

– Hej – wtrącił się Phil. – Z brązu berylowego da się wykonać lepsze łuczysko! To oznacza, że można dostać prawie równie dobrego kopa z lekkiej kuszy, jak z długiego łuku. I prawie taką samą

siłę ognia.

– A czy *wiesz*, jak odlewać brąz berylowy? – zapytał Edmund. – Nie.

– No cóż, ja *tak*. Ale nie zamierzam spędzić całego czasu na wytapianiu łuczysk do kusz, jasne?

– Jasne – ze śmiechem zgodził się Phil.

– A skoro mowa o wytopach – dodał – jest ktoś, kogo powinniście poznać.

* * *

– Nie wiedziałam, że przyjaźnisz się z jakąś SI. – Suwisa wytarła twarz z powodu gorąca panującego w kuźni. – Witaj, Carborundum.

– No cóż, nie wiesz o mnie wielu rzeczy – odpowiedział Edmund. – Jak leci, bezduszny przyjacielu?

– Cholernie zimno – poskarżył się Carborundum. – A Sieć jest dogłębnie i definitywnie spieprzona. Twoja przyjaciółka Sheida i Paul umieścili blokady praktycznie na wszystkim.

– Trochę brakuje nam w tej chwili węgla, przyjacielu – mruknął Talbot, po czym mimo wszystko nabrał pełną szufłę i wrzucił w żar. Starł z dłoni czarny Pył i wzruszył ramionami. – Wypalamy w tej chwili sporą porcję węgla drzewnego, ale to trwa, a wilgoć wcale w tym nie pomaga.

– Lystra mówi, że w tym regionie już tylko kilka dni – dodał Carb. – I przykro mi, ale wciąż nie wiem nic na temat Rachel i Daneh. Wróżki przekazują informacje między ludźmi podróżującymi w głuszy, ale nie potrafią odróżniać indywidualnych ludzi. Zdecydowanie w chwili Upadku obie były w domu. A skrzat domowy mówi, że odeszły. Ale to wszystko, co wiem. Niektóre SI zrobiły się naprawdę niekomunikatywne, a inne przeszły na stronę Paula, przeważnie uznając, że ma większe szanse na wygraną. Bezpośredni dostęp do Sieci jest w tej chwili praktycznie niemożliwy.

– Dziękuję, Carb. Wysłałem też Toma, żeby ich poszukał.

– W każdym razie powiem ci, jeśli dowiem się czegoś nowego.

– Jeszcze raz dziękuję. Ale mam powód, żeby przedstawić ci Suwisę. Obawiam się, że będę coraz bardziej pochłonięty tą sprawą z burmistrzowaniem, a ona przejmie kowalstwo i produkcję broni. Więc zapewne nie będę cię zbyt często widywał.

– Przykro mi to słyszeć – zmartwił się Carb. – Szczerze. Wiem, że jesteś zajęty, ale nie przesadzaj.

– Postaram się. Choć mam nadzieję, że przypadniecie sobie z Suwisą do gustu.

– Och, mam mnóstwo wprawy w dopasowywaniu do siebie nowych kowali - zamruczał Carb ze śmiechem przypominającym trzaskanie dwu stalowych płyt.

– A ja jestem przyzwyczajona do starych mistrzów – odparła Suwisa. – Zdaje się, że wspominałeś o potrzebie węgla drzewnego?

– Arrrrgh! Edmund, wracaj!

– Bawcie się dobrze. – Talbot odwrócił się do wyjścia. – I, Suwisa, niedługo będziesz musiała się

spotkać ze swoją klasą.

- Zrobię to, kiedy już *przedyskutujemy* sprawy z Carborundem.
- Jak myślisz, kiedy wróci Tom? — zapytał Phil, kiedy wyszli z powrotem na deszcz.
- Przypuszczam, że za dzień lub dwa.
- I wtedy będziesz wiedział?
- Phil, może się *nigdy* nie dowiem – cicho odpowiedział Edmund.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Herzer zatrzymał się i potrzęsął głową w geście dezaprobaty na widok rozciągającej się przed nim panoramy. W stosunkowo niedalekiej przeszłości ten obszar lasu musiał doświadczyć pożaru. Sądząc po wyglądzie kilku najbliższych drzew nie dalej niż rok, najdalej półtora roku temu. Spalony teren, przynajmniej kilka akrów, pokrywały teraz gęste pnącza zaczynające właśnie budzić się po zimowym śnie. W krajobrazie przeważał brąz, ale rozświetlony zielonymi liśćmi. Pnącza przerastały również przez całą szerokość ścieżki.

– Cóż *to* u diabła jest? – wymamrotał Herzer, a Rachel podeszła i wyminęła go.

– Kudzi! – krzyknęła, ruszając przed siebie. Podbiegła do jednego z zieleniejących się obszarów i zaczęła grzebać w pnączach. – Tak! I już owocuje! - zawołała, zrywając mały, niebieskawy owoc o owalnym kształcie i wrzucając go do ust.

Herzer podszedł do kępy, znalazł owoc i po chwili wahania ostrożnie ugryzł kawałek. Po czym wsadził resztę do ust i zaczął gorączkowo szukać następnych. Owoc okazał się być absolutną eksplozją smaku, coś między winogronem i truskawką. Był niebieski, więc chłopak wiedział, że musiał stanowić produkt inżynierii genetycznej i dziękował nieznanemu geniuszowi, który stworzył go w jakiejś odległej przeszłości. Kiedy zebrał już garść owoców, pomyślał o czymś jeszcze poza umieszczeniem ich w swoich ustach i zamiast tego zaniósł je Daneh.

– Proszę, potrzebuje ich pani bardziej niż ja – powiedział. Gdzieś w trakcie Pożaru albo tuż po nim przewróciło się duże drzewo kasztanowe, a sterczące korzenie utrzymywały pień nad ziemią. Powstało w ten sposób idealne jednoosobowe schronienie. Herzer skierował learkę pod drzewo i znalazł kawałek suchej kory, na którym mogła usiąść. Od incydentu przy moście maszerowali już prawie cały dzień i kobieta z każdą chwilą wyglądała na coraz bardziej wy-czerpaną. Bał się, czy nie doszło do jakichś uszkodzeń wewnętrznych, ale gdy-by tak się stało, nie miał pojęcia, co mógłby dla niej zrobić. Owoce przynajmniej dostarczą jej cukru i płynów.

– Dziękuję – odparła Daneh głosem pozbawionym jakiegokolwiek intonacji. Ugryzła jeden z owoców i usiadła w schronieniu.

– Nic pani nie będzie?

– Poradę sobie – odpowiedziała ostro. – Naprawdę, nic mi nie jest, Herzer. A co z tobą? Jakies drgawki?

– Tylko z głodu – zażartował. – Ale to pomaga. Co to właściwie jest?

– Zostało to wyprowadzone z trującego chwastu nazywanego kudzu – wyjaśniła Daneh, gryząc kolejny kęs. – Kiedyś był bardzo rozpowszechniony w całym wschodnim Norau, wyrastał wszędzie tam, gdzie w lokalnym ekosystemie doszło do jakichś zakłóceń, a w tamtych czasach było tak praktycznie wszędzie. Gdzieś pod koniec dwudziestego pierwszego wieku jakiś badacz wypuścił kontrolowanego retrowirusa, który zmodyfikował to do kudzi. Owoc stanowi krzyżówkę genową między kiwi i śliwką: skórka śliwki i miąższ kiwi. W każdym razie z tego się to wywodzi. I podobnie jak kudzu wyrasta wszędzie tam, gdzie doszło do jakichś zakłóceń, na przykład w wyniku pożaru albo

wycinki drzew, strasznie przeszkadza w rolnictwie.

– No cóż, tak się zastanawiam – powiedział Herzer. – Z całym tym jedzeniem, moglibyśmy pomyśleć o zatrzymaniu się. Jestem pewien, że są daleko za nami.

– Nie, musimy iść dalej – odrzekła z zaciętym wyrazem twarzy. – Powinniśmy dotrzeć do drogi.

– Dobrze, jeśli pani nalega. Ale warto by zatrzymać się chociaż na chwilę i zebrać trochę tych owoców. W ten sposób będziemy mieć dość jedzenia, żeby przebyć resztę drogi.

– Dobrze. – Kiwnęła głową i ugryzła kolejną śliwkę, ścierając sok z policzka. Owoce zdawały się przywracać trochę barw na jej twarz i uśmiechnęła się po raz pierwszy od strasznie dawna. — Idźcie zbierać. Jeśli nie macie nic przeciwko, ja sobie tu posiedzę i pozwolę wam odwalić całą robotę.

– Ummm, ale to dobre – oznajmiła Rachel, gdy do niej podszedł. W improwizowanym woreczku z podtrzymywanej za koniec koszuli trzymała większą garść owoców i raczyła się kolejnym. — Dzięki za zanieśenie do mamy.

– Wygląda po nich lepiej, ale upiera się, żeby iść dalej. – Herzer obejrzał się na lekarkę.

– Musimy znaleźć jakieś mięso – oświadczyła Rachel. – Dla nas to wystarczy, przynajmniej utrzyma nas to na chodzie, ale Lazur musi dostać jakieś mięso.

– Wygląda chudo, ale... – Herzer popatrzył na kota, który również buszował w pnączach.

– Koty to obowiązkowi mięsożercy – wyjaśniła Rachel. – To oznacza, że *muszą* jeść, i to codziennie. I codziennie muszą mieć białko. Jeśli go nie dostaną, chorują. To coś związanego z odkładaniem się tłuszczu w ich wątrobie. Może je to zabić.

– No cóż, przykro mi, Rachel, ale nie widzę tu królików czekających w kolejce na zarżnięcie.

– Kudzi owocuje jako pierwsze – ciągnęła Rachel. – I owocuje tak długo, jak zielenią się liście. To oznacza, że oprócz nas, *coś* musi przychodzić się tu żywić. Prawdopodobnie *coś* przepłoszyliśmy. Oposy, szopy pracze, sarny, *cokolwiek*. Jeśli tylko tu zostaniemy chwilę i pozwolimy Lazurowi zapolować...

– Powiedz to swojej matce – rzekł chłopak. Zdjął plecak Daneh i napełniał go teraz owocami, mając nadzieję, że nie wypuszczą za dużo soku i nie zrujną wnętrza.

– Zrobię to – oświadczyła z determinacją i ruszyła do miejsca, gdzie jej matka odpoczywała pod drzewem.

Herzer obserwował rozmowę z większej odległości, ale był w stanie mniej więcej zorientować się, jak przebiegała. Najpierw Rachel dała mamie trochę owoców. Następnie wskazała wokół na wielką polanę, a w końcu na kota, który zaglądał do każdej możliwej dziury w pnączach, szukając czegoś nadającego się do jedzenia. Argument najwyraźniej miał znaczenie dla Daneh, ale i tak potrząsnęła głową i nie zmieniła zdania. Rachel powtórzyła swoje z większą siłą. Lekarka obróciła głowę i z naciskiem wskazała na południe. Potem głos Rachel dało się słyszeć z połowy polany. Po czym poddała się.

– Nigdy jeszcze nie widziałam bardziej upartej, głupiej... – mamrotała pod nosem, przechodząc

obok Herzera.

Gdy przeszła, chłopiec usłyszał jakiś szelest wśród pnączy i tuż przed nim spomiędzy liści wyskoczył szczur. Trzymał laskę w lewej ręce razem z plecakiem, więc szybko puścił plecak, przerzucił kij do prawej dłoni i zamachnął się. Pierwsze uderzenie nie trafiło, ale zmusiło szczura do zmiany kierunku, a drugi cios wylądował w celu.

Zawołał kota i rzucił szczura w jego stronę, po czym zastanowił się chwilę.

– Rachel, czy istnieje jakaś możliwość skłonienia Lazura, żeby... ulokował się po jednej stronie krzaków?

– No... nie wiem. Czemu? – zapytała, jedząc kolejny owoc. Głodowali, ale owoce przegnały najgorsze i zaczęła już nabierać kolorów.

– Gdyby się nam udało, moglibyśmy iść wzdłuż i *nagonić* stworzenia kryjące się w krzakach w jego stronę. Cały czas coś przed nami ucieka, po prostu musimy zrobić tak, żeby uciekało do niego.

Udało się to osiągnąć po odrobinie perswazji ze strony Herzera. Daneh dalej siedziała w miejscu, podczas gdy dwoje młodszych członków grupy chodziło tam i z powrotem w krzakach. Lazurowo szybko zrozumiał, o co chodzi w tej zabawie, i czekał cierpliwie na skraj na naganianą mu zdobycz. W niecałą godzinę złapał kilka szczurów i małego królika. Dla Herzera była to godzina, w ciągu której Daneh nie zmuszała się do ciągłego marszu. Po prostu siedziała osłonięta przed deszczem i jadła owoce kudzi, aż była bliska pęknięcia. Wszystko to okazało się bardzo udaną próbą zastosowania taktu i dyplomacji.

– Cóż takiego jesz? – zainteresował się Chansa, materializując się z powietrza.

Celine jak zwykle znajdowała się w swoim laboratorium wypełnionym kakofonią wycia, beczenia i rechotów. Zerknął na jedną z klatek pod ścianą i zadrżał na widok dziwnej, przypominającej ośmiornicę istoty zajmującej wypełnione wodą wnętrze. Drzwiczki wyposażono w solidny zamek, ale stworzenie badało każdą szczelinę, sprawiając wrażenie inteligentnego. Zauważyło, że mu się przygląda i przesunęło się do przodu, zmieniając przy tym kolory skóry.

– Żelowe misie – odpowiedziała Celine, podnosząc w górę jedno z miotających się stworzeń, bardzo przypominających wyglądem małego niedźwiadka i wkładając je sobie do ust. – Chcesz spróbować?

Chansa potrząsnął głową i odwrócił się od ośmiornicy, by przyjrzeć się ruchomej masie zawodzących cicho stworzeń. Miały różnokolorowe ubarwienie i bardzo nieprzyjemnie się rzucały.

– Awatary nie jedzą, Celine – przypomniał jej.

– Jasne, dlatego właśnie ich nie używam – odparła, wrzucając sobie do ust jeszcze garść. – Ummm, cytrynowe.

– Celine, musimy porozmawiać – rzekł Chana, krzywiąc się.

– Hmmm? – wymamrotała z pełnymi ustami.

– Czy zauważyłaś, że Paul robi się... dziwny?

– Masz na myśli to, że mu kompletnie odbija? – zapytała. – Tak.

– Nie jestem pewien, czy jest tym, czego potrzebujemy w zakresie przywództwa – ostrożnie powiedział Chansa.

– Wolałbyś widzieć siebie na jego miejscu? – Wstała i podeszła do jednej z klatek pod ścianą.

– Nie... – odparł z namysłem, przyglądając się, jak wyciąga kolejnego ze swoich małych potworków. Ten dla odmiany wyglądał jak całkiem zwyczajny chomik. Zaczął się zastanawiać, co chciała nim nakarmić. — Prawdę mówiąc, pomyślałem, czy *ty* nie chciałabyś zająć tego miejsca. Po Paulu jesteś najstarsza w Radzie.

– Ha! Nie, dziękuję. Podoba mi się tu, gdzie jestem. – Podniosła chomika i przytuliła go, podchodząc z nim do klatki z dziwnym stworzeniem wielkości dłoni Chansy. Monstrum mogło być pajakiem albo skorpionem, wyglądało jak ich skrzyżowanie. Żądło i kleszcze skorpiona połączone były z żuwaczkami pająka, a całe ciało miało bardzo pająkowaty wygląd, z długimi, czarnymi nogami zakończonymi ostrymi pazurami. Celine jednym ruchem dłoni wyłączyła ekran siłowy nad klatką, wrzuciła chomika i natychmiast uaktywniła pole.

Gdy chomik wleciał do klatki, pająk-skorpion błyskawicznie obrócił się w jego stronę, uniósł ogon i ruszył do ataku. Jednak w czasie, kiedy to robił, chomik wykonał przewrót w powietrzu i używając jednej łapy odbił się od pręta klatki. Zanim zamieszkujący w niej potwór zdołał zareagować, chomik wylądował na jego plecach, otwierając paszczę z długimi kłami. Kły przebiły odwłok pająka-skorpiona i gdy szpony gryzonia zacisnęły się na plecach bestii, jej ciało wyraźnie zadygotało. Futrzak trzymał mocno koszmarnego stwora i wysysał soki z jego wnętrza. Ogon stawonoga wbijał się nieustannie w futerkowe stworzenie, ale zdawało się to nie robić na nim absolutnie żadnego wrażenia.

– Nie, Chansa, nie chcę przeciwstawiać się Paulowi – powiedziała. – Po pierwsze dlatego, że ta odrobina szaleństwa jest nawet zabawna. Po drugie nigdy nie wiadomo, jak niebezpieczne mogą być zwyczajnie wyglądające rzeczy.

* * *

Kiedy schodzili w dół zbocza, Rachel zatrzymała się i rozejrzała wokół.

– To jest Raven's Mill? – zapytała z niedowierzaniem.

– Zgadza się – przytaknął Tom. Spotkał się z nimi troszkę na południe od Via Apallia. Za późno, żeby pomóc uratować Daneh, za co niemal przesadnie przeproszał, i wyraźnie nie był pewien miejsca Herzera w tym wszystkim. Zaakceptował wypowiedziane bezbarwnym głosem oświadczenie Daneh, że Herzer również przybył za późno, żeby jej pomóc, ale nie udawał, że mu się to podoba. Chciał polecieć z powrotem ścieżką w ślad za bandytami, ale Daneh przekonała go, że nie jest to warte ryzyka.

Teraz prowadził konia, na którym jechała Daneh, i też zatrzymał się, by spojrzeć na pełną aktywności scenę w dole.

– Ale zmieniło się nawet od czasu, gdy ja je opuściłem.

Rachel wielokrotnie bywała na Jarmarku Rekreacjonistów w Raven's Mill. Misa doliny

podzielona była, praktycznie rzecz biorąc, na cztery części. Południowo-wschodnia należała do Edmunda. Nadal tam była, po wschodniej stronie strumienia Raven, mieszcząc jego dom i wokół niego niewielki pusty obszar, „oczyszczone pola obstrzału”, jak to określał. W tym sektorze znajdowały się również dwa lub trzy pola Myrona, używane rotacyjnie.

Sektor południowo-zachodni należał w większości do Myrona i składał się z dużego obszaru oczyszczonych pól, z których część otoczono płotem, z dużym sadem i winnicą na wzgórzach od południowego zachodu. Wyżej na wzgórzach, na południe, rozlokował się młyn, od którego wzięła się nazwa miasta. Zasilany był wodą ze strumienia i w górze zbudowano zaporę i staw.

Sektor północno-zachodni stanowił główny teren Jarmarku. Był to duży, w większości pusty obszar rozciągający się aż do wzgórz na pomocnym wschodzie. Na wzgórzach stało kilka stałych budynków wykorzystywanych podczas Jarmarku, sektor północno-wschodni, po drugiej stronie strumienia, zajmowały porośnięte lasem wzgórza. Wielu ludzi wołało stawiać swoje namioty właśnie tam, żeby uciec przed tłokiem i hałasem w centrum zabawy.

W pobliżu środka wszystkich czterech stref usytuowało się miasteczko Raven's Mill, na które składało się około pięciu dużych domów-warsztatów, gospoda i kilka budynków pomocniczych.

Teraz wszystko uległo zmianie. Teren Jarmarku z wolna pokrywał się prymitywnymi drewnianymi budynkami, w większości wykonanymi z na wpół ociosanych pni. Gdy się zatrzymali, grupy robotników stawiały właśnie dwa baraki. Północno-wschodnia ćwiartka najwyraźniej dostarczała sporej części materiałów budowlanych, jako że po tamtej stronie strumienia uwijały się grupy ludzi ścinających drzewa, wykopujących korzenie i ogólnie oczyszczających teren. Już coś tam nawet wznoszono. Samo miasto również wskazywało oznaki rozwoju, z przynajmniej dwoma nowymi budynkami w fazie konstrukcji. Ogólnie wszystko wyglądało na całkowicie odmienione.

Potem Rachel zauważyła, że niektóre części się nie zmieniły. Na przykład wciąż nietknięte były spore obszary wokół domu Edmunda i pola Myrona. Ucieszyła się, że coś zostało po starym. Następnie zauważyła, że w górze przy młynie też pojawiły się nowe budynki. Więc nie był to jakiś ochronny czar, który powstrzymał zmiany wzdłuż magicznej linii przez miasto.

– Co to jest?

– Widzę, że uruchomili tartak – odparł Tom. – Szybka robota.

– Myślisz, że moglibyśmy zejść tam na dół? – zmęczonym głosem spytała Daneh.

– Oczywiście, milady. – Tom obejrzał się przez ramię na Herzera. – Zabiorę panie w górę, do domu. Tam na dole jest obszar rejestracji. Powinieneś się tam zgłosić.

– Dobrze – zgodził się Herzer. – Ja... pewnie spotkamy się później.

– Nawet przy takiej liczbie ludzi, trudno będzie cię nie zauważyć – odrzekła Daneh. – Uważaj na siebie.

– I ty, pani. – Chłopak pożegnał się i odszedł w dół drogi.

– Zastanawiam się, gdzie jest Edmund – powiedziała Daneh, przyglądając się pracy w dole.

– Nie wyszedł nas szukać, czemu my miałybyśmy to robić? – jadowicie odezwała się Rachel.

Daneh nie zwracała sobie nawet głowy odpowiedzią. Od czasu incydentu z McCanokiem Rachel z każdym dniem wylewała z siebie coraz więcej goryczy w stosunku do ojca. Jakby to wszystko było jego winą i stanowiło jego osobistą „porażkę”.

– Będzie albo na dole, w ratuszu, albo na górze, w domu – niepewnie powiedział Tom.

– Chodźmy do domu – zdecydowała Daneh. – Wszystko, czego chcę, to wykąpać się i pójść do łóżka.

* * *

Edmund gościł w swoim domu kolejne zebranie, kiedy wyrzwał przez okno i zobaczył wspinającą się na wzgórze małą karawanę.

Niekończące się zebrania sprowadzały się do braków: braku materiałów, braku rolników i braku wyszkolonych robotników. Transport metalu od Angusa gwałtownie topniał wobec przeróżnych potrzeb, od elementów do wozów po części do tartaku. A nawet przy szybkości, z jaką zapas ulegał wyczerpaniu, nie było dość metalu na wszystkie potrzeby ani dostatecznej liczby kowali, by wszystek uformować.

A nie zaczęli nawet zajmować się bronią i zbrojami.

Wiedział, co naprawdę było potrzebne, ale to samo dotyczyło wszystkich innych członków rady miejskiej, a w niektórych przypadkach to, co oni wiedzieli, różniło się od jego wiedzy. Przy czym w części spraw nie była to tak naprawdę kwestia słuszności. Na przykład sprawa programu nowych farm. Było kilku protofarmerów, których Myron uważał za posiadających minimalne umiejętności do uruchomienia gospodarstwa, choć niechętnie to przyznawał. Zgodnie z przepisami tak świeżymi, że nie wysechł jeszcze atrament, którym je spisano, spełniali warunki na udzielenie im pożyczki na rozruch gospodarstw. Nikt z nich nie miał niczego na wymianę, więc wszystko trzeba im będzie pożyczyć.

Oprócz ziemi i ziarna każdy farmer potrzebował jeszcze paru niezbędnych rzeczy. Można się było upierać, że naprawdę niezbędne są tylko topór i motyka, ale zwierzę pociągowe i pług umożliwiały znacznie wydajniejszą pracę. Podobnie jak liny. Również przydawała się możliwość samodzielnego naprawienia części sprzętu, więc można było twierdzić, że rolnik powinien mieć także podstawowe narzędzia kowalskie. Następnie pojawiał się problem dostarczenia produktów do miasta, czyli pojawiała się potrzeba posiadania wozu.

To już jednak, jak na pożyczanie komuś całkowicie nieznanemu, zdecydowanie przekraczało granicę „zbyt wiele”. Opierając się na precedensach historycznych, spodziewano się, że przynajmniej sześćdziesiąt procent owych „pionierskich” farmerów poniesie porażkę. Biorąc pod uwagę problemy, z jakimi się borykali, taki szacunek był prawdopodobnie i tak optymistyczny. Opierając się na bardziej pesymistycznych precedensach, mogli się liczyć z klęską w przypadku osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu procent rolników. Oznaczało to, że sześciu do dziewięciu z dziesięciu przyszłych farmerów nie będzie w stanie spłacić tego, co się im pożyczy. Teraz jednak im więcej dostaną ziarna, narzędzi, zwierząt pociągowych, tym większą zyskają szansę na sukces. Ale to oznaczało mniej ziarna, narzędzi i zwierząt pociągowych dla innych. Spory toczyły się więc o to, ile inwestować w początkujących farmerów.

Spór nie miał szans zostać rozstrzygnięty dzisiaj czy jutro, może nawet w ciągu miesiąca. Może nie dojdzie do tego aż do czasu zbiorów w przyszłym roku. Ale szalał prawie nieustannie przez cały tydzień. Wszyscy członkowie rady skupili się na polityce rolnej i tego dotyczyło też ostatnie zebranie. A Edmund miał już tego dość.

Po pierwszym zebraniu w gospodzie ludzie oczekiwali, że pojawi się na każdym tego rodzaju spotkaniu. Przez pierwszy tydzień zebrania odbywały się co drugi dzień, aż w końcu oświadczył, że *on* ma inne zajęcia. Wtedy po raz pierwszy użyto terminu „dyktator”, najpierw przez kilku głośnych nowo przybyłych, Później również w szeptach nawet między niektórymi długoletnimi mieszkańcami Raven’s Mill.

I Zaczęło się od jego „arbitralnej” decyzji o obarczeniu Bethan Raeburn odpowiedzialnością za skarbiec. Od samego początku zajęła pozycję intendenta i gdy żetony żywnościowe szybko zmieniły się w walutę, logicznym krokiem było, by dalej stosowała swoją praktyczną wiedzę i rosnące doświadczenie do ich nadzorowania. Och, ale nie podobało się to niektórym z nowo przybyłych. Brad Deshurt zajmował się badaniem ekonomii w społeczeństwach preinformatycznych i jasno wyłożył, używając do tego mnóstwa skomplikowanych słów, że podstawa planu Raeburn była inflacyjna i spowoduje koniec świata. Jakby jeszcze do niego nie doszło. Deshurt był chyba jedyną znaną Edmundowi osobą trwale otyłą i pozostał „przy ciele” nawet po przebyciu pieszo całej drogi z rejonu Washan. Edmund był głęboko przekonany, że podstawą niechęci Deshurta była odmowa Bethan wydawania ludziom dokładek.

Mimo wszystko poddawana krytyce i z trudem utrzymująca swoją pozycję Bethan została przy skarbie i, co dziwne, niebo nie spadło. Gorsze było to, że Deshurt zdołał się jakoś wkręcić na pozycję „eksperta od wszystkiego” i okazało się, że pozbycie się go jest niemożliwe. Edmund był przekonany, że tamten zamierzał startować w najbliższych wyborach, a skoro cały świat zdawał się go nienawidzić, pyskacz prawdopodobnie je wygra.

Jednak pomimo, i oprócz, decyzji Edmunda odnośnie skarbcza oraz tego, kto powinien nim kierować, jego aleksandryjskie podejście do problemu węzła gordyjskiego, jaki stanowiła polityka rolna, było jeszcze gorsze. Talbot wiedział, że dysponuje przynajmniej podstawową wiedzą z zakresu rolnictwa epoki. Dla niego różnica między warunkami uprawy ziemi na przykład w Republice Rzymskiej i Średniowieczu stanowiła tylko tło dla społecznego, politycznego i wojskowego klimatu epoki.

Jednak w każdym z tych okresów techniki uprawy ziemi miały wpływ na działania wojenne, podobnie oczywiście i w odwrotną stronę, i to w równym stopniu. Tak więc miał wyraźną opinię na temat tego, jaki rodzaj rolnictwa chciał rozwinać i czego zdecydowanie unikać. Na szczęście zgadzali się w tej kwestii z Myronem i choć Edmund niewiele wiedział o rolnictwie, jeśli między uchodźcami trafił się ktoś o większej wiedzy niż Myron, Edmund jeszcze go nie znalazł. Tak więc to Myron miał podejmować decyzje.

O! Biada mu! Krzyki zaczęły się niemal natychmiast i ujawniły gorzki prąd głębinowy, który dopiero zaczynał wyczuwać. Myron i tak już w zasadzie pełnił funkcję czarnego charakteru. To z powodu jego „skąpstwa” racje żywnościowe były tak małe. Edmund nigdy nie spotkał się z terminem „obżarty plutokrata” poza literaturą do chwili, aż jakiś malkontent wstał na ostatnim zebraniu i wykrzyczał go do Myrona.

Myron nie miał pojęcia, jak radzić sobie z naciskami. We własnych oczach był tylko prostym farmerem. Jego jedyne wcześniejsze doświadczenie z tak zwanym życiem publicznym sprowadzało się do oprowadzania wycieczek po farmie w trakcie Jarmarków. Nagłe wylądowanie w samym centrum sporów zupełnie mu nie odpowiadało. Próbował zrezygnować z tej odpowiedzialności, ale Edmund mu na to nie pozwolił. Myron wiedział, co trzeba było zrobić i w jaki sposób, a krzyczący na niego malkontenci, jak wykazały składane przez nich propozycje, nie.

W większości wypadków argumenty sprowadzały się do kilku stanowisk, jedni uważali, że ktokolwiek chciałby założyć gospodarstwo – czy ma na ten temat jakąś wiedzę, czy nie – powinien dostać wszystko, co według *niego* było mu potrzebne, oraz tyle ziemi, ile tylko mógł oznaczyć. Oznaczanie miało się zasadniczo sprowadzać do znakowania drzew, w celu określenia obszaru. Edmund nie był w stanie wypowiedzieć wszystkich powodów, dla których był to głupi pomysł, więc pozwolił innym prowadzić dyskusję. Kilka osób przypomniało, że istniały ograniczenia, jeśli chodzi o dostępne materiały, żeby nie wspomnieć o ludziach potrafiących coś z nich zrobić. Inni wskazali na długoterminowe spory, które wynikłyby z tak nietrwałych oznaczeń jak nacięcia na drzewach.

Malkontent, który nazwał Myrona „obżartym plutokratą”, przewodził grupie Jeden za wszystkich i wszyscy za jednego”, według której wszelkie materiały powinny pozostawać w posiadaniu wspólnoty i być używane wspólnie. Chcieliby wszystkie zasoby miasta umieścić w komunalnej przechowalni i pozwalać ludziom z nich korzystać. Cała ziemia byłaby wspólna i ludzie pracowaliby wedle swoich możliwości, oddając narzędzia z powrotem wspólnocie.

Człowiekiem, który utracił ten pomysł był Edmund. Przytoczył pół tuzina na wpół pamiętanych przykładów z historii, od Wczesnych Pielgrzymów w Norau, którzy prawie wymarli z głodu, zanim zrezygnowali ze wspólnotowej własności, do wielkiego fiaska dwudziestowiecznych komunistycznych państw i spółdzielczych farm, które *faktycznie* doprowadziły do zagłodzenia znacznej części swoich obywateli.

Ostatniej grupie, prawdopodobnie najbardziej przerażającej, przewodził nie kto inny, jak właśnie Brad Deshurt. Proponował, żeby po prostu powiększyć farmę Myrona, zatrudniając do pracy uchodźców. Pomimo jego wiedzy w zakresie ekonomii społeczeństw przedinformatycznych termin „latyfundia” był mu obcy i nie chciał przyznać podobieństwa swoich pomysłów do „plantacji niewolniczych”. Ale jako że Myron nie miał ochoty prowadzić olbrzymiej plantacji opartej na niewolnej pracy, z wiążącymi się z tym długoterminowymi implikacjami, sprawa okazała się niewypałem. Prawdę mówiąc, Edmund miał dokładnie przeciwny problem z Myronem, który z kolei pragnął wprowadzenia przepisów nie dopuszczających posiadania zbyt wielkiego obszaru ziemi przez jedną osobę. Poprzedniej nocy rozmawiali na ten temat przez wiele godzin. ■– Latyfundia, niezależnie od tego, czy te prawdziwe z wielką liczbą częściowo niewolnych robotników, czy korporacyjne, gdzie korporacja jest właścicielem ziemi i działa przez najemników, są w końcu nieuniknione... – tłumaczył farmerowi.

– Ale... Edmundzie, całą podstawą przyzwoitej demokracji albo republiki przedindustrialnej jest małe gospodarstwo rolne. Jeśli powstaną latyfundia, w końcu dostaniesz feudalizm, albo ukryty, albo faktyczny. Dostaniesz średniowiecze albo Południe po zniesieniu niewolnictwa. Nie chcesz *tego*, ja tego nie chcę. Jedyne sposoby, aby tego uniknąć, to niedopuszczenie, by jakaś grupa osiągnęła zbyt wielką władzę.

– Nie sprawdziło się żadne prawo przeciwmonopolowe, zwłaszcza przeciw monopolom ziemskim

– zauważył Edmund. – To jak prawa przeciw „wykroczeniom moralnym”. Jeśli tworzy się prawo związane z *takimi* pieniędzmi, ludzie albo będą je lekceważyć, albo najmą prawników, którzy znajdą w nim furtki. To jak ci idioci, którzy nie chcieli pozwolić na uprawę konopi, ponieważ można ich używać jako narkotyków. Świetnie, ale to też surowiec do produkcji papieru i lin, dwóch rzeczy, których potrzebujemy. Jeśli ktoś chce się uzależnić od konopi, proszę bardzo. Biorąc pod uwagę, że nasiona są dostępne, a ziemi pełno, próba niedopuszczenia do ich hodowli jest pozbawiona sensu. A jeśli ustanowi się przepis, którego nie da się wyegzekwować, to dostaniesz prawo, które jest ignorowane. Nie, uniknięcie latyfundiów byłoby dobre, ale szczerze mówiąc, nie mając tego wymusić. Zgadzam się, że początkowo indywidualne osoby nie mogą oznaczyć i zarejestrować działek większych niż pięćset hektarów. Ale później, to już wolny rynek. Jeśli ktoś będzie chciał sprzedać, ma do tego prawo. Zakładając, że powstanie jakiś kapitał, który będzie mógł wejść w obieg.

Nie cierpię latyfundiów – zaburczał Myron. – To korporacyjne latyfundia wbiły kołek w serca drobnych farmerów. I wiesz, do czego to doprowadziło.

Do wielkiego sporu o to, co było najpierw, jajo czy kura – odpowiedział z uśmiechem Edmund. — Szczerze mówiąc, zgadzam się z tobą, ale o ile wolno rynkowy kapitalizm demokratyczny nie jest najlepszym na świecie modelem rządów, to właśnie on najlepiej się sprawdza. Prawdę mówiąc, pytanie brzmi: czy to najlepszy rodzaj rządu dla tego rodzaju społeczeństwa. Można się spierać, czy nie powinniśmy ustanowić centralnej dyktatury albo feudalizmu. W tego rodzaju sytuacjach one są najbardziej stabilne. Ale nie zrobimy tego, będzie my dążyć do republikanizmu. Historia osądzi, czy mieliśmy rację. Mam nadzieję, że jeśli się pomyliliśmy, historia wyda wyrok dopiero po śmierci naszych wnuków.

A przez cały czas nieustannie szalały kłótnie.

Świadomie zaczął ignorować aktualny spór dotyczący minimalnych wymagań do uruchomienia gospodarstwa i wyglądał przez okno, kiedy zobaczył najpierw konia Toma, a potem rozpoznał siedzącą w siodle osobę. Natychmiast zastukał rękojęścią sztyletu w stół.

– Spotkanie zostaje odroczone do jutra – oznajmił, wstając.

– Czemu? To trochę arbitralna decyzja, nieprawdaż? Nawet nie *zblżyliśmy* się do rozwiązania! – krzyknął Deshurt.

– Możecie się dalej spierać, jeśli chcecie, ale będziecie musieli robić to gdzieś indziej – oświadczył Edmund, podchodząc do drzwi. – Już.

– O mój Boże – jęknął Myron, wstając tak szybko, że jego krzesło poleciało do tyłu. On też wyjrzał przez okno.

– Wyjść – warknął Edmund. – Już.

– Wróć z Bethan – powiedział Myron, kierując się w stronę drzwi. – *Chodźcie*. To Daneh i Rachel. Dajcie mu chwilę *spokoju*, dobrze?

– Och, jeśli to dlatego... Edmundzie, możemy się spotkać jutro...

Talbot tylko skinął głową, gdy grupa przepychała się przez drzwi, po czym szybko podszedł do

balustrady do wiązania koni.

– Daneh – zawołał, gdy podjeżdżała. Zdążył już zauważyć, że w przeciwieństwie do córki miała na sobie cudzą pelerynę. Teraz, gdy się zbliżyła, dostrzegł jej wzrok i siniaka na policzku.

– Edmund – westchnęła i zsunęła się z konia. Gdy sięgnął ku niej wzdrygnęła się, po czym wyciągnęła dłoń. – Cieszę się, że tu jestem.

– Cieszę się, że dotarłaś – powiedział cicho, nie podchodząc do mej. – Rachel – dodał, kiwając głową w stronę córki.

– Tato – odpowiedziała. – Miło cię widzieć. Wreszcie.

– Chodźcie do domu – zaprosił je do środka, kiwając głową na zasugerowaną naganę. – Zrobię... przygotuję kąpiel i jakieś jedzenie. – Skierował się do syna Myrona i klepnął go po ręce. – Tom... dziękuję ci.

– Proszę bardzo, Edmundzie. Przykro mi... przykro mi, że nie znalazłem ich... wcześniej.

Edmund zacisnął szczęki i skinął głową w odpowiedzi, po czym poszedł za Daneh i Rachel do domu.

* * *

– Tom – zawołał Myron, gdy jego syn wjechał kłusem na plac przed domem. – Daneh wyglądała...

– Lepiej niech powiedzą ci o tym Edmund albo ona – odparł chłopak, zsuwając się z konia i zaciskając usta w wąską kreskę. – Przypuszczam, że to to, co myślisz.

– Cholera – zaklął Myron gniewnie.

– Znasz Dionysa McCanoca?

– O tak – potwierdził Myron. – I przypuszczam, że długo już sobie nie pożyje

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Edmund korzystał z luksusu używania ciepłej wody z kuźni, więc przygotowanie kąpeli dla Daneh było całkiem proste. Wycofała się tam z małym dzbankiem wina i jakimiś starymi ubraniami, po czym Edmund wrócił do kuchni zmierzyć się z gniewem swojej córki.

– Została zgwałcona – oświadczyła Rachel, podnosząc wzrok znad talerza pieczonej wieprzowiny na zimno. W miarę jak zapadało w nią ciepło i światło pomieszczenia, zaczynało do niej docierać, że jest bezpieczna. Przez całą podróż, gdzieś głęboko we wnętrzu bała się, że Dionys powróci. Ale teraz, w domu jej ojca, wiedziała, że jest chroniona. Co z jakiegoś powodu to tylko podsycalo jej gniew.

– Domyśliłem się tego – rzekł Edmund, siadając po drugiej stronie stołu.

– Nie ma za co ci dziękować, *tato*. Gdzie *byłeś!*?

– Tutaj – odpowiedział szczerze. – Dokładnie tu. Próbując stworzyć coś, do czego mogłabyś dotrzeć.

– Ładna wymówka.

Edmund westchnął i napił się łyk wina.

– To właściwie nie jest wymówka. To powód. Kiedy zostałem poproszony o podjęcie się tej pracy, zrozumiałem, że jednym z towarzyszących temu faktów będzie to, że *nie* będę mógł wyruszyć szukać ciebie i twojej matki. Wiedziałem, że w chwili Upadku obie znajdowałyście się w domu oraz że obie jesteście pomysłowe. Zdawałem sobie sprawę, że może was spotkać coś... prawie powiedziałem „nieprzewidzianego”, ale właściwe słowo to „złego”... że tobie i matce może przydarzyć się coś *złego*. Wybrałem podjęcie się większej odpowiedzialności.

– No cóż, *tato*, ta większa odpowiedzialność sprawiła, że moja matka została *zgangwałcona* – wyszczała dziewczyna. – Wybacz, ale jestem trochę wściekła z te go powodu.

– Prawdopodobnie w takim samym stopniu jak ja – odparował Edmund. – Ja nie będę żałował uczynionego wyboru. Takiego dokonałem. Będę z tym żył przez resztę moich dni. Podobnie jak ty. I twoja matka. – Zauważył, że spuściła wzrok, i kiwnął głową. – A nad jakim wyborem ty się zastanawiasz, Rachel?

– Ja... – Dziewczyna skurczyła się i zakrztusiła kawałkiem wieprzowiny. — Podzieliliśmy się, żeby szukać jedzenia. Ona poszła na południe, ja na północ.

– Gdybym tylko...

– Rachel, spójrz na mnie. – Edmund odczekał, aż to zrobiła. – Jeśli jest jakiś Bóg, będę mu dziękował do końca życia za ten wybór, tak samo jak twoja matka. Ona jest znacznie starsza i mądrzejsza od ciebie, prawdopodobnie również silniejsza, choć masz w sobie wiele siły. Ale gdybym został zmuszony do wybrania, którą z was wysłać na coś takiego, wybrałbym Daneh, pomimo całej miłości, którą do niej czuję. I ona zrobiłaby to samo. Wiedz o tym.

– Wiem – wymamrotała Rachel prawie z płaczem, spuszczać głowę i zasłaniając twarz dłońmi. – Ale...

– Poczucie winy u kogoś, kto przeżył, to bardzo fałszywe uczucie – zapewnił ją Edmund. – Nie możemy cofnąć wyborów, które podejmujemy w naszym życiu. A w tak wielu przypadkach to, kto przeżyje, a kto nie, zależy od prostego przypadku. Żałowanie, że nie zostałaś zgwałcona jest głupie. A żałowanie, że gdzieś głęboko w środku *cieszysz się*, że to nie ty, jest jeszcze głupsze.

– Nic takiego nie powiedziałam! – wykrzyknęła.

– Nie, ale pomyślałaś w ten sposób i żałujesz tej myśli – zdecydowanie odpowiedział Edmund. – Jestem *stary*, dziecko. Tak stary, że trudno ci to pojąć. I wiem, co oznacza przeżyć, gdy innym się to nie udało. Znam mroczne myśli, które się wtedy zakradają. Stań im naprzeciw, rzuć na nie światło rozsądku. Z początku to nie pomoże, ale z czasem *tak*. Jeśli nie chcesz tego zrobić dla mnie, zrób dla swojej matki. Ona będzie miała *własne*, niechciane myśli. Drobnе, małostkowe, niezdrowe myśli. Twoje będą w pewien sposób łatwiejsze i trudniejsze na inny. I będziesz musiała o nich rozmawiać. Ale przede wszystkim musisz nad nimi jakoś panować. Dla niej i, tak, i dla czegoś jeszcze więcej. Zrobiliśmy tu już dużo, ale jeszcze więcej jest do zrobienia, a ty będziesz tego częścią. Jeśli zaczniesz w goryczy i nienawiści wobec tych, których kochasz, oraz do siebie, nigdy nie będziesz dawać z siebie wszystkiego. A to zasługuje na tyle.

– Jak możesz być taki *zimny* w tej sprawie! – krzyknęła Rachel. – Nie masz w sobie ani *grama* uczuć?

– Mam – odrzekł Edmund po chwili. – Ale nie okazuję ich tak, jak twoim zdaniem powinienem. Będziesz musiała sama zdecydować. Wracając do drugiej sprawy, czy ci ludzie byli tylko przypadkowymi przechodniami, czy mogą stanowić większy problem?

– Och, myślę, że raczej będą należeć do kategorii większych problemów – lekko powiedziała Rachel. – Przywódcą był Dionys McCanoc.

Rachel pierwszy raz w życiu zaczęła rozumieć, czemu ludzie traktują jej ojca z takim szacunkiem. Przez krótką chwilę coś przemknęło przez jego twarz. Było to coś ponad gniewem, coś dziwnego, nieokreślonego i głęboko przerażającego. A potem znikło, zostawiając po sobie tylko drgający mięsień w szczęce. Nagle znów był tym samym, prostym stworzeniem o drewnianej twarzy, które znała całe swoje życie.

– To... interesujące – wycedził Edmund, pociągając nosem. – Rozpuszczę wieści, poszukiwany za rozboje i gwałt.

– To *wszystko* – zachnęła się. – Rozpuścisz wieści?

– Na razie – zimno odpowiedział jej ojciec. – Na razie. Ludzie pokroju McCanoca mają tendencję do zabijania się. Jeśli nie uczyni tego za mnie, znajdę czas. Ale *teraz* mam inne rzeczy do zrobienia. Podobnie jak ty. Musisz odpocząć.

– A co *ty* zamierzasz robić? – zapytała, wyglądając przez okno. Podczas gdy rozmawiali, słońce schowało się za horyzontem i stało się oczywiste, że w przeciwieństwie do Jarmarku Raven's Mill zwijało ulice o zmierzchu.

– Ja? Będę pracował – wyjaśnił Edmund. – Obywatele pracują od świtu do zmierzchu, ale praca polityka nigdy się nie kończy.

– Bardzo zabawne, tato.

* * *

– Edmund? – odezwał się głos w ciemności.

– Sheida, gdzie się podziewałaś? – zapytał, podnosząc wzrok znad niekończącej się masy papierkowej i zsuwając niżej okulary. Daneh i Rachel poszły już do łóżek, ale on wciąż spalał olej w lampie.

– Nawet tak podzielona, zaczynam nie nadążać – odrzekła cichym głosem projekcja, w słabym świetle lampy wyglądająca jak duch. Obraz wyraźnie zdradzał oznaki wyczerpania i Edmund potrząsnął głową.

– Odpocznij trochę – zasugerował ciepło. – Jeśli nie będziesz zdrowa, niczego nie będziesz miała.

Zachichotała na wspomnienie starego żartu i usiadła na krześle po drugiej stronie biurka.

– Ty też wyglądasz na wyczerpanego.

– Nie jest łatwo. Mamy tu już prawie tysiąc ludzi, wyzwaniem jest samo zapewnienie im jedzenia trzy razy dziennie. — Wskazał na papiery, ściągnął okulary i oparł się wygodnie na krześle. — Słyszałaś o Rachel i Daneh.

– Tak, *wszystko* o Rachel i Daneh – z westchnieniem powiedziała Sheida. - Coś trzeba zrobić z McCanokiem.

– Myślę, że Dionys będzie stanowił mniejsze zagrożenie, niż się spodziewałem – stwierdził Edmund. – Spodziewałem się, że się wcześniej ujawni i zacznie sprawiać problemy. Zamiast tego stał się bandytą.

– Uważaj, żeby go nie zlekceważyć – przestrzegła Sheida. – Zaczynamy składać w całość zebrane strzępy informacji na temat popleczników Paula w Norau. A on prawdopodobnie jest jednym z nich, wydaje mi się, że to Chansa udzielił zgodny na nielegalne przeróbki jego ciała. Tuż przed tym, zanim wszystko się rozleciało, do Rady wpłynęło oficjalne zażalenie elfów na jego modyfikacje. Trzeba członka rady, żeby na nie zezwolić, więc może mieć wsparcie, z którego nie zdajemy sobie sprawy.

– To też możliwe – przytaknął Edmund. – Ale szczerze mówiąc, biorąc pod uwagę jego przeszłość w rozwalaniu wszelkich organizacji społecznych, wolę go widzieć jako bandytę niż tu, szykującego kłopoty. Jeśli uda mi się zorganizować to cholerne miasto, nie zdobędzie go. A jak już wspomniałem, za to jestem odpowiedzialny przede wszystkim.

– Zgadza się – potwierdziła. – Oraz, żeby niektórzy ludzie się nie buntowali. Mam problemy, przyjacielu. Potrzebuję rady.

– Rad ci u mnie dostatek.

– Tworzysz tu demokrację – zaczęła, machając przy tym ręką w ciemność, w stronę miasta. – Ale zbyt wiele społeczności tego nie robi. Silni przejmują władzę i... no wiesz, wszędzie tworzy się

feudalizm.

– Nic dziwnego – stwierdził Talbot, sięgając po kielich mocno rozwodnionego wina. – To nie jest do końca demokracja, bardziej republika. Wybrali mnie, a kiedy uznałem to za słuszne, kilka głosowań sponiewierałem. I zdarzają się chwile, kiedy żałuję, że nie mogę po prostu nakazać ludziom zrobienia czegoś, a czasami... że nie mogę ich stąd po prostu wyrzucić. Zresztą postąpiliśmy tak w kilku przypadkach wobec tych, którzy nie chcieli pracować, i jednego złodzieja. Kusilo mnie wobec kilku malkontentów. A nawet jeszcze bardziej wobec paru „minstreli”.

Sheida zachichotała.

– Nigdy ich nie lubiłeś.

– Lubię ludzi, którzy *potrafią* śpiewać. Mam doskonały słuch i konieczność wysłuchiwania większości minstreli jest bolesna. A zmuszenie do pracy kogoś, kto uważa się za barda jest... trudne. Nawet kiedy nie ma drobniaków, które można by im rzucać, grajkom wydaje się, że mają prawo żerować na hojności. Może będzie to możliwe za kilka lat. Ale nie teraz.

– Ale... silni – przypomniała Sheida.

– Możesz ich nazwać watażkami – zasugerował w zamyśleniu. – Cóż, przede wszystkim musisz im powiedzieć, że nie będą po twojej stronie, jeśli nie wprowadzą reform demokratycznych. Potem przygotuj prosty dokument, w którym zostaną określone prawa wszystkich ludzi pod twoimi rządami i jakie są obowiązki lokalnych oraz centralnych rządów. Najlepiej byłoby zebrać przedstawicieli ze wszystkich społeczności, które stanęły po twojej stronie, żeby nad tym głosowali, ale zanim dojdzie do sporów, stwórz zarys dokumentu.

– Masz na myśli konstytucję?

– Tak. I to dobrą. To, co się przytrafiło Daneh, dowodzi, że potrzebujemy praw, na których możemy oprzeć szubienice. W tej chwili, gdybym wyruszył złapać McCanoca i powiesił go na drzewie, byłbym równie zły jak on.

– Choć nikt by tego nie kwestionował – stwierdziła Sheida. – A w każdym razie nie głośno.

– Jasne, ale to nie prawo, to anarchia. U swoich podstaw każdy rząd sprowadza się do zapewnienia ludziom przestrzegania umów. McCanoc naruszył niepisaną umowę, że nie zmusza się kobiet do seksu ani nie kradnie się im odzieży przeciwdeszczowej, zwłaszcza gdy jest zimno i mokro. Ale przy zerwaniu autorytetu Rady, nie ma jak wymusić umowy. Nie jest to też spisane prawo. Przyjrzyj się niektórym modelom historycznym, wciąż masz do nich dostęp. Potem napisz konstytucję. A jeśli któryś z watażków odmówi podpisania się pod nią, cofnij mu swoje wsparcie.

– Nie jestem w stanie *udzielić* wielkiego wsparcia – przyznała Sheida.

– Ale w miarę upływu czasu *będziesz* to robić. Jesteś jedynym dostępnym źródłem energii, chyba że przejdą na stronę Paula.

– A jeśli to zrobią?

– Będziesz sobie z tym radzić wtedy – szczerze odpowiedział Edmund. – To jest wojna. Jeśli ktoś chce zostać neutralny, jego sprawa. Jeśli staną po stronie twojego wroga, staną się *twoim* wrogiem.

Niech *to też* będzie jasne.

– Jednym z nich jest Rowana. Martin ustanowił się tam lokalnym przywódcą. Wprowadził... harem, tak byś to chyba nazwał. Nie byłam w stanie stwierdzić, na ile jest to dobrowolne, na ile wynika z desperacji i z przymusu. Ale wiem, że te wszystkie kobiety nie poszły na to dlatego, że jest darem Boga dla kobiet.

– A jeśli Rowana opowie się za Paulem, będziemy mieć nóż skierowany prosto w nasze plecy – podsumował w zamyśleniu Edmund. — Cóż, to nie szkodzi, do czasu, gdy będzie w stanie podjąć jakieś działania, my będziemy w stanie się obronić, jeśli do tego dojdzie. Jedną z rzeczy, które musisz wpisać w konstytucję jest to, w jaki sposób będą przyjmowane nowe grupy. W jaki sposób ustanawia się granice geograficzne, kto ma pełne prawa wyborcze, tego rodzaju rzeczy.

– Hmm... – odezwała się Sheida z nieobecny spojrzeniem. – Właśnie przeglądam kilka z bardziej znanych dokumentów historycznych.

– I jeszcze jedno. – Tak?

– Pierwsza konstytucja Stanów Zjednoczonych Ameryki, Druga Poprawka. Cokolwiek napiszesz, jeśli chcesz *mojego* poparcia dla tego, musisz mieć coś podobnego albo mocniejszego.

Uśmiechnęła się do niego i kiwnęła głową.

– Da się zrobić.

– Czy istnieje możliwość, żebyś zabrała ze sobą Harry'ego? – zapytał nagle.

– Może. Czemu?

– Cięcie, które zrobiłem mu w nodze nigdy nie wyleczy się poprawnie, o ile nie odbudują tego nanity – Edmund wzruszył ramionami. – W tym społeczeństwie stał się praktycznie kaleką. To nie dobrze, ale druga strona tego jest taka, że on ma dobre podstawy wiedzy w zakresie przedindustrialnej wojny i rządów. Gdyby mógł trafić gdzieś, gdzie nie będzie odbierany jako kaleka, albo gdyby mógł zostać naprawiony, mógłby się przydać. Ale w obecnym stanie nie potrafi ani sobie, ani nikomu innemu wiele pomóc.

– Zobaczę, czy będę w stanie zgromadzić energię na teleportację – powiedziała po chwili namysłu. – Pracujemy nad metodami wymagającymi mniej energii, ale chwilowo jesteśmy uziemieni.

– No cóż, jeśli dasz radę to zrobić, to świetnie. Jeśli nie, znajdziemy coś dla niego. Jeśli nie będzie innego wyjścia, może uczyć walki na miecze po prostu krzycząc.

– Dobrze – zgodziła się Sheida, kiwając głową. – Dziękuję za radę.

– Zawsze do usług. I naprawdę odpocznij trochę.

– Wyśpię się w grobie.

– I dokładnie tam trafisz, jeśli nie zrobisz ze sobą porządku – skomentował Edmund.

– To... zbyt wiele. Oni są o tyle *potężniejsi* od nas, Edmundzie. – Westchnęła i schowała twarz w dłoniach. – Nie wiem, *skąd* biorą całą tę energię. Zasadniczo mamy dwie więcej elektrownie niż oni,

a jeszcze pobieramy energię z Kamiennych Ziemi. Ale oni mają dwa lub trzy razy tyle. Nie używają jej zbyt *dobrze*, ale zmusza nas to do zużywania prawie każdego erga na obronę przed nimi. A tymczasem oni mogą swobodnie... – przerwała i zadrżała. – Aż trudno mi uwierzyć w niektóre z rzeczy, jakie robią.

– Ja przypuszczalnie uwierzę – cierpko stwierdził Edmund. – Ale ja głęboko wierzę w ideę grzechu pierworodnego i zepsucie duszy ludzkiej.

– Cóż, też się ku temu skłaniam – powiedziała Sheida. – Paul ma dość energii, żeby praktycznie uniemożliwić wysłanie awatara do większości kontrolowanych przez niego obszarów, ale udało się nam przemycić kilka latających jednostek zwiadowczych i to, co zobaczyliśmy, jest straszne. Zbiera wszystkich uchodźców i *Przemienia* wbrew ich woli.

– Nie dziwi mnie to – ponuro mruknął Edmund. – Jeśli ma dość energii.

– Ma, ale i tak w większości pobiera ją z *ich ciał*. Używa ludzi jako *źródła energii*. Czasem ich to zabija. A to, co zostaje...

– Niech zgadnę. Niska inteligencja, prymitywny wygląd, kilka podstawowych umiejętności i... hmmm... agresja. *Bezmyślna* agresja, prawda?

– Słyszałeś.

– Och, słyszałem plotki. Ale co więcej, znam zaangażowanych w to ludzi. To wcale nie *Paul* się w to bawi, to Chansa i Celine oraz do pewnego stopnia Demon.

– Czemu? – zapytała Sheida poważnie.

– Cóż, Celine od stu pięćdziesięciu lat narzekała na wymuszane przez Sieć ograniczenia medyczne i bioinżynieryjne. Chce tworzyć potwory. Czemu? Ponieważ ona *lubi* potwory. One są takie *fajne*.

– Osy, które nas zaatakowały były prawdopodobnie jej dziełem – zauważyła Sheida.

– Tak, podobnie jak te... rzeczy. Ci Przemienieni. Jeśli chodzi o Chanse, czy kiedyś zastanawiałaś się, czemu uczynił się takim wielkim? To czysty brak wiary w siebie. Zawsze chciał kontroli, nad sobą, nad otaczającymi go ludźmi. Nie wiem, co pchnęło go w tę stronę i nie uważam, żeby tak na prawdę miało to jakieś znaczenie, może ktoś go bił, gdy był dzieckiem. Wszystko jedno. Chce kontrolować wszystkich, którzy go otaczają. Chce Poddanych, nie równych sobie. Celine tworzy wspaniałą rasę *niższą*, nad którą będzie mógł władać, a oboje sprzedają to Paulowi jako coś „dla dobra ludzkości”.

– Masz szpiega w Radzie Sojuszu Nowego Przeznaczenia? – poważnie zapytała Sheida. – Ponieważ to dokładnie obraz, jaki udało mi się uzyskać.

– Nie, ale to dość cholernie oczywiste, jeśli zna się graczy.

– A co z Demonem?

– Ciekawe, prawda? Jak pojawił się dokładnie w idealnym momencie, kiedy wszystko zaczęło się walić – cierpko zauważył Edmund. – Naprawdę uważasz, że to przypadek?

– Myślisz, że siedział w tym od początku?

– Myślę, że siedział w tym, jeszcze *zanim* się to zaczęło. Trochę teraz za późno na szukanie, ale ciekawe byłoby się przekonać, jak Celine, która od początku była stuknięta, i Chansa dostali się do Rady. Demon jest *stary*, Sheida. Starszy niż my oboje. Tak stary jak niektóre elfy.

– Myślisz, że on to zaplanował? – zapytała. – To *wszystko*? Nawet *on* nie jest chyba tak szalony?

– Demon? Och tak, Sheida, jest. Westchnęła i zmęczona pokiwała głową.

– Przypuszczam, że masz rację. Ale gdzie nas to stawia?

– W cholernie wielkiej dziurze – przyznał Edmund. – Ale po to są łopaty. Wracaj do domu. Niech na jedną noc wszystko idzie w diabły. Ściągnij wszystkie awatary i trochę odpocznij.

– Dobrze – zgodziła się, uśmiechając się łobuzersko. – Żałuję, że mnie tu nie ma. Odpoczęłabym z tobą.

– Nie dzisiaj – oświadczył Edmund. – Zamierzam stać na straży koszmarów.

– Racja. – Sheida potrząsnęła głową. – Jeśli go znajdziesz...

– Przybiję go za jaja do najbliższego drzewa – spokojnie obiecał Edmund. – Widzisz, gdzieś tam głęboko we wnętrzu, wcale nie dbam o prawo.

* * *

Herzer przyjął żeton żywnościowy i skierował się w stronę budynków, zanim jeszcze jego mózg naprawdę zaskoczył. Dotarł do Raven's Mill, deszcz ustał i po raz pierwszy od tygodni będzie mógł jeść i spać pod dachem. Ostrzeżono go, że jedzenia nie będzie wiele, a schronienie kiepskie. Jednak było to jedzenie i dach nad głową, a to już coś.

Po jedzenie stała kolejka, więc ustawił się na końcu. Zirytowało go, że część przychodzących osób nie szła na koniec ogonka, tylko podchodziła do przodu, wciskając się po prostu do znajomych. Jednak najwyraźniej nie było nikogo, kto mógłby temu zapobiec.

Ludzie czekający na posiłek stanowili smutny widok. Wszyscy wyraźnie wymęczeni drogą i w oczywisty sposób nieprzywykli do niej. Wielu wyglądało na... złamanych, jakby nigdy już, do końca życia, nie mieli się poprawić. Jednak byli i tacy, którzy nie robili takiego wrażenia. Rozmawiali uprzejmie z innymi; rozglądając się przy tym wokół siebie. Wydawało się, że nie wyróżniają się niczym szczególnym i Herzer nie umiał przewidzieć, kto będzie wbijał wzrok w ziemię, a kto patrzył ciekawie na świat. Niektórzy z ewidentnie najsłabszych w grupie okazywali się zarazem najaktywniejszymi osobami, podczas gdy i wśród najsilniejszych zdarzali się tacy, którzy wyglądali, jakby rozpadli się na strzępy – Zgromadzeni stanowili jeszcze z innego powodu dziwny widok. Bardzo mało dostrzegał wśród nich Przemienionych. Herzer przyzwyczał się, że w tego rodzaju grupach stanowili oni przynajmniej jedną czwartą, od ludzi ze skrzydłami do kobiet-kotów. Owszem, zobaczył jedną przedstawicielką tych ostatnich, naprawdę uroczą pręgowaną blondynkę, oraz, na czele kolejki, ktoś wyglądający na niedźwiedzio – czy świniolaka. Ale żadnych więcej Przemienionych. Nie sądził, żeby miasto ich nie wpuszczało, jednak musiał istnieć jakiś powód, dla którego było ich tu tak niewiele.

Kolejka prowadziła do otwartej szopy wyglądającej prawie jak magazyn. Przy wejściu kobieta o

znudzonym wyglądem przyjmowała od wchodzących żetony. Jednej osoby, która nie miała żetonu nie wpuściła do środka, choć nie padły przy tym żadne wyjaśnienia. Wewnątrz stały stoły na kozłach, najwyraźniej świeżo zbite z kłód – na większości wciąż jeszcze widać było soki – zastawione prymitywnie wydłubanymi z drewna misami i łyżkami. Idąc za przykładem mężczyzny, który wszedł przed nim, wziął misę i łyżkę, a potem przyjął od jednego z rozdających mały kawałek pełnoziarnistego chleba. Przy kotle miska została napełniona jakąś potrawką składającą się głównie z fasoli i to już wszystko. Przy dalszym końcu magazynu ustawiono więcej prostych stołów i ław, większość miejsc była już zajęta. Doszedł prawie do samego końca, zanim zauważył wolne miejsce obok młodego człowieka mniej więcej w jego wieku. Podeszedł i wskazał na miejsce.

– Można...?

– Proszę bardzo. – Chłopak rzucił najpierw szybkie spojrzenie siedzącej naprzeciw niego dziewczynie.

– Dziękuję – powiedział Herzer, siadając. – Herzer Herrick – przedstawił się, wyciągając dłoń.

– Mike Boehlke – odparł młodzieniec i wskazał przez stół. – To Courtney, Courtney Deadwiler. – Mike miał krótkie blond włosy, był krępy i miał około półtora metra wzrostu. Prezentował się stosunkowo nieźle jak na te okoliczności, ale jego mięśnie sprawiały trudne do zdefiniowania wrażenie, że wyglądał na kogoś, kto uzyskał je pracą, nie tylko dał je wyrzeźbić. Jediną dziwną w nim rzeczą – nie do końca Przemiana, choć blisko – były brwi. Ich końce kierowały się ostro w górę. A jego czoło miało wyraźny i dziwny rysunek.

Courtney miała rude włosy, jasne, zielone oczy emanujące inteligencją była... dorodna – tylko takie słowo przychodziło do głowy na jej widok. Dziewczyna omiotła spojrzeniem nieznanego, po czym zdawała się zaakceptować jego towarzystwo bez dalszych sprzeciwów.

– Cześć – odezwał się w jej stronę Herzer, kiwając głową na powitanie. Potem chwycił łyżkę i zaczął pochłaniać jedzenie.

– Musisz z tym uważać – rzuciła z parsknięciem Courtney. – Zrobiłam tak pierwszego wieczora i potem zwróciłam wszystko na stół.

– Myślę, że nic mi nie będzie – odpowiedział Herzer. Chwyciły go lekkie nudności, ale Tom miał jeszcze trochę jedzenia, więc poprzedniego dnia już nie głodował. Wytarł miskę małym kawałkiem chleba, po czym go zjadł. – To wszystko, prawda?

– Prawda – szorstko potwierdził Mike. – Jesteś tu nowy?

– Właśnie przyszedłem – wyjaśnił Herzer i umilkł. Szczegóły jego podróży nie nadawały się zbyt do opowiadania.

– My jesteśmy tu już drugi dzień – nadmieniła Courtney. – Wiesz, że dają ci trzy dni?

– Tak. I powiedzieli, że ktoś mnie wtedy znajdzie. Właściwie, to mnie to zastanowiło. Jak to kontrolują?

– Niektórzy się wyślizgują. – Dziewczyna kiwnęła głową w stronę namiotu. – Ale trzeciego dnia, jeśli nie jesteś gdzieś zatrudniony, przestają ci dawać żetony żywnościowe. Mówią, o jakimś programie nauki zawodu. Mamy nadzieję się do niego dostać.

– Co innego można tu jeszcze robić? Widziałem kilku strażników.

– Nie są wiele warci – zauważył Mike. Wyrażał się w dość szorstki, ostry sposób, który ocierał się o granicę nieuprzejmości, jednak Herzer odniósł wrażenie, że to po prostu u niego normalne. – Mówi się, że Talbot zamierza ustanowić zawodową straż czy siły policyjne. Ale za wiele się dzieje w związku z wojnami o farmy.

– Wojny o farmy? – zapytał Herzer. – Już mamy wojny?

– Nie, to nie to – wyjaśniła Courtney. – Chodzi o kłótnie na temat tego, jak mają działać.

Zaprezentowała mu zwięzły opis różnych propozycji, po czym wzruszyła ramionami.

– Mike i ja, cóż... – spojrzała na niego i jeszcze raz uniosła ramiona.

– Chcę mieć farmę – oświadczył Mike. – Chcę mieć własną farmę, moją i Courtney. Nie chcę pracować na kogoś innego i nie chcę dzielić jej z grupą ludzi. Wiem, że mogę ją prowadzić, jeśli nie będę musiał się martwić dzieleniem jej z bandą nieudaczników. – Wskazał na ludzi siedzących przy stołach.

– Wydaje mi się, że to ma sens – zgodził się Herzer. – Sam nigdy nie myślałem o sobie jako o farmerze...

– To rolnictwo napędza ekonomię taką jak ta – entuzjastycznie powiedziała Courtney. – To ciężka praca, może najcięższa z istniejących. Ale jeśli ma się ziemię i jest się w tym dobrym, to przynosi też korzyści. Uda się nam – sięgnęła przez stół, chwytając dłoń Mike'a. – Jestem tego pewna.

– Ale i tak chcecie przejść przez program nauki zawodów? – zapytał Herzer. Zauważył, że Mike wydawał się skrępowany uściskiem i uwolnił się najszybciej, jak mógł.

– Chcę zobaczyć, co jeszcze można tu robić – wyjaśnił chłopak. – A rolnictwo to coś więcej niż tylko wkładanie nasion do ziemi. Przyda się odrobina wiedzy na temat bednarstwa, stolarstwa i kowalstwa.

– Podobno ma być też tydzień czy dwa szkolenia wojskowego – zauważyła Courtney.

– No cóż, pewnie też zobaczę, jak wygląda ten program nauki zawodów - zdecydował Herzer. Słońce opadało ku horyzontowi i uświadomił sobie nagle, że jest śmiertelnie zmęczony. – Gdzie tu się śpi?

– Są osobne sypialnie dla kobiet i mężczyzn – odpowiedział Mike. – Zazwyczaj odprowadzam Courtney, a potem znajduję sobie miejsce do spania.

– Możesz iść z nami, jeśli chcesz – zaoferowała Courtney.

– Uhm... – spojrzał na Mike'a, który bez zaangażowania wzruszył ramionami, po czym kiwnął głową. – Dobrze, jeśli nie macie nic przeciw.

W gęstniejącej wolno ciemności przeszli przez tłum do jednego z długich budynków zrobionych z bali. Z bliska wyglądały na znacznie prymitywniejsze niż z daleka, a ściany pełne były szczelin w miejscach, gdzie belki nie stykały się ze sobą. Dach pokryty został drewnianymi płytkami – lekko wypukłymi kawałkami drewna o wymiarach mniej więcej dziesięć na dwadzieścia centymetrów i

grubymi na kilka. Podejrzał, że w czasie deszczu ciekło to jak sito.

Począł, aż Courtney pocałowała Mike'a na dobranoc w policzek, po czym poszedł z młodym mężczyzną przez obozowisko. Mike zdawał się zdumiewająco dobrze odnajdywać drogę w ciemnościach jak na kogoś, kto był tutaj tylko jeden dzień.

– Wydaje mi się, że widzisz w ciemności lepiej niż ja – zauważył Herzer po tym, jak zatoczył się na jednym z niezliczonych wybojów. Jeszcze kilka dni wcześniej cały obszar porośnięty był lasem i choć po ścięciu drzew wykopano korzenie i zasypano po nich doły, deszcz sprawił, że ziemia się pozapadała.

– Kilka pokoleń wstecz po stronie mojej matki miałem Przemianę w kota – wyjaśnił. – *Rzeczywiście* dobrze widzę w nocy.

– Wiesz może, czemu tak mało jest tu Przemienionych? – zapytał Herzer, bo znów wypłynęło na wierzch jego umysłu męczące go wcześniej pytanie.

– Właściwie to nie, ale rozmawialiśmy już o tym z Courtney. Uważa, że to kwestia zdolności przystosowawczych. Większość Przemienionych wymaga więcej energii – albo w postaci jedzenia, albo dostarczanej zewnątrz – niż zwykli ludzie. Więc naturalnie po Upadku znaleźli się w gorszej sytuacji. Pomyśl na przykład o niedźwiedziolaku. One potrzebują *dużo* jedzenia i to *codziennie*.

– Racja.

– Albo facet ze skrzydłami. Ma skrzydła, ale latać może wyłącznie dzięki zewnętrznej energii. A te skrzydła ważą trzydzieści czy czterdzieści kilogramów. Zabierz mu energię i zmusz do marszu przez kilka dni...

– Rozumiem.

– Zaczynam się cieszyć, że nigdy się nie Przemieniłem. Ty kiedyś o tym myślałeś? – Pytanie zostało zadane ostrym tonem, prawie oskarżycielsko, ale Herzer znów przypisał to osobowości swego towarzysza.

– Właściwie nie – szczerze odpowiedział. – Trochę większy, odrobinę więcej mięśni... – Przed oczyma rozbłysła mu scena przy moście. Większe wymiary w niczym by nie pomogły, o ile nie byłby prawdziwym olbrzymem.

– I tak jesteś już dość duży – pytającym tonem stwierdził Mike.

– To głównie naturalne geny – wyjaśnił Herzer. – Ja... mięśnie są wyrzeźbione, ale na nie zapracowałem. Przez większość życia byłem chory i nie mogłem przybrać na masie niezależnie od tego, jak bardzo się starałem. Więc kiedy mnie w końcu wyleczono...

– Jasne, wszystko jedno – stwierdził Mike. – No, jesteśmy.

Mike odchylił ręką wiszącą w wejściu zasłonę – wyglądającą na zrobioną ze słabo wyprawionej skóry jelenia – i wskazał drogę do wnętrza. Pomieszczenie rozbrzmiewało już odgłosami chrapania.

– Tam jest wolne miejsce. – Wskazał w okolice środka sali. Dla Herzera wnętrze było

absolutnie czarne i dość zimne.

– Są tu jakieś koce?

– O ile jakiegoś ze sobą nie masz, to nie, ale po jakimś czasie trochę się tu rozgrzewa – pocieszył go Mike. Poprowadził środkiem do miejsca między dwiema śpiącymi postaciami.

– Zostaw buty na nogach i mocno zawiąż sznurówki – poradził jego przewodnik. – Pierwszej nocy ktoś próbował ukraść moje.

– Dobrze – odpowiedział Herzer, siadając na podłodze. Było to ziemne klepisko, równocześnie wilgotne i chłodne, a powietrze w sali wypełniały ciężkie zapachy i wilgoć. Nagle ucieszył się, że już pokolenia temu rozwiązano problem zapachu ludzkiego ciała, bo w innym wypadku powietrze nie byłoby tu najprzyjemniejsze.

Zapadł w sen ukołyszany tą pozytywną myślą.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Rachel obudziła się, widząc nad sobą odwróconą do góry nogami twarz.

– I kto śpi w moim łóżku? – zapytała kobieta. Miała niski głos, syczący i pełen dziwnych harmonicznym dźwięków, jakby mówiła przez otwór w wiolonczeli.

Nastolatka usiadła, naciągając na siebie pościel, i odwróciła się, żeby zobaczyć, kto do niej mówi.

Dziewczyna stojąca obok jej łóżka z rękami pod boki nie miała wzrostu więcej niż metr i ćwierć i była *bardzo* dziwnie odziana. Miała ostrą twarz i długie, czarne włosy opadające na plecy w skręconych falach. Ubrana była w coś, co można było opisać jedynie jako zielone bikini wykonane z jakiejś miękkiej, wytartej skóry. We włosy miała powpłatanę liście. Na lewym ramieniu nosiła naramiennik, prawe pozostało odkryte. Prawą łydkę chroniła metalowa nagolenica, podczas gdy lewą osłaniała futrzana nogawka. Na stopach miała sandały z niewielkim obcasem, a na lewym ramieniu, którego wewnątrz było mocno poznaczone bliznami, łuczniczy karwasz. Wyglądało na to, że stanowił on jedyny element jej stroju, którego nie nosiła na pokaz.

Uszy miała szpiczaste, a końce jej brwi ostrym łukiem skręcały w górę...

– Czy jesteś *elfem*? – zapytała Rachel. Kilka tych istot już spotkała. Wszyscy byli wysocy, szczupli i nosili bardziej wyszukane, delikatne stroje... w większości praktycznie przeciwieństwo stojącej przed nią osoby.

– Hai – oświadczyła elfka, wyciągając dłoń. To również było dziwne, większość elfów unikała osobistego kontaktu. – Bast, elf leśny. Fajnie cię poznać.

– A kim ty jesteś?

– Jestem Rachel, Rachel Ghorbani... Edmund to...

– Ach, jasne! Znam cię! Choć nie widziałam cię od czasu, gdy byłaś kompletnym szkrabem. Nic dziwnego, że zajmujesz moje łóżko. Prawie poszłam się przytulić do Edmunda, ale wyglądał, jakby potrzebował snu.

– Jasne – powiedziała Rachel. – Przytulić się...?

– Och, tak – wyjaśniła elfka. – Twój tata i ja mamy *długą* historię – dodała z mrugnięciem. – Właściwie, to przed twoją matką. I trochę po niej. Choć nie w trakcie. Wydaje mi się, że Edmund oberwał wtedy kilka razy za dużo w głowę, żeby wyrzucać ze swojego łóżka *mnie* na rzecz tej dziewczyneczki. A ty jesteś do niej podobna. Nie zamierzasz zrobić mi tego samego, co?

– Z moim *ojcem*!

– Racja, chyba nie. Dobrze. W takim razie będziemy przyjaciółkami. – Bast chwyciła ją za ramię i wyciągnęła z łóżka wciąż kurczowo trzymającą się pościeli nastolatkę. Jak na tak niewielkie rozmiary elfka była niesamowicie silna. – Chodź, dziewczyno! Szkoda dnia! Czas się ruszać! Czas na śpiew i tańce! Wino, mężczyźni i śpiew!

– Och, dobry Boże – odezwał się od drzwi Edmund. – Zastanawiałem się, co to za hałasy.

– Mundi! – krzyknęła Bast i pobiegła przez pokój, rzucając się na kowala. Obiema nogami objęła go w biodrach i pocałowała go z siłą, która większość mężczyzn powaliłaby na ziemię.

– *Tato!* Nie jestem ubrana! – wrzasnęła Rachel.

– Już to widziałem. Szlag, myłem to, gdy byłaś dzieckiem – stłumionym głosem mruknął Edmund. – Bast – dodał, odwijając elfkę ze swojego ciała i opuszczając ją na podłogę – skąd się tu u diabła wzięłaś? Myślałem, że jesteś w Elfheim.

– I na ten temat będziemy musieli porozmawiać, Edmundzie Talbot – smutnym głosem powiedziała Bast. – Mamy dużo do omówienia. Ale jak mówiłam twojej córce, w drugim łóżku leżała, jak teraz przypuszczam, Daneh, a ty wyglądałeś na kompletnie wykończonego. Mocno potrzebującego odrobiny przytulania, ale całkowicie wypompowanego. Więc przespałam się w kuźni.

– Nie musiałaś tego robić – stwierdził Edmund.

– Ech, Carb to dobre towarzystwo. – Bast elegancko wzruszyła ramionami. – Zna mnóstwo świetnych, świńskich dowcipów.

– Tak, to prawda – zgodził się Edmund, potrząsając głową. – A ty jesteś na nie za stara. Rachel, na miłość boską, ubierz się w coś i dołącz do nas w kuchni.

– Zrobię to, jeśli wyjdziecie z mojego pokoju! – ostro odpowiedziała Rachel.

– No cóż, może później. – Bast znów się jej przyjrzała. – Jestem znana z tego, że podoba mi się również płęć piękna... – dodała z mrugnięciem.

Wyszła, zostawiając dziewczynę czerwoną jak piwonia.

* * *

Kiedy Rachel weszła do kuchni, zaskoczył ją widok Bast i Edmunda wyglądających smutno i poważnie. Zdołała przezwyciężyć szok po pobudce i cieszyła się na możliwość rozmowy z leśną elfką, która była pierwszą spotkaną od czasu Upadku osobą o wyraźnie radosnym nastroju. Co się stało? – zapytała, ładując do miski kaszę kukurydzianą, polewając syropem z sorgo i siadając przy stole.

– Elfheim jest zamknięty – poważnie wyjaśnił Edmund. – I to najwyraźniej z obu stron.

– Pani nie chce się angażować w waszą ludzką wojnę – oznajmiła Bast, znów elegancko wzruszając ramionami. – Więc zamknęła Elfheim. Zamknięte są wszystkie przejścia.

– Ale to nie jest tylko ludzka wojna – zaprotestowała Rachel. – Paul jest przeciwny wszystkim Przemienionym!

Spojrzała zdziwiona na grymas Edmunda i rozbawiony wyraz twarzy Bast i otworzyła szeroko oczy.

– Co takiego powiedziałam?

– Elfy nie są Przemienione – wyjaśniła Bast. – Byliśmy przed Przemianą. Jesteśmy sobą. Nie

ludźmi, nie półludźmi. *Podobni* ludziom, ale nie ludzie. Jesteśmy elfami.

– Paula to nie będzie obchodzić – zauważyła Rachel.

– Ach, zgadzam się. Ale to Pani podejmuje decyzje dotyczące Elfheimu i całej Rasy. I jej decyzją jest, żeby przesiedzieć to tak samo, jak przesiedzieliśmy wojny SI, a potem Ostatnią Wojnę. W nich wszystkich *poszczególne* elfy wybierały strony. Leśne elfy wywodzą się właśnie z grupy, która walczyła w wojnach SI, po obu stronach. Ale Pani pozostaje neutralna.

– Nie będzie tak, jeśli Paul wygra – stwierdziła Rachel. – Wtedy zniszczy elfy.

– Może – zgodził się Edmund. – Ale z drugiej strony, może nie. Pani dysponuje własną mocą. Olbrzymią. Nie chciałbym stawać przeciw niej. Czy tylko ty zostałeś na zewnątrz?

– Nie, Gothoriel i inni są na wygnaniu. Nie wiem, gdzie teraz jest Gothoriel, ale powiedział, że niedługo się tu zjawi.

– A ty?

– Myślę, że przez chwilę będę gościć wśród ludzi. – Bast uśmiechnęła się. – Lasy są piękne na wiosnę, ale po jakimś czasie codzienne polowanie na jedzenie zaczyna się nudzić.

– Tu też nie mamy tylko piwa i zabaw – ostrzegł ją Edmund. – Wszyscy pracujemy najciężej, jak możemy.

– Och, jestem pewna, że uda mi się zaspokoić niektóre potrzeby – odparła elfka. – Jest tu *tylko* możliwości! – dodała z chichotem, który w większości epok byłby zakazany.

– Kotka – mruknął Talbot, wstając. – Za kilka minut muszę się pojawić na *kolejnym* spotkaniu, więc lepiej pójść zrobić ze sobą porządek. Przypuszczam, że wy dwie będziecie się dobrze bawić cały dzień. I niech Bóg ma mnie w swojej opiece.

– Och, jestem pewna, że Rachel nie pozwoli mi wpaść w zbyt wielkie tarapaty – z mrugnięciem stwierdziła Bast. – Idź się oskrobać na twarzy brzytwą, Wyglądasz jak yeti.

– To tylko legendy – zaprotestowała Rachel.

– Mówisz to osobie, która przez jakiś czas była żoną takiego – parsknęła Bast.

– Byłaś żoną yeti? – Rachel otworzyła szeroko oczy. – Nawet gdyby naprawdę istniały, to *czemu!*?

– Czy widziałaś kiedyś ich dłonie? – ze śmiechem zapytała Bast. – Teraz pomyśl, co mają niżej!

– Au, sama w to wdepnęłam.

– Wiesz, że to lubisz – zachichotała Bast.

– Jak powiedział pan do niewolnika — odcięła się Rachel, a potem zasłoniła usta dłonią. – Nie wierzę, że to powiedziałam.

– Ani ja! – z gniewnym spojrzeniem potwierdziła Bast. – Zmusiłaś mnie do tego!

– Bast, muszę ci powiedzieć o czymś ważnym – zasepiła się Rachel.

– Wszystko w porządku, tak naprawdę nie działałam na dwa fronty – uspokoiła ją Bast. – Zazwyczaj.

– Nie, to nie to – z irytacją zaprzeczyła Rachel. – Mówię poważnie. Po drodze tutaj moja mama... wpadłyśmy na pewnych ludzi...

Bast nachyliła się i wbiła wzrok w oczy Rachel.

– Miała z nimi kłopoty?

– Tak – odpowiedziała Rachel wdzięczna, że nie musi wypowiadać tych słów.

– Gdzie? – zapytała Bast.

– Na szlaku. Na południe od Via Apallia.

– Hai. Zabierz mnie tam. Nie popełnię drugi raz tego samego błędu. Użyję rozżarzonego żelaza, i po kilku dniach nawet będą mogli chodzić. Jeśli przeżyją wstrząs.

– To daleko stąd... – zaczęła mówić Rachel.

– Nie tak daleko, dotarłabym tam w jeden dzień. – I pewnie już ich tam nie ma...

– Czyż nie jestem Bast? Największa tropicielka w całym Norau, może nawet wśród wszystkich elfów?

– Nie wiem, a jesteś? – Rachel delikatnie zachichotała. – Bast, rzecz w tym, że my również *wiemy*, kim byli. To Dionys McCanoc i jego wesoła gromadka.

– Ach! Ten! Jego zabiję dla czystej przyjemności!

– Ale chodzi o to, że powrót na miejsce, gdzie do tego doszło raczej nie pomoże.

– Tak, masz rację. – Bast zmarszczyła brwi. – Nie zostałyby tam. Więc muszę go znaleźć dalej.

– Co? Czemu? – zapytała Rachel.

– Skrzywdził twoją matkę – oświadczyła Bast, jakby to wszystko wyjaśniało. – Jesteś moją przyjaciółką. I skrzywdził kochankę mojego najlepszego ludzkiego przyjaciela, Edmunda Talbota. Za to powinnam umieścić jego jaja na mojej wystawie trofeów! – przerwała i zmarszczyła czoło. – Jeśli kiedyś uda mi się wrócić do mojego mieszkania w Elfheim.

– Mieszkania?

– Dostatecznie odpowiada ludzkim terminom – wyjaśniła Bast. – Prawdę mówiąc, bardziej przypomina to komórkę, ale z bardzo dobrym widokiem na sąsiednie drzewo, a jeśli się dobrze wychylić – dodała, demonstrując gestem – widać strumień. Mały. Właściwie to strumyczek. W każdym razie sezonowy. Elfheim jest... dość przepelniony. Jesteśmy nieśmiertelni. Nawet nie mając dzieci zbyt często, prawdę mówiąc prawie wcale, zrobiło się tam... gęsto.

– Dziwię się, że więcej z was nie żyje w świecie – zauważyła Rachel z szeroko otwartymi oczami. Jej obraz elfów nigdy nie mieścił w sobie życia w tłoku.

– Ja też – przyznała Bast. – Ale w Elfheim większość z nich żyje we Śnie Lasów, a nie w prawdziwych lasach. Na pewien sposób Sen jest lepszy, bardziej intensywniejszy od rzeczywistości.

Aleja lubię dotykać lasu, widzieć jak rosną drzewa, przyglądać się otwierającym się płatkom w *rzeczywistości*, nawet jeśli jest mniej... piękna niż Sen.

– I tak zostałam złapana na zewnątrz – stwierdziła Rachel.

– Tak, odcięta od Snu – westchnęła Bast. – Któregoś dnia Pani ustąpi i wygnańcy powrócą. Do czasu, aż ogarnie mnie Sen, muszę znów chodzić w świetle ludzi. Przyglądać się pączkom otwierającym się na drzewie jabłoni i pstrągom skaczącym w strumieniach. Widzieć każdy dzień na nowo, nie tak idealny jak Sen, lecz och, o tyle bardziej *rzeczywisty*.

– Jakby ostatnie kilka dni nie było dostatecznie paskudne – z drzwi do kuchni odezwała się Daneh.
– Witaj, Bast.

– Daneh! Kochana, jak się masz? – zapytała elfka.

– Lepiej niż ostatnio. Czy dobrze mi się wydaje, że rozmawialiście o Elfheim?

– Trochę. Podoba mi się twoja córka. Sporo urosła. Wy ludzie rośniecie tak szybko!

– I równie szybko umieramy – westchnęła Daneh, podchodząc do stołu i siadając. – Co słysząc u ciebie?

– Och, wiele – odpowiedziała Bast. – Zawsze do tej pory wędrowałam po Norau, i to przeważnie wschodnim. Lasy są teraz tak piękne, bezustannie przyglądałam się, jak rosną. Tym razem podróżowałam dalej, wybrałam się w podróż do dżungli południa. Są znacznie bogatsze, zwłaszcza rejony, które ominęło Wielkie Zabijanie, ale... tęskniłam do moich lasów. I na południu było za wiele rzeczy, od których cierpła mi skóra. – Przerwała i popatrzyła za Daneh. – Stój spokojnie! Ktoś się za tobą skrada.

– To tylko Lazur – uspokoiła ją Rachel. Podeszła do spiżarki i wyjęła z niej trochę zimnego mięsa, które jadła wczoraj na kolację. – Masz, Lazur.

Kot przyjął oferowane jedzenie, powąchał, a potem przydusił jednym pazurem, rozrywając mięso. Choć nie wyglądał na szczególnie głodnego, bo po zjedzeniu kęsa czy dwóch zaczął bawić się posiłkiem.

– Jeśli kiedyś jakąś widziałam, to właśnie biała pantera – z rezerwą powiedziała Bast. – Jasne, *wydają się* przyjazne. Ale kiedyś jedna zaatakowała mnie w górach. Cóż to była za walka!

– Kiedy to było? – zapytała Daneh, nakładając sobie porcję kaszy.

– Kiedy żyłam z yeti, które według tej dziewczyny stanowią tylko mit – wyjaśniła Bast. – Żyją wysoko w górach, daleko stąd. Usłyszałam o nich i chciałam poznać prawdę, więc zostałam z nimi i wzięłam sobie z nich męża. Urodziłam jego dziecko, a kiedy ono dorosło, a mężczyzna był już dawno martwy, odeszłam, żeby nie widzieć, jak ono również starzeje się i umiera. – Przez krótką chwilę wyglądała na smutną, ale zaraz się rozpromieniła. – Hej, teraz powinno być już trochę długowiecznych yeti, prawda?

– Żyłaś z... – powiedziała Daneh. – Miałaś... nie wierzę w to!

– Powiedz mi, że kłamię – zachichotała Bast. – Idź i sama sprawdź.

– Jak ty, to znaczy...

– Na leżąco wszyscy są tego samego wzrostu! – mruknęła Bast.

– Nie jest to coś, o czym chciałabym w tej chwili myśleć – odrzekła Daneh.

– Tak mi powiedziano – odpowiedziała Bast, znów wyglądając smutno. - Czy ludzie żyją wystarczająco długo, żeby zapomnieć?

– Zapomnieć, nigdy. Naprawić się? Odbudować? Nie wiem. Zapytaj mnie kiedy indziej.

– Nic się nie poprawi, jeśli będziesz to rozgrzebywać – odrzekła Bast. - Jesteś zbyt dobra, żeby zawsze czuć ból. Kiedyś jeszcze wsiądziesz na konia. No, może nie koniecznie konia...

– Bast! – krzyknęła Rachel.

– Nie da się jej powstrzymać. – Daneh potrząsnęła głową. – Ona jest taka, od kiedy ją znam i jeszcze dłużej.

– Życie jest zbyt krótkie na płacz – oświadczyła Bast. – Nawet dla elfa. Koń, będzie wierzgał i z początku nie spodoba ci się jazda, ale przebrniesz przez to. Jesteś silna. Hej, Rachel, chodźmy zobaczyć, gdzie możemy napsocić!

– Bast... – odezwała się Daneh.

– Zawsze taka poważna – odpowiedziała elfka bez śladu rozbawienia, wyciągając dłoń, by pogłodzić ją po policzku. – Nie narażę twojego dziecka na kłopoty, Daneh Ghorbani-Talbot. Na mój honor leśnego elfa. W tej chwili masz dość problemów.

– To tylko Ghorbani, Bast.

– Więc jeśli nie na konia chcesz wrócić...

– Dość!

– Racja, już nas tu nie ma – zawołała, znów chwytając Rachel za ramię. Rachel stwierdziła, że jest ciągnięta do drzwi.

– Na razie, mamó. Później porozmawiamy!

– Spróbuj utrzymać ją z dala od kłopotów – poprosiła Daneh. – Ja?

– Ty masz trochę rozsądku.

Lazur przyglądał się, jak wychodzą, potem obejrzał się na Daneh.

– Nie wiem – zaburczała kobieta. – Myślisz, że *to ja* powinnam mieć na nią oko i kot wyglądał, jakby wzruszył ramionami, po czym spojrzał na nią jeszcze raz, odwrócił się w przeciwną stronę i nosem otworzył sobie drzwi.

– Ty też nie wracaj za późno! – krzyknęła za nim.

Sheida usiadła na łóżku i przeciągnęła się, pocierając skronie w próbie uciszenia milionów głosów, które zdawały się pokrzykiwać wewnątrz jej głowy. Kierowanie awatarami okazało się

trudniejsze, niż kiedykolwiek to sobie wyobrażała. Każdy z nich stanowił prawie idealną kopię jej samej, równie świadomą, tak samo „żywą” i podobnie zdolną do podejmowania decyzji. Jednak to ona stanowiła ostateczny magazyn – każdego dnia, czasem co godzina, przysyłały jej zapisy swoich działań – i to ona musiała wydawać ostateczny osąd. Z zapisami w nieunikniony sposób wiązała się część osobowości, a ponieważ awatary były nią, dochodził do tego element emocjonalny. Stanowiło to najlepszy sposób na radzenie sobie z olbrzymią liczbą interakcji wymaganych do utrzymywania jakiegoś porządku w chaosie, jaki zapanował po Upadku, ale zaczynało ją to doprowadzać do stanu lekkiego szaleństwa.

Przepęła przez łóżko i wsunęła stopy w kapcie, przechodząc przez pusty pokój do stojącego pod ścianą stołu.

– Herbata, malinowa – powiedziała, siadając na krześle dryfowym i podejmując filiżankę z herbatą, która pojawiła się w powietrzu. Napiła się gorzko-słodkiego wywaru i rozważyła sytuację przedstawioną jej przez awatary. Jak dotąd liczba ofiar śmiertelnych w Norau była stosunkowo nie wielka, jak na zaistniałe okoliczności. Ludzie reagowali na sytuację kryzysową znacznie lepiej, niż uważała to za możliwe. Społeczności otwierały swoje ograniczone zasoby i próbowały podnieść ludzi z powrotem na nogi. Na obszarze centralnych równin było łatwiej niż gdzie indziej, jako że przynajmniej na razie jedzenia nie brakowało. Byłoby cudownie, gdyby znalazł się jakiś sposób na jego transport, ale jak dotąd nie udało się przeprowadzić żadnego z planów.

Potrząsnęła głową i uświadomiła sobie, że musi zacząć myśleć w perspektywie długoterminowej, a nie chwili obecnej. *W tej chwili*, sytuacja się stabilizowała. Ale Paul kontynuował ataki na wszystkie elektrownie znajdujące się pod kontrolą Koalicji i zdołał nawet wyłączyć dwie z nich. Co więcej, zaczynał lądowe ataki przeciw osadom, które opowiedziały się po stronie Koalicji. Musiał istnieć *jakiś* sposób na kontratak, ale jak dotąd zawiodło wszystko, czego próbowali.

– Sheida. – W pokoju pojawił się awatar Ungphakorna, spojrzała na niego, marszcząc brwi. Trudno było odczytać emocje quetzacoatla, ale nie wyglądał na szczęśliwego.

– Tak.

– Paul zniszczył elektrownię Amricar – wysyczał wąż głosem pozbawionym emocji.

– Jak? – westchnęła.

– Potężne uderzenie energetyczne przebiło otwór w polu siłowym, przesłał przez niego oddział samobójczy. Pokonali strażników, a potem ustawili elektrownię na samozniszczenie.

– Skąd u *diabła* oni biorą całą tę energię? – warknęła Sheida. – Wszystko, co jesteśmy w stanie robić, to powstrzymać ich przed przebicciem się przez nasze osłony, a oni mają dość na coś *takiego!*

– Nie wiem. Dałem pełen raport Harry'emu, może on będzie w stanie rzucić jakieś światło na ten temat. Tymczasem muszę się zająć innymi sprawami. Trzymaj się.

– Ty też. – Znów westchnęła, ciągnąc się za włosy. Zadzwieczał dzwonek przy drzwiach, więc potrząsnęła głową. – Wejść.

Wszedł Harry Chambers, z ponurą miną niosąc jakieś sprawozdanie.

– Wiesz o Amricar? – zapytał, przyciągając kolejne krzesło dryfowe. Od czasu przeteleportowania do Domu Orłów zajął pozycję stanowiącą odpowiednik sekretarza, zajmując się głównie drobniejszymi sprawami wymagającymi ludzkiego nadzoru, ale takimi, które nie warte były wysyłania awatarów. Próbował również zdobyć jak najwięcej informacji wywiadowczych o stronie Paula, łącznie z ich krótkoterminowymi planami.

Jego noga została naprawiona, ale wciąż lekko utykał. Czasami zastanawiała się, czy wynikało to z braku terapii, czy było to psychosomatyczne. Wydawało się, że w tym upadłym świecie nie ma nikogo bez blizn.

– Powiedział mi, ale w to nie wierzę – parsknęła. – Ile energii użyli?

– Prawie czterdzieści terawatów, skupionych na powierzchni niecałego metra.

– Czterdzieści? – wykrztusiła. – Nawet *Matka* miałyby problemy z zebraniem tyłu.

– I tylko ona mogła jej dostarczyć – odpowiedział ponuro. – To nie wszystko. Był jeszcze jeden atak, na Sowese, i tam użyli kolejnych trzydziestu. Cała produkcja ich energii, do ostatniego wata, skierowana jest na nasze tarcze, nie możemy nawet wejść czy wyjść bez teleportacji, co wymaga energii. A jednak mają więcej, znacznie więcej, na atakowanie nas.

– Elfy? – zapytała cicho.

– Nie wiem... Czy elfy mają własne źródła energii?

– Tak. I to potężne. Ale... Pani *powiedziała*, że to przeczekają.

– Może powinnaś się z nią skontaktować i dostać jakieś potwierdzenie – cierpko zasugerował Harry.

– Pani nie jest kimś, do kogo można po prostu wysłać awatara – zaprotestowała Sheida. – Pomijając wszystko inne, po zamknięciu Elfheim nie znam żadnego sposobu na dotarcie do niej. To ona musiałaby skontaktować się z nami.

– Któryś z elfów pozostałych na zewnątrz?

– Nie sądzę, żeby i one mogły się dostać do środka. Jeden kręci się koło Edmunda, wyślę mu wiadomość. Ale *musimy* znaleźć nowe źródła energii!

– Zbadaliśmy Kamienne Ziemie i wszystkie pozostałe aktywne wulkanicznie rejony w Norau i podmorskie – kontynuował swoje sprawozdanie Harry. - Nie da się stamtąd wyciągnąć nic więcej. Moglibyśmy spróbować odwiertów rdzeniowych, ale one nigdy nie były zbyt stabilne.

– Jądrowe, wodne... kiedyś istniały inne rodzaje generatorów energii – wymamrotała.

– Pewnie tak – zmarszczył czoło – ale powodowały spore zanieczyszczenie. I ile można by z nich uzyskać? W porównaniu z elektrowniami fuzyjnymi i tektoniką?

– *Trochę* byśmy dostali. Po stracie Amricar rzeczywiście płyniemy pod prąd bez wiosła. Myślę, że skontaktuję się z Aikawą. Dostrzega możliwości tam, gdzie umykają one większości.

– Oprócz ataków energetycznych Paul dokonuje również napaści siłami naziemnymi –

poinformował ją Harry, przywołując hologram. – Skonsolidował całą Ropazję i Frykę. Chansa przejął kontrolę nad większością Fryki, a Celine kontroluje Efezję. Minjie i Aikawa walczą o kontrolę nad Visznią oraz innymi obszarami w tamtym rejonie.

– Oceany stanowią totalny miszmasz. Większość ludzi morza i delfinów przyjęła pozycję neutralną, ale Paul ma po swojej stronie znaczącą liczbę kupułów i ixchitli. Jeszcze nie atakują. Ale myślę, że się do tego szykują. Istnieją też znaczące społeczności Nowego Przeznaczenia zarówno w Soam, jak i Norau, przy praktycznie nieistniejących odpowiednich obszarach Koalicji w Ropazji i Fryce. Albo rejonach, które ogłosiły się neutralnymi, przynajmniej w Norau. – To ostatnie powiedział, marszcząc brwi.

– Nie zamierzam ich zmuszać – oświadczyła Sheida. – Musimy się skontaktować ze wszystkimi miastami, które zdołały stanąć na nogi. Chyba nadszedł już czas na zjazd konstytucyjny.

– Naprawdę zamierzasz to zrobić? – zapytał, unosząc wysoko brwi. – Sheida, toczy się *wojna*. To nie jest coś, czym powinien kierować komitet.

– Nie zamierzam jej również prowadzić, walcząc niewolnikami – odpowiedziała. – Albo poddanymi, czy kimkolwiek tego rodzaju. Ludzie będą walczyli ostrzej za swoją wolność, niż mając na sobie łańcuchy.

– Ale niekoniecznie równie *dobrze* – zaprotestował Chambers. – Dobrze, jeśli tak chcesz to załatwić, niech będzie. Ale w tej chwili mamy w swoim łonie wrogów. A Kent zdeklarował się jako neutralny. Jeśli mamy poważnie walczyć na ziemi, będziemy potrzebować tych jeźdźców.

– W swoim czasie – zgodziła się Sheida. – Masz może jakąś dobrą wiadomość?

– Wydaje się, że Ungphakorn powstrzymuje siły Przeznaczenia, które zaatakowały go z Etoru. Zebrał dość przypadkową armię z uciekinierów i trzymają główne przejście z Etoru do Bovil, gdzie skupiona jest większość z jego społeczności. Poza tym, obawiam się, że nie.

– No cóż, będziemy po prostu musieli mieć nadzieję, że się utrzyma.

– Ja... mam pytanie – powiedział Harry, patrząc na hologram świata, wciąż oznaczony czerwienią i zielenią.

– Strzelaj.

– Tanisha oddała swój Klucz.

– Tak, oddała – spokojnie odparła Sheida. – Stwierdziła, że zapada się w Sen.

– Czy został przyznany komuś innemu?

– Tak

– Komu?

– Elnorze Sili. Jest protegowaną Aikawy.

– Dobrze. – Harry zacisnął szczęki. Umilkł na chwilę, po czym potrząsnął głową. – Czy w ogóle *brałaś pod uwagę* poproszenie mnie?

– Nie – odpowiedziała Sheida bezbarwnym tonem.

– Co? Czemu? – Harry zapytał zaskoczony.

– Aikawa poprosił, żeby trafił do Elnory – wyjaśniła Sheida. – A znam Elnę już od jakiegoś czasu. Ma dobre podstawy w zarządzaniu Siecią i intensywnie ćwiczyła tworzenie awatarów. To właśnie zniszczyło Taniszę, niezdolność do podzielenia się i uniknięcia Snu. Nie masz żadnego doświadczenia w dzieleniu się ani opieraniu się przed Snem.

– I nie nabiorę go, jeśli nie dostanę Klucza – zaprotestował Harry.

– *Mógłbyś* – zaprzeczyła Sheida. – To nie wymaga więcej władzy niż to, co już robisz. I jest to dobry sposób na załatwienie wielu spraw. Bardzo efektywne zarządzanie czasem. Ale również niebezpieczne. Łatwo jest poddać się podziałowi osobowości albo utracić kontrolę nad awatarem, który staje się w zbyt wielkim stopniu „sobą”. Jeśli chcesz się dzielić, zatwierdź to.

– A żeby dostać Klucz, muszę nauczyć się dzielić? – zapytał.

– Nie istnieje pewna droga na stanie się członkiem Rady – oświadczyła Sheida. – Ale nauka skutecznego dzielenia osobowości stanowi dobry pierwszy krok.

– Tak jest, proszę pani.

– Nie złość się – powiedziała zmęczonym głosem. – Spytałeś. Odpowie działam.

– Rozumiem. – Harry wstał. – Czy jest coś jeszcze?

– Nie. Zamierzam zjeść lekki posiłek i przespać się trochę. Wszystkie moje awatary zostały odesłane i raz mogę się obudzić, wiedząc, że to *ja*.

– Ja... dobrze – uciał, marszcząc się. – W takim razie, dobrej nocy.

– Dobranoc, Harry – powiedziała do jego pleców.

I prędej piekło zamarznie, niż pozwolę ci dostać Klucz.

Pierwszą rzeczą, jaką powinien wiedzieć członek Rady, jest fakt, że stanowiło to przekleństwo, nie nagrodę. *A pragnienie* tego stanowiło dobrą podstawę, by nigdy nim nie zostać.

– Choć Brutus jest człowiekiem honoru – wymamrotała. – Dzinnie, lekki posiłek...

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Rachel jeszcze bardziej zdumiała się, widząc osiedle o poranku. Oprócz sporego obszaru zajętego przez tymczasowe budynki mieszkalne, widać było także miejsca, gdzie wznoszono bardziej stałe struktury i zewsząd dobiegały odgłosy piłowania i stukania młotkiem. Ulice wypełniały tłumy, a powietrze przenikał... zapach ludzi, którego w takim zmasowaniu nigdy jeszcze nie miała okazji doświadczyć. Ogólnie rzecz biorąc, nie był nieprzyjemny, ale bardzo intensywny.

– Ludzie zawsze są tacy – westchnęła Bast. – Jak bobry, nawet z tamami - dodała, wskazując ku wzgórzom, gdzie, owszem, stawiano właśnie kolejną zaporę. – Jednak w przeciwieństwie do bobrów ludzie najpierw budują schronienia, a dopiero *potem* zapory.

Bast była teraz uzbrojona, zabierając przed wyjściem swój łuk i szablę. Nosiła broń tak, jakby stanowiła tylko kolejny element ubrania, do tego stopnia, że prawie się ich nie zauważało. Prawdę mówiąc, przeważnie nikt ich nie widział, bo wszyscy przyglądali się noszącej je elfce.

– W Elfheim jest inaczej? – zapytała Rachel, starając się nie zauważać spojrzeń mężczyzn. Bast szła w sposób, który na wiele sposobów stanowił wyzwanie i dziewczyna czuła się przy niej jak szara myszka. Sama Bast zdawała się tego kompletnie nie spostrzegać.

– Nie, nasze domy mieszczą się w lesie – odpowiedziała zapytana. – I nie zmieniamy okolicy wokół nas bardziej, niż jest to konieczne. Przypuszczam, że dla ludzi to jest konieczne. – Znów westchnęła. – Tak wielu ludzi. Od lat nie odwiedzałam ludzkich miast. Tutaj jest ich więcej, niż widziałam w jednym miejscu od *bardzo* dawna.

– Więcej, niż i ja widziałam od dłuższego czasu – przyznała Rachel.

– Choć niektórzy z nich wcale nie wyglądają źle – zauważyła Bast. – Spójrz na tych dwóch, tam. Po jednym dla każdej z nas!

Rachel spojrzała na wskazanych i roześmiała się.

– Nie wiem, kim jest ten po lewej, ale po prawej stoi Herzer Herrick.

– Znajomy? – Elfka ruszyła w stronę młodych mężczyzn. – Przedstawisz mnie? – Bast!

– Och, przepraszam, jest twój? Nigdy się nie zatrzymuję, żeby przemyśleć takie rzeczy.

– Nie, nie jest „mój” – odpowiedziała Rachel. – To po prostu...

– Dobrze, w takim razie możesz mnie przedstawić, a potem wziąć tego drugiego!

– A co, jeśli go nie chcę?

– Lubisz dziewczyny? – zapytała Bast. – Hmm... już dawno tego nie próbowałam. Może trójkącik?

– Bast!

– Och, przepraszam, czas na dziewicę, co? – Elfka mrugnęła. – Tę sztuczkę też znam. Działa za

każdym razem!

– *Bast!* – wysyczała, bo podeszły już prawie do młodzieńców. – Bądź grzeczna!

– Jestem nie tylko grzeczna, jestem najmiłsza na świecie.

– Cześć, Rachel – przywitał się Herzer. Był brudny i wyglądał, jakby nie miał dziś rano czasu się umyć. Zresztą chyba też nie spał zbyt dobrze.

– Cześć Herzer, to jest Bast. – Rachel przedstawiła swą towarzyszkę. Bast tymczasem zaczęła okrążać mężczyznę i oglądać go, jakby był koniem wyścigowym. – Hmmm...

– Cześć, Bast? – powiedział Herzer. – Rachel, to Mike. Spotkałem go i Courtney poprzedniego wieczora.

– Szybki jesteś – zauważyła Bast. – Myślę, że wolałabym cię odrobinę czystsze, ale jeśli jesteś taki szybki...

– Courtney jest Mike'a...

– Dziewczyną – szybko uzupełnił Mike, patrząc na Rachel. – A ty jesteś...

– Przepraszam, Mike. To Rachel Ghorbani.

– Och, słyszałem o tobie. – Wyciągnął dłoń. – Jesteś córką Edmunda Talbota.

– Zawsze – kwaśno odparła Rachel. – Jak ci minęła noc, Herzer?

– Cóż, ziemia jest zdumiewająco miękkim miejscem na sen, jeśli jest się dostatecznie mocno zmęczonym – odpowiedział promiennie. – A na śniadanie był klełk kukurydziany. Tylko tyle. Ale sytuacja nie wygląda źle, zamierzamy dołączyć do programu nauki zawodów. A co ty będziesz robić?

– Mam dziwne uczucie, że jestem przygotowywana do zawodu lekarza - wyznała Rachel.

– Co ma sens, biorąc pod uwagę, kim są twoi rodzice – przyznał Herzer. - A ty, Bast?

– Ja się tu tylko kręcę – odparła, przyglądając mu się od góry do dołu. - Wiem, gdzie jest strumień w sam raz nadający się do kąpieli. Chcesz do mnie dołączyć?

– BAST!

Herzer przez chwilę wyglądał na zszokowanego, potem próbował się nie uśmiechać i równocześnie nie patrzeć na Rachel.

– Uhhh... może później?

– Jasne, teraz mam trochę spraw do załatwienia z Rachel – przyznała Bast. – Trochę później po południu?

– Och, jasne – potwierdził Herzer, wyraźnie niepewny, czy nie jest podpuszczany.

– Po obiedzie, spotkamy się przy gospodzie w mieście – zaproponowała Bast. – Przyniosę mydło.

– Dobrze – zgodził się Herzer radośnie.

– W takim razie do zobaczenia. – Bast machnęła ręką i odwróciła się. Chwyciła Rachel za ramię i zachichotała na do widzenia.

– I gdzie *teraz* pójdziemy? – cierpko zapytała Rachel. – Skoro już mnie śmiertelnie spieszyłaś?

– Ten drugi wyglądał, jakby nie miał nic przeciwko dzieleniu strumienia - filozoficznie zauważyła Bast. – I chcę zobaczyć, kto tu przychodzi. Więcej ludzi kierowało się w tę stronę, a ludzie stanowią tak zabawny obiekt obserwacji.

Rachel westchnęła, ciągnięta prawie jak barka za holownikiem – czego bardzo żywy obraz przemknął jej przez głowę – na skraj obozowiska od strony Via Apallia.

Na drodze faktycznie znajdowało się sporo ludzi. Nie tysiące, ale równomierny strumień wszelkich odmian ludzkości. Niektórzy z nich szli dalej drogą albo do innych osiedli, stanowiących ich planowany cel, albo po prostu w dzicz, kierując się własnymi powodami. Większość jednak zmierzała do wioski i Rachel miała nadzieję, że to szczyt napływu. Jeśli nie, Raven's Mill szybko przestanie nadawać się do zamieszkania.

– Tak wielu ludzi. Niektórzy tu zostają, niektórzy nie – westchnęła w końcu Bast.

– Tom powiedział mi wczoraj, że na drodze są posterunki straży. Ostrzegają ludzi o zasadach panujących w Raven's Mill.

– Jakie zasady, nikt nie powiedział mi o żadnych zasadach – z niezadowoleniem oświadczyła Bast. – Nienawidzę zasad.

– Zauważyłam – odcięła się Rachel. – Reguły są dość proste. Przez trzy dni można dostać schronienie i żywność. Potem trzeba sobie znaleźć pracę. Startuje właśnie program nauki zawodów i niektórzy do niego dołączają. Jeśli chcą zostać tu na stałe, muszą zobowiązać się, że będą przestrzegać praw Raven's Mill. Trzeba zobowiązać się go bronić, płacić podatki, takie rzeczy. Ale dostaje się również głos w ważniejszych kwestiach. Przez trzy dni można zostać, nie przestrzegając praw, ale po tym czasie trzeba się im podporządkować.

– Hmm... podatki. Nienawidzę podatków.

– Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek próbował opodatkować *ciebie*, Bast. Bast doskonale się bawiła, wyłapując co bardziej zabawnych ludzi i grupy, opisując ich szybkimi, dowcipnymi komentarzami. Nagle umilkła i zagapiła się na nowo przybyłego. Mężczyzna był dość stary jak na człowieka, z siwiejącymi, mi, krótko ściętymi po bokach czaszki włosami. Ubrany był w równie starą, zużytą zbroję ze skóry, a o biodro objął mu się krótki miecz. Na plecach niósł olbrzymi plecak, a na jego szczycie zamocował w poprzek dwie tyczki, z których zwisało jeszcze więcej toreb. Na prawym ramieniu zawiesił sobie dużą drewnianą tarczę z krawędzią okutą metalem, której umbo uformowano w postać orła z rozpostartymi skrzydłami.

Maszerował drogą prosty jak kij i bardzo równym krokiem. Kiedy dotarł do skrętu na Raven's Mill wykonał precyzyjny obrót o dziewięćdziesiąt stopni i pomaszerował w stronę namiotu recepcyjnego.

– Kim jest ten człowiek? Wygląda, jakby był kiepsko zrobioną chodzącą zabawką albo jakby ktoś wsadził mu stalowy pręt w kręgosłup. I to bolało.

– Och, to rekreacjonista – ze śmiechem wyjaśniła Rachel. – Dziwię się, że nigdy go nie spotkałaś,

od zawsze przyjaźnią się z moim tatą. Nazywa się Miles Rutherford, ale wszyscy wołają na niego Serż.

– Nie przyszedł tu jako zwykły Pikt, wiking czy rycerz w lśniącej zbroi.

– Och nie, on odtwarza epokę wczesnoprzemysłową.

– Wczesnoprzemysłową?

– Tak. W czasach preinformacyjnych w Ropazji prowadzono duże wojny. Odtwarza postać jakiegoś podoficera piechoty, która walczyła w tych kampaniach.

– Och? Dobra, ale skoro ma na imię Miles, to czemu wszyscy mówią na niego Serż?

* * *

– Dzień dobry, nazywam się June Lasker – powiedziała June, nie odrywając wzroku od karty ostatnio przybyłego. Wiedziała, że to nieuprzejme, ale chyba nie miała *czasu*, żeby zachowywać się inaczej. Słyszała, że podchodzi i staje przed nią następna osoba, ale jeszcze nie widziała kto. – Zadam kilka pytań, przedstawiając krótkie wprowadzenie do procesu osiedleńczego Raven's Mill, a potem odpowiem na pańskie pytania najlepiej, jak będę umiała. Nazwisko? - zapytała, podnosząc wzrok.

Stojący przed nią mężczyzna musiał mieć ze dwieście pięćdziesiąt lat. Stał z nogami rozstawionymi na szerokość ramion, opierając o lewą nogę tarczę, a o prawą mocno wypchany plecak. Podtrzymywał tarczę lewą ręką przełożoną przez prawą. Plecy miał proste jak kij i wbijał wzrok w przestrzeń kilka centymetrów nad jej głową.

– Nazywam się Miles Artur Rutherford, proszę pani! – wyszczeakał.

June przyjrzała mu się uważnie, żeby upewnić się, że nie robi sobie z niej żartów, ale najwyraźniej po prostu odpowiedział tylko na jej pytanie. Jego twarz ani na chwilę nie zmieniła wyrazu. Zapisała nazwisko w swoich papierach i kontynuowała.

– Czy to pańskie właściwe nazwisko, czy nazwisko postaci?

– Takie nazwisko nadano mi przy urodzeniu, proszę pani!

– Czy spotkał pan posterunek na granicy?

– Tak jest, proszę pani!

Potrząsnęła głową i zdecydowała, że wyszczekiwanie oznajmiających zdań było po prostu jego sposobem mówienia.

– Czy strażnicy przekazali panu minimalne ograniczenia Raven's Mill? To znaczy, że oferujemy trzydniowe wyżywienie i zamieszkanie? I że po tym czasie może pan albo dołączyć do programu szkoleniowego, albo podjąć pracę na własną rękę? Że po tych trzech dniach, jeśli nie liczyć programu nauki, jest pan zdany na siebie i będzie musiał pan sam dbać o schronienie i karmić się, poddając się równocześnie przepisom i zasadom Raven's Mill? Że musi się pan zobowiązać przestrzegać praw Raven's Mill, jeśli chce pan dalej mieszkać tu po tym czasie. Że musi pan przynajmniej brać udział w podstawowej obronie, płacić podatki ustalone przez wybrany lokalnie

zrząd i postępować zgodnie z ustanowionymi przez niego prawami.

– Tak, proszę pani, to właśnie mi powiedziano!

– Czy zgadza się pan na te ograniczenia?

– Tak jest, proszę pani, zgadzam się!

– Czy mógłby pan spojrzeć mi w oczy? – zapytała w końcu, pozwalając swojemu głosowi zdradzić cię irytacji.

– Przepraszam panią – odpowiedział, rezygnując na tyle ze swojej sztywności, by spojrzeć w dół.

June przez chwilę poczuła się, jakby patrzyła w otchłań. Nie tyle patrzył na nią, co przez nią, i poczuła, jak przez jej ciało przebiegają dreszcze, wywołując mimowolnie drgnięcie.

– Och... – Szybko opuściła wzrok, sprawdzając swoje notatki, potem rozejrzała się wokół podenerwowana. – Och...

– Ostatnie zadane przez panią pytanie dotyczyło tego, czy zgadzam się na ograniczenia, proszę pani! – Serż wyszczał pomocnie.

– Och, och... – Spojrzała na swoją listę pytań i po chwili znalazła odpowiednie miejsce. – Czy jest pan rekrejonista?

– Tak jest, proszę pani.

Odczekała chwilę, aż stało się jasne, że było to wszystko, co usłyszy.

– Jakiego rodzaju?

– Specjalizuje się w rekreacji okresu średnio– do późnoprzemysłowego, proszę pani.

– Och – powiedziała znów. – To szkoda, te umiejętności nie pomogą w tej chwili za bardzo. Czy ma pan jakieś umiejętności, które związane są z techniką przedindustrialną i mogłyby być użyteczne dla Raven's Mill.

– Tak jest, proszę pani.

Kiedy nie powiedział nic więcej, mimowolnie podniosła wzrok, ale z powrotem patrzył nad jej głową.

– Czy mógłby... czy byłby pan uprzejmy powiedzieć mi jakie?

– Tak jest, proszę pani. Byłem rekrejonista specjalizującym się w starożytnych technikach walki, w szczególności uzbrojeniu rzymskim, szkoleniu i taktyce. Jestem odpowiednikiem czeladnika kowalskiego i zbrojmistrza. Potrafię wyprodukować własną zbroję i ubranie z podstawowych materiałów, ale zabiera mi to więcej czasu niż profesjonalnemu zbrojmistrzowi i szwaczce, a wynik jest bardziej prymitywny. Znam się na projektowaniu i konstrukcji podstawowych machin obłąniczych i z pomocą niewyszkolonej załogi oraz, dysponując materiałami, mogę zbudować balistę w nie więcej niż dwa dni. Potrafię utrzymać obóz polowy i wyszkolić innych w jego budowie. Jestem wyszkolony na przedindustrialnego rolnika. Mam za sobą szkolenie kuśnierza i

potrafię wyprawić skórę i ją obrabiać. Znam się na produkcji siodeł do poziomu czeladnika. Na wytwarzaniu łuków znam się na poziomie ucznia. Potrafię obsłużyć, sterować i refować żagle na statku. Potrafię zrobić piętę na drutach. – Ach, cóż, to powinno... pomóc – powiedziała słabo. – To wszystko?

– Byłem rekreacjonistą lub osobą żyjącą przedindustrialnym stylem życia, od kiedy się urodziłem, proszę pani.

– Doprawdy?

– Tak, proszę pani.

– Jak... ludzie nie są rekreacjonistami jako dzieci... panie Rutherford.

– Nie, proszę pani.

– Czyli żył pan w warunkach przedindustrialnych? Nie tylko przez kilka dni?

– Tak, proszę pani,

– Gdzie?

– Proszę pani, nie wolno mi ujawnić tej informacji.

– Co? Co to ma znaczyć?

– Proszę pani, nie wolno mi ujawnić tej informacji.

– Dooooobrze. – June zamrugała oczami, odnajdując kolejne pytanie i zapisując, ile zapamiętała z listy. – Czy zna pan kogoś, kto był mieszkańcem Raven's Mill przed Upadkiem?

– Tak jest, proszę pani.

– Zaczyna mnie męczyć wyciąganie tego z pana. *Kogo'!*

– Jestem długoletnim znajomym Edmunda Talbota.

– Och, doprawdy? – zapytała, po raz pierwszy zainteresowana. – Gdzie po znał pan Edmunda?

– Proszę pani, nie...

– Nie wolno panu udzielić tej informacji?

– Tak, proszę pani. Ale znam lorda Talbota przez większość mojego życia.

– Cóż, nigdy o panu nie słyszałam. I nie jest lordem Talbotem.

Przez chwilę wyglądało na to, że nowy rekrut nie ma na ten temat zbyt wiele do powiedzenia, ale odchrząknął.

– On nie mówi o mnie zbyt wiele, proszę pani.

– Trudno mi zrozumieć dlaczego. No dobrze, jeśli wyjdzie pan przez przejście po lewej, na końcu ulicy znajdzie pan namiot kwaterunkowy, powiedzą panu, gdzie może pan nocować. Będzie pan potrzebował do tego żetonu. – Podała mu go. – Dostanie pan trzy posiłki dziennie. Każdego dnia rano

może się pan zgłosić do namiotu kwaterunkowego po żetony żywnościowe. To wszystko, co pan dostanie, a jedzenie jest dość skromne. Brakuje nam jedzenia, pomieszczeń i wszystkiego innego. Proszę brać tylko to, co może pan zjeść i jeść wszystko, co pan wziął.

– Tak jest, proszę pani.

– Później zostanie pan poinformowany, gdzie się skierować na przeszkolenie. – Spojrzała na niego i potrząsnęła głową, uśmiechając się. – Witamy w Raven's Mill.

– Dziękuję pani – odpowiedział, chowając żeton kwaterunkowy i podnosząc swoje bagaże. – Jakoś już zaczynam się czuć jak w domu. Niech Bóg Byk po błogosławi panią i zachowa w opiece.

– I niech Wojownik zachowa pana, panie Rutherford – powiedziała, gdy wychodził z namiotu.

* * *

Nie skręcił w stronę koszar, jak je określił w myślach, ale w stronę domu na wzgórzu. Na drodze wiodącej w górę stała grupa strażników, jeśli można było wobec nich użyć tak poważnego terminu. Innym sposobem na opisanie stojących mężczyzn, zapewne o wiele trafniejszym, byłoby określenie ich jako bandy rekreacyjnych smarkaczy z podrdzewiałymi halabardami.

Jednak był uprzejmy i dowiedział się od nich, że Edmunda nie ma w domu i prawdopodobnie poszedł do miasta, do ratusza.

Ratusz stanowił kolejny z nowych budynków z kolejnym zestawem bezużytecznych strażników. Kiedy podszedł i poinformował, że chce rozmawiać z panem Talbotem obaj opierali się na swoich włóczniach.

– Jest zajęty – wyburczał strażnik po lewej. – Zbyt zajęty, żeby wciskał się do niego jakiś stary rekrejonista.

– Nie dziwi mnie, że jest zajęty – zimno odpowiedział Serż. – Jak brzmią wasze obowiązujące rozkazy na wypadek, gdyby ktoś oświadczył, że jest jego bliskim przyjacielem i ma do niego sprawę?

– Co? – zapytał strażnik po prawej.

– Dobrze – mruknął Rutherford z maksymalną cierpliwością, jaką mógł w sobie zebrać. – Jak brzmią *jakikolwiek* wasze rozkazy?

– Powiedziano nam po prostu, żeby nie wpuszczać tam nikogo, kto nie ma jakiejś sprawy – odpowiedział niepewnie ten inteligentniejszy, po lewej. – Nie wiem nic na temat obowiązujących rozkazów.

– Dobrze, wezwijcie sierżanta straży – zażądał Serż, tracąc cierpliwość. – A kto to?

– KTO TO? – wrzasnął. – STÓJ NA BACZNOŚĆ, KIEDY SIĘ DO MNIE ZWRACASZ, TY PRYSZCZU NA TYŁKU PRAWDZIWEGO STRAŻNIKA! BO WEZMĘ TEN KIJ NA ŚWINIE I WSADZĘ CI GO DO TYŁKA W POPRZEK! SPÓJRZ NA TO! – krzyczał dalej, wyrывая włócznię z rąk zaskoczonego strażnika i poddając ją pobieżnej inspekcji. – CZY JA WIDZĘ NA TYM DRZEWCU PRÓCHNO? TEN ŚMIEĆ JEST NAWET GORSZY NIŻ TY. – Złamał na kolanie włócznię, która faktycznie była w kiepskim stanie i połówkę rzucił na ziemię, drugiej części

używając jako wskaźnika do podkreślenia swoich słów. – WY DWAJ BEZ WĄTPIENIA STANOWICIE NAJGORSZY PRZYKŁAD STRAŻNIKÓW, JAKI KIEDYKOLWIEK MIAŁEM NIEPRZYJEMNOŚĆ WIDZIEĆ PRZEZ CAŁE SWOJE ŻYCIE, A W SWOIM CZASIE WIDZIAŁEM *MNÓSTWO* GÓWNIANYCH STRAŻNIKÓW!

* * *

Edmund podniósł głowę znad swoich papierów i z ulgą spojrzął na Myrona.

– Ach, o ile się nie myłę, to przybył Serż.

* * *

– Byłem zajęty innymi sprawami – powiedział Edmund, wzruszając ramionami. Strażnicy zostali odesłani, żeby wyczyścić broń i szczerze mówiąc, żeby mogli zebrać swoje zszarpane nerwy, a Talbot wprowadził Serża do biura, gdzie wyjaśniał mu niektóre realia. – Nie byłem w stanie wyszkolić oddziałów tak, jak należy. Nie tak, jak obaj wiemy, że powinno być. Znow siedzimy po uszy w łajnie, Miles.

– Ty jesteś królem – wyburczał Serż. — To nie twoja praca.

– Nie jestem królem — oświadczył Edmund. – I nie planuję nim zostać. Jeśli zostanę nominowany, nie będę się ubiegał, jeśli zostanę wybrany, odmówię przyjęcia. Monarchia to świetne miejsce na zabawę, ale nie chciałbyś budować na niej społeczeństwa. Zamierzam zrobić z tego miejsca konstytucyjną demokrację, choćbym miał zginąć.

– Podoficer kiwnął głową i podbródkiem wskazał na okno.

– Więc co chcesz, żebym robił?

– Wyszkolił ich.

– Kogo? Jak? Jaka technika?

– Myślałem o pikach.

– Legiony.

– Serż, już się o to spieraliśmy...

– Pikinierzy to nic więcej jak falanga bez zbroi. Legiony biją falangę. Zrobią to, jeśli będą miały jakąkolwiek kontrolę nad terenem. Na idealnie płaskim, równym gruncie falanga *może* pokonać legion. Ale w takiej sytuacji falangę można pokonać rydwanami. Legiony mogą sobie poradzić z oboma.

– Broń miotająca? – zapytał Edmund.

– Łuk. Albo kusza, sam wybierz. Lekkie włócznie dla legionistów, cóż innego. Znajdź kogoś innego do szkolenia cieniasów od łuków. I lepiej, żeby byli w stanie brać udział w manewrach, razem z nami oczywiście.

– Znajdę. I to będzie długi łuk. Są do niego dobrzy trenerzy, a jeśli nie ma ich w mieście, wykopię ich spod ziemi.

– Legioniści. Znów. Nie mogę się doczekać. – Jednak po chwili westchnął zmęczony.

– Co?

– Nie jestem pewien, czy to możliwe – przyznał podoficer. – Potrzeba... systemu wiary, którego nie mają ci faceci. Rzymianie, Marines Norau, Brytyjskie Czerwone Płaszcz, wszyscy pochodzili ze społeczeństw, które rozumiały koncepcję dyscypliny. Te młode dupki...

– Gaelowie tworzyli cholernie dobre Czerwone Płaszcz – zauważył Edmund. – To oni zbudowali Imperium Brytyjskie.

– Gaelowie byli bardziej zdyscyplinowani, niż wymagało ich szkolenie - zamarudził Serż. – I ufali Gaelom, którzy walczyli po ich stronie. Mogli pochodzić z innego klanu, ale wszyscy byli *Gaelami*. Nie da się *nauczyć* czegoś takiego. To się wchłania z mlekiem matki!

– Już o tym rozmawialiśmy – sucho dodał Edmund. – Rzecz w tym, że to *trzeba* zrobić.

– To wszystko musi być w sercu, szefie – po dłuższej pauzie powiedział Serż. – To wszystko w duszy. Musimy wymyślić coś, co da tym chłopcom instynktowne nastawienie, które pozwoli im wytrzymać, kiedy rozpęta się piekło. Do czasu Upadku nigdy nie musieli się przejmować niczym poza nanoprochami, kobietami i chodzeniem na imprezy. Będą potrzebować czegoś, co utrzyma ich w akcji, kiedy wokół nich wszyscy zaczną umierać. Żeby byli gotowi oddać życie, z radością, i tworząc najlepszą możliwą gwardię honorową, a nie, żeby odwrócili się i uciekli przed *czymkolwiek*. Owszem, to wiąże się z przywództwem, ale również z tradycją. Bycie wiernym swoim towarzyszom i wiernym swoim korzeniom. A my nie mamy tradycji. Przy odrobinie polerowania, zrobi się z nich na wierzchu przyzwoitych legionistów. Ale legiony walczyły za ludzi i senat Rzymu. I cokolwiek im pokażemy, musi mieć dokładnie ten sam przekaz jak powiedzenie, że walczą za Rzym. Potrzebują czegoś, czegoś... szczególnego. A to już nie jest moja działka.

– Myślę, że mam pewien pomysł – po chwili namysłu oświadczył Edmund. - Przynajmniej coś, co pomoże. Będziemy potrzebować dobrych oddziałów, Serż. Najlepszych. Lepszych niż kiedykolwiek. To będzie długa, ciężka wojna. Musimy zbudować Rzym w jeden dzień.

– Rzeczy trudne załatwiamy od ręki... – krzywiąc się, mruknął Serż.

– Niemożliwe wymagają odrobiny czasu. Daję ci sześć miesięcy.

– Tak jest. – Podoficer przesunął ramiona, jakby opadł na nie ciężar. – Po prostu to zrobimy, mój panie.

* * *

Sheida studiowała diagram przepływu energii, a świat zdawał się wirować wokół niej. W końcu wzięła sobie do serca radę Edmunda i zaczęła myśleć strategicznie, pozwalając swoim świadomym awatarom zająć się chwilowymi kryzysami rozwijającymi się wszędzie, i to prawie co chwila.

Jednak na tym polegał zasadniczy problem Koalicji Wolności: nie było dość energii. Każda ze stron, w związku z kontrolą nad elektrowniami, dysponowała mniej więcej taką samą ilością bazowej energii. Ale Sojusz Nowego Przeznaczenia skądś brał więcej.

Ponieważ niebyła w stanie określić źródła tego „skądś”, przekreślając tym samym możliwość

ataku na nie, Koalicja albo musiała znaleźć jakiś sposób na zdobycie większej ilości energii, albo ograniczyć zużycie mocy przez przeciwnika. Nie wyglądało na to, żeby istniała na to jakaś szansa bezpośrednio. Paul [dość wydajnie kierował przepływem energii ze swoich elektrowni, kierując ją głównie na zablokowanie zużycia przez Koalicję. Nadmiar zdawał się pochodzić znikąd i to właśnie tego używał do wszystkich swoich ataków i... zastosowań.

Pojawiły się nowe informacje, tym razem od uciekinierów, dotyczące zmian, jakich dokonywał Paul, i musiała przyznać, że jeśli na tym polegały jego plany wobec świata, to była to absolutnie sprawiedliwa wojna.

Zastanowiła się nad dokonywanymi „usprawnieniami” i nie po raz pierwszy – ale prawdopodobnie pierwszy raz w uporządkowany sposób—pomyślała o tym, *jak* ich dokonywano. Oczywiście odpowiedzią były „protokoły Przemiany”, ale to rodziło pytanie, *co* podlegało Przemianie.

Stanie się członkiem Rady oznaczało znacznie więcej niż tylko możliwość dzielenia swojej osobowości i przeżycie. Pierwszym wymaganiem było podstawowe *rozumienie* Sieci i skłęła się za zapomnienie tej prostej, cały czas posiadanej informacji. Studiowała politykę Rady oraz zarządzanie informacją i energią tak długo, że zapomniała, iż wszystko to opiera się na serii programów i protokołów. Przemiany dokonywała Sieć, pod wpływem prostego polecenia „zmień to”, uruchamiając różne zasoby i kierując Przemianą. Wywołała program teoretycznej Przemiany, podobnej do tego, co robiła Celine, a potem rozłożyła proces na szczegółową listę podprogramów i wymagań. Szczerze mówiąc, wcale nie wymagało to tyle energii, ile sądziła, zwłaszcza jeśli część pobrało się z ciała Przemienianego człowieka. Program składał się z mieszanki różnych procedur, między innymi programu medycznego mającego redukować epileptyczne skutki uboczne nieudanej Przemiany. Nic takiego nie zdarzyło się od tysiąca lat, ale program wciąż istniał, głęboko zakopany.

Przez ponad pół godziny studiowała szczegóły procesu, po czym uśmiechnęła się i wysłała mentalną wiadomość do sprzymierzonych członków Rady i wzywając na spotkanie awatary.

– *Myszę*, że mam sposób, na wsadzenie kija w szprychy Paulowi – oznajmiła z widocznym na twarzy zadowoleniem.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Celine spojrzała z rozdrażnieniem, gdy Chansa wszedł do laboratorium bez pozwolenia.

– Prowadzę bardzo delikatne doświadczenie – powiedziała z irytacją, dłoń mi nadal kształtując formę przed sobą– Czy to nie mogło poczekać?

Chansa zerknął na humanoidalną postać na hologramie i skrzywił się, składała się prawie wyłącznie z futra i pazurów, z dziwnymi, luźnymi płatami skóry w różnych miejscach.

– Nie, nie mogło, jeśli faktycznie chcesz *stworzyć* takiego potworka. Wszystkie posterunki Przemiany zgłaszają, że Przemiany zawiodły.

– Co? – prawie krzyknęła, niedbałym gestem zatrzymując program projektowy. Obraz zamigotał i zgasł. – Coś takiego nie powinno się zdarzyć – wymamrotała, machając ręką w stronę miejsca, gdzie przed chwilą stał hologram. – Dżinnie, aktywacja programu projektowego.

– Nie mogę wykonać polecenia – odparł dżinn, pojawiając się z powietrza. – Program niedostępny.

– Co u dia...

– To właśnie dzieje się we wszystkich punktach Przemiany – powiedział

Chansa, uśmiechając się na widok jej konsternacji.

– Dżinnie, diagnostyka, program projektowy – zażądała, a następnie zaczęła się przyglądać rozkładającemu się pakietowi. Cztery podprogramy pakietu wyświetlono w kolorze czerwonym, sygnalizując ich niedostępność. Gdy się przyglądała, kolejna zmieniła barwę. – Dżinnie, przełamać blokady.

– Wymagana autoryzacja.

– Jestem członkiem Rady! Stanowię całą potrzebną autoryzację!

– Przełamanie, Celine Reinshafen. Ustaw hasło. Minimum piętnaście znaków. Hasło wymagane dla każdej blokady. Autoryzacja dotyczy wyłącznie członków Rady, chyba, że dojdzie do przekazania uprawnień.

– Dżinnie, to głupie. Pełne przełamanie.

– Nie mogę wykonać. Zabezpieczenia wprowadzone wymaganą liczbą głosów członków Rady.

– Niech ich szlag! – krzyknęła Celine. – Ci...

– Co się dzieje? – zapytał Chansa.

* * *

Kiedy pojawili się członkowie zebrania, Paul wyglądał na wychudzonego i wyczerpanego, ale po raz pierwszy od wielu dni jego oczy żyły, wyzwanie zdawało się budzić go z jakichś ciemnych

miejsc, po których podróżował jego umysł.

– A więc buntownicy blokują podprogramy – rzekł zdziwionym tonem. – My też możemy się w to bawić.

– Nie mogą ruszyć teleportacji i komunikacji – oznajmiła wściekłym głosem Celine. – Ale blokują wszystko inne. Ale nie mogą blokować grup, muszą przechodzić po jednej procedurze naraz. Ale uniemożliwiają mi badania!

– Możesz to przełamywać – zadudnił Demon.

– Tak, ale to uciążliwe. Muszę... na okrągło wyśpiewywać te cholerne hasła!

– Czy nie możemy skasować blokad? – zapytał Chansa.

– Mamy sześć Kluczy – odpowiedziała Celine. – Możemy je odwołać, jeśli dostaniemy do tego autoryzację ze wszystkich naszych Kluczy i na dodatek skłonimy Finna, żeby stanął po naszej stronie.

– Nie odpowiada mi przekazywanie autoryzacji – oświadczył Ragspurr. Celine rzuciła okiem na Paula, ale on tylko popatrzył na Ragspurra i skinął głową.

– -Kto miałby tę... niezwykłą autoryzację?

– Ktokolwiek wyłączałby blokady – wyjaśniła Celine. – Potrzeba do tego kogoś, jakiegoś *człowieka*. Nie awatara ani nanoformy.

– I ta osoba nie mogłaby być w żaden sposób kontrolowana – zauważył Demon. – Ja również nie czułbym się dobrze z taką władzą. Przy takiej autoryzacji, można by nie tylko usuwać blokady, ale i je zakładać.

– Cóż, nie mam ochoty poświęcić na to całego swojego czasu, ale jeśli będę musiała... – Celine rozejrzała się po pozostałych członkach Rady.

– Finn jak dotąd stał po stronie Koalicji – zauważył Paul. – Jego dzień się zbliża, ale na razie wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby nas teraz poparł.

– To ograniczenie używania Sieci – uparcie argumentowała Celine. – Z pewnością uzna to za niedopuszczalne!

– Potrzebowałabyś także mojej autoryzacji – zauważył Demon. – Przekazanej osobie trzeciej. Nie przekazałbym swoich uprawnień, a już z pewnością nie przez pośrednika.

– Poszaleliście? — krzyknęła Celine. – To ograniczy nas znacznie bardziej niż ich!

– Nie, to ograniczy *ciebie* – oświadczył Demon z tonem złośliwej satysfakcji w głosie. – *Mnie* nie ograniczy to w najmniejszym stopniu.

– Jeszcze chwila, a nie będziesz w stanie przywołać filiżanki *krwi* bez wykrzykiwania jakichś cholernych haseł! – warknęła Celine.

– W przeciwieństwie do niektórych, ja i tak ich używam – odpowiedział Demon. Z powodu noszonej przez niego czarnej zbroi nie sposób było odczytać wyrazu jego twarzy, ale gdyby sądzić po jego tonie, uznał jej sugestię za zabawną.

– Nie przeszkodzi to nam w osiągnięciu naszego ostatecznego zwycięstwa - oświadczył Paul, wstając. – Słuszność jest po naszej stronie i nikt nie może stanąć na drodze prawdy i zwycięstwa. Poradzimy sobie z tym tak, jak uporaliśmy się ze wszystkimi działaniami stojących na drodze postępu rasy ludzkiej! Pokonamy ich, wytępimy i zatopimy w rzece czasu!

Celine spojrzała na niego zaskoczona, po czym potrząsnęła głową. – I to twoje ostateczne słowo?

– Potraktujemy to tak samo, jak wszystkie inne zniewagi – oznajmił Paul, nachylając się nad stołem. – Wysyłają przeciw nam swoich szpiegów, mroczne stworzenia nocy. Dobrze, wyślemy im naszych. Skoro chcą wojny, dostaną ją. Oni, którzy zabili miliony! Celine, nie będziemy w stanie przełamać tego wprost, ale w końcu tego dokonamy. Musisz robić większe kroki w swoich badaniach. Jeśli nie zmądrzeją, musimy upewnić się, że rozumieją konsekwencje! Przygotuj swoje potwory, bo zgotujemy im *horror* Musimy wygrać tę wojnę dla dobra całej ludzkości, a jeśli przegramy, przegra ludzkość!

– Och, to łatwe. — Uśmiechnęła się radośnie, a potem spojrzała na Chanse. Odchylił się plecami na oparcie krzesła, z pustym wyrazem twarzy patrząc na Demona. – Łatwe – powtórzyła szczęśliwa. Uruchomienie programów będzie bardzo uciążliwe, ale było to nic w porównaniu z zielonym światłem dla rozpoczęcia niektórych z wstrzymywanych do tej pory projektów.

– Bardzo dobrze. – Paul uśmiechnął się z triumfem. – *Wygramy!* Dla dobra ludzkości. Spotkanie zakończone.

* * *

Daneh stała w drzwiach domu, patrząc na osiedle w dole, po czym wyprostowała ramiona i wyszła. Szła równo w dół wzgórza i w tłum, czasami pozdrawiając poznanych ludzi, aż doszła do nowszych budynków w pobliżu ratusza. Edmund powiedział jej, że gdzieś w tym chaosie urzęduje Lisbet McGregor, zajmując się logistyką. A Daneh uznała, że prędzej się przekręci, niż pozwoli sobie na ukrywanie się w domu.

Przeszła przez pierwsze znalezione drzwi i zeszywniała, gdy z zacienionego kąta odezwał się do niej mężczyzna.

– Nie powinnaś tu wchodzić – rzucił ostro.

– Szukam Lisbet– odparła bezbarwnie, próbując opanować nagłe uderzenie adrenaliny. Wiedziała, że jej głos brzmiał niepewnie, ale tylko odrobinę wyrwał się spod kontroli.

– Jest w następnym budynku – wyjaśnił mężczyzna. Ponieważ jej oczy dostosowały się już trochę do mroku zauważyła, że pochylał się nad jakimiś papierami i dotarł do niej lekko zatęchły zapach kiepsko wypranego materiału.

– Przepraszam – powiedziała tak spokojnie, jak tylko potrafiła. – Dziękuję.

– Przepraszam, że się wydarłem – rzekł mężczyzna, w półmroku błysnęły jego zęby. – Po prostu co chwila ktoś tu wchodzi i o coś pyta. A ja mam tyle pracy.

– Rozumiem. – Daneh kiwnęła głową i wyszła z powrotem przez drzwi.

Wzięła głęboki oddech i zmusiła się do uspokojenia. Gdy toczyła bój z efektami fali paniki, ktoś

wpadł na nią od tyłu i prawie krzyknęła. Odwróciła się, ale ktokolwiek to był, już wtopił się w tłum. Cofnęła się pod ścianę i walczyła, by odzyskać oddech. Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy przypadkiem nie popada w szaleństwo. Zamknęła oczy i podniosła dłonie do twarzy, próbując powstrzymać łzy.

– Madame Daneh – rozbrzmiał uprzejmie chropawy głos.

Opuściła dłonie i spojrzała w bok. W odległości przynajmniej dwukrotnie większej niż na wyciągnięcie ręki stał wysoki, starszy mężczyzna. Miał na sobie zbroję i wyglądał bardzo sztywno. Jednak z jakiegoś powodu – może dlatego, że ją znał, jeśli nawet ona jego nie – nie wzbudzał w niej strachu. Każdy inny mężczyzna w okolicy tak. Ale on nie. I miał w sobie coś dziwnie znajomego.

– Tak, to ja – odpowiedziała. – W czym mogę pomóc?

– Zastanawiałem się nad tym samym — rzekł obcy, nie podchodząc bliżej. - Wydaje się pani zdenerwowana. Czy mam panią zaprowadzić do sir Edmunda?

– Nie, dziękuję – odpowiedziała ostro. Potem westchnęła i potrząsnęła głową. – Przepraszam. Jestem trochę... nie w formie.

– Jest pani znacznie więcej, niż tylko trochę nie w formie, madame. Czy mogę spytać, czemu zesłała pani w dół już dzisiaj? Rozumiałem, że miała pani wypoczywać.

– Czy całe miasto wie o tym, co się ze mną stało?! – zapytała gniewnie.

– Nie. O ile wiem, to nie. Ale ja właśnie przybyłem. Edmund powiedział mi o tym w ramach odprawy. Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Prawdę mówiąc, byłem na waszym weselu, ale pewnie mnie pani nie pamięta.

– Teraz już tak – odparła, przyglądając mu się uważnie. – Serż...? Tak na ciebie mówią?

– Tak jest, proszę pani. A sir Edmund powiedział *mi* o tym tylko dlatego, że będę odpowiadał za siły obronne. To nie było luźne plotkowanie.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, potem ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Przypuszczam, że nie. Gdzie się kierujesz?

– Zapewne w to samo miejsce, gdzie pani, spotkać się z Lisbet McGregor. - Uprzejmie wskazał ręką, żeby poszła przodem, po czym znieruchomiał. – Czy może woli pani, żebym poszedł pierwszy?

Zastanowiła się nad tym przez chwilę, po czym znów wyprostowała ramiona.

– Nic mi nie jest – oświadczyła. Wzięła głęboki oddech i odwróciła się do niego plecami, przechodząc przez drzwi.

Tym razem zapukała, a drewniane drzwi praktycznie się otwały.

– Odejdź – przywitał ją mężczyzna po drugiej stronie. – O ile nie masz uprawnień do wchodzenia tu, nie powinno cię tu *być*. Daneh w pierwszej chwili skurczyła się w sobie, ale potem wygrał jej gorący temperament.

– Skąd u diabła masz wiedzieć, czy mam prawo tu być, czy nie? – powiedziała ostro. – Nawet nie

wiesz, kim jestem!

– Ale ja wiem – odezwała się Lisbet, wychodząc naprzód. – Wszystko w porządku, Sidikou, to Daneh Talbot.

– Ghorbani – automatycznie poprawiła ją Daneh. – Witaj, Lisbet. Budynek był równie ciemny, jak poprzedni, ale większy i na drugim końcu pomieszczenie zawalono torbami i pakunkami. Lisbet nachylała się nad listą i próbowała czytać ją w słabym świetle.

– Zniszczysz sobie w ten sposób oczy – rzekła Daneh. – Och, Lisbet, to jest Serż...

– Czołem, Serż – radośnie powitała go Lisbet. – Teraz wiadomo już, że wszystko obraca się w ruiny, pojawił się Serż.

– Och, robi się gorzej – lekko powiedziała Daneh. – Wczoraj wieczór zjawiła się tu Bast. Teraz wyciągnęła moją córkę nie wiadomo gdzie.

– Ojej. – Lisbet roześmiała się. – Strach pomyśleć, jakich psot razem się dopuszczają. Bast powinna mieć na imię Bandyta.

– Nie ta płęć — ponuro zauważył Serż. – Ale poza tym, wszystko się zgadza. Nie jest najbardziej zdyscyplinowaną osobą.

– W porównaniu z tobą, Serż, nikt nie jest zdyscyplinowany – pogodnie zaproponowała Lisbet. – Nie wszyscy chcemy chodzić we włosiennicach.

– Nie noszę włosiennicy – zaprotestował Rutherford. – To niepotrzebna forma kary. Istnieją lepsze sposoby sprawiania bólu.

– Skoro mowa o bólu – wtrąciła się Daneh, rzucając pytające spojrzenie na Serża – Edmund powiedział coś o tym, że powinnam urządzić się tu jako lekarz. Ale do tego potrzebuję czegoś więcej niż tylko witryna. Nie wspominając już o bandażach, łubkach, materiałach do szycia i lekach. Macie tu cokolwiek?

– W tej chwili niewiele. – Lisbet wzruszyła ramionami. – Tylko to, co byliśmy w stanie zebrać w lasach albo mieliśmy w magazynach.

– No cóż, prawdę mówiąc, nawet nie do końca wiem, czego potrzebuję - przyznała Daneh. – Nigdy jeszcze nie organizowałam szpitala z epoki.

– Lazaret z epoki powinien zostać urządzony z dala od latryn i gnojowisk - wyrecytował Serż. – Najlepiej na podniesionym terenie, aby umożliwić dostęp wiatrom. Powinien mieć okna z osłonami w celu zabezpieczenia przed dostawaniem się owadów. Jeśli niedostępne są osłony metalowe lub plastikowe, można je zastąpić rzadkim płótnem. Okna powinny mieć okiennice w celu zabezpieczenia przed przeciągami w zimie. W lazarecie powinny zostać rozmieszczone ogniska, paleniska lub piece, w celu zapewnienia komfortu pacjentom w trakcie rekonwalescencji. Lazaret powinien być podzielony na trzy części: izbę przyjęć, skrzydło operacyjne i skrzydło rekonwalescencyjne. Skrzydła te mogą się mieścić w osobnych budynkach, ale przejścia powinny być zadaszone, albo jeszcze lepiej – zabudowane.

– Skąd to wszystko wiesz? — zapytała zdumiona Daneh.

– Serż to prawdziwa skarbnica informacji związanych z wojskiem – z uśmiechem zauważyła Lisbet. – Jeny!

– Tak? – Mężczyzna, który wszedł do budynku od tyłu, był najwyraźniej kolejnym długoletnim rekreacionistą, miał na sobie strój z wczesnej epoki szkocko-gaelickiej, jednak zamiast dwuręcznego miecza niósł torbę, z której wystawały papierowe rulony.

– Serż, Daneh, to Jeny Merchant, który kieruje, a używam tego terminu świadomie, naszym programem budowlanym. Jeny, madame Daneh będzie urządzić szpital. Razem z Serżem poszukają właściwego miejsca. Jeśli nie ma odpowiedniego budynku, będziemy musieli zbudować go zgodnie z zapotrzebowaniem.

– Jaki priorytet? – zapytał mężczyzna. — Mam w tej chwili pięć aktywnych projektów, łącznie z łaźnią i nową tamą.

– Ustawiłabym to przed łaźnią – po chwili namysłu zdecydowała Lisbet. - Wolałabym mieć szpital niż oddzielne łaźnie.

– Co na to powie Edmund? – niepewnie zapytał Jeny.

– Powie na to: „tak, kochanie” – ze śmiechem odpowiedziała Daneh.

– Czy to już wszystko? – chciała wiedzieć Lisbet.

– Nie, Serż też z czymś przyszedł.

– Nic tak pilnego – odezwał się mężczyzna. – Ale bardziej złożonego w dłuższej perspektywie. Edmund przydzielił mi zadanie zorganizowania piechoty. Z czasem będziemy potrzebować sporej listy *rzeczy*. Część z nich to po prostu podstawowe materiały, ale inne, w rodzaju broni i zbroi, będą wymagały pracy rzemieślników. I początkowo będziemy musieli mieć jakieś budynki i sporą ilość skór i płótna.

– Brakuje nam obu – z westchnieniem przyznała Lisbet. – Mamy bardzo mało skóry, z materiałem jest trochę lepiej. Kiedy będziesz tego potrzebował?

– Za kilka tygodni. Muszę najpierw wyszkolić kilku instruktorów. Będę chciał trochę materiałów dla nich, ale niewiele.

– Cóż, jeśli może być po obławie, to lepiej. Zamierzamy zorganizować dużą nagonkę w lesie i to powinno dać nam trochę więcej skór. Można tylko zgadywać ile, ale na pewno będziemy mieć jej więcej niż dziś.

– Bardzo dobrze. Dam ci listę potrzebnych mi rzeczy oraz spis punktów do realizacji w treningu, z informacją, kiedy i czego będę potrzebował, a potem ustawimy trening odpowiednio do dostępności materiałów. Jak to wygląda?

– Całkiem rozsądnie – odpowiedziała Lisbet znów ze śmiechem. – Dobrze, Jeny, może przejście się z Daneh zobaczyć, co będzie jej niezbędne, jeśli chodzi o infrastrukturę, a ja wrócę do gotowania zupy na gwoździu.

– Hej! – zaprotestował Jeny. – To moja robota!

Kiedy Daneh weszła do kuchni, Edmund podniósł wzrok i zmarszczył czoło.

– Gdzie byłaś? – zapytał.

– Na zewnątrz – odcięła się ostro, po czym westchnęła. – Przepraszam, Edmundzie, to było nieuprzejme. Z Jerrym Merchantem i Serzem oglądałam budynki, szukając takiego, który nadawałby się na szpital.

– Och. Teraz to ja przepraszam. Nie powinienem był tak ostro się odzywać. Ale... po prostu myślałem, że powinnaś trochę odpocząć... Zebrać się z powrotem do kupy. To ja powinienem pracować cały dzień.

– Zebrałam się w garść – warknęła, zaciskając szczęki. – *Mc mi nie jest*. Moglibyście wszyscy przestać traktować mnie, jakbym była ze szkła, czy coś!

Edmund zaczął coś mówić, potem umilkł potrząsając głową.

– Co?

– Zamierzałem powiedzieć, że niezależnie od tego, jak się *czujesz*, musisz o tym porozmawiać – odparł Talbot. – Ale *nie* ze mną. I szczerze mówiąc, nie znam tu nikogo, kto miał do czynienia z takim rodzajem... traumy. *Trochę* wiem na ten temat, ale nie jestem ekspertem. – Zmarszczył brwi i bezradnie rozłożył ręce. – Problem w tym, że nie jesteś jedyną kobietą w mieście, którą... spotkało coś takiego po drodze tutaj. A nie ma *nikogo*, kto miałby jakieś przeszkolenie w zakresie radzenia sobie z tego rodzaju rzeczami. A będzie jeszcze gorzej, na dłuższą metę to nie będzie ostatni taki przypadek.

– Więc co mamy zrobić? – zapytała Daneh. – Przypuszczam, że jako lokalny lekarz i kobieta to ja powinnam to zorganizować?

– W zasadzie tak powinno być, ale nie możesz tego zrobić – westchnął Edmund. – A jedno, co wiem na temat... traumy po gwałcie to fakt, że *niewłaściwe* podejście do niej tylko pogarsza sytuację.

– Co mnie cholernie denerwuje! – praktycznie wykrzyczała. – *Mc mi nie jest!* Nic, nic, NIC! Ile razy jeszcze mam to powtarzać!

Przez chwilę zaciskał szczęki i patrzył na nią ciężko, aż odwróciła wzrok. – I krzyczenie na mnie, kiedy omawiam sprawę najwyraźniej stanowiącą problem całego miasta jest całkowicie normalne? – odezwał się bezbarwnym głosem.

Talbot nie był pewien, co takiego powiedział, że zrobiła się biała jak kreda, ale umilkł i pozwolił jej odzyskać równowagę.

– Co? – zapytał w końcu.

– Tylko... ton... – wyszeptała. – Pójdę się teraz wykąpać.

– Dobrze. – Kiwnął głową, wzdychając, gdy opuszczała pokój. Musiał być ktoś, z kim mogłaby porozmawiać. Ale kto?

Herzer z nabożnym zachwytem przyglądał się wychodzącej ze strumienia Bast. Jej ciało nago było równie doskonałe, jak wydawało się ledwie częściowo zasłonięte. Miała jasnoróżowe otoczki wokół sutków, które, gdy było jej zimno tak jak teraz, naprężyły się i sterczały ostre jak sztylety, oraz małą kępkę kruczoczarnych włosów łonowych, które okazały się miękkie jak jedwab. Przez jedną krótką chwilę przez głowę przemknęła mu nieprzyjemna myśl, że wyglądała na zbyt młodą, by być atrakcyjną seksualnie, bardziej na czternastolatkę niż dojrzałą kobietę. Ale powiedział sobie, że to głupie, była nie tylko starsza od niego, była starsza od drzew.

Zaczęli od pływania, nadzy, zgodnie z ostrzeżeniem, i był troszkę... zaniepokojony. Ale pływanie zmieniło się w mycie, a potem wzajemne mycie się i potem samo się już potoczyło. I pomimo krótkotrwałości, to, co nastąpiło później, było bardzo pouczające. Wciąż nie wiedział, czemu wybrała właśnie jego, ale uświadomił sobie, że był jednym z najszczęśliwszych mężczyzn na świecie.

To z kolei na chwilę przywołało mu przed oczy wszystkie powody, dla których *nie powinien* być tak szczęśliwy i niespokojnie przełknął ślinę. Przez moment pozostawał uwięziony w emocjonalnym wirze strachu, że przestałaby się nim interesować, gdyby znała jego zmagania wewnętrzne i jego tchórzostwo oraz wstyd, że po czymś takim nie powinno go tu z nią być.

Przyniosła długi futrzany koc, pozszywany z wielu drobnych skórek i opuszczała się teraz na niego wdzięcznie, siadając ze skrzyżowanymi nogami, a potem za pomocą gałązki zaczęła rozczesywać sobie włosy.

Siedziała bliżej niż na wciągnięcie ręki, więc pomimo zmagania wewnętrznego ostrożnie przesunął palcem po jej udzie.

– Cud młodych ludzi – powiedziała z uśmiechem, spoglądając w dół. – Dać im pięć minut i znów są gotowi!

– Czy dlatego mnie wybrałaś? – zapytał. Wcale nie chciał tego mówić, ale nie dawało mu to spokoju.

– Tylko w części – odparła, zapraszająco głaszcząc jego dłoń. – Wydawałeś się... mądry jak na swój wiek. To ważne. Jestem *stara*, Herzer. Wielu z mojego rodzaju uważa mnie za... perwersyjną, skoro biorę sobie ludzkich kochanków. Nawet jeśli przeżyjesz nadchodzące wojny, będę widzieć, jak dorastasz i starzejesz się, tak jak przyglądałam się dojrzewaniu Talbota. A potem któregoś dnia umrzesz, tak jak moi niezliczeni kochankowie przez wieki. Jednak *wy przeżywacie* swoje życie w pełni, w sposób, jakiego nie potrafią elfy. I to właśnie kocham. Ale z czasem wezmę innych kochanków, podobnie jak i ty. A wydałeś mi się dostatecznie mądry, by to zrozumieć, choć inni ludzie mogliby nie.

– Nie jestem mądry – gorzko powiedział Herzer. Komplement tylko rozognił jego wewnętrzne zmagania i poczuł, jak gardło zaciska mu pogarda do samego siebie.

– Powiedziałam: „jak na swój wiek” – powtórzyła, dotykając czubka jego opuszczonej głowy. – Herzer, spójrz na mnie.

Spojrzał w górę w jej zielone oczy o kocich źrenicach i skulił się od głębi kryjącej się za nimi

mądrości. Przez chwilę poczuł się, jakby patrzyła na jego duszę. Ale równocześnie miał wrażenie, że nawet gdyby zobaczyła, co się tam kryje, nie odczułaby pogardy. W jej odwiecznych oczach odbijała się otchłań zrozumienia.

– Mówi się, że każdy ma jakiś sekret. To nieprawda – wyszeptała. – Każdy ma wiele sekretów, wiele twarzy, wiele masek. Wszyscy, ludzie, krasnoludy i elfy, stanowią sumę swoich masek, młody Herzerze. Jesteś jeszcze młody, a twoje maski mają ostre krawędzie. I nie widzisz, że to samo dotyczy wszystkich. Liczy się to, co *robisz* w życiu, a nie to, co dręczy cię w duszy. I to, kim jesteś w prawdziwym życiu, nie kim boisz się, że mógłbyś zostać. -A jeśli zrobiłem coś złego? – Herzer spuścił wzrok.

– Skrzywdziłeś kogoś? – zapytała łagodnie.

– Nie. Ale przez brak działania pozwoliłem, by kogoś skrzywdzono – powiedział ostrożnie.

Westchnęła i potrząsnęła głową.

– Herzer, jestem twoją kochanką, nie księdzem. Nie jestem tu po to, by wysłuchać twojej spowiedzi i mam niewłaściwą płęć, gatunek i wyznaję złą religię, by dać ci odpuszczenie! – zachichotała.

– Kim jest ksiądz? – zapytał Herzer.

– -Ojej, czasem uświadamiam sobie, *jak* stara jestem! – zawołała, śmiejąc się. – Mój dobry rycerzu, nieogolony, bez czuwania i nie wypowiedany. Rety, jak zmieniły się czasy. Powiedzmy, że księża stanowili wczesną formę terapii psychologicznej. Można było z nimi rozmawiać i nic z tego, co powiedziałaś, teoretycznie, nie mogło być powtórzone innym. Tak więc można było odciążyć swoją duszę. Potem, kierując się przepisami swojej religii, mogli kazać człowiekowi odprawić modlitwy i pokutę, może zapłacić jakieś pieniądze, a ich Bóg wybaczał człowiekowi.

– Wygląda na oszustwo – zauważył zainteresowany wbrew sobie Herzer.

– Podobnie jak psychoterapeuci tak samo i księża kazali człowiekowi wracać co tydzień. Ale jeśli chodzi o psychologów – do czasu, aż zaczęli rozumieć chemiczne podstawy depresji i innych problemów psychologicznych – to nie potrafili oni sprawić, żeby ludzie czuli się tak *dobrze*, jak wtedy, gdy mieli kontakt z księżmi. Pozwól, że cię o coś zapytam. Gdybyś mógł w tej chwili opowiedzieć komuś o tym wszystkim, co cię dręczy, a on oświadczyłby, że będzie ci wybaczone, jeśli wykonasz jakieś zadanie, a ty *uwierzyłbyś* w to wybaczenie całkowicie, czy wykonałbyś to, co polecono?

Herzer pomyślał nad tym przez chwilę, po czym kiwnął głową.

– Och tak. Gdyby to... no cóż, tak. Ale to nie może cofnąć tego, co już się dokonało.

– Nie, ale *ty* czułbyś się z tym lepiej. Taka była często w ogóle podstawa wszelkich misji. Idea geas stanowiła wiążące wymaganie w przypadku podjęcia się zadania i albo wypełnienia go, albo śmierci przy próbie. W każdym przypadku udzielano im przebaczenia. Ale jeśli komuś nie powiodło się i musiał zrezygnować, taki rycerz po śmierci smażył się w piekle.

– Au. Nie tak się to przedstawia w grach.

– Nie, ale musisz zrozumieć, że przeważnie w tamtych czasach zdecydowanie *wierzono* w prawdę spowiedzi. Podobnie jak w późniejszych czasach *wierzyło się*, że jeśli ktoś powiedział człowiekowi, że wina nie leży po jego stronie tylko na przykład złej nauki siedzenia na nocniku, to jego życie stawało się łatwiejsze. I w obu przypadkach większość ludzi faktycznie czuła się lepiej, ponieważ wszystko to działo się w ich głowach.

– A więc gdzie się mogę zapisać? – gderliwie zapytał Herzer.

– Och. – Bast roześmiała się. – Nie znam ani jednego żyjącego we wschodnim Norau księdza katolickiego. Więc może tutaj nie masz szczęścia. Ale dam ci coś, czego będziesz mógł się trzymać: choć zdarzają się w życiu działania, których nie można wybaczyć, nie potrafię uwierzyć, że dopuściłeś się jakiegoś z nich.

– Ale...

– Cicho, kochany. Czy zabiłeś kogoś z gniewu, a nie w obronie?

– Nie, ale...

– Czy dopuściłeś się gwałtu? – zapytała ostrożnie.

– Nie – odpowiedział po dłuższej przerwie.

– Hmm... wydaje mi się, że zbliżamy się do sedna – rzekła. – Ale nie zamierzam tego drażnić. To „nie” było dla mnie wystarczająco definitywne. Podejrzewam, że wiem, na czym w części polega twój problem i choć nie jestem psychologiem, nie ma takiej perwersji w seksie, której bym nie znała.

– Co? – Herzer roześmiał się.

– Zamierzam po prostu pokazać ci, co kryje się w rejonach ostrego seksu - odparła, patrząc mu w oczy. – Niech zgadnę: fantazje dotyczące gwałtu, prawda?

– Och – wydobył z siebie Herzer, gwałtownie czerwieniejąc. – Bast!

– Małe dziewczynki?

– Bast!!

– Łańcuchy i pejcze? Czerwony Kapturek?

– BAST!!!

– Wszystko to całkowicie normalne – rzekła, nagle całkiem poważna. – Wielu mężczyzn chciałoby być Wielkim Złym Wilkiem. I to w porządku. O ile wiesz, jak, kiedy i gdzie można co robić. I tego właśnie, byczku, zamierzam cię nauczyć.

– Żartujesz – powiedział, patrząc na futrzany koc i nerwowo głaszcząc kępkę białego włosa.

– Raczej nie. Nie mogę *uwierzyć*, że w *tych* czasach i wieku, chodzisz po świecie pokręcony w zakresie fantazji o dominacji. – Elfka parsknęła. – Przyznaję, że nie pociągają mnie jakoś szczególnie te fetysze, ale wiem, o co w tym chodzi i czasem mnie to bawi. – Nagle uśmiechnęła się nieśmiało i opuściła twarz, przekręcając ją równocześnie tak, że patrzyła na niego bokiem, przyciskając dłoń

do piersi. – Och, panie, jesteś taki duży i *silny* – powiedziała jak dziewczynka, potem uśmiechnęła się niewinnie swoimi wielkimi oczyma. – Trochę się zgubiłam. Myślisz, że mógłbyś przeprowadzić mnie przez las?

Herzer znów zaczerwienił się ognście, a jego członek jasno wykazał, że trafiła w dziesiątkę.

Nagle złapała go za podbródek i całkiem poważnie spojrzała mu w twarz.

– Spójrz na mnie, Herzerze Herricku. Złym nie czyni cię to, co *czujesz*. Te emocje są *naturalne*. Może któregoś dnia zbadamy, *skąd* się wzięły. Ale narazie *wiedz* jedno. Są równie naturalne, jak *oddychanie*. O tym, czy stajesz się bandytą czy bohaterem decyduje fakt, co z nimi *robisz*. Zapytam cię o coś i patrz mi w oczy, odpowiadając. Gdybyś znalazł taką dziewczynkę, młodą i ponętą, całkiem samą i zgubioną w lesie, co byś *zrobił*?

Herzer patrzył na nią przez długą chwilę, drgał mu mięsień w policzku, i walczył, by nie spuścić oczu.

– Zaprowadziłbym ją z powrotem do miasta – odparł w końcu z lekkim westchnieniem, które mogło być żalem.

– Racja i oddałbyś życie w jej obronie, tak myślę – zgodziła się Bast. – Niezależnie od przeszłych porażek.

– Nic nie mogłem zrobić! -jęknął.

– Ciiii... – uciszyła go Bast, kładąc palec na jego ustach. – A to już druga strona. Rany, raz zadanej, nie da się cofnąć. Ale z czasem można ją uleczyć. Przynajmniej większość. W twoim przypadku rana w większości się zagoi. Ale środkiem do zamknięcia rany i usunięcia blizny jest to, co *zrobisz*, Herzerze Herricku. Ale wiesz o tym, prawda?

– Tak – odparł, znów spuszczać wzrok.

– Więc przejdźmy do czynów – powiedziała poważnie, a potem uśmiechnęła się. – Sądząc po tym, jak to wszystko wygląda, będę dość zajęta. Miałaś ciężką podróż, jesteś pewien, żeś na to *gotowi* – Mrugnęła do niego i skromnie zasłoniła piersi, znów rozszerzając oczy. – Och, sir! Właśnie się kapałam i nie mogę znaleźć swojego *ubrania*!

– Dla ciebie, milady – rzekł, podnosząc błyszczące śladem łez oczy – młodej jak powietrze choć równocześnie starej jak drzewa – *zawsze* będę gotów!

– Ależ widzę! – zawołała ze śmiechem. – I jaki uprzejmy! Zobaczmy, jak długo możemy to poprowadzić tym razem, dobry rycerzu! – Chwyciła skraj koca osłaniając się nim i patrząc na niego ze śladem strachu w oczach. – Proszę, panie, jestem taka sama, a ty jesteś taki *wielki*!

– La Belle Dame Sans Merci! – jęknął Herzer.

– Och, *styszałeś* o mnie – roześmiała się gardłowo. A potem już nie rozmawiali.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Daneh została w kuchni, ucierając zioła. Wiedziała, że niektóre z nich mają własności lecznicze, ale nie miała pojęcia które i w jakich proporcjach. Sporo z książek Edmunda miało jednak na marginesach notatki, więc zebrała kilka z nich i przegryzała się przez nie, kiedy pojawiła się Sheida.

– Daneh – odezwała się Sheida się od drzwi.

Moździerz i tłuczek poleciały przez pokój, a tłuczek rozbił się na dwa, uderzając o kamienną ścianę, gdy Daneh prawie wyskoczyła ze skóry. – Nie rób tego!

– Przepraszam – odpowiedział awatar. – Nie pomyślałam.

– Cóż, przepraszam nie załatwi sprawy, siostró – gorzko odparła Daneh.

– Kiedy naprawdę mi przykro – rzekła Sheida. – Gdybym podejrzewała, że wszystko... rozleci się tak szybko, zrobiłabym... więcej.

– Wielkie dzięki, *siostró* – prychnęła Daneh. – Wszystko, czego było trzeba, to wysłać cholernego awatara, żeby mnie poszukał. Czy to było naprawdę za wiele?

Awatar westchnął i potrząsnął głową.

– Kiedy teraz na to patrzę, nie. Ale wtedy byłam... dość zajęta. I, jak już powiedziałam, nie spodziewałam się, że praworządność tak szybko się rozleci – Ludzie są tacy...

– Chorzy – dokończyła Daneh. – W środku jesteśmy dzikimi bestiami, Sis. To coś, z czego nigdy nie zdawałaś sobie sprawy. A przynajmniej nigdy tego do siebie nie dopuszczałaś. Ja też nie wiedziałam o tym, dopóki nie spotkałam McCanoca.

– No cóż, dostaję tę lekcję na całej planecie – powiedziała Sheida. – Tylko w miastach, które poddały się mnie, zgłoszono jak dotąd cztery tysiące trzysta dwadzieścia gwałtów. A te, które mi się nie poddały... warunki w części z nich są. nie wiem, Daneh. Są takie dni, kiedy myślę, że powinnam po prostu poddać się Paulowi, biorąc pod uwagę to, jak dzisiaj wygląda świat. Bycie kobietą w tym świecie jest...

– – Tym, co kobiety przeżywały przez tysiąclecia – podsumowała Daneh. - I nie przychodź mi się wyplakiwać ze swoich problemów, gwarantuję, że nie budzisz się w nocy zlaną potem, widząc przed sobą twarz McCanoca. Albo jeszcze gorzej.

Sheida milczała przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

– Daneh, mogę... jak to powiedzieć. Mogę to zabrać. Żadnych więcej koszmarów.

Daneh zastanowiła się nad tym przez chwilę, po czym potrząsnęła głową.

– Możesz zrobić to dla nich wszystkich?

– Z czasem, może – po chwili odrzekła Sheida. – To nie wymaga wiele więcej energii niż prosta rozmowa, jak ta.

– Nie – zdecydowała po krótkim namyśle Daneh. – Nie, to nie jest rozwiązanie. Nic mi nie jest, naprawdę, poza koszmarami. A i one odejdą. Muszą – dodała ciszej.

– Powinnaś o tym porozmawiać. Ja... dotarłam do pewnych *bardzo* starych tekstów. Gwałt jest równie zapomniany jak...

– Wszystko inne – potwierdziła Daneh. – Gwałt i ekonomiczna oraz seksualna dominacja. Od tak dawna byliśmy przed tym osłonięte. „Maszyny uwolniły kobiety, a komputery dały im władzę”. Ale to wszystko wróciło i w pewien sposób nic się nie zmieniło. Zabrać technikę, a kobiety stają się niczym więcej, jak pionkami mężczyzn. Musimy znaleźć jakiś sposób na radzenie sobie z tym *teraz* i w *tych* świecie. Nie łątać starego świata.

– Więc znajdź kogoś, z kim możesz porozmawiać.

– Powtarzają mi to *wszyscy* oprócz kobiet, które też przez to przeszły. I *nie chcemy* o tym rozmawiać, dziękuję. Zwłaszcza z *rodziną*, Sis.

– To... dokładnie to, co mówiłabyś według tych tekstów. Ale one również są zdecydowane. Musisz o tym rozmawiać, żeby wydostać się... ze złych myśli, i odkryć, co naprawdę jest tobą, a co tylko wynikiem gwałtu.

– Nie przypuszczam, żebyś mogła któryś z tych tekstów udostępnić *mnie!* — kwaśno powiedziała Daneh.

– Jeszcze nie, ale może niedługo – odparła Sheida. – Wysłanie awatara to jedno, teleportowanie tekstów albo obiektów, które mogą odbierać informację, to coś innego. W tej chwili cały czas balansujemy na krawędzi klęski. Gdybyśmy tylko mogli się trochę umocnić, może wtedy.

– Cóż, do tego czasu dziękuję, ale nie. Po prostu zostanę z koszmarami. I „wrócę na konia”.

– Uważaj z tym. Możliwe są nieprzyjemne przebitki. I inne rzeczy. – Sheida przerwała. – Masz rację. Są rzeczy, o których nie chcę z tobą rozmawiać. Po prostu... bądź ostrożna. Wszystko, co się wydarzy, może nie być... naturalne, niech to szlag, w całym tym obozie historycznych maniaków *musi* być ktoś, kto studiował *gwałt*. Był to naturalny element całej tej cudownej historii, którą tak bardzo kochają!

– Jedyni, którzy może coś o tym wiedzą, to Edmund i ewentualnie człowiek nazywany Serżem. Ale nie mam ochoty rozmawiać na ten temat z żadnym z nich, dziękuję bardzo.

– Jesteś strasznie uparta w tej kwestii, kochana siostró.

–

– Jestem Ghorbani – z leciutkim uśmiechem stwierdziła Daneh. Sheida zaczęła coś mówić, po czym umilkła, wyglądając na zaskoczoną.

– Muszę iść. I do diabła, porozmawiaj z *kimś!*

– Do widzenia, Sheida – powiedziała Daneh.

– Cześć.

Kiedy jej siostra zniknęła, Daneh głęboko odetchnęła i pomyślała o ludziach zebranych w Raven's Mill. – Szlag, ona ma rację – wymamrotała, po czym podeszła do kredensu i wyciągnęła butelkę brandy. Przyjrzała się kubkom, po czym potrząsnęła głową i zdrowo pociągnęła wprost z butelki. – Nie wierzę, że się na to decyduję.

Popatrzyła na drzwi, a potem zarzuciła na siebie pelerynę, jako że zapanował już wieczorny chłód, i wyszła. Miała pomysł, z kim porozmawiać. Tylko jak ją znaleźć.

* * *

McGibbon właśnie wziął na muszkę największego jelenia w stadzie, kiedy znieruchomiał, kątem oka dostrzegłszy błysk bieli. Nie potrafił zrozumieć, co widzi, aż plama znów się poruszyła i zdołał ją zidentyfikować – to był ten cholerny kot Rachel.

Od pół godziny Robert podkradał się do stada jeleni. Podchodzenie było bardzo trudną sztuką, ale ćwiczył ją od prawie pięćdziesięciu lat i w tej chwili stanowiło dla niego prawie drugą naturę. Pierwsza część polegała na wytropieniu zwierzyny, co sprowadzało się do chodzenia przez las w taki sposób, jakby sam był jeleniem. To wymagało przejścia kilku kroków, przerwy i wydobycia odrobiny dźwięku. Jeśli próbowało się poruszać w *całkowitej* ciszy, było to niemożliwe. Więc należało poruszać się tak, jakby było się zwierzęciem szukającym pożywienia. Kilka kroków. Przesunięcie stopy. Przyglądać się, słuchać, wąchać, potem znów ruszyć.

Najważniejszą sprawą było wypatrzenie zwierzyny, zanim ona zauważyła człowieka. Jeśli się to udało, można było ją stosunkowo łatwo podejść. Jedząc, białe ogony nie mogły zauważyć ruchu, ponieważ miały opuszczone głowy – A zanim podniosły głowę, opuszczały ogony. Tak więc trzeba było uważać na ich ruchy i gdy tylko zaczynały ruszać ogonkami, natychmiast znieruchomieć, co na jego poziomie odbywało się już podświadomie. Podnosiły głowy, rozglądały się, a potem wracały do jedzenia. Co pozwalało podejść bliżej.

Zbliżył się do jelenia na rzut kamieniem i właśnie napiął łuk, kiedy zauważył kota.

Właściwie zwierzę robiło dokładnie to samo. Przyglądał się, jak kot znieruchomiał w chwili, gdy jelenie znów podniosły głowy. W stadzie było około piętnastu jelonków i łani żywiących się żołądziami na skraju naturalnej polany. Znajdował się na zachodnim jej skraju, podczas gdy kot zbliżał się od południowego wschodu. Teraz skradał się cicho i ostrożnie i pomimo że miasto potrzebowało jedzenia, myśliwy pozwolił, by cięciwa rozprężyła się łagodnie, i zajął się obserwacją.

Drapieżnik wolno dotarł do granicy wysokiej trawy i zdawał się skupiać na jelonku stojącym na skraju stada. Koziołek prawdopodobnie urodził się w zeszłym roku i był już prawie gotów na wyrzucenie ze stada. Znakiem jego względnego statusu był fakt, że został wypchnięty na brzeg grupy, gdzie najmniej było żołądzi i teraz wytrwale szukał czegokolwiek nadającego się do jedzenia. To oznaczało, że częściej niż inne zwierzęta miał opuszczoną głowę, podnosił ją znacznie rzadziej, niż nakazywałby rozsądek. A jeśli kot nie przeceniał swoich możliwości, koziołek mógł nie przeżyć tej lekcji.

Robert przyglądał się podchodzeniu, aż domowy lew zatrzymał się na brzegu trawy, po czym znów napiął łuk. Był to jedyny łuk bloczkowy w wiosce i choć miał bardzo silny naciąg, mechanizm jego działania sprawiał, że całkowite naciągnięcie stu pięćdziesięciofuntowego łuku wymagało zaledwie

połowy tej siły. Jednak nawet siedemdziesiąt pięć funtów może stanowić spore obciążenie, jeśli ma sieje utrzymywać przez dłuższy czas i miał nadzieję, że kot szybko wykona swój ruch.

Zrobił to, gdy tylko koziołek przeszedł jeszcze trochę bardziej na zewnątrz, szukając rozrzuconych wiatrem żółdzi. Kiedy zbliżył się na ledwie pięć metrów do kota, biało-pomarańczowy kocur wystrzelił z trawy w ostrym sprincie i skoczył na plecy jelonka.

Robert nie zawracał sobie głowy przyglądaniem się szarży. Na pierwszy ślad ruchu wypuścił strzałę wprost w idealne miejsce tuż za łopatką upatrzonego przez siebie jelenia. Jednak pomimo przebiccia serca strzałą o szerokim grocie, zwierzę wystartowało do ucieczki razem z resztą stada, chcąc jak najdalej za sobą zostawić atakującego lwa.

Robert przyglądał się teraz zdeprymowany, jak drapieznik najpierw przesunął uchwyt do gardła koziołka, ściągając go na dół swoją masą. Potem, gdy tylko ofiara wylądowała na ziemi, błyskawicznie zacisnął szczęki na jej nozdrzach. Pozbawiony tlenu roślinożerca wykręcał się i rzucał, ale bezskutecznie, domowy lew powalił jednorocznika i tak już miało zostać. Po ostatecznym kopnięciu i drgawkach jelonek znieruchomiał.

– Brawo – powiedział McGibbon, klaszcząc lekko z uznaniem. – Bardzo ładnie. Ale przez ciebie uciekła moja zdobycz. Teraz będę musiał ją wytropić.

Lazur przyglądał mu się w zdumieniu, jakby do tej pory nie zauważył człowieka, po czym miauknął. Podszedł przez trawę z wysoko podniesionym ogonem i stuknął głową w dłoń Roberta, rozcierając po łuczniczej rękawicy krew z nosa.

– To dopiero kot – zachichotał myśliwy, drapiąc go za uszami. – Właściwie bardziej wolę psy, ale ty mi się podobasz.

Kiedy Daneh pchnięciem otworzyła drzwi do gospody, uderzyła ją fala dźwięku. Rudowłosa minstrelka przewodziła celtickiemu zespołowi grającemu szalonego jiga. Rozejrzała się po tłumie i nie zobaczyła tej, której szukała, więc zaczęła się wycofywać, ale wtedy pojawiła się Estrelle i kiwnęła jej głową.

– Madame Talbot, upłynęło wiele czasu – powiedział homunkulus. Miała na sobie zwykły, skąpy strój tawerniany i w obu dłoniach trzymała tace, ale powitała ją ukłonem.

– Witaj, Estrelle – przywitała się Daneh i spytała, czy tamta widziała elfkę.

– Tuż przy scenie – poinformowała ją Estrelle. – Przychodzi tu co wieczór na tańce.

Daneh niepewnie pokręciła się wokół skraju tłumy i zatrzymała się mniej więcej w pół drogi. Gorąco, hałas i zapach zaczynały ją przewierać, ale niech ją piekło pochłonie, jeśli po tym wszystkim teraz się wycofa. W końcu udało się jej zbliżyć do sceny i zobaczyła ją.

Bast odłożyła swoją szablę oraz łuk i szalała w tańcu przed sceną. W rzędzie po obu jej stronach kilka osób usiłowało dotrzymać jej kroku w jigu, ale jeśli nawet zaczął się dość wolno, w tej chwili osiągnął takie tempo, że żaden normalny tancerz nie był w stanie mu sprostać. Jednak Bast nie była normalną tancerką. Doskonale trzymała się rytmu i wykonywała dodatkowe ruchy łącznie z obrotami, wykopami i nawet nietypowym przewrotem w tył, a wszystko to wprost idealnie w zgodzie z muzyką.

Jig dotarł do końca cyklu i rudowłosa flecistka usiłowała jeszcze raz zwiększyć tępo, ale zespół

zaczął odpadać, większość z nich po prostu nie była w stanie grać tak szybko. Bast jednak została z nimi aż do chwili, gdy minstrelka w końcu zrezygnowała i wydawszy ostatni dźwięk, skłoniła się przed elfką, uznając swoją porażkę.

Wokół Bast zgromadziło się mnóstwo ludzi, w większości *mężczyzn*, ale zdawała się odganiać ich za pomocą jakiegoś rodzaju tarczy ochronnej, nie pchali się na nią nawet najbardziej pijani. Skłoniła się zespołowi, podeszła podnieść swoją broń i przecisnęła się przez tłum do miejsca, gdzie stała Daneh.

– Mnie się zdaje, że nie przyszedłeś tu na drinka – powiedziała, patrząc na nią spokojnie.

– Nie, nie przyszedłam – odrzekła Daneh, przełykając ślinę.

– A to nie miejsce na rozmowy – oświadczyła elfka. – Sugerowałabym dom Edmunda.

– Dobrze – zgodziła się Daneh, idąc za nią do wyjścia. Podobnie jak z tancerzami przy scenie, kiedy przechodziła przez tłum, zdawało się, jakby rozsuwała go za pomocą czarów i Daneh bardzo starała się trzymać blisko niej.

– To, o czym chciałam porozmawiać... – odezwała się Daneh, kiedy wydostały się na zewnątrz i mogły mówić, nie krzycząc.

– Ile odwagi w płynie zatankowałaś, żeby pójść mnie poszukać?

– Ja... napiłam się trochę brandy.

– Tylko trochę? – zdziwiła się elfka z rozbawieniem wyraźnie brzmiącym w jej głosie. – Pewnie za mało. Czekaj, aż dojdziemy do domu. Ale nie marudźmy po drodze. Tak, wiem, o czym chcesz ze mną rozmawiać. I tak, wiem część z rzeczy, których chcesz się dowiedzieć. I nie, to nie będzie łatwe. Dla żadnej z nas. Ale będzie dobrze. Mówię ci to jako Bast. A Bast nigdy się nie myli – Daneh, dziwnie tym uspokojona, poszła z nią z powrotem do domu. W ciszy elfka przegrzebała kredens z alkoholem i wyciągnęła butelkę wina, potem rozpałała ogień i obie usiadły w fotelach przed kominkiem. Wyciągnęła kielichy i napełniła oba po brzegi.

– Wypij – powiedziała, wskazując na kielich. Daneh podniosła go i pociągnęła łyceczek.

– Nie, *wypij* – powtórzyła Bast, biorąc własny i przechylając, by go osuszyć. Daneh przełknęła, po czym uniosła kielich i również go opróżniła. Było to wino, nie brandy, ale wzmacniane, zimowe, z większą niż zwykle zawartością alkoholu. W kielichu prawdopodobnie mieściło się go więcej niż wypita brandy, której łyknęła przed wyjściem do gospody. Nagle przypomniała sobie, że nie jadła obiadu. Bast znów napełniła oba kielichy i skinęła głową.

– Zostałaś zgwałcona przez Dionysa McCanoca – zaczęła elfka. – I innych.

– Ilu?

– Było... siedmiu innych. – Daneh zaczęła dygotać. – Nie wydaje mi się...

– *Będiesz* o tym mówić – oznajmiła Bast. – *Musisz*. Możesz o tym mówić. Powracasz do tego każdej nocy. I nie mów po prostu do siebie, mów do mnie. Bast wie. Bast zna zło, które zakrada się nocą, w snach i bez nich, och tak, Bast zna.

– Ty...?

– – Wiele trzeba, żeby zgwałcić elfa – odpowiedziała mętnie Bast. – Znam zło w ludziach i elfach. Jestem *stara*, Daneh. Widziałam zło wojen SI. *Wiem*. Czyli było ich ośmiu. Trzymali cię?

Daneh wzięła głęboki wdech i zaczęła mówić. Z początku przerywając, ale w miarę, jak Bast wyciągała z niej szczegóły ostrożnie sformułowanymi pytaniami, wszystko zaczęło się wylewać, jakby znów to przeżywała, każdy okropny moment, jakby wszystko znów się działo. W chwili, kiedy zaczęła płakać, uświadomiła sobie, że wypila większość butelki wina i zdziwiła się, jak do tego doszło.

– Czyli. A... – odezwała się Bast, kiedy tamta skończyła. – Jest w tym coś jeszcze. Co ma z tym wspólnego Herzer?

Daneh zawahała się i popatrzyła na elfkę, przechylając głowę na bok.

– Ty i Herzer jesteście...

– Przyjaciółmi – z uśmiechem wyjaśniła Bast. – On też nosi blizny. Nie zainwestowałam w niego tyle czasu, ile w ciebie, ale wystarczająco. Chcę się od ciebie dowiedzieć, jak wyglądają jego blizny.

– Był z Dionysem, kiedy mnie złapali – powiedziała Daneh. – Było ich zbyt wielu, a Dionys był uzbrojony w miecz. Nie miał żadnej możliwości obronienia mnie przed gwałtem. Więc... uciekł. Próbował mnie po drodze uwolnić, przynajmniej tak mi się wydaje. Ale nie udało mu się to. A potem wrócił... po wszystkim.

– Czyli tak... – Bast westchnęła. – Ale się wszyscy świetnie bawimy. Próbowałaś z powrotem wsiąść na konia?

– Nie – odparła Daneh ze ściśniętym gardłem.

– Mnie się zdaje, że nie upłynęło dość czasu. – Bast skinęła głową. – Opowiedz mi o snach.

– Ja... to... trudne.

– Cięższe niż sam gwałt, mnie się zdaje – z nieszczęśliwym uśmiechem zgodziła się Bast. – W takim razie to ja powiem ci kilka rzeczy. Przeżywasz gwałt, prawda?

– Tak – sztywno przytaknęła Daneh.

– I czasami powodem, dla którego budzisz się z przerażeniem jest fakt, że doznajesz orgazmu.

– Bast!

– Prawda? – brutalnie spytała elfka. – Prawda. Daneh ukryła twarz w dłoniach i kiwnęła głową.

– Tak.

– To normalne – stanowczo oznajmiła Bast. – Myślisz, że jesteś zła, chora albo pokręcona i bez szans na naprawę, prawda? Ale to *normalne*. Przynajmniej dla ludzi.

– To chore – powiedziała Daneh przez łzy.

– Hai, jedną z przyczyn, dla których my, elfy, nie mamy wątpliwości, że luzie pochodzą z ewolucji, jest fakt, że do tego stopnia jesteście pokręceni umysłowo, dobrze zaprojektowany gatunek nie byłby tak chaotyczny.

– Więc elfy nie mają takich problemów z gwałtem? – zapytała Daneh, wbrew sobie zainteresowana.

– Bardzo trudno jest zgwałcić elfa – powtórzyła Bast. – Jeszcze trudniej to przeżyć. Mało jest rzeczy, które potrafią wyrwać elfa ze Snu, jeszcze mniej potrafi wywołać w nas nienawiść. Elfy są zbyt szczęśliwe, by nienawidzić. Ale kiedy już do tego dojdzie, nienawidzimy w pełni. Zgwałcona elfka śni, och tak. Ale śnimy o nowych, jeszcze okropniejszych rzeczach, które zrobimy z gwałciicielem. Wciąż na nowo śnimy o ich śmierci. Elfy *bardzo* dobrze nienawidzą, jedną z rzeczy, do których nas zaprojektowano jest nienawiść. Ale zazwyczaj jesteśmy zbyt szczęśliwi. Ciesz się. Gdyby elfy nie były tak zadowolone, nie byłoby już ludzkości. Musisz z powrotem wsiąść na konia, ale jeszcze nie teraz. wiedz jedno, kiedy do tego dojdzie, nie będzie przyjemnie. Nie *ważne jak bardzo* kocha cię Edmund, znów tam wrócisz. Gorzej, może ci się to podobać, istnieje coś takiego jak zły seks i to właśnie to.

–

– Tak – powiedziała Daneh.

– Ale będzie lepiej – zapewniła Bast ze wzruszeniem ramion. — Za każdym razem będzie odrobinę łatwiej. Inny problem. Co teraz myślisz o mężczyznach. – Ja... nie jestem pewna. Niektórzy... są w porządku. Inni... sprawiają, że mam ochotę krzyczeć.

– Uważaj, żeby nie zacząć nienawidzić wszystkich. Łatwo wpaść w tę pułapkę, uciec od nich i życzyć wszystkim śmierci. Nawet elfy nie nienawidzą w ten sposób. Każdy człowiek jest inny. Ci, od których chce ci się krzyczeć, prawdopodobnie coś od nich czujesz. Ufaj temu instynktowi. Ale nie nienawidź ich wszystkich. To też są uszkodzenia, nad którymi musisz popracować. Ostatnie Wielkie Pytanie: czy poddawałaś się, *zanim* zostałaś zgwałcona?

Daneh otworzyła usta, by wypowiedzieć swój ulubiony protest, ale zaraz je zamknęła. To było dobre pytanie.

– Nie... otwarcie.

– Bawiłaś się w takie gry?

– Nie – przyznała. – Nigdy nie mogłam... nie chciałam się do tego przyznać.

– Nawet z Edmundem? – zapytała Bast, zaskoczona. – Nie ma zboczenia w tę stronę, ale bardzo dobrze gra w tę grę.

– Nawet z Edmundem.

– Hai. Pewnie wiedział. Fantazje?

– Tak – powiedziała cicho. Gwałt?

Daneh umilkła, potem westchnęła.

-Tak.

– Dobrze. Doktor Bast zaleca nie bawić się w tę grę przez jakiś czas.

Daneh nic nie mogła na to poradzić, zaczęła chichotać, co zmieniło się w głośny śmiech, który następnie w jakiś sposób przeszedł w łzy, aż płakała tak mocno, że nie mogła złapać tchu. Uświadomiła sobie, że wylądowała w objęciach Bast, mocno obejmowana jej ramionami.

– Płacz, mały człowieku, płacz – wyszeptała Bast. – Płacz, aż wylejesz z siebie wszystko. Łzy to jedyna rzecz, która pokazuje, że ludzie jednak mogli mieć Stwórcę. Zbyt słabi, zbyt wrażliwi, boją się całego świata. Jeśli jednak to Ona przyłożyła do tego rękę, to dała im łzy, i dzięki nim potrafią przetrwać.

Daneh w końcu złapała oddech i spojrzała na trzymającą ją elfkę.

– Dziękuję – powiedziała, a potem, z jakiegoś powodu, pocałowała ją w usta.

– Proszę bardzo – odparła Bast, kiedy zakończył się pocałunek. – Ale nie dzisiaj, boli mnie głowa.

Daneh znów zaczęła chichotać i potrząsnęła głową.

– Mnie też. To chyba przez to wino.

– Tak, i myślę, że powinnaś już pójść do łóżka – oświadczyła Bast, bez wysiłku unosząc większą kobietę ze swoich kolan. – Sama.

– Sama – zgodziła się Daneh i była trochę zaskoczona i zmartwiona tym, że nie była wcale pewna, czy *chciała* być sama. Nigdy dotąd nie miała seksualnych myśli o innych kobietach. – Bast, nie chcę, żebyś myślała, że... – umilkła.

– Wszystko w porządku, uznałabym to za jeszcze jeden efekt gwałtu – odparła Bast, prowadząc swą towarzyszkę do łóżka. Rozebrała ją, położyła i pocałowała w czoło. – Wiele rzeczy się od tego w tobie pomieszało. Ale będzie ci lepiej. Zaufaj Bast. Śpij. Głębokim snem bez snów.

– Żadnych snów – sennie wymruczała Daneh, zastanawiając się, czemu jest taka zmęczona.

– Śpij, mały człowieku – powtórzyła Bast, kładąc dłoń na jej czole. – Śpij dobrze.

Zapadając w sen, Daneh zauważyła jeszcze, że Bast zwija się na podłodze, jakby planowała tam zostać. I jeśli jakieś koszmary szykowały się, aby zakłócić jej sen, uciekły na widok trzymającej miecz postaci w bieli.

* * *

Sheida ze zmęczeniem kiwnęła głową awatarowi Ishtar, a potem westchnęła na widok jej twarzy.

– Co tym razem? – zapytała, odwijając z karku swoją pokrytą klejnotami jaszczurkę i tuląc ją w ramionach.

– Odkryłam, skąd frakcja Paula pobiera energię – bez wstępów wyjaśniła Ishtar. – To moc odciągana z akumulatora rdzeniowego.

– Ale... – Sheida umilkła. – Ale z akumulatora rdzeniowego energię mogą pobierać tylko elfy. W

ten sposób właśnie Pani zamknęła Elfheim.

– To nie jedyna możliwość poboru energii – gorzko wyjaśniła Ishtar. – Używają energii z projektów terraformacyjnych.

– Och – powiedziała Sheida po chwili namysłu. – Jak... naprawdę dobre.

– Nie udało mi się natomiast ustalić, czemu mogą się nią posługiwać – mówiła dalej Ishtar. – Muszą mieć kworum rady nadzorczej jednego – lub większej liczby projektów – które zgodziłoby się przekazać energię. A jakoś... nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Ja tak – po dłuższym namyśle orzekła Sheida. – Ale, och, to dobrze przygotowany plan... – mruknęła pod nosem.

– Jaki plan? – zapytała Ishtar, marszcząc brwi.

– Edmund powiedział mi, żeby w centrum tego wszystkiego szukać Demona – krzywiąc się, wyjaśniła Sheida. – I wydaje mi się, że musi mieć rację. Zostałam... poproszona, żeby przyjrzeć się niektórym wydarzeniom przed... wybuchem tej wojny. W Projekcie Terraformacji Wolfa 359 działy się pewne niepokojące rzeczy. Jedną z osób, które doszły tam do wysokiego stanowiska był... ktoś dobrze mi znany. Nie jest to dobra osoba i nie ktoś, kto...

– Dba o coś, co w niczym osobiście mu nie pomoże? – dokończyła Ishtar.

– Coś w tym rodzaju. Ale to nie trzymało się kupy. Teraz już tak. I naprawdę mamy kłopoty.

– Ale co z resztą rady nadzorczej? Muszą być obecni na głosowaniu!

– Przypuszczam, że istnieje protokół na sytuacje awaryjne i głosowanie kadłubowe – uznała Sheida, otwierając Sieć w poszukiwaniu danych. – Tak, istnieje – powiedziała nieobecny głosem. – I choć nie potrafimy odkryć stanu i położenia członków rady, Matka bez wątpienia potrafi. Jeśli dostatecznie się przygotowali, żeby umieścić w radzie większość swoich ludzi...

– Wtedy ich zaufani członkowie rady byłiby jedynymi, którzy pozostali -wyszczała Ishtar. – Czyste zło.

– I Tak, i zbyt bizantyńskie jak na Paula – dodała Sheida, wynurzając się ze strumienia danych. – Wszędzie tu widać ślady Demona.

– Co z tym zrobimy? – zmartwiła się Ishtar.

– Znajdziemy więcej członków rady nadzorczej – zdecydowała Sheida. – I skłonimy ich, żeby przegłosowali zatrzymanie energii, a przynajmniej wstrzymanie przekazywania jej Paulowi.

– I jak tego dokonamy? – Ishtar wyrzuciła ręce w powietrze. – Nie wiemy, gdzie jest *ktokolwiek*.

– Wyślemy listę do stojących po naszej stronie społeczności – odrzekła Sheida, wyciągając dokumenty. – To wszyscy członkowie żyjący w chwili Upadku – dodała przyglądając się nazwiskom. – Znasz kogoś z nich?

– Nie. – Ishtar popatrzyła na twarz koleżanki. Sheida znieruchomiała z wyrazem wściekłości rysującym się na twarzy. – Co?

– Ja znam.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

– Musimy zakończyć tę wojnę – oświadczył Paul, podnosząc wzrok znad raportu. – *Musimy ją zakończyć. Natychmiast.*

Paul zwołał pełne zebranie Rady Sojuszu Nowego Przeznaczenia w celu „przedyskutowania niektórych konsekwencji aktualnego konfliktu”. Celine wiedziała, że będzie kontrowersyjnie, gdy tylko przybyła, zastając Paula chodzącego tam i z powrotem po Sali Rady i dosłownie wrywającego sobie włosy z głowy. Zawsze myślała, że to tylko takie wyrażenie.

– Czemu? – zdziwił się Chansa, patrząc przez salę na Demona. Czarna zbroja nie drgnęła nawet po tym oświadczeniu.

– Tyle śmierci! – krzyknął Paul, wskazując na projekcje. – W końcu udało nam się przeprowadzić spis ludności w kontrolowanych przez nas częściach Ropazji i tysiące, *miliony* ludzi umiera, albo już zginęło! To nie miała być *wojna!* Chodziło o *zapobieżenie* wymarciu rasy ludzkiej, nie *spowodowanie* tego!

– No i co z tego – warknęła Celine. – Przecież *wygramy!* Mam plany!

– Plan *zawiodł!* – warknął Paul. – Zmuszenie ich do rezygnacji było dobrym pomysłem, ale nie wobec groźby śmierci *rasy* ludzkiej!

– Prawdę mówiąc, Bowman, plan powiódł się znacznie lepiej, niż się spodziewałeś – zagrzmiał Demon.

– Co? – zapytał Paul, podejrzliwie przekrzywiając głowę. – Wyjaśnij to.

– Ja mogę, Paul – wtrąciła się Celine, jednym machnięciem ręki wymazując projekcje i przywołując nowe. – Przygotowałam raporty. Aktualnie populacja ziemi wynosi troszkę ponad jeden miliard. Zabrakło kontroli nad Siecią, zawiodło zasilanie, a różni członkowie Rady przejęli kontrolę nad obszarami historycznymi. Chansa we Fryce, Sheida w Norau, ty w Ropazji i tak dalej.

– I co? – głośno warknął przywódca Rady.

– Rzecz w tym, że przez pierwsze dwa miesiące umieralność będzie wysoka. Bardzo wysoka. Ale na każdym z tych obszarów, członkowie Rady, zgodnie ze swoimi przekonaniem, działają, by ocalić jak najwięcej ludzi.

– Wciąż mówimy o *milionach* śmierci! – krzyknął Paul.

– -Ale mówimy też o znacznie bardziej znaczącym zwiększeniu populacji -kontynuowała Celine, jakby nikt jej nie przeszkadzał. – Faktycznie musimy się liczyć prawie z podwojeniem populacji w ciągu dwóch lub trzech kolejnych pokoleń.

– Co? – Paul znieruchomiał. – Jak?

– Szczerze mówiąc, twój pierwotny plan prawdopodobnie by się nie powiódł – powiedziała Celine. – Jak długo istniałyby sztuczne sposoby replikacji i zarządzania reprodukcją, poziom

przyrostu naturalnego pozostałby niski, niezależnie od tego, jak bardzo byś go promował. Kiedy jednak to wszystko zniknęło, przyrost naturalny musi bardzo mocno podskoczyć.

–

– O czym ty u diabła mówisz? – wykrzyknął Paul.

– Nanity zostały wyłączone – z uśmiechem wyjaśniła Celine. – A to oznacza, że włączyło się coś innego.

* * *

Rachel sprzątała dom, kiedy znalazła ją Daneh.

– Chodź, dziewczyno, czas zacząć twoją edukację – oznajmiła, chwytając torbę.

– Co masz na myśli? – Jej matka zachowywała się tego ranka inaczej. Rachel nie była w stanie tego zdefiniować, ale wydawało się, że zniknęła gdzieś część pochłaniającej ją rozpacz. Niezależnie od przyczyn, cieszyła się.

– Powiedziałaś, że chcesz zostać lekarką – wyjaśniła Daneh, kierując się do drzwi. – Bethan Raeburn dostała wewnętrznego krwotoku. To wszystko, co wiem.

– No *chodź*.

Tom Raeburn czekał przed domem z dwoma osiodłanymi końmi i wyglądał na bardzo zmartwionego.

– Co możesz mi powiedzieć? – zapytała Daneh, wsiadając na konia.

– Niewiele. Mama nagle zupełnie bez powodu zaczęła krwawić. Z... no, z dołu.

– Z odbytu? – dopytywała się Daneh. – Są różne powody, dla których może dojść do czegoś takiego, ale żaden z nich nie zagraża życiu. – Zaczęli już cwałować w dół wzgórza, nie trzymając się drogi, tylko jadąc na przełaj wokół miasta.

– Nie z... odbytu. – wyjaśnił Tom. – Z... *drugiej* strony. Przepraszam, jeśli wyrażam się niejasno, ale to moja *matka*, rozumiecie?

– Dobrze – odpowiedziała Daneh. Wytężyła mózg, usiłując wymyślić, co mogło być nie tak i coś nie dawało jej spokoju. Ale w tej chwili jedyne, co przychodziło jej do głowy to jakaś wewnętrzna rana. – Czy upadła? Została uderzona?

– Nic o tym nie wiem – odparł Tom.

Daneh utrzymała tempo, aż dotarli do farmy, po czym pospiesznie pognęła do środka z Rachel trzymającą się tuż za nią.

Weszły na piętro, gdzie przed drzwiami sypialni, załamując ręce, stał Myron.

– Dzięki Bogu, że tu jesteś, Daneh – przywitał ją. – Ja... ona... nie potrafię tego znieść. Proszę, pomóż jej!

– Zobaczę, co mogę zrobić, Myron – odpowiedziała Daneh, obawiając się, że tak naprawdę nie

będzie w *stanie* wiele zrobić. Bez nanitów była praktycznie bezradna. Znała zasady działania ludzkiego ciała, ale *naprawienie* go wymagało narzędzi, którymi już nie dysponowała.

Wewnątrz zastała leżącą w łóżku Bethan, najwyraźniej nagą, zwiniętą w zbolały kłębek na boku i owiniętą prześcieradłem.

– Jak się czujesz, Beth? – zapytała, ściągając osłonę. Między udami kobieta ścisnęła kłęb szmat, poplamionych na czerwono. Z jej nogi ściekała wąska strużka na łóżko. Wszystko to wyglądało, jakby wyleciało z niej przynajmniej koło litra krwi.

– Daneh -jęknęła bezradnie Bethan. – Nie wiem, co się *dzieje*.

– Spokojnie. – Daneh, ujęła jej rękę w nadgarstku. Pamiętała prostą metodę sprawdzania pulsu, ale nie miała możliwości zmierzenia czasu. Jednak puls kobiety wydawał się być równomierny, silny i trochę tylko przyspieszony, ale to mogło wynikać ze zrozumiałego strachu. – Jakie masz symptomy poza krwawieniem? – zapytała, obmacując kark i twarz kobiety. Żadnych śladów gorączki i choć była trochę blada, nie wydawała się znajdować w szoku.

– Nic – odpowiedziała Bethan. – Byłam ostatnio trochę... zrzędliva, a potem, wczoraj, rozboleł mnie brzuch. A dzisiaj po prostu zaczęłam krwawić!

– Żadnych wstrząsów? – dopytywała się Daneh. – Przepraszam, że o to pytam, ale nikt cię nie *uderzył*, prawda?

– Nie! -praktycznie krzyknęła Bethan. – Przepraszam, przepraszam. Jak już mówiłam, jestem rozdrażniona. To *ja* miałam ochotę uderzyć *ich*, nie odwrotnie!

– Nie wygląda na to, żeby był jakiś *powód* – powiedziała z rozpaczą Daneh. – Nawet nie mogę tego *zaszyć*. I nie mogę się dostać do środka, żeby zobaczyć, co krwawi! – Wiedziała, że nie powinna okazywać niepewności przed pacjentem, ale pierwszy raz musiała sobie radzić z czymś takim. – Żadnych narzędzi, żadnej diagnostyki. Argh! Muszę pomyśleć. – Przyjrzała się kobiecie i znów zmierzyła jej puls. Wciąż silny. – Bethan, cokolwiek się *dzieje*, nie widać żadnych innych objawów. Nie wyglądasz na... uszkodzoną z powodu krwawienia. Niech no pomyślę.

Wstała i zaczęła chodzić po pokoju, przypominając sobie anatomię żeńskiego układu rozrodczego. Najwyraźniej coś się mocno zepsuło. Szyjka macicy, macica, jajowody, jajniki... Coś sfiksowało. Nie zwracała zbyt wielkiej uwagi na ten układ od czasów szkoły medycznej, po prostu był, równie bezużyteczny jak wyrostek robaczkowy, którego większość ludzi nawet już nie miała. Przy rozmnażaniu z zastosowaniem replikatorów macicznych wszystko to zostało wyprowadzone *na zewnątrz* ciała kobiety, Bogu dzięki i... O *Mój Boże!*

Znieruchomiała z twarzą w dłoniach, oślepią własną głupotą. Ale nie była jedyną osobą, która przeoczyła oczywiste.

– Bethan, czy wasze krowy rozmnażają się naturalnie, czy dorastają w replikatorach? – zapytała.

– Rozmnażają się naturalnie. Próbujemy... Och!

– I czy kiedykolwiek krwawią? Samice?

– Tak, po owulacji – wyjaśniła Bethan przerażonym głosem.

– Jak często?

– Mniej więcej co sześć miesięcy. Ale ludzie...

– Kobiety przechodzą owulację co *miesiąc!* — zawyła Daneh. — *Przekleństwo!* Cholera, *wiedziałam*, że to coś znanego!

– To *naturalne*? – zapytała Bethan. – To *powinno* się dziać?

– Raz w miesiącu – oznajmiła Daneh, wreszcie przypominając sobie wszystko. – Co dwadzieścia osiem dni.

– Jak długo?

– Nie wiem... tydzień?

– O mój Boże!

– Mamo, a co ze mną? – spytała nerwowo Rachel.

– Ty, ja, my wszystkie – skostatowała Daneh.

– Kiedy się to zacznie?

– Wkrótce. Bethan jest pierwsza. Przypuszczam, że jeszcze przed wieczorem pojawią się następne. Pola nanitowe wyłączały owulację i równocześnie wypuszczały do obiegu hormony zastępujące te produkowane naturalnie w trakcie cyklu. Teraz znów będziemy *niewolnicami* tego diabelnego przekleństwa!

–

– To *ohydne* – oznajmiła Rachel. – Ja tak nie będę!

– Nie masz wyboru – odparła Daneh, myśląc gorączkowo. – Kiedyś mieli sposoby na... powstrzymanie upływu. Pojęcia, stare pojęcia. Na szmatę. Ujeżdżanie bawełnianego kuca.

– Gdzie ja to już słyszałam? – spytała Bethan.

– Znajdziesz to w literaturze dawnych epok. Daneh zaczęła wymieniać: - King, Moore, Hiaasen...

– Ach, mistrzowie. – Bethan uśmiechnęła się słabo.

– Nie wiem, czego używali, ale lepiej o czymś pomyślmy. I to szybko. Albo w całym mieście zapanuje piekielny bałagan.

– Nie umieram – uśmiechnęła się Bethan radośnie.

– Nie, przechodzisz absolutnie normalny cykl miesięczny, który przeżyły niezliczone kobiety przez całe eony – odparła uszczypliwie Daneh. – Ale wiąże się z tym też dobra wiadomość.

– Och? – niepewnie spytała Bethan.

– Tak, to oznacza, że jesteś teraz równie płodna, jak twoje krowy. Ile jeszcze dzieci planujesz?

Trzy dni odpoczynku zostały skrócone przez rozpoczęcie klas zapoznawczych i już drugiego dnia po przybyciu do Raven's Mill Herzer znalazł się w mieszanej grupie kobiet i mężczyzn oczyszczających teren wzdłuż rzeki Shenan, po drugiej stronie w stosunku do Raven's Mill

Praca była potwornie ciężka. Większość drzew w okolicy pochodziła ze starego wtórnego odrostu. Oznaczało to, że choć obszar ten kiedyś został oczyszczony, znajdując się faktycznie na peryferiach potężnego megalopolis – które rozciągało się na całe wybrzeże – budynki i inne struktury już dawno się poddały, ustępując miejsca wielu pokoleniom lasu.

Herzer nie znał nazw drzew i właściwie go to nie obchodziło. Stanowiły po prostu okropne, rosnące rzeczy, które należało atakować za pomocą topora i piły. Podejrzewał, że biorąc pod uwagę swoją przyjaźń z Bast, powinien wykazywać więcej zrozumienia. W końcu widziała, jak drzewa te wyrastają z nasion, żołądzi czy czegośkolwiek, i kochała je jak dzieci. Ale trudno było żywić ciepłe uczucia wobec drzew, kiedy ręce spływały krwią z odcisków.

Zgodnie z grafiką odrabiał swoje tury przy dwóch posiadanych przez grupę piłach poprzecznicach i było to bardzo ciężkie. Ruch wymagał zaangażowania mięśni, z których posiadania nawet nie zdawał sobie dotąd sprawy, i po pierwszej godzinie przeżywał prawie agonię. Efektywne zastosowanie piły wymagało odpowiedniej pozycji i ruchów przypuszczalnie dla doświadczonego użytkownika tego typu urządzenia stosunkowo łatwych. Stosunkowo. Przesuwanie piły w przód i w tył, godzina za godziną, nigdy nie mogło być opisane jako łatwe. A do tego dochodziła jeszcze kwestia współpracy. Prawie niemożliwe było stwierdzenie, czy osoba na drugim końcu piły pracowała równie ciężko, i aż kusilo założenie, że faktycznie udawała tylko wysiłek, zwłaszcza przy niektórych z bardziej opornych drzew.

Już rankiem pierwszego dnia Herzer zauważył, że nie wszyscy pracowali równo. W grupie znajdowało się dziesięciu mężczyzn i pięć kobiet, w większości młodszych niż on i Mike. Herzer, Mike i parę innych osób, kobiet i mężczyzn, rzucili się na pracę z całą energią i entuzjazmem, na jaki było ich stać. Mike zdawał się wykazywać szczerą chęć poznania szczegółów tego zajęcia, podczas gdy Herzer po prostu zawzięcie odmawiał dania z siebie mniej, niż mógł.

Jednak większość pozostałych znalazła się tu po prostu, by dostać żetony żywnościowe. Pierwszego dnia było trochę marudzenia odnośnie „pracy niewolniczej”, zwłaszcza gdy dowiedzieli się, jak będą pracować, ale załóżki buntu zostały szybko stłumione przez nadzorcę grupy oczyszczającej teren, rekreacjonistę o nazwisku Jody Dorsett.

Dorsett stanął z rękami na biodrach przed grupą „uczniów”, którzy po prostu upuścili trzymane w rękach topory. Spojrzał na nich zimnymi, niebieskimi oczami.

– Możecie je podnieść i zacząć pracować albo zrezygnować. Mnie jest wszystko jedno. I jeśli nie będziecie pracować tak ciężko, jak moim zdaniem powinniście, mogę zatrzymać wasze racje. Więc nie myślcie, że możecie po prostu podnieść topory i raz na jakiś czas klepnąć drzewo. Widziałem wszystkie sztuczki i jeśli zobaczę coś takiego w waszym wykonaniu, zostaniecie *wyrzuceni* z programu.

Tak więc symulanci niechętnie wrócili do pracy, a Herzer i kilku innych rzucili się na przydzielone im zadania.

Dla Herzera i Mike'a zaczęło się od poprzecznicy. Celem było przewrócenie drzewa w

określonym kierunku tak, żeby można je było łatwiej obrobić i zabrać, ale drzewa nie zawsze chciały iść na współpracę. Prawdę mówiąc, wydawały się zdeterminowane tego nie robić.

Herzer razem z drugim mężczyzną, którego imienia nie dosłyszał, zaczął ścinać niewielkie, ale bardzo twarde drzewo. Do przerżnięcia mieli zaledwie około dwóch trzecich metra, ale zajęło im to prawie godzinę. Najpierw nacięli z jednej strony ukośną szczelinę, po czym wbili w nią drewniane kliny. Po dokonaniu tego nacięli drugą stronę toporem i zaczęli ciąć piłą. Ostrze zgięło się raz czy dwa, w związku z czym trzeba było luzować kliny po rozpychającej stronie i wciskać je od strony ciętej. W końcu, choć myśleli, że nigdy już nie uda im się obalić tego drzewa, przewróciło się, ale w niewłaściwą stronę. Z początku wydawało się, że wszystko idzie, jak należy, ale potem rozcięcie u podstawy pękło i drzewo obróciło się, częściowo pod wpływem dość silnego wiatru, i skierowało się prosto na Herzera.

Tylko szybki krzyk nadzorcy, uważnie obserwującego swoich młodych podopiecznych, sprawił, że chłopak uniknął zmiżdżenia. I tak lewie udało mu się odskoczyć z drogi pnia i został solidnie uderzony przez jedną z mniejszych gałęzi.

Jedynym komentarzem Jody'ego było warknięcie z powodu wykrzywienia i prawie złamania ostrza piły pod pniem. Gdy tylko udało się uwolnić i wyprostować, wysłał Herzera i jego nowego partnera do ścięcia *większego* drzewa, z pniem o średnicy prawie dwóch metrów, z powykręcanyimi gałęziami szeroko rozpościerającymi się na wszystkie strony. Herzer zajęczał ze zmęczenia, ale zabrał się do pracy bez dalszych komentarzy.

A niemal natychmiast pojawiły się pęcherze. W przeciwieństwie do większości miał stwardniałą skórę na dłoniach, ale stwardnienia pochodziły z miecza i łuku, zupełnie nie pasując do topora i piły. Tak więc bardzo szybko jego dłonie napęczniały bąblami, które równie szybko popękały w nieustającym tarcu.

Tym razem Herzer znalazł się w parze z mężczyzną o nazwisku Earon Brooke. Był on jednym z krótkotrwałych buntowników i zgodnie z jego wcześniejszym zachowaniem Herzer był *pewien*, że nie robił wiele więcej niż opieranie się na końcu piły. Herzer musiał praktycznie przepychać ją przez każde cięcie, zamiast po prostu poruszać się z nią i może dociskać trochę dodatkowo. A kiedy ciągnął, odczuwał większy opór niż jego zdaniem powinien, prawie sprawiało to wrażenie, jakby mężczyzna opierał się na niej i pozwalał się Herzerowi ciągnąć.

Chłopak wytrzymał to przez około dziesięć minut, co ledwie pozwoliło im naciąć skraj potężnego pnia, po czym stwierdził, że ma dość. Puścił swój koniec piły po zakończeniu ciągnięcia i podszedł do swego towarzysza.

Earon był wysoki i dobrze wyglądał, ale miał najbardziej rozbiegane oczy, jakie Herzer kiedykolwiek widział. Jednak był przynajmniej o dobrą dekadę starszy od niego i Herzer bardzo starał się nie dać się tym zastraszyć.

– Słuchaj, nie wykonujesz swojej części pracy – spokojnie powiedział Herzer. – Nigdy nie skończymy ścinać tego drzewa, jeśli się trochę do tego nie przyłożysz.

– *Ja* nad tym pracuję – oświadczył Earon, robiąc krok do przodu i warcząc na chłopca. – Jeśli ktoś się tu nie przykłada, to ty, chłopcze. I nie obwiniaj mnie, jeśli się boisz, że to coś znów na ciebie spadnie. Tamto *nie ja* zawałam, tylko *ty*.

– O czym ty u diabła mówisz? – Herzer cofnął się. – Nie obijam się, *ty* właśnie to robisz!

– Niech mnie diabli, jeśli tak! – Earnon krzyknął i mocno pchnął Herzera w klatkę piersiową tak, że ten zatoczył się do tyłu.

– Hejże – wtrącił się Jody, podchodząc od tyłu do Herzera i chwytając go za ramiona, gdy ten zbierał się do skoku. – Nie! Żadnych walk! Herzer, Earnon, obaj nie dostaniecie obiadu!

– Co? – powiedział Herzer, rzucając się w jego ramionach. – Próbowałem tylko zmusić go do jakiegokolwiek *pracy!*

– Ten chłopak nie robi nic, tylko zwisa ze swojego końca piły – praworządym tonem oznajmił Earnon, krzyżując ręce na piersiach. – Potem przyszedł tu i oskarżył mnie, że nie pracuję. Nie zamierzam tego tolerować. I nie możesz mi odebrać posiłku za bronienie swoich praw!

– Mogę cię ukarać, jeśli tylko źle na mnie *spojrzysz*, Brooke – groźnie rzekł Jody. – I gdybym miał zgadywać, kto tu robi kłopoty, to raczej nie byłby to Herzer. Ale *obaj* zostaniecie ukarani za walkę. Teraz możecie albo stąd uciekać, albo wracać do pracy. Tak naprawdę nie dbam o to, co wybieriecie.

– Zamierzasz się opanować? – Jody zapytał Herzera, uwalniając go.

– Tak – powiedział chłopak, potrząsając głową i odrywając poszarpaną skórę z pęcherzy. Minęła dopiero połowa ranka, a już był piekielnie głodny. Ominięcie obiadu będzie *bolesne*. – Aleja tego nie zacząłem.

– Jeśli masz problem, przychodzisz do mnie – oznajmił Jody. – Nie zaczynasz walki.

– Próbowałem tylko...

– Nie wywołujesz walki. – Jody zmarszczył się groźnie. – Przychodzisz do mnie.

– Dobrze, przychodzę do pana – cicho odparł Herzer, odwracając się w stronę szefa. – Nie dbam o to, do czego mnie pan zagoni, ale nie zamierzam ścinać tego cholernie wielkiego drzewa z tym bezużytecznym dupkiem.

– Do diabła z tobą, gnojku – wrzasnął Earnon, rzucając się na niego.

– Dość tego! – krzyknął Jody, wchodząc między nich. – Uważaj, co mówisz, Herzer. Dobra, jeśli nie potraficie pracować razem, w porządku. – Rozejrzał się wokoło i potrząsnął głową, widząc, że zamarła wszelka praca w grupie. – Czy to wygląda na uliczne przedstawienie? – krzyknął. – Co wy jesteście, banda minstreli, żeby siedzieć cały dzień na tyłkach? Wracać do pracy! – Potem machnął na jednego z mężczyzn. – Tempie, chodź tutaj.

Odczekał, aż młody mężczyzna podszedł i skinął na Herzera.

– Jeśli nie potrafisz pracować w parze, idź ścinać konary.

– *Potrafię* pracować w parze... – gorąco zaczął Herzer.

– Idź – nakazał Jody, wskazując na upuszczony przez Tempiego topór.

Herzer już bez słowa podszedł do topora i zabrał się za odrąbywanie opuszczonego przez

chłopaka konara.

Topór miał szeroką i zaokrągloną głowicę zamocowaną na okrągłym trzonku. Zaprojektowano go bardziej jak topór bojowy niż narzędzie do rąbania drewna, ale został dostatecznie naostrzony i każde z wściekłych uderzeń Herzera odłupywało kawałek gałęzi. Drzewo, którym się zajmował, było takiej samej wielkości co pozostałe, ale zamiast szeroko rozpostartych gałęzi, miało je dość krótkie i gęste. Mimo wszystko u podstawy były grube i wymagały sporej dawki rąbania. I Herzer bardzo się z tego cieszył, ponieważ dało mu to możliwość spalenia swojej wściekłości na niesprawiedliwość świata. Nie potrafiąc pozbyć się gniewu, umieszczał cios za ciosem w gałęzi, aż odrywała się od pnia, po czym natychmiast zabierał się do następnej. W miarę jak pracował, rytm uderzeń i fizyczne zmęczenie ciężkim wysiłkiem w narzuconym sobie tempie spalały gniew i stopniowo zaczął odzyskiwać równowagę i myśleć trzeźwo o incydencie, zamiast tylko wściekać się na niesprawiedliwość wyroku.

– Musisz trochę zwolnić, bo się zabijesz – powiedziała Courtney, podchodząc do niego od tyłu.

Kiedy to mówiła, topór odbił się bokiem i o milimetry minął jego nogę, więc ustawił go z powrotem na linii i odłożył, dysząc.

– Masz rację – przyznał, odwracając się.

Niektóre z kobiet zaczęły pomagać przy ścinaniu, ale większa masa mięśniowa mężczyzn szybko udowodniła, że potrafili robić to szybciej i dłużej. Z drugiej strony dwie kobiety wciąż pracowały, jakby chcąc dowieść, że były tak samo dobre albo i lepsze niż którykolwiek z mężczyzn. Jedną z nich była Deann Allen, która na *wszystko* rzucała się z taką furją, jak Herzer na drzewo, a drugą Karlyn Karakas, która musiała przejść jakieś poważne przeróbki ciała, miała ponad dwa metry wzrostu i budowę jak *mężczyzna* kulturysta. Deann była znacznie mniejsza, ale bardziej agresywna w pracy, wydawało się, że jest potężnie przewrażliwiona na tym punkcie, a ponieważ ociosywała gałęzie równie dobrze, jak którykolwiek z mężczyzn, Jody nawet nie próbował sugerować, żeby to zostawiła.

Pozostałe trzy kobiety: Courtney, Nergui Slovag i Hsu Shilan wzięły na siebie lżejsze obowiązki. Odciągały na bok odrąbane gałęzie i zbierały je na stos, przynosiły narzędzia, wciskały kliny i roznosiły wodę.

Dlatego właśnie Courtney podała mu gliniany kubek w połowie napełniony wodą.

Potrząsnął głową, wypił wodę i zapatrzył się na kubek. Był kiepsko wykonany i widać było na nim odciski palców utrwalone we wnętrzu przez wypalanie. Jego brzeg już był pęknięty i lekko przeciekał, tak więc trzymającą go dłoń zwilżała sącząca się woda.

Dokładnie w tej chwili dotarła do niego rzeczywistość i przez chwilę myślał, że się załamie i zacznie płakać. Naprawdę tu był i *musiał* pracować albo głodować. I nigdy, przenigdy już nie wróci. Nagle, desperacko zapragnął zobaczyć swoją małą chatkę w lesie. Nigdy nie była dla niego niczym więcej niż tylko miejscem, gdzie spał i trzymał kilka cennych rzeczy. Ale zapragnął położyć się w swoim łóżku i żeby dzinn przyniósł mu szklanekę piwa i duży stek. Chciał, żeby to wszystko okazało się tylko dziwnym snem i żeby się *skończyło*.

– Wyglądasz, jakby ktoś zabił ci psa — zauważyła Courtney. – Ta woda jest aż taka zła?

– Nie. – Herzer spróbował nie pociągać nosem. – Nie. Po prostu... właśnie nagle uświadomiłem

sobie, że to *wszystko*. Że to właśnie będę robił przez resztę życia!

– No cóż, miejmy nadzieję, że nie *to* – radośnie odpowiedziała Courtney, potem poważnie kiwnęła głową. – Ale... tak.

– Ja tylko... – Herzer przerwał i potrząsnął głową. – Nieważne. Dzięki za wodę.

– PRZERWA OBIADOWA! – zawołał Jody, uderzając o siebie dwoma kawałkami metalu. Machnął w stronę Herzera. – Możesz sobie zrobić przerwę na czas obiadu.

– Czemu? – zapytał Herzer, wzruszając ramionami i podnosząc z powrotem topór. – Będę dalej pracował.

Jody przyglądał mu się przez chwilę z enigmatycznym wyrazem twarzy, potem kiwnął głową i skierował się do kotła dymiącego nad ogniskiem.

– To niesprawiedliwe – żywo zaprotestowała Courtney. – Nie ty to zacząłeś.

– Wiem. – Herzer splunął na dłonie i rozprowdził ślinę po krwawiących pęcherzach. – Ale wydaje mi się, że chyba to rozumiem.

– Co, stwierdzenie, że nie możesz *jeść*? Bo narzekałeś na tego bezużytecznego dupka? – zapytał Mike, podchodząc.

– Z powodu tego, *jak* chciałem to załatwić – odpowiedział Herzer, wyprowadzając pierwsze uderzenie w następną gałąź. – Nikt z nas nigdy nie musiał *pracować*, żeby żyć. Musimy się nauczyć jak. Również, jak pracować w grupie. Jody ma ciężkie zadanie i jedyny sposób, w jaki może je wypełnić, to być ostrym.

– Cóż, wkurzył dzisiaj sporo ludzi – podchwyciła Courtney, patrząc w stronę miejsca, gdzie na nadzorcę gromy ciskał Earnon. Było jasne, że mężczyzna nie potrafił uwierzyć, że nie dostanie posiłku.

– Wiem, Earnon już zaskarbił sobie przyjaciół. – Herzer pokiwał głową.

– Och, to nie to – zaprotestowała dziewczyna. – Przypuszczam, że kilku z nich nie podoba się to z jego powodu. Ale większość z nas jest wkurzona, że *ty* się w to dostałeś. To Earnon jest problemem, nie ty.

– Och – powiedział Herzer. – Och. Dzięki.

– Musimy iść zjeść – stwierdził Mike, ujmując Courtney za ramię. – Herzer, możemy ci trochę zostawić...

– Jeśli Jody się dowie, pewnie ukarze i was oboje – odmówił Herzer, potrząsając głową. – Idźcie jeść.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Mniej więcej w połowie popołudnia Herzer zataczał się ze zmęczenia i głodu. Wciąż odrąbywał gałęzie z pni i robił to w całkiem dobrym tempie, ale nie wiedział, jak długo jeszcze będzie w stanie funkcjonować. Ramiona miał jak z ołowiu i szumiało mu w głowie. Co jakiś czas zaczynał się chwiać i uderzenia topora nie lądowały już tam, gdzie celował.

Nawet nie zauważył, kiedy od tyłu podszedł do niego Jody i podskoczył, kiedy mężczyzna odchrząknął. Topór odbił się od gałęzi i wyleciał mu z rąk.

– Tak właśnie myślałem – stwierdził Jody. – Mike powiedział mi, że nie miałeś pełnych trzech dni odpoczynku.

– Mike czy Courtney? – zapytał Herzer, mrugając, bo wydawało mu się, że na brzegach pola widzenia wszystko szarzeje.

– Mike, ale podejrzewam, że skłoniła go do tego Courtney. Zdajesz sobie sprawę, że odrąbałeś dwa razy więcej gałęzi niż ktokolwiek inny?

– Nie, nie zwracałem uwagi — odpowiedział Herzer ze szczerością upitego w sztok.

– Musisz odpocząć i napić się wody. Ci, którzy pracują ciężko są równie zmęczeni, jak objający się, którzy zresztą są coraz lepsi w udawaniu pracy, więc przyspieszam kolację i skończymy pracę przed zachodem. Ale jutro zaczynamy o świcie.

– Dobrze. – Herzer cofnął się i usiadł na oczyszczonym pniu. – Dla mnie może być.

– Zrób sobie przerwę, to rozkaz – oznajmił Jody i gestem przywołał jedną z roznosicielek wody.

– Proszę. – Nergui gwałtownym ruchem podała mu kubek z wodą, wylewając przy tym połowę jego zawartości na ziemię.

– Dziękuję – odparł zmęczonym głosem Herzer i osuszył naczynie. – Czy mogę dostać jeszcze trochę?

– Tylko jeden – gniewnie mruknęła dziewczyna. – Do źródła jest daleko. Musisz zwolnić, przy tobie reszta wygląda gorzej.

– Nie wszyscy – zauważył Herzer, osuszając drugi, do połowy wypełniony kubek. – Tylko niektórzy.

– I co, szczęśliwy jesteś, sukinsynu? – powiedział Mike, siadając obok niego.

– Tylko nie ty! – słabo zaprotestował Herzer.

– Żartuję – z kamienną twarzą odrzekł Mike. – Naprawdę. Ale nie pracowałbym tak ciężko, gdybym nie próbował dotrzymać ci kroku. Zrobili cię z cholernego żelaza, czy co?

– Nie w tej chwili – stwierdził Herzer. – Czuję się jak z gumy. A przy okazji, co jest z Nergui?

– Skumała się z Earnonem — wyjaśnił Mike. – Nie zauważyłeś?

– Nie.

– Podobni jak dwie krople wody. W każdym razie wścieka się, bo Earnon nie dostał obiadu, a ją prawie złapano na podawaniu mu jedzenia. A poza tym pracujesz jak jakaś cholerna maszyna i przez to on wygląda dwa razy gorzej. Wiesz, że Jody *dwukrotnie* musiał mu zmieniać partnerów, a to drzewo *wciąż* nie jest przecięte nawet do połowy?

– Hmm... – wydobyl z siebie w odpowiedzi Herzer, pierwszy raz od rana rozglądając się dookoła. Ścięto kilka drzew i w większości oczyszczono je z gałęzi, a ich pnie leżały teraz w błocie, czekając na odtransportowanie. Gałęzie, liście i inne śmieci zostały zebrane w duże stosy i nagle uświadomił sobie, identyfikując drzewa, ile z tych stosów stanowiło efekt jego pracy.

Ale potężne drzewo o rozłożystych konarach, które stało się powodem konfrontacji, wciąż stało i zgodnie ze słowami Mike'a, jego pień nie był przecięty nawet do połowy.

– Cóż, przypuszczam, że to dowodzi, kto pracował, a kto nie. – Herzer zachichotał, a potem roześmiał się w głos. – I Jody zostawił go przy tym przez cały dzień?

– Tak. Narzekałem lekko wczesnym popołudniem. Przez cały cholerny dzień byłem przy drugiej pile i powaliliśmy trzy drzewa. Oni nie przerznęli nawet jednego.

Herzer spojrział na pozostałe drzewa i musiał przyznać, że choć tamte były mniejsze, ścięcie ich wymagało znacznie więcej pracy niż tego jednego.

– Wydaje mi się, że Jody po prostu próbuje dać coś do zrozumienia – uznał Herzer. – Nie jestem pewien *co*, ale jestem raczej przekonany, że coś tak.

– Och, wiem, o co mu chodzi – zaburczał Mike. – Że Earnon to beużyteczny obibok.

– Miałeś innych partnerów? – zapytał Herzer.

– Tak, przepuścił przez moją pilę praktycznie wszystkich. Niektórzy z nich są w porządku. Guy, Cruz i Emory ciągną, ile potrafią. Przypuszczam, że Tempie i Gladys tak naprawdę się specjalnie nie przykładają, po prostu robią to, co muszą. Frederic, Cleo i Earnon są zupełnie do niczego.

Herzer znów zachichotał i wskazał brodą na Karlyn, która podnosiła właśnie na ramię gałąź wielkości małego drzewka.

– Tak, Karlyn też jest w porządku. Przeważnie. Przypuszczam, że czasem brakuje jej masy. Podobnie jak Deann, ale ona nadrabia to furją.

Ta ostatnia odrąbywała właśnie czubek jednego z drzew, które w większości zostały już oczyszczone z gałęzi. Gdy drzewa zwięzły się poniżej pewnej średnicy, nie miało sensu oczyszczanie reszty, więc czubek odcinali i odciągali na stos gałęzi. Deann miała jeden z toporów typu bojowego i atakowała drzewo z malującą się na twarzy wściekłością tak, jakby był to kark wrogiego smoka.

– Drzewa! Ona nienawidzi drzew! – wyszeptał Herzer, chichocząc.

– -No cóż, jeśli myślisz, że *to* źle wygląda, powinieneś być widzieć siebie, kiedy zaczynałeś – powiedziała Courtney, podchodząc i siadając koło Mike'a. – Bałam się, że chcesz przystawić ten

topór do karku Jody'ego!

– Nie Jody'ego – zaprotestował Herzer. – Ale gdyby Earnon podszedł kontynuować rozmowę, to wolałbym nie robić żadnych zakładów.

– Zastanawiałam się nad tym, co wcześniej powiedziałeś – oznajmiła Courtney. – I miałaś rację. Ale jest coś jeszcze.

– Tak?

– To właśnie to, co przed chwilą powiedziałeś. Nie ma już OPO. Jeśli zdecydowałbyś się zabić Earnona tym toporem, nikt nie byłby w stanie nic na to poradzić.

– A więc Jody wciska się wszędzie, gdzie mogłoby dojść do walki – dodał Mike. – Zacząłem się wściekać na Frederica, kiedy byłem z nim przy pile, ale potem po prostu poszedłem i porozmawiałem z Jodym. Frederic próbował się wtrącić, ale Jody po prostu kazał mu się zamknąć i wysłał go do ścinania szczytów drzew. Nie robiłem mu żadnych wyrzutów, czy coś, po prostu powiedziałem Jody'emu, że tylko udaje robotę i nie chcę z nim pracować.

– Pewnie i ja powinienem był tak postąpić – stwierdził Herzer.

– Cóż, gdybym nie widział przykładu.-zrobiłbym to samo – przyznał Mike. - I pewnie do tego rozbiłbym łeb temu bezużytecznemu draniowi. Więc choć nie jestem szczególnie *zadowolony*, że padło na ciebie, to... – Wyszczrzył zęby i podniósł gałązkę, używając jej do czyszczenia zębów.

– JEDZENIE!

Herzer dołączył do innych w kolejce i wziął należną mu porcję fasoli i chleba kukurydzianego. Tym razem też nie było nic więcej, więc po odebraniu przydziału usiadł na jednym z pni i przez chwilę przyglądał się swojej kolacji.

– Będiesz to jadł, czy tylko się temu przyglądał? – zapytał Mike, wyławiając fasolkę między kęsami chleba.

– Po prostu tyle radości sprawia mi oczekiwanie – lekko powiedział Herzer. – Ale szybko tego nie będzie! – Chwycił łyżkę, a potem odłożył ją z powrotem, odniósł miskę do ust i wypił jej zawartość. Na dnie znalazł mały, bardzo mały kawałek wieprzowiny i przez chwilę go smakował, a potem wytarł naczynie do czysta chlebem. Po chwili był już po kolacji.

Zastanowił się nad wylizaniem miski, ale w końcu zmusił się, żeby tego nie robić. Zamiast tego zaniósł ją do stosu brudnych naczyń i nalał sobie z beczki pełen kubek wody.

– Herzer, masz – powiedział Jody, podchodząc do niego z dużą miską grysiku kukurydzianego. Herzer widział zanurzone w nim tajemnicze kawałki mięsa.

– Hej! – krzyknął Earnon. – Ja też nie dostałem obiadu! Czemu u diabła on dostaje dodatkową porcję?!

– Ponieważ nie siedział na tyłku przez całe popołudnie – odparł Jody przy akompaniamencie głośnych chichotów. – Jeśli czegoś nie zjesz, rano będziesz do niczego. A zasłużyłeś sobie na to.

– Dziękuję. – Herzer ostrożnie przyjął miskę. Po chwili wzruszył ramionami i wypił jej zawartość

tak samo jak wcześniejszą fasolkę.

Jody zachichotał i odstawił naczynie na stos, razem z resztą.

– Nie martw się tym, kucharze to umyją.

– Dobra, ludzie, sytuacja wygląda tak – oznajmił Jody, podchodząc do miejsca, gdzie większość jego ekipy kończyła jedzenie. – Możecie wracać do Raven's Mill albo zostać po tej stronie rzeki. Jeśli zostanieie tutaj, pokażę wam, jak przygotować sobie schronienie. W każdym razie śniadanie jutro będzie przed świtem. Więc jeśli pójdziecie tam, lepiej poproście kogoś, żeby was obudził i przyjdźcie na czas, bo was ominie.

– Co będzie na śniadanie? – zapytał Earnon. – I czemu nie możemy po prostu zjeść w mieście?

– Ponieważ nie dostaniecie jeszcze żetonów żywnościowych – wyjaśnił Jody. – Karmimy was w zamian za pracę. I będziemy to robić *tutaj*. Jeszcze jakieś pytania?

– Jak mogę się wypisać z tego interesu? – z gorzkim śmiechem zapytał Cleo Ronson.

– W każdej chwili możesz po prostu odejść. A jeśli będę słyszał więcej narzekań, *zostaniesz* wypisany. *Jeszcze* jakieś pytania?

– Jutro robimy to samo? – zapytał Mike.

– Mniej więcej. Musimy w kilka tygodni oczyścić spory obszar. Będziemy ścinać drzewa jeszcze przez trzy dni, potem oczyścimy pnie i spalimy śmieci. Następnie zajmiemy się wznoszeniem prymitywnych budynków. Potem skończycie z tą częścią i dostanę nową ekipę. — Rozejrzał się i kiwnął głową. - Dobra, pozbierajcie narzędzia i ustawcie je, a zaczniemy robić z tych śmieci schronienia.

Herzer podniósł swój topór i starannie odłożył go z innymi narzędziami, czując, jak ogarnia go potężna i nieoczekiwana fala zmęczenia. Zanim się zorientował, wszystko, co był w stanie zrobić, to utrzymać się na nogach. Wysłuchał instrukcji Jody'ego, jak przygotować szałas, ale przy potężnym zmęczeniu i obolałych dłoniach nie potrafił w sobie znaleźć energii na zbudowanie go. Wziął jeden z dostarczonych im koców, podszedł do potężnego drzewa, które nie zostało jeszcze ścięte i zwałił się na jeden z olbrzymich korzeni, opierając głowę częściowo na nim, częściowo na ziemi. Usnął, zanim zdążył się wygodnie ułożyć.

* * *

– Potrzebujesz trochę snu – powiedział Edmund po wejściu do drewnianego szałasu, w którym urządzono tymczasowy szpital mający funkcjonować do czasu, aż będzie gotowy odpowiedniejszy budynek. Daneh pochylała się nad wiadrem z parującą wodą, myjąc ręce, podczas gdy Rachel i jeszcze jedna kobieta czyściły zakrwawione narzędzia.

– Nie zaczynaj – odparła zmęczonym głosem. – Musiałam dzisiaj zrobić dwie amputacje, jedną większą i jedną mniejszą, próbując równocześnie wbić do głowy kobietom w obozie informację, że niedługo zaczną krwawić.

– Musimy o tym porozmawiać – rzekł Edmund. – Zażądałaś praktycznie każdego kawałka materiału w mieście, i to *wszystko* z badwabiu. Mamy też *inne* potrzeby, Daneh.

– Wiem, ale to jest potrzebne *natychniast*. Kończą mi się bandaże. A kobiety albo dostaną materiał, albo zaczną chodzić po mieście, zostawiając wszędzie ślady krwi. Co wolisz?

– Pytam się tylko najuprzejmiej, jak to możliwe, czy potrzebujesz aż *tyle* - odparł Talbot, biorąc głęboki oddech. – Materiał jest nam niezbędny do produkcji narzędzi. Potrzebny jest też do naprawy ubrań, większość szybko będzie w strzępach.

– Jeśli nie będziemy potrzebować wszystkiego, oddamy, to co zostanie - zapewniła. – Nie będziemy niczego wyrzucać. Nakazuję kobietom prać materiał i wykorzystywać go ponownie. Zużyjemy tylko tyle, ile będziemy musiały. I to z korzyścią dla całego obozu, Edmundzie.

– Dobrze, Daneh – ustąpił, wzdychając. – Powiedziałaś, że rozmawiasz z kobietami w mieście, a co z obozami?

– Jeszcze o tym nie pomyślałam – odrzekła zmęczonym głosem, patrząc przez otwarte okno w mrok. – Teraz jest już za późno...

– I jesteś tu potrzebna – dokończył Edmund. – Rachel. Ty to zrobisz. Jutro. Pojedź do każdego z obozów i do wszystkich grup, które przechodzą przez szkolenie. Jeśli ktoś będzie ci robił trudności, powiedz mu, żeby przyszedł do mnie. Porozmawiaj ze wszystkimi kobietami, powiedz, co się wydarzy i że mamy przygotowane materiały.

– Tak jest, sir! – mruknęła sarkastycznie.

– Młoda damo, wciąż jesteś dość młoda, bym mógł cię przerzucić przez kolano – z uśmiechem oświadczył Edmund. – Uważaj na swój ton.

– Och, nie chciałabym, żeby *tatus* się na mnie pogniewał – odcięła się. - Zdajesz sobie sprawę, że *ja też* mogę zacząć w każdej chwili, prawda?

– Tak, pomyślałem o tym. – Talbot uśmiechnął się. – Zastosuj odpowiednie środki ostrożności.

– Środki ostrożności – z westchnieniem powtórzyła Daneh. – Zdajesz sobie sprawę, że do tego zalicza się unikanie ciąży?

– Albo przerwanie jej, jeśli do tego dojdzie – potwierdził Talbot, kiwając głową. – Baranie jelita do tego pierwszego i wrotycz na drugie.

– Mówisz serio. – Daneh spojrzała na niego uważnie. – Co mają wspólnego *baranie* jelita z zapobieganiem ciąży?

– No cóż, widzisz, smarujesz się nimi po całym ciele... – zaczął Edmund i roześmiał się, widząc wyraz jej twarzy.

– Edmund...

– Dobrze, tak na poważnie, to używa się zewnętrznej, twardszej warstwy jelit owczych w charakterze prezerwatywy.

– *Czego!* – zapytała Rachel. – Co to wszystko u diabła znaczy?

– Prezerwatywa wiąże się z profilaktyką – odpowiedziała Daneh. – Ale...

– Bierze się fragment baraniego jelita odpowiedniej długości, odcina i zszywa szczelnie jeden koniec – sucho wyjaśnił Edmund. – Mężczyzna nasuwa jelito, które przed użyciem można zmiękczyć wodą, na swojego penisa. Zapobiega to dostaniu się ejakulatu do ciała kobiety.

– To... nieprzyzwoite – z grymasem stwierdziła Rachel.

– I oczywiście niektórzy mężczyźni muszą używać zwierząt większych niż owce – z chichotem kontynuował Edmund, teatralnym gestem poprawiając sobie pasek.

– To prawdopodobnie może działać – kiwając głową, zgodziła się Daneh. – Ale szew miałby tendencję do przeciekania. I musiałabym ci *znaleźć* królika...

– Przypuszczam, że można to nawoskować – z namysłem zasugerował Edmund, ignorując przytyk. – Testowałoby się to przez napełnienie wodą i sprawdzenie, czy przecieka.

– Nie mogę uwierzyć, że o tym rozmawiacie – wtrąciła się Rachel. – *Dajcie spokój*.

– Rachel, od dawna chciałaś być traktowana jak dorosła – nie odwracając się, odpowiedział Talbot. – Witamy w dorosłym traktowaniu. Jeśli chcesz, możemy potraktować cię jak dziecko i kazać ci wyjść.

Rachel otworzyła usta, gotując się do ostrej odpowiedzi, ale zaraz je zamknęła.

– Dobra, należało mi się – przyznała. – Ale pozwólcie mi przypomnieć, że jesteście moim *rodzicami*. Może jestem zbyt młoda na pewne rozmowy, ponieważ dyskusja na temat wielkości penisa mojego ojca *zdecydowanie* się do nich zalicza. Dobra?

– Dobra – zgodził się ze śmiechem Edmund. – Przepraszam.

– Co to jest wrotycz? – zapytała Daneh.

– Och, zioło. Tak naprawdę to wszystko, co o nim wiem. I że to dość silny środek poronny.

– Jest tyle rzeczy, o których nie mam pojęcia – z westchnieniem przyznała Daneh. – Edmund, *proszę*, kiedy następnym razem będziesz rozmawiał z Sheidą, powiedz jej, że zasłuży na przekleństwo siostry, jeśli nie wymyśli jakiegoś sposobu, na udostępnienie mi tekstów medycznych.

– Powiem jej.

– To nie powinno wcale wymagać tyle energii – dodała Daneh.

– Powiem jej.

– I naprawdę tego potrzebujemy.

– *Powiem jej* – powtórzył.

– Dobrze. I jeszcze jedno, ludzie zapracowują się na śmierć.

– *Niektórzy* ludzie zapracowują się na śmierć – poprawił Edmund. – O co chodzi?

– Musimy zacząć szkolić ich w zakresie bezpieczeństwa. Mamy do czynienia z ludźmi, którzy nigdy w życiu nie trzymali topora, a teraz pracują jako drwale, i ludzi, którzy pracują z maszynami, choć nigdy nie mieli z nimi kontaktu. Ta większa amputacja dotyczyła mężczyzny, który pracując w

młynie, nie miał dość rozsądku, żeby użyć jakiegoś urządzenia do dźwignięcia końca potężnej belki. Stracił na trwałe sporą część stopy, została zbyt zmiażdżona, żeby choć myśleć o jakiejś naprawie. Wiem, że w dawnych czasach nikt tak naprawdę nie przejmował się bezpieczeństwem poza stosowaniem zasady: „spróbuj nie dać się zabić”. Ale myślę, że stać nas na coś więcej, prawda?

– Zajmę się tym – obiecał, wyciągając plik kartek i ołówek. Uniósł je w górę, powstrzymując jej wybuch. – *Zajmę się tym*. Masz rację, w dawnych czasach tak naprawdę nie przejmował się tym nikt oprócz poszkodowanych. I możemy to poprawić. Ale *nie mogę* tego zagwarantować. Ścinanie drzew to nieuchronnie niebezpieczne zajęcie, o ile nie ma się systemów zasilania i ochrony. A nawet wtedy zdarzają się wypadki. Podobnie jest z uprawą ziemi. Nigdy nie było wiele lepiej, przez wszystkie tysiąclecia, kiedy parali się tym ludzie. Więc nie wiem, co dokładnie możemy zrobić. Ale *spróbuję*. Dobrze?

– Dobrze – przytaknęła. – Ostatnia sprawa do ciebie. Musimy ustalić dzień wolny. -Daneh...

– Każde społeczeństwo w historii miało dzień odpoczynku – mówiła dalej, ignorując wtrącenie. – Przeważnie miały naturę religijną, ale wcale tak nie musi być. Ludzie pracujący tak ciężko, *muszą* mieć trochę wolnego czasu. Proponowałabym jeden dzień na siedem, ponieważ taki był dawny standard i to się sprawdzało.

– Może niedziela? – zasugerował, rozbawiony.

– Wszystko mi jedno, który dzień tygodnia wybierzesz, o ile tylko to zrobisz.

– Dobrze, sprawdzę, który będzie najbardziej odpowiedni. Mamy tu kilku żydów i przynajmniej jednego mahometanina, wydaje mi się, że oni świętują w piątki.

– Soboty – wtrąciła się Rachel. – Przynajmniej dla żydów. Od piątku wieczór, do soboty wieczór, jeśli dobrze pamiętam.

– W takim razie sobota – uciął Edmund, wruszając ramionami. – Będziemy też musieli pomyśleć o świętach. Niewielu. Ale masz rację, ludzie potrzebują trochę wolnego czasu.

– Kane sprowadził swoje stado. Weź jutro konia od Toma Raeburna – Daneh zwróciła się do Rachel. – Weź dużą torbę z jakimiś bandażami i przejedź się po obozach. Wprowadź kobiety w to, co się dzieje i sprawdź ogólny stan zdrowia. W mieście jest sporo drobniejszych wypadków, przypuszczam, że w obozach podobnie.

– Tak, mam – odparła Rachel zmęczonym głosem, po czym podniosła głowę, rumieniąc się. – Przepraszam. Masz rację. I to odpowiedzialność. Dziękuję.

– Poradzisz sobie. Jeśli jest tam ktoś poważnie ranny, kto nie został zgłoszony, sprowadź go do mnie.

– Tak.

– Myślę, że to już wszystko – stwierdziła Daneh.

– W takim razie, odpocznij trochę – zaproponował Edmund. – Wracaj do domu. Nie chcę, żebyś wstawała w środku nocy, o ile nie będzie to naprawdę awaryjna sytuacja.

– Ja zostanę tutaj – wtrąciła Rachel. – Jeśli pojawi się coś drobnego, sama się tym zajmę.

– Dobry pomysł – ucieszył się Talbot. – Milady?

– Idę – zgodziła się Daneh. – Dobranoc, Rachel.

– Dobranoc mamó, tato. – Odczekała, aż pójdą, potem dokończyła sprzątaną szpitala i rozejrzała się. Jedynym miejscem, gdzie mogła się położyć, był twardy stół operacyjny, ale musiał wystarczyć. Kładąc na niego kilka koców umościła się najwygodniej, jak mogła, i przewróciła się na bok. Wiedziała, że za nic nie uśnie, ale kiedy tylko o tym pomyślała, jej umysł zanurzył się w sen.

* * *

O poranku Herzer czuł się jak worek kamieni.

Obudził się pod wpływem potrząsającej nim ręki i jęknął. Był zwinięty w kulkę na boku i każdy mięsień w jego ciele protestował przeciw ruchowi.

– Wstawaj – powiedział Jody w miarę łagodnie. – Jest już śniadanie i masz tylko trzydzieści minut najedzenia. Lepiej się pośpiesz.

Herzer nie czuł się ani trochę głodny, ale wymuszona poprzedniego dnia głodówka wciąż żywo odciskała się w jego myślach, więc podniósł się na nogi i doczłapał do kolejki.

Posiłek znów składał się z grysiku kukurydzianego z dodatkiem jakiegoś rodzaju herbaty ziołowej. Jednak tym razem sporo osób uznało, że nie będzie w stanie wiele zjeść. Część wzięła tylko pół miski, a niektórzy z biorących pełną, jak Courtney, nie zjadło wszystkiego. W potężnym kotle zostało dość, by Herzer, Mike i kilku innych mogło dostać dokładki, bo po zjedzeniu pierwszej porcji Herzer poczuł silny głód. Nie tylko dostał dodatkową porcję, ale czekając przy wiadrze na brudne miski zdołał zebrać resztki od kilku osób, które w większości oddawały je lekko speszone. Wyjątkiem była Nergui, która – widząc, jakie ma plany – wylała zawartość swojej prawie pełnej miski na ziemię. To wywołało ognistą reprimendę od Dorsetta.

– Nie marnuj jedzenia – warknął, podchodząc do niej od tyłu. – I tak nie mamy go dość. Zrób coś takiego jeszcze raz, a możesz pożegnać się z następnym posiłkiem!

Herzer zaczął się już czuć objedzony jak kleszcz, więc niechętnie odstawił pustą miskę do wiadra i ruszył po topór.

Z powątpiewaniem spojrzął na swoje dłonie. Skóra zaczęła już odrastać na zniszczonej dłoni, ale większość powierzchni wciąż była odsłonięta i brud mieszał się z żółtą breją, która pojawiła się na skórze. Nie wyglądało to zbyt apetycznie i jego żołądek przez chwilę pożałował obfitego posiłku. Praca toporem będzie musiała być bolesna, nawet trzymanie miski i posługiwanie się łyżką okazały się nieprzyjemne, ale chyba nie bardzo miał jakiś wybór. Kontemplował właśnie ponury dzień, kiedy usłyszał stukot kopyt zbliżającego się konia.

– Cześć, Herzer – przywitała go Rachel, zsiadając z wierzchowca na dość wysoko ścięty pień. Zdjęła zestaw toreb i pomachała w stronę Dorsetta. – Jody, jestem tu, żeby sprawdzić, czy ktoś nie potrzebuje pomocy medycznej, a potem muszę porozmawiać z kobietami w grupie.

– Jak długo to potrwa? – zapytał Jody. – Mamy do oczyszczenia spory teren.

– To zależy od tego, ile będę miała do zrobienia – odpowiedziała ostro. – Macie jakieś poważniejsze rany?

– Nie, ale kilku z nich ma poharatane dłonie – przyznał Dorsett, wskazując na Herzera. – Zaczynaj od niego, a ja sprowadzę innych. – Jody zaczął zbierać osoby, o których wiedział, że najbardziej poraniły sobie ręce poprzedniego dnia.

– Hej! – wrzasnął Earnon. – Ledwie mogę się ruszać, a plecy bolą mnie, jakby płonęły!

– Nie przyjechałam tu leczyć bolących mięśni – odwarknęła Rachel, przyglądając się dłoniom Herzera. – Dobry Boże, Herzer, coś ty sobie *myślał!*

– Myślałem, że mam dużo drzew do oczyszczenia – odparł chłopak, krzywiąc się, gdy obmacywała jego pozdzierane dłonie.

– Chodź do strumienia – zarządziła, podnosząc torby. – Jody, przyślij resztę do nas.

– Widziałaś Bast? – zapytał, gdy szli w stronę wody. Strumień był mętny od rozdeptanego błota, ale idąc w górę, doszli do miejsca, gdzie płynęła krystalicznie czysta woda.

– Kręci się po okolicy. Pomaga myśliwym w polowaniach. – Wsadziła jego dłonie do zimnej wody i łagodnie oczyściła zebrane na nich nieczystości. – Musisz to utrzymywać w czystości. Jesteśmy dość odporni na choroby, ale rany powierzchniowe mogą ulec paskudnym infekcjom.

– Będę o tym pamiętał – obiecał, sycząc z bólu.

– To żółte to ropa, normalne przy takich uszkodzeniach skóry, przynajmniej tak twierdzi mama. Masz mnóstwo szczęścia – dodała.

– Czemu? – zapytał, gdy wyciągnęła jedną z jego dłoni z wody i rozsmarowała na niej paskudnie wyglądającą zieloną maź. Widać w niej było fragmenty liści.

– Nieulepszeni ludzie potrzebowaliby całych dni, na wyleczenie takich uszkodzeń – odpowiedziała, wcierając maź. – To powinno pomóc w leczeniu. To niewiele, ale zawsze coś, i powinno utrzymać bakterie pod kontrolą.

– Mogę używać dłoni? – zapytał, mając nadzieję, że otrzyma odpowiedź przeczącą.

– Chciałabym, powiedzieć ci, że nie, ale za dużo jest pracy, żebyś mógł odpoczywać. – Wyciągnęła z torby pasy materiału i skóry i zaczęła owijać jego dłonie, najpierw badwabiem, potem skórą. Na koniec zawiązała węzeł utrzymujący osłonę na miejscu.

– Skóra ochroni wnętrze dłoni. Spróbuj na nie uważać, dobrze? Na szczęście palce nie wyglądają źle.

– Dobrze – odpowiedział, zginając dłonie. Bandaże faktycznie zmniejszyły nacisk na rany.

– Skóra prawdopodobnie odrośnie ci do jutra, a potem zacznie twardnieć. Jak już mówiłam, przynajmniej w tym mamy szczęście.

– Szczęście, tak – niezgrabnie przytaknął Herzer, po czym umilkł. – Jak się ma twoja mama?

– Nieźle sobie radzi – cierpko odparła Rachel. – Stara się być zajęta i wydaje mi się, że dobrze jej

to robi.

– Rachel, ja... – umilkł.

– Nie chcę o tym rozmawiać – powiedziała ostro, wstając. – Teraz już możesz wracać do pracy.

Herzer przyglądał się jej przez chwilę, potem kiwnął głową i skierował się do obozu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Rachel westchnęła, gdy skończyła zajmować się ostatnim z grupy z popękkanymi odciskami. Większość z nich nie była w tak złym stanie jak Herzer, ale kilku zbliżało się do niego. Pozbierawszy swoje rzeczy poszła z powrotem do obozu i rozejrzała się za Jodym. Leczenie dłoni stanowiło łatwiejszą część jej zadania.

– Jody, muszę teraz porozmawiać ze wszystkimi kobietami – oświadczyła nadzorcy.

– O co tu chodzi? – zapytał. – Wszystkie pracują.

– Jody, Edmund kazał mi tu przyjechać i wiem, że są zajęte. Naprawdę chcesz, żebym przeprowadziła z nimi tę rozmowę. Zaufaj mi.

– Dobrze – zgodził się niechętnie. – Courtney, Nergui, Shilan, Karlyn i Deann. Chodźcie tu!

Odczekał, aż kobiety zebrały się przy nim i odwrócił się w stronę Rachel, składając ręce.

– A teraz ty wybierzesz się na spacer – oznajmiła Rachel.

– Czemu?

– Ponieważ ja tak powiedziałam, Jody. – Rachel westchnęła. – Po prostu idź. Zaufaj mi, nie chcesz przy tym być.

Przez chwilę wbijał w nią gniewne spojrzenie, po czym odszedł.

– Panie, usiądźcie sobie. – Rachel wskazała na kilka powalonych drzew. Czeka nas kobieca rozmowę.

Powiedziała im o wizycie u Bethan i o tym, co wyszło z tej wizyty dla całego rodzaju żeńskiego, po czym przeczekwała erupcję.

– Żartujesz – krzyknęła Nergui. – To po prostu...

– Niesmaczne – przerwała jej Rachel. – Ale i prawdziwe. I nie odejdziesz sobie.

– Nigdy? – zapytała Karlyn z szeroko otwartymi oczami.

– Kiedy zostaną uwolnione wszystkie jajeczka, proces się zatrzyma, mniej więcej za pięćdziesiąt lat. Może później. Ale wtedy, bez hormonów, zaczynają się inne problemy. Można też cały czas być w ciąży.

– Pieprzyć to! – warknęła Deann.

– Czulaś się ostatnio trochę drażliwa? -jadowicie spytała Rachel.

– Jaki to ma związek? — ostro zareagowała Deann. — Wszystko to... – machnęła ręką wokół – musi człowieka wkurzyć.

– Bardziej drażliwa niż zwykle? – odpowiedziała Rachel, biorąc głęboki wdech. – Czuję, jak

wzbiera to *we mnie*, i pozwól, że ci powiem, wcale mnie to nie uszczęśliwia, absolutnie. *Zwłaszcza* nie mogę się doczekać boli. Bethan powiedziała, że to jak naciągnięty mięsień, który po prostu nie chce przestać boleć.

– Wszystkie takie będziemy? – zapytała Shilan. – Nie czuję się... drażliwa. Owszem, zmęczona, ale nie... bardziej zła.

– Nie wiem – przyznała Rachel. – Mama nie ma żadnych tekstów, które szczegółowo by to opisywały. Będziemy musiały się przekonać.

– To... to... – Courtney w końcu nie wytrzymała – To ssie.

– Owszem, to też robi – odpowiedziała Rachel. – Rozwiązujemy problem... przechwycenia upływu krwi. Jak bandaże, tylko na wasze... wasze części. I pamiętajcie, jesteście teraz wszystkie *plodne*. Za bardzo się zaprzyjaźnicie z waszym chłopakiem, a przez całe *miesiące* będziecie nosić dodatkowe pięć do dziesięciu kilo płodu wraz ze strukturami pomocniczymi.

– Nie wierzę, że tego słucham – prychnęła Nergui.

– Lepiej w to uwierz – gniewnie odparowała Rachel. – Uwierz. Albo skończysz, lejąc krwią po całej okolicy. Lub w *ciąży* – dodała z niesmakiem.

– Hej, co się tu dzieje – spytał Jody, podchodząc od strony wyrębu.

– Jody, nie chcę znów tego powtarzać – warknęła Rachel. – Ale do diabła, idź stąd!

– Słuchaj, dziewczyno...!

– Nie, to ty słuchaj! – wrzasnęła na niego. – To *kobieca* rozmowa. Mężczyźni nie są zaproszeni. Więc *wyноś się!*

– Nie dbam o to, kim jest twój ojciec...

– Nie tym, kto jest moim *ojcem*, musisz się martwić – oświadczyła Rachel, wstając. – I tak właśnie skończyłyśmy. – Odwróciła się z powrotem do kobiet, wciąż siedzących w pozycjach wyrażających zdumienie lub gniew. – Spróbujemy przysłać wam zaopatrzenie jeszcze przed wieczorem. Ale pamiętajcie, że może się to zacząć w każdej chwili.

– Och, cudnie. – Karlyn zgarbiła się z rezygnacją. — Cholernie cudownie. - Wstała i podeszła do swojego topora, rozglądając się za odpowiednią gałęzią- Gdy tylko taką zauważyła, zaczęła rąbać w nią, jakby był to diabeł próbujący wy leżć z otchłani.

Rachel krótko kiwnęła głową nadzorcy i wróciła do swojego konia, wrzuciła na niego torby, odwiązała go, wsiadła i odjechała galopem.

Następne dwa dni wyglądały bardzo podobnie. Z przyzwoitym jedzeniem – drugiego dnia dostali nawet potrawkę z sarniny i ziemniaki – oraz przy nieustannej pracy Herzer czuł, jak jego spore przeciw mięśnie nabierają siły. Dłonie wyleczyły się bardzo szybko, ale i tak trzymał na nich skórzane owijki. Razem z Mike'em powalili potężne drzewo – według słów Jody'ego dąb – które opierało się innym zespołom, i przez trzy dni grupa oczyściła spory obszar. Potem zabrali się do cięcia drewna na budulec.

W dzień po wizycie Rachel najpierw Nergui, a potem Shilan zaczęły narzekać Jody'emu na tajemnicze i różnorodne dolegliwości. Szybko zostały wysłane do miasta i wróciły z paczkami materiałów i dziwnymi taśmami. Jody – po wizycie najpierw Rachel, a później Daneh, która przykazała mężczyznom, żeby nie zadawali pytań – cierpliwie o nic się nie dopytywał. Ale kiedy Courtney w środku dnia złożyła się w pół, Mike nie zgodził się zaakceptować odpowiedzi, że to „kobieca sprawa” i sytuacja została wyjaśniona. Reakcje mężczyzn były bardzo różne: od rozbawienia do złości, zwłaszcza że szczegółów dowiadawali się z drugiej ręki, od innych kobiet. Tego wieczora, po sprowadzeniu jedzenia, okazało się, że większość kucharzy to mężczyźni z Raven's Mill pospiesznie oderwani od różnych innych zajęć. Najwyraźniej to, co działo się w obozie drwali, nie ominęło i innych miejsc, a sądząc po rzucanych pod nosem komentarzach płci brzydkiej, Raven's Mill pograżyło się w chaosie. Co gorsza, mężczyźni nie byli zbyt dobrymi kucharzami. Grysik był na wpół przypalony, a próba upieczenia chleba w czymś nazywanym holenderskim piekarnikiem skończyła się po prostu katastrofą.

Deann i Karlyn najwyraźniej cierpiały z powodu tych samych przypadłości, ale wróciły do rąbania drzew zaraz po zabezpieczeniu się odpowiednio spreparowanymi z badwabiu opatrunkami. Deann wspomniała, że czuła skurcze i lekkie osłabienie, ale w przypadku Karlyn prawie nie było efektów, poza krwawieniem, a i to słabym. Courtney, gdy tylko minęły jej skurcze, wróciła, jakby nic się nie stało, to samo dotyczyło Shilan. Nergui wciąż narzekała na silny ból i choć Jody raczej nie miał ochoty okazywać współczucia, bez jakiegoś obiektywnego sposobu oceny bólu, nie bardzo mógł nakazać jej powrót do pracy.

Wieczorem czwartego dnia Herzer podszedł ze swoim jedzeniem i usiadł z Courtney i Mike'em. Kiedy to zrobił, dosiedli się również Cruz i Emory.

– Czy ktoś zechce mi powiedzieć, co tu się właśnie stało? – gniewnie zapytał Jody.

– Nnnnie – ostrożnie odpowiedziała Deann, wstając i wycierając dłonie. – Nie, nie wydaje mi się, żebyś musiał wiedzieć. Jeszcze nie. A kiedy *będziesz* musiał wiedzieć, nie *będziesz chciał*.

– Nie – zgodziła się Courtney, wstając i podchodząc do swojego bukłaka.

– Och, och – westchnęła Shilan, odchodząc.

– Nawet o tym nie marz – rzuciła Nergui, wstając w końcu.

– Co się tu u diabła dzieje? – dziwił się Jody, kręcąc głową już przy wyrębie.

– Dziwne dni – mruknął Herzer.

* * *

Courtney spojrzała na niego i uśmiechnęła się słabo.

– Jak się czujesz? – zapytał Herzer, nabierając na łyżkę porcję fasolki. Tego wieczora posiłek był wyjątkowo dobry, jakiś rodzaj świetnie zamarynowanego mięsa z fasolą i odrobiną ostrej przyprawy.

– Lepiej – odpowiedziała Courtney. – Przynajmniej skończyły się skurcze.

– Czyli... to będzie trwało pięć dni? – wysunął przypuszczenie Herzer. - Przepraszam, ale wszyscy jesteśmy dość ciekawi. Jeśli nie chcesz o tym rozmawiać...

– Nie, w porządku. Po prostu w pierwszej chwili było to dla nas szokiem. Na swój sposób cieszę się, że jesteśmy tutaj, nawet nie chcę myśleć, jak to wyglądałoby w mieście.

– Ugh – wydobył z siebie Mike, nabierając kolejną łyżkę potrawy i przegryzając chlebem.

– Zasadniczo cały czas krwawimy, więc musimy nosić wkładkę z surowego badwabiu.

– Do tego były te paski? – zapytał Cruz.

– Tak. Nie wiemy, kiedy dokładnie się to kończy. I mówią, że za drugim razem może być gorzej. Karlyn prawie nie krwawi, podczas gdy Nergui przypomina fontannę.

– Fuj – powiedział Herzer, patrząc podejrzliwie na czerwonawą zawartość swojej miski.

– Miałam skurcze przez jakieś dwanaście godzin. Shilan i Karlyn nie miały ich wcale. Deann prawie została przez nie powalona. Widać było to po tym, jak pracuje. Moje były... dość bolesne. Nie mogłam pracować, chciałam się tylko zwinąć w kulkę i dobrze ogrzać, żeby tak nie bolało.

– Przykro mi – odezwał się Herzer.

– Czemu? Nic nie możesz zrobić – odparła z uśmiechem. – Nie wiem, jak długo to potrwa, doktor Daneh mówi, że *przeciętnie* pięć dni.

Emory nie odzywał się zbyt wiele, ale teraz zaczął chichotać.

– Co? – zapytała.

– Nie chcesz tego słyszeć – odpowiedział ponurym głosem. – Przypomniało mi się stare powiedzenie „nigdy nie ufaj czemuś, co krwawi przez pięć dni i nie umiera”.

– Och, dziękuję bardzo – burknęła Courtney z ogniem w oczach.

– Mówiłem, że ci się nie spodoba – zachichotał.

Herzer i Cruz dusili się ze śmiechu, podczas gdy Mike tylko się uśmiechał.

– Bardzo dziękuję. – Courtney zmarszczyła brwi, po czym wzruszyła ramionami. – Mężczyźni!

– Co z nimi? – zapytała Deann, przysiadając się na jednym z pniaków.

– Nie można bez nich żyć, a powinna być za to nagroda.

– Lepiej *pomyśl* o życiu bez nich. Chyba, że chcesz nosić dziecko.

– Co to znaczy? – ostro wtrącił się Mike.

– Nie próbuję odciąć cię od twojej... przyjaciółki – odpowiedziała Deann równie ostro. – Ale krwawienie oznacza, że znów jesteśmy płodne. Dokładnie tak jak inne zwierzęta. Więc jeśli pójdziesz z Courtney na bara-bara, to za dziewięć miesięcy spodziewaj się dzidziusia.

– Cóż... – Mike spojrzał na Courtney, która się zaczerwieniła. – My... myśleliśmy, że posiadanie dziecka może mieć sens. Ale skoro nie ma replikatorów...

– I w tym *rzecz*, kochasiu – odparła Deann. – Replikatory wcale nie przepadły. Teraz to *kobiety* są replikatorami. Jesteśmy *płodne*, Mike. Możemy mieć *dzieci*. Które rosną w naszych *ciałach* jak

jakieś cholerne pasożyty!

– To nie jest *takie* złe! – zaproponowała Courtney. – To znaczy... nie wiem. Właściwie to... nawet się na to cieszę. Chcę się przekonać, jak to jest.

– Ile razy? Mówisz o noszeniu w brzuchu około dziesięciu kilo materiału. – I co z tego? Przecież jesteśmy do tego specjalnie *zaprojektowane*? Do tego właśnie służą nasze ciała. Jasne, gdybym miała wybór, użyłabym replikatora. Ale już nie mogę wybierać. Więc...

– Więc zamierzasz zająć w ciążę? – z przerażeniem spytała Deann.

– Jeśli taki mam wybór — to znaczy albo to, albo rezygnacja z facetów – to tak – oznajmiła Courtney z kolejnym rumieńcem.

– Cóż za wybór — odezwał się Herzer, potrząsając głową.

– Człowieku, czy ta głupia wojna spieprzy dokładnie wszystko w naszym życiu? — prychnął Cruz.

– Niezły tekst – wymamrotał Emory.

– Co... O, cholera – powiedział Cruz i roześmiał się z innymi. Mike sięgnął nogą i postukał Herzera butem w stopę.

– Chyba masz gościa – wskazał nad jego ramieniem.

–

– Cześć, Herzer – odezwała się Bast, przyglądając się całemu towarzystwu. Nosila swój zwykły zestaw broni, ale dodatkowo na plecach miała koszyk.

– Bast – ucieszył się Herzer, sięgając w jej stronę.

– Witaj, kochasiu – powtórzyła, obejmując go serdecznie na powitanie. –Przejdźmy się.

– Wybaczenie – powiedział do grupy.

– Odniosę twoją miskę. – Z uśmiechem zaoferowała Courtney.

– Dzięki – odparł, a Bast okręciła go i chwyciła za rękę, prowadząc w las.

* * *

– Idziesz gdzieś, żeby się wykapać? – zapytał Herzer. Bardzo dobrze zdawał sobie sprawę, że jego ubranie śmierdziało potem.

– Jeszcze nie – odpowiedziała, gdy weszli z polany do lasu. – Później będzie na to czas. Dziś jest pełnia.

– I co to oznacza? – zapytał, gdy zatrzymała się, by wyciągnąć coś z ziemi.

– Że możemy widzieć dostatecznie dobrze, żeby się wykapać także i później, głuptasie – uśmiechnęła się do niego, czyszcząc z ziemi wykopany właśnie korzeń.

– Co to?

– *Armoracia*. Chrzan. To ostra przyprawa, którą dodaje się do jedzenia. Można go również stosować na kataplazmy i pomaga oczyścić górne drogi oddechowe. Przy zapaleniu oskrzeli. *Rumex*, czyli szczaw – ciągnęła, dotykając kolejnej, niewielkiej rośliny. Oderwała jeden mały liść i podała mu go. – Najlepszy jest ugotowany, zwłaszcza jako marynata do wieprzowiny, ale można go jeść na surowo.

Skosztował go i stwierdził, że choć jest lekko gorzkawy, to zasadniczo całkiem smaczny. Zerwał jeszcze kilka liści i poszedł za nią, czując się jak koń na pastwisku.

– *Lindera* – kontynuowała wykład, wskazując małe drzewko. – Można jej używać jako przyprawy lub herbaty. Najlepsza jest kora, ale można też wysuszyć pączki. *Betula* – kolejne drzewo, tym razem wysokie i z szeroką koroną. Rośnie przy strumieniach, tam gdzie wierzby i topole. Można żuć jego pączki i gałązki, mają korzenny smak, a łyko warto wykorzystać jako rodzaj gumy do żucia.

Wędrowali przez coraz ciemniejszy las, a Bast objaśniała roślinę za rośliną. Wiedziała, jakie lubią otoczenie, kiedy rosną, zastosowania medyczne i spożywcze i jakie zwierzęta się nimi żywią. Czasami widywali na swojej drodze niewielkie zwierzątka, więc nazywała je też i od niechcenia opisywała ich zwyczaje.

– Bast – powiedział w końcu opchany różnymi jadalnymi roślinami. – Czy jest coś, czego nie wiesz?

– Nie wiem, czemu ludzie nie mogą zostawić tych lasów ich własnemu losowi – odparła smutno.

Zatrzymał się przy jednym z maleńkich strumyczków, których pełno było wśród gór i spojrzał na nią. Słońce już zaszło, ale księżyc jeszcze nie wspiął się nad góry na wschodzie, po drugiej stronie doliny. Jego światło słabo przebijało się nad ich grzbietami, ale dolina wciąż pogrążona była w ciemności. Stanowiła ledwie widoczny kształt w gęstym mroku pod drzewami.

– Bast, zraniłem cię, ścinając drzewa? – zapytał łagodnie.

– Och, nie, nie jestem zła na *ciebie*, Herzer – powiedziała, podchodząc do niego i głaszcząc po policzku. – Chodź, już czas na kąpiel.

Poprowadziła go do wypełnionej wodą ze strumienia szczeliny w skałach, w sam raz na dwie osoby. Umyli nie tylko siebie, ale i wyprali przepocone i brudne ubranie Herzera, połowę czasu spędzając przy tym na chlapaniu się wodą. Księżyc powoli piął się do góry. W końcu oboje byli czysti i Bast wyciągnęła z głębin swojego koszyka futrzany koc. Potem rozpałała na brzegu strumienia małe ognisko i przygotowała lekką sałatkę z wiosennej zieleniny. Zjedli sałatkę w świetle ogniska, popijając ją wodą ze strumienia, a potem cieszyli się sobą, aż księżyc wspiął się wysoko na niebo.

Herzer obudził się wczesnym świtem, czując zapach dymu z żarzących się jeszcze węgli ogniska i sięgnął ku Bast, ale jej nie poczuł. Otworzył oczy i rozejrzał się, ale nigdzie nie zobaczył elfki. Został tylko jej koszyk i koc.

Przy ognisku leżał list, napisany węglem na korze.

Kochany, przyglądałam się, jak rosną drzewa w tej dolinie, zanim jeszcze usunięto miasta. Przyglądałam się, jak dolina wraca do naturalnego stanu i chodziłam tymi lasami od

niepamiętnych czasów. Znałam te drzewa od korzeni dokoron, od kiedy tylko się narodziły. Mogę je nazwać i opowiedzieć ci ich historię, każdego z nich.

Nie potrafię się już przyglądać, jak umierają.

Będę wędrować z dala od domostw ludzi i odwiedzać lasy i pola mojego życia. Może któregoś dnia wrócę, a może nie. Nigdy nie mówię do widzenia, tylko „esol”. Znaczy to „jutro znowu”. Pamiętaj nas.

Bast L 'sol Tamel d''San.

Herzer odłożył list po chwili bezmyślnego pocierania go, po czym rozejrzał się westchnął.

– Wspaniale, Bast. Bardzo wzruszające. Aleja nie wiem, *gdzie jestem*.

* * *

Dla odmiany Edmund i Daneh mieli równocześnie wolny wieczór i mogli zjeść prostą, ale, co ważne, *spokojną* kolację. Nie coś przegryzionego w pośpiechu między poważnymi operacjami albo posiłek w towarzystwie kłócących się członków rady.

I dla Talbota stało się jasne, że nie mieli pojęcia, o czym ze sobą rozmawiać.

– A więc, jak ci minął dzień, kochanie? – zapytał, uświadamiając sobie zaraz, że było to równocześnie prozaiczne i niewystarczające.

– Zwyczajny młyn nagłych operacji bez znieczulenia. Przysięgam, będę musiała zatrudnić pielęgniarki do trzymania wszystkich tych wrzeszczących na stole.

Edmund nie był pewien, czy powinien się śmiać, czy wzdrygnąć z zażenowaniem, więc milczał.

– Jody Dorsett będzie musiał od nowa nauczyć się używania topora – dodała po chwili. – Udało mu się odciąć sobie lewy kciuk.

– Au!

– Nawet w *dawnych* czasach medycy byliby w stanie przymocować go z powrotem. Widziałam odwołania do czegoś, co nazywało się przeszczep nerwu, ale nie mam pojęcia, jak się to robiło. A operowanie na kimś, kto jest dwukrotnie większy ode mnie i wije się z bólu, jest troszkę trudne. – Wszystko to zostało powiedziane lekkim tonem, ale czuł kryjącą się za słowami głęboką gorycz. I prawie nie ruszyła swojego jedzenia.

– Przykro mi – powiedział. – Może kiedy wyhodujemy trochę maków, będziesz mogła spróbować zrobić jakieś anestetyki.

– Tak naprawdę, to potrzebuję przyzwoitych podręczników medycznych. Przegrzebałam całą twoją bibliotekę i wszystko, czym dysponują inni. Ale jedyne informacje medyczne albo dotyczą pierwszej pomocy, albo są to dość ogólne i mętne wzmianki na temat medycyny średniowiecza. A osobiście odmawiam ponownego wprowadzenia upuszczania krwi jako lekarstwa na przeziębienia.

– Może kiedy Sheida...

– Tak, „kiedy Sheida to”, „kiedy Sheida tamto”. Potrzebuję tego *teraz*, Edmundzie! Wszystko,

czego mi trzeba, to odrobina energii, trochę nanioty i uprawnienia. Nawet cholerny, podstawowy podręczniki Ale to musi czekać, prawda?

Talbot zrozumiał w końcu, że kobieta wcale nie myślała o tym, o czym mówiła.

– Gdzie jesteś? – zapytał po chwili. – I nie opowiadaj mi o chirurgii.

– Jestem w bardzo dziwnym miejscu – odpowiedziała po dłuższej przerwie. – Myślę, że nadszedł już czas, żebym poszła z tobą do łóżka. I jakaś część mnie mówi „tak!”, podczas gdy inna krzyczy „NIE!”. I nie wiem, która z nich jest odwagą, a która tchórzostwem. Ani nawet, co jest słuszne, a co nie. Mam już dość koszmarów.

Edmund myślał nad tym przez dłuższą chwilę i westchnął.

– Część mnie mówi: „Powiedz, że słuszne jest *tak!*” I nawet nie jest to ta część, poniżej mego naprężającego się paska. – *Jeśli jeszcze w ogóle pamiętam jak*, dodał w myślach. – To część mnie, która przez lata tęskniła za moją Daną. Daną, którą tak szaleńczo pokochałem od pierwszego wejrzenia. Część, która za tobą tęskniła, za wszystkim. Która chce obejmować cię w nocy, przytulać i sprawiać, by było ci lepiej. Ale wiem, że to nie będzie takie łatwe. Tak więc, jestem gotów czekać. Do czasu, aż znajdziesz innego, albo jeżeli się nie zdecydujesz, to do końca życia. Ponieważ kocham cię, zawsze cię kochałem i zawsze będę, niezależnie od tego, jaka droga nas poprowadzi.

* * *

Wieczorem szóstego dnia w lesie Herzer wraz z całą grupą skierowali się z powrotem do Raven's Mill. Około dwie godziny zajęło im dojście do Via Apallia, którą poszerzono o oczyszczone z roślinności pasy ziemi, i kiedy doszli do masywnego mostu nad Shenan, Herzera zaskoczyło, że Raven's Mill zmieniło się jeszcze bardziej.

Część z pierwotnych szałasów z pni została rozebrana, najwyraźniej w celu utworzenia pustego terenu blisko miasta, a w ich miejsce wzniesiono różne bardziej stałe struktury. U podstawy wzgórza, na wschód od miasta, budowano długi, niski budynek, a dalej na wzgórzu prowadzono jeszcze jakieś prace. Dodatkowo stawiano drewnianą palisadę. Sądząc po fundamentach, miała ona otoczyć całe „stare miasto” i sięgnąć aż do posiadłości Talbota. Przyglądając się jej, Herzer uświadomił sobie, że Edmund zbudował swój dom dokładnie w miejscu, w którym należałoby umieścić cytadelę czy twierdzę, i zaczął się zastanawiać, na ile był to przypadek. Wątpił, by Edmund zaprojektował palisadę tak, by zrobić ze swego domu cytadelę, ale zdecydowanie pasowałoby do starego kowala wybranie na swoją siedzibę miejsca najlepiej nadającego się do obrony.

Po dotarciu do skraju miasta ich grupa spotkała dwie inne wracające z tego samego rodzaju prac. Wszystkie trzy zostały zatrzymane na skrzyżowaniu i skierowane na bok przez wysokiego, chudego mężczyznę z siwizną w czarnych włosach.

– Nazywam się Phil Severson. Nie spotkaliście mnie, zanim wyszliście na pierwszą fazę waszego programu zapoznawczego, ale to ja odpowiadam za program. Udało się wam zakończyć pierwszy tydzień i pojutrze zaczniecie następną fazę. To, jaką, będzie zależało od tego, w której jesteście grupie, a nazwy i oznaczenia grup *nie* zostały wam podane przed waszym wyruszeniem – dodał, marszcząc brwi.

– Który to Herzer Herrick?

– To ja, sir — zgłosił się Herzer, unosząc rękę.

– Grupa, w której jesteś, ma symbol A-5. Kto jest w grupie z Herzerem, czy li tej, która ścinała drzewa na zachodzie z Jodym? Proszę podnieść rękę. – Kiwnął głową, gdy wykonano jego polecenie. – Wszyscy jesteście w grupie A-5, czyli A jak Antoni, pięć. Wszystkie polecenia i informacje będą przekazywane grupie w ten sposób. To znaczy, jeśli przyjdzie wezwanie do wszystkich grup w jakiejś okolicy, będziecie się zbierać z grupą A-5. Czy to jasne? – Odczekał, aż uzyskał potwierdzenie od wszystkich i przeszedł dalej.

– Monique McBride? Grupa z Monique McBride, ścinająca drzewa na zachodzie pod kierunkiem Mislava Crnkovica, to grupa A-4. A jak Antoni, cztery. Wszyscy członkowie grupy A-4 proszę podnieść rękę.

Powtórzył procedurę z grupą A-6 i upewnił się, że wszyscy wiedzieli, że są w grupie A-6 i odpowiednio zareagują.

– Bardzo dobrze, teraz wiecie, kim jesteście. Ku zaskoczeniu wszystkich i całkowicie rujnując mój program szkoleniowy, dzień jutrzejszy został przeznaczony na odpoczynek. Oznacza to, że nie zaczniecie następnej fazy jutro. Jutro możecie odpocząć. Idąc w tę stronę, ulicą od ratusza, znajdziecie budynek uczniów – poinformował ich, wskazując palcem kierunek. – Kiedy tu skończymy, idźcie tam pobrać żetony żywnościowe. Wasi instruktorzy przygotowują właśnie raporty. Dostaniecie żetony, które wystarczą wam na dzisiejszy wieczór, jutrzejszy dzień i niedzielne śniadanie. Rano po śniadaniu w niedzielę zgłosicie się znów do budynku uczniów po następny przydział. Czy to jasne? Są jakieś pytania?

– Powiedzieli, że dostaniemy pieniądze za tę robotę – odezwał się Earnon. – Kiedy to będzie?

– Wasi nadzorcy przygotowują właśnie wstępne raporty do nadzoru uczniów – odpowiedział Sevetson, wydymając wargi. – Mogą przyznać dodatkowe w stosunku do podstawowego wynagrodzenia fundusze, ale do pewnego limitu. Maksimum to jeden dodatkowy żeton żywnościowy na tydzień i bonus za ilość i jakość wykonanej pracy również w postaci jednego żetonu.

– Co? – warknął Earnon. – To *wszystko!* Kilka *posiłków?*

– Żetony żywnościowe stanowią de facto walutę Raven's Mill – wyjaśnił Phil, wzdychając. – Można ich na przykład użyć do zapłaty za kąpiel w łaźni - znów wskazał na nowe budynki u podstawy wzgórza. – Nie kosztuje to pełnego żetonu i możecie tam rozmiąć wasze środki.

– Rozmiąć? – zapytał ktoś z tyłu grupy.

– Fundusze, które nie mają wartości pełnego żetonu żywnościowego – poinstruował ich Sevetson. – Po jakimś czasie przyzwyczaiacie się do systemu, w końcu jest dość stary i sprawdzony. Pytania?

– Gdzie możemy spać?

– Wciąż dostępnych jest wiele tymczasowych budynków. Ostrzegam was, że zdarzały się przypadki kradzieży materiałów i pieniędzy. Lepiej jest pozostawać przynajmniej w parach.

– Czy mężczyźni i kobiety mogą już spać razem? – zapytał Earnon, podśmiewając się.

– Nie w budynkach komunalnych – odpowiedział nadzorca, krzywiąc nos i znów wzdychając. – Są

inne miejsca, które można wynająć, można też przejść się niezbyt głęboko w las i spać tam w stosunkowo wygodnych warunkach.

– Świetnie, jesteśmy znów dokładnie tam, gdzie na początku — warknął Earnon.

– Zaznajomiliście się teraz z pracami związanymi ze ścinaniem drzew – poprawił go Sevetson. – Na tym poziomie techniki, to jedna z podstawowych umiejętności. Może wam przynieść pieniądze, a więcej, jeśli nauczycie się wypalania węgla drzewnego. W przyszłym tygodniu zostaniecie zaznajomieni z innymi umiejętnościami. W końcu przejdziecie cały cykl i jeśli okażecie się dość dobrzy w którymś z zawodów, instruktorzy mogą zastanowić się nad przyjęciem was jako czeladników. Wcale nie jesteście tam, gdzie zaczynaliście.

Jedyną odpowiedzią Earnona był ponury wzrok, więc nadzorca tylko wzruszył ramionami.

– – Jeśli nie ma więcej pytań, idźcie do budynku uczniowskiego i odbierzcie swoje żetony, a potem jesteście wolni i możecie robić, co chcecie.

Po tych słowach ruszył w stronę wspomnianego budynku, a reszta poszła w jego ślady.

Przed konstrukcją, pod zadaszeniem, ustawiono drewniane stoły. Wewnątrz budynku, stanowiącego w zasadzie trochę większy szałas z belek, Herzer zauważył, jak Jody, z obandażowaną dłonią, ostro się z kimś kłóci.

Earnon, Nergui i kilka osób z innych grup przepchało się do przodu, więc Herzer, Mike i Courtney poszli na koniec. Kiedy Earnon dostał swoje żetony i je przeliczył, wydał z siebie wściekły skowyt.

– Dostałem *tylko jeden* żeton za moją pracę! Zapracowywałem się na śmierć! Młoda kobieta wydająca wypłatę jeszcze raz sprawdziła listę i wzruszyła ramionami.

– Tak mam tu zapisane.

– Ile dostał Herzer? – paskudnym tonem spytała Nergui.

– Nie mogę ci powiedzieć, ile dostają inni. Następny. – Czeka! Żądam...

– Spotkania ze mną – wszedł jej w słowo Sevetson, podchodząc. – Żądasz spotkania ze mną. – Mężczyzna wziął listę, po czym gestem nakazał Earnonowi czekać i wszedł do budynku. Wrócił z plikiem papierów zszytych nicią i otworzył je.

– Mam tu napisane, Earnon, że pierwszego dnia wywołałeś sprzeczkę, czy to prawda?

– Nie, to Herzer ją wywołał, kłamiąc na temat mojego rzekomego obijania się!

– Według pana *Dorsetta faktycznie* się obijałeś. Co więcej, przez cały tydzień robiłeś znacznie mniej, niż byłeś w stanie. Jak już powiedziałem, dostajecie najwyżej jeden dodatkowy żeton, chyba że dochodzi do tego bonus. Pan Dorsett rekomendował, żebyś w ogóle nie dostał dodatkowych żetonów, ponieważ Jesteś pyskatym obibokiem, który uważa, że wszystko mu się należy". Nie jestem w stanie zweryfikować części o obiboku, ale nie posłuchałem jego zalecenia i upewniłem się, że dostaniesz przynajmniej trochę pieniędzy do wydania. Co więcej, w raporcie mam informację, że zachęcałeś innych do lenistwa. W tym programie nie ma miejsca dla osób, które nie chcą pracować, Earnon. Jeśli chcesz zarobić więcej, sugerowałbym, żebyś się bardziej przykładał w dalszych

etapach szkolenia. Dobrego dnia, Earnon. To wszystko. Sevetson stał dalej w miejscu, gdy inni podchodzili odbierać swoją wypłatę. Jeszcze w dwóch przypadkach doszło do dyskusji: Nergui uważała, że należy się jej bonus, i to samo było w przypadku człowieka z innej grupy, który – podobnie jak Earnon – dostał tylko jeden dodatkowy żeton. W obu przypadkach Sevetson wrócił z ich aktami i poczęstował ich bardzo szczegółową reprimendą.

Kiedy przyszła jego kolej, Herzer nie był pewien, ile dostanie, i kiedy dziewczyna podała mu żetony, drobne kawałki czerwonego metalu z odciśniętym z jednej strony krukiem i kłosem z drugiej, po prostu kiwnął głową w podzięcie i odszedł na bok, czekając na Mike'a i Courtney.

– Ile dostałeś? – zapytała dziewczyna, licząc swoje. – Ja mam pięć. Pełna wypłata.

– Cztery, pięć... sześć – doliczył się Herzer, marszcząc czoło.

– Ja też – ucieszył się Mike, licząc swoje. – Chyba dostaliśmy bonusy.

– Czemu? – spytał Herzer, jeszcze raz przeliczając. – Pierwszego dnia się kłóciłem.

– Hej! Naprawdę musisz pytać? – roześmiała się Courtney, obejmując ich obu. – Ludzie, zapracowywaliście się na śmierć. Bałam się, że zostanę ukarana, kiedy nie mogłam pracować z powodu skurczów. Przypuszczam, że zlitowali się nad kobietami.

– Najwyraźniej nie nad Nergui. – Herzer wciąż czuł wątpliwości. – Nie zrobiłem więcej niż swoją część.

– Zrobiłeś – odezwał się Jody, podchodząc do nich cicho. – Ty, Mike, Cruz, Emory, Karlyn i Deann wszyscy dostaliście bonus. Karlyn i Deann nie zrobiły tyle, ile wy, panowie, ale pracowały jak demony. Ciężej niż ty i Shilan, przykro mi, Courtney.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziała. – Nie wydaje mi się, żeby ścinanie drzew było moim powołaniem – dodała z uśmiechem.

– Ale odnajdziesz je – stwierdził z przekonaniem Jody. – Co planujecie teraz robić?

– Nie wiem – odparł Herzer, chowając monety do kieszeni.

– Rozmawiałem z innymi – powiedział Jody. – Z częścią uczniów, którzy byli w mieście. Najwyraźniej pojawiła się już fala przestępstw. Uważajcie na swoje pieniądze i na ludzi, którzy będą próbować je od was wyciągnąć oszustwami. Gdybym miał coś zasugerować, wybierzcie się do łaźni i wykąpcie się. Do kolacji jest jeszcze przynajmniej godzina.

– Brzmi nieźle – szorstko oświadczył Mike.

– Cóż, faktycznie potrzebujemy kąpieli – zachichotała Courtney.

– W takim razie chodźmy – zgodził się Herzer.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Łaźnia znajdowała się dokładnie po drugiej stronie zabudowy, w stosunku do budynku uczniowskiego, co pozwoliło im się przyjrzeć rozwijającemu się miastu. Pojawiło się więcej nowych zabudowań, w większości z kłód, ale i kilka z desek, krytych dachówkami. Większość stałych struktur zdawała się mieć coś wspólnego z rozkwitającym przemysłem, który musiał pojawić się w zeszłym tygodniu. Umieszczono na nich znaki kowali, garncarzy, bednarzy i tkaczy. Większość była tylko częściowo wykończona, co pozwalało przyjrzeć się ciężko pracującym w środku ludziom.

– Nie od razu Rzym zbudowano – wymamrotał Herzer.

– Co?

– Mówią, że Rzymu nie zbudowano w jeden dzień – powtórzył Herzer. – Ale wygląda na to, że próbują.

– Skąd się wzięły te wszystkie rzemiosła? – spytała Courtney.

– Och, wszystko to robią rekreacjoniści. Wcześniej było to ich hobby. Teraz, przypuszczam, stało się czymś więcej.

– Pewnie to właśnie ludzie, z którymi będziemy pracować – zauważyła dziewczyna. – Mam nadzieję, że stać mnie na coś więcej niż ścinanie drzew.

– Chcę mieć farmę – oświadczył Mike. – Nie chcę przez cały dzień pracować w warsztacie.

– Będziemy ją mieć – zapewniła go Courtney.

– Ale jaką? – zapytał Herzer. – To znaczy, idziesz sobie po prostu gdzieś i zakładasz nową? Skąd weźmiesz potrzebne do tego narzędzia?

– Nie wiem – przyznała Courtney. – Nawet nie jestem pewna, jakie narzędzia są potrzebne. Albo jak się sady, i wszystko inne, co trzeba robić. Skąd weźmiemy zwierzęta?

Mike nic nie powiedział, tylko burknął.

– Cóż, z czasem się dowiemy – uznał Herzer. – Zastanawiam się, czy mają jakieś oddziały straży?

– To właśnie chciałbyś robić? – zapytała Courtney.

– Tak, coś w tym rodzaju. – Podbródkiem wskazał na osobę stojącą przy wejściu do dość solidnego budynku, najwyraźniej pełniącą funkcję strażnika. Mężczyzna miał na sobie opończę z wyszytym krukiem i trzymał włócznię, ale kulił się pod okapem budynku, próbując nie wychodzić na popołudniowe słońce. – Ale nie tak. To nie jest żołnierz, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Czy naprawdę będziemy potrzebować żołnierzy? – zaniepokoiła się Courtney. – Czemu?

– Bandyci – wyjaśnił Herzer. – Z czasem też mogą nam zacząć sprawiać kłopoty inne miasta. No i toczy się wojna.

– Nie za wiele z tej wojny – rzucił Mike. – Nie zostaliśmy zaatakowani.

– Jeszcze nie. Ale jeśli będziemy się przeciwstawiać Paulowi, w końcu albo zostaniemy zaatakowani, albo będziemy musieli zaatakować jego.

– Jak możemy zaatakować członka Rady? – gniewnie spytała Courtney. – Oni wciąż mają energię!

– Podobnie jak Sheida i jej grupa. – Herzer wzruszył ramionami. – Stąd wygląda to na sytuację patową. I nie wydaje mi się, żeby Paul pozwolił, żeby tak zostało, nawet jeśli zgodziłaby się na to Sheida.

Rozmawiając, przeszli przez miasto i dotarli do łaźni, gdzie przy wejściu kręciło się trochę ludzi.

– Wyprać dla pana ubranie, proszę pana, proszę pani? – zapytał chłopiec, który sam wyglądał, jakby zdecydowanie potrzebował kąpieli.

– Ubranie? – Herzer wspomniął radę Jody'ego. Ale jego strój faktycznie wymagał uwagi, nie tylko prania, ale i igły z nitką. A uświadomił sobie, że poza koszykiem i kocem od Bast, stanowiło ono jego jedyny dobytek. Nie, miał jeszcze za małą pelerynę, ale nie zamierzał prosić Daneh o jej zwrot.

– Och, tak – odpowiedział chłopiec. – Zabiorę je i wypiorę, kiedy będziecie się kąpać, a potem przyniosę je z powrotem.

– Suche? – chciała wiedzieć Courtney.

– Cóż, *tego* nie mogę obiecać – odparł chłopiec. – Ale podsuszone, tak.

– Hmm – mruknął Herzer. – Myślę, że spróbuję sam coś z tym zrobić. Ale dziękuję.

– Tylko jedna dziesiąta żetonu – zaoferował gorliwie dzieciak, łapiąc go za rękaw. – I znam panią, która może je też dla pana pocerować.

– Skąd mamy wiedzieć, że dostaniemy je z powrotem? – wyraziła wątpliwość Courtney, obciążając swoją koszulę, która faktycznie była brudna.

– No cóż, proszę pani, jestem tu cały czas – uspokoił ją chłopak. – Gdybym kradł ubrania klientów, to raczej bym ich nie miał, prawda?

– Czy ten szubrawiec się wam narzuca? – spytała kobieta, nadchodząc od tyłu. – Darius, kiedy zamierzasz zająć się prawdziwą pracą? — dodała z uśmiechem.

– Ach, madame Lasker, ja *mam* pracę – odpowiedział radośnie. – Czy chciałaby pani wyprać dzisiaj ubranie?

– Nie dzisiaj – odmówiła. – Jak się ma twoja matka?

– Dobrze, proszę pani, dziękuję za zainteresowanie.

– On jest bezpieczny – poinformowała ich kobieta. – Jestem June Lasker. Pełnię obowiązki mniej więcej miejskiego sekretarza. To jego matka pierze i ceruje.

– Czy jest jakaś możliwość zdobycia dodatkowych ubrań? – zapytał Herzer, naciągając swoją

podartą koszulę. – Te już się łachmanią. I wcale nie mam ochoty chodzić w mokrych szmatach.

– Jest kilku sprzedawców materiału – westchnęła kobieta. – Ale ponieważ nie mamy możliwości produkowania go, więc są potwornie drogie. Prawie nikt nie zabrał ze sobą nic ponad to, co miał na sobie. Będą dość suche, jest pokój z piecem, w którym można je powiesić do wyschnięcia. Dużo zależy od tego, jak długo będziecie siedzieć w łaźni. Jeśli poczekacie godzinę czy coś koło tego, nie będzie źle.

– Dobra, Darius, tak? – zapytał Herzer.

– Darius Garsys – przedstawił się chłopiec, salutując do czoła.

– Jak ci zapłacimy?

– Łaźnia kosztuje jedną dziesiątą żetonu – wyjaśnił chłopiec. – Kiedy dadzą wam resztę i ręcznik, po prostu wyjdźcie tu z ubraniami. Możecie mi zapłacić przy odbiorze.

– Może być – zgodził się Herzer. – Zobaczymy się za chwilę.

– Pokażę wam, jak to działa – zaoferowała się June, wchodząc do pierwszego pomieszczenia łaźni. Przy drzwiach stała lada, a za nią złożono stosy ubrań i innych rzeczy. Po drugiej stronie sali ustawiono koszyki z materiałem i kawałkami żółtawego mydła.

– Cześć, Nick. – June przywitała się z mężczyzną za ladą.

– Cześć June – rzucił, przyglądając im się. – Przyprowadziłaś jakichś nowicjuszy, co?

– I już zdążył ich napaść Darius – odparła z uśmiechem. – Nie znam was, młodzi ludzie... – zawiesiła głos.

– Przepraszam – usprawiedliwiła się Courtney. – To nieuprzejme z naszej strony. Jestem Courtney, to Herzer i Mike. Jesteśmy w grupie uczniowskiej...

– A-5 – uzupełnił Herzer.

– Byliście w lesie, co? – stwierdził Nick. – Dobrze, zdejmijcie ubrania i wszystko, co macie, zwińcie w kłębek. Dam wam na niego pokwitowanie, i odbierzecie to, kiedy będziecie wychodzić.

– Rozebrać się tutaj? – z szeroko otwartymi oczami spytała Courtney.

– Niestety, kochanie – potwierdziła June, idąc w ślad za słowami. – Jeśli chcesz, możesz użyć ręcznika dla prywatności, ale łaźnia jest wspólna. Pracują nad inną, która będzie miała osobne sekcje, ale wszyscy do tego stopnia przyzwyczaili się do wspólnych kąpiei, że nie wiem, po co zwracają sobie tym głowę.

Herzer z oporami rozebrał się i zwinął brudne ubranie w kłębek. Szybko owinał się ręcznikiem kąpielowym. Był zrobiony z cienkiego kawałka gładkiego materiału i według Herzera niezbyt dobrze nadawał się do wycierania.

– Mam ten koszyk... powiedział, podnosząc go. – I co z pieniędzmi?

– Cóż, siedzę tu cały czas między innymi po to, żeby upewnić się, że zostaną tam, gdzie je położyłeś – wyjaśnił Nick. Wziął kłębek i owinał go taśmą, przyczepiając ją następnie do

drewnianego numerka. Drugi taki, z kawałkiem sznurka, podał Herzerowi.

– Połóż to obok pozostałych – polecił. – Wciśnij pieniądze głęboko do środka, żeby nikt nie mógł ich wyciągnąć bez grzebania. Dopilnuję, żeby zostały na miejscu.

– Dobra – odparł Herzer z powątpiewaniem.

– Zanim to zrobisz, koszt kąpieli to jedna dziesiąta żetonu – poinformował mężczyzna, wyciągając rękę. – To za mydło, ręcznik i ciepłą wodę. Jeśli chcesz coś więcej, płacisz dodatkowo.

– A co jeszcze można chcieć? – zapytała Courtney, wygrzebując pieniądze.

– No cóż, jest wino, przekąski i olejki do ciała – wyjaśniła za niego June. – Ale to znów potwornie drogie. Jednak myślę, że kiedy sytuacja się trochę unormuje, ceny pójdą w dół. W tej chwili płaci się cały żeton za kubek wina i kilka kawałków mięsa. Większość ludzi rezygnuje.

– To nie wiele więcej niż moje koszty — bronił się Nick. – W okolicy nie ma wiele wina. Ani dobrego mięsa, które mógłbym podać. Muszę je kupować od McGibbona z tego, czego nie sprzedaje do miasta. Pierwszej jakości dziczyzna nie jest tania.

– Wiem, Nick. – June wzruszyła ramionami. – Po prostu mówię im prawdę.

– Cóż, na razie zrezygnujemy – zdecydował Herzer. – Jako uczniowie nie zarabiamy wiele. – Podał żeton i przyglądał się zafascynowany, gdy łaźiebny wydawał mu resztę. Otrzymane pieniądze stanowiły mieszaninę drobnych monet z różnych metali i kilku z drewna.

– To jedna dziesiąta – wyjaśnił Nick, wskazując na mały kawałek metalu, który wyglądał na stal. – Cena wynosi jedną dziesiątą, więc jestem ci winien dziewięć dziesiątych. A to jest połówka – mówił dalej, pokazując mały kawałek czerwonego metalu. – Zrobiony jest z miedzi, jak żetony, ale jest mniejszy i ma odciśniętą połówkę. Inny sposób myślenia o tym, to pięćdziesiąt setnych. A to – dodał, wyciągając jeden z kawałków drewna – jedna setna. Niedługo zaczną je robić z czegoś innego, ale na razie są z drewna. Choć ono nie jest dobre, bo pęka i jeśli się z kimś pobijesz, to efektem będzie pełna kieszeń bezwartościowych odłamków. Czyli to jest dziewięć dziesiątych. Na waszym miejscu zapłaciłbym temu urwisowi drewnem. I proszę, wysikajcie się, *zanim* weźmiecie kąpiel, nie w trakcie.

Herzer wyniósł swoje ubranie na zewnątrz i z lekką obawą wręczył je Dariuszowi, a potem wrócił do środka i zgodnie ze wskazówkami Nicka wszedł do pierwszego pokoju. Ściany zrobione były z belek, a podłogę pokrywały wyszlifowane deski, prawdopodobnie również belki, ale rozcięte i wygładzone. Między belkami zostawiono szczeliny, najwyraźniej w celu przepuszczania wody, a powierzchnia pokryta została cienką warstwą piasku. Po lewej wbito kołki na wieszanie ręczników, a po prawej, ponad głową umieszczono zestaw korytek

W ich dnach wycięto otwory, przez które przepływały równomierne strumienie wody. Pod jednym z nich obracała się w miejscu June Lasker, szorując dłonie kawałkiem mydła.

– Nie szoruj mydłem bezpośrednio ciała – ostrzegła go, wychodząc spod prysznica. – Zedrze ci całą skórę.

Kątem oka Herzer zauważył, że jej skóra nie zaczęła jeszcze nabierać suchego wyglądu, który był

typowy dla wielu starszych kobiet i że była całkiem dobrze zbudowana. Ta myśl przywołała wspomnienie kąpiącej się Bast i szybko się odwrócił, zmuszając się do myślenia o czymś, czymkolwiek innym.

– To jeden z powodów, dla których wspólne prysznice są bardziej krępujące dla mężczyzn niż dla kobiet – z chichotem zauważyła June. – Nazywa się to mimowolną reakcją naczyniową.

– Cóż, Herzer nie ma się czego wstydzić – radośnie skomentowała Courtney.

– Podobnie jak i Mike – zgodziła się June.

– No! – burknął Mike.

– Mój – oświadczyła Courtney, klepiąc go po pośladku i wchodząc pod wodę. – Jej! To jest *zimne!*

– To widać – złośliwie skomentował Herzer. Podobnie jak Bast Courtney miała różowe sutki, ale jej były prawie dwukrotnie większe. A przynajmniej sprawiały wrażenie, że tak normalnie wyglądały – teraz sterczały sztywno.

– Moja – zaśmiał się Mike, ale był w tym ostrzejszy ton.

– Chowam oczy z powrotem do głowy – powiedział Herzer. Przeszedł przez pokój i aż się zatchnął, wchodząc w lejącą się wodę. Była równie zimna, jak któryś ze strumieni, w których kąpał się z Bast, a po ciepłym popołudniu wydawała się jeszcze bardziej lodowata.

– Cóż, to załatwiło sprawę jego mimowolnej reakcji naczyniowej – zaśmiała się Courtney, intensywnie rozcierając w dłoniach mydło. – Au!

– Ostre, prawda? – June westchnęła. Cała się namydliła i weszła teraz z powrotem pod wodę, żeby się spłukać. – To mydło ługowe. Uważajcie w intymnych miejscach.

– Co robiłaś, kiedy... no wiesz, spadło to przekleństwo? – zapytała Courtney.

– Zostałam w domu i myłam się, najlepiej jak mogłam, wodą z wiadra – przyznała June, spłukując się.

Herzer namydlił się i opłukał bez komentarza, mając nadzieję, że kobiety ograniczą do minimum ten temat.

– W lesie było paskudnie, ale przynajmniej miałyśmy dość prywatności, żeby się spokojnie myć – było wszystkim, co Courtney powiedziała jeszcze na ten temat.

Na drugim końcu pokoju z prysznicami znajdowały się drzwi zasłonięte skórzaną płachtą. Herzer przeszedł przez nie i zatrzymał się, rozglądając dokoła.

Środkiem pomieszczenia biegła kładka z drewnianych belek, a po obu jej stronach stało sześć kadzi, trzy po lewej i trzy po prawej. Każda z nich miała około dwa metry średnicy i wyglądała na około półtora metra głębokości. I wszystkie wypełnione były parującą wodą.

– Na dole jest konstrukcja, która pozwala przechodzić przez nie gorącemu powietrzu z rur – wyjaśniła June, opuszczając się ostrożnie do trzeciej wanny w rzędzie. – I są *bardzo* gorące.

– Och, to cudownie — ucieszyła się Courtney, zanurzając się w kadzi obok niej. – Och.

Herzer musiał się zgodzić. Gorąca woda sprawiła, że zaczęły się rozluźniać mięśnie, z których istnienia nie zdawał sobie nawet sprawy. Sprawiała też, że bardzo zachciało mu się sikać.

– Uhhmm... – odezwała się Courtney, zanim zdążył otworzyć usta.

– Na drugim końcu, kochanie, panie na lewo, panowie na prawo – wyjaśniła June, rozsiadając się wygodnie.

Cała trójka uczniów wstała z wanny niemal równocześnie, co wywołało radosny chichot u Mike'a.

Latryna okazała się dość czysta, z czterema stanowiskami, i Herzer szybko opróżnił pęcherz, wracając z powrotem do kąpieli. Po drodze zauważył, że w sali nie unosiło się za dużo pary, a potem dostrzegł otwory w ścianach, przy podłodze i pod sufitem.

– Czyj to pomysł? Nicka?

– Nie – odpowiedziała June. – I nie jest też właścicielem, choć czasem tak się zachowuje. Pomysł był Edmunda, a miasto ją zbudowało i utrzymuje. Ta konstrukcja wyżej na wzgórzu to miejsce, gdzie budujemy większą, bardziej wyszukaną. Musimy się pozbyć tych belek i położyć jakieś płytki, ludzie ciągle się ślizgają na drewnie.

– To bardzo miłe – orzekła Courtney, z powrotem opuszczając się do wody w towarzystwie Mike'a. – Mówiłaś, że czyj to był pomysł?

– Mój – oświadczył Edmund, odsuwając na bok płachtę w drzwiach. – Cześć, June, mogę się przyłączyć?

– Ależ proszę, Edmundzie, jest tu mnóstwo miejsca.

Cała trójka uczniów z szeroko otwartymi oczami przyglądała się, jak burmistrz zanurza się w wodzie. Zdumiało ich, że już na wpół legendarny przywódca tak po prostu dołącza do ludzi w łaźni.

Herzer starał się być dyskretny, ale słyszał już o Edmundzie Talbocie tak wiele, że zdawał sobie sprawę, że traktuje go prawie jak bohatera. Ciało kowala było niezwykle włochate, większość ludzi w znacznie większym stopniu hamowała rozwój owłosienia. Było potężnie umięśnione, nie jak u kulturysty, ale u kogoś, kto używał różnorodnych mięśni do ciężkiej pracy fizycznej. Miał też gęstą brodę i wąsy, co również było niezwykle. Herzer zablokował wzrost włosów na całym ciele i twarzy z wyjątkiem niewielkiego wąsika, a znał bardzo niewielu ludzi, którzy mogli się poszczycić choćby tym.

– Jestem zaskoczona, że cię tu widzę – zauważyła June.

– Myślisz, że jestem za dobry, żeby obijać się po łaźni? – zachichotał Edmund.

– Nie to. Po prostu myślałam, że jesteś zbyt zajęty.

– Mam kilka godzin między spotkaniami, a dla odmiany chwilowo nic się nie sypie. Więc pomyślałem, że załapię się na szybką kąpiel. Choć nie mogę zostać długo.

– Sir, czy mogę zadać panu pytanie? – odezwał się Herzer.

– Pytaj, choć nie obiecuję odpowiedzi. – Edmund zanurzył się w wodzie i zamknął oczy. – A przy okazji, jeszcze się nie spotkaliśmy.

– Jestem Herzer Herrick, a to Mike Boehlke i Courtney Deadwiler, sir.

– Herrick? – powtórzył Talbot, otwierając oczy i przyglądając się chłopcu. Herzer poczuł się, jakby był poddany szczegółowemu badaniu, ale tylko kiwnął głową.

– Trochę o tobie słyszałem. Przepraszam, jednak się już spotkaliśmy, praw da? Dziękuję, za pomoc Daneh i Rachel na szlaku.

– Ja... tak, sir – wyjąkał w odpowiedzi Herzer.

– Hmm... – zamruczał Edmund i Herzer zauważył, że jego wymijająca odpowiedź została zauważona. – Jakie to pytanie?

– Ehm... czy to rzymska łaźnia? Pomyślałem też o tym, że pan tu jest. Mówiło się, że rzymscy senatorowie kąpali się w publicznych łaźniach, ponieważ dowodzili tym samym, że nie uważali się za lepszych od innych ludzi.

– Studiowałeś historię. – Edmund znów przyjrzał się chłopcu.

– Bardziej się nią bawiłem, sir – odpowiedział Herzer. – Przeważnie historia wojskowości, ale Rzymianie stanowili na tyle znaczący czynnik w przedindustrialnej myśli wojskowej, że miało sens zwrócić na nich większą uwagę niż na przykład na Egipcjan.

– To odmiana rzymskiej łaźni – wyjaśnił Edmund po dłuższej przerwie. – Również niektóre aspekty japońskiej. Rzymianie oskrobywali ciała kawałkami wygiętego metalu, a potem wchodzili do pary. Później kąpali się czy pływali w chłodniejszej wodzie w frigidarium. Kiedy zbudujemy nowe łaźnie, prawdopodobnie będzie tam i pokój z parą oraz sauna. Ale gorące kąpiele to również japoński pomysł. A ponieważ woleje od pary, pomyślałem, że pójdziemy w tym kierunku.

– Miło byłoby mieć łagodniejsze mydło – cierpko zauważyła June.

– Pracujemy nad tym. Jak tylko ktoś wymyśli przemysłowy sposób produkcji mydła, kupimy go. A na razie uczniowie wytwarzają mydło ługowe i nic więcej.

– Ponieważ w ten sposób ktoś zacznie w końcu robić lepsze, sir? – ostrożnie zapytał Herzer.

– Trafiłeś w sedno – odpowiedział Talbot, kiwając głową i wynurzając się z wody. – Miasto utrzyma ludzi w miarę zdrowych i żywych. Jak długo będą pracować i jak długo będziemy w stanie im pomagać. Ale gdyby to tylko ode mnie zależało, do jedzenia byłby tylko kleik, i to dość rzadki.

– Żeby ludzie wymyślili sposoby na zdobycie lepszego jedzenia? – zasugerowała Courtney.

– Cóż, w tej chwili nie ma nic wiele lepszego niż to, co już dostają – przyznał Edmund, wycierając się pobieżnie. – Ale będzie. A nie chcę, żeby ktokolwiek na trwałe uzależnił się od miasta. W demokracji prowadzi to do chleba i igrzysk, a ostatecznie do despotyzmu. A despotyzm do pracy niewolnej. Nie pozwolę nawet *na początki* czegoś takiego, jak długo pozostanę burmistrzem. – Skłonił się im i wyszedł z sali.

– Jej – powiedziała Courtney.

– Jest głęboki – stwierdziła June ze skinięciem.

– Właściwie, termin, nad którym się zastanawiałam było „charyzmatyczny” – dodała Courtney.

– Och, to też. – June roześmiała się. – Bardzo charyzmatyczny. To jedyna rzecz, na którą nikt nigdy nie odkrył genu.

* * *

Kiedy Edmund wrócił do domu, była już prawie północ, ale wchodząc do głównej sali, zobaczył siedzącą przy ogniu i wpatrującą się w niego w zamyśleniu Daneh.

– Długo się nie kładziesz, zauważył, podchodząc do drugiego fotela i siadając obok niej przed ogniem. – A szczerze mówiąc, powinnaś spać, ile tylko możesz.

– Mam dużo do przemyślenia. – Daneh wstała i schyliła się, żeby pogrzebać w ogniu. – Przypuszczam, że trochę sobie zdawałam sprawę, do jakiego stopnia polegam w swojej pracy na technice. Ale ostatnio naprawdę mnie to dobija. Miałam kilka przypadków... nie sądzę, żeby wszyscy przeżyli, Edmundzie.

Pomyślał o podejściu do niej i objęciu, ale od czasu... spotkania z Dionysem nigdy go nie dotknęła. Anie zamierzał jej naciskać.

– Mogę jakoś pomóc?

– Nie, o ile nie potrafisz leczyć gangreny – westchnęła. – Albo wymyślić, jak wyleczyć krwotok wewnętrzny bez nici rozpuszczalnych, anestetyków i sterylnych warunków do operacji na wnętrznościach.

Ponieważ nie był w stanie pomóc w żadnym z tych przypadków, zachował milczenie. Ale wiedział, że nie było to wszystko, co ją dręczyło. Znał ją przez długi czas i jej ciało powiedziało mu, że było coś jeszcze. Nie wiedział co, ale zdecydowanie coś.

– Coś jeszcze? – zapytał w końcu.

– Tak – odparła po dłuższej ciszy. Zapadła kolejna, gdy znów zaczęła grzebać w ogniu, tym razem znacznie energiczniej. W końcu odłożyła pogrzebacz i usiadła z powrotem w fotelu, wciąż patrząc na ogień. – Nie zaczęłam krwawić.

Czekał na coś poważniejszego niż to, ale w końcu wzruszył ramionami.

– Czy nie zdarza się, że... przeskakują? – zapytał.

– Czasami, ale prawie wszystkie kobiety w mieście przeżyły to „przekleństwo”. – Umilkła, a potem zamknęła oczy, choć jej twarz zdradzała burzę emocji. – Rozmawiałam z tymi, które tego nie miały i one wszystkie... angażowały się seksualnie już po Upadku. Każda z nich.

– Och – powiedział Edmund, a potem zastanowił się chwilę. – Cholera. Czy możemy coś z tym zrobić? – zapytał.

– To znaczy, pozbyć się go? – Uśmiechnęła się słabo. – Może. Ale nie jestem pewna, czy tego chcę. Edmundzie, to będzie pierwsze od tysiącleci dziecko urodzone z kobiety. Z pewnością należy

się dobrze zastanowić, zanim zdecyduję sieje usunąć?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

– O co chodzi, Celine? – niecierpliwie spytał Chansa. Zrezygnował z prowadzenia wielu awatarów i zamiast tego przeniósł się do laboratorium.

– Pomyślałam, że powinieneś zobaczyć moją najnowszą zabawkę-z uśmiechem odpowiedziała Celine. – Jest... czymś w sam raz dla ciebie.

Poprowadziła go korytarzem, a potem przez serię ekranów zabezpieczających, aż stanęli przed wyłożoną metalem jamą. Wewnątrz znajdowało się dwunogie stworzenie. Miało prawie trzy metry wzrostu, przygarbione ramiona i długie nogi oraz potężne bicepsy i uda. Palce miało długie i silne, z haczykowatymi szponami. Twarz należała do zwierzęcia, ale kiedy spojrzała na nich z dołu, Chansa dostrzegł w niej zdumiewającą dozę inteligencji. Widać było, że przygląda się ścianom, oceniając je i siłując oszacować, czy będzie w stanie sięgnąć szczytu. Oczy płonęły mu furją i stworzenie w końcu skoczyło w powietrze, skrzecząc, gdy ekran energetyczny rzucił je z powrotem na podłogę. Zawył z bólu i złości.

– Ciekawe – zgodził się Chansa. – Faktycznie, jest to warte mojego czasu. Oczywiście, jeśli da się to coś kontrolować. I jak trudno je wyprodukować?

– No cóż, ten jest tylko prototypem – odpowiedziała Celine z dzikim uśmiechem. – Przyjrzyj się uważnie. Widzisz w nim coś dziwnego?

Chansa popatrzył jeszcze raz i wzruszył ramionami z irytacją.

– Nie baw się ze mną w zgadywanki, Celine. To Przemiana.

– Ale nie Przemiana *człowieka* – oświadczyła ze śmiechem. Chansa ponownie przyjrzał się twarzy i ciała, po czym zadygotał.

– Elf? – krzyknął. – *Oszalałaś!* Jeśli przeciągniesz *elfy* na stronę Wolności...

– Nie wiedzą, że go mam – z niewzruszonym spokojem powiedziała Celine. – A teraz, kiedy już z nim skończyłam, można go wyeliminować. Ale chwytanie elfów i przemienianie ich jest takie... wymagające. Chodź za mną.

Poprowadziła go w głąb budowli i w dół serią schodów głęboko pod laboratorium. W miarę jak schodzili niżej, kompozytowe ściany zmieniły się z gładkiego plastiku na szorstki beton, a później naturalną skałę.

– Ta budowla jest stara – wyjaśniła, wskazując ręką wokół siebie. – W bardzo dawnych czasach był to zamek, a później twierdza wojskowa i centrum badawcze. Ta część jest starożytna, tak bardzo, że sięga poza znaną historię. Aż się zastanawiam, jakie tajemnice pochowano tu od czasów jego stworzenia.

Z głębin dochodził do schodów chłodny powiew niosący ze sobą zapach zepsucia, z początku delikatny, ale z każdą chwilą silniejszy, aż doszli do schodów nad dużą, głęboką jaskinią o naturalnym wyglądzie.

Schody i korytarze w górze oświetlone były zimnym, bezkierunkowym blaskiem światła farby, ale ciemność jaskini rozjaśniały tylko pochodnie umieszczone w dużych odstępach. Rzuciły słabe, migoczące płomienie ledwie rozpraszające mrok niesamowitej scenerii. Olbrzymie pomieszczenie pełne było życia.

W środku znajdowała się jama wypełniona czarną, nieokreśloną masą, która pulsowała ruchem, a wokół dołu rozpościerało się mnóstwo jakichś fioletowych grzybów, wysuwających w jej stronę delikatne niby-korzonki, najwyraźniej się nią żywiąc. Z nich wyrastały kolejne, tak że cała jaskinia wypełniona była dziwnymi porostami w barwach jadowitego fioletu i paskudnej zieleni. Narośla sięgały aż do ścian, gdzie wyrastały z nich strąki, niektóre wciąż małe, ale część miała już rozmiar torsu Chansy. Grzyby nie tkwiły w bezruchu, lecz zdawały się pulsować w dziwnym świetle, a wiele z nich jarzyło się kolorami i delikatnie świeciło. Wszystko to sprawiało wrażenie olbrzymiego organizmu o jakimś ponurym przeznaczeniu.

– Dobra – wydusił z siebie po chwili, próbując ukryć, do jakiego stopnia był zniesmaczony. – To dość... okropne.

– Och, to coś znacznie więcej. – Celine roześmiała się cicho i poprowadziła go w dół schodów, do jednego ze strąków pod ścianą.

– Tu, popatrz tutaj -powiedziała, klękając i ścierając ze strąka czarną, lepką ciecz. – Patrz.

Chansa zwalczył mdłości, przysiadł obok niej i spojrzał na torbę, przesuając pochodnię, by zobaczyć coś przez półprzejrzysty materiał, z którego była wykonana. Kiedy poruszył pochodnię i nachylił się, by lepiej widzieć, coś poruszyło się w środku i z wnętrza spojrzała na niego twarz jak z koszmaru.

Była to twarz elfiego dziecka, idealna i czysta, wykrzywiona się i próbująca wyrwać z otaczającego ją materiału, zdając się krzyczeć z wnętrza płynu. Rysował się na niej absolutny ból i przerażenie, a jej oczy były otwarte i niewidzące.

Chansa odskoczył w tył i spojrzał na kobietę, która stworzyła tę potworność.

– Mój *Boże*, Celine, nawet jak na ciebie...!

– Jest wspaniały, prawda? – odpowiedziała z błyszczącymi oczami i ustami wilgotnymi w świetle pochodni. – Czy znasz historię elfów? – zapytała, odbierając mu pochodnię i wstając.

– Nie, nie znam – przyznał Chansa, zastanawiając się nad natychmiastowym wyteleportowaniem z tego miejsca. Niezależnie od powodu, dla którego połączyła ich konspiracja, ta... piekielna jama była czymś, co nie powinno istnieć.

– Zostali stworzeni przez Unię Północnoamerykańską jako doskonali żołnierze – wyjaśniła, podchodząc do głównej części jamy i obracając się w jego stronę, mając jamę za plecami. – Ale pozbawieni kręgosłupa przywódcy tamtego słabego i rozpadającego się kraju chcieli żołnierzy, którym można by zaufać, że wyrządzą jak najmniej krzywd ludziom, z którymi walczyli. Tamto... idiotyczne społeczeństwo uważało, że mogło pozbawić wojnę grozy i bólu.

– To trochę niewłaściwy opis... – odezwał się Chansa, ale Celine przerwała mu.

– Stworzyli elfy jako swoich super żołnierzy, opierając się głównie na genach szympanów.

Przestudiowali najlepszych ze swoich żołnierzy i doszli do wniosku, że zasadniczą siłą ich wielkości była, wierz lub nie, *łagodność*. Chcieli żołnierzy, którzy nawet w największym stresie bitwy, nie dopuściliby się *potworności*, tak więc uczynili ich spokojnymi. Stworzyli gatunek tak *spokojny*, że po jakimś czasie w ogóle nie chciał walczyć. Faktycznie, wielu rezygnowało od samego początku, woląc spędzać cały czas na grach i, z czasem, we Śnie.

– Elfy nie walczą – zaprotestował Chansa. – No cóż, praktycznie nigdy.

– Oczywiście, że nie – prychnęła Celine. – Wszystkie żyją w cudownym świecie idealnego spokoju, czemu miałyby *walczyć*! A *le podstawa* elfów się nie zmieniła. Olbrzymia siła, niewiarygodny refleks, nadludzka inteligencja i zdolność odrzucenia stresu wojny i po prostu *bycia* w najgorętszym ogniu walki. A słabi naukowcy Norau zawiedli w jednym szczególe. Zapomnieli o *gniewie*. Te, *te* nigdy nie przestaną zabijać, z powodu całej wściekłości i nienawiści, jaką żywią do świata. I podlegają w *pełni* naszej kontroli, *upewniłam się* co do tego. Ktokolwiek będzie miał ich po swojej stronie z pewnością pokona wszystkich przeciwników!

– Ale... to?! – Chansa wskazał na jaskinię. – Hodujesz *elfy*?

– – Hoduję *demony* – szczęśliwie roześmiała się Celine. – Elfy nie rozmnażały się same od tysiąca lat, rodzą się ze specjalnych drzew dzięki pozwoleniu Pani. Ja po prostu... trochę poprawiłam metodę. Tutaj rodzą się w bólu, a ten ból i gniew zostaje z nimi na całe życie. Idealny potwór. I mogą rosnać na *czymkolwiek*. Weź nasiona z jaskini, umieść je w jakimś ciemnym miejscu, karm zgniłym mięsem i... władza! Tylko jeden egzemplarz z jamy, nakarm go dostateczną ilością materiału organicznego, a zarośnie nimi cała jaskinia. A z czasem... wojownicy. – Roześmiała się z zadowoleniem i poklepała strąk, jak matka mogła by klepać swój ciężarny brzuch.

Chansa odsunął na bo swoje przerażenie i wstręt i zastanowił się nad tym.

– Ile czasu potrzebują na dorośnięcie?

– Och, kilka lat – przyznała Celine. – Ale mogą rosnać praktycznie na *czymkolwiek* i wszędzie, gdzie w okolicy są jaskinie o odpowiednich warunkach. Jaskinie nie mogą być zbyt gorące ani za zimne i nie może być światła słonecznego, grzyby są bardzo wrażliwe na ultrafiolet. Ale w ramach tych ograniczeń, można je hodować całymi oddziałami.

– Musimy to utrzymać w tajemnicy – uznał Chansa.

– Och, tak – zgodziła się Celine. – Musimy zaskoczyć tych słabych durniów, którzy mogliby stanąć na drodze moim badaniom.

– Nie myślałem o nich – uciał Chansa. – Wciąż mimo wszystko mam nadzieję, że możemy to ukryć przed Panią!

– Wszystko to nic więcej, jak odrobina manipulacji genetycznej. – Celine uśmiechnęła się promiennie. – Wszyscy to robią.

* * *

Lazur obudził się, przeciągnął i posmakował porannego powietrza. Sądząc po zapachu domu, było jasne, że główny człowiek wyszedł i nie zostawił na wierzchu za wiele darmowego jedzenia. Poszedł do tyłu, łapą otworzył sobie drzwi i wylaźł na zewnątrz.

Kolejne pociągnięcie nosem potwierdziło, że w okolicy nie było nic do jedzenia, przerżnięcia ani walki. Nuda. Gdzieś spod stosu drewna dobiegały ciche piski myszy, ale szkoda było na nie jego czasu. Po chwili kontemplacji denerwująco pustej okolicy ruszył w stronę Raven's Mill.

Natychmiast stało się jasne, że w mieście było więcej ludzi niż zwykle. A ci nadmiarowi ludzie zdawali się nie robić nic, poza łapaniem pcheł. Niespiesznie przeszedł przez miasto, dwukrotnie łaskawie przyjmując należne mu głaskanie po głowie, cały czas kierując się w stronę kuchni. Szedł tak sobie spokojnie, kiedy nagle zauważył to, czego szukał: nowego w mieście psa.

Być może powiadomiony przez instynkt od kłopotów, po kilku minutach drzemki rottweiler otworzył oczy i przeskanował okolicę. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był największy na świecie domowy kot. Gapiący się na niego. Złowrogo.

Lazur nie był zbyt pewien, co działo się w *prostym*, małym mózdzku pieska, ale prawdopodobnie było to coś w rodzaju: „Kot. Duży, ale kot. Trzeba pogonić”.

Rottweiler zaczął gorączkowo szczekać, zerwawszy się na nogi i pędząc w stronę kota.

Lazur wyczyścił jeden pazur, wysuwając z łapy pięciocentymetrowy szpon, żeby starannie go wypielęgnować.

Pies zbliżył się, szczekając jeszcze głośniejsze i nie potrafiąc uwierzyć, że jakikolwiek kot, niezależnie od *tego jak* duży, byłby dostatecznie głupi, żeby mu się przeciwstawić.

Lazur użył pazura do wyczyszczenia ucha, pocierając mocno, żeby zrobić to porządnie i w wyraźnej ekstazie zamykając przy tym jedno oko.

Wreszcie rozwścieczony do nieprzytomności rottweiler zaatakował. Z pozornie zaskoczonym wrzaskiem Lazur skoczył w powietrze, lądując psu na plecach. Po chwili, wrzask kota umilkł i rozległ się skowyt, gdy na plecach psa wylądowało sześćdziesiąt kilo kota. Rottweiler próbował się przetoczyć i przez kilka chwil nie było nic poza kłębami pyłu, jazgotem i wściekłym syczeniem kocura.

Na koniec chmura pyłu wypluła z siebie ciężko poturbowanego rottweilera, który szybko znikł w oddali. Gdy kurz opadł, odsłonił Lazura spokojnie czyszczącego jedną z nóg z niewidocznego pyłku. Po chwili wstał, przeciągnął się i wolnym krokiem podszedł do plamy słonecznego światła, zajmowanej wcześniej przez psa.

Rozglądając się po okolicy w poszukiwaniu zagrożenia, obrócił się kilka razy, pogrzebał w ziemi, żeby przygotować ją na odpowiednie przyjęcie jego osoby i zwinął się w kulkę. Po chwili sprawiał już wrażenie pogrążonego w głębokim śnie. Jednak jedno ucho sterczało pionowo i obracało się na wszystkie strony, niczym jakiś przeciwpsi radar.

* * *

Herzer obudził się z poczuciem dezorientacji i upłynęła chwila, zanim przypomniał sobie, że znów jest w dormitorium w Raven's Mill. Spał tak długo, a przynajmniej takie miał wrażenie, że zdumiał go panujący we wnętrzu mrok. Sprawdził swoje kieszenie w poszukiwaniu pieniędzy i z ulgą stwierdził, że wciąż je ma. Po wykapaniu się poprzedniego wieczora został razem z Courtney i Mike'em na kolacji, a potem pokręcił się po mieście. Zdawało się, że wszyscy mieszkańcy okolicy

zeszli się do miasta w oczekiwaniu na wolny dzień. Miasto pełne było grup ludzi, w większości siedzących i rozmawiających. Prawie nikt nie dysponował żadną gotówką czy towarem do handlu, więc choć pojawiło się kilku handlarzy, mało kto cokolwiek kupował. Herzer kupił małą skórzaną sakiewkę na monety i rzucił jeszcze kilka drobników rudowłosej flecistce, która wybrała sobie miejsce przy strumieniu i grała głównie tradycyjne ballady celtyckie. Ale niedostatki poprzedniego miesiąca nauczyły go, jak ważna jest wiedza, skąd wziąć następny posiłek, więc uważał, żeby nie wyzbyć się zbyt szybko dodatkowych pieniędzy.

Po chwili usiadł, zwinął futrzany koc i wcisnął go do wiklinowego koszyka, wdzięczny za oba dary Bast. Po poprzednim tygodniu przywykł do stosunkowego komfortu pośłania zrobionego ze świerkowych gałęzi, zwłaszcza w porównaniu z ubitą ziemią. Ale koc był dostatecznie puszysty, by znów umożliwić spanie na ziemi. Najbardziej irytowało go, że nie miał żadnego miejsca, gdzie mógłby coś *przechować*, gdyby pozostawił kosz z kocem w sypialni, mógłby być pewien, że natychmiast by wyparowały. Ta myśl przerodziła się w uświadomienie sobie faktu, że oprócz ubrania, koszyka, koca i sakiewki, nie posiadał nic *własnego*. A Mike i Courtney nie mieli nawet tyle. W jednej chwili przeszedł z życia w obrzydliwym dostatku do całkowitego braku czegokolwiek. Uświadomił sobie, że chciałby mieć coś *własnego*, nawet gdyby miało być to tylko łóżko i... miejsce, gdzie mógłby stosunkowo bezpiecznie zostawić swój koc.

Wyszedł do miasta, zastanawiając się luźno, czy wzięcie udziału w programie uczniowskim stanowiło faktycznie najlepszą rzecz, jaką mógł zrobić. *Posiadał* umiejętności związane z tym poziomem techniki. *Wiedział*, że potrafi walczyć – gdyby tylko dostał w ręce jakąś broń i sprzęt. Było trochę rzeczy, które mógł zebrać w lasach, przypominał sobie komentarz June na temat materiału i tego, że nikt niczego nie posiada. W okolicy było mnóstwo opuszczonych domów. Mógł je znaleźć i zabrać wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Z pewnością zapewniłoby mu to więcej niż parę dodatkowych żetonów na tydzień i ręce krwawiące od ścinania drzew.

Z drugiej strony niektóre z tych domów należały do ludzi przebywających w Raven's Mill. I jak *on* by się czuł, gdyby ktoś wszedł do jego domu i zabrał *jego* ubrania?

Zastanowił się nad tym chwilę dłużej i po raz pierwszy w życiu głębiej przemyślał całą ideę szabrownictwa. Wszystkie gry, w które grał, zakładały obojętność na to zagadnienie. Zabić orki, zabrać ich złoto. Nagle zdał sobie sprawę, że w grach nigdy nie pojawiały się głodne dzieci orków, którym spalono zbiory.

Nawet łuk. O polowaniu nie wiedział prawie nic, ale wiedział, że trafiał w to, w co celował. Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien spróbować zapisać się do straży. Czy miało sens marnowanie kolejnych dwunastu tygodni życia na uczenie się rzeczy, których nigdy nie będzie potrzebował? Był pewien, że nie będzie zajmował się wypalaniem węgla drzewnego, ścinaniem drzew czy garbarstwem. Musiało być coś więcej.

Tego rodzaju ponure myśli towarzyszyły mu w trakcie porannych ablucji, załatwiania się w publicznej ubikacji i myciu twarzy w wodzie dostarczanej z górskiego strumienia. Poszedł następnie do miejskiej kuchni, przyglądając się po drodze niebu. Słońce wspięło się już wysoko. Przespał większą część poranka i bał się, że może jadalnia została już zamknięta, by przygotować ją na następny posiłek. Żołądek domagał się swoich praw i nieprzyjemnie byłoby musieć czekać.

Jednak okazało się, że jadalnia jest otwarta, a zapach z kuchni natychmiast wypełnił mu usta śliną.

Oddał swój zeton pilnującej wejścia dziewczynie o ładnej twarzy i podszedł do stołów, przy których wydawano jedzenie. Ku jego zdumieniu tym razem czekało tam na stołowników dużo więcej niż tylko gorąca kaszka. Oprócz niej można było zamówić jajka, pieczone ziemniaki, kromki złocistego, wspaniale wyglądającego chleba, dżem, masło i stopy parujących kielbasek trzymany w kotłach nad ogniem. Zamiast zwykłych niezgrabnych misek przygotowano deseczki.

– Co za miła odmiana – powiedział do obsługującej kobiety, uśmiechając się do niej ciepło.

– Rada zdecydowała, że wolny dzień powinien być okazją do świętowania - odparła z pogodnym wyrazem twarzy. – Więc przyznali na dzisiaj dodatkowe jedzenie.

– Jeszcze lepiej – ucieszył się Herzer. – Co mogę dostać?

– Co tylko chcesz – wyjaśniła z łobuzerskim uśmiechem. – Ale zjedz wszystko co weźmiesz.

– Hmmm...

– Jak chciałbyś dostać jajka? – zapytała, biorąc do ręki patelnię.

– Jajka... – odpowiedział Herzer, otwierając szeroko oczy. – Nie mam pojęcia

– Sadzone, jajecznica? Przysmażone z dwóch stron?

– Chyba to ostatnie. Och... z mocno ściętym białkiem.

– Żaden problem. Zaraz podam.

Wziął sobie mały chlebek. Miał brązową skórkę, był niewiele większy od dłoni i rozsiewał bogaty, maślany zapach. Złamał go na pół, odsłaniając wnętrze, które zamiast białego, okazało się jasnozłotobrazowe. Powąchał, a potem oderwał spory kawałek i wsadził go do ust, żując z wyrazem błogości.

– To dobrze! — wymamrotał z pełnymi ustami. — Nabławdę bałdzo dobrze! Kucharki roześmiały się, a dziewczyna, która przygotowywała dla niego jajka, odwróciła je na patelni i mrugnęła do niego.

– To chyba najstarszy znany przepis na chleb – wyjaśniła. – Dopiero teraz byliśmy w stanie przygotować do niego dość mąki.

– Bo do est? – zapytał Herzer, po czym przełknął wreszcie. – To *znaczy*, co to jest?

– To chleb, na którym zbudowano piramidy – wtrąciła się starsza kobieta. - Egipski. Ciężki, zakalcowaty, pełen witamin i minerałów.

– Chleb i piwo – przytaknął, kiwając głową. – Słyszałem o nim, ale nie tego się spodziewałem, słysząc słowo „chleb”. To posiłek sam w sobie.

– Tak właśnie mówią – radośnie przyznała dziewczyna. – Piramidy zbudowali na chlebie i piwie z odrobiną ryby oraz, przy świętach takich jak dziś, nie wielkich ilościach mięsa. I zobacz, co osiągnęli. -Na chwilę spoważniała, skupiając się na przeniesieniu gotowych jajek z patelni na jego deseczkę.

Nachylił się i położył dłoń na jej ręce.

– Któraś dnia spojrzę wstecz i powiem to samo o nas – oświadczył poważnie.

Uśmiechnęła się do niego zalotnie, a potem przechyliła głowę w bok i wyciągnęła jedną z kiełbasek.

– Kiełbasę? – spytała, unosząc brew.

Czemu trzeba było aż końca świata, żeby kobiety zaczęły mnie zauważać? pomyślał Herzer. Termin, który przyszedł mu do głowy to „zalotna dziewczyna”. Była przyjemnie i wbrew modzie zaokrąglona, skądś też zdobyła sukienkę z epoki, która była na nią odrobinę za krótka w górnej części, dzięki czemu odkrywała całkiem sporo jej obfitego biustu. Spod czepka wyrzywały się rude loki, ale ojej włosach nie dało się powiedzieć nic więcej. Znow nawiedziło go pewne wspomnienie i uśmiechnął się do niej.

– Nie, dziękuję – odpowiedział z mrugnięciem. – Mój limit to szesnaście.

Jednak wziął sobie miskę grysiku – bez niego nie wiedziałby, że jest po śniadaniu – i jeszcze jeden kawałek chleba oraz masło i dżem do kaszki. Zaniósł obładowaną tacę do jednego ze stołów i usiadł, spoglądając na zewnątrz przez niezabudowane ściany. Po okolicy kręciło się trochę ludzi, ale podobnie jak wczoraj nie działo się nic specjalnego. W pobliżu strumienia zbierały się grupki, rozmawiając i czasami się sprzecząc. Rozglądając się, zdał sobie sprawę, jak wielu ludzi w mieście *nie znał*. Musiało się tu zgromadzić przynajmniej dwa lub trzy tysiące osób, a znał przypuszczalnie zaledwie z piętnaście czy dwadzieścia. Uświadomił sobie także, jak... zróżnicowane, a równocześnie mocno ograniczone było jego życie przed Upadkiem.

Nigdy nie brał udziału w Jarmarkach, a największe zgromadzenia, w jakich kiedykolwiek uczestniczył, to przyjęcia w rodzaju tego u Marguerite. Jego choroba sprawiała, że raczej unikał grup, w których nie znał przynajmniej większości, a w miarę jak się rozwijała, stawał się coraz bardziej samotny. W tej chwili prawdopodobnie miał więcej przyjaciół, jeśli zaliczyć do nich niektórych członków jego klasy niż w całym swoim życiu. I znajdował się w pobliżu większej liczby ludzi, niż kiedykolwiek widział.

Pomyślał o próbie znalezienia Courtney i Mike'a, albo innych członków swojej grupy, ale nie miał pojęcia jak. Tamta dwójka oddaliła się poprzednieg wieczora w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, gdzie mogliby położyć się razem zamiast spania w oddzielnych dormitoriach, w tej chwili mogli być gdziekolwiek. Zastanowił się nad wybraniem się do łaźni. Prawdopodobnie mógłby tan nawiązać jakąś rozmowę, ale zrezygnował z tego, gdy wziął pod uwagę swoje kurczące się zasoby pieniężne. Dziwnie przytłaczające było uświadomienie sobie, jak ograniczające było nieposiadanie funduszy. Dostał dwa żetony żywnościowe dodatkowo w stosunku do należnych mu trzech dziennie. Było już tak późno, że mógł sobie pozwolić na pominięcie obiadu, zyskując w ten sposób jeszcze więcej wolnych funduszy. Tak więc dałoby to trzy żetony nadwyżki. Jedną dziesiątą zużył na kąpiel i tyle samo na wypranie ubrania. Jedna dziesiąta dla śpiewaczki i ćwierć za sakiewkę. Wydawało się to dość dużo jak za kawale' zszytej skóry, ale z drugiej strony i tak wytargował obniżenie ceny o połowę. Właściwie to nie wydawał pieniędzy jakoś szczególnie rozrzutnie, ale musu jeszcze myśleć o wieczorze i jutrzejszym dniu. Był też przyszły tydzień, nie miał żadnej gwarancji, że dostanie kolejny bonus. To, z czym wyjdzie z programu uczniowskiego, niezależnie od tego, czy dołączy do straży, czy będzie używał nabytych w nim umiejętności, będzie musiało mu wystarczyć na początek. Tak więc postanowił być oszczędny.

Podczas gdy przyglądał się ludziom na zewnątrz, rozważając przy tym swoją sytuację finansową, dziewczyna, z którą rozmawiał przy wydawaniu posiłku podeszła do niego i usiadła na ławce po drugiej stronie stołu, zasłaniając widok i sprowadzając go do tu i teraz.

Teatralnym gestem powachlowała twarz dłonią i westchnęła, uśmiechając się do niego.

– Ciężka praca? – zapytał Herzer, zgarniając z miski resztki kaszki.

– Ach! Ominęło cię, wcześniej było tu istne szaleństwo! – powiedziała, znów się wachlując, choć na jej twarzy nie widać było potu. – Ale za pracę dziś rano mam wolne całe popołudnie i jutrzejszy ranek. Dzień dobry, Morgen Kirby przedstawiła się, wyciągając rękę przez stół.

– Herzer Herrick – odparł chłopak, ujmując jej dłoń. Była cudownie ciepła.

– *Herzer Herrick* – powtórzyła, smakując dźwięk na języku. – Her-zer Herrick! Ma w sobie cudownie męskie brzmienie!

– Cóż, jesteś pierwszą osobą, która mi to mówi – roześmiał się chłopak. – A więc czym zarabiasz na swoje żetony, Herzerze Herricku?

– Jestem w programie nauki zawodu – wyjaśnił, dojadając resztki śniadań Większość tłumu oddryfowała gdzieś, a byli dostatecznie blisko strumienia, że dochodził do nich łagodny szmer wody i przyjemnie chłodny powiew. Herzer był przekonany, że mógłby tu siedzieć bez końca, zwłaszcza jeśli oznaczałoby to, że nie musi już ścinać żadnych drzew. I naprawdę nie miał ochoty nawet *myśleć* o powrocie do pracy.

– Może też powinnam się tam udać – zastanowiła się. – *Nie* zamierzam przez resztę życia pracować w kuchni. Tylko *popatrz* na te dłonie – dodała, wyciągając je przed siebie.

W pierwszej chwili Herzer pomyślał, że były całkiem zgrabne i ogólnie ładne. Ale był dość pewien, że miała na myśli fakt, że skóra zaczerwieniła się i lekko popękała. Raczej więc nie wchodziło w grę powiedzenie „jak dla mnie wyglądają całkiem dobrze”.

– Jeśli *nigdy* już nie umyję *kolejnej* miski w całym swoim życiu, to nie wiem, czy to wystarczy – powiedziała, wstrząsając się z niesmakiem.

Coś, *coś*... Herzer przez chwilę grzebał we wspomnieniach. Która to była roślina? Bast powiedziała coś w trakcie ich spaceru... Miało szerokie liście... i fioletowe kwiatki, jeśli dobrze zapamiętał.

– Mogę znać coś, co by ci na to pomogło. – Obrócił jedną z jej dłoni i przesunął palcem po wierzchu, na co Morgen zareagowała uroczym drgnięciem.

– Naprawdę? — zapytała ochryple, po czym odchrząknęła. – Miałśmy jakiś olej, którym je smarowałam, ale to wiele nie pomagało.

– No cóż, nie wydaje mi się, żeby to pomogło na *trwale* – zauważył w zamyśleniu Herzer. – Ale *trochę* powinno pomóc. To roślina... i musiałbym jej poszukać...

– Gdzie?

– W lesie, nad strumieniem, gdzie jest ciemno i wilgotno. Będę musiał wyjść wyżej między

wzgórza, poza oczyszczony teren.

– Głębiej w las? – zapytała z powątpiewaniem i rysującym się na twarzy zaskoczeniem.

– Tak – potwierdził Herzer, unosząc brew. – Czemu?

– Cóż... ludzie nie chodzą teraz za dużo do lasu. Wiesz, że tam są dzikie zwierzęta? -Tak.

– Są tam tygrysy, lamparty i pумы?

Herzer zastanowił się nad tym przez chwilę, potem wzruszył ramionami.

– Jeszcze mnie nic nie zjadło.

– Och. Kiedy planujesz się tam wybrać?

– Nie mam nic lepszego do zrobienia, więc pewnie pójdę teraz.

– Cóż, jeśli poczekaasz, aż skończymy z naczyniami ze śniadania, mogłabym wybrać się z tobą.

– Nie boisz się bycia zjedzoną? – zapytał Herzer, a potem szybko dodał: - Przez tygrysa?

– Nie przy tobie – odpowiedziała.

– Cóż... chyba mogę trochę poczekać.

Uśmiechnęła się i zabrała jego tacę, zanosząc ją do kuchni, wyraźnie kołysząc przy tym biodrami.

Dobra, pomyślał Herzer. Jak to było z tym końcem świata?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Kiedy Herzer wracał późnym popołudniem do miasta, jego koszyk był w połowie zajęty przez lekko wilgotny koc, druga część aż kipiała od wiosennej zieleniny. Odkrył sporą kolonię szparagów i dość słodkich liści na sporą ilość sałatki. Udało mu się też znaleźć krzewy kudzi porastające kamienne osypisko, a przy niewielkim oczku wodnym u podstawy osypiska odkryli różne fascynujące rzeczy, które można było robić z sokiem z kudzi.

Gdy wrócili do miasta, przekonali się, że spora jego część opustoszała. Większość mieszkańców zebrała się w okolicy dawnego terenu Jarmarku, u podnóża wzgórz na północ od miasta.

– Chodź. – Morgen wzięła go za rękę. – Zaczęły się tańce.

– Och. Boże.

– Nie bądź dzieckiem – zachnęła się. – Wszystko, co musisz zrobić, to ruszać nogami!

Jeden z końców pola otoczono linami i ustawiono tam scenę. Z niej grupa minstreli, łącznie z rudowłosą dziewczyną, którą Herzer widział poprzedniego wieczora, grała teraz szybkiego jiga. Tańczyła całkiem duża gromadka, ale większość ludzi skupiała się w niewielkich grupkach, przyglądając się i rozmawiając. W okolicy leżało trochę pni pozostałych po ścinaniu lasu, postawiono też kilka stołów na kozłach, ale zebrani przeważnie usadowili się wprost na ziemi albo na nie wykarczowanych jeszcze pniakach. Herzer i Morgen, trzymając się za ręce, weszli w tłum, szukając miejsca, by usiąść, albo kogoś znajomego. Nie zaskoczyło go, że to właśnie Morgen pierwsza kogoś wypatrzyła. Pomachała do dwóch kobiet stojących obok siebie z założonymi rękami i pociągnęła Herzera, żeby go przedstawić.

Jedna z nich wyglądała na odrobinę starszą, była niska i miała więcej wypukłości niż dopuszczała aktualna moda i ostre rysy twarzy. Jej długie, ciemne włosy były mocno pofalowane, a w lekko wilgotnym powietrzu ich końce skręcały się w loki. Przyjrzała się Morgen i Herzerowi wyrachowanym spojrzeniem drapieznika oceniającego ofiarę. Młodsza z kobiet, nieco wyższego niż przeciętnie u kobiet wzrostu, miała standardowy, modny wygląd: zadnych bioder, piersi i pośladków. Spojrzała na Herzera i Morgen z twarzą bez wyrazu, a potem odwróciła wzrok.

– Cześć – odezwała się Morgen, kłaniając się. – Crystal – zwróciła się do starszej kobiety. – To Herzer Herrick. Herzer, Crystal Looney.

Herzer wyciągnął rękę, ale kobieta tylko kiwnęła mu głową, ręce wciąż trzymając złożone. Jeśli można było w ogóle mówić o jakimś wyrazie jej twarzy, to było to lekceważenie. Herzer cofnął rękę i ostentacyjnie schował ją za plecami, kłaniając się z uśmiechem.

– *Miło* cię poznać. Crystal, tak? – powiedział.

– Shelly? -po chwili odezwała się Morgen, obracając się do drugiej kobiety. – To jest Herzer. Herzer, Shelly Coleman.

Herzer tym razem nawet nie próbował wyciągać ręki. Po prostu skłonił się w stronę kobiety, która odpowiedziała lekkim skinieniem i wróciła do przyglądania się tańcom.

Morgan zaczerwieniła się z powodu ewidentnego odrzucenia, a potem uśmiechnęła się niepewnie.

– No i co porabiacie? – zapytała.

Crystal wyglądała, jakby nie potrafiła uwierzyć w pytanie.

– Przyglądamy Się Tańcom – wycedziła, wolno i dystygownie. Morgen znów się zaczerwieniła, a Herzer kiwnął głową. Złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie.

– *Miło* było was *poznać*, drogie panie – rzekł ze starannie maskowaną nieszczerością. – Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy. – Wziął Morgen za rękę i odszedł, zmuszając ją do tego samego.

– Cześć – rzuciła, odchodząc. – Nie wiem, co je ugryzło — powiedziała, kiedy się już od nich oddalili. – Normalnie są przyjazne.

Herzer objął dziewczynę na wysokości ramion i serdecznie ją uściskał.

– Och, myślę, że ugryzł je fakt, że byłaś z *facetem* – wyjaśnił ostrożnie. – Co?

– Nieważne. Chodźmy poszukać jakichś moich przyjaciół. Oni przynajmniej mogą być choć *trochę* bardziej życzliwi.

Wędrowali przez tłum, aż Herzer wypatrzył najpierw Shilan, a potem siedzącego obok Cruza. Znaleźli sobie miejsce na skraju tłumy, opierając się o jakiś stos drewna.

– Cześć – przywitał się Herzer, podchodząc do nich z ramieniem owiniętym wokół talii Morgen. – Jak wam leci?

– Parszywie, Herzer, parszywie – odpowiedział Cruz. – Kim jest twoja przyjaciółka?

– Morgen, to Cruz Foscue i Hsu Shilan. Shilan to jej imię. Cruz, Shilan, to Morgen.

Herzer postawił na ziemi koszyk i najpierw wyciągnął z niego zieleninę, obwiniętą większymi liśćmi, a potem wydobył koc i rozłożył go, mając nadzieję, że nie będzie na nim zbyt widać plam.

– Człowieku, zawsze jesteś przygotowany – ocenił Cruz. – Skąd wzięłeś to królicze żarcie?

– Poszliśmy na spacer do lasu – wyjaśniła Morgen i zaraz się zaczerwieniła.

– Bast pokazała mi niektóre rzeczy, które nadają się do jedzenia – dodał Herzer. – Można to wszystko jeść na surowo, ale niektóre są lepsze po ugotowaniu. – Wyciągnął jednego szparaga i spróbował. — Umm... smaczne. Bardziej jak karma dla *jeleni*.

– Faktycznie, dobre – przyznała Morgen.

– Oooo! Śliwki – zauważył Cruz, wyciągając owoc.

– Nie, to kudzi – poprawił Herzer, gdy twarz chłopaka wykrzywiła się w skoczeniu.

– To jest dobre – uznał Cruz, gryząc kolejną porcję, a potem podając resztę Shilan.

– Tak, ale uważajcie na sok – uprzedził Herzer z kamienną twarzą. Jednak komentarz i tak wywołał histeryczny niemal chichot Morgen.

– Muszę iść do toalety – oznajmiła nagle Shilan. – Pójdiesz ze mną, Morgen?

– Wygląda na dobry pomysł – odpowiedziała dziewczyna, otrzepując dłonie. Mężczyźni przyglądali się w milczeniu oddalającym się kobietom, po czym Cruz wznosił oczy do nieba.

– One robią to tylko po to, żeby nas zdenerwować, wiesz o tym, prawda?

– Jasne – zgodził się Herzer. – Ale czy one wiedzą, że *my* wiemy?

– Wiesz, że w łazience poddadzą nas wiwisekcji.

– Hej, to latryny – poprawił go Herzer. – I o ile nie pachną *znacznie* lepiej niż nasze, nie będą stać w nich i nas analizować.

– Cóż. Racja. – Cruz wzruszył ramionami. – Ale to nie oznacza, że nie mogą stać *na zewnątrz*. A przy okazji, stary, *muszę* cię o to zapytać.

– O co? — zapytał Herzer, marszcząc brwi.

– Bierzesz jakieś *pigułki*, czy coś? No wiesz, daj spokój. Jednego dnia uganiasz się po okolicy z nimfomańską *leśną* elfką...

– Ona wcale *nie* jest nimfomanką! – zaprotestował Herzer.

– Wszystko jedno. Ma ze trzy tysiące lat i zna każdą pozycję z Kamastury!

– Och, *tysiąc... może...* – poprawił Herzer. – I dobrze, Kamasutra była na początek!

– Boże wszechmogący, stary – roześmiał się Cruz. – No więc? *Pigułka? Daj* mi trochę.

– Sam nie wiem – odpowiedział Herzer. – Zadawałem sobie to samo pytanie. To coś w rodzaju: „Hej, jest koniec świata. Teraz już możemy iść do łóżka z Herzerem!”.

Cruz roześmiał się tak szczerze, że przeturlał się po ziemi, machając rękami w powietrzu, żeby Herzer przestał.

– To nie fair — stwierdził w końcu, wskazując Herzera palcem. – Nie jesteś ostatnim facetem na świecie! To nie powinno tak działać!

– No nie wiem. Koniec świata, a one nagle zaczynają uważać mnie za interesującego. Nie pytaj *mnie*, ja tu tylko sprzątam! A gdyby była na to jakaś pigułka, brałbym ją od pięciu lat. Zresztą, hej, ty, a Shilan? Kto to mówi?

– Pracowałem nad Shilan przez *tydzień* – z rozpaczą odpowiedział Cruz. – Twoja leśna elfka odchodzi, a ty zaraz wracasz do miasta i *bang!*

– Nie wiem – powtórzył Herzer, znów wzruszając ramionami. – Może to po prostu mój doskonały wygląd.

– Och, proooszę – zaśmiał się Cruz. Mężczyzna miał prawie dwa metry wzrostu i drugie, pofalowane blond włosy, zielone oczy i doskonałą twarz. Wszyscy w ich społeczeństwie wyglądali dobrze, ale nawet w tej grupie Cruz lokował się w górnej części skali.

– Słuchaj, Cruz, nie mów *mi*, że masz problemy z dziewczynami – powiedział Herzer. – Kiedy dorastałem, miałem... um... problem genetyczny. Przez niego zachowywałem się naprawdę dziwnie.

Miałem drgawki, nie potrafiłem utrzymać spokojnie rąk, moja głowa ciągle się poruszała. Nikt, a zwłaszcza dziewczyny, nie chciał *znaleźć* się w promieniu dziesięciu metrów ode mnie, na wypadek, gdyby to było zaraźliwe. Nawet moi cholerni rodzice „dali mi moją wolność” w wieku *czternastu* lat. A wtedy nie widziałem żadnego z nich już od trzech lat. Cały czas wychowywały mnie niańki.

– I co się stało? – zainteresował się Cruz.

– Cóż, dzięki bogom, zostałem wyleczony tuż *przed* Upadkiem. Tak się składa, że przez doktor Daneh.

– Żonę Edmunda Talbota? – zapytał Cruz.

– Och... oni nie są... nie wiem, czy są małżeństwem, ale... tak.

– Czyli znasz Edmunda?

– Właściwie nie spotkałem go nigdy aż do wczoraj, w łaźni. Ale znam doktor Daneh i chodziłem do szkoły z jej córką.

– Fajnie.

– Cóż, chodzi mi o to, że za żeton dostanę posiłek – stwierdził Herzer z nutką rozpaczy.

– Tak. – Cruz zmarszczył czoło. – Ale przynajmniej *znasz* ludzi. Ja nie znam tu nikogo. – Przez chwilę wyglądał na zagubionego.

– Hej. – Herzer nachylił się i klepnął go po ramieniu. – Znasz mnie, wszystkich w klasie A-5 i Morgen. Zanim się zorientujesz, będziesz znał wszystkich w tym mieście.

– No, to jest cel, do którego można dążyć – smutno uśmiechnął się Cruz. – Ale miałem przyjaciół, wiesz? Nigdy nie uświadamiałem sobie jak rozproszonych, ale byli *przyjaciółmi*. Tutaj... nie ma nikogo dla mnie. Nikogo za plecami.

– Rozumiem – zgodził się Herzer. Jednak prawdę mówiąc, ponieważ nigdy *nie miał* nikogo za plecami, nie potrafił tak naprawdę współczuć. – A skoro o tym mowa, widziałeś może Courtney i Mike'a?

– Och, tak. Courtney wyciągnęła Mike'a na tańce.

– Czym? – roześmiał się Herzer. – Wołami?

– Niewiele się pomyliłeś, stary. – Cruz uśmiechnął się. – Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że zagroziła mu zerwaniem. – Popatrzył za plecy Herzera i zachichotał. – Nie oglądaj się, dziewczyny wróciły.

– Powiemy im, że znamy ich tajemnicę? – spytał Herzer, unosząc brwi.

– Nieee... Niech myślą, że wiedzą coś, czego my nie wiemy.

* * *

Wciąż jeszcze zostało trochę sałatki, kiedy Mike i Courtney, ociekając potem w chłodnym, wiosennym powietrzu, wrócili z tańców. Dokonano prezentacji, a potem Mike zwałił się na ziemię z

teatralnym jękiem.

– No i koniec, załatwiłaś mnie – oznajmił, leżąc plackiem na ziemi. – To miał być dzień *odpoczynku!*

– Mięczak – parsknęła Courtney, z rękami na biodrach i najwyraźniej płonąć chęcią powrotu na parkiet. – Co z tobą, Herzer?

– Nieee, dziękuję. Już się umówiłem z Morgen – odpowiedział, wyciągając dłoń. – Zechce pani zatańczyć, milady? – zapytał, wysuwając jedną nogę przed siebie i zginając się w ukłonie.

– Ależ oczywiście, sir. – Morgen chwyciła jego dłoń i podniosła się z ziemi. Herzer tańczył z Morgen prawie przez godzinę, jiga, reele i inne celtyckie tańce, aż poczuł, że jeszcze trochę i padnie. Gdzieś po drodze tańczył przez chwilę z Courtney i nawet z Shilan, ale w końcu wrócił do Morgen. Po tym tańcu rudowłosa minstrelka uniosła flet w geście poddania.

– Robimy sobie teraz małą przerwę – oznajmiła tłumowi, dramatycznym gestem ścierając pot z czoła. – Wy też powinniście!

Herzer zaczął odchodzić, kiedy zauważył zbliżającego się Edmunda. Położył rękę na ramieniu Morgen, żeby ją zatrzymać i oboje przyglądali się, jak Edmund zbliża się do sceny i kiwa palcem na flecistkę. Uniosła brwi. Opinia Edmunda na temat minstreli stanowiła już temat żartów w całym mieście, więc z wyraźnie udawaną trwogą przeszła przez scenę i nachyliła się, by posłuchać, co ma do powiedzenia. Herzer nie był dostatecznie blisko, by coś usłyszeć, ale zobaczył, jak jej brwi unoszą się w zaskoczeniu, a potem kiwnęła głową, na co Edmund odpowiedział tym samym. Podszedł do brzegu sceny i skinął na kogoś w tłumie. Minstrelka zebrała resztę zespołu. Kiedy na scenę wspiął się mężczyzna z dudami, stanęła przed nimi i uniosła ręce.

– Przepraszam, ludzie, ale zostaliśmy poproszeni o wykonanie jeszcze jednego kawałka, choć nie jest to melodia do tańca – oświadczyła, śmiejąc się niewesoło. Ucisnęła dłoń dudziarza i odczekała, aż napełni miechy, po czym zaczęła dyrygować.

Herzer poczuł, jak jeży mu się skóra od drżących dźwięków dud. Słyszał już muzykę z dud i zasadniczo mu się podobała, jednak ta melodia nie przypominała niczego, co do tej pory słyszał. Sięgała głęboko w niego i dotykała czegoś w duszy, czegoś starego, dzikiego i przerażającego. Gdy do melodii dołączyła reszta zespołu, jego ramiona pokryły się gęsią skórą. A potem kobieta zaczęła śpiewać i po pierwszych słowach przepadł.

Błyska topór, śpiewa miecz,

Stalą wroga przegnaj precz.

Konie gnają, tarczy blask,

Bij Psubratów aż po Brzask.

Bitwy zgiełk, krew, pot i znój,

Walcz, by Kraj ten Został Twój.

Zadmij w róg i przegnaj strach,

Herzer mógłby prawie przysiąc, że słyszał dźwięk uderzających w tarcze mieczy i niewyraźne dźwięki odległej bitwy. Stał jak zaczarowany, aż skończyła się piosenka, a potem z otwartymi ustami popatrzył na Morgen. Zwróciła ku niemu nieprzeniknioną twarz.

– To było niesamowite – powiedział w końcu.

– Podobało mi się – odparła, wciąż patrząc na niego z osobliwym wyrazem oczu. – Ale kiedy ty tego słuchałeś, wyglądałeś naprawdę *dziwnie*.

Herzer pomyślał nad tym przez chwilę, a potem kiwnął głową, z mięśniami drgającym w szczęce.

– Ktoś powiedział mi kiedyś, że wszyscy nosimy maski – rzekł cicho. – Myślę, że ta piosenka musiała zedrzeć część z moich.

Po zakończeniu pieśni, na scenę wszedł Edmund. Popatrzył na minstrelkę, kiwnął głową z uznaniem, a potem podniósł ręce nad głowę, prosząc o ciszę.

– SŁUCHAJCIE! SŁUCHAJCIE! - zaczęli pokrzykiwać niektórzy w tłumie. Na to gdzieś z tyłu zebranych senatorskim głosem ktoś huknął. – CISZA!

– Dziękuję, Serż – powiedział Edmund przy akompaniamencie chichotów. - Chciałbym przekazać kilka ogłoszeń i powiedzieć o paru sprawach. I dziękuję tym, hmm, muzykom, za ściągnięcie dla mnie waszej uwagi.

Przy luźnych śmiechach Herzer zaczął się zastanawiać nie nad tym, *co* mówi Edmund, *ale jak*. Tłum był duży i nie do końca cichy. Co więcej, nie wspomagały go żadne efekty akustyczne. A jednak zdołał nadać swojemu głosowi brzmienie, które docierało aż do samych krajów zebranego tłumu. Herzer nie był pewien, jak burmistrz tego dokonał, ale była to cholernie dobra sztuczka.

– Wielu z was bierze udział w programie zaznajamiającym, zwanym też programem uczniowskim czy nauki zawodów—ciągnął Talbot. – Ustalono wreszcie dla niego ostateczny harmonogram. Obejmuje on wszystko, oprócz ostatnich dwóch tygodni, które zostaną przeznaczone na szkolenie wojskowe, łącznie z zaznajomieniem się z długim hakiem i innymi broniami. Będzie to ostatni tydzień szkolenia, po którym dostaniecie oceny końcowe z kursów, a mistrzowie fachów będą przyjmować zgłoszenia od tych, którzy ich zdaniem mają talent w ich dziedzinie. Wtedy też będziemy przyjmować zgłoszenia do sił obronnych Raven's Mill, a zgłaszać się będą mogły osoby, wykazujące jakieś uzdolnienia w tym kierunku. Wszyscy, niezależnie od tego, czy bierzecie udział w kursach uczniowskich, czy nie, powinniście sobie zdawać sprawę, że część zobowiązania, które podpisywaliście po przybyciu do Raven's Mill dotycząca obrony miasta, nie stanowi tylko pustych słów. Jedną z rzeczy, nad którą bardzo intensywnie pracują kowale przez ostatnie tygodnie, jest produkcja broni, głównie włóczni. Przez ostatnie czternaście dni rada miejska pracowała nad kartą praw Raven's Mill i zostanie ona przedstawiona w przyszłym tygodniu. Ale jednym z jej elementów, którego powinniście być świadomi, jest zastrzeżenie, że wyborcą może być wyłącznie osoba biegle posługująca się przynajmniej jednym rodzajem broni obronnej.

Słowa te wywołały falę głosów, choć nie aż tak intensywną, jak spodziewał się Herzer. Jasne było, że wielu ludzi spodziewało się włączenia takiego przepisu. Edmund podniósł ręce, prosząc o

ciszę i odczekał, aż wygasła większość rozmów.

– Jedynym wyjątkiem będą osoby, które potrafią wykazać, że silne przekonania religijne lub filozoficzne uniemożliwiają im zastosowanie przemocy. W takim przypadku będziemy wymagać, żeby przeszli szkolenie w zakresie opieki nad rannymi. Wszyscy w tym mieście *będą* gotowi go bronić. Wielu z was przemocą odebrano waszą własność w trakcie podróży tutaj. Inni mieli jeszcze poważniejsze problemy – mówił dalej, przesuając wzrokiem po ludziach w tłumie. – Historycznie rzecz biorąc, kiedy tylko bandyci zorientują się, że interes na drogach robi się kiepski, zaczną atakować miasta. *Będziemy* przygotowani do obrony. Aby to podkreślić, Sheida Ghorbani przygotowuje konwent konstytucyjny, planując odtworzyć Unię Północnoamerykańską. Uważam, i bardzo mocno bronię swojego w tym zakresie stanowiska, a Sheida i inni członkowie rady zgadzają się ze mną, że wymaganie bycia zdolnym do obrony siebie i społeczności powinno stanowić uniwersalne prawo Unii Północnoamerykańskiej. Faktem jest, że znajdujemy się w stanie wojny domowej. W tej chwili wydaje się może, że nic takiego się nie dzieje, ale równocześnie z naszym organizowaniem się i przygotowaniem, organizują się i mobilizują stronnicy Paula. W tej chwili Rada walczy między sobą, ale w tej bitwie doszło do sytuacji patowej. Tak więc z czasem przyjdą po nas. I będziemy na to gotowi. Wszystkich was spotkało wiele trudności i może uznacie, że to zbyt ponure wizje jak na dzień przeznaczony na świętowanie, jednak to ważne uwagi rzeczy, o których wszyscy powinniśmy pamiętać. I w związku z nimi właśnie podejmować osobiste decyzje. Tak, że kiedy przyjdzie czas na głosowanie w tych sprawach, byście mogli głosować, kierując się wiedzą i zrozumieniem.

Nie było osoby, która nie słuchałaby tych słów w najgłębszym skupieniu. – I prawdę mówiąc, to już dość na was w tej chwili zrzuciłem. Powinniście mieć wystarczająco dużo tematów do dyskusji – zakończył z uśmiechem. – Tak więc jak tylko ci... hm... muzycanci odzyskają oddech, możecie się znów wszyscy dobrze bawić. Powodzenia. – Znow machnął rękami i zaczął schodzić ze sceny, ale odwrócił się i uniósł ręce. – Och, a przy okazji, to wymaganie dotyczy również minstreli! – To wywołało ogólny śmiech.

– Tak? No dobra, potrafię niezłe machać pudłem fletu – zawołała rudowłosa, wymachując nad głową opakowaniem swojego instrumentu.

– Dobrze, dobrze, zobaczymy, jak poradzisz sobie z toporem – odpowiedział Edmund i zszedł ze sceny.

Wokół Edmunda zgromadził się już tłum, więc Herzer nie uważał, by była to najlepsza chwila na zadawanie pytań. Zamiast tego razem z Morgen wrócili niespiesznie do zajmowanego przez ich grupę miejsca nad strumieniem.

– On ma rację, *faktycznie* jest o czym rozmawiać – stwierdziła Courtney, siadając na ziemi i opierając się plecami o stos drewna.

– Ooch! Unia Północnoamerykańska! – było wszystkim, co powiedział Cruz, potrząsając głową.

– Tak, to poważne sprawy – zgodził się Mike.

– Cóż, nie uważam, żeby słusznym było wymaganie od wszystkich, żeby potrafili się posługiwać bronią – gniewnie odezwała się Morgen. – Nie jestem zainteresowana zabijaniem ludzi. Ani nawet krzywdzeniem ich.

– A co, jeśli oni będą zainteresowani skrzywdzeniem ciebie? – cicho zapytała Shilan.

– Czemu mieli by tego chcieć? – zaatakowała Morgen. – Co im zrobiłam? Jeśli wszyscy zaczną się przygotowywać do walki, prędzej czy później do niej dojdzie!

– Ludzie nie muszą mieć *powodu*, żeby krzywdzić innych – rzekł Herzer. – Wystarczy, że będą tego rodzaju osobami, którym sprawia to przyjemność.

Shilan przez chwilę popatrzyła na niego dziwnie, a potem kiwnęła głową.

– Posłuchaj Herzera – poradziła.

– Rozumiem, że miałaś jakieś kłopoty po drodze? – zapytała Courtney.

– Tak – ostro odpowiedziała Shilan.

– Co się stało? – zapytała Morgen.

– Nie mam ochoty rozmawiać na ten temat – odpowiedziała Shilan. Objęła kolana ramionami, przyciągając je mocno do siebie, i zapatrzyła się w dal.

Twarz Cruza napięła się i mocno zacisnął szczęki. Potem odwrócił wzrok.

– Przykro mi, Shilan – powiedziała Morgen. – Przykro mi za to, co przytrafiło ci się po drodze. Ale i tak się nie zgadzam. Przemoc nigdy niczego nie rozwiązuje.

Herzer parsknął śmiechem, po czym bezskutecznie spróbował przekształcić to w kaszel.

– Co? – ostro spytała Morgen.

– Przepraszam... przeprasza... – powiedział, wciąż próbując się nie śmiać. – Po prostu pomyślałem sobie... Może powinnaś zapytać SI Melcona, czy przemoc cokolwiek rozwiązuje. Albo senat Kartaginy czy Dżihad Islamską.

– O czym ty mówisz? – spytała Morgen.

– Słyszałaś kiedyś o SI Melcona?

– Tak, słyszałam o niej.

– Czy jeszcze istnieje? – z uśmiechem zapytał Herzer.

– Nie. Została zniszczona w wojnach SI – odparła Morgen, wstając i opierając ręce na biodrach. — Ale to jest czterdziesty pierwszy wiek, nie trzydziesty pierwszy! Chyba już wyrosliśmy z tego i ścierania się w wojnach jak chłopcy na placu zabaw!

– Tego właśnie bronimy – powiedział Herzer. – Albo nie, co jak widać, też może się zdarzyć – dodał, patrząc na Shilan.

– On próbuje powiedzieć, że ludzie zawsze stosowali przemoc – wtrąciła się Courtney. – Zawsze istniały wojny i jak długo zostaniemy istotami ludzkimi, zawsze *mogą się zdarzyć*. Ostatnie tysiąc lat to złoty wiek ludzkości. I miło będzie do tego powrócić. Ale jeśli ma się to odbyć kosztem pozwolenia Paulowi na decydowanie, co jest słuszne, a co nie... Możesz próbować ograniczać się do dyplomacji, ale ta już zawiodła. Zawiodła w Sali Rady. Kiedy Paul zaatakował Sheidę.

– No cóż, mamy na to tylko *jej* słowo – zauważyła Morgen.

– Och, dobry Boże. – Courtney podniosła ręce w powietrze. – Herzer, ty spróbuj.

– Nie, nie zamierzam tego robić – odpowiedział chłopak. – Morgen, możesz twierdzić, że chcesz to przesiedzieć. W porządku. Ale ludzie ci na to nie pozwolą. Możesz opuścić Raven's Mill. Jestem pewien, że są społeczności, które nie zamierzają wymagać od obywateli takich obowiązków. Możesz nawet powiedzieć, że masz silne filozoficzne obiekcje wobec przemocy i przejść szkole nie medyczne. Ale jeśli pójdziesz gdzieś indziej, do społeczności, która twierdzi, że po prostu chce być neutralna albo że „przemoc nigdy niczego nie załatwia”, prędzej czy później przyjdą siły Paula i przejmą kontrolę, nie pytając cię o zdanie. Albo staniesz na drodze sił Sheidy i to oni przejmą kontrolę, nie pytając cię o zdanie. Jeśli o mnie chodzi, to nie zamierzam pozwolić Paulowi Bowmanowi mówić mi, jak mam żyć. Znam historię dostatecznie dobrze, żeby zrozumieć, do czego prowadzi ta droga. I wolałbym raczej siedzieć tu na ziemi, w deszczu i jeść robaczywy chleb, niż pozwolić mu zdobyć całkowitą kontrolę nad Matką.

– Ale nie mamy jak z nim walczyć! – wykrzyknęła Morgen. – Jest członkiem Rady! Wszyscy nimi są. Niech *oni* walczą!

– To pat. – Herzer wzruszył ramionami. – A Bowman chce, żeby cały świat poszedł jego drogą. On po ciebie przyjdzie, Morgen. I po mnie, i Shilan. Ponieważ on uważa, że ma do tego *prawo*. Taka jest jego życiowa misja. Możesz stanąć po tej stronie, możesz po tamtej. Ale jeśli staniesz po środku, po prostu zostaniesz zdeptana.

– To wszystko to... paranoja. – Morgen zaczęła tupać. – Wszyscy jesteście... podżegaczami wojennymi! I niech cię piekło pochłonie, Herzerze Herricku! - Z tymi słowami odbiegła w mrok.

– Nieźle, Romeo – stwierdził Cruz, rozpierając się wygodniej. – Poderwałeś ją rano, cały dzień dobrze się bawiłeś, a wieczorem sama odchodzi. Nieźle!

Shilan zareagowała na to, uderzając go w ramię, najmocniej, jak umiała mięśniami stwardniałymi po tygodniu ciężkiej pracy. – Auuu! Jej!

– Mniej, niż zasługujesz – powiedziała Courtney.

– Ja tylko *zartowałem*] – poskarżył się Cruz, rozcierając ramię.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Po kłótni Herzer do wieczora został z resztą grupy. Przez całe popołudnie na ogniskach piekły się dwa woły i wieczornym posiłkiem był wspólny grill. Rekreacjoniści, którzy albo szybko się tu dostali i uruchomili swoje warsztaty, albo byli stałymi mieszkańcami Raven's Mill, oferowali różne dodatkowe potrawy. Herzer po raz pierwszy spróbował kremu kukurydzianego i bigosu ze słodkiej kapusty i uznał, że są całkiem jadalne. Ale najbardziej zdumiała go niewiarygodna różnorodność. Przed Upadkiem odkrywanie czy wymyślanie nowych potraw było niemal powszechnym hobby, a mimo to panowała całkowita jednorodność. Wszystkie były upiornie *pikantne*, niektóre wręcz nie nadawały się do jedzenia. Jedyną różnicą zdawał się być typ dodanego kwasu, i można było wybierać między cudowną pikantnością kwasu solnego albo atakiem jądrowym fluorowego.

– Ummm. Ale to dobre – ucieszył się, wracając do polowania widelcem na kolejne grzyby.

– Masz na myśli grzyby, czy stajesz się egzystencjalistą? – zapytała Shilan.

– Zasadniczo grzyby. – Herzer nabił parę na widelec. – Ale tak naprawdę, miałem na myśli to wszystko. – Wzruszył ramionami, gdy nachyliła się i delikatnie ściągnęła ustami zawartość widelca, kiwając następnie głową. – Lepiej niż przesiadywanie w lesie.

– Nie lepiej, niż było miesiąc temu – stwierdziła ponuro.

– Tak, prawda – zgodził się Herzer, zgarniając pozostałe grzyby. Ale na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia.

– Pensa za twoje myśli. – Shilan z błyskiem w oczach przechyliła głowę na bok. Zaraz jednak się roześmiała.

– Co?

– Pensa za twoje myśli – powtórzyła Shilan. – Jak stare jest to powiedzenie?

– Tak – przyznał Herzer, chichocząc. – To znaczy, czy proponujesz mi zapłacić dużo pieniędzy, czy bardzo mało? Wszystko zależy od wartości pensa.

– Jestem gotowa sporo zapłacić za poznanie twoich myśli, Herzer. – Nachyliła się, patrząc mu prosto w oczy. Hmmm... – Zmarszczył brwi. Przez chwilę drgał mu mięsień szczęki. – Powiedziałaś, że miesiąc temu było lepiej i zgodziłem się.

– Jasne – potwierdziła, lekko wzruszając ramionami. Trudno spierać się z faktami.

– Tak... i nie. – Herzer znów zacisnął szczękę. – To... to... – wskazał szerokim machnięciem rąk na rozmawiające i jedzące grupy, z oddali dobiegał śmiech. – Mamy tu dwie rzeczy, których nie było miesiąc temu – wyjaśnił. – Po pierwsze, to *jest prawdziwe*. To nie jakiś Jarmark Rekre, na którym, jeśli ziemia jest zbyt twarda, możesz sobie ściągnąć poduszkę, a kiedy robi się za późno, teleportujesz się do domu. To jest prawdziwe. Jeśli chcesz poduszki, to lepiej wymyśl, jak ją zrobić. Nie wiem, *czemu* to ważne, ale czuję to w duszy.

Podniósł rękę, gdy Shilan zaczęła coś mówić. – Jeszcze sekunda – przerwał jej. – Daj mi chwilę.

Drugą rzeczą jest fakt, że to ma *duszę*. Czy wcześniej widziałaś kiedykolwiek tyle pasji? Tyle przejęcia w ludziach, ile widzisz dziś? Nie. Czemu? Ponieważ to jest *prawdziwe*. Wcześniej, przed Upadkiem, nie ważne, o czym rozmawiałaś, nie ważne, o co się spierałaś, wiedziałaś, że następnego dnia wstaniesz i będziesz robić mniej więcej to samo. Ale rzecz w tym, że *wiedziałaś*, że wstaniesz. Wiedziałaś, że następnego dnia będziesz żyć! -Teraz te kwestie nie są *banalne*. Nie tylko nasze życie, ale całe *pokolenia* mogą od nich zależeć. Ci ludzie wiedzą, że ich praca musi się powieść nie tylko dla nich, ale i dla ich dzieci i wnuków. I że Matka nie *złapie* ich, kiedy się potkną. To budzi w nich pasję i głębię, której nigdy wcześniej nie widziałem. Gdybym teraz mógł naciśnięciem klawisza przywrócić wszystko do poprzedniego stanu, czy zrobiłbym to? Tak. Ale nie znaczy to, że bym nie żałował. W tym jest dusza, we wszystkim tutaj. Dusza, której nie było przed Upadkiem. Czyli tak, i... nie – podsumował, wyławiając ostatniego grzyba. – Szlag, robi się zimno.

– Rety. – Shilan zmarszczyła czoło. – To było warte... żetonu!

– Nie... – roześmiał się Herzer. – No wiesz... może jedną dziesiątą.

– Chyba zaczynam rozumieć, czemu za każdym razem, kiedy cię widzę, tuli się do ciebie jakaś dziewczyna – powiedziała z uśmiechem.

– Więc może byś mi to wyjaśniła. To bardzo świeża i nieoczekiwana sprawa. I jeśli mówisz o rozważaniach filozoficznych, to Bast nie odezwała się do mnie ani słowem, tylko podeszła, złustrowała mnie jak kawał miecha i powiedziała, że potrzebuję kąpieli, ale poza tym się nadam.

– Hmm... – z namysłem wydobyła z siebie Shilan. Wypiła łyczek wina i odchrząknęła. – Skoro mowa o kąpieli...

– Łaźnie są pewnie nabite. – Herzer wzruszył ramionami, pociągając z własnego kubka.

– Nie, większość ludzi wciąż je i kręci się po okolicy.

Herzer rozejrzał się po tłumie i musiał przyznać, że *faktycznie* była tu zdecydowana większość miasta.

– Jeśli się *pospieszymy!* – pytającym tonem zasugerowała Shilan.

– Dobrze – zgodził się Herzer, po czym umilkł. – Czy łaźnie... – zaczął i odchrząknął. – Czy w łaźni nie będziesz się źle czuła? – powiedział w końcu całkowicie neutralnym tonem.

– Tak – przyznała. – Ale mniej, jeśli ty tam będziesz.

Herzer zaczął się uśmiechać, ale po chwili w jego głowie rozbrzmiał dzwonek alarmowy.

– Shilan, och... Cruz...

– Cruz nie ma na mnie wyłączności – odburknęła cierpko. – Nie planuję pójść z tobą do łóżka, Herzer. Mówimy tu o kąpieli.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odpowiedział niepewny, czy tak było. – I ty sobie zdajesz sprawę. Że chodzi tylko o kąpiel. Oczywiście. Ale Cruz *będzie* dotknięty, że stąd zniknęliśmy.

Herzer nagle pojawił w całej pełni, między innymi dzięki wyrazowi twarzy Shilan, że znalazł się w sytuacji, w której *kogoś* wkurzy. Albo Cruza, albo Shilan, a prawdopodobnie oboje. Shilan nie

chciała przyjąć do wiadomości ostrożnych sugestii, a Cruz nie zrozumie jego wyjaśnienia. *Słuchaj, Cruz, musiałem wybierać: albo wkurzy się na mnie ona, albo ty. A przecież to była tylko kąpiel. Dobra, no więc widziałem twoją dziewczynę nago, a ty jeszcze nie. Wielkie mi ale!* Nie. Zdecydowanie nie zadziała. Przez mózg przemknął mu obraz spadającego na kark topora trzymanego na zmianę przez Cruza i Shilan. Entliczek, pętliczek, czerwony stoliczek. W końcu doszedł do wniosku, że jeśli i *tak* zostanie pobity na śmierć, to przynajmniej może sobie obejrzeć przed śmiercią nagą Shilan, która, bądź co bądź, była całkiem ładna.

Wszystko to przemknęło mu przez głowę w mniej niż pół sekundy, prawie niezauważalnie. Właśnie otworzył usta, by przypieczętować swój los, kiedy zobaczył wyłaniającą się z tłumu Rachel.

– Poczekaj chwilkę, to moja koleżanka – powiedział do Shilan, zrywając się z miejsca. – Cześć Rachel! Co porabiasz?

– Cześć, Herzer-przywitała się, podchodząc z lekko nieobecny wyrazem twarzy. – Jak tam twoje ręce?

– Już w porządku – odparł, unosząc je i pokazując wnętrza dłoni z grubą warstwą naskórka. – Wydaje mi się, że już się spotkałyście, ale chyba nie zostałyście sobie przedstawione – mówił dalej. – Hsu Shilan, Rachel Ghorbani. Rachel, Shilan.

– Spotkałyśmy się, kiedy przyjechałaś do obozu i powiedziałaś nam o... och... – Shilan zabrakło słów.

– Matka wygrzebała antyczny termin „kobieca higiena” – z uśmiechem podpowiedziała Rachel.

– O Boże, nie zaczniecie chyba o tym rozmawiać, prawda? – przestraszył się Herzer.

– Mam nadzieję, że nie – zgodziła się Rachel. – Co porabiacie?

– Właśnie wybieramy się do łaźni – wyjaśnił Herzer, a potem umilkł zakłopotany, Rachel spojrzała na nich pytająco, a potem zamilkła, aż Shilan zachichotała.

– Wydaje mi się, że próbuje cię zapytać, czy nie poszłabyś z nami – dodała w końcu.

– No cóż, dwoje to towarzystwo, troje to tłum – sucho odpowiedziała Rachel. – A jeśli chodzi tylko o większe towarzystwo, to *zdecydowanie* nie jestem zainteresowana.

– To nie tak... – zaczął mówić Herzer.

– Gdyby Herzer potrafił przełknąć to, co stanęło mu kołkiem w gardle, to chciałby powiedzieć, że doceniłby obecność przyzwoitki – wyjaśniła Shilan, nadymając usta.

– To też wcale nie tak! – desperacko wykrzyknął Herzer.

– Więc jak to *jest*? – spytała Rachel, podpierając się pod boki. – Najpierw uganasz się z Bast, potem miętosisz się w lasach z jedną z dziewczyn z kuchni, a teraz wybierasz się do łaźni z *dwiema* dziewczynami!

– Hmmm... skoro to tak ujmujesz – powiedziała Shilan, wstając i również ujmując się pod boki. Teatralnie wykrzywiła się do Herzera. – Może byś się wytłumaczył?

– Och, na miłość Boską – wykrzyknął chłopak, unosząc ręce ku niebu. – Jak się w to wpakowałem?

– Ja cię w to wciągnęłam, jeśli nie pamiętasz – ustąpiła w końcu Shilan. – Chodź, Rachel, będzie fajnie. A Herzer faktycznie wolałby, żeby poszedł ktoś jeszcze. Ma dość dziwne *wyobrażenia* o mnie i Cruze.

– Kto to Cruz? – spytała Rachel.

– Powiem ci, kiedy zanurzymy się po szyję w gorącej wodzie – obiecała Shilan.

– Och, dobrze – zgodziła się Rachel. – A ja opowiem ci o mrocznych sekretach Herzera.

– Umowa stoi – zgodziła się Shilan, wyciągając rękę.

– A ja stawiam – dodał Herzer, podnosząc się na nogi. – W ten sposób będę mógł z czystym sumieniem przechwalać się, że zabrałem ze sobą dwie kobiety do łaźni.

– Jeśli to zrobisz, pożałujesz, że się urodziłeś – ostrzegła go Rachel.

* * *

Łaźnia, choć nie pusta, nie była też zatłoczona. Po oddaniu swoich rzeczy i odebraniu kwitków, przeszli przez prysznice. Herzer bardzo uważał, żeby się nie gapić, ale musiał przyznać, że obie dziewczyny były wyjątkowo ładne, w ubraniu czy bez. Shilan była wysoka i szczupła, z wysoko sterczącymi piersiami i starannie wyrzeźbionymi biodrami i pośladkami. Miała na sobie akurat tyle krzywizn, by przyciągnąć męskie spojrzenie, ale na tyle mało, by mieścić się w modzie. Z drugiej strony Rachel prawie doskonale pasowała do jego ideału kobiecych kształtów: duże, pięknie zaokrąglone piersi ustępujące ciężeniu tylko na tyle, by podkreślić ich kształt, urocza klatka piersiowa, nie przesadnie wąska talia, zaokrąglone biodra, nie szerokie, ale wyraźnie odcinające się od talii, i najbardziej idealnie ukształtowane pośladki, jakie kiedykolwiek widział.

Nie po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, w jakim stopniu jego upodobanie do tego kształtu wynikało z wczesnego uwarunkowania – Rachel podobała mu się, zanim jeszcze wiedział, co jest grane w tych sprawach. Prawie wszystkie jego heroiny do uratowania były podobne do niej, łącznie z rudymi włosami i niebieskimi oczami.

Bardzo się starał, żeby dziewczyny nie przyłapały go na przyglądaniu się, i z jeszcze większą starannością próbował kontrolować naturalną męską reakcję na sytuację. Obracając się pod prysznicem zaczął recytować w myślach imiona wszystkich Spartan spod Termopil. Kiedy to nie pomogło, zaczął od końca i wyliczał ich w odwrotnej kolejności. To skupienie uwagi na szczegółach nie będących sterczącymi piersiami, wyzywająco zaokrąglonymi pośladkami i wzniesionymi łonowymi pomogło i w chwili, kiedy owijał się ręcznikiem nie było jasne, czy w ogóle przejawiał jakieś zainteresowanie. Wtedy naturalnie widok Rachel w prawie przezroczystym ręczniku kąpielowym spowodował, że musiał znów zacząć recytować listę imion. I nie pomógł tu fakt, że ręcznik ledwie zasłaniał górną część jej ud, choć i tak musiał zostać mocno ściągnięty w dół, odsłaniając sporą część piersi. Musiał bardzo mocno skupić się na porządku imion i sposobie, w jaki ginęli ich właściciele.

– Co ty tam mamroczesz, Herzer? – zapytała Rachel.

– Historia wojskowości – powiedział lekko cierpiącym głosem. – Ty pierwsza. – Patrząc na

wszystko, tylko nie na idące przed nim dziewczęta, Herzer poszedł za Rachel do wolnej wanny. W łaźni znajdowało się około dziesięciu osób, siedząc w grupach w różnych wannach i prawie wszyscy mężczyźni przyglądali się dziewczynom ze sporym zainteresowaniem.

– Dlatego właśnie nie cierpię tu przychodzić – oznajmiła Rachel, obracając się, by odpowiedzieć widzom gniewnym spojrzeniem. – Nienawidzę, jak się na mnie gapią. – Odczekała, aż upewniła się, że wszyscy już spuścili oczy, i przesunęła niewielki ręcznik tak, by móc go użyć jako osłony przy opuszczaniu się do wody.

Herzer pomyślał, że była to najbardziej erotyczna scena, jaką kiedykolwiek widział.

– Ale ja się na ciebie nie gapię – zapewnił ją gorąco.

– Oczywiście, że nie – prychnęła. Zanurzyła się tak, że z wody wystawała jej tylko głowa i westchnęła z satysfakcją. – Znamy się, od kiedy jesteśmy dziećmi. Oczywiście, że nie patrzysz.

– No tak. – Herzer wziął głęboki oddech, siłą woli zmuszając się do całkowitej obojętności. Kiedy był już pewien, że sprawy są pod kontrolą, odwinął ręcznik i szybko opuścił się do wody.

– A co ze mną? – zapytała Shilan, unosząc brew z uśmiechem, który możnaby uznać za zaproszenie.

– Jesteś koleżanką. – Herzer wzruszył ramionami. *Pad! Pad! Niegrzeczny chłopiec!*

Shilan zmrużyła oczy i wbiła w niego wzrok, jakby próbując odczytać z jego umysłu prawdziwą odpowiedź.

– Shilan – Herzer westchnął – *chcesz* iść do łóżka? Albo, bardziej precyzyjnie, czy chcesz iść do łóżka kochać się? – Kiedy jej twarz zeszywniała, kiwnął głową. – Nawet gdybym *był* zainteresowany, to musiałbym być prawdziwym sukinsynem, żeby teraz na ciebie naciskać, prawda?

– Tak – przyznała cicho.

– Wiele można o mnie powiedzieć. Cóż... *Mogę* być sukinsynem. Ale w tej sprawie nie zamierzam.

Znów zmarszczyła czoło, a potem kiwnęła głową, akceptując jego oświadczenie, choć wciąż nie do końca rozumiejąc.

– Herzer – cierpko odezwała się Rachel, choć patrzyła przy tym na niego pytająco. – Zawsze paladyn.

– Nie... zawsze – z uśmiechem poprawił chłopak. – Paladyni niezbyt często chodzą do łóżka.

Shilan roześmiała się szczerze i nawet Rachel musiała się uśmiechnąć.

– Czy każdy może się dołączyć, czy wstęp tylko dla młodzieży? Mężczyzna, który się do nich zwrócił, był niski i żyłasty, z siwiejącą brodą i jasnoniebieskimi oczami.

– Witaj, Augustusie – przywitała go Rachel. – Oczywiście, że możesz się dołączyć.

Mężczyzna spokojnie odwinął ręcznik i wskoczył do wody jak żaba.

– To był doskonały pomysł – powiedział, zanurzając głowę pod wodą i wyciągając ją stamtąd z

prychaniem. – Wolałbym wanny ze skóry, ale nie mieliśmy jej dość, by zrobić przyzwoitego buta!

– Za to, Pan wie, że mamy dość drewna – stwierdził Herzer, z żalem potrząsając głową.

– Augustusie, to Herzer Herrick i... Hsu Shilan. Są w jednym z programów uczniowskich. Herzer, Shilan, Augustus Scharpf. Jest jednym z rekrejonistów, którzy rozwinęli tu po Upadku przemysł. W jego przypadku to garbarstwo. Prawdopodobnie będziecie z nim jeszcze pracować.

– i ścinaliście drzewa, prawda? – Augustus zerknął na nich z powątpiewaniem. Wyglądało jednak na to, że spodobało mu się to, co zobaczył, bo po chwili przyjaźnie skinął im głową. – To dobrze, że macie doświadczenie w lesie, będziecie go potrzebować.

– Czemu? – chciała wiedzieć Shilan. – To znaczy, nie mamy żadnego pojęcia, co będziemy dalej robić. Może nigdy już nie pójdę do lasu. Z tego, co słyszałam, większość ludzi w epoce wcale tego nie robiła.

– Cóż, jest epoka i epoka – orzekł Augustus. – Jesteśmy raczej wczesnymi pionierami przemysłu niż środkowym średniowieczem. A mam na myśli Wielkie Łowy, koleżanko.

– Wielkie Łowy? – zapytał Herzer.

– Rety, nic nie słyszeliście. – Augustus zamrugał. – Będzie rewelacyjna zabawa.

– Herzer przez chwilę zastanawiał się nad pojawiającym się i znikającym akcentem Augustusa, po czym wzruszył ramionami.

– Ktoś zechce nam wyjaśnić, co to takiego?

– Genialny pomysł mojego taty na dostarczenie mnie i mamie więcej pracy - wtrąciła się Rachel.

– Ach, myślałem, że jesteś lepiej poinformowana, koleżanko – poprawił ją Augustus. – Pomysł nie był Edmunda tylko Myrona.

– Racja – zgodziła się dziewczyna. – Dobrze, pomysł *Myrona* na dostarczenie nam więcej pracy!

– Mówiłem już wcześniej, że nie mamy skóry – powiedział garbarz, ignorując poprawkę. – Rzecz w tym, że w tej chwili mamy bardzo mało zwierząt rzeźnych. Myśliwi trochę ich sprowadzają, ale to wciąż za mało. Potrzebujemy mięsa, kości, kopyt, wszystkiego, co dostaje się ze zwierząt rzeźnych. Oraz, oczywiście, skór. Przed Upadkiem byłem handlarzem, jednym z ludzi, którzy produkowali rzeczy do sprzedaży na Jarmarkach. Robiłem rzeczy ze skóry, na zamówienie, wszystko bardzo ładne, ręczna robota. Właściwie hobby, ale w końcu dla wszystkich było to hobby, a jeśli zarobiło się przy tym kilka kredytów, to czemu nie? – dodał, krzywiąc się, – Ale chodzi o to, że potrafię przetworzyć surową skórę na wyprawioną, z której można już coś zrobić. Potrafię *Jeśli* mam z czego! Wiecie, co w zeszłym tygodniu przynieśli myśliwi?

– Nie. – Herzer czuł się zafascynowany wywodem.

– Dwie dzikie krowy, jemy je teraz przy ognisku, sześć dzików, pięć saren, kupę futrzaków, trzy indyki i emu. To za mało *mięsa* dla trzech tysięcy ludzi, i zdecydowanie za mało skóry.

– Nie wspominając o innych rzeczach – z uśmiechem dodała Shilan.

– Tak! Słusznie! – zgodził się Augustus. – Kopyta na klej! Kości na narzędzia i nawóz! Doskonała głowizna dla ślicznej pani?

– Głowizna? – zapytała Shilan.

– Świńskie mózgi — odruchowo wyjaśnił Herzer. — Zazwyczaj podawane w sosie.

– Ble!

– Czyli potrzebujemy więcej zwierząt — stwierdził Herzer. – Wielkie Łowy.

– Tak i... – włączyła się Rachel -jest wiele osób, które przygotowują się już, żeby zostać rolnikami. Jedną z rzeczy, która znacznie ułatwia pracę na roli jest posiadanie na farmie zwierząt hodowlanych. W lasach są zdziczałe zwierzęta, więc pomysł polega na tym, żeby przy okazji i je zebrać.

– Ale, jak zauważyła moja była... – Herzer na chwilę zwiesił głos – przyjaciółka, są tam też tygrysy.

– Jasne! – potwierdził Augustus, mrugając nerwowo. – I tu się to zaczyna robić *ciekawie!*

– Ooo – powiedziała Shilan. – Teraz rozumiem ten komentarz o pracy dla lekarzy.

– Och, zapomnij o tygrysach. – Rachel wzruszyła ramionami, siadając tak, że jej piersi znalazły się tuż pod powierzchnią wody. Herzer bardzo starał się nie zauważać interesujących efektów fal, które powstawały od ruchu jej ramion. – Są tam, ale znacznie więcej jest dzikich świń.

– Świń? – zapytała Shilan, marszcząc czoło. – I w czym problem ze świniami?

– Och, jasne. Chrum, chrum, zobacz, jaka śliczna mała świnka, kizi mizi. Różowa i miłutka. Poczekaj, aż je zobaczysz.

– Och, nie widziałem ich, ale słyszałem dość – roześmiał się Herzer. – Czterysta kilo kłów i szczeciny. To będzie *świetna* zabawa. Na kiedy to planujemy? Wydaje mi się, że złamię sobie nogę.

– Jeśli będziesz miał złamaną nogę, wyślą cię do obdzierania ich ze skóry – poinformowała go Rachel.

– Złamana ręka?

– Dźwiganie wiader z pomyjami.

– Ugh, widziałem filmy z obdzierania ze skóry. Nie, dziękuję. Fúj!

– Powinieneś być uciec ze swoją przyjaciółką – stwierdziła Rachel.

– Z którą? – ze złośliwym uśmiechem zapytała Shilan.

– Przepadnij, chłopcze! – zakrzyknął Augustus. – Ile ich *masz?*

Herzer tylko jęknął i zsunął się niżej, aż jego głowa znalazła się pod wodą.

* * *

Daneh podniosła wzrok znad zlanego potem młodzieńca na leżance i kiwnęła głową Edmundowi i

towarzyszającej mu kobiecie. Nie widziała jeszcze tej rekreacionistki, ale od dawna знаła typ. Kobieta miała około dwadzieścia kilo nadwagi, co – biorąc pod uwagę zarówno warunki aktualne, jak te sprzed Upadku – wymagało świadomej pracy, i obwieszona była srebrną biżuterią. Większość przedstawiała znaki zodiaku i inne obiekty okultystyczne, a pozostałe wykonane były z kryształów.

– Daneh, to Sharron, jest zielarką – przedstawił ją Edmund.

– Nie wydaje mi się, żeby to była dobra chwila, Edmundzie – ostro odpowiedziała Daneh, ściągając bandaż z ramienia młodzieńca i krzywiąc się na to, co zastała pod spodem. Chłopak nieszczęśliwie uderzył się toporem, a rana prawie natychmiast się zaogniła. Współcześni ludzie mieli bardzo sprawny system odpornościowy, ale jedną z jego najsłabszych stron była skóra, do której trudno się było dostać krążeniu. Teraz zainfekowany obszar przybrał już zielonobrazową barwę gangreny i jeśli nie wymyśli szybko jakiegoś sposobu na jej powstrzymanie, choroba go zabije. I to błyskawicznie.

– Gangrena – orzekła kobieta, nachylając się, wachając i zde gustowanym ruchem potrząsając głową. – Nie ma na ziemi rośliny, która mogłaby to wyleczyć, potrzebujesz sulfamidów albo którejś cyliny.

Daneh odwróciła się i ostro spojrzała na kobietę, na co zielarką zareagowała uśmiechem.

– Nie spodziewałaś się, że będę znała takie terminy, co, pani doktor? Ale penicylina to nic więcej jak pleśń, a sulfamidy, to tylko przetworzona smoła, prawda?

– Masz coś z tego? – zapytała Daneh.

– Nie. Ale dopiero tu dotarłam — odpowiedziała zielarka. — I nie sądzę, żeby któreś się tu sprawdziło. Próbowalaś opracowywać ranę?

– Tak, ale to nas wyprzedza – burknęła, machnięciem odganiając muchę. Cholerne owady wciskały się do środka niezależnie od tego, co się zrobiło i przejawiały wyraźną tendencję do lądowania na otwartych ranach.

– Zostaw ją – powiedział nagle Edmund, gdy zamachnęła się na kolejną, która próbowała wylądować na zepsutym ciecie.

– Co? – zapytały równocześnie obie kobiety, a potem spojrzały na siebie bezradnie.

– Wyjdźmy na zewnątrz – zaproponował Edmund, wskazując na dalszy koniec szpitala.

Szpital był nieduży, za ledwie jednoizbowy budynek z kilkoma pryzkami i „salą operacyjną” na jednym końcu, w znacznej części składającą się ze starannie wyszlifowanego stołu i zestawu narzędzi, które przywodziły na myśl bardziej inkwizycję niż medycynę. Ale sytuacja poprawiała się. A jeśli ta zielarka faktycznie znała się na tym, co robi, mogło być jeszcze lepiej. Daneh dobrze zdawała sobie sprawę, że jej znajomość leków, ich produkcji i dozowania była czysto teoretyczna. Jeśli jednak kobieta faktycznie miała jakąś wiedzę, mogły razem stworzyć przyzwoitego lekarza ery przedindustrialnej. Pomimo protestów mężczyzny odgoniła muchę i osłoniła ranę świeżym bandażem, po czym wyszła w ślad za Edmundem.

– Co jest *dobrego* w muchach, Edmundzie? – zapytała ostro, gdy tylko wyszli. – Przenoszą każdą możliwą chorobę!

– Tak, to prawda – zgodził się. – A w gnijącym mięsie składają jajeczka, z których wykluwają się larwy. A co jedzą larwy much?

Daneh namyśliła się przez chwilę, a potem potrząsnęła głową.

– Chcesz, żebym dopuściła larwy do ciała?

– Tak, martwego ciała – trochę niepewnie odpowiedział Edmund. – Słuchaj, wiem, że brzmi to okropnie. I tak naprawdę powinny to być hodowlane larwy, hoduje się na *czystym*, martwym mięsie. Ale nie mamy na to czasu, prawda?

– Nie – przyznała Daneh. – Stracimy go, jeśli tego nie powstrzymamy. Tradycyjnym podejściem byłaby wysoka amputacja, żeby wyprzedzić rozwój infekcji.

– Czy możesz szybko zrobić coś z rzeczy, o których mówiłaś? – Edmund zapytał Sharron.

– Nie – odpowiedziała. – Najpierw muszę *znaleźć* pleśń penicylinową, jedną z milionów odmian. Potrzebuję szalek na hodowle. Często można znaleźć pleśń tetracylinową w starych grobach, ale tych też tutaj nie mamy.

– Pył z cmentarza? – Edmund pokręcił głową. – No cóż, larwy *działają* – Musimy się tylko martwić o wtórne infekcje.

– A co z... – Sharron zmarszczyła czoło. – Co ze znalezieniem garści... w czymś... i wymyciu ich?

– Faj! – zareagowała Daneh. – Chyba wolałabym już pozwolić lądować muchom.

– Gangrena i tak jest wywoływana przez bakterie anaerobowe – stwierdził Edmund. – Trzymanie rany odsłoniętej może raczej pomóc, niż zaszkodzić.

– Czy jest jakiś sposób na doprowadzenie do niej... więcej tlenu? – zapytała Sharron.

– Nie, poza komorą hiperbaryczną – zaprzeczyła Daneh. – Albo jakimś sposobem na izolację tlenu, co wymaga wysokich ciśnień i niskich temperatur. Nawet nie jestem pewna, czy nie naruszyłoby to protokołów ciśnieniowych.

– Sheida? – zasugerował Edmund.

– Jak dotąd odmówiła przydzielenia *jakiegokolwiek* energii – z irytacją przytomniała Daneh. – Ma jej dość, żeby hulać po świecie, ale nic dla *medycyny*!

– To, oraz jakieś słabsze środki przeciwbakteryjne, jakie będę w stanie przygotować – podsumowała Sharron. – Są pewne zioła. Dość szybko mogę spreparować płuczkę. Nie będzie tak dobra, jak antybiotyki, ale trochę pomoże.

– Zrób to – powiedziała Daneh. – Proszę. I będziemy musieli urządzić ci laboratorium. Edmund?

– Porozmawiam ze szklarzem o przygotowaniu odpowiedniego sprzętu - skrzywił się. – Bardzo się ucieszy, że wsadzimy mu na głowę jeszcze i to, w dodatku do całej pracy, jaką już ma.

– Powiedz mu, że on też może tego *potrzebować*, i to wkrótce – ostro ucięła Daneh. – To powinno odpowiednio skupić jego myśli.

– Sharron zna też inne zioła i leki – ostrożnie dodał Talbot. – Łącznie z wrotyczem.

– Nie jest to coś, co bym rekomendowała poza absolutną koniecznością - wtrąciła się kobieta. – Z tego, co słyszałam, jest bardzo niebezpieczny. Ale są i inne. Mam trochę nasion maku, więc jak tylko uda się nam wyhodować jakieś rośliny, będziemy mieć opiaty. Silne i uzależniające, ale niewiele jest równie dobrych środków przeciwbólowych. No i jest kora wierzby.

– Tę znam – z uśmiechem rzekła Daneh. – Ale raczej dalej wolałabym się nie posunąć. To oraz kora wiśni.

– Wydaje mi się, że doskonale się dogadacie – wtrącił Edmund. – Mam...

– Inne sprawy – sucho dokończyła Daneh. – W porządku. Zobaczymy się wieczorem?

– Mam nadzieję – odparł ponuro. – W końcu wróciłaś, a prawie się nie widzimy. – Skłonił się jeszcze i odszedł energicznym krokiem w kierunku ratusza.

– Cóż, przynajmniej możecie razem spać – rzuciła Sharron z nieśmiałym mrugnięciem.

– Nie, nie śpimy – odpowiedziała Daneh. – Ale... cóż... – Sharron umilkła, nie rozumiejąc.

– Nieważne. – Daneh potrząsnęła głową. – Ujmijmy to w ten sposób, mogę być pierwszą kandydatką do spróbowania wrotycza.

Sharron przyglądała się jej przez chwilę, aż zrozumiała, że lekarka mówi Poważnie, po czym zbladła.

– O bogini.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Następnego ranka doszło do poważnej sprzeczki między Cruzem i Shilan. Cruz zniknął, ponieważ jacyś jego znajomi zorganizowali grę w kości. Skończyło się to dla niego tym, że przegrał wszystkie posiadane żetony i nie miał nawet dość na śniadanie. Rozwijający się między nim a Shilan związek uległ zdecydowanemu zerwaniu, przynajmniej w jej oczach. A Herzer zaczął się zastanawiać, co straci, grając paladyna.

Jednak nie był w stanie się przekonać, ponieważ klasa A-5 została natychmiast wysłana do tartaku. Wygłoszono im tam krótki wykład, z którego dowiedzieli się, że cięcie i formowanie drewna stanowi podstawę przemysłu w cywilizacji przedindustrialnej. Poinformował ich o tym John Miller, kierownik tartaku, mężczyzna poważny i bez poczucia humoru. Kiedy zapytali go o *źródło* drewna i czy *to* nie stanowi czasem podstawy przemysłu, bez uśmiechu wyjaśnił im, że każdy dureń może *ścinać* drewno, ale do formowania go potrzeba prawdziwego mistrza.

Po serii ostrzeżeń i przypomnień, że jeśli dojdzie do ich obcięcia, ręce i nogi nie dadzą się odtworzyć, klasa została wysłana do cięcia i formowania niekończącego się strumienia bali docierających z okolicznych lasów. Przez pierwsze kilka dni zajmowali się jedynie przesuwaniami kłód, przetaczaniem ich, pozycjonowaniem i ewentualnie przesuwaniami przez piłę taśmową. Znowu była to potwornie ciężka praca, wymagająca wielu mięśni, których nie rozwinęli przy ścinaniu, i mieli bardzo mało czasu na rozmowy.

Klasa mieszkała w koszarach, których część wydzielono dla przebywających w mieście uczestników programu nauki zawodów. Koszary podzielono według płci, więc Herzer nie był w stanie określić, czy Shilan faktycznie była nim zainteresowana, czy tylko się bawiła. Albo, co było równie prawdopodobne, wygrywając go przeciw Cruzowi. Jednego wieczora zaprosił ją do łaźni, ale zdecydowanie odmówiła, tłumacząc się potwornym zmęczeniem. Biorąc pod uwagę to, jak sam się czuł, mogła to być szczerą prawdą.

W ostatnie dwa dni zaznajomiono ich z narzędziami do obróbki drewna, łącznie z toczeniem i wierceniem. Tu Miller udowodnił, że choć nie sprawiał wrażenia, żeby lubił swoich uczniów, prawdziwie kochał drewno. Był mistrzem toczenia i rzeźbienia i nawet nie śmiał się z ich wysiłków. Po prostu skomentował ich pracę, mówiąc, że on zajmował się tym od siedemdziesięciu pięciu lat i nie spodziewał się, żeby opanowali tę sztukę po jednej próbie.

Na koniec tygodnia zostali opłaceni i tylko Mike dostał bonus. Wykazał zdumiewające zdolności do pracy z drewnem i Miller nawet uśmiechnął się na widok jednego z jego produktów. Z drugiej strony Herzer mógł być w najlepszym razie opisany jako niezręczny. Osobiście uważał, że miał do tego dwie lewe ręce. Kiedy chciał zrobić głębokie nacięcie, wychodziło płytkie i na odwrót, a kiedy chciał wyrównać, złobił. Po prostu nie pasowali do siebie z drewnem.

Pierwszego dnia pracy w tartaku oprowadzono ich po nim i pokazano drewnianą turbinę koła wodnego, zębatki, złącza i Herzer zdumiał się, jak Miller i kilku podobnie uzdolnionych rzemieślników było w stanie zbudować coś takiego w zaledwie dwa tygodnie, nie mając nic, poza ręcznymi narzędziami. Nie zazdrościł im ich mistrzostwa, ale robiło to wrażenie.

Kiedy dostał wypłatę, dotknął ramienia Shilan i uniósł brew.

– Kąpiel?

– Och, Herzer...

Podniósł rękę, by uciąć odpowiedź.

– W porządku. Po prostu chciałem wiedzieć, na czym stoję. W zeszłym tygodniu sprawiałaś wrażenie, jakbyś sugerowała, że chcesz czegoś więcej niż pomachania w przelocie.

– Herzer, przez większość wieczorów jestem dość zmęczona – powiedziała, marszcząc się smutno.

– A w tej chwili nie jestem gotowa na jakikolwiek związek.

– Świetnie! – odparł, kiwając głową. – Ja też nie.

– Co?!

– Nie masz ochoty na przyjazne poobracanie w sianie, a ja raczej nie jestem zainteresowany długotrwałym związkiem – wyjaśnił, wzruszając ramionami. – Cruz tak, aleja nie. Nie o to chodzi, że nie chcę się bawić, po prostu chciałbym mieć w tobie *przyjaciela*.

– Och – wyjąkała Shilan.

– Próbowałem powiedzieć ci to tak, żeby cię nie zranić. W ten sposób jest o wiele łatwiej. – Och.

– Zostaniemy przyjaciółmi? – zapytał, wyciągając dłoń.

Shilan przyglądała się jej przez chwilę jakby zmieszana, potem uściśnęła ją bez zaangażowania.

– Przyjaciele.

– Hej, planuję obiad z Mike'em i Courtney, może miałabyś ochotę się przy. łączyć?

– Och, nie – odmówiła Shilan. – Zamierzam... Muszę...

– Dobra – uciął Herzer machnięciem. – W takim razie do zobaczenia. Cześć. Poszedł do miejsca, gdzie czekali na niego Mike i Courtney.

– Czyli *znów* będziesz miał szczęście? – zapytał Mike.

– Nie – zaprzeczył Herzer. Stojąc teraz plecami do Shilan, uśmiechnął się złośliwie. – Powiedziałem jej, że chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

Mike też się odwrócił i wykrzywił.

– Ooo! Punkt dla *facetów*!

Herzer szedł dalej, zmuszając Courtney – która zaczęła szykować się do wybuchu i aż się w niej buzowało — do dogonienia go.

– Powiedziałeś jej, że chcesz się przyjaźnić, ale wcale tego *nie chcesz*? - zapytała z furją.

– Nie, nie. Powiedziałem jej, że chcę być jej przyjacielem i to *prawda*. Ale oprócz tego chciałbym ją pieprzyć tak, żeby jej para uszami poszła!

– Tak, tak, *TAKI* – rozentuzjasmował się Mike. – Trafiła kosa na kamień.

– Czemu jej tego po prostu *nie powiesz*? – indagowała go dalej Courtney.

– I co, mam jej dać okazję, do wygrywania mnie przeciw Cruzowi? Wydawało mi się, że dokładnie o to jej chodzi. Albo o kręcenie mną jak jakąś *marionetką*. Nie wiem, czy była taka już wcześniej, czy jest to efekt tego, co przytrafiło się jej w drodze. Ale już w łaźni próbowała się mną bawić. Nie, dziękuję bardzo.

– Rety, to prawie równie złe, jak *kobieta* – zauważył Mike i oberwał zaraz w ramię.

– Ach! Uderzasz zbyt szybko, mój panie! – odpowiedział Herzer, uderzając się w pierś. – To nie jest rzecz, o którą warto kruszyć kopie. Ale wystarczy, wystarczy!

– Obaj jesteście okropni – obruszyła się Courtney.

– I dlatego właśnie nas kochasz, prawda? – Herzer uśmiechnął się.

– HERRICK – dobiegł ich głos z tyłu. Herzer odwrócił się i znieruchomiał z uwagą.

– Ach, sir... och... Edm... Burmistrz Talbot!

– Rachel powiedziała mi, że brałeś udział w grach w rozszerzonej rzeczywistości, a w szczególności w Poszukiwanie Trzeciego Tronu. To prawda? – Bez wstępów zapytał Edmund. Ukłonił się jednak uprzejmie Courtney i Mike'owi stojącym obok z otwartymi ustami.

– Tak, sir Edmundzie.

– Wystarczy samo „tak” – rzekł Talbot z uśmiechem. – Grałeś jako paladyn, tak?

– Tak... burmistrzu.

– To wiąże się z jazdą konną. Używałeś konia?

– Tak, burmistrzu.

– Konkretnie wymaga to cholernie dobrej jazdy konnej ze sztuczkami, przynajmniej dla paladyna.

Herzerowi przed oczami przebiegło nagle wspomnienie spadku w bezdenną otchłań, gdy po wykonaniu niewłaściwego kroku zleciał z bardzo wąskiego mostu.

– Tak, sir, jeździłem.

– I używałeś swojego konia przez całą misję?

– Tak, sir, używałem.

– Wystarczy Edmund. Udało ci się ukończyć grę?

– Tak... burmistrzu. Ukończyłem ją.

– *Razem z wierzchowcem?*

– Tak.

– A ilu prób potrzebowałeś, żeby przedostać się przez, Jcim był ten sukinsyn, który umieścił tu ten most"?

– Nie wiedziałem, sir, że ma nazwę – ze śmiechem odpowiedział Herzer.

– Ma – potwierdził Edmund. – Ile razy.

– Cztery.

– Jak udało ci się przedostać konia na drugą stronę?

– Zrobiłem z lin kołyskę. Przeciągnąłem go na linach, choć strasznie wierzgał. Edmund zastanowił się nad tym chwilę, po czym zachichotał.

– Jezuu. Jak to zrobiłeś, miałeś ze sobą muły ze sprzętem?

– Mniej więcej, sir.

– Czy jeździłeś kiedyś na *prawdziwym* koniu? Albo choćby mule?

– Cóż, sir, to były prawdziwe konie.

– Chodzi mi takie, które nie były wygenerowane. Które urodziły się, dorosły i zostały ujeżdżone.

– Raz, sir.

– Jakieś problemy?

– Raczej nie, sir. Czy mogę wiedzieć, czemu pan pyta?

– Dobra – odpowiedział Edmund. – Jak dla mnie to wystarczy. W przyszłym tygodniu robimy wielkie polowanie. W poniedziałek rano zgłosisz się do Kane'a, koniuszego przy dużych zagrodach koło mostu, gdzie wszyscy będą się zbierać przed nagonką.

– O Boże – jęknął Herzer. – Czyli chyba jednak nie uda mi się poodpoczywać.

– Och, z pewnością znajdzie się trochę czasu i na to. Ale potrzebujemy jeźdźców, którzy pomogliby kontrolować zwierzęta i służyli za kurierów. I właśnie zostałeś powołany!

– Tak jest, sir – było wszystkim, na co mógł się zdobyć Herzer.

Kiedy Edmund odchodził, chłopak zaczął mamrotać coś cicho pod nosem.

– Hej! – powiedziała Courtney, kopiąc go w kostkę. – Co mówiłeś?

– Cholera, cholera, cholera, *nie przeżyję* tego.

Kiedy matka weszła do kuchni, Rachel podniosła głowę znad potrawki.

– Jest jedzenie.

– Dziękuję – odpowiedziała Daneh, biorąc miskę i częstując się.

– Jak sobie radzisz?

– Rano zaczęłam wymiotować – kobieta usiadła – ale na szczęście nie trwało to cały dzień.

– Jesteś chora? – zapytała zaniepokojona Rachel. Nie potrafiła wyobrazić sobie gorszej sytuacji dla miasta niż jakaś poważna choroba ich jedyne go wyszkolonego lekarza.

– Nie – odparła Daneh bezpośrednio. – Jestem w ciąży. To było jeszcze gorsze.

– Jak? Kiedy? – zapytała Rachel, a potem głośno zamknęła usta. – Och, *mamo*.

– To nie koniec świata – stwierdziła Daneh, biorąc do ust łyżkę jedzenia i kiwając głową. — Nie takie złe.

– Mamo!

Daneh westchnęła i wzruszyła ramionami.

– Takie rzeczy się zdarzają. Zdarzyło się to *mnie*, i na swój sposób nadal się to dzieje.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała Rachel, opanowując w końcu głos. Uświadomiła sobie nagle, że była to prawdziwa i szczerą aż do bólu dorosła rozmowa. I wyglądało na to, że musi zacząć odpowiednio się zachowywać. Nagle zaczęła żałować, że jej ojciec nie jest dziewczyną. Wiedziała, co powiedzieć.

– Będę miała małego braciszka? Czy chcesz... coś z tym zrobić?

– Co? – ostro zareagowała Daneh. – *Wiesz*, jak zrobić aborcję? Ja nie! I jak właściwie miałabym ją przeprowadzić sama na sobie? Jest wrotycz, ale z tego, co o nim słyszę, to równie dobrze może zabić matkę. Więc co miałabym zrobić z tym... czymś, co rośnie w moim wnętrzu?

– Nie wiem, mamo – wyszeptała Rachel. – Ale z tego, co czytałam, rodzenie dzieci wymaga od nas wysiłku... Hmm, obie mamy... odpowiednie biodra, w przeciwieństwie do niektórych. Ale... no wiesz, to ty jesteś *lekarzem*. Jeśli coś ci się stanie, *co ja* mogę zrobić?

– A co ja mogę? – ze złością spytała Daneh. – Nie mam żadnych odpowiednich narzędzi! Nigdy nie *uczestniczyłam* w porodzie z ciała! Nie było niczego takiego od tysiąca lat! Co u diabła mam o tym wiedzieć? Czemu spodziewasz się ode mnie cudów?

– Wcale nie, mamo – zaoponowała Rachel, przełykając ostrzejszą ripostę. – Ale ty przynajmniej masz jakieś pojęcie, *co* się dzieje. Ja nie wiem nawet tego.

– Cóż, w takim razie już czas, żebyś zaczęła się uczyć – odparła Daneh po chwili zużytej na opanowanie się. – To twój nowy projekt naukowy. Niezależnie od tego, czy będę to ja, jeśli nie uda mi się tego w jakiś sposób pozbyć, czy ktoś inny. Zostaniesz *ekspertem* w teorii rodzenia.

– Mamo, jestem dziewicą– krzyknęła, straciwszy nagle panowanie nad sobą.

– Chcesz, żebym ja została ekspertem od rodzenia?

– A kto inny? – ze złośliwym chichotem odpowiedziała Daneh. – Przynajmniej nie musimy się martwić, że tobie też się to przytrafi. Przynajmniej na razie. Zauważyłam, że sporo czasu spędzasz z Herzerem.

– Jasne – parsknęła Daneh. – Edmund też nim był. I zobacz, co z tego wynikło.

– Och, Herzer. – Rachel opuściła wzrok. – To tylko przyjaciel.

* * *

Wszyscy nazywali to Wielkim Spędem, a do udziału w nim zostały zaangażowane grupy uczniowskie, praktycznie razem ze wszystkimi mieszkańcami Raven's Mill. Powód był prosty: myśliwi potwierdzili, że w lasach kryło się całkiem sporo zdziczałych zwierząt domowych, z których wiele dałoby się wykorzystać na planowanych farmach. Zapasy jedzenia też kurczyły się szybciej, niż przewidywano. Celem spędu było wygnanie zwierząt z lasów na otwartą przestrzeń. Tam zwierzęta nadające się do ponownego udomowienia zostałyby oddzielone i zagnane do zagród. A dzikie zabite albo przegnane i zachowane żywe, aby dalej zamieszkiwały i rozmnażały się w okolicy.

Przygotowanie tego wszystkiego wymagało olbrzymiej pracy organizacyjnej. Obszar, który pomagali oczyścić z drzew Herzer i Mike, wraz ze wzniesionymi przez nich budynkami, przeznaczono na olbrzymią rzeźnię. Stawiano ogrodzenia i już planowano następne. Kiedy nadejdzie czas, grupy naganiaczy przejdą przez las, płosząc przed sobą wszystko, co żyje. Istniała szansa, że zbierze się w ten sposób dostatecznie dużo zwierząt na planowane farmy. A ponieważ w spędzie mieli brać udział wszyscy protofarmerzy, powinno być mniej narzekania, że dostają zwierzęta za darmo.

Dwoje rekreacjonistów, małżeństwo mieszkające w głębi doliny, przyгнаło do Raven's Mill większość swojego stada koni. Nie mieli innego wyboru. Krótko po wyłączeniu Sieci, zaczęły się ataki dzikich zwierząt. Po utracie źrebaka upolowanego przez coś, co prawdopodobnie było pumą, i poszarpaniu konia przez tygrysa zdecydowali się na przenosiny.

Konie wymagały dużych zasobów i środków. Potrzebowały paszy albo sporego obszaru pastwisk. Choć tam, gdzie pierwotnie mieszkali, było prawie dość pastwisk, w zimie i tak należało je dokarmiać. Edmund jednak zgodził się przekazać im spore łąki w zamian za prawo użycia ich koni jako podstawy dla planowanej kawalerii Raven's Mill. Po dłuższym przemyśleniu kwestii, jako że kawaleria oznaczała, że część z ich podopiecznych prawdopodobnie nie wróci do domu, zgodzili się.

Wcześniej jednak konie miały odegrać ważną rolę w spędzie. Choć nie były w stanie poruszać się między drzewami, obszar, na który zwierzyna miała zostać zagnana, znajdował się po drugiej stronie rzeki od Raven's Mill i został niedawno oczyszczony. Istniała szansa, że z pomocą jeźdźców i różnych częściowo wyszkolonych rekreacjonistów uda się rozdzielić różne gatunki i zebrać zwierzęta w zagrodach.

Problem w tym, że nie było dość wyszkolonych jeźdźców.

I dlatego Herzer dostał ten przydział od Edmunda.

Podchodząc do corralu, Herzer przyjrzał się stadu. Zauważył, że znajdowały się w nim dwa różniące się typy koni, ale nie wiedział o tych zwierzętach dość, by orientować się, jakiej rasy są przedstawicielami. Jedne były nieduże i drobnokościste. Kiedy kłusowały albo reagowały na inne konie, miały skłonność do wysokiego podnoszenia nóg, wysoko przy tym trzymając karki i ogony. Ich kłus wyglądał jak taniec Bast, a zwierzęta zdawały się unosić nad ziemią.

Druga odmiana była znacznie większa i o masywniejszej budowie ciała, ale miała w sobie część tylko tej gracji co drobniejsze sztuki. Ich bieg nie był tak popisowy, tak taneczny jak u tych pierwszych, ale Herzer spostrzegł, że sam kłus wyglądał na... gładszy. I zdecydowanie były szybkie. Widział jednego z młodszych koni, pięknego rudzielca – choć wiedział, że u koni z jakiegoś powodu nazywa się to kasztanem – jak pędzi z jednego końca pastwiska na drugi, najwyraźniej wyłącznie z własnej chęci, i *bardzo* się cieszył, że nie siedzi na jego grzbiecie.

Przy płocie otaczającym pastwisko zebrało się około dziesięciu mężczyzn i dwie kobiety. Kiedy Herzer podszedł, przyglądali się koniom i rozmawiali ściszonymi głosami. Najwyższy z nich obejrzał się na niego i skłonił głowę. Mężczyzna miał na sobie cudzoziemski strój z epoki. Sądząc po kapeluszu z piórem, siwiejących, kasztanowych włosach sięgających połowy pleców, szpiczastych wąsach, rozpiętej na piersiach koszuli i wysokich butach *ewidentnie* był rekreacionistą, ale zdawał się też tu dowodzić.

– Dzień dobry, sir – odezwał się Herzer, przyglądając się koniom. – Szukam koniuszego.

Mężczyzna wyszczerzył radośnie zęby i roześmiał się.

– Cóż, jestem *właścicielem* tych koni – oznajmił. — A za moje grzechy Talbot uczynił mnie odpowiedzialnym za spędzenie wszystkiego, co wyjdzie z lasów. Nie wiem jednak, czy Edmund zdaje sobie sprawę, że świnie nie dają się zaganiać w stada. Ani jelenie. A ja mam tylko tuzin jeźdźców, z których żaden jeszcze nie próbował zaganiać zwierząt z konia. Jeśli więc szukasz koniuszego, to chyba chodzi ci o mnie. Kane – przedstawił się, wyciągając rękę.

– Herzer Herrick – odpowiedział Herzer, ściskając ją.

– To Alyssa, moja żona. – Mężczyzna dotknął ramienia stojącej obok niego blondynki. Była szczupła i żyłasta, z przyjazną, smagłą od słońca twarzą. Ona też wyciągnęła dłoń na powitanie.

– Co możemy dla ciebie zrobić? – zapytała głębokim głosem.

– Jeździłem już konno – rzekł Herzer. – Zanim to wszystko się wydarzyło, ćwiczyłem rekreacyjnie walkę konno – dodał.

– Wirtualna rzeczywistość? – z powątpiewaniem zapytał Kane.

– Rozszerzona.

– Och, czyli *wiesz*, jak jeździć na *koniu*. – Właściciel koni roześmiał się pogodnie. – A nie tylko wydaje ci się, że wiesz.

– *Cóż, jeździłem* – poprawił Herzer. — Trochę.

– Walczyłeś konno? – zapytał koniuszy. – Czy tylko trochę jeździłeś?

– Zacząłem trening w walce kawaleryjskiej – przyznał chłopak. – Ale to było... trudne.

– Tak, to prawda – zgodziła się Alyssa. – Wszyscy myślą, że to łatwe, do czasu, aż sami spróbują.

– No cóż, może po prostu zobaczymy, co potrafisz na którymś z chłopców - zaproponował Kane, patrząc na żonę. – Chyba któryś z moich?

– Och, tak – odpowiedziała kobieta. – Moje mogłyby go unieść, ale twoje będą odpowiedniejsze.

– O co chodzi z tymi twoimi i jej? – zaniepokoił się Herzer, gdy Kane prowadził go do pobliskiej szopy.

– Sprowadziliśmy oba nasze stada – wyjaśnił zapytany. – Moje to hanarahy, jej to araby. Wiesz, na czym polega różnica?

– Widziałem je – powiedział Herzer, wskazując w stronę stada.

– Arabcy to te mniejsze, a hanarahy większe. – Kane pokazał w stronę zwierząt. – Chcesz wiedzieć więcej?

– Jak dużo? – z chichotem zapytał Herzer. – Ostatnio odnoszę wrażenie, że mój mózg zaczyna być przeładowany!

– Byłeś w programie szkoleniowym? – Kane otworzył drzwi do szopy. We wnętrzu, na słupkach wystających ze ściany, zawieszane były siodła, a na tylnej ścianie, na kołkach uzdy i wodze. Poniżej leżał stos koców. W powietrzu unosił się dziwny, gęsty zapach, na który składał się zapach skóry i końskiego potu - nie był nieprzyjemny, ale zdecydowanie skoncentrowany.

– Tak – odpowiedział prosto Herzer, łapiąc rzucone sobie siodło. Zauważył, że miało wysoki tył i niski przód. W trakcie szkolenia używał podobnych siodel, ale z wyższym przodem. Nie miał pojęcia, poza strzemionami, jak się nazywają poszczególne elementy.

– Arabcy to bardzo stara rasa. Nigdy nie grzebano w nich inżynierią genetyczną – wyjaśnił Kane. – Nikt dokładnie nie wie, skąd pochodzą, ale wyróżniały się lekką budową, przywiązaniem do ludzi, wielką szybkością i wytrzymałością. Brakuje im też jednego kręgu, przez co są mniej podatne na lękowość.

Podniósł koc i razem z wodzami wcisnął go Herzerowi w ramiona.

– Proszę, mamy wszystko.

– Dobrze.

– Pierwotnie istniały dwie odmiany koni, gorącokrwiste i zimnokrwiste. Nadążasz?

– Tak.

– Gorącokrwiste sprowadzają się do arabów. Zimnokrwiste wyhodowano w Ropazji, miały masywniejsze ciała i były stosunkowo wolne. Zostały wyhodowane do swoich rozmiarów w czasach przedindustrialnych i pracowały jako zwierzęta pociągowe i tym podobne. Jednak dobry koń kawaleryjski musi wykazywać się szybkością i zwinnością. Tak więc gdzieś w historii skrzyżowano

je z arabami i otrzymano w ten sposób trzecią odmianę, zwaną ciepłokrwistą.

– Hanarahy? – zapytał Herzer prowadzony przez Kane'a na zewnątrz.

– Hanarahy są odmianą ciepłokrwistych. Ale niezależnie od wysiłków hodowców część cech arabów nigdy nie przyjęła się u ciepłokrwistych, zwłaszcza brak tego jednego kręgu. I zazwyczaj dostawali konie, które były albo szybkie, *albo* wytrzymałe. Albo -jeśli miały obie te cechy – okazywały się bardzo delikatne, musiały mieć odpowiednie jedzenie i tego rodzaju rzeczy.

– A więc hanarahy są produktem inżynierii genetycznej – stwierdził Herzer.

– Nie od zera, ale niewiele do tego brakuje – przyznał Kane. – Niewiarygodna wytrzymałość, właściwie większa niż arabów, bardzo przyjazne, cholernie troskliwe, ogniste wobec wrogów i łagodne jak owieczki wobec dzieci. Są piorunująco szybkie, mogą żywić się byle czym...

– Superkonie. – Herzer położył siodło na najwyższej żerdzi płotu.

– Nie do końca, ale na ile tylko potrafili to osiągnąć inżynierowie – zgodził się Kane. – Pewnie zaraz się przekonamy, jak im to wyszło.

– Są świadome? – zapytał Herzer. Wyglądały, jakby przynajmniej były tego bliskie.

– Nie – prychnął Kane. – Cóż za głupi pomysł. Jakby jakieś świadome stworzenie pozwoliło się codziennie komuś dosiadać. A gdyby nie pozwoliły, a ty byś je przymusił, to co by to było?

– Niewolnictwo?

– Dokładnie – potwierdził Kane. – Świadome konie. Zdecydowanie wolę miłego, niezbyt głupiego, ale pozbawionego świadomości konia. Nie możesz sobie z nim porozmawiać, wielka mi rzecz. Nie będzie cię również lżyć. Wierz mi, zdecydowanie opłacalny interes.

– Wyglądają jak te, na których się uczyłem jeździć – zauważył Herzer.

– Prawdopodobnie nimi były. W takim razie był to dobrze napisany scenariusz. – Kane wsunął dwa palce do ust i zagwizdał złożone arpeggio. Na ten dźwięk młody kasztanek, któremu Herzer przyglądał się wcześniej, ruszył w ich stronę cwałem, niczym akrobata wymijając towarzyszy.

– O rety – westchnął Herzer. – A teraz dasz nowicjuszowi nieujędzonego konia.

– Ależ skąd – poważnie zaprzeczył Kane. – To głupia sztuczka, nie możemy pozwolić sobie na więcej kontuzji, niż już mamy. Diabło jest łagodny jak owieczka.

– Diabło?

– Słuchaj, mieliśmy do nazwania prawie sześćdziesiąt koni, musieliśmy *coś* wymyślić.

Wyciągnął rękę i pogłaskał konia po nozdrzach, a potem dał mu jakiś smakołyk.

– One *lubią* ludzi – powiedział Kane. – Ale skłonienie ich, żeby do ciebie przyszły wymaga odrobiny zachęty. Zwłaszcza że ten jest dostatecznie sprytny, by widząc siodło, wiedzieć, co go czeka.

– Nie lubi, jak się na nim jeździ?

– *A tobie* podobałoby się wrzucenie na plecy stu kilogramów? – odparł Kane, wprawnym ruchem zakładając zwierzęciu uzdę. – Przypuszczam, że mógłbyś na nim jeździć z kantarem, ale zaczniemy od uzdy.

Wyprowadził wierzchowca z zagrody, odganiając przy tym dwa inne, które próbowały skorzystać z okazji, wyslizgując się przez otwartą bramę, i przyprowadził go do miejsca, gdzie czekało siodło.

– Osiodłaj go, a my się przygotujemy – powiedział Kane. – Jest jeszcze kilka innych osób, które nie miały ostatnio za wiele praktyki, więc wszyscy pojedziemy trochę w teren, żeby sobie przypomnieć, jak się jeździ.

– Uhm – wydobył z siebie Herzer, patrząc na wierzchowca. Ten odpowiedział mu spojrzeniem, które zdecydowanie wyglądało na inteligentne i wyrazem pyska, który zdawał się mówić *O mój Boże. Dostałem żółtodzioba.*

– Tak?

– Nie wiem, jak się siodła konie – przyznał chłopak.

– Niech zgadnę. – Kane roześmiał się. – Zawsze pojawiały się w pełni osiodłane i gotowe do jazdy?

– Paladyni. Powinna być za nich nagroda. Dobrze, nie ma problemu. Ale przyjrzyj się, żebyś następnym razem sam potrafił.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Herzer wrócił do corralu zmęczony i obolały. Jazda terenowa okazała się wymagać znacznie więcej niż tylko truchtu w grupie i rozmowy. Od tego zaczęli, prowadząc konie na dłuższą wycieczkę po okolicy, łącznie z przejechaniem przez Raven's Mill. Potem, najwyraźniej za zgodą Myrona, spędzili trochę czasu przeganiając jego niewielkie stado bydła, próbując, przeważnie bezskutecznie, czegoś określanego mianem odcinania. Polegało to na tym, by siedząc na koniu, niczym sobie nie pomagając, wybrać ze stada jedno zwierzę i oddzielić je od pozostałych. Podobno w naprawdę dawnych czasach było to czymś tak powszechnym, że nie było o czym mówić. Nie tutaj. Bydło wcale nie miało ochoty rozstępować się przed końmi, a kiedy zaczynało biec, miało tendencję do zbijania się w zwartą gromadę. Próba dostania się do stada i wypchnięcia z niego pojedynczego zwierzęcia okazała się być dla większości jeźdźców zadaniem prawie niewykonalnym. Wyjątkami byli Kane, Alyssa i, co dziwne, Herzer.

Araby, na których jechało dwóch mężczyzn i jedna z kobiet, zdawały się czerpać prawdziwą przyjemność z zaganiaania krów. Jednak z wyjątkiem Alyssy, nikt z pozostałych nie potrafił tak sprawnie oddzielić od stada pojedynczej sztuki. Alyssa dostatecznie dobrze kontrolowała wierzchowca głównie za pomocą kolan i przesuwania środka ciężkości, by dokonać tej sztuki przynajmniej raz. Kane w podobnym stopniu panował nad koniem i też wykonał zadanie.

Jeśli chodzi o Herzera, chłopak mógłby przysiąc, że Diabło był prawie świadomy i, podobnie jak araby, młody ogier świetnie się bawił, przeganiając bydło. Wszystko, co Herzer musiał zrobić, to wskazać mu odpowiednią krowę i pozwolić wykonać zadanie.

– Po pełnej potu godzinie spędzonej na przeganiu krów po okolicy – gdzieś w trakcie pojawił się Myron i zauważył, że prawdopodobnie odchudzili stado o miesiąc wypasu – skierowali się z powrotem do zagród. Ale dzień się jeszcze nie skończył. Dojechali do corralu, pędząc przeważnie galopem, zjedli lekki posiłek, a potem Kane wyciągnął sprzęt do sportu, który nazwał kowbojskim polo, i podzielił ich na dwie grupy. Celem gry było uderzenie długimi kijami w nadmuchaną gumową piłkę o średnicy mniej więcej trzydziestu centymetrów w taki sposób, żeby przerzucić ją z jednego końca zagrody na drugi, a potem przez małą bramkę wyznaczoną dwoma słupkami ogrodzenia.

Grali w to przez resztę dnia, dwukrotnie zmieniając konie, choć ani razu graczy, więc wieczorem Herzer był zmęczony, ale zadowolony. Grał w zespole Alyssy i choć przegrali, czterema punktami do szczęścia z Kane'em, to on wbił trzy z nich.

I znów Diabło, na którym spędził prawie połowę gry, zdawał się wykazywać talent do gonienia piłki. Na swój sposób przypominało to gonienie krów. W krótkich przerwach między meczami Kane wyjaśnił im genezę gry. Podobno wymyślili ją starożytni Mongołowie, a pierwszymi „piłkami” były odcięte ludzkie głowy. Powiedział też, że zwykle używało się piłki wielkości ludzkiej pięści. Biorąc pod uwagę, ile razy nie trafił w piłkę, Herzer nie wierzył w to tak samo, jak w część dotyczącą ludzkich głów.

Spadł, albo jak określił to Kane „opuścił siodło”, tylko raz i pamiętał przy tym, żeby upaść najluźniej jak mógł. Jego wcześniejsze szkolenie bojowe przyszło tu z pomocą, umożliwiając zamianę upadku w przetoczenie się.

– Musisz natychmiast wstać i wsiadać z powrotem – powiedział, podjeżdżając Kane. – Jeśli spadniesz i nie wsiądziesz zaraz, będzie ci piekielnie trudno znowu się do tego zabrać.

Herzer potrząsnął głową, żeby oprzytomnieć, a potem potwierdził skinieniem.

– Od razu wsiadać z powrotem – powiedział niepewnie.

Kiedy zebrał się z ziemi, zastępca Diabło czekał już cierpliwie, skubiąc nędzną trawę na niedawno oczyszczonym polu. Wdrapał się więc na niego i wrócił do gry.

Jednak prawdę mówiąc, nie był wcale pewien, czy zechce jeszcze kiedyś oglądać konia. Niestety, desperacko potrzebował kąpieli i wyprania rzeczy. I choć jazda konno do łaźni stanowiła nieprzyjemną perspektywę, pójście tam pieszo było jedyną gorszą rzeczą, jaką mógł sobie wyobrazić.

Kane *powiedział* im, żeby poszli się wykapać i zabrali ze sobą konie, jeśli tylko mają ochotę. Najwyraźniej chciał nie tylko, żeby woniejąca i spocona grupa się oczyściła, ale i dalej ćwiczyła jazdę, więc po ostatnim meczu Herzer niechętnie podszedł do zagrody i zagwizdał na Diabło.

Koń wyglądał, jakby podchodził do pomysłu jazdy przynajmniej równie niepewnie jak Herzer, ale przekupił zwierzę głaskaniem i w końcu udało mu się go osiodłać i docisnąć popręg. Jazda była bardzo nieprzyjemna, ale kiedy pomyślał o marszu na własnych nogach, musiał przyznać, że tak przynajmniej trwało to *krócej*.

Do łaźni wybrało się ich równocześnie przynajmniej sześcioro. Jednak wszyscy poza Herzerem byli rekreacjonistami od dawna znającymi się z Kane'em i Alyssą choć nie odcinali się świadomie od niego, większość ich rozmów dotyczyła spraw i ludzi, o których nic nie wiedział, więc jechał w milczeniu, użalając się nad różnymi stłuczeniami.

W łaźni z radością oddał suche już, ale trzeszczące ubranie wszechobecnemu tam Dariusowi i skierował się pod wodę. Diabło uwiązał za rogiem na lince dostatecznie długiej, żeby mógł poczęstować się trawą, a kiedy wróca, koniowi należało się porządne karmienie i oporządzenie.

Mocno wyszorował się w zimnej wodzie pod prysznicem i prawie wrzasnął, kiedy gorąca woda oblała rozliczne otarcia i wrażliwe miejsca. Ale ból szybko przygasł i gdy ciepło wypełniło jego mięśnie, przynajmniej na jakiś czas wywołało to przyjemną euforię. Do czasu, kiedy uznał, że jest w stanie wywlec się z wody, zrobiło się już ciemno i kuchnie zostały prawie zamknięte. Odebrał swoje ubranie, pokłusował z powrotem na Diabło – rozsądnie wysoko podciągając strzemiona, by ochronić bolące siedzenie – i dostał w kuchni jakieś resztki. Potem pojechał z powrotem do zagrody, nakarmił konia, wyszczotkował go, odłożył uprząż i zataczając się, dotarł do budynku wyznaczonego do spania. Po ciemku znalazł swój koszyk, rozwinął koc i zasnął, zanim zdążył ściągnąć buty.

* * *

– Edmundzie – odezwała się Sheida, pojawiając się w biurze, gdy rada miejska stłoczyła się w drzwiach.

– Sheida, jesteśmy zajęci – powiedział Edmund. – Nie mogłabyś po prostu *zadzwoić*, albo coś w tym stylu? Może, choć raz, zostawić mi wiadomość?

Reszta rady osłupiała zszokowana brakiem szacunku okazywanym przez niego członkowi Rady, ale

Sheida tylko ze zrozumieniem kiwnęła głową.

– Zaczynam zapominać, że ludzie się *nie* dzielą – westchnęła, gładząc obraz swojej latającej jaszczurki. — Przepraszam, Edmundzie.

– O co chodzi tym razem? – zapytał, wciąż zły.

– Zdołałam uwolnić dość energii, żeby zaaranżować wirtualne spotkanie konwencji konstytucyjnej i, co ważniejsze, na napisanie pierwszego brudnopisu. Chciałabym, żebyś się tam zjawił.

– Świetnie, wcisnę to gdzieś w wolny czas między zastanawianiem się, jak nakarmić trzy tysiące ludzi i obronić ich przed bandytami.

– Czy tam jest aż tak źle? – zaniepokoiła się.

– McCanoc wrócił – warknął. – Spalił Fredar.

– Och. Nie wiem, jak mogło mi to umknąć. Ale w szerszej perspektywie nie jest to pierwszy taki przypadek.

– Ani nie będzie ostatnim – zgodził się Talbot. – A my możemy być następni.

– Znasz jego aktualną lokalizację? Ostatnio wypłynął... na wyższym poziomie.

– Nie, przypuszczam, że gdzieś na równinach na zachód od Fredar – odpowiedział Edmund. – Kiedy będzie to spotkanie?

– Kiedy byłoby ci wygodnie? – zapytała, rozglądając się wokół i kiwając głową członkom rady. – Przepraszam za zajmowanie wam czasu.

– Nie ma problemu. Wszystko w porządku...

– Jutro wieczorem? – zaproponował.

– Koło ósmej? – uściśliła, zerkając gdzieś w dal. – To powinno... się udać. W takim razie do zobaczenia – dodała i znikła.

– Mieć energię... – westchnął Deshurt.

– -Nie chciałbym mieć jej kłopotów – odpowiedział Talbot. – Dobra, skoro wszyscy siedzicie na swoich miejscach, pierwszym punktem programu jest kolejna luka w systemie bankowym...

* * *

– Rachel – zawołała Daneh, gdy jej córka przechodziła przez drzwi do szpitala. To był długi dzień, zrobił się późno, a dziewczynie należało się trochę wolnego. Ale dostatecznie długo już to odkładała.

– Tak? – zapytała jej córka.

– Mogę cię poprosić na chwilę? – Daneh wskazała ręką w stronę swojego biura. – To nie... Po prostu chcę cię o coś spytać.

Rachel zdziwiona zmarszczyła brwi, ale poszła za mamą do biura.

– Znacznie więcej rozmawiałaś z ludźmi niż ja – zaczęła Daneh, gdy zamknęły się za nimi drzwi. – Jedną z rzeczy, jaką powinny robić kobiety, które zostały zgwałcone, to rozmawiać na ten temat.

– Nie robiłam tego, mamó. – Rachel popatrzyła na nią ze zdziwieniem. – Czy... chcesz z kimś porozmawiać? – zapytała zmartwionym głosem.

– Cóż, tak, ale nie z tobą, kochanie – odpowiedziała Daneh z uśmiechem. – Zastanawiałam się, czy znasz kogoś... kogoś, kto mógłby chcieć porozmawiać.

Rachel zastanowiła się przez chwilę i wzruszyła ramionami.

– Tak. To znaczy wiem, o paru dziewczynach, które... miały przejścia w podróży. Nie próbowałam z żadnej z nich wyciągać szczegółów. Powinnam była?

Tym razem to Daneh zmarszczyła czoło, a potem wzruszyła ramionami.

– Rozmowa o tym jest bardzo ważna do wyleczenia. Ale tak naprawdę zastanawiałam się, czy mogłabyś poprosić je, żeby może spotkały się *ze mną*, któregoś wieczora? Jedną z ważnych rzeczy, jakiej nauczyłam się od Bast jest, że... po gwałcie pojawiają się w człowieku dziwne myśli i uczucia. Myślę, że nadszedł już czas, żeby ktoś, kto ma doświadczenie podzielił się z innymi i zaczął próbować... leczyć.

– Och – wyjąkała Rachel. – Ja... zobaczę, czego mogę się dowiedzieć.

– Dziękuję – z uśmiechem odparła Daneh. – Czy masz jakieś pojęcie, jak bardzo zmieniłaś się... dojrzałaś, od czasu Upadku?

– Czasem czuję się, jakbym miała tysiąc lat, jeśli o to ci chodzi – westchnęła dziewczyna.

– Wiesz – powiedziała Daneh, odchylając się na oparciu. – Jestem twoją matką. Możemy porozmawiać czasem o czymś poza pracą.

– Wszystko w porządku, mamó, naprawdę – wycofała się Rachel. – To nic tak... mocnego jak to, przez co ty się musisz przebić. Po prostu ten sam problem, jaki mają wszyscy inni. Wiesz, ciągle sobie życzę, żeby wszystko wróciło do stanu, w jakim było wcześniej.

– Tak, wiem – ze smutkiem zgodziła się Daneh. – Szepczesz czasem do siebie „dżinnie”? Ja tak.

– Owszem – przyznała Rachel. – Czasem, kiedy nie potrafię usnąć, wyobrażam sobie, że wszystko wróciło do normy. – Przez chwilę na jej twarzy rysowały się silne uczucia. — Nienawidzę tego świata. Czasem żałuję, że w ogóle się urodziłam!

– Nie żałuj tego – powiedziała Daneh, potrząsając głową. – Kocham cię i świat byłby smutniejszy, gdyby cię na nim nie było. Wiedz o tym. Nie ma nic złego w żalu za tym, co utraciliśmy. Ale nie żałuj, że istniejesz. Masz przed sobą długie życie i wciąż jeszcze możesz w nim znaleźć radość. Przyjaciół do zabawy i kochania. Może nawet chłopaka, co? Edmund i ja chcielibyśmy kiedyś zobaczyć wnuka.

– Jestem jeszcze trochę na to za młoda, mamó – zaprotestowała Rachel.

– Czyż nie dotyczy to nas wszystkich? – Daneh pogłaskała swój brzuch. – To dziwne uczucie, wiedzieć, że coś we mnie rośnie. Ostatnio byłam potwornie zmęczona i myślę, że to wynika właśnie

z tego. Ale nawet wiedząc, że połowa tego jest... od *nich*, połowa jest ze *mnie*. A ja... nie potrafię się zmusić, żeby nienawidzić nienarodzonego dziecka.

– Czyli... zamierzasz je zatrzymać? – zapytała Rachel.

– Cóż, nawet gdyby z pozbyciem się go nie wiązało się poważne ryzyko... Wydaje mi się, że odpowiedź brzmi: tak. Zamierzam go zatrzymać. Albo ją. Nie sądzę, żebym mogła zrobić coś innego. To dziecko, a ja nie jestem w stanie się zmusić do zabicia dziecka.

– Dobrze – powiedziała Rachel. — Jeśli tak czujesz. Jestem trochę... przerażona samym pomysłem. Wiesz, że wiąże się z tym ryzyko dla ciebie, prawda?

– To ryzyko, które towarzyszyło kobietom od niezliczonych stuleci. – Daneh wzruszyła ramionami. – Tylko dlatego, że udało nam się tego na trochę pozbyć, nie znaczy, że powinnam przed tym uciekać. I... ty też nie.

– Muszę znaleźć właściwego faceta – zaproponowała Rachel. – Jeszcze mi się to nie udało.

– Herzer jest... miły – ostrożnie zauważyła Daneh.

– Herzer to... Herzer – krzywiąc się, odpowiedziała Rachel. – I... on nie jest kimś, kogo szukam. To dobry przyjaciel, ale... tylko przyjaciel.

– Tak samo było z twoim ojcem – rzekła Daneh. – Do chwili, kiedy dotarło do mnie, że muszę mieć coś *oprócz* przyjaciół. Nie każę ci rzucić się w ramiona Herzerowi, ale nie ignoruj tej możliwości tylko dlatego, że dana osoba jest przyjacielem.

– Dobrze, mamó – odparła Rachel, po czym urwała. – Czy mogę cię o coś zapytać? I wiem, że to nie moja sprawa, ale...

– Twój ojciec i ja... radzimy sobie – rzekła Daneh, z niepewną miną. – To było... trudne. Pierwszy raz potem... był ciężki. Prawdopodobnie równie ciężki dla niego, jak dla mnie.

– Nie jestem pewna, mamó, czy dojrzałam do poznania szczegółów życia seksualnego moich rodziców -wydusiła z siebie Rachel zdławionym głosem. - Przepraszam. Chciałam tylko wiedzieć, czy z wami jest w porządku?

– Teraz już tak – z uśmiechem zapewniła ją Daneh. – I widzę, że docieramy do końca tej rozmowy. Poważnie, porozmawiaj ze mną od czasu do czasu. Ja też potrzebuję przyjaciół.

– Obiecuję mamó. – Rachel wstała i obeszła biurko, żeby przytulić mamę. - Do zobaczenia jutro, dobrze? I zawsze będę twoją przyjaciółką.

* * *

Edmund rozsiadł się właśnie w swoim najwygodniejszym fotelu, kiedy pojawiła się Sheida.

– Gotów? – spytała.

– Zabierzmy się za to – odparł i został natychmiast, pozornie, przetransportowany do dużej sali pełnej innych radnych. Część z nich poznał od razu, innych nigdy nie widział.

– Dziękuję wszystkim za poświęcenie na to czasu – zaczęła Sheida, gestem odsyłając swoją

jaszczurkę. Gad wybił się z jej ramienia i wyglądało jakby zniknął, najwyraźniej opuszczając strefę jej nadajnika. – Myślę, że to pierwsze spotkanie powinno dotyczyć ogólnych zasad tego, co próbujemy osiągnąć. Pozwólmy jako pierwszemu zabrać głos Edmundowi Talbotowi. Edmundzie, proszę, przedstaw się.

– Rozpoznaję część z was, innych nie znam – powiedział Talbot. – Więc powiem kilka słów o sobie. Mam coś, co kiedyś określano doktoratem w zakresie nauk politycznych i drugi, z wojskowości. Moja specjalność to społeczeństwa i wojskowość ery przedindustrialnej. Dodatkowo przez większość życia byłem rekreacionistą. W tej chwili pełnię funkcję burmistrza Raven's Mill, rosnącego społeczeństwa w dolinie Shenan. Pracując pod ich egidą i za zgodą, jestem tu, by zaproponować, aby wprowadzić w życie oryginalną konstytucję Norau, z minimalnymi poprawkami i przy zachowaniu wszystkich praw obywateli. *Wszystkich* praw.

Przedstawiła się reszta i większość z nich wywodziła się z podobnych społeczności, choć dwóch pracowało bezpośrednio z Radą nad ich projektami. Wszyscy w zasadzie zgodzili się, żeby wprowadzić oryginalną konstytucję, ale wszyscy mieli też jakieś zastrzeżenia.

– Edmund? – zapytała Sheida, zwracając się znów do niego. – Jakie zmiany chciałbyś wprowadzić?

– Pierwszą byłoby zasugerowanie wprowadzenia większego nacisku na prawo do posiadania broni. Należy dodać, że przeznaczona ma być do samoobrony, obrony społeczności i przed niekonstytucyjnymi działaniami rządu. Co więcej, *obowiązkiem* wszystkich obywateli w wieku poborowym powinno być posiadanie i umiejętność posługiwania się bronią.

– Muszę przeciw temu zdecydowanie zaprotestować – odezwał się delegat z miasta Chitao. – Mieliśmy już przypadki spalenia gospodarstw przez bandytów. Nie rozumiem, czemu powinni posiadać broń albo prawo do niej.

– Czy byli to obywatele społeczności? – odpowiedział Edmund. – Poza tym, uściślijmy, nie zawiódł fakt, że posiadali broń, lecz jaki uczynili z niej użytek. W części prawnej, już na samym początku powinny znaleźć się silne zakazy dotyczące nielegalnego użycia broni, z ciężkimi karami. Ale w Raven's Mill uzbrajamy naszych obywateli. Stanowią silny element obrony miasta. Aktualna sytuacja jest stanem, który kiedyś określano mianem papierka lakmusowego. W żadnym wypadku nie pozwolimy na rozbrojenie naszych obywateli przez rząd, poza otwartą rebelią, a i wtedy wyłącznie w zakresie *indywidualnym*.

– Popieram w tym względzie księcia Edmunda — odezwał się Mike Spehar, reprezentant Westfalii. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną ubranym w zbroję. – Najważniejszą rzeczą, jaką musi mieć republika przedindustrialna to szeroka klasa ludzi z bronią. Jej brak nieuchronnie prowadzi do rozwoju feudalizmu.

– Nie jestem już księciem, baronie Longleaf — ostro zaprotestował Edmund.

– W spisach Towarzystwa wciąż figurujesz pod takim mianem – odparł Spehar. – I tego proponuję się trzymać. Wiele miast rozwija się, bazując na umiejętnościach członków Towarzystwa i ludzi z nimi związanych. Wiele wprowadziło już arystokrację merytokratyczną. A niektóre z opierających się temu robią tak z powodu istniejących wykazów. Proponuję, żeby tego właśnie się trzymać.

– Mike, odbiło ci – zaproponował Edmund. – Najpierw atakujesz feudalizm, a chwilę później proponujesz wpaść w jego pułapki?

– W Westfalii nie akceptujemy pozycji społecznej za nic – wyjaśnił Spehar. – Jak powiedziałem, to arystokracja *merytokratyczną*. Zamiast senatu wybieranego przez stany, albo ich przedstawicieli, Izba Lordów, że tak powiem, która łączyłaby zarówno arystokrację dziedziczną, jak i członków o dożywotnim stanowisku za określone zasługi. Zwłaszcza ci drudzy tworzyliby prawdziwą izbę wyższą, a arystokracja dziedziczna mogłaby stanowić zachętę dla tych, którzy baliby się wejścia w związku z możliwością utraty przywilejów.

– Mówisz o dyktaturach watażków jak ten drań w Cartersville! – krzyknął reprezentant Chitao. – Oni są dokładnie tym, co chcemy *wyeliminować!*

– A w jaki sposób chcecie tego dokonać? – Spehar skrzywił się z pogardą. - Planujecie rozbroić swoich obywateli. Chcecie ich przekonać, ładnie się uśmiechając i sprzedając swoje córki?

– Panowie! – ucięła Sheida. – Proszę o spokój. Dobrze, mamy na razie dwie propozycje modyfikacji podstawowego dokumentu. Jestem pewna, że będzie ich więcej. Wszyscy mają szansę je zaprezentować i dobrze się im przyjrzeć, a potem będziemy mogli usiąść do edycji i sporów. Na razie, po prostu przed stawcie. *Bez komentarzy.*

To będzie długa noc, pomyślał Edmund.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Kane obudził Herzera dobrze przed świtem, przekazując mu złą wiadomość, że to on odpowiada za przygotowanie śniadania. Chłopak próbował nie narzekać i wstał w ciemności przedświtu. Wręczono mu wszystkie produkty, po czym Kane wrócił do łóżka.

W trakcie wyrębu drzew Herzer nauczył się używania krzemienia do rozniecania ognia, więc rozpalenie ogniska kosztowało go zaledwie dziesięć czy dwadzieścia prób. Pierwsze kilka razy ogień co prawda pojawiał się, ale zaraz gasł. Dobrych paru prób wymagało nawet osiągnięcie poziomu, na którym podpałka chwytiała za każdym razem. W końcu jednak rozpałił porządny, huczący ogień i przyszedł czas na przygotowanie grysiku. Z pobliskiego strumienia przyniósł wiadro wody i wlał ją do kotła, po czym postawił go na ogniu i poszedł po następne wiadro wody. Potem musiał wymyślić, ile wsypać maki kukurydzianej na grysik. W końcu rozwiązał tę kwestię, ale do tego czasu woda zaczęła się gotować. Wsypał do niej mąkę, co zatrzymało gotowanie, i poszedł po więcej drewna.

Zanim wrócił, zawartość kotła wykopiała, gasząc ognisko.

Na szczęście zostało kilka żarzących się węgli i ostrożnie wydobył je, rozpałił za ich pomocą nowe ognisko, przyniósł *więcej* drewna i wszystko zaczął szykować od początku. W końcu, w chwili, kiedy ponownie pojawił się Kane, miał równomiernie płonący ogień i gotujący się grysik.

– Co dałeś do tego oprócz mąki? – zapytał Kane, próbując potrawy. – To będzie wymagało *długiego* gotowania.

– Miałem nieco problemów – przyznał Herzer, jakby resztki poprzedniego ogniska nie mówiły same za siebie.

– Przyniosę trochę dodatków – wymamrotał Kane, a potem odszedł w stronę budynku, który dzielił z Alyssą.

Wróciwszy, Kane przejął kontrolę nad ogniskiem i wysłał Herzera do karmienia koni. Było to duże stado i podobnie jak wszystkie końskie grupy podlegało ścisłej hierarchii. Kane zdobył skądś dużą ilość siana i Herzer usiłował rozdzielić je przez rozrzucanie go po jednej porcji z wideł naraz, ale nie działało to najlepiej. Ważniejsze, starsze kłacze skończyły swoją porcję zanim dokończył dziesiątą trasę i odganiały konie stojące niżej w hierarchii, łącznie z jego Diabło, od stert siana. Zaczynał się też martwić o zdrowie koni, ponieważ kopanie i gryzienie było nie tylko głośnie, ale i brutalne.

– Tak się nie uda – odezwała się Alyssa, podchodząc do niego, gdy wracał z kolejnym ładunkiem. Ziewała i widać było, że obudziły ją hałasy, ale ponieważ ciężko pracował w chłodzie poranka, jakoś nie potrafił wzbudzić w sobie współczucia dla niej.

– Jeśli w grupie jest ich tak wiele, jedyne, co możesz zrobić, do zrzucić to w jednym miejscu – wyjaśniła. – Pomaga, jeśli mogą się do tego dostać ze wszystkich stron.

Weszła do corralu z kantarem i wróciła z jednym z hanarahów, którego zaprzęła do małego

wózka. Razem załadowali wózek sianem, a potem Alyssa wjechała nim do środka, podczas gdy Herzer odganiał konie, które próbowały wydostać się przez bramę. Następnie stanął na wozie i widłami wyladowywał siano, podczas gdy Alyssa wolniutko jechała dalej. Po drodze częstowała go komentarzami na temat koni, z których jasno wynikało, że nie tylko znała je wszystkie, ale doskonale się orientowała w ich cechach charakteru i miejscu w hierarchii.

Do czasu, gdy wrócili, reszta jeźdźców była już na nogach, a kleik się ugotował. Stało się to źródłem niewybrednych komentarzy.

– – Szlag, Kane – wymamrotał jeden z jeźdźców po spróbowaniu kleiku. - Jesteś nie tylko brzydki, jesteś cholernie kiepskim kucharzem. Czemu Alyssa w ogóle za ciebie wyszła?

– -No *coż* *Jestem* kiepskim kucharzem – przyznał Kane z szerokim uśmiechem. – Ale to coś jest wyłącznie winą Herzera. A powód, dla którego Alyssa za mnie wyszła, nie miał nic wspólnego z umiejętnościami kuchennymi.

– Rety, Herzer – dodała Alyssa. – Jeśli droga do serca kobiety prowadzi przez żołądek, masz poważny problem.

Herzer spróbował kleiku i skrzywił się, czując na języku jego przypalony smak.

– Pewnie tak – było jedynym komentarzem, na który się zdobył.

Mając nadzieję, że na tym skończą się jego poranne klęski, Herzer szybko zjadł śniadanie i poszedł poszukać swojego konia.

Diablo nie wyglądał na jakos szczególnie ucieszonego jego widokiem i Herzer zaczął się zastanawiać, czy wczorajsza gra w polo była takim dobrym pomysłem. Ale zachował garść kleiku i zostało to docenione, więc wyprowadził z padoku konia w znacznie lepszym nastroju.

Tego ranka sam go osiodłał, pamiętając, by zmusić zwierzę do wciągnięcia brzucha, kiedy zaciągał popręg. Konie nauczyły się wciągać powietrze i nadymać w trakcie tej czynności. W ten sposób, gdy tylko jeździec kończył, mogły wypuścić powietrze i uzyskać trochę luzu na paskach. Diablo był w tym zakresie równie normalny jak każdy inny koń, ale miało to sens, noszenie popręgu z jego punktu widzenia nie mogło się różnić się od pomysłu mocno zaciśniętego ciasnego gorsetu.

Z drugiej strony, jeśli popręg nie był dobrze zaciągnięty, siodło mogło się zsunąć, czego efektem byłoby po prostu wylądowanie jeźdźca na ziemi.

Herzer pozaciągał wszystkie paski i wspiał się na siodło. Wszystkie „jeździeckie” mięśnie miał całkowicie zeszywniałe i przerzucenie nogi przez koński grzbiet okazało się zdecydowanie bolesne. Ale kiedy już się tam znalazł, zaczął się rozluźniać, a po chwili wolnej jazdy to samo stało się z jego wierzchowcem. Pokierował nim przez kilka różnych rodzajów biegu, żeby go lekko rozgrzać i wrócił do obozu swobodnym kłusem.

– -Nie możesz się doczekać, co? – zapytał Kane. Wyłonił się z szopy z jakimś nowym sprzętem i długą włócznią.

– Tylko się rozgrzewam – powiedział Herzer. – Kiedy ma się tu zjawić – nagonka?

– – Zaczęli dziś rano, ale mają do przejścia kilka mil, a poruszają się wolno. Czyli

powiedziałbym, że pięć godzin po świcie. Ale coś powinno pojawić się trochę przed nimi. Więc musimy znaleźć się na miejscu za godzinę lub dwie. Ale chcemy wam wcześniej z Alyssa pokazać kilka rzeczy i porozmawiać ze wszystkimi o obowiązkach.

Herzer zsiadł z konia i zajął się nim. Ściągnął siodło i uzdę, zamieniając to drugie na kantar, po czym solidnie wyszczotkował zwierzę. Konie zrzucały warstwę zimowego włosia, więc Diabło bardzo się ucieszył ze szczotkowania. Potem znalazł worek do karmienia i trochę paszy, wiedział, że będzie dzisiaj bardzo dużo jeździł i nie chciał, żeby zwierzę padło z powodu niskiego poziomu cukru we krwi.

Do czasu, gdy skończył, Kane osiodłał własnego wierzchowca i przyczepił do siodła przyniesione rzeczy. Uprząż okazała się uchwytem na lancę, razem z miejscami na zaczepienie innej broni. Kane przyniósł też długi topór bojowy i miecz. Herzer zmienił mentalnie słowo „włócznia” na „lanca”, ale tak naprawdę nie widział różnicy.

Tymczasem Alyssa przywołała jednego z mniejszych arabów i osiodłała go. Jej siodło było znacznie bardziej zdobione niż Kane'a, ale zdawało się równie funkcjonalne. Po jednej stronie zwisał dziwny, kanciasty pokrowiec. W chwilę po tym, gdy Herzer prawidłowo rozpoznał w nim sajdak na łuk kompozytowy, otwarła go i wyjęła pozbawione cięciwy łuczysko. Założenie cięciwy okazało się poważną operacją i to Kane wykonał większość związanej z tym pracy. Najpierw wyciągnęła długą linkę, z wykonanymi częściowo ze skóry pętlami na obu końcach i zahaczyła je o końce łuczyska. Potem, gdy Kane za pomocą linki naciągnął łuk, co niemal natychmiast sprawiło, że na jego twarzy pojawiły się krople potu, ostrożnie zaczepiła cięciwę i upewniła się, że ramiona łuku były równe. Następnie Kane *wolno* poluzował linkę, aż łuk był w pełni napięty. Kiedy ściągała pomocniczą linkę, Herzer zaczął się zastanawiać, jak często kobieta mogła *naciągnąć* taki łuk, bo wyglądał, jakby wymagał siły przynajmniej sześćdziesięciu kilogramów.

Kilku starszych jeźdźców przygotowało cele, a paru miało nawet własne lance i uchwyty na nie. Jednak Alyssa była jedyną osobą z łukiem.

– Dobra, kawaleria wiąże się z walką z konia – zaczął Kane. – Ale większość technik kawaleryjskich wywodzi się z *polowania* konno i dopiero później została przekształcona do zabijania ludzi.

– No, z lancą było raczej odwrotnie – zauważył Denver Qulliam. Jeździec był jednym z należących do koterii Kane'a i choć jego jazda konna była ledwie dostateczna, lancą operował bardzo swobodnie.

– Może tak, może nie – zaprotestował Kane. – Nie ma na to przekonujących dowodów archeologicznych, choć muszę przyznać, że *wydaje* się ona pojawiać już po rozwinięciu konnej kawalerii, ale...

– Kane – ucięła Alyssa.

– Och... tak... no cóż, zamierzamy pokazać wam dziś rano nieco sztuczek z zakresu użycia lancy i łuku z konia, w czasie, kiedy będziemy czekać na przybycie leśnej zwierzyny.

– Czy będziemy *używać* lanc i łuków? – zapytał Herzer.

– Jeśli ktoś uważa, że potrafi się nimi posłużyć, nie spadając przy tym z końskiego grzbietu, może

spróbować – odpowiedział Kane ze śmiechem.

Zaczął od zademonstrowania dwóch sposobów trzymania lancy w szarży. Rzecz polegała na luźnym dzierzeniu jej jedną ręką, tak by dało się celować, nawet siedząc na koniu, który oczywiście poruszał się w trzech kierunkach, a następnie w ostatniej chwili zablokować i wprowadzić ją w cel. Mniejszych lanc można było używać nad głową, uzyskując podobny efekt przy ruchu podobnym do ciskania. Zademonstrował oba sposoby, umieszczając po jednej lancy w celu, a potem zachęcił innych, żeby spróbowali to powtórzyć. Herzer i Denver wypadli najlepiej, przy czym Herzer zrobił to w *galopie*, podobnie jak Kane, Denver umieścił lancę w celu, jadąc znacznie wolniejszym kłusem.

Herzer zaczął się bardzo dobrze czuć, jadąc na Diabło. Masywny kasztan nie różnił się zbyt od zwierząt ze szkolenia w rozszerzonej rzeczywistości i okazał się nawet odrobinę mądrzejszy. Ale wciąż nie zgrał się z koniem tak do końca. Widział ten błyskawiczny galop pierwszego dnia i trochę niepewnie myślał o wrazeniu, jakie musiałyby się z tym wiązać dla jeźdźcy. Nawet wolniejszy bieg jego wierzchowca czasem sprawiał, że czuł się, jakby miał między nogami rakiętę.

Kiedy skończyli z Kane'em i zebrali lance, Alyssa przeprowadziła demonstrację strzelania z łuku, oczywiście również z konia. Najpierw strzelała z nieruchomo stojącego wierzchowca na około siedemdziesiąt pięć metrów, umieszczając trzy strzały w środku celu mniej więcej z taką szybkością, z jaką nadażała z zakładaniem strzały i napinaniem łuku. Potem zaczęła jechać kłusem, pakując strzałę w centralny rejon tarczy mniej więcej co pięć – sześć sekund, a potem zaprezentowała partyjski strzał, odwracając się na galopującym koniu do tyłu i strzelając. Te ostatnie lądowały... mniej więcej w okolicy celu. Ale Herzer zrozumiał, jak nieprzyjemną dla przeciwnika byłaby taka sytuacja na poziomie taktycznym.

Po tych demonstracjach Kane przydzielił im zadania. Herzer miał być jednym z jeźdźców strefowych, odpowiedzialnych za pilnowanie określonego rejonu głównej zagrody. Powinien przeganiać ze swojego sektora zwierzęta stadne do jeźdźców zbierających je w grupy, nie dopuszczać do rozwoju niebezpiecznych sytuacji, odciągać zwierzęta, które zostaną zabite w jego sektorze, i radzić sobie z wszelkimi kłopotami. Oprócz Diabło miał do dyspozycji jeszcze dwa konie, na które będzie mógł się przesiadać: jeszcze większego gniade-go wałacha o imieniu Butch i klacz w kolorze palomino, o imieniu Duchessa i bardzo wrednym charakterze. Musiał je sam poprowadzić, ale jak długo Duchessa była na końcu, nie musiał się nią martwić.

Zanim ruszyli w stronę terenu akcji, Herzer podjechał do Alyssy, która konsultowała się jeszcze w jakiejś sprawie z Kane'em, i odczekał, aż skinęła w jego stronę.

– Madame, czy byłoby możliwe, żebym spróbował tego łuku? – zapytał uprzejmie.

– Strzelałeś już?

– Nie z konia i wiem, że nie potrafiłbym strzelać w trakcie jazdy. Ale myślę, że z nieruchomego Diabło dałbym radę trafić w stodołę.

Spojrzała na Kane'a, który odpowiedział jej tym samym i wyciągnęła łuk. Jednak po chwili rzuciła okiem na potężne ramiona chłopaka i zasępiła się. Jej przedramiona chroniły karwasze, jego były nagie i bez jakiegos osłony lewe szybko zmieniłoby się w hamburgera. Znieruchomiła i wymieniła z młodszym mężczyzną skonsternowane spojrzenia, nie było mowy, żeby jej stosunkowo małe karwasze przy jego potężnych rozmiarach mogły mu się do czegoś przydać.

– Poczekaj chwilę – powiedział Kane ze śmiechem i podjechał do szopy. Wszedł do środka i po chwili wyłonił się z parą stalowych karwaszy i kolejnym sajdakiem.

– Tak naprawdę do łuku powinny być skórzane – wyjaśnił. – Ale zobacz, czy te się nadadzą.

Herzer przymierzył i stwierdził, że pasują całkiem nieźle. Od środka wyłożono je skórą i miały skórzane paski, których obwód dawało się w pewnym zakresie regulować, a same karwasze wydawały się właściwie nawet odrobinę za duże.

– Zatrzymaj je. – Kane z powrotem wsiadł na konia. – Służyły mi jakiś czas temu i po prostu szkoda było mi się ich pozbyć. Nie używam tego rodzaju zbroi.

Herzer przyjął łuk i kołczan ze strzałami ze skinięciem, a potem podjechał do strzelnicy. Upewnił się, że nikt nie przechodzi ani nie przejeżdża w pobliżu, a potem, przełykając ślinę, zatrzymał Diabło. Uświadomił sobie, że jeśli spudłuje, będzie wyglądał jak dureń, ale i tak musiał spróbować. Poświęcił chwilę na sprawdzenie zewnętrznej części karwasza, żeby się upewnić, że nie wystawały z niego żadne kawałki metalu ani ostre krawędzie, które mogłyby rozerwać cięciwę, a potem wyciągnął strzałę. Kolanami unieruchomił Diabło, przemówił do niego uspokajająco, potem wciągnął powietrze i nałożył strzałę na cięciwę. Naciąg łuku, zgodnie z jego podejrzeniami, wynosił przynajmniej sześćdziesiąt kilogramów, ale strzelał z gorszych, a ostatnie „ćwiczenia” sprawiły, że stał się silniejszy.

Naciągnął go właściwie, ciągnąc cięciwę całym ciałem, stając przy tym w strzemionach, i wycelował. Zapomniał, jak mocno cięciwa wżynała się w palce i uświadomił sobie, że Alyssa miała na dłoniach łucznicze rękawiczki, wykonane z bardzo cienkiej skóry. Mimo wszystko, pomimo bólu, dobrze wycelował i wypuścił strzałę, modląc się do wszystkich bogów. Diabło, chwala mu, nawet nie drgnął.

Strzała poleciała prosto w sam środek tarczy, wbijając się w nią po same lotki. Wystrzelił jeszcze dwie, po prostu żeby się upewnić, że nie było to szczęście, ale obie okazały się prawie równie celne. Potem, chociaż palce bolały go jak diabli i mimo że wyglądały, jakby zaczęły krwawić, spróbował strzelania w stępie, kłusie i galopie.

W stępie udało mu się umieścić trzy strzały mniej więcej w środku celu z odległości pięćdziesięciu jardów. Ale musiał starannie celować i trochę to trwało. W kłusie, obawiał się, że zgubił kilka cennych strzał Alyssy, posyłając je w las. W galopie szło mu trochę lepiej, ponieważ jazda była gładsza, ale strzały i tak lądowały tylko blisko celu. Jedno trafienie w środek wynikało bardziej z przypadku niż umiejętności.

– Gdzie nauczyłeś się używać łuku? – zdziwiła się Alyssa, gdy podjechał z powrotem po zebraniu strzał.

– W tym samym miejscu, gdzie jazdy konnej – odpowiedział z łobuzerskim uśmiechem. – Głupi, trzymałem wszystkie swoje rzeczy off-line zamiast w domu, czy gdzieś. Przydałby się teraz ten cały sprzęt. Miałem piękny łuk – dodał smutno.

– Próbowalesz strzelać z konia? – zapytał Kane. – I jaki rodzaj łuku?

– Nie, tak naprawdę wcale nie walczyłem z konia, wolałem walkę pieszo - odpowiedział Herzer. – Długi retrofleks, sto kilo naciągu.

– *Sto?* – Alyssa otworzyła szeroko oczy.

– Cóż, nie mogłem strzelić wiele razy – przyznał. – Ale kiedy trafiłem cholernego orka, to już nie wstawał!

– Jednak nie byłeś rekreacjonistą – stwierdził Kane, marszcząc się. – Ja... nie, nie byłem – odparł Herzer. — Aż do bardzo niedawna miałem pewne problemy fizyczne. Trenowałem, żeby *zacząć* być rekreacjonistą. Potem nadszedł Upadek. I jesteśmy tutaj.

– No cóż, jeśli pomożesz mi założyć cięciwę, możesz zabrać zapasowy łuk Alyssy.

– Myślę, że da się zrobić – zgodził się Herzer. – Ale lepiej, żebyś dał mi też jedną z tych żerdzi.

– Powiedziałeś, że nie szkolileś się w walce konnej – krzywiąc się, mruknął Kane.

– To prawda, ale sam mówiłeś wcześniej coś na temat polowania – z uśmiechem odparł chłopak.

* * *

Zagroda na zwierzęta została ustawiona w miejscu, gdzie Mały Shenan wpływał do Dużego Shenan, tuż obok głównego mostu z Via Apallia. Prawdę mówiąc, ustawione w lejek zgarniające płoty – zbudowane głównie z rozciętych kłód przymocowanych do drzew – przechodziły *przez* drogę. Ich własne zagrody mieściły się na południe, więc do miejsca zbiórki nie mieli daleko. Wzdłuż głównego traktu wzniesiono budynki, przed którymi grzały się już na ogniu wielkie kotły, a w pobliżu wznoszono drewniane rusztowania.

– Na rzeźnię – wyjaśnił Kane. – Podgrzać wodę do wrzenia, zanurzyć świnie w wodzie, żeby zmiękczyć szcecinę. Inne zwierzęta też. I te ramy również na rzeź.

– Zamierzają zarżnąć wszystkie świnie? – zapytał Herzer. – Są ważnymi zwierzętami dla farmerów.

– Dzikie świnie nie są czymś, z czym poradzi sobie nowy rolnik – wyjaśnił Kane. – Nie zamierzamy zabijać młodych. I ludzie wzdłuż płotu będą próbować złapać to, co się przedostanie. Ale chcemy zabić wszystkie duże i je uwędzić. Nie mamy dość soli, żeby uwędzić je odpowiednio, ale jeśli potrzyma się je nad ogniem dostatecznie długo, przez jakiś czas da sieje przechować. O ile nie będziemy mieli dużej liczby zwierząt, szybko skończy się nam jedzenie. Pojawią się dwa rodzaje sarnowatych, białe ogony i wapiti. Białe będą przeskakiwać przez płoty, zabijaj wszystkie, które będziesz umiał. Ale wapiti nie potrafią go przekroczyć, więc planujemy je zebrać.

Oprócz głównej zagrody wzniesiono cztery mniejsze, ustawione tak, żeby można było do nich zaganiać zwierzęta stadne. Herzer, po doświadczeniach poprzedniego dnia z próbami zaganiania bydła Myrona, uznał, że jest to mocno optymistyczne podejście.

Przywiązał dwa luzaki do ogrodzenia i zajął pozycję na zewnątrz jednego z rogów, czekając na pierwsze zwierzęta. Wzdłuż płotów zaczęli się ustawiać ludzie, wielu z nich z włóczniami wykonanymi z młodych drzewek. Zauważył w swoim sektorze Shilan i pomachał jej, potem dostrzegł przechodzącą wzdłuż szeregu Rachel z zarzuconą na ramię torbą. To z powrotem przypomniało mu o tym, że wiele zwierząt nie będzie zbyt przyjaznych. Pomyślał o podjechaniu do niej i rozmowie, został jednak na miejscu, próbując dojść do tego, jakie ma dobre linie strzału. Jeśli nie trafi, strzała po prostu polecą dalej, a cały płot w zamierzeniach miał być obsadzony ludźmi. Z tego powodu

strzelanie mogło się okazać problematyczne. Postanowił w związku z tym zostawić hak w sajdaku.

Podjechał do niego Kane, trzymając w ręku zwiniętą linę.

– Potrafisz wiązać węzły? – zapytał.

– Kilka – przyznał Herzer.

– Na końcu jest przesuwna pętla. – Kane podał mu linę. – Jeśli coś zostanie zabite, odciągnij to na bok, ktoś się tym później zajmie.

Herzer wziął linę i znalazł miejsce, w którym przywiązał koniec do siodła. Nie był pewien, jak poradzi sobie z ciągnięciem czegoś na Diabło, a jeszcze mniej z Butchem czy Duchessą. Oba konia miały tendencję do odchodzenia, kiedy się z nich zsiadło.

Jednak nie miał za wiele czasu, żeby się tym martwić, ponieważ krótko potem, przy ogólnych wiwatach, zza jednego z płotów wyskoczył jeleń, pędząc na otwarty teren. Był sporo poza jego sektorem, więc nie zawracał sobie głowy próbą wyciągnięcia łuku i strzelania, a zwierzę szybko przemknęło przez otoczony płotem obszar. Kiedy jednak dostrzegło rząd ludzi przy płocie, skręciło w jego stronę.

Ścisnął Diabło kolanami, żeby go obrócić, a potem zauważył, że zwierzę ignoruje konie. Zaczął właśnie wyciągać łuk, co nie było łatwe na koniu i w ruchu, kiedy jeleń został przestrzelony strzałą z boku. Przebiegł jeszcze kilka kroków, po czym padł, gdy do jego mózgu dotarła wiadomość, że jest martwy. Herzer podjechał do niego, wsadzając łuk z powrotem do sajdaka i zsiadł z konia, odwijając linę. Pętlę założył na tylnych nogach rogacza, a potem wrócił do Diabło, który odsunął się od niego niepewnie.

– On nie lubi zapachu krwi! – krzyknął Kane. – Mów do niego.

– Cii, koniku – Herzer zaczął uspokajać wierzchowca, luzując linę. – Dobry konik. Zostań. Spokój.

W końcu udało mu się wrócić na siodło z liną rozciągniętą prawie na maksimum i kolanami skierował rumaka w stronę najbliższego płotu. Ciężar jelenia niemal zrzucił go z siodła, ale owinął linę wokół łęku i zaczął ciągnąć. Niestety, zanim przebyli jakieś trzydzieści metrów, pojawiło się *drugie* zwierzę, prawie dorosły tygrys.

Na widok wielkiego kota, odległego nie więcej niż trzydzieści metrów, Diabło oszalał, cofając się i próbując uciec przed kotem i równocześnie ciągniętym z tyłu jeleniem. Herzer w jakiś sposób zdołał pozostać w siodle, z dłonią boleśnie ściśniętą między skórą i liną. Skierował konia w stronę płotu, oddalając się od tygrysa, na co wierzchowiec chętnie przystał. Ale tygrys, widząc, że coś przed nim ucieka, ruszył za nimi, wpadając po chwili na jelenia.

Połączona masa jelenia i tygrysa sprawiła, że koń dosłownie stanął w miejscu, bez mała wyrzucając Herzera z siodła. Tym razem chłopak zdołał uwolnić dłoń na czas, ale lina i tak boleśnie otarła mu dłoń. Kopnięciem pchnął Diabło, a potem odwrócił się, żeby zobaczyć, co działo się z tyłu.

Tygrys utknął na zewłoku jelenia, rozglądając się wokół na ludzi i konia nienawistnym wzrokiem. Po chwili przysiadł na truchle i ryknął.

Pomimo wyraźnej paniki wierzchowca Herzer zdołał go zatrzymać i odwrócić. Szepcząc mu

uspokajająco do ucha, wyciągnął łuk i założył strzałę. Gdyby tylko zdołał zmusić konia do chwili bezruchu, byłby to bardzo łatwy strzał, w tych warunkach bowiem wołał nie schodzić z siodła. Wycelował i wypuścił strzałę w tej samej chwili, gdy z innego wektora nadleciała strzała Alyssy. Jego wbiła się w klatkę piersiową tygrysa, ale jedna strzała, nawet wypuszczona z kompozytowego łuku, nie miała szans zatrzymać wielkiego kota, który obrócił się, prychając, i szukając tego, co go uderzyło. Strzelił jeszcze raz, przed Alyssą, i druga strzała weszła między żebra.

Trzeba było jego trzech strzał i kilku Alyssy, żeby tygrys wreszcie przestał się rzucać i syczeć. Herzer został jednak na miejscu i odczekał, aż para myśliwych podeszła od płotu i poszturchała bestię włóczniami.

– Niezłe strzały – pochwaliła Alyssa, podjeżdżając.

– Dzięki – Herzer wykorzystał chwilę przerwy na złapanie oddechu i uspokojenie zdenerwowanego wierzchowca.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, uznał, że lepiej jednak będzie zostawić łuk na wierzchu.

– W trakcie tego zamieszania na jego końcu zagrody z lasu zaczęło wyłaniać się więcej zwierząt. Dostrzegł trochę bydła i jakieś olbrzymie jelenie, które musiały być wspomnianymi przez Kane'a wapiti. Były prawie wielkości krowy, a na czasce formowało im się porośnięte jeszcze skórą poroże.

– Stado byków – powiedział Kane. – Zabić je albo zagnać do zagród. Były tak wspaniałe, że nie chciał ich zabijać, ale kiedy pierwszy z nich wkroczył w jego sektor i Herzer spróbował przegnać go w stronę zagrody, jelenie nie uznał tego za dobry pomysł, obracając się na zadnich nogach i machając ostrymi kopytami w stronę Diabła. Cofając konia, który wyraźnie miał ochotę pokazać, kto tu rządzi, zdołał równocześnie wysłać trzy strzały w pierś jelenia prawie równie szybko, jak był w stanie naciągać łuk, a potężny byk opadł na kolana, po czym przewrócił się na bok.

Nie miał zamiaru próbować odciągać olbrzymia, więc machnął na jakichś ludzi przy ogrodzeniu i ruszył szukać czegoś, co mógłby zagonić.

Potężny corral zaczynał już być zatłoczony, a wszystkie zwierzęta były złe, wręcz rozwścieczone, i z powodu coraz mocniej przesycającego powietrze zapachu krwi na wpół oszalałe ze strachu. Ale ogólnie rzecz biorąc, sytuacja przedstawiała się całkiem niezłe, w każdym razie aż do chwili, gdy wypadło na nich stado świń.

Świnie najwyraźniej trzymały się w gromadzie, a Herzer nawet nie miał pojęcia, że tak wiele ich żyło w lesie, a co dopiero, że mogły zbić się razem w tak potężną falę kłów i woni. Musiało tam być przynajmniej pięćdziesiąt dorosłych osobników i niezliczona ilość młodych. Za nimi pędziła puma, a potem *jeszcze jeden* tygrys.

Na widok potężnej fali niebezpiecznych i śmiertelnie groźnych stworzeń większość jeźdźców zrezygnowała z prób zachowania pozorów zaganiania bydła do zagród i zamiast tego pomyślała o własnym przetrwaniu. Wielu z nich skierowało się do bram wzdłuż ścian, całkowicie porzucając zagrodę.

Herzer znajdował się mocno z boku pędzącej masy i natychmiast zaczął wypuszczać strzały. Oprócz kilku wyjątków nie był w ogóle pewien, gdzie trafiały, poza tym, że spadały w dół, uważał, żeby nie

zranić kogoś po drugiej stronie płotu. Widział więcej pocisków nadlatujących od strony myśliwych z łukami przy ogrodzeniu, ale to nie zatrzymywało stada. Tygrys zniknął – miał nadzieję, że nikt przy tym nie został poszkodowany – ale puma ze wszystkich sił goniła za Kane'em.

Herzer wysłał dwie strzały w biegnącą pumę i dostrzegł, że jedna trafiła, zmuszając zwierzę do obrócenia się, a potem albo Alyssa, albo któryś z myśliwych wypuścił śmiertelny strzał, po którym drapieżnik padł w miejscu. Ale do tego czasu stado świń rozproszyło się i po terenie zagrody kręciło się przynajmniej pół tuzina dużych, naprawdę paskudnych i wściekłych dzików.

Zastrzelił dwa z nich i nagle zauważył, że jeden olbrzym szarżuje w stronę płotu i Shilan.

Wcisnął łuk do sajdaka, wyciągnął z uchwytu włócznię i zdecydował, że przekona się, czy jest w stanie zostać na Diablo w pełnym galopie. Z krzykiem wbił pięty w boki konia i skierował go w stronę szarżującej świni.

Przez chwilę wydawało mu się, że świat odsunął się na boki. Koń spał mięśnie i wystrzelił z miejsca jak błyskawica, tak szybko, że miał wrażenie, jakby jego krzyki zostawały z tyłu. Uświadomił sobie, że wrzeszczy szaleńczo i spróbował wycelować w świnię włócznię, ale ta dotarła do ogrodzenia przed nim.

Sześćset kilogramów wściekłego dzika wbiło się w rozchwierutany drewniany płot z szybkością prawie trzydziestu kilometrów na godzinę, ogrodzenie nie miało szans. Najbliższy słupek złamał się, a poprzeczki rozpadły się na kawałki. Z drugiej strony zderzenie solidnie ogłuszyło zwierzę, które zatrzymało się na chwilę, by strząsnąć z oczu krew. Kiedy jednak odzyskało zmysły, pierwszym obiektem, jaki zobaczyło, była Shilan, rzucona przez wstrząs na ziemię.

Herzer krzyknął jeszcze głośniejsze, mając nadzieję, że dźwięk skłoni świnię do obrócenia się, ale to nie zadziałało: dzik opuścił głowę i zaszarżował na ogłuszoną dziewczynę.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, że wycelował lancę, do chwili, gdy ta wbiła się w bok zwierzęcia i hamując nagle pęd jeźdźca, prawie strąciła go z konia.

Diablo szarżował na oślep i kiedy dzik, nadziany na lancę i przewrócony przez nią na ziemię, zatarasował mu drogę, nie miał innego wyboru, jak przeskoczyć go.

Herzer w jakiś sposób zdołał utrzymać lancę, ale gdy koń przeskakiwał, pozwolił jej przesunąć się przez dłoń. Połączony efekt dźwigni cisnął śmiertelnie rannego dzika na bok i uniemożliwił mu zbliżenie się do dziewczyny, ale wszystko to absolutnie nie interesowało gałęzi zwieszającej się ze szczytu drzewa. Z całkowitym brakiem godności uderzyła Herzera w czoło i zwała go z konia w kałużę własnej krwi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Kiedy Herzer oprzytomniał, w ustach czuł smak krwi, liści i ziemi i miał najgorszy w świecie ból głowy.

– Nie ruszaj się – usłyszał kobiecy głos. Po długim i mozolnym przeszukaniu pamięci uświadomił sobie, że była to doktor Daneh. Nie rozmawiał z nią od chwili, kiedy dostał się do Raven’s Mill, co musiało odpowiadać dobrem kilkadziesiąciu latom.

– Mrwm – zdołał powiedzieć.

– Możesz ruszać nogami? – zapytała.

Zademonstrował, krzywiąc się, kiedy z powodu skupienia napiął mięśnie karku. Jego głowa zaczynała *naprawdę* poważnie boleć.

– Dobrze. Palce? Ramiona?

Poruszył i nimi, a potem poczuł, że jest przetaczany. Z początku niczego nie widział i bardzo go to przeraziło, ale potem ktoś polał mu twarz wodą i zdołał otworzyć oczy. Doktor Daneh wyglądała na mocno zmęczoną, nawet bardziej niż w czasie podróży, gorzej niż po spotkaniu z Dionysem. No, może nie *gorzej*.

– Po’ ‘ę odpo’ – wybełkotał Herzer, a potem poruszył ustami i wypluł trochę liści.

– Tak, musisz trochę odpocząć – zgodziła się i uśmiechnęła się. Za pomocą małego lusterka błysnęła mu w oczy, co zmusiło go do zamrugania, ale zauważył, że kiwnęła głową z zadowoleniem na zdobyte w ten sposób informacje.

– Och, och – Zmrużył ostrożnie oczy. – To *pani* potrzebuje odpoczynku – poprawił.

Słyszając to, znów się uśmiechnęła.

– Ze mną wszystko w porządku – powiedziała.

– Nie pr’wda – zaprzeczył, próbując usiąść.

– Czekaj – powstrzymała go. – Jesteś w dość kiepskim stanie, Herzerze Herricku.

– Muszę wrócić na konia – oznajmił szorstko. Odepchnął jej ręce i usiadł, mrugając z powodu bólu głowy i karku. Pomacał się po czole, gdzie duża plama była najwyraźniej zakrwawiona i znów zamrugął oczami, zdając sobie wreszcie sprawę, że część jego problemów ze wzrokiem wynikała z zalepiającego je brudu i krwi. Oczyszczył je, częściowo przecierając, a potem zaczął wstawać, jednak dopadła go fala zawrotów głowy. Nie był pewien, czy *mógł* wrócić na konia, a co dopiero na nim zostać. I był całkiem pewien, że nie miał na to ochoty, co tylko zwiększało jego determinację.

– Pomóż mu, Daneh. – Tym razem Herzer usłyszał męski głos. Podniosły go silne ręce, chwytając go pod pachami i pomagając mu stać.

– Muszę wrócić na konia – powtórzył. Boleśnie rozejrzał się wokół i zobaczył Diabło, stojącego

ledwie parę kroków dalej. Widziany przez niego obraz falami tracił barwy, a koń wyglądał, jakby stał na końcu tunelu, ale i tak sprawiał wrażenie, jakby miał cielecy wyraz pyska. Przez chwilę zadrżały mu kolana, i pomyślał, że może zemdleć, jednak po chwili to przeszło i wciąż stał. Bolesnie, ale stał.

– Muszę go zabrać do szpitala – zaprotestowała Daneh.

– Może się tam dostać na koniu – zabrzmiał głos. – Możesz jechać z nim i go podtrzymywać.

– Nie, Rachel może jechać – zaproponowała Daneh. – Ja jestem potrzebna tutaj.

Herzer uświadomił sobie, że drugi głos należał do sir Edmunda, ale tak naprawdę nie miało to znaczenia. Przy pomocy podtrzymującego go Talbota chwycił uprząż Diabło i wsunął stopę w strzemię. Z wysiłkiem, który wywołał kolejną, oślepiającą falę bólu głowy, wspiął się na siodło i nachylił do przodu, kołysząc się.

– Wsiadłem z powrotem – wymamrotał, z oczami na wpół przymkniętymi z powodu bólu. Wsiadł, ale nie wiedział, gdzie jechać ani jak się tam dostać. Kolanami skierował konia w stronę zagrody i zatrzymał się, kiedy jakaś dłoń chwyciła uprząż, prawie wyrzucając go z siodła.

– Nie, nie do pracy, bohaterze – z rozbawieniem powiedział Edmund. – Inni się tym zajmą. Ty jedziesz do szpitala.

Rachel usiadła za nim i z jej przyjemnymi krzywiznami przyciśniętymi do jego pleców koń został zaprowadzony do lazaretu. Z daleka słyszał jakieś wiwaty.

– Co to? – wymamrotał. Nie był w stanie zmusić się do podniesienia bolącej głowy.

– Nie wiesz? – zdziwiła się Rachel z nutką wesołości w głosie. – Pewnie nawet nie zdajesz sobie sprawy, jakie zrobiłeś z siebie widowisko.

– Jakie wido... wido? – zapytał.

– Później. W tej chwili musimy położyć cię do łóżka i oczyścić ci twarz. Ciesz się, że nie uderzyłeś nosem, miałbyś go na całej twarzy. Właściwie to nie wiem, czemu nie masz rozwalonej tej cholernej czaszki albo krwiaka mózgu. Choć właściwie może masz.

Herzer nie był pewien, o czym ona mówi. Nie był nawet pewien, jak znalazł się na ziemi. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, to strzelanie z łuku do pumy. W jakiś sposób zdołał utrzymać się na koniu do chwili, gdy dotarli do budynku szpitala, gdzie usłużne ręce pomogły mu zejść z konia. Diabło zaczął wykazywać tendencję do płoszenia się, ale wrócił Kane i natychmiast przejął nad Nim kontrolę.

– Muszę... wyczyścić... – powiedział Herzer. Tak naprawdę czuł się, jakby miał znów zemdleć.

– Idź do *łóżka*, Herzer – roześmiał się Kane. – Zrobiłeś dość, jak na jeden dzień.

Rachel poprowadziła go do budynku, w którym panował błogosławiony półmrok i posadziła go na pryczy. Ku jego zdumieniu, była wyścielona czymś miękkim – Nie pozwoliła mu się jednak położyć, podpierając go poduszkami.

– Teraz zamierzam zająć się tą raną na głowie – oświadczyła. – Nie zemdlej mi tu, to byłoby niedobrze.

Na szczęście miała delikatne dłonie. Wymyła ranę ciepłą wodą, wywołując lekkie krwawienie, potem wytarła ją do sucha i posmarowała czymś, co szczypało. Ale i tak było to niczym w porównaniu z bólem wewnątrz głowy. Nagle uświadomił sobie, że zaraz zacznie wymiotować.

– Będę... – zaczął mówić, a potem przerwał, gdy jego żołądek zawirował. Dziewczyna szybko chwyciła wiadro i podstawiła mu je, a on zwrócił do niego wszystkie posiłki z ostatniego tygodnia. A przynajmniej takie miał wrażenie. Wymioty nasiliły jeszcze ból głowy.

– Dobrze, to normalne – uspokoiła go, odstawiając wiadro. – Masz wstrząs. Po prostu siedź tutaj i odpoczywaj. Może będziesz to robił przez kilka dni.

Oparł się na poduszkach i zamknął oczy przed ograniczonym oświetleniem pomieszczenia, podczas gdy ona najlepiej jak umiała, oczyściła jego ubranie. Uważał, że powinien sam się tym zająć, ale czuł się *naprawdę* źle. I wszystko, czego chciał, to *spać*.

– I nie próbuj mi tu usnąć – powiedziała Rachel, potrząsając go za ramię. – Szlag, będę musiała tu siedzieć albo posadzić do tego kogoś innego.

– Czemu? – zapytał zmęczonym głosem.

– Masz wstrząs mózgu – powtórzyła. – Jeśli teraz uśniesz, możesz się już nie obudzić.

To była nieprzyjemna myśl. I pomogła mu skupić się na niezaśnięciu. I innych rzeczach.

– O czym mówiłaś, kiedy tu jechaliśmy? – zapytał. – Przedstawienie. - Potem zaczął sobie przypominać, skąd wzięła mu się ta rana głowy. – Och, Mithras. To musiało zabawnie wyglądać – westchnął.

– Co? – Spojrzała na jego dłoń i głośno wciągnęła powietrze. – Co zrobiłeś ze swoimi *palcami*?

– Nie miałem rękawiczki łuczniczej – wyjaśnił. Strzelał tak szybko, że nawet nie zauważył bólu palców.

– Są porozcinane praktycznie do kości, ty idioto! – krzyknęła, zaczynając je bandażować. – I pewnie można by powiedzieć, że byłoby to zabawne, gdyby wszyscy nie przyglądali się wcześniej innym twoim wygłupom.

– Wygłupom? – spytał.

– Herzer, uganiałeś się po całym tym cholernym *polu*, na tym swoim wielkim koniu – powiedziała cierpko. – Zabijając wszystko na prawo i lewo. Było to ciut więcej niż spektakularne. Przynajmniej dwukrotnie ocaliłeś życie *Kane'a*, jeśli nierozniesienie przez wściekłego byka liczy się jako coś takiego. Potem do tego wszystkiego był ten *szalony* galop, żeby uratować Shilan. Wiesz, powinieneś być słyszeć to *westchnienie*, kiedy spadłeś. Byłeś w połowie zagrody, zanim ktokolwiek w ogóle zaczął *reagować*, galopując tak szybko, że wyglądało, jakbyś pędził na odrzutowcu, nie koniu. Wszyscy, którzy mieli choć *chwilę* na zerknięcie, przyglądali się, co zrobisz dalej. Słyszałam, jak ludzie *zakładali się* o ciebie.

– Och – mruknął, łamiąc sobie głowę. Naprawdę *aż tak* rzucał się w oczy?

– Kiedy ten dzik rzucił się na Shilan, wszyscy myśleli, że ona już nie żyje, a potem ty nie tylko

przebiłeś to cholerne zwierzę, jeszcze przewróciłeś je na *bok*. A potem, praktycznie natychmiast dałeś się zabić, przynajmniej tak to wyglądało. Nikt nie sądził, że po uderzeniu w tę gałąź będziesz zdolny wstać i większości ludzi zniknąłeś z pola widzenia. *Brawa* były dlatego, że wyjechałeś z *życiem*.

- Och.
- Zrób coś dla mnie, dobrze? Mam już dość kłopotów. Spróbuj przestać być *bohaterem*.
- Dobrze – powiedział, nie rozumiejąc.
- Pójdę znaleźć kogoś, kto nie pozwoli ci zasnąć. – Wstała i poprawiła spódnicę. – Właściwie to chyba znam właściwą osobę.

Herzer zamknął oczy i znów oparł się na poduszkach, ale przestraszył się, kiedy zdał sobie sprawę, że usypia. Nie był pewien, czy Rachel mówiła poważnie o nieobudzeniu się, ale nie miał ochoty sprawdzać. Zastanawiał się też, jak długo będzie obowiązywał zakaz.

Ponownie otworzył oczy i rozejrzał się po mrocznym pokoju. Jeszcze kilka łóżek było zajętych, ale nikt nie leżał dostatecznie blisko, żeby z nim porozmawiać.

Skoro nie męczyły go inne problemy i miał chwilowo wolną rękę, zaczął katalogować swoje bóle. Potwornie bolał go kark, a po opisie tego, co zaszło, sam się dziwił, że go sobie nie złamał. Bardzo, *bardzo* się cieszył. Bycie sparaliżowanym w tym społeczeństwie byłoby paskudne. Mógłby równie dobrze poprosić kogoś o poderżnięcie gardła. Zresztą, skoro już o tym mowa, nie był pewien, czy w ogóle *mógłby* przeżyć. Czy byłby w stanie oddychać?

Po kilku chwilach ponurych rozmyślań podniósł wzrok i zauważył wchodzące do budynku Rachel i Shilan. Zaczął się uśmiechać, a potem dostrzegł, że ramię Shilan było unieruchomione.

- Coś nie w porządku? – zapytał, krzywiąc się od nagłego dźgnięcia bólu głowy.
- Tylko skręcony łokieć – wyjaśniła z uśmiechem, siadając na opuszczonym przez Rachel stołku. Rachel podała jej ceramiczny kubek i wyszła, pożegnawszy się machnięciem ręki.
- Masz nie pozwalać mi zasnąć?
- Przytomny, ale nie aktywny – potwierdziła Shilan. – Dla mnie brzmi to jak przepis na kompletną nudę.
- Nie przy tobie – stwierdził, a potem znów zamrugał z bólu.
- A ona powiedziała, że prawdopodobnie nie będziesz chciał rozmawiać - dodała dziewczyna, wyciągając książkę. – Więc po prostu usiądź sobie wygodnie, a ja będę czytać.
- Na głos? – zapytał z kolejnym grymasem. Poczul się, jakby znów był dzieckiem.
- Wątpię, żebyś tego chciał – ze śmiechem powiedziała Shilan. – To książka o technikach tkackich. Ostatnio przyglądałam się pracy jednego z rekreacjonistów i zainteresowało mnie to. Nie wydaje mi się, żeby przeznaczone mi było ścinanie drzew.
- Myślę, że będziesz się marnować jako tkaczka. – Herzer oparł się na poduszkach i zamknął oczy.

– Coś muszę zrobić – odparła. Słyszał troskę w jej głosie.

– Nie tak trudno jest zrobić mechaniczne krosna – zauważył Herzer. – Mogą być zasilane przez koła wodne. I jest mnóstwo rzeczy, które mogłabyś robić. Na przykład leczyć.

– Dziękuję, nie. Widziałam, ile kosztuje to doktor Daneh. Zabija ją brak dostępu do nanitów.

– To właśnie o to chodzi? – zastanowił się.

– Wczoraj straciła pacjenta, jeden z nowych uczniów pracujących w tartaku nie zastosował się do instrukcji bezpieczeństwa.

– Cholera.

– Nie chcę doświadczać czegoś takiego, wiedząc, że gdybym miała energię, mogłabym ocalić życie, które odpłynęło na moich rękach.

– Ktoś musi – zauważył Herzer, poprawiając się i spostrzegając przy tym, że wciąż ma na sobie karwasze. Otworzył oczy i zamrugał, próbując zabrać się do zapięcia.

– Ja się tym zajmę – zaoferowała Shilan, odkładając książkę.

Opuścił rękę i poczuł jej chłodne dłonie na swoich ramionach. Zwalczył dziwną falę pożądania. Nigdy wcześniej tak się przy niej nie czuł, nie był też w formie, żeby coś z tym zrobić. Właściwie to tylko bardziej rozboleła go od tego głowa. Spróbował pomyśleć o czymś, żeby to zredukować, ale głowę miał zbyt przymuloną, by myśleć. Zamiast tego wyciągnął jedną dłoń i przesunął nią wzdłuż jej ramienia, otwierając oczy, by zobaczyć jej reakcję.

Shilan na chwilę zeszywniała, a jej twarz znieruchomiała, więc szybko cofnął dłoń.

– Przepraszam.

– Ja też – powiedziała smutno. – Może... może niedługo, Herzer.

– Nie ze mną. Wcześniej mówiłem poważnie. Lubię cię, ale nie chcę... Nie wydaje mi się, żebyśmy byli sobie przeznaczeni.

– Kochasz Rachel – orzekła Shilan, patrząc na niego.

– Ona jest tylko przyjacielem – odparł, znów zamykając oczy, zaskoczony łzą.

– Och, ty biedny, durny bohaterze. – Shilan uśmiechnęła się, głaszcząc go po twarzy.

– Bohater to ktoś, kto robi rzeczy, których nie musi – zmęczonym głosem odpowiedział Herzer. – Bohater to ktoś, kto jest, kiedy go potrzeba. Nie jestem bohaterem. Proszę, nie nazywaj mnie w ten sposób. Proszę.

– Co ci jest? – zapytała zmieszana.

– Po prostu... trudno to wyjaśnić. Ale... nie jestem bohaterem.

– Przykro mi, Herzer, ale kiedy ten dzik wlepił we mnie te swoje małe wściekłe oczka, myślałam, że już jestem martwa. Dla *mnie* zawsze będziesz bohaterem.

Herzer wzruszył ramionami i opadł na poduszki, nie potrafiąc wyjaśnić natłoku emocji przelatujących przez jego mózg. Pozytywnym zjawiskiem był fakt, że opadła fala pożądania, zostawiając go jeszcze bardziej zmęczonym.

– Mithras, chciałbym móc spać.

– Nie śpij. Będę tu, jeśli będziesz czegoś potrzebował.

Herzer był bliski dodania zastrzeżenia o granicy potrzeb, ale opanował się

i zamiast tego pozwolił swoim myślom dryfować.

* * *

Następne dwa dni przeminęły jak we mgle. Herzer zapamiętał odwiedzającą go doktor Daneh i siedzącą przy nim Rachel. Przychodzili i inni, ale nie pamiętał dokładnie kto. Pamiętał, że przenoszono go na wóz, a potem wstrząsy, gdy gdzieś na nim jechał, narzekając płaczliwie na światło. Pamiętał, że siedziała przy nim Shilan i że za którymś razem, gdy się obudził, cicho płakała. Próbował sprawić, żeby przestała, ale nie pamiętał żadnych szczegółów ani powodu jej płaczu, ani co się działo potem. Dopiero trzeciego dnia po spędzie obudził się przytomny. Było przed świtem, a obok niego na znacznie porządniejszym i wygodniejszym krześle niż w te w lazarecie siedziała pogrążona we śnie Rachel. Głęboko wciągnął powietrze i rozejrzał się, zdając sobie sprawę głównie z tego, że przestał go męczyć ból głowy.

Zdecydowanie zabrano go ze szpitala i znajdował się w jakimś budynku z kamienia. Na szafce po drugiej stronie pokoju stała lampa oliwna, a na trzech ścianach zawieszono kobierce. Łóżko wydało mu się niewiarygodnie miękkie, na podstawie jakichś głębokich wspomnień zidentyfikował swój materac, stwierdzając, że leży na puchowej kołdrze. Zdał sobie też sprawę, że dostał w głowę mocniej, niż myślał, ostatnie dwa dni były tak rozmazane, że musiał mieć jakieś uszkodzenie mózgu. Choć zdarzało się rzadko, dawało się leczyć. Biorąc pod uwagę aktualne warunki, cieszył się, że w ogóle udało mu się przeżyć.

Obok łóżka stał stół z dzbankiem i kubkiem. Podnosząc kubek, stwierdził, że jest w nim woda i wypił ją łąpczywie, niemożliwie wręcz zaschło mu w gardle. Usiadł i sięgnął po dzban, budząc przy tym Rachel.

– Podam ci go – powiedziała sennie. – Czemu się obudziłeś?

– -Anie wyspałem się już dostatecznie? – odparł, niepewnie nalewając sobie wody. Ręce trzęsły mu się tak mocno, że część rozlał na obrus. Zrezygnował i oddał dzbanek dziewczynie, opierając się na poduszkach i ulegając zmęczeniu.

– Prawie zginałeś, durniu. – Nalała mu wody i przystawiła kubek do ust. Tym razem był w stanie dostatecznie się kontrolować, by wziąć kubek i samemu się z niego napić.

– Chyba już sam do tego doszedłem.

– Od jak dawna nie śpisz? – zapytała, delikatnie kładąc dłoń na jego czole. Ale dotyk nie wywołał żadnego bólu.

– Nie długo. Gdzie jestem?

– W domu taty. To było jedyne miejsce, w którym według mamy mogłeś mieć dostateczny spokój. Muszę coś sprawdzić.

– Jasne – odparł, a ona odsłoniła koc. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że był nagi i chwycił prześcieradło.

– Po pierwsze nie byłeś taki skromny w łaźni – zaproponowała ze śmiechem - a po drugie napatrzyłam się już przez ostatnie trzy dni.

– Och – mruknął, gdy znów odciągnęła przykrycie. Wzięła coś, co wyglądało na igłę do szydełkowania i boleśnie ukłuła go w palec nogi. – Ała!

– Dobrze. – Rachel przeszła z igłą wyżej. Sprawdziła wszystkie kończyny i różne inne, pozornie przypadkowe miejsca. Do czasu, gdy skończyła, cały drżał ze zmęczenia. Co naprawdę go wkurzyło. Okryła go z powrotem i zapisała coś w notatniku, z satysfakcją kiwając głową.

– Zaliczyłem, pani doktor? – zapytał płaczliwie.

– Jak dotąd – odparła ze zmęczonym uśmiechem. – Naprawdę martwiliśmy się o twoje reakcje. Drugiego dnia część kończyn miałeś dość niewrażliwą. To zły znak. Ale wszystko wróciło do normy. Spróbuj nie odbierać już zbyt wielu uderzeń w głowę, dobrze?

– Obiecuję – przyrzekł. – Co się stało?

– Nie ma możliwości stwierdzenia z całą pewnością, ale mama myśli, że doznałeś stłuczenia albo na sklepieniu czaszki, albo na mózgu. To się nazywa krwiak mózgu. Możesz też powiedzieć po prostu stłuczenie mózgu. Czasem może to zabić. Ale wygląda na to, że masz głowę twardszą, niż większość. Nie płaczą ci się słowa, dobrze reagujesz na bodźce. Zostało tylko sprawdzenie twoich odruchów, ale wolę, żeby tym zajęła się mama.

– Jak ona się ma? – zapytał Herzer. – Wyglądała... okropnie na tym spędzie. Słyszałem, że straciła pacjenta.

– A ty byłbyś następny – ze smutkiem potwierdziła Rachel. – Bob Towback. Spadło na niego kilka belek, zmiażdżyły mu klatkę piersiową i wnętrzności. Jego śmierć... to trochę trwało, a ona nie mogła mu w żaden sposób pomóc. Bardzo ją to zabolalo. Stracenie ciebie byłoby chyba jeszcze gorsze.

– Nie wiem czemu – wyszeptał Herzer. – Nie, to głupie. Rozumiem.

– Wiem, że rozumiesz – cicho zgodziła się Rachel.

– Gdzie jest Shilan? – zapytał, żeby zmienić temat.

– Śpi – z chichotem wyjaśniła Rachel. – I tak będziesz musiał poczekać, aż odzyskasz siły, Romeo.

– Nie o tym myślałem – skłamał. – Po prostu martwię się o nią.

– Ona bardziej martwiła się o ciebie. Przez większość czasu to ona siedziała na tym krześle. Mama odesłała ją wczoraj wieczorem, kiedy było już jasne, że przeżyjesz.

– Muszę iść do łazienki – poprosił nagle. – Szybko.

– Przyniosę nocnik – zaproponowała, wstając.

– Jak daleko jest do... – przerwał.

– Tata ma w domu kanalizację-powiedziała Rachel, wychodząc z pokoju. - Ale ty nie wstajesz.

– Do diabła z tym – rozgniewał się Herzer. Usiadł i niezdarnie uwolnił nogi spod przykrycia. Nic nie działało tak, jak chciał, i przez chwilę martwił się, że krwiak mózgu uszkodził jego obwody motoryczne. Ale po chwili, gdy pokój przestał się wokół niego kręcić, zdołał je opanować. Po prostu brak praktyki. To wszystko. Wyszedł z wprawy.

Skupił się na tej mantrze i wstał z łóżka.

– Och, ty idioto – mruknęła dziewczyna, chwytając go, gdy się zatoczył. W rękę trzymała dziwny i nieprzyjemnie wyglądający przedmiot, który rzuciła na łóżko. – Szlag, ciężki jesteś.

– Poradzę sobie – uparł się, zaciskając zęby, gdy pokój znów zaczął wirować. – Gdzie to jest?

– Kawałek korytarzem – wyjaśniła, wsadzając sobie jego rękę pod ramię. - I idź cicho. Jeśli obudzisz mamę...

– Już nie śpię – odezwała się doktor Daneh od drzwi. – A ty powinieneś być w łóżku.

– Mogę dojść do ubikacji, pani doktor. – Herzer się wyprostował, a potem zachwiał i złapał Rachel.

– Dureń. – Lekarka wzruszyła ramionami. – Ale, ponieważ nie mam zamiaru siłować się z tobą, kiedy będziesz sikał, ja też ci pomogę.

– We trójkę zdołali dotrzeć do ubikacji i Herzer ulżył sobie w stosunkowym spokoju. Zdołał nawet ściągnąć z haczyka ręcznik i owinać się nim w talii, zanim ponownie otworzył drzwi.

– A teraz wracaj do łóżka, ty – zarządziła Daneh, potrząsając głową. – Czego to ludzie nie zrobią dla prywatności.

Do czasu gdy Herzerowi udało się dotrzeć do łóżka, był gotów przyznać, że dziwny obiekt, biały porcelanowy... dzbanek, czy coś w tym rodzaju, z rurą, która *nie* wyglądała na dostatecznie dużą, może jednak mógł być lepszym pomysłem.

– Odpocznij – poleciła lekarka, odsuwając z twarzy kosmyki włosów. – Będziesz potrzebował swojej siły.

– Czemu? – zapytał Herzer z westchnieniem, kładąc się do łóżka.

– Napadnięto Fredar. – Dlatego wstałam. Jacyś bandyci ograbili ich i spalili większość budynków. Będziemy mieć więcej uchodźców. Edmund przyspieszył plan stworzenia prawdziwych sił obronnych. I chce w nich *ciebie*.

– Dobrze – przytaknął Herzer. Czuł, jak z powrotem ogarnia go sen, ale miał jeszcze czas na jedno zdanie. – Czas wrócić na konia.

– Dureń – było ostatnim słowem, jakie usłyszał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Herzer zbuntował się piątego dnia po wypadku.

Przez dwa dni po tym, jak oprzytomniał, doktor Daneh nie pozwalała mu wstawać i chodzić nigdzie poza ubikacją. Jednak piątego dnia potrafił już tam dojść bez problemu, więc uznał, że wyzdrowiał. Nie do końca, gdyby go przyciśnięto, przyznałby, że wciąż jest potwornie słaby, ale to nie poprawi się od leżenia w łóżku.

Po południu, gdy jedna z pielęgniarek Daneh opuściła po obiedzie jego pokój, został sam i najwyraźniej nikt go nie pilnował. Wstał, wydobył z szafki swoje pocerowane ubranie i poszedł sprawdzić źródło powtarzającego się metalicznego dzwonienia dobiegającego z za domu.

Usłyszał hałasy dochodzące z kuźni, więc wyszedł na zewnątrz przez boczne drzwi i zakradł się do szopy na tyłach. Spodziewał się znaleźć tam jednego z uczniów kowalskich, może nawet kogoś ze swojej klasy, ale przy kowadle stał sam mistrz Talbot z wściekłym wyrazem twarzy, uderzając młotem w kawał stali.

Herzer zaczął się wycofywać, ale właśnie wtedy Edmund podniósł wzrok i kiwnął do niego z nieobecnym wzrokiem.

– Nie wydaje mi się, żeby wolno ci było wychodzić z łóżka – powiedział, odkładając młot i wsuwając sztabę z powrotem w węgle kowalskiego pieca.

– Obawiam się, że oddaliłem się bez przepustki – odparł Herzer, wchodząc do szopy. Było w niej więcej miejsca, niż się spodziewał, jako że ustawiono ^w niej tylko stół, kilka wiader, piec i kowadło. Leżało też trochę narzędzi, ale niewiele. Po chwili zauważył jaśniejsze plamy na podłodze i zrozumiał, że większość wyposażenia została stąd niedawno wyniesiona. Przypuszczał, że do miasta i rozwijających się nowych kuźni.

Pomimo stosunkowo chłodnego popołudnia wewnątrz było gorąco jak... no cóż, jak w kuźni. Poczul, że na czole natychmiast pojawił mu się pot, a Edmund był od niego cały mokry.

Kowal kiwnął głową ze zrozumieniem i napił się wody z dzbanka, podając go następnie chłopcu.

– Cóż, skoro uważasz, że czujesz się dostatecznie dobrze, możesz popracować przy miechach – stwierdził, wskazując na urządzenie. – Ale załóż fartuch, bo iskry spalą ci ubranie.

Herzer uznał, że ma na to dość sił. Zdjął z kołka skórzany fartuch i przyjrzał się miechom. Obok nich stał wygodny stołek, więc usiadł na nim i zaczął pompować.

– Nie tak mocno – wymamrotał Edmund, odwracając stal. – Ogień będzie za gorący.

Herzer zwolnił rytm, aż zobaczył, że kowal kiwa głową, a potem przestał pracować, gdy Talbot wyciągnął z ognia żarzącą się wiśniowo stal.

– W różnych temperaturach tworzą się różne odmiany stali – wyjaśnił Edmund. – W tej chwili po prostu wprowadzam węgiel z powierzchni w głąb sztaby.

Herzer kiwnął głową, jakby rozumiał, wycierając dłońmi twarz. Edmund bez słowa podał mu szmatkę i dzbanek.

– Co pan robi? – zapytał Herzer i napił się. Woda była zmieszana z winem, niewielką ilością, tylko tyle, żeby nadać smak. Była to miła odmiana po czystej wodzie, którą dostawał przez ostatnie kilka dni.

– Tylko nóż – wyjaśnił Edmund znów z gniewnym wyrazem twarzy. – Przyszedłem tu wyżyć się na metalu, zamiast wziąć młot i porozwalać jakieś głowy.

Herzer przyglądał się w towarzyskim milczeniu, jak kowal rozklepuje metal, a potem wsuwa go z powrotem w ogień.

– Pompuj – polecił Edmund, zerkając na niego. – Choć wyglądasz, jakbyś już się męczył.

– Tak jest – przyznał Herzer. – Ale nie wiem czemu. Przez ostatnie kilka dni leżałem tylko w łóżku.

– Tego rodzaju solidne uderzenie odbiera człowiekowi siły – rzekł kowal, obracając metal w węglach. – Daneh uważa, że powinieneś leżeć jeszcze przez trzy lub cztery dni. Nie zgadzam się, ale nie zamierzałem jej tego mówić.

– Wydaje mi się, że w tej chwili bardziej potrzebuję ćwiczeń, nie wypoczynku – wy dyszał Herzer. Miechy mocno sprężynowały, a jego ręce zaczynały się już męczyć.

– Dość – burknął Talbot, wyciągając stal z ognia. – Wiesz, czemu uczniowie zawsze dmą w miechy?

– Nie.

– Poruszanie miechami wymaga ruchów bardzo podobnych do kucia. Rozwija siłę w określonych grupach mięśni. Oprócz tego, że jesteś słaby po wypadku, nie jesteś przyzwyczajony do ich używania.

– No świetnie, kolejna grupa mięśni do rozwinięcia – powiedział Herzer z cierpkim uśmiechem i znów napił się wody. – Ten nóż przeznaczony jest do wbicia w kogoś konkretnego?

– Nie – ze śmiechem zaprzeczył Edmund. – Choć przychodzi mi na myśl kilka osób, w które z przyjemnością bym go wycelował.

Herzer zrozumiał, że jest to jakaś aluzja, ale nic konkretnego.

– Chociaż – dodał po chwili Talbot, uderzając w stal jeszcze mocniej – większość z nich nie rozumiałaby aluzji.

Herzer kiwnął głową, nie przyznając się, że on też jej nie złapał.

– Pompuj – polecił kowal. – Czyli słyszałeś już, że przyspieszamy powołanie wojska?

– Doktor Daneh mi powiedziała – przytaknął Herzer. Doszedł do siebie i właściwie było mu teraz łatwiej pompować niż na początku. Choć wciąż było tam gorąco jak w piekle. – Coś na temat Fredar?

– Zaatakowała ich grupa bandytów, to chyba najlepsze określenie. Byłem tam zaledwie kilka

tygodni temu. Dostali wstępny szkic konstytucji Norau i strasznie narzekali na „pełen przemocy charakter poprawek”.

– Wymagania związane z obronnością? – zapytał Herzer, przestając pompować, gdy kowal wyciągnął stal.

– Tak – potwierdził zapytany. – Ich rada miejska zajęła pozycję odrzucenia przemocy, niektórzy z rekreacjonistów, którzy tam mieszkali, wynieśli się po tym i to właśnie od nich się dowiedziałem. Pojechałem tam i próbowałem przekonać tych durniów. – Dwukrotnie mocno uderzył młotem w stal, po czym go odłożył i wsunął ją z powrotem w żar. – Przynieś trochę więcej węgla, dobrze? – poprosił, wskazując podbródkiem na wiadro w rogu.

Herzer spełnił prośbę, po czym przyjrzał się swoim dłoniom. Nie tylko one, ale i całe przedramiona pokryte miał sadzą.

– Trudno będzie w tym stanie przemknąć się obok pani doktor.

– Nie martw się, wymyjemy cię – uspokoił go Edmund, popijając wodę.

– W każdym razie ci... bandyci zabili większość mężczyzn, łącznie z kil koma uzdolnionymi rzemieślnikami, żeby ich szlag, i uprowadzili większość kobiet, zostawiając dzieci. Och, a przy okazji spalili wszystko do samej ziemi.

– Gwałcić, rabować i palić – krzywiąc się, powiedział Herzer.

– Och tak, zrobili to we właściwej kolejności – stwierdził Edmund, wsadzając stal z powrotem w ogień. – Pompuj. Właściwie to dziwne. Dość często bandyci myślą kolejność. Biorąc pod uwagę okoliczności, palenie wszystkiego to świetna zabawa, tak naprawdę trudno jest przed tym ludźmi powstrzymać.

Herzer rzucił mu szybkie spojrzenie, marszcząc brwi.

– Mówi pan to tak, jakby miał jakieś doświadczenie?

– Tak więc przyspieszyliśmy plany stworzenia wojska. – Edmund zignorował pytanie. – Chcesz zostać żołnierzem?

– Tak – odparł Herzer

– Jakiego rodzaju? – zapytał Edmund.

– Nie wiem, jaki będę miał wybór – przyznał Herzer. – Chyba na chwilę wypadłem z obiegu.

– Armia będzie niewielka – wyjaśnił Talbot. – W tej chwili nie potrzebujemy wiele. Ale chcę, żeby stanowiła dobrą kadrę dla większych sił, więc szkolenie będzie ostre.

– Jestem na to gotów – oświadczył Herzer, gdy kowal przerwał.

– Tak ci się teraz wydaje – prychnął Edmund. – Główne siły będą się składać z dwóch grup: łuczników i piechoty. Łucznicy będą używać długich łuków, a piechota będzie luźno wzorowana na rzymskiej.

– Legiony? – zapytał z uśmiechem Herzer. — No, *to* mi się podoba!

– Z twoimi ramionami byłbyś piekielnie dobrym łucznikiem.

– Dobrze, jeśli każą mi zostać łucznikiem, będę nim. Ale jeśli mogę mieć jakiś wybór, to zdecydowanie wolę legiony.

– Czemu? – Talbot odłożył stal i pierwszy raz tego dnia naprawdę przyjrzał się młodzieńcowi.

Herzer odwrócił twarz od badawczego spojrzenia i wzruszył ramionami, zaczerwieniony.

– Nie wiem – mruknął.

– Dobrze, powiedz mi, co myślisz.

Herzer zawahał się chwilę, po czym znów wzruszył ramionami.

– – Legiony... cóż, *łucznicy*. Łucznicy siedzą z tyłu i walą do przeciwnika na odległość. Nie... ścierają się z nim. Nie atakują go. Ja... uczyłem się strzelać z łuku, i tak, jestem w tym nawet dość dobry, ale zawsze wolałem zwarcie z zimną stalą. Nazywam to „żelazną ręką”. To po prostu... coś dla mnie. Czasem nie należało tak robić. Ale... to właśnie wolałem.

Edmund znów kiwnął głową z nieodgadnionym wyrazem twarzy i ponownie chwycił stal.

– Pompuj. Określenie, którego ci brakuje to „piechota uderzeniowa”. Istniały dwie jej odmiany, zdyscyplinowana i niezdyscyplinowana. Tym drugim typem był Pikt atakujący z krzykiem i wywijając nad głową toporem. Czasem się to sprawdza, przeciw innej niezdyscyplinowanej piechocie. Drugi model to falanga, postępująca w równym tempie, by przejść i utrzymać teren. „Żelazna pięść”... słyszałem już ten termin i prawdopodobnie zdziwiłbyś się, skąd pochodzi, choć dotyczy to bardziej wrzeszczącego Pikta. Czy dostrzegasz różnicę?

– Tak jest, sir – odpowiedział Herzer. – Ale i tak wolę legiony. Legiony- cóż... – przerwał i wzruszył ramionami.

Edmund uśmiechnął się do niego i kiwnął głową.

– Znów mam nad tobą przewagę. Mam za sobą lata lektur, rozważań i studiów, dzięki którym mogę *zdefiniować* to, czego ty nie potrafisz. Legiony są tym miejscem, gdzie „opona styka się z drogą”, kolejny termin, który trudno zdefiniować. To one w ostatecznym rozrachunku będą decydować o wyniku bitwy.

– Tak – wydyszał Herzer, ciesząc się, że *ktoś* potrafił wyjaśnić ogarniające go... uczucia. – Chcę być tam, gdzie guma styka się z drogą.

Edmund roześmiał się i popatrzył z aprobatą na młodego mężczyznę, który wyglądał na zakłopotanego.

– Nie przejmuj się, to po prostu... kiedy skończysz podstawowe szkolenie, *jeśli* je zaliczysz, dam ci do przeczytania książkę. A niech to, *zmuszę* cię do przeczytania tak wielu, że będziesz mnie nienawidził. Clausewitz, pomimo jego wad, Fusikawa, Keegan, Hanson. Żebyś był w stanie definiować pojęcia. Znajomość terminologii to połowa nauki bitew. Ale piechota uderzeniowa to nie wszystko, czego potrzebujemy. Na dłuższą metę będę chciał mieć kombinowane i zrównoważone

siły. Łuk, balisty, legion, ciężka i lekka kawaleria.

– Mówi pan o dużej armii – zauważył Herzer. – Raven's Mill nie da rady tego utrzymać.

– A kto mówi o Raven's Mill? – zaśmiał się Talbot. – Dlatego właśnie tak zdenerwowałem się na radzie. Wciąż myślą wyłącznie w kategoriach *tu i teraz*.

– A pan *zawsze* myśli z dziesięcioletnim wyprzedzeniem? – zdziwił się Herzer. – Bo w takiej perspektywie musi pan planować. Nie ma mowy o powołaniu pełnego legionu przynajmniej w ciągu... najbliższych dwóch lat.

– Czemu dwóch? – zapytał kowal, znów mu się przyglądając.

– Rzeczy. – Herzer wzruszył ramionami. – Log... logistyka? – Niektóre terminy już znasz.

– Tylko... nie mam pojęcia, ile kilo stali potrzeba na uzbrojenie sześciu tysięcy ludzi...

– Całe tony.

– Namioty, jedzenie. Namioty robiono ze skóry. Nie mamy nawet dość *krów*, żeby mieć skórę na tyle namiotów!

– Ani dość ludzi. Jedzenia.

– *Zakonserwowanego* jedzenia – poprawił Herzer, nagle podniecony. – To znaczy... sól. Dlatego właśnie płacili legionistom...

– Nie jest to koniecznie najlepsza metoda płatności, ale rozumiem, o co ci chodzi. *Jest* konieczna jako środek konserwujący, jej brak jest powodem, dla którego tak szybko musimy zjadać nasze zapasy. Lepiej byłoby odczekać ze spędem do jesieni, ale potrzebujemy jedzenia. Pamiętasz, co mówiłem o „korpucie”. Czy wiesz, co to oznacza?

– Rdzeń oddziałów?

– Jesteśmy na etapie tworzenia narzędzi do produkcji narzędzi. Siły obronne Raven's Mill są tworzone jako narzędzie do tworzenia narzędzi. Czy rozumiesz, co to oznacza?

– Au – powiedział, z uśmiechem patrząc na młot. – Chce nas pan użyć jako młota?

– A młot jest twardszy i cięższy niż to, co ubija – zachichotał Edmund, z uznaniem przyjmując analogię. – Myślisz, że jesteś dość mocny?

– Nie wiem – przyznał Herzer. – Mam nadzieję, że będę, kiedy skończymy Czy pan będzie młotem tworzącym młot?

– Nie – zaprzeczył Edmund. – Mam do tego kogoś lepszego niż ja. Zobaczysz. I *gwarantuję*, że to znieawidzisz.

– Dobrze, i pewnie to, co nas nie zabija, czyni nas mocniejszymi – stwierdził Herzer. – Choć wolałbym, żebyśmy mieli karabiny. Niech bandyci spróbowaliby salwy.

– Zabezpieczenia szybkości rozprężenia – rzekł Edmund, wzruszając ramionami. – Nie zadziała.

– Nie rozumiem tego – powiedział młodszy mężczyzna, otwierając szeroko oczy. – To znaczy, po

pierwsze, czemu zabraniać środków wybuchowych, a po drugie, jak u diabła to właściwie działał. Szybkość rozprężania nigdy nie miała dla mnie wielkiego sensu.

– Chcesz odpowiedzi? – zapytał Talbot, znów odkładając obrabianą stal i siadając na kowadle. – Właściwie to już wypociłem z siebie złość, pozwolimy teraz ostygnąć piecowi, skoro... Cóż, daj już spokój z pompowaniem. A więc, chcesz poznać odpowiedź?

– Tak, inaczej nie zadawałbym pytania.

– Wiem, że chodziłeś do szkoły z Rachel—kował zmarszczył czoło – i wiem, że ona o tym wie. Więc czemu muszę ci to wyjaśniać?

– Nie musi pan, jeśli tego nie chce – odpowiedział Herzer, wstając i rozprostowując nogi. Czuł się lepiej niż przez cały dzień. Naprawdę potrzebował trochę wysiłku. – Aleja poszedłem ścieżką techniki przedindustrialnej. To znaczy, poznałem podstawy historii, ale to wszystko, co mówili. Nigdy dotąd głębiej się tym nie interesowałem.

– Dobrze, ale nie zamierzam poświęcić na to pięćdziesięciu tysięcy słów i jeśli nie zrozumiesz, to trudno. Jasne?

– Tak jest – z uśmiechem odparł Herzer.

– Pierwsze pytanie brzmi „czemu?” – zaczął Talbot. – Ograniczenie zostało wprowadzone krótko po wojnach SI. Wiesz o nich?

– Trochę. Była lekcja na ich temat. Nie przespałem jej.

– Czyli wiesz, że były paskudne i krwawe. Prawie tak paskudne, jak to... łąjno, w którym siedzimy. W pierwszym roku wojny zginęło dwadzieścia pięć procent ludzkości, część w walkach, większość z powodu głodu i innych programów eksterminacyjnych SI.

– Tak – ponuro potwierdził Herzer. Niedobitki Rady z Norau nie rozpowszechniały aktualnych szacunków strat, ale na własne oczy widział ciała przy drogach. Byłby zaskoczony, gdyby rasa ludzka miała tylko dwadzieścia pięć procent strat z Czasu Umierania.

– W każdym razie wysoka umieralność i wojna wywołały ogromną falę pacyfizmu. Ale równocześnie stworzyła wielu ludzi, którzy przyjęli absolutnie ekstremalne stanowisko. Pewna ich grupa napadła jednego z członków Rady i zabiła go razem z jego ochroną. Nie było to łatwe. Zabójcy – bo w tym wypadku nie ma lepszego określenia na grupę sześćsetosobowego oddziału piechoty w pełnych pancerzach bojowych i czołgów sterowanych przez SI – zostali prawie starci na proch przez ochroniarzy członka Rady, który swojego głębokiego pacyfizmu dorobił się na liniach frontu.

– To naprawdę głęboko wstrząsnęło Radą. Jeśli można było zabić Hollingswortha, można było każdego. *Jedyną* rzeczą, która mogła temu zapobiec była Matka.

– Ach.

– Tak. Jednak żadna grupa członków Rady nie była nigdy dostatecznie duża i zgodna, żeby nakazać Matce kontrolowanie przestępczości, czy czegoś w tym stylu. Rozumieli, że wymagałoby to takiego poziomu kontroli, iż w ostateczności doprowadziłoby to do rebelii, w takiej czy innej formie. A większość z nich była i tak temu przeciwna. Na pewnym poziomie wiesz, że Matka zawsze się

przygląda. Ale jak długo o tym *wiesz*, nie ma to znaczenia... W każdym razie, zdecydowali, że albo naruszą ustanowiony na samym początku zakaz użycia Matki do inwigilacji, albo znajdą jakieś inne rozwiązanie problemu.

– Kontrola broni? – zapytał Herzer. – Ale... No cóż, to chyba ma sens.

– Jasne, pod warunkiem, że w ogóle nie rozumiesz *historii* – prychnął Talbot. – Wszystko, co przypomina powszechne prawa wyborcze jest konceptem postindustrialnym i pojawiło się/w wynalezieniu prochu. Proch dał zwykłemu człowiekowi sposób na zabicie „pana na koniu”. Przemysł, przez co rozumiem parę i wewnętrzne spalanie, wyeliminował potrzebę codziennego używania mięśni! Jak długo ich społeczeństwo oparte na replikacji i informacji było stabilne, problem nie istniał. Ale zabierz to i co dostaniesz?

– To – wyszeptał Herzer, zauważając, że Edmund określał społeczeństwo sprzed Upadku jako „ich”. – Dobrze, czyli żadnego wewnętrznego spalania, ale czemu nie para?

– Para o niskim ciśnieniu działa – zauważył Talbot. – Ale jeśli chce się uzyskać naprawdę przydatne ciśnienia, przekracza się granicę krytyczną zaprogramowaną w Matce jako niebezpieczną i... ciepło po prostu... znika. Jest odciągane do cholernej Sieci, żeby mogła z niego korzystać Sheida. Ma to wpływ nawet na kuźnie wysokotemperaturowe, kształtowanie stali wymaga sporej sztuki.

– Och. Dobrze, czyli już wiem „czemu”. A co z „jak”?

– Teraz musisz zrozumieć Matkę.

– To centralny superkomputer sterujący Siecią. I co?

– Och, dziecko – powiedział Edmund z ponurym chichotem. – Matka to nie komputer. Matka *to program*. Właściwie, to operacyjny system/protokół. Ale Matka stała się czymś znacznie więcej. Jest podłączona do każdego gniazda Sieci. Widzi przez wszystkie nanity. Słyszy przez wszystkie uszy. Jej czujniki mogą wykryć każdą zmianę wiatru, każdą zmianę energii kinetycznej, potencjał każdej kropli deszczu i mieć całkiem niezłe pojęcie, gdzie wylądują jej poszczególne molekuly. Czy słyszałeś kiedyś to powiedzenie „widzi śmierć każdego wróbla”?

– Tak – powiedział Herzer, złapany w dziwny czar słów Edmunda.

– Matka wie o tym, jeszcze zanim wróbel zacznie umierać.

– Czyli... – Herzer popatrzył na kowala i wzruszył ramionami. – Czemu ona nie zatrzyma tej wojny?

– Ponieważ Matki to nie obchodzi – z uśmiechem odpowiedział Edmund. – Nie jest tu po to, żeby kończyć albo wywoływać wojny – wojny to ludzka sprawa, a nie jej rzeczą jest mówić ludziom, jak być ludźmi. Ona tylko kieruje Siecią i różnymi rzeczami, które są do niej podłączone. Jak długo walczący nie zrobią niczego głupiego w stosunku do architektury transferu informacji, Matka nie podejmie żadnych działań.

– To... dziwne.

– Matka została napisana przez faceta, który jak się później okazało, był cholernie pogięty. Nazywał się Artur King. Słyszałeś o nim kiedyś?

– Tylko nazwisko i że założył Sieć.

– Niezupełnie, on tylko napisał Matkę. Sieć istniała już wcześniej, jedyną rzeczą, którą tak naprawdę zrobił, było dokonanie ostatniej dużej modyfikacji jej wewnętrznej struktury. I najwyraźniej była to ostatnia rzecz, jaką zrobił na ziemi. Ponieważ zaraz potem zniknął. Całkowicie i bez śladu.

– A jaki to ma związek z zabezpieczeniami przeciw środkom wybuchowym?

– Pamiętaj, Matka wie wszystko, wszystko wyczuwa. Ale robi coś z tym tylko, jeśli Rada jej każe. Jest kontrolowana przez członków Rady. Głosują nad tym, jakie działania powinna podejmować *oprócz* bezpośredniego nadzoru nad Siecią. Jeśli wystarczająca ich liczba nakaże jej zniszczenie Ziemi, robi to.

– Co? Jak? – zapytał Herzer.

– Och, przychodzą mi na myśl różne sposoby. To zależy, czy chcieliby po prostu zniszczenia biosfery, czy faktycznego rozwalenia *Ziemi*. Gdyby chodziło tylko o biosferę, prawdopodobnie mogłaby po prostu wprowadzić bardzo dużo energii do płaszcza i spowodować nieustające wybuchy wszystkich wulkanów na planecie. To skasowałoby wszystko oprócz bakterii. Mogłaby zniszczyć dowolny gatunek, po prostu powstrzymując w nim bieg reakcji chemicznych. Czujesz się lepiej?

– To *szaleństwo!* – Chłopak potrząsnął głową. – Od kiedy?

– Od baaardzo dawna przed twoim urodzeniem, chłopcze. Nikt o tym nie mówi, a większość ludzi nawet o tym nie myśli, Matka nas *posiada*, ale my, z drugiej strony, posiadamy Matkę, przez Radę. Istnieje powód, dla którego nienawidzę Rady, nienawidziłem jej na długo przed tą cholerną wojną i uważałem, że Rada wymaga znacznie ściślejszej kontroli, niż jej podlega.

– Czyli twierdzi pan, że Matka nie dopuszcza do eksplozji dzięki wiedzy, że ma do nich dojść?

– Częściowo. Wyczuwa również, że wystąpiły. I choć eksplozje roznoszą się szybko, nie robią tego z prędkością większą niż światło czy reakcje Matki. Kiedy do jakiejś dojdzie, zostaje otoczona przez pole siłowe, a jej energia kinetyczna ulega przekształceniu na elektryczną i zostaje odciągnięta do sieci zasilającej. Wszystko, co dostaniesz, to stłumiony huk i kupka popiołu. Próbowałem tego kiedyś z ręcznie robionym prochem, jedynym efektem była paskudna notka od Rady.

– Ale... przecież cały czas dochodzi do naturalnych eksplozji. Błyskawice, wulkany...

– Jakby nie potrafiła odróżnić błyskawicy od świadomie odpalonego środka chemicznego? – Edmund roześmiał się. – A wybuchy chemiczne *nie* zachodzą naturalnie w przyrodzie, przynajmniej nie często. Jest kilka gatunków, które są cholernie blisko dysponowania taką właściwością, nawet rośliny. Ale Matka może to odfiltrować. Wybuchy chemiczne mają bardzo charakterystyczną sygnaturę. A co do wulkanów, czemu sądzisz, że ich nie tłumi?

– Cóż, widziałem zdjęcia...

– Jasne, mnóstwo ślicznych wybuchów. Słyszałeś kiedyś o Krakatau?

– Nie.

– Kiedyś była taka wyspa. Potem trochę słońca wody dostało się do komory magmowej i wybuchła. *Duży* wybuch, zabił mnóstwo ludzi, zalane wyspy, wszystkie zwykłe problemy. Nadążasz za mną?

– Tak.

– I mówię o naprawdę *dużej* eksplozji. Słyszałeś kiedyś o Kamiennych Ziemiach?

– Byłem tam kiedyś. To... ciekawe. Gejzery, gorące źródła i wszystko.

– Tak. A wiesz, że kiedyś to wybuchło? – Co?

– No tak. Krótco po wojnach SI. Spowodowało mnóstwo smrodu, ponieważ pojawiło się podejrzenie, że dopuszczono do tego świadomie, są sposoby, jeśli ma się dostęp do pól siłowych i dość energii. W każdym razie, zawsze był to teren niestabilny i wybuch był właściwie czymś, czego geologowie spodziewali się od dawna, od *bardzo* dawna, od kiedy tylko wiedzieli, co się tam dzieje. Wszystko wyglądało podobnie do Krakatau o tyle, że była tam gorąca plama i dużo wody w pobliżu. Szacowano, że jeśli już eksplozja nastąpi, może rozwalić nie tylko kamienne ziemie, ale i obszar na kilkaset kilometrów w każdym kierunku. A mówiąc o wybuchu mam na myśli wysłanie tego w stratosferę.

– Wow.

– Plama gorąca podgrzewała wodę od kilku tysięcy lat i istniała nadzieja, że nigdy nie dojdzie do załamania. Cóż, jednak doszło. Potężnego. Wybuch magmy i pary o szacunkowej sile rzędu stu megaton, to takie naprawdę stare określenie siły eksplozji.

– Jasne.

– I co się stało? Nic. Ziemia się trochę zatrzęsała, mniejsze trzęsienie. *Tak* potężna jest Matka. Więc zapomnij o produkcji karabinów i przekształceniu tego w Armię Nowego Wzoru.

– Dobra – powiedział Herzer. – Szlag. Ale jeszcze jedno pytanie?

– Jasne.

– Czemu *długie* łuki? Kusze są łatwiejsze w szkoleniu i...

– Och, nie, ty też

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Kane sprawdzał właśnie podkowę jednego z koni, kiedy do stodoły wszedł Edmund. Ze zdziwieniem podniósł wzrok na burmistrza.

– Kiedy wypuścili cię z klatki? – zapytał ze śmiechem.

– Powiedziałem moim strażnikom, żeby się odpieprzyli i umarli – z uśmiechem odpowiedział Talbot. – Myślałem o małej przejażdżce, jeśli pożyczylbyś mi konia i sprzęt. I zastanawiałem się, czy mógłbyś pojechać ze mną.

– Dobra – odparł Kane, opuszczając końskie kopyto. – Nie sędzę, żebyś wiele pamiętał na temat podkuwania koni? Sam podkuwałem te stworzenia, ale właśnie skończyły mi się przyzwoite podkowy.

– Porozmawiaj z Suwisą – zasugerował Edmund, ściągając siodło i uprząż. — W tych czasach prawie już nie wchodzę do kuźni.

– Rozmawiałem – powiedział Kane, idąc w jego ślady i gwizdem przywołując konia. – Hanarah czy arab?

– Arab, jeśli Alyssa nie będzie miała nic przeciwko – poprosił Talbot. Kiedy koń podbiegł, chwycił go i z łatwością osiodłał. – Będziemy musieli zobaczyć, czy pamiętam jeszcze, jak się jeździ.

– To jak seks – rzekł Kane, dźwigając się na siodło. – Jak raz się nauczysz, nigdy nie zapomnisz.

– I podobnie jak z seksem – dodał Edmund, z jękiem dźwigając się w górę – jeśli długo tego nie robiłeś, mięśnie tracą siłę.

Wyjechali z corralu kłusem, po czym skierowali się w stronę góry Massan, posuwając się wąską ścieżką po jej pokrytych lasem zboczach. Pogoda była piękna i narastał już letni upał, ale pod drzewami wciąż jeszcze było chłodno po nocy, a konie łatwo się płoszyły. Nagle Edmund pchnął swojego wierzchowca w cwał, a potem pełny galop, pędząc krętą ścieżką w serii jezących włosy na głowie skrętów.

Kane próbował nadażyć, ale pomimo całej swojej szybkości hanarahy były stworzone do jazdy po płaskim terenie, zwinniejszy arab z łatwością zostawił z tyłu większego konia.

W końcu wypadł na polanę na grzbiecie góry, gdzie Edmund zatrzymał brykającego wierzchowca. Gdy na polanę wybiegł hanarah, arab cofnął się, machając kopytami na widok przeciwnika.

Talbot z łatwością utrzymał się w siodle, szczerząc zęby w uśmiechu z powodu porywającej jazdy i wygłupów konia.

– Wygląda na to, że *nie* zapomniałem, jak się to robi – powiedział, gdy wszystkie cztery kopyta araba z powrotem znalazły się na ziemi.

– Zawsze byłeś świetnym rycerzem, królu Edmundzie – uśmiechnął się Kane.

– Już nie – odrzekł Edmund. – Jestem burmistrzem i burmistrzem pozostanę, jeśli stanie na moim.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Kane, unosząc brew.

– Ci cholerni idioci w Komitecie konstytucyjnym... – powiedział Talbot, po czym wzruszył ramionami. – Przechodzimy od miłej, prostej konstytucji do czegoś... Chcą wprowadzić arystokrację, a ja nie mogę tego powstrzymać.

– Cóż... – Kane zwiesił głos, a potem wzruszył ramionami. – Wszystko zależy od tego, czy ma się być do niej zaliczonym, czy nie. Jak zamierzają ich wybierać?

– Chcą wprowadzić system dwuizbowy, przynajmniej do tego udało mi się doprowadzić – wyjaśnił Talbot. – Niższa izba będzie prostą reprezentacją obywateli, choć podzieloną geograficznie. Izba wyższa ma stanowić ciało arystokratyczne. *Myszę*, że uda mi się zmusić ich, żeby była chociaż częściowo reprezentatywna. Członkowie będą prawdopodobnie wybierani przez regionalne rządy. Ale niektórzy reprezentanci nalegają na dodatek arystokracji. Trzeba im przyznać, że nie wszędzie jest dziedziczna. Ale chcą też „szanowanych osób”, które dostaną dożywotnie stanowiska. Nie podoba mi się pomysł stanowisk dożywotnich, a jeszcze bardziej dziedzicznych przywilejów, które sprawiają, że ich posiadacze będą mieć coś do powiedzenia w rządzie.

– Jakie mają argumenty?

– Zasadniczo są pewne obszary, które już zdecydowały się dziedzicznie przekazywać władzę – westchnął Edmund. – I nie możemy ich zmusić do przyłączenia się do nas, jeśli tego nie zaakceptujemy. Jest też to, że część członków komitetu rozumie, że *oni* zostaną do niej zaliczeni. Twierdzą, że daje to trwałe podstawy systemu przekazywania władzy, z którymi ludzie będą mogli się identyfikować.

– Edmund, nie złość się na mnie – powiedział ostrożnie Kane. – Ale... mają trochę racji. Jako społeczeństwo przeszliśmy piekielny szok. Ludzie... ludzie ^w tej chwili szukają bezpieczeństwa tak samo jak wszystkiego innego. Dziedziczna arystokracja... ma w sobie bardzo *bezpieczne* tony.

– Powiedz mi coś, czego sam nie wiem – odparł Edmund. – Ale na dłuższą metę to bardzo zły pomysł. Wiesz, jak ciężko pracowałem, żeby nie dopuścić do rozwinięcia się tutaj nawet nieformalnego feudalizmu. Mamy sojuszników, których będziemy musieli zaakceptować, a którzy *formalnie* wprowadzili feudalizm. I to też zostanie zapisane, *zgoda* na społeczeństwo feudalne. Teraz, w tej *chwili*, to jeszcze ujdzie. Ale z czasem powstaną rejony, które będą miały niewolników i takie, które ich nie uznają. Jak dla mnie to prosty przepis na wojnę domową.

– Au – mruknął Kane. – Masz rację.

– A tymczasem mam miasto do obrony i to o tym chciałem z tobą porozmawiać.

– Och?

– Potrzebuję dwóch rzeczy i wydaje mi się, że jesteś odpowiednią osobą, żeby się nimi zająć. Pierwsza to to, że potrzebujemy konnych zwiadowców, a z czasem również ciężkiej kawalerii. O dobrą kawalerię równie trudno, jak o *dobrych* łuczników i *dobrych* legionistów. Prawdę mówiąc, nie spodziewam się, żebyś uznał to za wykonalne, to ten rodzaj wojsk, co do którego jestem skłonny przyznać, że stworzenie go będzie wymagało kilku pokoleń.

– Zgadzam się. – Kane ciężko westchnął. – A z konnymi łucznikami będzie jeszcze trudniej. Cudownie byłoby mieć ich szwadron. Ale w tym rejonie nigdy nie rozwiną się odpowiednie umiejętności. Za dużo lasów, za mało równin.

– Prawda. Ale chcę, żebyś zaczął nad tym pracować. Nie musi to być pełna, najwyższej klasy kawaleria, po prostu najlepsze, co uda ci się osiągnąć. Zaczynaj od grupy, która pomagała ci w trakcie spędu. Przede wszystkim potrzebuję konnych zwiadowców, a ci przede wszystkim muszą być w stanie orientować się w terenie i pozostać na koniu.

– Dobrze, zacznę od Herzera – powiedział Kane.

– Obawiam się, że będziesz musiał najpierw to z nim przedyskutować – odparł Talbot, a potem zachichotał. – Sądząc z tego, co widziałem, byłby też pewnie cholernie dobrym łucznikiem, Jody prosi o przysłanie go z powrotem do ścinania drzew, ty chcesz go do kawalerii, a z tego, co widziałem wczoraj w kuźni, byłby też cholernie dobrym kowalem. Jedyna osoba, która nie chce go więcej oglądać to John Miller, który mówi o nim per leworęczny dureń.

– Kto go dostanie? – z uśmiechem zapytał Kane. Zarządca tartaku był dobrze znany w środowisku rekreacjonistów.

– Powiedział mi, że chce zostać legionistą – rzekł Edmund, wzruszając ramionami.

– A wie o kawalerii?

– Nie, ale wątpię, żeby zmienił zdanie – odpowiedział Talbot. – Prawdę mówiąc, myślę, że kiedy już skończą szkolenie, to będę chciał, żeby część łuczników i piechoty nauczyła się jeździć. Ale niejako prawdziwa kawaleria.

– Dobrze, zajmę się tym – obiecał Kane. – Nawet bez Herzera.

– Druga rzecz, którą chciałbym, żebyś się zajął, związana jest z pierwszą – ciągnął Edmund, ruszając z powrotem w stronę konia pasącego się nieco niżej. – Potrzebuję kogoś, kto zorganizowałby milicję. Możesz to komuś powierzyć, ale jesteś dobrze znany w walczącej części rekreacjonistów. A ja po prostu nie mam czasu. Mam Roberta do łuczników i Serża do legionów, ale potrzebuję też kogoś, kto zorganizowałby naszą milicję.

– Świetnie. A kawalerię dajesz mi jako rekompensatę?

– Coś w tym rodzaju – zaśmiał się Edmund. – To też możesz przekazać komuś innemu, ale chciałbym żebyś tym kierował w wolnym czasie.

– Od spędu właściwie nawet *miałem* trochę wolnego czasu – jęknął Kane. -

– I to by było na tyle.

– Wszyscy musimy dźwigać nasze krzyże – odparł Edmund, dojeżdżając do równiny. Byli około kilometra od zagrody, co wywołało uśmiech na twarzy Edmunda. – Ścigamy się.

* * *

– Herzer, masz gości – powiedziała Rachel od drzwi jego sypialni. Herzer podniósł wzrok i uśmiechnął się, gdy do pokoju weszli Courtney i Mike, a Rachel wycofała się.

– Ach, goście z dalekich stron – odłożył czytana książkę. Wizyta w kuźni Edmunda, co nie było zaskoczeniem, wyczerpała jego siły i cierpiał na mały nawrót. Ale znów czuł się lepiej i zaczynał mieć dość zamknięcia. Na szczęście mistrz Talbot dysponował sporą kolekcją starych książek, więc choć czas nie upływał mu przyjemnie, to jednak upływał.

– Co to miało znaczyć? – zapytała Courtney.

– Nieważne – zaśmiał się Herzer. – Powiedziałbym, żebyście sobie przyciągnęli jakieś krzesła, ale skoro jest tu tylko jedno... Nie miałem wielu gości. Więc podzielcie się ze mną nowinami.

– Jak się czujesz? – zainteresowała się Courtney.

– Dobrze. Chciałbym, żeby mnie już stąd wypuścili.

– Naprawdę solidnie oberwałeś – powiedział Mike, opierając się o ścianę i składając ręce. – Prawie nam zszedłeś.

– Tak, no cóż, ale to było wtedy, a teraz jest teraz – odparł Herzer sfrustrowany.

– Zaufaj mi, to lepsze od pracy – westchnęła Courtney, odgarniając włosy. – To dlatego nie masz wielu gości, wszyscy ganiamy ciągle jak kurczak bez głowy. Zresztą to powiedzenie nabrało teraz dla mnie nowego znaczenia.

Herzer zachichotał z powodu rysującego mu się obrazu i potrząsnął głową.

– No, powiedzcie, co się dzieje? Rozumiem, że ominęło mnie spore przyjęcie na koniec rzeźni.

– Tak, no cóż, napchaliśmy się tam na kilka dni – przyznał Mike.

– Ale zapłaciliśmy za to – dodała Courtney z drzeniem.

– Tak źle? – zapytał Herzer.

– Pamiętasz ten strumień za budynkami rzeźni? – Dziewczyna odczekała na potwierdzenie. – Był cały czerwony od krwi. Na koniec mieliśmy prawie sześćset tusz i wyglądało to jak linia produkcyjna. Powiesić je, sprawić, rozciąć, oddzielić wnętrza...

– Podroby – wtrącił Mike. – Tak to lepiej brzmi. Zwłaszcza jeśli się to potem zjada.

– Ale zebraliśmy też sporo zdziczałych zwierząt domowych – zauważyła Courtney. – I tony jedzenia, które się teraz wędzi. I to właśnie o tym chcieliśmy porozmawiać.

– Och?

– Klasa została podzielona – poinformowała go Courtney. – Emory poszedł do Jody'ego rąbać las i wypalać węgiel drzewny, a Shilan zajęła się tkactwem. My jesteśmy w rolniczej części klasy, ale... niedługo planujemy skończyć, bo i tak prawie już zaliczyliśmy. Zaczynają parcelować ziemię na farmy i zorganizowali loterię na schwytane zwierzęta domowe. Wszyscy mogą się zgłaszać po ziemię, a każdy, kto brał udział w spędzie, dostaje kupon na loterię.

– Widzisz – odezwał się Mike – zamierzają wziąć wszystkie zwierzęta i je rozdzielić. Zebrano ich sporo, ale nie dość, żeby wszyscy dostali, ile by chcieli, a każdy chce określone zwierzęta.

– Czyja też biore udział w tej loterii? — z uśmiechem zapytał Herzer.

– Och, tak – Courtney odpowiedziała z zakłopotanym wyrazem twarzy. - I widzisz, zastanawialiśmy się...

– Co planuję zrobić z tym, co dostanę?

– Tak.

– Cóż, nawet nie wiedziałem, że coś takiego się dzieje, więc to dla mnie trochę nieoczekiwane.

– Możesz też zgłosić się po przydział ziemi – powiedział Mike. – Nie wiem, czy to dobry pomysł, ale jeśli poprosisz o działkę sąsiadującą z naszą, mogę spróbować pracować na obu. Za ziemię trzeba płacić zwiększonymi podatkami. Nie wiem, czy będę w stanie pracować na obu działkach, ale mogę spróbować. A jeśli to się uda, podzielę się z tobą uzyskanymi dochodami. To mogłoby ci zapewnić dodatkowe źródło dochodu. Kiedyś.

Herzer zastanowił się nad tym przez chwilę, a potem kiwnął głową.

– Dobra, czekajcie. Powiem wam, co zrobię. Courtney, w szafce jest sakiewka. Mogłabyś ją wyciągnąć i mi podać?

Spełniła prośbę, a on wysypał na łóżko trzymane w sakiewce żetony.

– Zamierzam zgłosić się na żołnierza – oznajmił, dzieląc wysypane monety na pełne żetony i drobne. – A z tego, co mi mówiono, dostanę tam wszystko, czego potrzebuję. Ale zapłacono mi za dzień przed spędem, sam spęd i trzy dni rekonwalescencji. Jako „wyszkolonemu jeźdźcowi”, ni mniej ni więcej. Tak więc dostałem bonus za spęd. – Wyciągnął pełen żeton i drobne, a resztę podał Courtney. – Możecie wziąć, cokolwiek przypadnie mi na loterii, i zgłoszę się po ziemię obok was. To – mówił dalej, wskazując na żetony – będzie pożyczka. Powinno tam być dość, żebyście mogli kupić parę dodatkowych narzędzi. A to może zrobić dużą różnicę.

– Dziękuję. – Courtney patrzyła na pieniądze, jakby był to garnek ze złotem.

– No nie wiem, czy możemy się na to zgodzić – zawahał się Mike. – Zamierzałem poprosić cię, o pożyczkę z loterii, ale nie wiem co z tym-

– Och, cicho – wtrąciła się Courtney. – Po prostu powiedz „dziękuję”, głuptasie.

– Poważnie – zapewnił Herzer. — Nawet nie musicie dziękować. Jak mówiłeś, będziecie pracować na obu farmach. Jeśli dasz radę, a mam wrażenie, że spokojnie sobie z tym poradzisz, to na dłuższą metę oznaczać to będzie dla mnie nie tylko dodatkowy dochód, ale w dawnych czasach żołnierze marzyli o wycofaniu się i kupieniu na starość farmy. A ja już będę miał swoją!

Mike roześmiał się i potrząsnął głową, ale najwyraźniej nie był jeszcze przekonany.

– I jak już powiedziałem, to *pożyczka*. Spłacicie mnie, kiedy będziecie mieć pieniądze, ale nie wcześniej, niż uwolnicie się od wszelkich innych zobowiązań. Wiem, że sobie z tym poradzicie.

– Dobra – zgodził się w końcu Mike, wzruszając ramionami. – Z tym będę mógł kupić trochę rzeczy, które pomogą nam zacząć. Narzędzia do obróbki drewna, części do pługa, dodatkowa lina. A jeśli nic nie wyjdzie z loterii, możemy to wszystko przeznaczyć na zwierzę pociągowe.

– A więc jak się wam podoba życie rolnika? – zapytał Herzer, zmieniając temat.

– Jest ciężkie – odparła Courtney. – To znaczy, praca nie ma końca. Zawsze jest coś jeszcze do zrobienia. Ale... – Wzruszyła ramionami. – Zgadzam się z Mike'em, to lepsze od innych rzeczy, które robiliśmy.

– Nie wiem – powiedział Mike. – Prawdopodobnie mógłbym się zająć ścinaniem drzew albo konstrukcją, czymś w tym rodzaju. Ale przy pracy na roli i tak robi się to wszystko.

– Wrócilibyście? – zapytał Herzer, strosząc brwi. – No wiecie, gdyby nagle wszystko wróciło? Gdyby można było powiedzieć „dzinn”, a ten by się pojawił?

Mike pomyślał nad tym przez chwilę, a potem kiwnął głową.

– Tak. Są takie dni, kiedy się budzę i zastanawiam przez chwilę, gdzie jestem, bo wszystko jest nie tak. A potem to do mnie wraca. I wiesz, stary, to są naprawdę paskudne dni.

– Tak, mam to samo – stwierdził Herzer. Ale w jego głosie brzmiał dziwny ton.

– Czemu nie jestem przekonana? – z chichotem zapytała Courtney.

– Ach, trudno to wyjaśnić. Gdybym mógł po prostu kliknąć przełącznikiem i przywrócić wszystko z powrotem, tak jak było, czy zrobiłbym to? Tak. – Znów westchnął i wzruszył ramionami. – Ale. Ha! Byłyby jednak dni, kiedy obudził bym się i przez chwilę zastanawiał, gdzie jestem, a potem by to do mnie wróciło. I byłyby to naprawdę paskudne dni.

– To dziwne — powiedział Mike.

– Tak, cóż, to długa historia.

– I nie będziesz jej opowiadał dzisiaj – od drzwi oświadczyła Rachel.

– Och, Rachel, daj spokój!

– Masz *odpoczywać* w łóżku, nie *bawić się* w nim – powiedziała Rachel, po czyni się zaczerwieniła. – Nie to chciałam powiedzieć.

– No, nie wiem – roześmiała się Courtney.

– Odpoczywam, patrz! – powiedział Herzer, opierając się na poduszkach. – Widzisz. Odpoczynek.

– Wiecie, co ten dureń zrobił wczoraj? – Rachel zapytała Courtney.

– Nie mam pojęcia – z uśmiechem odrzekła dziewczyna. – Co *zrobił* ten dureń?

– Przez cztery godziny pomagał mojemu tacie w kuźni.

– Och, no to faktycznie był *świetny* pomysł! – wykrzyknęła Courtney.

– To nie było takie złe – zaprotestował Herzer. – No i miałem potem tylko lekki ból głowy.

– Wydawało mi się, że w którymś momencie użyłeś określenia oślepiający? – przypomniała Rachel. – Coś o czerwonych plamach? Odpoczynek w łóżku. *Odpoczynek*.

– Dobra, rozumiemy aluzję – stwierdził Mike. – Już idziemy.

– Herzer, spiszę umowę i przekażę ci ją – powiedziała Courtney. – Jeszcze raz dziękuję. Znajdź kogoś, kto ją dla ciebie obejrzy i upewnij się, że dokładnie tego chcesz, zanim ją podpiszesz. Zarejestruję ją w sądzie.

– Dobrze – zgodził się Herzer. – Ufam wam. Ale jeśli *nalegacie* na spisanie tego...

* * *

Herzer nie był pewien, czy zrobiono tak celowo, żeby dać mu szansę znalezienia się w pierwszej klasie, ale wezwanie do zgłoszenia się rekrutów ogłoszono w dzień po tym, gdy doktor Daneh oznajmiła, że jest już zdrowy.

Herzer pojawił się w punkcie rekrutacyjnym tuż po świcie następnego dnia, podchodząc i z zainteresowaniem rozglądając się w świetle przedświt. Punkt rekrutacyjny składał się z prostego stołu ustawionego przed grupą namiotów, z których większość miała zawieszane przed wejściem latarnie. Stało tam już około pół tuzina ludzi. Jedną z nich była Deann.

– Zdecydowałaś się zostać żołnierzem? – zapytał, podchodząc i wyciągając rękę na powitanie.

– Pracowaliśmy w garbarni – przyznała dziewczyna, łapiąc jego rękę i mocno nią potrząsając. – Zdecydowałam, że muszę znaleźć coś innego, kiedy główny garbarz zauważył, że kiedy już straci się węch, praca robi się o sto procent lepsza.

Herzer zachichotał i rozejrzał się po grupie, która składała się mniej więcej w połowie z młodych ludzi plus minus w wieku Deann i jego, a w połowie ze starszych. Nie było między nimi jakiejś bardzo wyraźnej różnicy w wyglądzie, ale dało się to zauważyć po drobiazgach: sposobie stania, gestach. Dzięki nowoczesnej technice ludzie nie zaczęli wyglądać staro przed przekroczeniem dwustu lat. Herzer zastanawiał się, ile z tego było wbudowane i pozostanie, a jaka część wynikała z ingerencji nanitów i zniknie niedługo po Upadku. W tej chwili starsi zdawali się jeszcze trzymać.

Czekali w przyjaznym milczeniu, podczas gdy nadchodzili następni. Deann była jedyną, którą znał po imieniu, ale kilku innych kiwnęło mu głową, jakby go znali, co wydało mu się dziwne. Miał problemy z przystosowaniem się do sytuacji, w której wiele osób rozpoznawało go po wyglądzie.

– Wciąż mówią o tobie w mieście – oznajmiła Deann, śmiejąc się cicho, gdy jeden ze starszych nowo przybyłych bez słowa poklepał Herzera po ramieniu.

– Przecież ja tylko zagoniłem trochę bydła – wymamrotał, potrząsając głową.

– Bzdura – odpowiedziała z szerokim uśmiechem. – Sama zarobiłam na tobie kilka żetonów. Nikt nie spodziewał się, że przeżyjesz pierwszego tygrysa. A sądząc po tym, jak tam szalałeś, większość obstawiała, że nie przetrwasz dłużej niż pół godziny.

Na twarzy Herzera zaczęły się rysować mieszane uczucia, ale nic nie odpowiedział, ponieważ właśnie odsunięto klapę namiotu i w wyjściu pojawiła się postać w zbroi.

– Podejdźcie do stołu, podajcie swoje prawdziwe nazwisko, prawdziwy wiek i odpowiedzcie na pytania – szorstko powiedziała postać i odsunęła się na bok. Ze środka wyszły dwie kobiety i zajęły miejsca przy stole.

Herzer odczekał na utworzenie się kolejki i zajął miejsce koło Deann. Proces był powolny i uświadomił sobie, że prawdopodobnie ma dziś przed sobą dużo czekania.

W końcu przysłała jego kolej na stanięcie przed stołem. Do tej pory słońce wspięło się już całkiem wysoko i żołądek mu się buntował, przypominając, że nie jadł dzisiaj śniadania.

– Herzer Herrick – powiedział. – Siedemnaście. – Ale nie dodał, że prawie.

– Dobra, myślę, że mogę ci zapisać, że masz doświadczenie w zakresie jazdy konnej i łucznictwa – roześmiała się kobieta.

– Nie jestem ekspertem.. – zwiesił głos.

– Nie ekspert. Jasne. Czy masz jakieś inne umiejętności, które powinnam zapisać?

– Szkoliłem się w indywidualnej walce na miecze. Trening w rozszerzonej rzeczywistości. To samo z włócznią. – I lancą– dodała kobieta.

– Lanca nie – wtrącił mężczyzna w zbroi. – To było bardziej szczęście niż cokolwiek innego. I koszmarne siedział.

Herzer rzucił mężczyźnie szybkie spojrzenie: starszawy, z siwymi włosami i rysującymi się na twarzy zmarszczkami, ale twardy, co do tego nie było wątpliwości. Miał na sobie zbroję segmentową wykonaną z częściowo nachodzących na siebie wygiętych stalowych płyt, co wyglądem przypominało chityno-wy pancerz wiją. Herzer poczuł przez moment chęć, aby oprotestować jego stwierdzenie, przynajmniej mentalnie, ale tak naprawdę nie mógł. *To faktycznie* było szczęście. Mężczyzna był brutalnie szczery. I przenikliwy.

– Znasz się na produkcji broni i uzbrojenia?

– Nie, nawet nie ubierałem się sam w trakcie treningu – przyznał Herzer. - I nie wiem zbyt wiele o opiece nad końmi. Ale potrafię jeździć.

– To prawda — potwierdziła postać w zbroi.

– Coś jeszcze? – zapytała kobieta.

– Nie.

– Wejdz do namiotu i postępuj zgodnie ze wskazówkami – powiedziała, podając mu folder. – Pilnuj tego – kontynuowała urzędowym tonem. – Właśnie zostałeś wpisany w akta i to właśnie one.

Herzer trzymał swoje akta i przechodził przez kolejne punkty. Zaliczył test czytania i pisania, prosty sprawdzian siły polegający głównie na dźwiganiu różnych ciężarów i badanie lekarskie. Temu ostatniemu poddał się z rezygnacją. Był już tak przyzwyczajony do bycia obstukiwanym i oglądanym, że dzień wy-dawałby mu się niepełny, gdyby ktoś nie kazał mu wystawić języka i powiedzieć: aaaa. Badała go jedna z pielęgniarek, które były szkolone przez doktor Daneh i która pojawiała się od czasu do czasu w trakcie jego rekonwalescencji. Była dość ładną brunetką z nieprzyjemnym zwyczajem mówienia przez zaciśnięte zęby. W trakcie wizyt u niego zachowywała się raczej przyjaźnie, jednak teraz zachowała profesjonalny dystans. Aż do chwili, gdy zachichotała.

– Biorąc pod uwagę, że doktor Daneh przeprowadziła kilka dni temu kompletne badanie, to

wydaje się raczej niepotrzebne – powiedziała, zapisując coś na kawałku papieru i wsuwając go do swojego notatnika.

– Nie zamierzałem niczego mówić – odparł Herzer z uśmiechem.

– Cóż, poza tym, że potrzeba ci trochę ćwiczeń, wydajesz się być doskonałym kandydatem na żołnierza – orzekła, marszcząc czoło. – Wyświadczyć mi przysługę i nie daj się zabić. Zainwestowaliśmy w ciebie dużo pracy.

– No cóż, skoro tak na to nalegasz, obiecuję się postarać.

– Dobrze – uśmiechnęła się. – Przez te drzwi.

Herzer przeszedł w końcu przez drzwi na zewnątrz i zobaczył niewielką grupę czekających beczynnie rekrutów, z których jednym była Deann. Stał tam też mężczyzna w kolczudze, lekkim hełmie i skórzanych karwaszach, który zdawał się dowodzić. Kiwnął Herzerowi głową.

– Razem dwudziestu – powiedział. – Chodźcie za mną.

Za namiotami znajdował się duży, niedawno oczyszczony z lasu teren na północny wschód od Raven's Mill, wciąż pełen pniaków i korzeni. Na jednym jego końcu ustawiono w różnych odległościach tarcze z celami dla łuczników, każda z numerem u góry, a mężczyzna poprowadził ich do stołu, na którym leżały łuki. Przy jednym z końców stołu stało wiadro z wodą i beczułka wypełniona strzałami o lotkach pomalowanych na różne kolory i wzory. Herzer stwierdził, że coś jest nie tak z ich wyglądem.

– Nazywam się Malcolm D'Erle – przedstawił się mężczyzna, kiedy grupa zebrała się wokół niego. – Dzisiaj sprawdzę waszą zdolność do naciągania i strzelania z łuku. Tak naprawdę nie spodziewamy się, że będziecie w stanie w coś trafić. Po prostu chcemy wiedzieć, jakie macie możliwości w tym zakresie.

Herzer zauważył, że na szczęście były tam również przygotowane rękawiczki i karwasze.

– To – powiedział Malcolm, podnosząc jeden z większych łuków – nazywa się długim hakiem albo hakiem równikowym. Nazywa się tak, ponieważ, jak widzicie, jest bardzo długi. A jest tak dlatego, żeby strzała miała większą drogę, na której może być popychana przez wygięcie haku. Krótsze haki mają mniejsze wychylenie i w związku z tym mogą przekazać strzale mniej energii. Na jakiś czas będzie to podstawowy typ haku dla łuczników Sił Obronnych Raven's Mill. Wiąże się z tym kilka aspektów. Po pierwsze jest to bardzo twardy hak, wymagający dużej siły. Zwłaszcza przy nieustannym strzelaniu, co jest koniecznością w walce. Po drugie wymaga osoby normalnego lub większego wzrostu. – Rozejrzał się po grupie, skupiając spojrzenie na Deann. – Na przykład ty, młoda damo, raczej nie masz wielkich szans, jesteś po prostu zbyt niska. Deann skrzywiła się i warknęła:

– Ale *dasz* mi szansę, prawda?

– Oczywiście. Dobrze. Czy ktoś z was ma jakieś doświadczenie z hakami? Po chwili, gdy nikt inny się nie zgłosił, Herzer niechętnie podniósł rękę.

– Och tak. Facet na koniu. Gdzie się uczyłeś?

– Ćwiczyłem w rozszerzonej rzeczywistości, zanim przyszedł Upadek.

– Czego normalnie używałeś?

– Do treningu kompozytowego retrofleksu o naciągu stu kilogramów, sir. Ale mięśnie mam mocno osłabione i nie sądzę, żebym był w stanie w tej chwili poradzić sobie z czymś takim.

– Sto kilo? Cóż, dobra wiadomość jest taka, że nie mam tak twardych haków, więc nie będziemy sprawdzać, czy byś sobie teraz z nim poradził. Przyniosłem te łuki tylko po to, żeby je wam pokazać – kontynuował, odkładając drugi łuk. Podniósł jeden z mniejszych i zgiął go w rękach. – To krótki łuk, i jak doskonale widzicie, jest krótszy. Zasadnicza różnica w stosunku do poprzedniego polega na krótszej drodze pchania strzały, a w związku z tym na mniejszym zasięgu, słabszej sile przebicia i ograniczeniu, jeśli chodzi o rodzaje zbroi, jaką w ogóle jest w stanie przebić. Masowy ogień z krótkich łuków może być skuteczny przeciw grupom nieosłoniętych przeciwników. Jednak w przeciwieństwie do długiego łuku do osłony przed nim wystarczy praktycznie dowolna zbroja, nawet z ćwiekowanej skóry.

Wziął kolejny hak, który był mniej więcej tej samej długości, ale znacznie bardziej zakrzywiony.

– To, z drugiej strony, jest krótki kompozytowy hak retrofleksyjny. Ma znacznie większy naciąg i długą drogę cięciwy. Dodatkową moc zapewnia mu zastosowanie ścięgien. Ten egzemplarz wykonany jest z rogów i ścięgien z cienkim paskiem drewna w środku. Jest bardzo mocny, prawie tak jak długi hak. Niestety, bardzo trudno je wyprodukować, wymaga materiałów, których nie posiadamy i źle na niego wpływa wilgoć. Posługiwali się nimi głównie konni łucznicy ze stepów. Na stepach przeważnie jest sucho, a haki mogły być używane z grzbietu konia oraz mieli mnóstwo materiału na nie, przy równoczesnym, pozornym, braku odpowiedniego drewna. W miarę postępu testów pozwolę wam się przyjąć tym hakom. A teraz zajmiemy się strzelaniem do celu oznaczonego siedemdziesiąt pięć. Oznacza to, że znajduje się w odległości siedemdziesięciu pięciu metrów.

Wziął długi hak, wyciągnął z beczki strzałę, założył ją na cięciwę i naciągnął.

– Zauważcie, że przyciągam strzałę do policzka i odpycham łuk *o d* siebie - Powiedział. – I zwróćcie uwagę, że mierzę sporo *powyżej* celu. – Wypuścił strzałę, która wbiła się głęboko w tarczę na prawo od środka, przy jej krawędzi.

– Te strzały też można uznać za test – powiedział ponuro. – To pierwszy efekt pracy uczniów zajmujących się produkcją strzał i są dość nędzne. Ale wszystko, co musicie w tej chwili zrobić, to *dostrzelić* je na odległość celu. Jeśli będziecie w stanie to zrobić, przeprowadzimy dalsze testy. Ci, którzy nie będą potrafili naciągnąć łuku, ani nawet dobrze go ustawić, przejdą do następnego etapu testów.

– Czy mogę o coś zapytać? – odezwał się Herzer.

– Proszę.

– Zakładam, że każdy, kto przejdzie test zostanie łucznikiem?

– Oba testy. Ten i następny, czasowy. Trzeba będzie wystrzelić pięćdziesiąt strzał w dziesięć minut. Jeśli *nikt* go nie zaliczy, wtedy obniżymy wymagania.

– A pan potrafi? – zapytał śmiało Herzer.

Zamiast odpowiedzi Malcolm wyciągnął dziesięć strzał i wbił je w ziemię koło siebie. Potem napiął łuk i wystrzelił je po kolei, kilkoma trafiając blisko środka tarczy.

– Muszę sprawdzić, które trafiły – cierpko skomentował D'Erle. – Ci uczniowie robią przyzwoite strzały.

– A co, jeśli ktoś *nie chce* być łucznikiem? – zapytał Herzer.

– Potrzebujemy łuczników – odpowiedział Malcolm. – Mieczem może machać praktycznie każdy. A łucznikiem trzeba się *urodzić*, nie da się tego *nauczyć*. Jeśli możesz być łucznikiem, to nim zostaniesz. Możesz *zrezygnować*, ale nie możesz *nie* zostać łucznikiem.

Herzer otworzył usta, żeby zaprotestować, ale zaraz zamknął je z głośnym kłapnięciem.

– Ty pierwszy. – Malcolm podał mu łuk.

Herzer przyjrzał mu się uważnie, a potem założył mniej więcej pasującą rękawiczkę i karwasz.

– Nie bez powodu wykorzystałem go do demonstracji – zauważył Malcolm. – Jeśli nie będziecie na początku używać rękawiczek, to przerobicie sobie palce na papkę. I *nigdy* nie będziecie mogli obejść się bez karwaszy. Cięciwa uderza o wnętrze przedramienia przy każdym strzale. Właściwie to do strzelania bojowego konieczne są metalowe karwasze, choć powinny być wyłożone czymś od zewnątrz, żeby osłonić cięciwę.

– Ile strzałów? – zapytał Herzer, naciągając cięciwę, żeby wyczuć naciąg. Natychmiast poczuł, jak protestują jego mięśnie grzbietowe, był zdecydowanie nie w formie. Pomimo tego wiedział, że mógł zaliczyć pierwszy test i prawdopodobnie drugi, „strzelania bojowego”. Ale jeśli to zrobi, zostanie skazany na łucznictwo.

– Przynajmniej jeden – powiedział zza jego pleców Malcolm.

– Chciałbym pięć – odparł Herzer. – I jeden strzał próbny, na wyczucie łuku.

– Dobra.

Herzer czuł na sobie oczy całej grupy, gdy naciągał pierwszą strzałę. Podniósł łuk mniej więcej pod tym samym kątem co Malcolm i odepchnął łuk od siebie, wypuszczając strzałę, gdy znalazła się na linii celu. Przeleciała obok niego.

– Teraz widać, czemu używamy strzał wykonanych przez uczniów zamiast porządniejszych – sucho skomentował D'Erle. – Całkiem sporo ich dzisiaj stracimy.

Herzer nie skomentował, tylko po prostu wziął następną strzałę i obniżył kąt. Nie wziął wcześniej pod uwagę, że był wyższy od Malcolma i najwyraźniej miał dłuższe ręce. Napiął łuk i wystrzelił strzałę, która chwając się w locie z powodu kiepskiego wykonania uderzyła w lewą dolną część tarczy. Wypuścił następnie kolejne cztery, nie tak szybko, ale prawie z taką samą skutecznością.

– Chłopak wie, jak strzelać – uznał Malcom, odbierając od niego łuk. – Odpocznij, kiedy będziemy sprawdzać resztę.

Herzer napił się wody i przez chwilę przyglądał się innym strzelającym, po czym wziął ze stołu łuk kompozytowy, kilka strzał i ustawił się na innym torze. Łuk Malcolma, co nie było dziwne, miał

neco większy naciąg niż Alyssy, ale różnica nie była wielka. Wypuścił kilka kiepsko wykonanych strzał, a potem przyjrzał się jednej uważnie. Miały bardzo niestarannie zamocowane lotki, a promienie nie były całkiem proste. Po chwili zdał sobie sprawę, że właściwie nie wie, jak sieje robi, więc raczej nie powinien krytykować wykonania.

Przyglądał się, gdy przyszła kolej na Deann, ale jak się można było spodziewać, łuk był dla niej zdecydowanie za długi. Próbowwała strzelać, ale dolna część zahaczała o ziemię, co o mało nie skończyło się uderzeniem jej przez łuczysko w twarz. Po kilku nieudanych strzałach zrezygnowała, oddając łuk Malcolmowi i odchodząc.

W końcu cała grupa zakończyła strzelanie i Malcolm ogłosił przerwę.

– Dobra, Herzer, Rosio, Ngan, Earnest i Maskell, zostańcie tu. Reszta może odpocząć, aż skończymy ten test.

– Naprawdę nie chcę zostać łucznikiem – cicho powiedział Herzer, gdy zbierali się w grupę.

– Czemu? – Malcolm odciągnął go na bok. – Herzer, do diabła, *potrzebujemy* łuczników! Masz *szkolenie*. I jesteś do tego odpowiednio zbudowany. Kim chcesz zostać, kawalerzystą?

– Nie, chcę zostać w piechocie – odpowiedział równie cicho Herzer. – Mogę Po prostu nie zaliczyć testu. *Wie* pan o tym.

– I to właśnie zamierzasz zrobić? – zapytał wściekle D'Erle.

– Nie, zamierzam zaliczyć to cholerstwo. A potem być tak upierdliwy, żeby zdecydował się pan odesłać mnie do piechoty.

– Zrób to, a sam cię z tego wykopię – ostrzegł go Malcolm.

– Nie, nie robi pan tego – odparł Herzer z przekonaniem. – Ponieważ potrzebuje pan również dobrej piechoty. Po prostu pozwoli mi pan odejść.

– Przejdź – zdecydował po chwili Malcolm. – Potem porozmawiamy. – Podniósł rękę i obejrzał się na pozostałych. – Czas się ustawić.

Podeszła grupa robotników i ustawiła przy torach skrzynie ze strzałami, a jeszcze jeden łucznik przyniósł więcej strzał.

– Zamiast czekania, aż każdy z was wykona swój test, będziecie strzelać równocześnie – Macie do wystrzelenia pięćdziesiąt strzał i musicie je wypuścić w dziesięć minut. *Tempo* jest najważniejsze. Będziecie zmęczeni. Spróbujcie zacząć od dwunastu strzał na minutę. Będę ogłaszał minuty, a za wami będzie stała osoba podająca strzały i licząca je. Wszystko, co musicie robić, to posługiwać się łukiem.

– Czy to realistyczne? – zapytał Herzer. – To znaczy, czy w walce też ktoś będzie nam podawał strzały?

– Zazwyczaj – potwierdził Malcolm. – Łucznik stanowi po prostu najważniejszy element *zespołu*. Jego zadanie polega na karmieniu łuku. Inni zajmują się logistyką. Każdy zespół łuczniczy składa się przynajmniej z trzech osób, z których jedna po prostu podaje łucznikowi strzały, wysyłane następnie

przez niego w przeciwnika.

– Och.

– Test polega na wystrzeleniu pięćdziesięciu strzał w dziesięć minut tak, żeby przeleciały przynajmniej siedemdziesiąt pięć metrów. W pełni wyszkolony łucznik wystrzeli dwieście pięćdziesiąt strzał na *godzinę* na odległość *dwustu* jardów, z dostateczną siłą, by przebić zbroję płytową. To tylko początki, chłopcy. Zająć miejsca.

– Będę je panu podawał równomiernie, sir – powiedział chłopiec ze strzałami. – I będę liczył. W skrzynce jest ich pięćdziesiąt trzy na wypadek, gdyby któraś upadła albo się złamała.

– Dobra – stwierdził Herzer. – Jak masz na imię?

– Trenton, sir.

– Więc podawaj mi je, Trenton – uśmiechnął się Herzer.

– Przygotować się do strzału – zawołał Malcolm, podnosząc klepsydrę. Herzer wziął pierwszą strzałę i głęboko odetchnął.

– Ognia!

Rzeczywiście przypominało to trochę karmienie łuku. Herzer założył, że będzie w stanie utrzymywać równomierny ogień, ale bardzo szybko uświadomił sobie, jak niewiarygodnej wymagało to pracy. Naciągał pięćdziesięciokilogramowy łuk, tak że każde naciągnięcie stanowiło odpowiednik wykorzystania mięśni ramion i pleców do dźwignięcia pięćdziesięciokilogramowego ciężaru. Była to ciężka praca i szybko cały złał się potem. W pierwszej minucie wystrzelił piętnaście strzał, ale tylko dziewięć w drugiej i czuł, że stale zwalnia. Grzebiąc głęboko w sobie, pozwolił świadomości odpłynąć i przyspieszył strzelanie, pomimo ognia, który zdawał się pochłaniać jego plecy przy każdym kolejnym naciągnięciu. Co więcej, skórzany karwasz *nie* stanowił dostatecznego zabezpieczenia i każde kolejne uderzenie w przedramię wysyłało dodatkowe fale bólu. Kiedy skończy, będzie tam miał potężnego siniaka.

– Ostatnia minuta! — zawołał Malcolm.

– Dwadzieścia, sir! – oznajmił Trenton.

Herzer nie miał zamiaru się poddać. Zapominając o jakimkolwiek zainteresowaniu piechotą, po prostu *nie zamierzał oblać*.

– PODAWAJ!

Nie wiedział, skąd zdołał zebrać siły, ale zaczął wypuszczać strzałę za strzałą. Zapomniał o choćby próbie trafienia w cel i po prostu skupił się na wysłaniu ich poza wymagany zasięg. Prawie nie potrafił już w pełni naciągnąć łuku, ale i tak wypuszczał strzałę za strzałą do chwili, gdy Malcolm krzyknął.

– CZAS!

Herzer opuścił łuk, opierając go na ziemi, i stał, dysząc ciężko i krzywiąc się z powodu bólu mięśni.

– Wystrzelił pan dwie ponad normę, sir, przykro mi – powiedział Trenton, biorąc od niego łuk i podając wodę.

– No, jedna poleciała za blisko – zauważył Malcom, podchodząc do ich stanowiska, żeby sprawdzić wyniki.

– Czyli zaliczyłem – roześmiał się Herzer.

– Tak – potwierdził Malcom, krzywiąc się. – *Jesteś jedynym, który zaliczył. Mówiłem* Edmundowi, że test jest zbyt trudny.

– I miałeś rację – zgodził się z nim Talbot, pojawiając się znikąd, jakby się teleportował. – Wydawało mi się Herzer, że chciałeś iść do piechoty?

– Kazano mi przystąpić do testu, sir – odpowiedział Herzer.

– I jesteś *jedynym*, który go zaliczył – zmarszczył się Edmund. – Jak poszło pozostałym?

Malcolm zastanowił się nad tym przez chwilę ze zmarszczonym czołem, potem wzruszył ramionami.

– Średnia to około trzydzieści w dziesięć minut, jeśli nie brać pod uwagę Herzera.

– To i tak lepiej niż kusze – zauważył Edmund. – Ale niewiele.

– Mają okropną technikę – skomentował Malcolm. – Myślę, że z czasem da się z nich zrobić łuczników, ale będzie to wymagało piekielnej pracy.

– Czy wszyscy zdołali wystrzelić przynajmniej trzydzieści? – zapytał Talbot.

– Wszyscy oprócz jednego – przyznał Malcolm.

– Obniż wymaganie do trzydziestu i testuj dalej – zdecydował Edmund. – I będziesz musiał ich *pogonić*.

– Tak uczynię. Co z Herzerem?

– Powinienem mianować go jednym z twoich asystentów – stwierdził Talbot, przyglądając się wciąż spoconemu chłopcu – ale chyba pójdziemy dalej i prześlemy go do następnych testów.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Po teście łuczniczym podano im lekki posiłek, który zjedli, siedząc na ziemi. Herzer szybko przełknął paski słonej wieprzowiny podane na kromkach chleba i przeżuł starannie duże, twarde jak kamienie suchary. Wyglądało na to, że zebrano razem wszystkie grupy ochotników, więc rozejrzał się po ludziach, zastanawiając się, co będzie dalej.

Po lunchu do jego grupy podszedł młody mężczyzna, prawdopodobnie o kilka lat starszy od niego i Deann, ale nie dało się tego określić dokładnie. Niespotykane wysoki, wyższy od Herzera, co było niezwykle, i muskularny, z nogami wyglądającymi jak pnie drzew. Mężczyzna na głowie nosił ciężki hełm nie zasłaniający twarzy, elastyczną zbroję, nabijany metalem skórzany kilt, nagolenice i ciężkie skórzane buty. Przyjrzał się grupie i gestem nakazał im wstać.

– Jestem sierżant Greg Donahue – przedstawił się. – Będziecie się do mnie zwracać: „sierżancie Donahue”. Nie będę reagował na „hej, ty” ani „Greg”. Mam nadzieję, że wszyscy najedliście się i napili, ponieważ czeka nas trochę pracy. Chodźcie za mną.

Poprowadził ich przez plac, na którym kolejne grupy szykowały się do egzaminu łuczniczego, a potem na zachód, w stronę wzgórz otaczających dolinę, aż dotarli do podstawy wysokiego wzgórza, które musiało znajdować się blisko rzeki. Na ziemi leżało sporo skórzanych plecaków ułożonych w równy rząd. Od strony wzgórza stał jeszcze jeden, oddzielnie. Młody mężczyzna podszedł do niego i odwrócił się w ich stronę.

– Wszyscy zajmą miejsca przy jednym z plecaków – polecił, stając przy swoim z rozstawionymi lekko stopami i dłońmi złożonymi za plecami. Odczekał, aż wszyscy ustawili się przy pakunkach i odchrząknął.

– Miasto to nazywa się Raven's Mill. Jednak, jako że kruki raczej nie mieszkają w tej okolicy, rodzi się pytanie: czemu? Kiedyś w tym rejonie żył człowiek, który próbował stworzyć mówiące kruki, takie, które posiadałyby prawie ludzką inteligencję. Z czasem zrezygnował i uwolnił ptaki. Większość z nich zginęła, ale kilka twardszych osobników przetrwało. Miały skłonność do trzymania się w okolicy tego wzgórza i z czasem zaczęto je nazywać Kruczym Wzgórzem. Edmund Talbot, kiedy tu zamieszkał, znał tę historię i nazwał miejsce po krukach, które do tego czasu całkowicie wyginęły. Jednak mistrz Edmund lubi to wzgórze z tego samego powodu co kruki. Z jego szczytu widać wszystko wokół na mile. W ramach ćwiczeń zbudował więc wiodące na szczyt wzgórza schody. Dokładnie czterysta dwadzieścia trzy stopnie. W górę. W dół schodzi trzysta siedemdziesiąt cztery, jako że prowadzą nieco inną drogą. - Przerwał i skinął głową komuś za grupą.

Herzer odwrócił się odruchowo i zobaczył mężczyznę, który stał przy zapisie rekrutów. Łatwiej było mu się teraz przyjrzeć i Herzer uświadomił sobie, że tamten musi być przynajmniej w tym samym wieku co Edmund Talbot. Był wysoki i szczupły, z zimnymi, szarymi oczami, ubrany w taki sam strój jak sierżant Donahue.

Herzer gwałtownie odwrócił głowę, gdy tamten warknął ostro.

– PATRZEĆ PRZED SIEBIE!

Sierżant Donahue kiwnął głową i kontynuował.

– Sprawdzimy wasze zdolności w zakresie najważniejszej umiejętności piechoty: marszu. Zostaliście już zbadani pod kątem odpowiedniej siły górnej połowy ciała, a później sprawdzimy, czy dysponujecie odpowiednim rodzajem ukierunkowanej agresywności, by nadawać się na liniową piechotę. A jeśli wam jej braknie, to albo jej was nauczymy, albo zwolnimy. Ale na razie musimy wiedzieć, czy potrafcie nadażyć. Z obciążeniem. – Ponuro kiwnął głową w stronę ludzi, do których zaczynało docierać znaczenie jego słów. – A więc gdybyście łaskawie zechcieli podnieść plecaki i upewnić się, że dobrze pasują. Będę nadawał tempo. Ktokolwiek pozostanie za starszym sierżantem Rutherfordem zostanie zdyskwalifikowany.

Herzer podniósł plecak i umieścił go sobie na grzbiecie, dopasowując skórzane paski najlepiej jak mógł. Miały sprzączki, ale bardzo trudno było nimi manewrować przy założonym plecaku, więc zdjął go, zmienił ustawienia, a potem założył z powrotem. Plecak był ciężki jak diabli, ważył prawdopodobnie sześćdziesiąt do osiemdziesięciu kilogramów. Spojrzał pod górę i nagle pożałował nawet tego skromnego posiłku, jaki im dano.

Gdy ostatni plecak został już założony, Donahue kiwnął głową i przeszedł się przez grupę, sprawdzając dopasowanie. Poprawił jeden czy dwa, a potem wrócił na swoje miejsce.

– Zaczniemy od marszu po płaskim, więc wszyscy będą mogli się przyzwyczaić do obciążenia, a potem zobaczymy, czy dacie sobie radę ze wzgórzem.

Ustawił ich w dwuszeregu i powiódł z powrotem w stronę głównego obozu, trzymając się nieco bardziej wyrównanych dróg. Doszli prawie do strumienia płynącego przez środek obozu, a potem skręcili na szlak wzdłuż podstawy północnych wzniesień. Ten poprowadził po łuku z powrotem do miejsca, z którego wyruszyli, i Herzer po raz pierwszy rzucił okiem na schody. Zdawały się wznosić pionowo w górę.

– Pojedynczy szereg, trzymać się blisko, za mną– szczechnął Donahue, wstępując na pierwszy stopień.

Herzer był mniej więcej w jednej trzeciej od końca i gdy doszedł do schodów, spojrzał w górę i zakręciło mu się w głowie, stopnie zdawały się chwiać i na moment stracił orientację.

– Patrzeć na schody! – zawołał głos z tyłu.

Bojąc się, że wstrzyma kolumnę za nim, Herzer opuścił głowę i zaczął się wspinać.

Tempo było koszmarne, a do szczytu wzgórza wiodła *długa* droga. Zanim przeszedł choć jedną trzecią, spociał się cały i znów dyszał, ciężko walcząc z masą swojego ciała i plecaka. Ledwie zauważył pierwszego rekruta, który się zatrzymał, ale kiedy następny zablokował mu drogę, wpadł na nich, prawie wywracając obu.

– Zejdźcie z cholernej drogi-warknął, obchodząc ich i przyspieszając, żeby dojść do grupy przed nimi. Nagle, gdy dogonił kolejną osobę w rzędzie, grupa zatrzymała się i prawie się wywrócił, unikając kolejnego zderzenia, a potem marsz zaczął się znów, szybciej niż dotąd, i musiał się pospieszyć, żeby nadażyć. Miał wrażenie, że nogi pochłania mu ogień, a kiedy się rozejrzał, zdał

sobie sprawę, że przeszli za ledwie połowę.

Trwało to i trwało, co chwila też dochodziło do chwilowych zatrzymań, gdy kolejni rekruci odpadali po drodze, dysząc i trzymając się za boki. Herzer czuł narastający ból w boku, ale siłą woli stłumił go i skupił się na utrzymaniu równomiernego oddechu i nadażaniu za idącą przed nim osobą. Nagle ta też zrezygnowała i Herzer zdał sobie sprawę, że ma przed sobą olbrzymią przerwę. Spróbował dogonić idącego przed nim, ale ledwie mógł utrzymać dotychczasowe tempo. Nie odważył się spojrzeć w tył, wiedząc, że gdzieś za nim szedł ten szarooki drań o kamiennej twarzy, pewnie z nadzieją, że i on odpadnie.

Zaczynał powoli widzieć na szaro, a pot spływał mu po twarzy tak mocno, że nawet nie zauważył, gdy zabrakło kolejnego stopnia. Zatoczył się do przodu z wiatrem wiejącym w twarz, ale został złapany i wolno opuszczony na ziemię.

– Odpocznij – powiedział Donahue spokojnym głosem, najwyraźniej nawet nie zdyszany. Herzer spojrzał na niego i stwierdził, że sierżant się prawie nie *spocił*. – Masz w plecaku wodę. Wypij ją.

Herzer kiwnął głową i wysunął ramiona z pasków, rozglądając się, gdy znów zaczął wyraźniej widzieć. Znajdowali się na polance na niższym szczycie wzgórza, ze wspaniałym widokiem na rzekę po jednej stronie i Raven's Mill po drugiej. Oprócz schodów, którymi tu przyszli, były kolejne, prowadzące jeszcze wyżej. Donahue i mężczyzna, którego przedstawiono jako starszego sierżanta, stali po drugiej stronie polanki, rozmawiając. Oprócz nich na szczycie znajdowały się jeszcze tylko trzy osoby. Jedną z nich była Deann, zgięta w pół i wymiotująca. Herzer niezgrabnie podniósł się na nogi i palcami, które sprawiały wrażenie, jakby były wielkości melonów zaczął rozpinać plecak. W końcu mu się to udało i wyciągnął z niego bukłak. Napił się, najpierw ostrożnie, a potem mocno pociągnął wody zmieszanej z winem.

– Siedźcie – polecił starszy sierżant, podchodząc do grupki. – Przestań próbować wymiotów i wypij trochę wody, dziewczyno. Wszyscy pewnie się zastanawiacie, czemu próbujemy was zabić. To proste. Kiedyś wasi wrogowie *faktycznie* będą tego próbować. Jest takie stare powiedzenie: „im mocniej się pocisz, tym mniej krwawisz”. Zamierzamy wycisnąć z was tyle potu, jak nigdy dotąd. Większość ludzi, która się tu zgłosiła, sądziła, że będzie to bułka z masłem, jak strażnicy w mieście. Nic, tylko stanie na warcie i robienie dobrego wrażenia na dziewczynach. Wielu z nich było rekreacjonistami bawiącymi się w bycie wikingami, Piktami czy średniowiecznymi rycerzami. Ale słowo kluczowe to „bawiącymi się”. Nie będziemy się bawić i na pewno nie będziemy udawać tych lalusiów. Mamy stworzyć pierwszą linię obrony Raven's Mill, linię, która w dziewięciu przypadkach na dziesięć będzie *jedyną* linią, jaką zobaczy wróg. Linią, na której połamią sobie zęby wszyscy wrogowie. Taką, która raczej zginie na miejscu, niż ustąpi choćby o krok. Szkolenie to zaprojektowano z myślą stworzenia kadry dla przyszłych legionów. Każdy z was doświadczy swojego udziału w walce, ale tak naprawdę będziemy starać się uformować przyszłych *dowódców* legionów. Dowódców, którzy będą twardsi i bardziej przerażający niż najtwardsza i najbardziej przerażająca siła na ziemi.

Starszy sierżant ogarnął małą grupkę wzrokiem i ciągnął dalej.

– Tak więc będziemy się starali was przesiać. Kiedy skończymy, pozostaną tu tylko ci, którzy *odmówią* wycofania się, niezależnie od tego, co na nich rzucimy. Żołnierzy tak twardych, że raczej zginą, niż się poddadzą albo dadzą z siebie mniej niż trzysta procent. I nie jest to ostami ani nawet

najcięższy test, który was czeka. Ale tylko najsilniejsi, najtwardsi i najbardziej zdeterminowani będą w stanie zaliczyć. Ze wzgórza prowadzą w dół dwie drogi. Jedna to ta, którą właśnie weszliście. Druga wiedzie w górę następnego, a potem w dół po jego drugim zboczach. Za chwilę razem z sierżantem Donahue wejdziemy na wzgórze. Od chwili, gdy się znajdziemy na jego szczycie, będziecie mieć siedem minut, żeby do nas dołączyć. Ci, którym się to uda, postawią pierwsze kroki na ścieżce do stania się Panami Krwi. Ci, którzy nie zdążą, może któregoś dnia dołączą do legionów, ale nigdy nie zostaną dowódcami i nigdy nie staną się elitą. Wybór należy do was.

Po tych słowach podniósł swój plecak i sprężystym krokiem ruszył w górę schodów.

Herzer przyglądał się chwilę staremu mężczyźnie sunącemu w górę i potrząsnął głową. Rozejrzał się po małej grupce na szczycie wzgórza, zastanawiając się, kto pierwszy podniesie się na nogi. Jak się okazało, zrobiła to już Deann. Klęknęła właśnie, żeby wsunąć raniona w taśmy plecaka, a potem wciąż z odruchem wymiotnym, zatoczyła się w stronę schodów.

– Szlag – wymamrotał, zmuszając się do wstania. Jakoś udało mu się założyć plecak i poszedł za nią.

Przy pierwszym skręceniu schodów zatrzymała się zgięta w pół i ciężko dysząc, ale wciąż próbując stawiać stopy przed sobą.

– Chodź – powiedział, chwytając ją za łokieć.

– Daj mi spokój — wydyszała przez zaciśnięte zęby. — Dam sobie radę.

– Jeśli jesteś dość głupia, żeby iść dalej, mogę być dość głupi, żeby ci pomóc – odparł, zahaczając jej ramię o swój plecak.

Chwiejąc się w przód i w tył, oboje z wysiłkiem ruszyli w górę, w stronę wyzwania i swojej przyszłości.

* * *

Edmund zachichotał, gdy Serż opadł na krzesło naprzeciw niego.

– Wyglądasz jak śmierć, Miles.

Był wczesny wieczór i Edmund zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie musiał siedzieć *dzisiaj* za biurkiem. Sytuacja zaopatrzeniowa poprawiła się nieco dzięki zasobom ze spędu i kilku karawanom z pobliskich miast. Ale wzrastały też potrzeby, z powodu uciekinierów z Resan i stałego dopływu innych. Głównym priorytetem było teraz uruchomienie farm, ale biorąc pod uwagę liczebność bandy, która złupiła Resan, obrona ich znajdowała się zaraz na drugim miejscu listy. A szpiedzy donosili, że Rowana *zdecydowanie* otrzymywała jakieś wsparcie ze strony Nowego Przeznaczenia. Co oznaczało, że prędzej czy później oba miasta musiały podjąć walkę.

– Bardzo ci dziękuję – zaburczał Serż, z westchnieniem rozsiadając się wygodnie. – Robię się za stary na takie popisy. Ganiecie po wzgórzach to zabawa dla młodych.

– Nie mów mi, że wszedłeś na Wzgórze? – powiedział zaskoczony Edmund.

– Zrezygnowałem z tego piętnaście lat temu — są pewne granice tego, co może osiągnąć medycyna

bez całkowitej regeneracji.

– Cóż, musiałem im udowodnić, że jestem twardszy od nich – odparł Serż - ale mam dość robienia tego z każdą klasą!

– Jak poszło?

– Nieźle, będziemy mieć w pierwszej grupie sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu. W grupie, za którą szedłem, był Herzer. Chciałem zobaczyć, czy miałeś rację.

– I jak? – zapytał Edmund, sięgając do szuflady. – Wyglądasz, jakby dobrze ci zrobił łyceczek.

– Nigdy nie odmówiłem darmowego drinka – zachichotał Serż. – I tak, miałeś rację. Utrzyma się. Pod koniec dociągnął swoją koleżankę całą drogę na szczyt. Wydaje mi się, że i tak by dała radę tam dojść, więc nie skopałem mu tyłka. Ale choć jej nie niósł, zdecydowanie jej pomagał. Nada się.

– Cały czas zachowuje się, jakby diabeł deptał mu po piętach – skomentował Edmund, napełniając dwa kieliszki. – Cokolwiek się stało z Daneh, jest w tym więcej, niż ona chce mi powiedzieć. Ale uważaj na niego, gotów jest popełnić coś głupiego i heroicznego. Potrzebujemy wszystkich wyszkolonych żołnierzy, jakich zdołamy zebrać, stracenie go z powodu głupoty byłoby... denerwujące.

– Zrobi się – odparł Serż, pociągając burbona. – Niezły.

– Odłożyłem go całe lata temu – odpowiedział Edmund, również popijając.

– Jak z resztą rekrutów?

– Dotarli na szczyt wzgórza, a to znaczy, że *naprawdę* chcą tu być. Po prostu będziemy musieli się przekonać, jak pójdzie trening. – Przerwał i zmarszczył czoło. – Czasem trudno mi jest pamiętać, że kiedyś byliśmy równie głupi, jak te młodziaki.

– Tak – przyznał Edmund. – A prawda jest taka, że potrzeba tak głupich ludzi, ponieważ my jesteśmy już zbyt mądrzy na zrobienie tego, co jest konieczne.

– Przerazające w tym jest to, że oni patrzą na nas – stwierdził Serż, żując swoją cygaretkę. – Jesteśmy dla nich niczym bogowie. Część z nich intelektualnie wie, że jesteśmy ludźmi w takim samym stopniu jak oni. I kilku z nich może nawet zrozumieć, że kiedyś byliśmy Tacy Jak Oni. *Lepsi* z nich, jasne. Ale wcale nie jak *najlepsi*.

– Taaak – mruknął Talbot. – Wydaje się, że najlepsi z naszych dawnych towarzyszy nie przetrwali.

– A kiedy *my* byliśmy tacy jak oni, ktoś, na kogo *my* tak patrzyliśmy, kopniakami ustawił *nas*. Zrodziliśmy się niedoskonalimi, Edmundzie.

– To prawda – skrzywił się Talbot. – I nieważne, jak bardzo będziemy się starać, i tak na niedoskonałości się skończy.

– Wyjaśnij – poprosił Serż. – Nie mówisz chyba o programie szkoleniowym, prawda?

– Nie – westchnął Edmund. – Przygotowano zarys konstytucji Zjednoczonych Wolnych Stanów. Dopuszcza zarówno arystokrację, jak i de facto feudalizm. Pomimo moich wysiłków.

– Czy wpłynie to na nas bezpośrednio?

– Tylko w zakresie arystokracji – parsknął Talbot. – Zdołałem wprowadzić zastrzeżenie, że lokalne rządy mogą ogłosić się „wolnymi od poddaństwa” w swoich granicach. Jesteśmy zaliczeni do Overjay, geograficznego rejonu zawierającego Washan, Waman i kilka innych, łącznie z Rowaną, która nie jest członkiem.

– Co z siłami wojskowymi? – zapytał Serż, przechodząc do ważnej dla siebie części.

– No cóż, mam poprawkę, że osoby o pełnym prawie wyborczym muszą wykazać się zdolnością do używania broni, ale stany feudalne wprowadziły zastrzeżenie, że „obywatele drugiej kategorii” mają być *nieuzbrojeni* i że liczą się jako wyborcy, nawet jeśli faktycznie głosować nie mogą. Zawodowa armia składa przysięgę Zjednoczonym Wolnym Stanom. I jestem dość pewien, że uda mi się zaliczyć Akademię do armii zawodowej.

– A co z legionami? Czy będą główną siłą? Czy będziemy musieli przyjąć, cokolwiek przyjdzie na pobór?

– Cóż, pytanie brzmi, kto będzie dowodził? – z chichotem odpowiedział Edmund. – Tajemnica polega na posiadaniu najlepszego planu na początku i pozwolenia, by inne siły sformowały się wokół twoich. Na dłuższą metę będziemy mieć więcej niż legiony, ale mam nadzieję, że to one będą stanowić rdzeń. Z drugiej strony Kent poszedł prawie wyłącznie w stronę kawalerii. Jeśli zdołamy ich skłonić do przyłączenia się do ZWS, głupotą byłoby spieszenie ich. I znów, większość miast-państw skupia się na piechocie. A kto ma najlepszą piechotę?

– My – z satysfakcją stwierdził Serż.

– Tak jest.

– Dobrze – powiedział Serż, zmieniając temat. – Jak się ma Daneh?

– Dziwnie się zachowuje.

* * *

Kiedy Edmund wrócił do domu, zastał w nim zmienione zasłony.

Prawdę mówiąc, kiedy do niego wszedł, nie był nawet pewien, czy dobrze trafił. Meble przestawiono i znikły dwa jego ulubione gobeliny oraz wielki stół, na którym miał zwyczaj odkładać *rzeczy*, z którymi nie wiedział, co zrobić w danej chwili.

Daneh klęczała na środku pokoju, mierząc podłogę za pomocą kawałka struny.

– Co robisz? – zapytał ostrożnie.

– Wymierzam pod dywany – odpowiedziała Daneh, notując coś.

– Lubię klepki – zauważył Edmund.

– Wiem, że lubisz – przytaknęła Daneh, z wysiłkiem podnosząc się z kolan. Ostatnio zaczęło być po niej widać ciężę i miało to wpływ na jej równowagę. - Ale czy masz jakieś pojęcie, jakie to

niewygodne, gdy puchną kostki, a stopy sprawiają wrażenie, jakby podbicie miało zaraz odpaść?

– Nie doszłaś jeszcze do takiego etapu – zaryzykował.

– Nie – uśmiechnęła się. – Dlatego teraz wymierzam dywany.

– Czy to coś związanego z ciążą? – zapytał ostrożnie. – Ostatnio miała tendencję do wybuchów złości, jeśli zadawał pytania dotyczące jej stanu.

– Nie wiem – odpowiedziała radośnie. – Ale niezależnie od tego, czy ma to związek czy nie, dostaniesz dywany.

– A skąd się wezmą?

– Spotkałam taką miłą dziewczynę o imieniu Shilan będącą jedną z uczniów tkackich. A ponieważ owce zrzuciły runo i mamy w tej chwili nadmiar wełny, a nowy młyn eksperymentuje z różnymi maszynami tkackimi, pomyślała, że mogłaby mi zrobić dywan z filcu. Zasłony też się z tego wzięły.

– A moje gobeliny? – zapytał niepewnie.

– Zniosłam je do warsztatu. Co chcesz dostać na kolację?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Po solidnej kolacji rekruci spędzili noc w opróżnionych dla nich barakach i zostali obudzeni przed świtem przez jednego z sierżantów przechodzącego między nimi i walącego w metalową tarczę.

– Wstawać lenie, zbierać się na nogi, przed wami kolejny piękny dzień w legionach – wykrzyczał sierżant. – Dziesięć minut na latryny, potem ustawie się przed koszarami.

Herzer stanął w kolejce do latryny – dla całej grupy dostępne były tylko dwa miejsca – potem szybko się przemył deszczówką z beczki. W końcu dołączył do tłumu przed barakiem. . .

– Jeszcze nie będziemy próbować uczyć was marszu w formacjach – oznajmił sierżant po podliczeniu ich – ponieważ po prostu potykałibyście się o własne nogi. Więc chodźcie za mną zwykłą bandą i spróbujcie nie zostać zbytnio z tyłu. Poddamy was dalszej obróbce.

Stado podążyło za nim do grupy budynków blisko podstawy zachodnich wzgórz. Były solidniejsze niż większość tymczasowych budynków, wzniesionych, żeby pomieścić napływających uchodźców i Herzer podejrzewał, że miały związek z dorocznym Jarmarkiem. Zebrali się przed pierwszym z nich, a potem wchodzili do środka pojedynczo.

Pomieszczenie w środku zostało podzielone na pół rzędem prostych stołów. Po jednej ich stronie siedziało kilku cywili, stosy materiału i około dwudziestu kobiet pospiesznie szyjących z niego mundury.

– Rety, wielki jesteś – zauważył mężczyzna, który zdawał się tam dowodzą – Katie, będę dla niego potrzebował XXL – zawołał mężczyzna, ściągając z szyi zawieszoną na niej miarkę. – Jaką masz nogawkę, wielkoludzie?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Herzer. – Co to znaczy?

– Długość wewnętrznej strony twojej nogi — wyjaśnił mężczyzna schylając się i mierząc go. Zachichotał z powodu wyraźnego speszenia Herzera. – I dla tego właśnie mówiłem temu niemądremu sierżantowi, że macie się nie rozbierać *przed* tą częścią. Katie, nogawka czterdzieści cztery!

– Będzie musiał wziąć czterdzieści sześć, czy coś koło tego, trochę za duże, ale nie mam innego – oświadczyła kobieta zza lady, podając jakieś szare ubranie, torbę z materiału i różne kawałki płótna.

– Weź to i przebierz się za zasłoną – polecił mężczyzna, odwracając się już do następnego rekruta w kolejce. – Włóż cywilne ubranie do torby. Zachowaj buty.

– A co z resztą? – zapytał Herzer.

– Zachowaj i przejdź do następnego pokoju.

Herzer przebrał się w workowate ubranie – zauważając przy okazji, że dostał łącznie trzy, kiepsko wykonane komplety – i ściągnął paskiem spodnie najmocniej, jak potrafił. Następnie, trzymając swoje cywilne ciuchy, sakiewkę i dodatkowe mundury, przeszedł do następnego pokoju.

– Włóż do torby swoje stare ubranie i wszystko, co posiadasz, oprócz pieniędzy i kosztowności –

ostro odezwał się siedzący tam mężczyzna. – Nie słuchałeś?

Herzer szybko spełnił polecenie i oddał torbę.

– Co teraz? – W pokoju pod ścianą leżał już spory stosik podobnych toreb, a przy stole, na którym stała zapalona świeca, siedział mężczyzna. Stało tam też kilka niezbyt starannie zbitych drewnianych skrzynek.

Mężczyzna wziął kawałek rzemienia i świecę.

– Zawiąż tym worek, zalej węzeł woskiem i odcisnij na nim swój palec. Kiedy skończysz szkolenie, zostanie ci to zwrócone. Mundury włóż do skrzynki i noś ją ze sobą.

Herzer zrobił, jak mu kazano. Następnie mężczyzna wziął od niego torbę i podał jedną ze skrzynek. – Następnym pokój.

– Ach, bardzo ładne buty – powiedział mężczyzna w następnym pokoju, klękając, by przyjrzeć się obuwiu Herzera. – Przypuszczam, że lepiej byś na tym wyszedł, gdybyś je zachował, ale *rozkaz* to rozkaz. Zdejmij je i pozwól mi zmierzyć twoją stopę.

Herzer usiadł na krześle i rozejrzał się, ściągając buty. W pokoju było kilku rekrutów, którym też mierzono stopy, ale nigdzie nie widział żadnego obuwia.

– Hm, a gdzie są buty? – zapytał, gdy mężczyzna wyciągnął sznurek i zaczął mierzyć.

– Trzeba je zrobić, nieprawdaż? – zaśmiał się zapytany. – Przecież nie mamy pełnych magazynów. Duże stopy, zużyjemy na ciebie prawie całą krowę, chłopcze.

– Przepraszam.

– Żaden problem.

Herzer przechodził przez pokój za pokojem, od czasu do czasu zmieniając budynek, i dawał się ubierać lub, znacznie częściej, mierzyć. Hełm, płaszcz, koce, bielizna i kawałki materiału do owijania stóp zamiast skarpet. Mieli hełm na jego rozmiar, choć nie był dopasowany od środka i przesuwał mu się na głowie, aż zdenerwował się i zamknął go w skrzynce. Do czasu, gdy przeszedł cały cykl i wyłonił się znów na światło dnia, bagaż zaczął się robić ciężki. Czekali tam już niektórzy z rekrutów, z którymi spędził noc. Większość siedziała na swoich skrzynkach, był tam też sierżant, który ich tu przyprowadził.

– Co teraz, sir? – zapytał Herzer.

– Oczywiście czekamy na pozostałych.

Herzer usiadł i rozejrzał się po ludziach. Wczoraj wieczorem nie miał zbyt dużo czasu na zapoznanie się z nimi i zaczął się zastanawiać, czy mieli zostać wszyscy przydzieleni do tej samej grupy szkoleniowej.

– Cześć – odezwał się do siedzącej najbliżej siebie osoby. – Jestem Herzer Herrick. Wszyscy będziemy piechotą?

– Nie. – Zagadnięty rozjaśnił się. – Na szczęście zaliczyłem egzamin na łucznika.

– Och. – Herzer przyjrzał mu się. Mężczyzna nie był nawet w części tak umięśniony, jak on sam. – Udało ci się wystrzelić pięćdziesiąt strzał? Gratuluję.

– Och, do diabła, nie – odpowiedział z uśmiechem tamten. – Nikt tego nie zaliczył, więc opuścili wymaganie do trzydziestu. Tyle zrobiłem bez problemu.

– Och.

– No, słyszałem, że *kilka* osób to zaliczyło, ale musiałbym sam zobaczyć, żeby w to uwierzyć. Wiesz, trzydzieści prawie mnie zabiło. Powiedzieli nam, że i tak nie mają tylu łuków, więc z początku ci, którzy najlepiej sobie poradzili, zostaną łucznikami, a reszta będzie ich wsparciem.

– Ach.

– A ty zaliczyłeś? No wiesz, jesteś dość duży.

– Zaliczył – poinformowała go Deann, przysiadając się obok na swojej skrzynce. – Zaliczył pięćdziesiąt. A potem poprosił o przydział do piechoty.

– Żartujesz! – wykrzyknął mężczyzna, przyglądając się Herzerowi. – Po jakiego diabła to zrobiłeś?

– Nie chcę zostać łucznikiem – odpowiedział Herzer, wzruszając ramionami.

– To pieprzony dureń – dodała Deann.

– A za nasze grzechy poszliśmy w jego ślady – zza pleców Herzera odezwał się Cruz.

– Cruz! – krzyknął Herzer, wstając i ściskając rękę kolegi. – Skąd się tu wziąłeś?

– Z tego samego miejsca co Deann. Po przyjrzeniu się temu, co nam oferują, uznałem, że bycie żołnierzem *musi* być lepsze! No wiesz, będę szczęśliwy, jeśli nigdy nie zobaczę już żadnej surowej skóry albo piły. Nawet jeśli oznacza to wasze towarzystwo!

– Jesteście wariaci! Jesteście niczym więcej, jak karmą dla mieczy. To łucznicy są elitą.

– Tak? – z wyzwaniem w głosie zapytał Herzer. – Piechota to ruch. Będę pod wrażeniem, jeśli zdołasz wejść na Wzgórze.

– Łucznicy będą musieli umieć za nami nadażyć – oznajmiła z satysfakcją Deann. – Myślę, że już niedługo poznają te schody.

– Wstawać, wy... – Sierżant rozejrzał się po grupie, gdy dołączył do niej ostatni z rekrutów. Zaczął mówić coś więcej, ale tylko potrząsnął głową. – Nieważne. Nawet nie warto kłąć. – Zaczął odczytywać nazwiska z listy, dzieląc ich na cztery grupy. Równocześnie podeszli inni sierżanci.

Grupa Herzera była najmniejsza, największa była łucznicza, a oprócz nich były jeszcze dwie grupy kobiet, prawdopodobnie piechoty i łuczników.

– Jestem kapral musztry Wilson – przedstawił się jeden z podoficerów, podchodząc do grupy Herzera. – Zaprowadzę was na spotkanie z waszymi twórcami.

– Czym? – zapytał ktoś z grupy.

– Zobaczycie – z chichotem odpowiedział kapral.

Poprowadził wciąż trzymającą swoje skrzynki grupę poza teren i wzdłuż podnóża gór do polany, na której stały trzy osoby w zbrojach.

– CO U DIABŁA WYRABIACIE, WŁOKĄC SIĘ TU JAK BANDA STA RUSZEK? – wrzasnęła jedna z czekających na nich postaci. – RUSZAĆ SIĘ! RUSZAĆ SIĘ! RUSZAĆ! TY, WIELKI, TUTAJ!

Herzer spojrział na wskazane miejsce i potruchtał tam, najszybciej jak potrafił, dźwigając ze sobą skrzynkę pełną *rzeczy*.

– Skrzynka na ziemię za sobą – rozkazał mężczyzna. Był prawie tak wysoki jak Herzer i równie barczysty, a segmentowana zbroja i hełm nadawały mu wygląd jeszcze większego. Wskazał miejsce, a potem zagonił grupę z Herzerem w półokrąg.

– Jestem sierżant triari Jeffcoat – powiedział mężczyzna, przechodząc wzdłuż rzędu i przyglądając się każdemu z rekrutów. – Triari to moja ranga, nie nazwisko. Moim przykrym obowiązkiem jest poinformowanie was, że przez następnych kilka miesięcy będę waszym sierżantem musztry. Powodem, dla którego jest to smutny obowiązek, jest fakt, że *nie* będzie się to wam podobało! Jest mnóstwo rzeczy, na które mógłbym poświęcić swój czas *poza* szkoleniem takiej *bezużytecznej* bandy leni jak wy, rekruci. Ale to właśnie rozkazano mi zrobić i zrobię to cholernie dobrze, nawet gdyby miało was to zabić. Zauważcie, że nie: jeśli zabije *mnie*, ale jeśli zabije was! To dekurion Jones i sierżant Paddy - mówił dalej, wskazując na dwie pozostałe postacie w zbrojach. – Razem z kapralem Wilsonem będą mi pomagać w tym wcale niegodnym pozazdroszczenia zadaniu. – Przerwał, gdy jeden z członków grupy podniósł rękę.

– Czy kazałem wam mówić? – cicho zapytał sierżant.

– Nie, ale zastanawiałem się...

– ZASTANAWIAĆ SIĘ BĘDZIECIE TYLKO WTEDY, JEŚLI WYDAM WAM TAKI ROZKAZ, CZY TO JASNE? PADNIJ, NA TWARZ. ROZSU NAĆ RĘCE, ROZSUNAĆ I USZTYWNIĆ NOGI. TWARZĄ DO ZIEMI. – Ustawił rekruta w pozycji do pompek i kiwnął głową. – Teraz będę liczył, a ty będziesz wykonywał pompki, jasne?

– Och...

– JEŚLI ROZUMIESZ ROZKAZ, POTWIERDZISZ TO GŁOŚNYM I WYRAŹNYM „ZROZUMIANO, SIERŻANCIE!”. DO MNIE I DO POZOSTAŁYCH PODOFICERÓW BĘDZIESZ SIĘ ZWRACAŁ *SIERŻANCIE*. JEŚLI BĘDZIESZ CHCIAŁ ZADAĆ PYTANIE, POWIESZ „CZY MOGĘ MÓWIĆ, SIERŻANCIE?”. *ZROZUMIANO!*

– Zrozumiano, sierżancie! – odpowiedział rekrut.

– CAŁA RESZTA, ZROZUMIELIŚCIE?

– Zrozumiano, sierżancie. Tak, sierżancie. Och, och.

– NO PIĘKNIE. WSZYSCY NA ZIEMIĘ, POZYCJA DO POMPEK, *RU- SZAĆ SIĘ!*

Pomimo że odpowiedział głośno i regulaminowo, Herzer dołączył do pozostałych rekrutów i

został nauczony właściwego sposobu liczenia pompek. Po pięćdziesięciu, gdy większość grupy ociekała potem i drżały im ramiona, sierżant umilkł i potrząsnął głową.

– No, nie wiem. To ma być grupa, która ma bronić naszego wspaniałego miasta. Cóż za banda beznadziejnych ciurów. Patrzcie na tego – mówił dalej, szturchając nogą jednego z rekrutów. – Jak się nazywasz, tłusciochu?

– Cosgrove – odpowiedział rekrut.

– -CO MUSZĘ ZROBIĆ, ŻEBYŚCIE POPRAWNIE ODPOWIADALI? – wrzasnął sierżant. – TO MA BRZMIĆ „COSGROVE, SIERŻANCIE!” ZROZUMIANO?

– Zrozumiano, sierżancie.

– GŁOŚNIEJ!

– Zrozumiano, sierżancie!

– GŁOŚNIEJ!

– ZROZUMIANO, SIERŻANCIE!

– Lepiej. Prawie dobrze. A więc jak się nazywasz, tłusciochu?

– COSGROVE, SIERŻANCIE!

– No dobrze, wypocimy z ciebie ten tłuszcz. – Znów się rozejrzał i potrząsnął głową. – Wstawać. Dobra, celem tego spotkania jest wyjaśnienie sobie kilku rzeczy. Niedozwolone jest posiadanie noży, innej broni, prochów, pornografii i niczego innego, co uznaję za niewojskowe zaśmiecanie koszar. Zrozumiano?

– ZROZUMIANO, SIERŻANCIE!

– Jeśli posiadacie coś z tych rzeczy, sierżant Paddy przejdzie się między wami z workiem. W tej chwili podlegacie amnestii. Zapomnę o wszystkim, co wyląduje w tym worku. Ale jeśli znajdę coś niewojskowego w moich koszarach, dostanę wasze tyłki. Zrozumiano?

– ZROZUMIANO, SIERŻANCIE!

– Jeśli macie jakieś pieniądze, możecie albo je zatrzymać, albo przekazać do kompanijnego sejfu. Dekurion Jones będzie chodził w ślad za sierżantem z kopertami na pieniądze. Będzie na nie dawał pokwitowanie. Teraz możecie zadawać pytania.

Herzer bardzo nie chciał stracić swojej sakiewki, więc przełamując obawy, Podniósł rękę.

– CZY MOGĘ MÓWIĆ, SIERŻANCIE?

– Mówcie, rekrucie dupek.

– SIERŻANCIE TRIARI, MAM WŁASNĄ SAKIEWKĘ. PROSZĘ O POZWOLENIE NA JEJ ZATRZYMANIE!

– Zezwalam. Drobne przedmioty osobiste są dozwolone, o ile mi nie pod- padną. – Przyjrzał się

Herzerowi i potrzęsnał głową. – Rekrucie, ten mundur wygląda jak cholerny worek.

Herzer nie wiedział, co odpowiedzieć, więc zamilczał. Jeffcoat po chwili kiwnął głową i zmarszczył brwi.

– O świcie będzie inspekcja. Do tego czasu zróbcie z tym porządek.

Herzer nie miał pojęcia, jak miałyby to osiągnąć, ale mimo wszystko planował spróbować. Oddał swoje pieniądze, przyjął pokwitowanie i zachował sakiewkę.

– Kiedy powiem: rozejść się, udacie się do tymczasowych koszar. Zrobicie to na sposób wojskowy, czyli biegiem. Zostaną wam przydzielone miejsca na ziemi i wyposażenie na noc. Po rozejściu się zostanie przeprowadzona inspekcja waszych rzeczy. ROZEJŚĆ SIĘ!

Ledwie mieli dość czasu, by zwalić swoje rzeczy na ziemię, gdy znów wybiegli na zewnątrz, gdzie rozpoczęła się musztra. Grupa nie najlepiej sobie z nią radziła. Część rekrutów sprawiała wrażenie, jakby nie potrafiła odróżnić lewej nogi od prawej i po krótkim czasie sierżanci byli schrypnięci od krzyku. Pomimo solidnej budowy fizycznej Herzer osiągnął w końcu stan, w którym stwierdził, że umrze po wykonaniu jeszcze jednej pompki. Po dłuższych ćwiczeniach umieli ustawić się na baczność i spoczni, maszerować równym krokiem i odwracać się na rozkaz. Zdawało się, że jest to konieczne minimum i sierżanci wrócili z nimi do koszar, ustawiając w dwuszeregu.

– Dokonamy teraz tymczasowych przydziałów na stanowiska dowódcze. Najprawdopodobniej ich nie zatrzymacie. Każdy z przywódców będzie odpowiedzialny za określoną grupę. Jeden z was będzie odpowiadał za pozostałych. Herzer, podejdź tu – mówił dalej, wskazując na miejsce przed szeregiem. – Zostaniesz triari rekrutów. Znaczy to, że odpowiadasz za całą grupę. Kiedy ja przejmę triari, wycofasz się na tył. Zrozumiano?

– ZROZUMIANO, SIERŻANCIE! – odpowiedział spocony Herzer. Zdał sobie sprawę, że uczyniono go właśnie odpowiedzialnym za całą grupę, choć nie był pewien, czy był gotów odpowiadać za siebie.

– Słuchajcie, koty! Część rozkazów będę wam wydawał przez tego tu Herzera. Jeśli powie skaczcie, to tak, jakbym ja sam wydał wam rozkaz. Zrozumiano?

– ZROZUMIANO, SIERŻANCIE!

– Stworzyliście triari albo coś, co tak będziemy nazywać. Jestem sierżantem waszego triari. Zazwyczaj triari składa się z trzech dekurii i sierżanta triari. Dekuria składa się z dwóch manipułów i dekuriona. Manipuł składa się z pięciu legionistów, wliczając w to dowódcę manipułu. Na razie triari rekrutów będzie Herzer Herrick. Dekurionami rekrutów będę Cruz, Abrahamson, Stahl i Pedersen. Wiem, że nie jest to dla was jasne, ale szybko to zrozumiecie. Kiedy wpadniecie na nich po raz dziesiąty, nawet do was to dotrze. Rozejść się i do koszar!

Zanim przez drzwi przeszła ostatnia osoba, ryknął:

– ZBIÓRKA!

Oczywiście połowa triari nie potrafiła odnaleźć swojego miejsca. Po sporej dawce przeklinania i pompek wszyscy zostali wreszcie ustawieni, po czym znów mieli się rozejść i zbierać. Powtarzali to tyle razy, że w końcu wszyscy doskonale wiedzieli, gdzie mają się ustawić.

– Na mój rozkaz rozejdziecie się do koszar. Rozłóżycie koce. Ułóżycie na nich całe swoje wyposażenie, równo i po wojskowemu. Zrobicie to szybko. Następnie sierżanci i ja dokonamy inspekcji waszych śmieci. Wątpię, żebyście nawet wy, koty, mogli to spieprzyć, ale zobaczymy. ROZEJŚĆ SIĘ.

Oczywiście nic im się nie podobało. Płaszczki były niewłaściwie poskładane, hełmy zaśniedziałe, skrzynki nie dość czyste. I mieli bardzo bezpośrednią metodę wyrażania niezadowolenia jakością ułożenia sprzętu. Wszystkie zestawy rekrutów, z wyjątkiem należącego do Herzera, zostały wyrzucone przez drzwi koszar na jeden wielki stos.

– Pozbierajcie wasze rzeczy i ułóżcie po wojskowemu! Ułóżcie to w taki sposób, jak Herzer. Wrócimy o zmierzchu i lepiej, żebyście do tej pory poprawili też wszystkie te workowate mundury!

Herzer zaczął biegać od rekruta do rekruta, pomagając im w rozłożeniu sprzętu, odwołując się do pochlebstw i gróźb, pilnując, by zostało to zrobione w mniej więcej porządnym sposobie. Gdzieś po drodze udało mu się zdobyć zestaw igieł i nici, znalazł kilku rekrutów, którzy wiedzieli, co się z tym robi i zdołał przy ich pomocy doprowadzić większość mundurów do jako tako przyzwoitego wyglądu. Nie mieli nawet jednego noża, więc wszelki nadmiarowy materiał musiał zostać zaszyty w mundurach, ale nic już na to nie można było poradzić. Zanim skończył z ostatnią osobą, trzech sierżantów znów wpadło do koszar.

– Zbiórka! Inspekcja sprzętu! – krzyknął dekurion Jones.

Herzer wraz z resztą ustawił się przed barakami i w ponurym milczeniu czekał, podczas gdy sierżanci dokonywali inspekcji. Tym razem przez drzwi wyleciało mniej zestawów, ale nadal ponad połowa, a z powodu wyglądu mundurów wyśmiano większość triari, w tym Herzera. Zaczynało się robić ciemno, w barakach było już prawie całkiem czarno.

– Zabierać się do swoich rzeczy i porządnie je ułożyć! – nakazał Jones, kiedy skończyli. – Nie będzie jedzenia, dopóki nie zrobicie z tym porządku!

Cała grupa znów się rozbiegła, sortując stosy i pomagając je ułożyć przy akompaniamencie wyklinania na tych, którzy nie przeszli inspekcji. Kiedy sierżanci przyszli za trzecim razem, inspekcję przeprowadzili przy świetle pochodni, które przekazali rekrutom. Wreszcie skończyli i Jeffcoat kiwnął głową.

– Na razie wystarczy – powiedział szorstko. – Tylko te beznadziejne mundury do niczego się nie nadają. Ale będziecie mogli się nimi zająć w czasie wolnym. Rozejść się!

Następnie pomaszerowali kolumną na kolację.

– Dowódca triari jest ostatni w kolejce – poinformował ich Jones. – Kiedy on skończy jeść, to znaczy, że wszyscy skończyli. I będzie jadł *szybko* – dodał sierżant, patrząc znacząco na Herzera.

Przeszli przez kolejkę, pobierając drewniane tace, które zapełnili porcjami mięsa, fasoli i chleba.

Herzer, świadom, że będzie podlegał uważnej kontroli, wziął znacznie mniej niż miał ochotę, a kiedy usiadł, sprawdził, jak idzie reszcie grupy. Część z nich najwyraźniej nie miała pojęcia, co znaczy „zjeść szybko”. Ociągał się ze swoim jedzeniem jak tylko mógł, do chwili, gdy złapał kolejne znaczące spojrzenie Jonesa, po którym szybko zgarnął z miski resztki fasolki, dopychając je ostatnim

kawałkiem chleba.

– CO U DIABŁA ROBICIE JESZCZE JEDZĄC, KOTY? – usłyszał za sobą, gdy kierował się do wyjścia z mesy.

Na kolacji się nie skończyło. Nie odpowiadał im stan koszar i zanim odprowadzono ich do baraków, rekruci zostali przegonieni w marszu prawie do połowy wzgórza. Herzer nie miał pojęcia, która była wtedy godzina, ale zdawał sobie sprawę, że dostroił się już w pełni do cyklu zmierzch – świt i do chwili, kiedy dotarli z powrotem do koszar, praktycznie padał z nóg.

– Rozdzielcie między sobą dwugodzinne straże do strzeżenia ognia – nakazał Jones, umieszczając przed koszarami pochodnię. – Ich obowiązkiem będzie pilnowanie, żeby zawsze była przygotowana świeża pochodnia i żeby nie zapaliły się od niej koszary. – Wyciągnął podaną mu przez kaprała Wilsona klepsydrę. – Ta klepsydra odmierza trzydzieści minut. Strażnik obróci ją za każdym razem, gdy przesypie się w niej piasek. Cztery obroty i koniec warty. Dwanaście obrotów do pobudki. Jeden obrót po pobudce do inspekcji. Dobranoc, koty. – Po tych słowach odszedł.

– Panie święty! – powiedział Cruz. – W co ja się u diabła wpakowałem?

– Świat pełen bólu – odrzekł Herzer. – Dobra, kto miał te cholerne igły i nici? Wciąż mamy pracę.

– O czym ty u diabła mówisz? – zapytał ktoś z mroku. – Pieprzyć to. Ja idę spać.

Wokół rozległy się niezadowolone potwierdzenia, na co Herzer rozejrzał się gniewnie.

– Chcecie biegać po okolicy, śpiewając o swoim beznadziejnym mundurze? – zapytał. – I jeszcze coś. Wstaniemy o jeden obrót przed pobudką i uporządkujemy koszary. Kiedy przejdą przez drzwi, wszystko musi być w idealnym stanie. Zrozumiano?

– Pieprzę cię – powiedział jeden z rekrutów, odwracając się. – Kto cię zrobił bogiem?

Herzer złapał chłopaka za kołnierz i prawie bez wysiłku rzucił nim o najbliższą ścianę.

– Sierżant Jeffcoat. I nie zamierzam pozwolić na skopanie sobie tyłka tylko dlatego, że twoje śmieci nie będą poukładane.

Potoczył gniewnym wzrokiem po grupie, a Cruz stanął przy jego boku.

– Jeszcze jakieś pytania?

– Tak, kto pierwszy stanie na warcie? – odezwał się ktoś z grupy.

– Jak się nazywasz? – zapytał rekruta, który wolno podnosił się z ziemi.

– Bryan – odpowiedział tamten, podnosząc się ociężale.

– Weźmiesz pierwszą wartę, ale nikt z nas nie pójdzie jeszcze spać. Pilnuj klepsydry i obróć ją, kiedy przesypie się piasek.

W ciągu następnej godziny wyznaczył wartowników, dopilnował ponownego przeszywania mundurów, mając nadzieję, że tym razem zyskają uznanie sierżantów. Sprawił też, że jego podkomendni ułożyli się w równych rzędach na podłodze, a nie byle jak, jak popadnie. Nie był pewien, czy sam powinien się kłaść, niektórzy z żołnierzy patrzyli na niego bardzo mrocznie. Ale

doszedł do wniosku, że kiedyś musi przecież spać.

– Pamiętaj, trzydzieści minut przed pobudką – przypomniał rekrutowi, który miał pełnić ostatnią wartę.

– Tak jest – sennie mruknął tamten.

Potrząsnął głową i rozejrzał się. Większość triari już spała, ale Stahl też kiwał głową, siedząc na ziemi przy drzwiach, skąd mógł mieć oko na pochodnię.

– Wstań – powiedział.

– Czemu? – zapytał rekrut, mimo wszystko podnosząc się z ziemi.

– Zaśniesz. Przekaż to następnemu strażnikowi, chcę być budzony przy każdej zmianie warty. Jeśli któryś z was usnie albo usiądzie na warcie, potraktuję was tak, że rzucenie o ścianę będzie się wam wydawało czułą pieszczotą.

– Wydaje ci się, że jesteś wielki – wymamrotał Bryan, ale oparł się o ścianę, jakby planował tak zostać.

– Cholerna racja, i mam lekki sen – odmamrotał Herzer i skierował się do swojego pośłania na ziemi. Wszystko, co miał, to koc, ale sypiał w gorszych warunkach i zasnął praktycznie, zanim się jeszcze położył.

Słabo pamiętał resztę nocy, gdy budzili go kolejni wartownicy. A kiedy ostatni potrząsnął go za ramię, było zdecydowanie za wcześnie.

– Jeden obrót do pobudki – oświadczył strażnik. – Właściwie trochę wcześniej. Poprzedni strażnik powiedział mi, że spóźnił się o kilka minut.

– Kolejny wspaniały dzień w legionach – powiedział Herzer, wstając. – Pobudka!

Rekruci zaczęli się podnosić, porządkując swoje rzeczy i składając koce. Część zaczęła zakładać mundury, ale gestem kazał im przestać i zająć się zamiast tego porządkowaniem szafek. Do chwili, gdy strażnik ostrzegł ich o zbliżaniu się sierżantów, sala wyglądała tak porządnie, jak tylko potrafił to osiągnąć.

– Baczność! – zawołał strażnik, na co wszyscy wyciągnęli się jak struny przy swoich skrzynkach.

Pierwszym sierżantem, który przeszedł przez drzwi, był niosący latarnię Jeffcoat. Rozejrzał się po sali i burknął z niezadowoleniem, przechodząc między rekrutami, tu i ówdzie otwierając szafki, aż dotarł do Herzera. Zmarszczył brwi i wrzasnął:

– Zakładać mundury i zbiórka, koty! – Gdy Herzer zgiął się do swojej skrzynki, złapał go za ramię. – Ty nie.

Wyprowadził go na zewnątrz i pchnął pod ścianę.

– Jak dawno wstałeś?

– Panie sierżancie, obudziłem ich trzydzieści minut przed pobudką, sir – przyznał Herzer.

Sierżant wbił w niego wzrok w świetle latarni, ale po chwili potrząsnął głową.

– Skąd znasz tę sztuczkę?

– Czytałem trochę książek.

– Planujesz robić tak codziennie?

– Jak długo będę triari rekrutów – odpowiedział Herzer, a potem wzruszył ramionami. – Albo do czasu, aż ktoś wsadzi mi nóż między żebra.

Sierżant przyglądał mu się jeszcze chwilę, a potem kiwnął głową.

– Idź ubrać swój łachmaniarski mundur, Herzer.

Poranną inspekcję trudno byłoby uznać za udaną, ale Herzer nie miał wątpliwości, że byłoby znacznie gorzej, gdyby odczekał do oficjalnego czasu na pobudkę. Gdy tylko z powrotem zebrali swoje rzeczy, sierżanci zabrali ich na poranny bieg, po którym połowa jednostki, ciężko dysząc, zataczała się ze zmęczenia. Dostali następnie trzydzieści minut na kąpiel w beczkach z deszczówką, a potem zjedli szybkie śniadanie. Gdy wychodzili zbierać się w formację, Herzer klepnął Cruza w ramię.

– jak, wolisz być tutaj, czy może jednak w programie uczniowskim?

– Och, nie wiem – zaśmiał się Cruz. – Przynajmniej nie ścinamy drzew. Kiedy ustawili się w formacji, Jeffcoat przyjrzał się im i potrząsnął głową.

– Bez wątpienia stanowicie najędzniejszą grupę osobników, jaką kiedykolwiek widziałem. Ale zrobimy z was ludzi, och tak. A pierwszą rzeczą, jakiej musicie się nauczyć, jest, co to znaczy być żołnierzem. Wszyscy myślą, że sprowadza się to do machania mieczem, ale będzie to *ostania* rzecz, jakiej się nauczycie. *Pierwszą* będzie to, co przychodzi przed machaniem mieczem. Dobra, kto wie, jak się używa piły poprzeczniczy?

Herzer, dławiąc śmiech, podniósł rękę, a potem zobaczył, że Cruz z wahaniem robi to samo.

– No dobrze. Nie zostaniemy w tych koszarach na zawsze. Pierwszą rzeczą, jakiej uczy się żołnierz, jest przygotowywanie obozu. I tym właśnie zajmiemy się dzisiaj.

Grupa pomaszerowała podnóżem gór do płaskiego terenu niedaleko schodów na Wzgórze, gdzie zaczęli wznosić obóz stanowiący faktycznie mały fort. Leżały tam przygotowane stosy skór i jedna z dekurii pod komendą dekuriona Jonesa zajęła się cięciem ich i formowaniem w namioty. Reszta żołnierzy została zagoniona do oczyszczania terenu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Przypominało to pracę dla Jody'ego, a równocześnie były pewne różnice. Nie było wołów, które odciągałyby ścięte pnie, więc rozcinano je na kawałki tak duże, by zdołały je przenieść na ramionach pięcioosobowe manipuły. „W wojskowym stylu”, co oznaczało trucht przy akompaniamencie głośniego podśpiewywania. Kiedy teren został oczyszczony, co zajęło większość pierwszego dnia, zaczęli karczować pniaki z korzeniami i robić okop wokół obozu. W rzędach ustawiono namioty, wykopano latryny i przygotowano obóz tak, jakby miał być używany przez lata.

W niezbyt szczerze wydzielanym wolnym czasie przeprowadzano regularne inspekcje, a kiedy ktoś uznał, że kilka minut wolnego czasu warto jest pominięcia mizernej kąpieli, dodatkowo wygłoszono im długi wykład o polowej higienie.

W końcu jednak obóz był gotów. Namioty nie przeciekały, bramy można było otwierać i zamykać, wypełniono dziury po korzeniach, parapety i plac ćwiczebny spełniały oczekiwania sierżantów i wszystko było tip-top. Mały, ale funkcjonalny. Wtedy pojawiło się więcej skóry.

W ciągu następnych kilku dni sierżanci i kilku rzemieślników z miasta pokazało im, jak przyciąć i uformować skórę w plecaki, kamizele i fartuchy. Gotowana skóra po nasączeniu olejem stawała się niemal niewrażliwa na deszcz. W tym samym czasie dostali nowy przydział butów. Wykonano je z twardej skóry, z ćwiekami na piętach i palcach i, zdaniem Herzera, zrobiono je kiepsko. Stwardnienia na skórze oczywiście znajdowały się w niewłaściwych miejscach, w związku z czym dorobił się nowej serii pęcherzy. W końcu jednak i te się zagoiły, a manipuły dostały nowy sprzęt. Małe moździerze i tłuczki, czajniki, topory i łopaty.

Po rozprawieniu w triari kompletu wyposażenia sierżanci przeprowadzili wykłady z przygotowywania polowych obozów. Jak gotować dla manipułu, używając wyłącznie polowych racji składających się z prażonej kukurydzy, kukurydzianej kaszki, fasoli oraz prasowanego i wędzonego mięsa, które ktoś ochrzcił mianem „małpy”. Ugotowane do miękkości w fasolce nie było takie złe. W połączeniu z podpłomykami wypiekanymi w przenośnych kuchenkach, a stanowiących część zestawu, dało się to jeść. Jedzone wprost, z dodatkiem lekko posolonej kukurydzy, było ohydne. Ale nauczyli się to przełykać, czasem w drodze. A kiedy już to umieli, pojawiły się plecaki i trening zaczął się na poważnie.

Prowadzili marsze i kontrmarsze, ucząc się złożonych układów musztry, maszerując grupami i całym triari, a wszystko to z plecakami wypełnionymi całym sprzętem, żywnością na trzy dni i – przez większość czasu – workami z piaskiem, „dla lepszej zaprawy”. Każdej nocy padali do snu z dźwiękiem rozkazów w uszach, budzili się przed pobudką, układali swoje *rzeczy* i robili to wszystko od początku. A kiedy nie wykonywali poleceń zgodnie z oczekiwaniami sierżanta, powtarzali to przy świetle pochodni, aż praktycznie nadchodziła pora pobudki.

Kiedy przynajmniej w podstawowym zakresie byli zdolni do prowadzenia manewrów na stosunkowo płaskiej powierzchni placu ćwiczebnego, wyszli w teren i zaczęli od początku. Maszerowali w górę i w dół wzgórza, w górę Via Apallia, aż do skraju Żelaznych Wzgórz, i z powrotem. Przeważnie spali poza obozem przez dwie noce i wracali do niego na trzecią, ale raz wyszli prawie na tydzień, ostatnie dwa dni żywiąc się połową racji. Nauczyli się gotować swoje

racje w dekuriach i wznosić obóz każdej nocy, z pełną palisadą i otaczającą ją fosą. Nauczyli się przetykać swoje małpy i kukurydzę w marszu. Nauczyli się sztuki użycia pni i lin do planowania obozu i nauczono ich jak go powiększyć, ile powinno przypadać osób na jedną latrynę, gdzie powinny się znajdować różne części obozu, jak ustawiać wartowników, ilu powinno ich być w zależności od warunków i gdzie ustawiać namioty oficerów.

Maszerowali w słońcu i deszczu, przez koniec wiosny, kiedy z północy nadszedł zimny front i wszystko było bliskie zamarznięcia, oraz przez upał, który spadł na nich wkrótce potem. Nauczyli się przekraczać rzeki i wznosić tymczasowe mosty. Spali pod gołym niebem, nie mając nic oprócz własnych płaszczy i budzili się przed świtem do kolejnego dnia marszu.

Życie było brutalne i bardzo wyniszczające. Jednak żołnierze zgłosili się na ochotnika i prawie każdego ranka zdarzało się, że ktoś podnosił ręce i mówił „przykro mi, mam tego dość”. Sierżanci nie gromili ich za to, po prostu kiwali głowami i odsyłali do kwater w celu wypisania. I było wiele dni, kiedy Herzer też się nad tym zastanawiał.

Ku własnemu zdumieniu zdołał utrzymać swoje stanowisko. Podejrzewał, że kilkakrotnie dochodziło do sytuacji, kiedy powinien zostać odwołany, ale utrzymywał porządek w triari i było ewidentne, że przynajmniej połową powodów, dla których grupa radziła sobie tak dobrze, był jego przykład. Zawsze wstawał jako pierwszy i kładł się ostatni. Zajmował się każdą nieprzyjemną pracą i odmawiał zakończenia, aż została zrobiona *dobrze*. Pojawiało się trochę mamrotania na temat lizusa, ale dość oczywiste było, że po prostu robił to, co wymagało zrobienia. I nigdy nie zwałął pracy na innych. Jeśli ktoś miał problemy, a jakaś praca wymagała więcej namysłu, niż się to z początku wydawało, zawsze pojawiał się z sugestią, jak sobie ułatwić. Kiedy dekuria opadała z sił z powodu przydzielonego jej trudnego fizycznie zadania, zawsze oferował pomocną dłoń. Od czasu do czasu widywał Serża. Przeważnie była to niespodzianka. Byli o całe mile od obozu, maszerując kolejną ścieżką i wychodząc zza zakrętu, natykali się na niego, leniwie opierającego się o drzewo. Albo wznosili palisadę i nagle zauważali, że obsypali ziemią czyjeś buty, które okazywały się należeć do Serża.

Nigdy nie odezwał się do rekrutów, po prostu przyglądał się im i podchodził, żeby porozmawiać z sierżantami. Co zazwyczaj oznaczało dla kogoś potworną awanturę. Po jakimś czasie Herzer zaczął się zastanawiać, jaką pełnił funkcję.

A potem się dowiedzieli.

Wracali do obozu z kolejnego długiego marszu, donośnie śpiewając jakąś piosenkę o „Wielkim pniu”, gdy zobaczyli czekających przy skraju placu ćwiczeń Serża i burmistrza Talbota. Sierżanci wysłali ich do koszar i kazali przygotować się na inspekcję. Wypełnili koszary i zaczęli wyciągać mundury, szukając czystych, a przynajmniej takich, które nie wyglądałyby okropnie, już prawie od tygodnia nie mieli okazji do prania.

Nikt nie wiedział, co ich czeka, więc Herzer został zasypany pytaniami.

– – Nie mam pojęcia – odpowiedział, chwytając jednego z rekrutów i rozprostowując jego mundur. – Coś ty u diabła z nim robił, wzięłeś go za poduszkę?

Sierżanci pokazali im, jak można prasować mundury za pomocą rozgrzanego żelaznego pręta, ale nie było na to czasu i jedyne, co mogli zrobić, to dobrze je naciągnąć i mieć nadzieję, że zgniecenia

nie będą bardzo widoczne.

– ZBIÓRKA!

Wybiegł przez drzwi razem z resztą i zajął swoje miejsce na czele formacji, sprawdzając, czy nikogo nie brakuje. Kiedy już wszystko było gotowe, wykonał precyzyjny półobrót i zasalutował sierżantowi, przyciskając do lewej piersi zaciśniętą prawą pięść.

– Sierzancie triari, wszyscy obecni.

– Przejmuję.

Herzer wykonał kolejny precyzyjny zwrot w prawo i pomaszerował na tyły triari. Kiedy dotarł na swoje miejsce, sierżant zakomenderował.

– OTWORZYĆ SZEREG!

W porównaniu z innymi wykonywanymi przez nich manewrami, ten był prosty. Pierwszy szereg wykonał krok do przodu, drugi został w miejscu, a tylne cofnęły się, tworząc odstęp umożliwiający przejście między rzędami.

Prawdę mówiąc, najtrudniejsze było to dla triari rekrutów, bo ci musieli się cofnąć aż o sześć kroków. Ale ponieważ na treningach cofali się i po sto kroków, Herzer wykonał to bez chwili namysłu.

Serż i burmistrz Talbot przeszli między rzędami i Herzer odetchnął. Była to pobieżna inspekcja, tylko luźno przejeżdżali wzrokiem po rekrutach i poddawali ich szczegółowej kontroli. Przeczekał ją cierpliwie, podobnie jak wszyscy pozostali zastanawiając się, o co w tym wszystkich chodzi, po czym skupił się, gdy podeszli do niego.

– Jak się masz, Herzer? – zapytał burmistrz Edmund.

– Bardzo dobrze, sir! – wyszczeakał Herzer.

Talbot uśmiechnął się lekko i kiwnął głową.

– Choć trudno w to uwierzyć, wydaje mi się, że zrobiłeś się większy.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Herzer milczał, a Edmund oddalił się w towarzystwie starszego sierżanta, który przechodząc, rzucił mu enigmatyczne spojrzenie.

Serż przejął dowodzenie od triari Jeffcoata, a następnie stanął twarzą do oddziału.

– SPOCZNIJ! – wykrzyknął i odczekał, aż staną w pozycji na spoczynku, patrząc na niego.

– Pierwsza klasa Centrum Szkoleniowego Legionistów Raven's Mill z sukcesem ukończyła podstawowe szkolenie rekrutów i przejdzie teraz do Zaawansowanego Szkolenia Legionistów. Oznacza to, że udowodniliście, iż potraficie budować, maszerować i kopać. Teraz nauczymy was, jak *walczyć*. – Przesunął po nich wzrokiem i potrząsnął głową. – Wolno się cieszyć.

Herzer zaczął krzyczeć z radości, i to głośno. Wszyscy bardzo poważnie zastanawiali się, czy kiedykolwiek będą robić coś oprócz marszu i kopania.

– Od tej chwili wcale nie będzie łatwiej, ale będzie inaczej – ciągnął dalej Serż. – Między innymi będzie wam wolno chodzić do miasta. Nie oznacza to, że możecie wkroczyć do gospody i wplątać się w bójkę, ktokolwiek zrobi coś takiego narazi się na *mój* gniew. A jeśli myśleliście, że te plecaki są ciężkie, poczekajcie, aż zabiorę was na marsz z pełnym wyposażeniem. Ale znaleźliście się na drodze do zostania żołnierzami. Macie przepustkę na resztę dnia, do zgaszenia świateł. Pobudka jak zwykle. Och i dojdą do was kobiety, przynajmniej te, które wytrzymały. Zostaną dołączone do poszczególnych grup. Niech wam czasem nie przyjdzie do głowy, że przydzielamy wam kurwy. Przeszły przez identyczne szkolenie jak wy i są takimi samymi żołnierzami. Co więcej, jeśli ktokolwiek zostanie przyłapany na romansowaniu na służbie, stanie przed sądem wojskowym, z groźbą chłosty i degradacji. I niech wam nawet nie zaświta pomysł *zmuszania* ich do zwrócenia na siebie uwagi. Po pierwsze prawdopodobnie podadzą wam wasze jaja na talerzu. A jeśli tego nie zrobią, karą będzie powieszenie. Do tej pory nie mieliśmy mieszanych grup, ponieważ musieliście się nauczyć, co to znaczy dyscyplina.

– Jutro dostaniecie broje i broń treningową. A potem zacznie się *prawdziwe* szkolenie. Rozejść się!

Kiedy rozeszli się do koszar, Herzer zwołał wszystkich.

– Mamy przepustkę na wieczór – powiedział, rozglądając się. – To nie znaczy, że możecie po prostu się stąd zmyć. Ktoś musi zostać do pilnowania ognia. Zostajemy przy grafiku.

– Cholera – zaklął pechowy rekrut.

– Tak. I jeśli planujecie wybranie się do miasta, idziecie w grupach. Z każdą grupą pójdzie przynajmniej jeden dekurion, a jeśli ktoś w grupie coś spieprzy, to on i dekurion będą odpowiadać przede mną.

– A co z *tobą*? – zapytał jeden z nich.

– No cóż, oddałem wszystkie swoje pieniądze do depozytu. – Uśmiechnął się. — A chodzenie po mieście, bez pieniędzy do wydania, jakoś mnie nie pociąga. A nie zamierzam pytać sierżanta Jonesa, czy mogę wyciągnąć trochę gotówki. A wy? — rozejrzał się i kiwnął głową. – Ja? Zamierzam się po prostu *przespać*.

Kilku żołnierzy zdecydowało się pomimo wszystko na wybranie się do miasta i przydzielili Pedersena z trzeciej dekurii do pilnowania ich, a potem skierował się do swojego miejsca na podłodze.

– Czyli chcesz po prostu się kimnąć? – zapytał go leżący na własnym miejscu Cruz.

– Dokładnie. – Herzer poprawił stosik bielizny, którego używał w charakterze poduszki. – Jutro zaczynamy trening z Serżem. O co się założysz, że skopie nam tyłki z samego rana, po prostu żeby pokazać, kto jest kto?

– A co może zrobić z nami takiego, czego już nam nie zrobili? – zapytał Cruz. – Masz coś przeciw temu, żebyśmy się wybrał się do miasta?

– Nie, pod warunkiem, że kogoś ze sobą weźmiesz – odpowiedział Herzer, obracając się na bok i próbując wygodnie się ułożyć. Zazwyczaj usypiał natychmiast, ale tym razem było zbyt wcześnie.

Mimo wszystko, słyszał zew Morfeusza. Przysiągł sobie, że nigdy w życiu nie odpuści już szansy na sen. – Ale lepiej wróć, zanim zgaszą światła i przygotuj się na taniec od rana.

– Tak jest, sir – parsknął Cruz. – Do zobaczenia później, Herzer.

– Tylko jeśli wciąż tu będę, a ty będziesz coś widział.

Herzer, który szedł na końcu, żeby zgarniać wszystkich maruderów, minął Cruza po drodze na Wzgórzu i poklepał go po plecach.

– Zwróciłeś cały ten zajzajer, co? – zapytał radośnie.

– Ty draniu, skąd wiedziałeś? – wyjęczał Cruz.

– Och, po prostu miałem szczęście.

Serż faktycznie postanowił pokazać im, kto tu rządzi. Triari była w trakcie drugiego podejścia, bo pierwsze nie odbyło się zgodnie z oczekiwaniami sierżanta, co wyraził, nie przebierając w słowach.

– Cruz, jeśli chcesz zachować swoje galony, to lepiej ruszaj – powiedział dekurion Jones, podchodząc do dwóch dowódców. – Ruszaj się, Herzer.

– Tak jest, sierżancie – szczechnął, chwytając Cruza za ramię. – Chodź, imprezowiczu.

– Boże, chcę umrzeć -jęknął tamten, zataczając się pod górę. Za nimi sierżanci musztry poganiali innych rekrutów, którzy nie potrafili nadążyć.

– Ile wypięłeś?

– Nie wiem, po drugim kubku miodu wszystko się trochę rozmazało – odparł Cruz i westchnął głęboko.

– Następnym razem słuchaj papy Herzera, dobra? – ze śmiechem parsknął Herzer. – Nawet ślimaki radzą sobie lepiej od ciebie.

– Obiecuję.

Kiedy dotarli na szczyt wzgórza, Serż, który wyglądał, jakby się nawet drań nie spocił, zebrał triari. Herzer zajął swoje miejsce na tyłach. Podstawowy kurs przetrwało siedem kobiet, które zostały wcielone do oddziałów, pomimo że przynajmniej jedna z nich musiała być wcześniej dekurionem rekrutów. Herzer nie był pewien, czy Cruz zatrzyma swoje stanowisko po dzisiejszym poranku, ale Serż nie kazał mu opuścić swojej pozycji, więc najwyraźniej dziś rano był w wybaczącym nastroju.

– No dobrze. Przypuszczam, że się zastanawiacie, czemu tu jesteśmy – zaczął Serż, kiedy ostatni dyszący i zlany potem rekrut zajął miejsce w szeregu. - Istnieje pewna bardzo dobra księga, w której napisano „na wszystko jest czas”, a wy właśnie osiągnęliście czas, by odłożyć dziecięce gry. I to ja jestem człowiekiem, który pochowa zabawki. Zrozumiano?

– ZROZUMIANO, SIERŻANCIE!

– Przez następne kilka tygodni nie będziemy mieć wiele czasu na gry i zabawy, ale pomyślałem, że dobrym pomysłem będzie przypomnienie wam, że kiedy żołnierzom każe się ruszać, to muszą wykonać rozkaz. O tę dolinę toczono już kiedyś bitwę, a generał, który ją *posiadł*, tamtego dnia oparł się na piechocie. Poruszali się tak szybko, że określano ich mianem pieszej kawalerii. I *my* też do tego dojdziemy. Kiedy skończymy, będziecie w stanie maszerować szybciej niż *jakakolwiek* kawaleria i nauczycie się poruszać po ścieżkach, które będą trudne dla *kozy*. Albo nie nazywam się Miles Artur Rutherford. *Zrozumiano!*

– ZROZUMIANO, SIERŻANCIE!

– Będziecie dbać o wasz sprzęt, zanim zajmiecie się sobą. Jeśli będziecie odpowiadać za sprzęt specjalistyczny, zajmiecie się nim, zanim zadacie o własny. Waszym jedynym celem jest wykonanie zadania. Każdego dnia możecie nauczyć się czegoś, by wzbogacić zadanie i każdego dnia *zrobicie* coś takiego!

– A co jest naszym zadaniem, Serż? — uroczyście zapytał Cruz.

– Waszym zadaniem jest umrzeć od strzały albo uderzenia miecza czy halabardy, by nie spotkało to *cywili*. Obowiązkiem polityków będzie zapewnienie, żeby tak było. Jeśli macie z tym jakiś problem, możecie odejść i dołączyć do jakiejś obszarpanej kompanii najemników, albo do tych dupków z milicji, czy schować się pod spódnicę *mamy!* Jednak to jest nasze zadanie! Cywile nie będą *wiedzieć* ani o to *dbać*. Z czasem zaczną was *nienawidzić*. A mimo wszystko *pozostaniecie* wierni i każdego dnia będziecie dążyć do wypełnienia misji! ZROZUMIANO?! – ZROZUMIANO, SERŻ!

– Zrodziliście się we krwi, we krwi będziecie żyć i we krwi umrzecie. Od tego dnia nie jesteście żołnierzami, nie jesteście legionistami, staliście się Panami Krwi. Związani krwią, związani stalą. Powtarzajcie za mną: Krew do krwi...

– Krew do krwi – powtórzył Herzer, czując przebiegający przez ciało prąd.

– Stal do stali...

– Stal do stali.

–

– We krwi żyjemy...

– We krwi żyjemy...

– We krwi zginiemy...

– We krwi zginiemy...

– Panowie Krwi...

– GŁOŚNIEJ!

– PANOWIE KRWI!

– GŁOŚNIEJ!

– PANOWIE KRWI!

– Wracać na dół wzgórza i zjeść śniadanie. Potem przekonamy się, czy któryś z was, młodych durniów, będzie umiał zrobić zbroję.

* * *

Zbroje czekały na nich po obiedzie w postaci stosu skrzynek na wózku ciągniętym przez woły.

Deann wspięła się na wóz i zajrzała do skrzynki na wierzchu.

– Zestaw zbroi, segmentowej, jedna sztuka – odczytała napis na kartce przyklejonej do wierzchu pudła. – Rozmiar: mały. To dla mnie.

– Ściągnijcie je z wozu – zakomenderował Serż. – Przenieście do namiotu dekurii i pokażemy wam, jak sieje montuje.

Po otwarciu skrzynek okazało się, że zawierają one stalowe płyty, uchwyty mocujące, nity, paski skóry i zbijające z tropu instrukcje. Razem ze skrzynkami dostarczono im jakieś narzędzia, które Serż dodał do wyposażenia triari.

Zbrój ę segmentową wykonywało się przez wzięcie stalowych płyt, wygięcie ich odpowiednio do kształtu ciała, a następnie połączenie nakładających się pasów za pomocą mocowań i skórzanych pasków. Płyty musiały być jednak mierzone indywidualnie, by dość dobrze, choć nie przesadnie ściśle obejmowały tors. Gotowa zbroja składała się z czterech elementów: dwóch połówek torsu, po jednej na lewą i prawą stronę, i dwóch naramienników.

Przez następne dwa dni triari pracowała nad zbrojami, przycinając płyty do odpowiedniej długości, wyginając je do zadanego kształtu, wybijając dziury na nity, mocując uchwyty i skórzane paski. Dodatkiem do zbroi była solidna chusto z grubego badwabiu, którą zwijało się w rulon, a następnie układało na ramionach i karku, co chroniło przed zadrapaniami i otarciami ze strony krawędzi zbroi.

Herzer, jak zwykle, miał problemy ze standardowymi zestawami czegokolwiek i trzeba było dostosować kilka elementów specjalnie dla niego. Ale po dwóch dniach, którym towarzyszyło mnóstwo przeklinania ze strony niezbyt wprawnych w montowaniu zbroi rekrutów, wszyscy w triari mieli własne pancerze.

Kiedy zbroje przeszły z sukcesem inspekcję Serża, wydano im nowe hełmy, pilą, miecze i duże drewniane tarcze. Hełmy wykonano w stylu barbuty, czyli litej osłony na głowę z umieszczonym z przodu otworem w kształcie litery „T”. Styl ten miał kilka plusów w stosunku do tradycyjnego rzymskiego wzoru. Z usłyszanego przypadkiem fragmentu rozmowy Herzer dowiedział się, że hełm stanowił najbardziej skomplikowany do wykonania element zbroi. A rzymskie hełmy, z ich wieloma częściami, nitami, taśmami i zawiasami, były znacznie trudniejsze do wykonania od barbut. Co ważniejsze jednak, barbuta była znacznie lepszym projektem. Rzymskie hełmy – nie osłaniające twarzy, choć lekkie i pozwalające na swobodne oddychanie – miały ten minus, że cięcie lub pchnięcie wyprowadzone w twarz miało praktycznie gwarancję skuteczności. Barbuta osłaniała znacznie większą część twarzy, czyniąc tym samym zranienie mniej prawdopodobnym. Jej minusem było oferowanie przez nią gorszego pola widzenia oraz fakt, że nieprzyjemnie się w niej maszerowało. W sumie jednak Herzer cieszył się, że wybrano ten wzór. Wolał raczej mieć problemy z widokiem wokół, niż nie widzieć w ogóle.

Pilum, włócznia rzymskich legionów, było kolejnym wzorem, który skopiowano praktycznie bez zmian. Składało się ze stosunkowo krótkiego drewnianego drzewca, o długości trochę ponad metr, oraz niezwykle długiej i wąskiej metalowej głowicy z paskudnie ostrym, zębatym szczytem. Broń można było wykorzystać jako włócznię i triarii bardzo intensywnie ćwiczyła z nią, maszerując w formacji, a następnie atakując z opuszczoną bronią. Jednak główne zastosowanie pilum polegało na rzucaniu nią. Długa głowica ze stali została zaprojektowana tak, by przebić tarczę, a następnie się *zgiąć*. Mając tarczę z wbitą włócznią, która swoją masą odciągała osłonę do ziemi, wróg nie miał innego wyjścia, jak zatrzymać się i spróbować ją usunąć, opuszczając przy tym tarczę i odsłaniając się. Ponieważ bronią rzucano z bardzo niewielkiej odległości, technika jej wykorzystania polegała na rzuceniu i natychmiastowej szarży. Pierwszy szereg przeciwnika zostałby wówczas unieruchomiony i praktycznie pozbawiony osłony.

Dostali krótkie miecze z klingą przypominająca kształtem liść, o wzorze bardziej celtyckim niż rzymskim. Nosiło sieje w pochwie umieszczonej wysoko, nie całkiem z boku, po prawej stronie. Podstawowa metoda ich wykorzystania to krótkie, szybkie cięcia i pchnięcia, mające na celu ranienie i zabicie przeciwnika. W tej chwili wydano im drewniane wersje broni z umieszczonymi w „klindze” ołowianymi obciążnikami. Herzer miał nadzieję, że te prawdziwe okażą się odrobinę lżejsze.

Ostatni element nowego wyposażenia stanowiła tarcza, i Herzer stwierdził, że jest z niej bardzo niezadowolony. Zamiast typu zaczepianego w dwóch miejscach na przedramieniu trzymało się ją w jednym miejscu z ręką wyciągniętą prosto w dół. Doskonała do walki w formacji, łatwo można było za jej pomocą utworzyć prawdziwą ścianę, prawie nie do przejścia przez wroga, ale tego rodzaju osłony nie dawało się trzymać inaczej niż bezpośrednio przed ciałem. Mimo to dla kogoś szkolonego w znacznie bardziej otwartym stylu walki tarcze były naprawdę niewygodne w użyciu i w dodatku stwarzały niemiłe wrażenie uwięzienia.

Natychmiast rozpoczęli trening, początkowo polegający głównie na marszu z nową bronią. Miecze stanowiły po prostu dodatkowe obciążenie, ale tarcze i pilą wiązały się z innym jeszcze kłopotem. W trakcie marszu nie przesuwali tarcz i samo ich trzymanie, podobnie jak mieczy, obciążonych dodatkowo ołowiem, stanowiło istną torturę, przynajmniej do czasu odpowiedniego rozwinięcia właściwych mięśni.

Pilą były lżejsze i nie stwarzały problemu z noszeniem ich, ale zanim się tego nauczyli, bardzo wiele kłopotów sprawiało rekrutom manewrowanie nimi. Niejednokrotnie zdarzało się, że tylko zbroja chroniła pechowca, którego niechcący dźgnięto głowicą włóczni.

Każdego popołudnia dawano im godzinę na przygotowanie zbroi, a następnie przeprowadzano inspekcję. Najłżejszy ślad brudu na wyposażeniu wywoływał ostrą naganę, a znalezienie plamki rdzy natychmiast karano obciążeniem całej dekurii ciężarkami i przegonieniem jej przez Wzgórze. Szybko nauczyli się dobrze dbać o przyznany im sprzęt.

W końcu Serż ogłosił, że jest w minimalnym stopniu usatysfakcjonowany ich umiejętnością marszu z nowym sprzętem. Co oczywiście oznaczało wyruszenie na długą, forsowną wyprawę.

Jeśli wcześniej myśleli, że te ćwiczenia są straszne, Serż szybko pozbawił ich tych złudzeń. Zamiast trzymania się głównie Via i niektórych z lepszych dróg w jej okolicy zabierał ich na długie marsze ścieżkami, które znał chyba tylko on. W którymś momencie Herzer uświadomił sobie, że nigdy nie oddalili się na więcej niż dwadzieścia mil od miasta, ale niemożliwe było stwierdzenie

tego na podstawie terenu i przebytej odległości. Przechodzili ścieżkami wzdłuż grzbietów gór, a pod sobą widzieli polujące jastrzębie, oraz szlakami przez rozległe bagna. Przeprowadzali się wzdłuż krawędzi urwisk, gdzie jedno poślizgnięcie się oznaczałoby natychmiastową śmierć, i przez grzmiące potoki pełne lodowatej wody. A wszystko to w tempie, przy którym poprzednie marsze zdawały się zwykłymi spacerkami. Serż nie zwracał sobie głowy przygotowywaniem obozów, zdawał się uważać, że ruch stanowił podstawę. Budzili się o poranku i jedli w drodze, przez pięć dni żywili się wyłącznie prażoną kukurydzą i małą, splukiwaną wodą. Przez przynajmniej dwa dni, zanim pośrodku pustkowi spotkali karawanę aprowizacyjną, zadowalali się połową racji.

Każdego ranka przeprowadzano inspekcję sprzętu. Biada temu, kto dopuścił do pojawienia się choćby plamki rdzy na swojej zbroi, pilum, tarczy czy mieczu. Jeśli Serż zauważył coś takiego, obładowywał całą dekurie kamieniami tak, że ledwie trzymali się na nogach. A potem ruszał z pełną prędkością, oczekując, że będą za nim nadążać.

Po drugim takim przypadku ludzie czasem przesiadywali do późnej nocy przy ogniskach, szorując swój sprzęt.

Herzer zauważył, że kiedy zdarzało im się rozbijać obóz, zawsze robili to w miejscu nadającym się do obrony. Inni sierżanci zdawali się dbać po prostu o znalezienie jakiegoś w miarę płaskiego kawałka ziemi. Serż zawsze wyznaczał obóz na wzgórzu, przeważnie takim, które oferowało widok na drogę, której używali, i zazwyczaj w jakimś kluczowym miejscu. Serż nigdy o tym nie mówił i czasem Herzer zastanawiał się, czy była to subtelna lekcja, czy Serż po prostu robił to od tak dawna, że *zawsze* wybierał punkt obronny.

W końcu, po dwóch tygodniach marszu i odbyciu po drodze kilku niewielkich testów z umiejętności rzucania pilum, ale *bez* szkolenia w zakresie użycia miecza i tarczy, wrócili do obozu.

Między namiotami pojawił się nowy budynek, przed którym stał kapral Wilson. Herzer zauważył, że Serż zaprowadził ich na plac ćwiczeń i rozkazał zatrzymanie.

– TRIARI, W LEWO ZWROT! – rozkazał, a następnie – SPOCZNIJ. Herzer opuścił tarczę tak, by opierała się o lewe biodro, rozstawił nogi na szerokość ramion i dłońmi oparł się o wierzch tarczy.

– Na moją komendę, grupami przejść i zdać broń do zbrojowni – powiedział Serż, wskazując nowy budynek. – Następnie wrócić na swoje miejsca.

Po kolei oddawali swoje wciąż schowane w pochwach miecze i pilą, po czym wracali do szeregu.

– Jutro zaczniemy was uczyć użycia mieczy, które właśnie zdaliście, oraz bardziej zaawansowanej walki pilum. Pokażemy wam również, że tarcza może służyć nie tylko do osłaniania się, ale i stanowi broń. Ale to jutro. Dzisiaj zjedzcie solidny posiłek i dobrze odpocznijcie. Ponieważ, jeśli myśleliście, że ostatnie kilka tygodni było ciężkie, to byliście w błędzie. ROZEJŚĆ SIĘ.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Sheida, marszcząc czoło, przyglądała się leżącemu przed nią dokumentowi. Zużyła zdecydowanie za dużo energii na w pełni wirtualne spotkanie delegatów ze wszystkich proto-Wolnych Stanów, ponieważ była to ostatnia szansa na wniesienie poprawek do dokumentu. Jutro zostaną wykonane kopie i przekazane poszczególnym stanom, z wykorzystaniem długich i czasem niebezpiecznych dróg. Marszczyła czoło, ponieważ ostateczny dokument zawierał jej zdaniem zbyt wiele kompromisów.

– Zanim przejdziemy dalej, chciałabym coś skomentować – powiedziała, podnosząc dokument. – Zgadzam się z Edmundem, że długoterminowe konsekwencje utrzymania zmian pozwalających lokalnym rządóm na wprowadzenie pracy niewolnej i stworzenie klasy arystokratycznej będą bardzo poważne. Jedyne pytanie brzmi, czy wywoła to natychmiastową wojnę domową, czy dojdzie do niej dopiero w odległej przyszłości. Chciałabym jeszcze raz przedyskutować te punkty. Szanowny reprezentant Chitao.

W Chitao najwyraźniej doszło do jakichś walk o władzę, ponieważ dwukrotnie zmieniali przedstawiciela, za każdym razem wprowadzając kogoś bardziej zdeterminowanego na wprowadzenie zmian. Miasto leżało na przecięciu szlaków handlowych i już zaczęło rozszerzać swoje zaplecze polityczne, także dwóch innych reprezentantów z tamtego rejonu poparło ich żądania, podobnie jak część innych społeczności rozproszonych w całym Norau. Podział zdawał się nie mieć podłoża geograficznego, skupiając się raczej w okolicach, w których kiedyś znajdowały się większe miasta dawnej Unii Północnoamerykańskiej. Nie popierał tego nikt z przedstawicieli nowych miast-państw, takich jak Raven's Mill i Warnan. Ale większość populacji, wciąż skupionej w rejonach północno-wschodnich i na dalekim zachodzie, faworyzowała prawa zezwalające na obowiązkową pracę.

– Ludzie, których reprezentuję, nie zechcą dołączyć, jeśli nie zostanie utrzymana zgoda na wprowadzenie pracy przymusowej – zaczął, wstając, reprezentant Chitao. – Kiedy doszło do Upadku, wielu nie potrafiło lub nie chciało zrozumieć, że praca stała się koniecznością. Ci, którzy to zrozumieli, szybko stali się znaczącymi obywatelami. Jednak zachowują swoje znaczenie dzięki własnemu wysiłkowi. Osoby, które nie chcą pracować tak ciężko, pragnęły powrócić do dni, kiedy Sieć dawała im wszystko, czego potrzebowali do przeżycia. Ale Sieci już nie ma. Muszą nauczyć się pracować pod nadzorem wykwalifikowanych specjalistów. Zbyt często w naszym rejonie dawali z siebie jedynie minimum, tyle tylko, by napełnić własne żołądki, i to się działo na szkodę całej społeczności. Nie myślą o przyszłości i nadchodzącej zimie, kiedy nie będzie powszechnie dostępnej żywności, a jedynie to, co zostanie zgromadzone i zabezpieczone. Dawanie takim ludziom pełnego głosu oznaczałoby, że mogą przegłosować dla siebie chleba i igrzysk, co stanowi największe niebezpieczeństwo grożące społeczeństwu demokratycznemu. Co więcej, będą głosować, by w chudych czasach odbierać bogatym, ludziom, którzy dzięki swojej ciężkiej pracy *przygotowali się* na niedostatki.

Mężczyzna wyraźnie usztywnił swoje stanowisko.

– Dzięki... odfiltrowaniu tych głosów przez ludzi rozumiejących konieczność ciężkiej pracy i poświęcenia obowiązkóm redukuje się niebezpieczeństwo przegłosowania żądania nadmiernej

opiekuńczości społecznej. My z Chitao oraz społeczeństw Mican, Io, Nawick i Boshwash zdecydowanie odmawiamy dołączenia do Unii, jeśli zostaniemy zmuszeni do zdania się na łaskę tych, którzy uważają, że należy im się miłosierdzie innych. Jeśli, lub kiedy, nauczą się wartości pracy, albo jeśli zrozumieją to ich dzieci, istnieją zapisy umożliwiające im osiągnięcie poziomu pełnego obywatelstwa. Jednak do tego czasu, mrówka przygotowująca się do zimy nie zamierza przyjmować rozkazów od konika polnego, który spędza czas na rozrywkach. – Skłonił się wirtualnym zebraniem i zajął swoje miejsce.

Sheida z niezadowoleniem kiwnęła głową, a następnie gestem poprosiła o zabranie głosu reprezentanta Westfalii.

Jak zwykle ubrany był w zbroję i podniósł się z miejsca przy akompaniamencie zgrzytu blach.

– Wysłuchałem debat dotyczących zapisów odnośnie arystokratycznej izby wyższej. Istnieją ludzie, którzy argumentują przeciw jej wprowadzeniu, twierdząc, że cała władza powinna zostać przekazana w ręce ludzi wszystkich stanów. Jednak pomyślcie o historii demokracji. Zawsze zdarzały się czasy, kiedy demokracje poddawały się żądaniom tłumów. Proponowane ciało ma służyć właśnie ograniczeniu tego rodzaju chwilowych i krótkowzrocznych pasji. Ponadto wykazano, że samo posiadanie przedstawicieli z dużych obszarów geograficznych w dłuższym okresie sprawowania obowiązków nie wystarczy. Mimo wszystko potrafią oni ulegać żądaniom tłuszczy. Muszą, choć jednym okiem, zwracać uwagę na ich żądania, ponieważ w innym wypadku stracą swoje stanowiska. Jednak często tego rodzaju chwilowe namiętności *nie* leżą w dobrze pojętym interesie społeczeństwa. Demokracje działają najlepiej, kiedy podlegają starannemu filtrowaniu. To po prostu bardzo silny filtr, a nie odrzucenie demokracji.

Przedstawiciel Westfalii również twardo obstawał przy swoim.

– Co więcej, proponowane przez nas ciało nie stanowi po prostu reprezentacji arystokratów. W jej skład będą wchodzić, z pełnym prawem głosu, wybrani przedstawiciele stanów, podobnie jak ludzie, którzy zostaną wybrani za zasługi w pracy dla społeczeństwa. Dodatkowo pozycja arystokratyczna będzie traktowana elastycznie. Rodziny... wymierają. Członkowie będą odchodzili na ubocze i wprowadzać się będzie nowych członków. Co więcej, w miarę jak wraz ze wzrostem terytorialnym rośnie będzie liczebność ciała, będą w nim uwzględniani dodatkowi członkowie zarówno ze strony arystokratycznej, jak i służb cywilnych. Będzie to elastyczne ciało, zmieniające się z czasem, ale stale stanowiące przeciwwagę do chwilowych pasji, tak często powodujących upadek społeczeństw demokratycznych. – Skłonił się grupie i usiadł.

– Edmund Talbot, szanowny reprezentant Raven's Mill, spróbuje teraz obalić te argumenty – powiedziała Sheida, kiwając w jego stronę.

Edmund westchnął i podniósł się z miejsca, doskonale zdając sobie sprawę z daremności jego wysiłków.

– W ludzkich piersiach zdaje się kryć coś, co kocha niewolnicze łańcuchy – powiedział, rozglądając się po zgromadzeniu. – Albowiem o tym właśnie rozmawiamy, niech nie będzie co do tego wątpliwości. Zarówno szanowny reprezentant Chitao i równie szanowany przedstawiciel Westfalii mówią prawdę. Każde społeczeństwo demokratyczne narażone jest na niebezpieczeństwo ulegania bezmyślnym pasjom chwili, niezależnie od tego, czy będzie to żądanie chleba, czy

podżeganie do czy przeciw wojnom. A filtrowanie tych pasji stanowi właśnie esencję demokracji reprezentatywnej. Jednak proponowane z takim uporem przez moich adwersarzy filtry wcale nimi nie są, są kajdanami nakładanymi nam i naszym dzieciom. Reprezentant Chitao mówi o trwałej klasie niższej, i nie miejcie złudzeń. Kiedy tylko dług przymusowej pracy będzie mógł być przekazany z pokolenia na pokolenie, nie będzie przed tym ucieczki innej niż bunt lub śmierć. A który z tych niewolników, urodzonych w niewoli i tak umierający, będzie następnym Waszyngtonem, Tsukją czy Assamem? Jak rozwiną swój potencjał, jeśli jedynym ich wyborem, uświęconym przez prawo, pod którym złożymy nasze podpisy i poświadczymy honorem, będzie niewolnicza praca, dzień za dniem, na polach czy w fabrykach swego pana?

Edmund Talbot ciągnął dalej.

– Jeśli chodzi o dziedziczną arystokrację, nigdy nie było wątpliwości co do tego, czy wytrzymała test czasu. Szacowny reprezentant Westfalii mówi o „opieraniu się tiumom”, ale któż, jak nie senat, protestował przeciw działaniom Scipio Afrykańskiego w trakcie Wojen Punickich? I któż, jak nie tłum, go poparł? Wielokrotnie w historii tego rodzaju ciała działały nie w długoterminowym interesie państw, lecz z korzyścią i dla dobra małego, samowybierającego się ciała, pragnącego zachować władzę dla siebie. Porażki późnej Unii Północnoamerykańskiej nie wynikły z działań tłumów, ale z faktu, że niektóre z ich partii politycznych zrobiły się tłuste, bogate i zaczęły de facto stanowić arystokrację bogaczy. Bogaczy tak oderwanych od rzeczywistości, że nie potrafili dostrzec katastrofy nadciągającej na wielu frontach. To samo można powiedzieć o Unii Ropazyjskiej, której biurokracja stała się z czasem praktycznie dziedziczna i zawsze sama siebie wybierała. Oderwała się tym samym od rzeczywistości i szybko osiągnęła masę krytyczną. Na koniec Talbot złożył deklarację.

– Jeśli chodzi o mnie oraz reprezentantów Overjay i Kalina dołączymy do Unii. Ale wiedzcie o tym, że w naszych granicach każdy jest wolny, może działać, głosować i chwytać wszelkie skarby i szczęście, jakie dopuszczalne są prawem. Jeśli czyjkolwiek „poddany” osiągnie nasze ziemie, będzie *wolny* i będziecie musieli wysłać armię, żeby go odzyskać. Co więcej, nie tylko zniesiemy narzuconą nam opończę arystokracji, ale całkowicie odrzucamy jej *ideę!*

Sheida kiwnęła głową, gdy siadał, wbijając ogniste spojrzenie w przedstawiciela Chitao, i uniosła dłoń.

– Kwestie arystokracji i obowiązkowej pracy są ostatnimi pozostałymi. Będziemy teraz głosować nad poszczególnymi poprawkami w celu ustalenia, które zostaną zatwierdzone, a które odrzucone. Proszę o głosowanie w kwestii pracy wymuszonej na terenach, które chcą ją wprowadzić przy równoczesnym zabronieniu jej na terytoriach jej nie popierających.

Tak jak się tego obawiała, poprawka została przyjęta. Po prostu było więcej przedstawicieli popierających ją, niż tych, którzy ją odrzucali. Zastanowiła się, czy nie pozwoliła czasem na zbyt wiele kompromisów czy nie zaprosiła na to spotkanie miast, które nie powinny się tu *znaleźć*. Ale potrzebowała wszystkich sojuszników, jakich mogła zebrać. A w tej chwili oznaczało to konieczność zgody na niewolnictwo. Jeśli taki był koszt, trudno.

– Poprawka zostaje przyjęta – oświadczyła smutno, patrząc na Edmunda, który tylko wzruszył ramionami.

– Proszę o głos w sprawie przyjęcia poprawki dotyczącej stworzenia izby wyższej parlamentu,

zawierającej akceptację arystokracji dziedzicznej i istnienia osób o dożywotnich stanowiskach.

Znów większość głosowała za poprawką, choć margines był większy niż w poprzednim głosowaniu. Zaciekawilo ją, czy wynikało to z faktu, że przedstawiciele zdawali sobie sprawę, że najprawdopodobniej to oni pierwsi zajmą stanowiska.

– Niniejszym przyjęto konstytucję – ogłosiła przez zaciśnięte zęby. – Kopie zostaną natychmiast przygotowane i wypuszczone do obiegu. Kiedy kopia do trze do waszego terytorium, powinniście podjąć nad nią dyskusję w ramach waszego systemu prawnego i przekazać nam, czy ją zatwierdzacie. Ale to jej *ostateczny* kształt, każda społeczność, która zdecyduje się na odrzucenie jej, skazuje się na rezygnację z naszego wsparcia i nie może liczyć na pomoc ze strony Wolnych Stanów. Albo mnie – dodała, patrząc na Edmunda.

Edmund zmarszczył brwi, ale kiwnął głową i zachował spokój.

– Dziękuję wszystkim za przybycie – Sheida skłoniła się i odesłała wszystkie wirtualne postacie z wyjątkiem Edmunda. – Zamierzasz to odrzucić? – zapytała.

– Nie – odpowiedział po chwili. – Ale mówiłem poważnie odnośnie niewolników, którzy dotrą do Overjay. I zabiorę swoje legiony do cholernego Chitao, jeśli tego będzie trzeba, żeby to zrozumieli.

– Jak się rozwija twój „legion”? – zapytała.

– To nie jest nawet centuria – przyznał. – Ale dobrze sobie radzą.

– Cóż, jako królowa, będę miała decydujący głos w zakresie obsadzenia stanowisk w gabinecie – stwierdziła. – Chciałabym, żebyś został ministrem wojny.

– Nie – zaproponował Edmund. – Chcę dowództwa polowego. Nie uwierzysz, do jakiego stopnia mam dość i niedobrze mi się robi od siedzenia za biurkiem.

– Przecież to właśnie ty powiedziałaś mi, żeby myśleć strategicznie, nie taktycznie – przypomniała mu.

– Ależ myślę strategicznie. Tak się składa, że nie mam wątpliwości, że jestem najlepszym generałem, jakim w tej chwili dysponujesz. Głupotą byłoby zwalanie na mnie odpowiedzialności za tworzenie armii. To praca dla wojskowego menedżera. Jak długo będzie dość mądry, by pozwolić wykonywać pracę profesjonalistom.

– Jakieś sugestie?

– To będzie zależało od tego, kto zostanie premierem – przyznał. – Ale sugerowałbym Spehara. Nie jest nawet w części tak dobrym dowódcą ani strategiem, za jakiego się uważa. Ale zaakceptuje niesubordynację z *mojej* strony albo stłukę mu łeb na miazgę moim młotem.

– Mogę to sobie wyobrazić – zgodziła się. – No, idź Edmundzie. I przekaz moje pozdrowienia Daneh. A przy okazji, jak sobie radzi?

– Lepiej w kwestiach mentalnych. Ale ciąża zaczynają przyhamowywać.

– Cięża, fuj – skomentowała Sheida.

– Hmm, królowo? – Z uśmiechem zaczął ją Edmund. – *Znasz* zasadniczy obowiązek panującego, prawda?

– Tak, znam. *Dlatego* właśnie powiedziałam/wy.

– Planujesz urodziny z ciała czy replikator? – zapytał, robiąc poważną minę.

– Do tego jeszcze daleko – odgryzła się Sheida. – O ile się nie sklonuję, muszę znaleźć drugiego dawcę genów. Masz jakieś plany na weekend, Edmundzie? – uśmiechnęła się kokieteryjnie.

– Spróbuj czegoś, a Daneh cię zabije – odpowiedział, krzywiąc się. – Muszę wracać.

– Dobrej zabawy ze swoją armią – życzyła mu Sheida i machnęła ręką. - I pamiętaj o mojej propozycji.

* * *

Nastąpiły kolejne tygodnie szkolenia. Rano nauka walki mieczem, rzucania pilum i manewrowanie tarczą podczas marszu w formacji, a walka mieczami i pilum po południu. Walka mieczem była prosta, składała się głównie z serii niemal mechanicznych cięć i pchnięć. Przygotowali drewniane słupy owinięte sianem i rąbali je i dźgali tak, że mieli wrażenie, iż odpadną im ramiona.

Pila również wykorzystywane były w bardzo zdyscyplinowany sposób. Jeśli używano ich jako włóczni w szyku, należało wysuwać je w odpowiednich chwilach. Trening polegał na wykorzystaniu dużej konstrukcji z drewnianych tarcz na saniach. Serż stawał na saniach, które i tak były bardzo ciężkie, a oni mieli za zadanie, maszerując, pchać je w tył. Rzucanie też odbywało się przepisowo, a technika polega na przygotowaniu się, a następnie rzucie na komendę. Pod koniec szkolenia czuli jak automaty wojskowe, a Herzer przypuszczał, że dokładnie o to chodziło.

Nauczyli się tworzyć skomplikowane formacje na podstawie sygnałów przekazywanych trąbką, flagami, ustnych rozkazów. Tworzyli rzędy, czworoboki i kliny. Szturmowali wyimaginowanych przeciwników i siekli kukły. Cały czas ćwiczyli mięśnie, z czasem dźwigając coraz większe ciężary i pracując na skonstruowanych z drewna przyrządach gimnastycznych. Doszli do stanu, kiedy woleli długie marsze terenowe, ponieważ mniej czasu poświęcali wtedy na musztrę. Walczyli, dekuria przeciw dekurii i pojedynczo. A kiedy przyszedł na to czas, połączono ich z łucznikami.

Widywali ćwiczących łuczników. Od czasu do czasu w trakcie swoich niezliczonych marszy spotykali wędrujących łuczników. Było ich około połowę mniej niż piechoty, a część zdawała się nie mieć łuków. Herzer podejrzewał, że oni też dość intensywnie rozwijali swoje mięśnie.

Obóz łuczniczy znajdował się w sporej odległości od miasta, żeby żadna błędna strzała kogoś nie zraniła, i tylko czasami udało im się zobaczyć ich na manewrach. Kiedy jednak łucznicy do nich dołączyli, dowiedli, że o ile może nie są w stanie maszerować tak długo jak piechota, bez wątpienia nie są gorsi podczas manewrów w terenie. Pierwsze ćwiczenia były proste, piechota miała zdobyć i utrzymać wąski przesmyk, istniejący wyłącznie w wyobraźni oficerów, podczas gdy łucznicy mieli za zadanie ustawić się i przygotować do ataku na przeciwnika.

Panowie Krwi z marszu podeszli do swych pozycji i ustawili w luźną formację bojową. Herzer wiedział, że – technicznie rzecz biorąc – powinni mieć przed sobą lekko uzbrojonych zwiadowców. Jednak, ponieważ wyglądało na to, że nie mają do nich dość żołnierzy, musieli zachowywać się tak,

jakby tam byli. Kiedy siły liniowe zajęły stanowiska, wezwano łuczników, którzy rozlokowali się na niewielkim wzniesieniu na tyłach i nieco po prawej. Pozwolono im przyglądać się łucznikom maszerującym na wyznaczone miejsce i robiło to wrażenie. W każdym trójosobowym zespole znajdował się jeden łucznik, który niósł ze sobą łuk i długi pał. Dwóch pozostałych żołnierzy dźwigało baryłki ze strzałami i duże drewniane tarcze, o wysokości większej niż człowiek. Zespoły łucznicze ustawiły się i opuściły kołki i tarcze. Zanim łucznik wyciągnął hak z pokrowca, pozostali dwaj ustawili tarczę z przechodzącą przez nią tyczką w taki sposób, że przeciwnik atakujący ich natknąłby się na prawdziwy kolczasty mur. Następnie łucznicy stanęli obok tarcz i przygotowali się do strzału.

Po chwili rozpoczęli ostrzał wyimaginowanego przeciwnika i powietrze wypełniły chmury strzał. Pierwsze przeleciały prawie dwieście metrów i wylądowały na niewielkim, ogrodzonym obszarze, który reprezentował siły przeciwnika. Herzer bardzo się ucieszył, że nawet w swojej zbroi nie musi przedzierać się przez ogień. Jednak reakcją Panów Krwi byłoby w takiej sytuacji utworzenie „żółwia” z tarcz nad głowami. Zastanowił się, jak skuteczni mogliby być przy spadającym na głowy deszczu strzał. Łucznicy prowadzili ciągły ogień, a pozostali członkowie zespołów istnieli tylko po to, żeby podawać im strzały. Kiedy robili krótkie przerwy, asystenci podsuwali im wodę i nawet stołki dla łuczników, równocześnie wbijając strzały w ziemię, żeby łucznik mógł szybko sięgać po amunicję.

W końcu – kiedy uznano, że przeciwnik znalazł się w zasięgu pilum – Panowie Krwi, na komendę, ruszyli do przodu, a następnie zgodnie rzucili broń w stronę wymyślnego przeciwnika. Następnie porzucili pozycję obronną i ruszyli na wrogów. Herzer, idąc w pierwszym szeregu, poczuł się trochę głupio, tłukąc powietrze, ale w miarę upływu czasu zdał sobie sprawę, że był to test. Od czasu do czasu cała linia otrzymywała komendę natarcia, na co pchali tarczami przed siebie w wyobrażonego przeciwnika i wykonywali krok do przodu, jakby wróg się cofał. Nie był pewien, czy to by tak zadziało, ale przecież, u diabła, były to w końcu ćwiczenia.

Łucznicy wciąż strzelali i, pamiętając, jak ciężko było strzelać z któregoś z tych łuków nawet przez piętnaście minut, Herzer wiedział, że przeszli bardzo intensywne szkolenie. Kiedy skorzystał z możliwości rozejrzenia się, zauważył, że niektórzy z łuczników zamienili się ze swoimi pomocnikami i masowali sobie teraz ramiona. Kiedy z powrotem zajął się swoją pracą, uznał, że miało to sens, ciągły ruch związany ze strzelaniem z łuku bardzo obciążał ich ramiona i masaż musiał redukować ryzyko wystąpienia uszkodzeń mięśni.

Wreszcie, po czasie, który zdawał się być całym dniem, wydano im rozkaz zatrzymania się i przejścia do pościgu. Zebrali swoje plecaki i zaczęli maszerować.

Panowie Krwi szybko zostawili łuczników w tyle. Gdzieś za nimi powinien się znajdować tabor. On również został w tle. Mając na sobie wyłącznie zbroje i trzydniowe racje żywnościowe w plecakach, po symulowanej ciężkiej bitwie, wyruszyli na marsz życia. Serż wsiadł na konia i poprowadził za sobą kilka dodatkowych. Późnym popołudniem, pierwszego dnia, pojawił się Kane w towarzystwie kilku jeźdźców z jeszcze większą liczbą koni i jucznymi mułami. To było wszystko, co zabrali ze sobą, zaczynając coś, co później zostało określone mianem Marszu Śmierci.

Herzer nie był pewien, gdzie maszerowali ani co robili. Zdawało się, że marsz nie ma żadnego sensu ani celu. Najpierw skierowali się doliną gór Massan, a następnie przez ich podnóże, w górę wschodniej doliny, przez grzbiet jedną z przełęcz i z powrotem inną.

Połowę czasu zajęło im budowanie sobie dróg, po których się poruszali, a przejście głównego grzbietu okazało się szczególnie trudne. Szlak, którym szli, stanowił najwyraźniej starą drogę, ale zdecydowana jej większość została zmyta przez płynącą obok rzekę. Ścinali drzewa, wzmacniali zakręty i stawiali tymczasowe mosty, a wszystko to pod komendą nieustannie poganiającego ich Serża. Szybciej, szybciej, SZYBCIEJ!

W końcu przeszli na drugą stronę, a potem skierowali się z powrotem mniej więcej w kierunku Raven's Mill, tylko po to, żeby *zawrócić* doliną biegnącą wzdłuż starego szlaku kolejowego, a następnie w dół, doliną od wschodu. Kierowali się znów w stronę szczytów gór Massan zachodnią doliną, ale potem skręcili i przeszli zboczem, kolejnym koszmarnym marszem prawie tysiąc metrów nad ziemią, idąc ścieżkami, których prawie nie były w stanie pokonać konie i muły, a blisko szczytu góry dopadła ich burza z piorunami, podczas której zwierzęta szalały ze strachu wywołanego nieustannie wałącymi naokoło błyskawicami. Zeszli w dół do wschodniej doliny i skierowali się znów na *południe*, oddalając się od Raven's Mill.

Zajęło im to prawie trzy tygodnie. Dwukrotnie natykali się na kolumnę zaopatrzeniową. Wszystkie konie i muły zamieniono na świeże, ale i tak maszerowali do późna wieczór i zazwyczaj zrywali się przed świtem. Wędrowali w górę i wzdłuż zachodniej doliny, przez Żelazne Wzgórza, z powrotem w stronę i *obok* Raven's Mill, a następnie całą drogę w dół doliną do jej podstawy i w końcu wylądowali trochę na południe od góry Massan, wyczerpani, bez jedzenia i ze skórzanymi ubraniami i ciężkimi butami w strzępach. Wędrowali przez letnie upały i grzmiące burze, przez pola i lasy stare jak upadek państw, śpiąc pod okryciem z płaszczy i budzili się przed wschodem słońca. Potem, późnym popołudniem, wyszli na polanę z widokiem na wznoszącą się nad nimi górę.

Z wyjątkiem kilku przypadków kontuzji po drodze, które odesłano do Raven's Mill, wszyscy byli w komplecie. Z czterdziestu czterech, którzy wyruszyli w podróż z piekła rodem, do polany dotarło czterdzieścioro. W tym miejscu Serż kazał im się zatrzymać.

Herzer, słysząc to, po prostu osunął się na ziemię. Wciąż znajdowali się dziesiątki kilometrów od Raven's Mill i był pewien, że rano wyruszą w dalszą drogę. Po raz pierwszy nawet nie zawracał sobie głowy rozstawianiem wartowników. Weźmie się za to, zanim zapadnie zmrok, ale nie teraz. W tej chwili wszystko, co mógł zrobić, to uważać, żeby nie zasnąć.

Zobaczył, że Serż podchodzi do starego pomnika z kamienia i podnosi coś z ziemi. Po chwili potrząsnął głową i skierował się do miejsca, gdzie na ziemi siedział triari.

– Wstań, Herzer – powiedział cicho.

Herzer przez chwilę myślał, że nie będzie potrafił, ale uwolnił ramiona od plecaka i rękami odepchnął się od niego, wstając.

– Yang, Locke, Stahl, pierwsza straż. Deann, jesteś pierwszym dowódcą straży.

– Ach, szlag – westchnęła, z wysiłkiem podnosząc się z ziemi. – Wstawać, chłopcy.

– Wstawać i ruszać się – powiedział Herzer, podchodząc do pomnika. – Wkopujemy się, Serż?

– Nie – odparł sierżant. – Po prostu odpocznijcie. Zajmijcie się sprzętem i gotowaniem posiłku, zostajemy tu do rana.

Herzer pozwolił pododdziałom zająć się wszystkim i przyjrzał się pomnikowi. Był tak stary i zniekształcony przez czas i pogodę, że nie dało się z niego odczytać nic oprócz słabego zarysu kilku karabinów chemicznych.

– Wiesz, co to jest, Serż? – zapytał, gdy koło niego pojawił się Rutherford.

– Nie. Tylko, że to grób. Ale przed nim leżało to. – Wyciągnął dłoń ze świeżą cytryną.

Herzer wziął ją i przyjrzał się jej z niedowierzaniem.

– Nikt nie mieszka w tej okolicy, Serż. Kto tu położył tę cytrynę?

– Nie wiem. To miejsce wykorzystywane było na biwak przez ludzi udających się na Jarmark albo po prostu wędrujących od... no cóż, praktycznie od zawsze.

– Nie wydaje mi się, żeby ktoś wiedział, kto spoczywa w grobowcu. Ale każdego dnia leży przed nim świeża cytryna. Zjedz ją, jeśli chcesz. Jutro pojawi się nowa. Herzer wzruszył ramionami i przeciął cytrynę podręcznym nożem. Nie była tak kwaśna, jak się spodziewał, właściwie miała nieco słodki smak, z ostrym, gorzkawym odcieniem.

– Chcesz trochę?

– Nie, dziękuję. – Sierżant potrząsnął głową. – Zauważyłem, że nie zająłeś się pilnowaniem ustawiania obozu.

– Tak, Serż, nie zająłem się – odpowiedział Herzer, wysysając cytrynę. – Dekurioni znają swoje obowiązki. Za chwilę sprawdzę, ale wszystko będzie idealnie, możemy rozbić obóz przez sen.

– Wierzę – zachichotał Rutherford.

– Mogę zadać pytanie, sierżancie? – zapytał Herzer.

– Mów.

– Czy moglibyśmy się dowiedzieć, kiedy wrócimy do miasta? Proszę. Albo kiedy spotkamy się z taborem? I tak idziemy na połowie racji, a ten posiłek będzie naszym ostatnim.

– Jutro – odparł Rutherford. – Doliną idzie w tę stronę karawana z wołami. Pomaszerujemy jutro w jej stronę i spotkamy się gdzieś w dolinie. Czyli stracimy tylko jeden posiłek.

– Dziękuję.

– Za co? Zabierajcie się stąd do diabła, rekrucie – warknął Serż, ale uśmiechał się przy tym.

– Panowie Krwi – szepnął Herzer i oddalił się sprawdzić, kto spieprzył banalnie prostą sprawę rozbijania obozu.

* * *

Wozy z wołami znajdowały się zaledwie pięć kilometrów na pomoc od ich pozycji i doszli do nich, gdy woźnice ledwie zaczęli się zbierać. Wreszcie dostali porządny, gorący posiłek, a ku ich zaskoczeniu Serż kazał im wsiąść na wozy i pozwolił *przejechać* część drogi powrotnej.

Zostali z karawaną przez dwa dni, jadąc stosunkowo wygodnie, choć wyboistą drogą, mnóstwo

jedząc i odzyskując część masy straconej w trakcie Marszu Śmierci, a następnie oderwali się od karawany mniej więcej w połowie drogi do Raven's Mill. Do tego czasu praktycznie wszyscy byli już gotowi do marszu, wozy nie okazały się w sumie aż tak wygodne, a pieszo mogli się poruszać znacznie szybciej.

Wkroczyli do Raven's Mill, śpiewając „Marsz Cambreath”, w lekkim deszczu, gdy słońce zaczynało się już chować za Żelaznymi Górami. Kiedy dotarli do koszar, zaskoczył ich widok czekającego tam na nich tłumu. Serż sztywno zsiadł z konia, podszedł do burmistrza Talbota i krótko mu zasalutował.

– Mój panie, klasa pierwsza Akademii Raven's Mill ukończyła szkolenie i moim zdaniem jest w pełni gotowa do podjęcia służby.

– Dziękuję, starszy sierżancie Rutherfordzie – przyjął raport Edmund, również salutując. – Spoczniej.

Zamiast odmaszerować do szeregu, Rutherford przeszedł na bok, a zbrojmistrz przyniósł przenośne palenisko i kowadło. Palenisko było już rozgrzane i Herzer z niepokojem patrzył na żarzące się węgle.

– Herzer Herrick – zawołał Edmund. – Wystąp.

Herzer wyszedł z tyłu formacji i wykonując serię skrętów o dziewięćdziesiąt stopni i kroków defiladowych stanął przed burmistrzem Talbotem.

– Podnieś prawą dłoń i powtarzaj za mną. Ja, podaj swoje imię...

– Ja, Herzer Herrick.

– Uroczyście przysięgam zachowywać i bronić Konstytucji Królestwa Wolnych Stanów...

– Uroczyście przysięgam...

– Talbot zaprzysiął go, a następnie wyciągnął rękę.

– Inspekcja. Broń.

Herzer sięgnął do boku i wyciągnął swój znieawidzony miecz treningowy, wysuwając go rękojeścią do przodu. Talbot wziął go i podał Serżowi Rutherfordowi, który oddał mu w zamian świeżo wykuty miecz. Talbot wziął go i podniósł w górę.

– Niech nigdy nie będzie wyciągany, lecz, gdy trzeba, niech spuszcza krew. Wyciągnij lewe ramię dłonią do wierzchu.

Herzer wykonał polecenie, a Talbot przesunął miecz po jego przedramieniu, rysując krwawy ślad.

– Krew do krwi... – powiedział i zwiesił głos.

– Stał do stali — zaintonował Herzer.

Talbot podał mu miecz i wziął podane mu przez zbrojmistrza szczypce. W ich kleszczach tkwił metalowy symbol.

– Trzymaj rękę – rozkazał.

Herzer zrobił tak, a Talbot przycisnął metal do wciąż krwawiącej rany. Chłopak zacisnął zęby z powodu bólu i przez chwilę myślał, że zemdleje. Ale wziął głęboki oddech i nie pozwolił sobie na coś takiego.

– Zrodzeni we krwi... – powiedział Talbot.

– We krwi żyjemy... – kontynuował Serż.

– I we krwi zginiemy – wydyszał Herzer, gdy zabrano znak. Talbot wziął garść popiołu i przycisnął go do rany, a potem kiwnął głową zbrojmistrzowi.

Ten postąpił krok do przodu i przejmując wciąż gorący symbol, przycisnął go do zbroi Herzera na wysokości piersi.

– Zajmij swoje miejsce, Panie Krwi Herricku. Witamy w Bractwie.

Gdy zaprzysięgano po kolei wszystkich Panów Krwi, Herzer przyjrzał się znakowi na swoim ramieniu. Przedstawiał orła, trzymającego coś w każdej z łap. W środku umieszczono cyfrę jeden, a wokół znajdował się napis *Semper Fidelis*.

Nie był pewien, co to znaczyło, ale wiedział, że przez resztę życia będzie nosił to wypalone w mózgu i na skórze

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

– Jak leci, Myronie? – zapytał Edmund, siadając koło przyjaciela.

Już od miesiąca czy więcej nie zdarzyło mu się odwiedzić gospody Tarmaca i cieszył się, że zaczynała przygasać początkowa gorączka niezbędnej aktywności. W tej chwili w mieście były jeszcze dwie inne gospody, a Tarmac zaczął obsługiwać bardziej usatkwowanych gości. Edmund rozpoznawał większość jako długoletnich bywalców Jarmarków, a zdumiewająco mało widział w pubie nowych twarzy.

– Całkiem nieźle – odpowiedział farmer. – Mam już pierwszy zbiór ziarna, więc chwilowo możemy przestać się martwić o jedzenie.

– To dobrze – ucieszył się Edmund, gestem prosząc Estelle o piwo. – Choć martwią mnie zapasy na zimę. Musi być jakiś sposób na to, aby ludzie nie głodowali. Oczywiście oprócz „posiadania” ich – dodał ponuro.

– Widziałem to zastrzeżenie w konstytucji – zmarszczył się Myron. – Nie mogę uwierzyć, że na to pozwoliłeś.

– Zostałem przegłosowany – wyjaśnił Edmund. – Miałem do wyboru albo na to się zgodzić, albo wycofać z całości. Jednak myślę, że kiedy już sytuacja się ustabilizuje, nie będzie to takim problemem, jak się wydaje. Praca niewolna najlepiej sprawdza się pod względem ekonomicznym w sytuacji, gdy praca ma bardzo małą wydajność. Nie mamy do czynienia z prostą techniką średniowieczną. Produktywność robotnika obsługującego na przykład krosna mechaniczne jest o rzędy wielkości wyższa niż kobiety tkającej w do mu. A zbyt wiele zawodów wymaga specjalistycznego szkolenia. Nie wspominając już o ekonomicznych skutkach wolnego rynku pracy i idei. Myślę, że na dłuższą metę wszystkie obszary, które opowiedziały się za pracą niewolną, przekonają się, że ekonomicznie zostają z tyłu, zresztą prawdopodobnie to samo będzie dotyczyć przyrostu populacji. To wtedy zrobi się naprawdę nieprzyjemnie.

– Ale tymczasem? – zapytał Myron.

– Tymczasem robotnicy mają przynajmniej zagwarantowane wyżywienie zimą. – Edmund pokiwał głową. – Czyli więcej, niż mogą być pewni robotnicy najemni w tym mieście. Co mnie martwi.

– Cóż, część zaczęła tworzyć nowe farmy – rzekł Myron. – Myślę, że niektórzy z nich są po prostu szaleni, jeśli sądzą, że z tego wyżyją. Ale z drugiej strony paru na pewno poradzi sobie całkiem dobrze. Będziemy po prostu musieli zastanawiać się nad tym w miarę rozwoju sytuacji.

* * *

Mike uśmiechnął się, kiedy przeszli obok szmacianego znacznika przymocowanego do drzewa.

– To tu, Courtney, to wszystko nasze.

– Nasze i miasta – powiedziała, patrząc na rosnące wszędzie drzewa. – Mamy... czeka nas dużo pracy.

– Ale poradzimy sobie – oświadczył Mike tonem pełnym satysfakcji. Mieli niewiarygodne szczęście na loterii, zresztą głównie dzięki Herzerowi.

Jego los wygrał im jednego z trzech osłów schwytych w spędzie. Było to niesamowicie cenne zwierzę dla kogoś, kto dysponował klaczami, rodzące się z takiego związku muły mogły uzyskać wysokie ceny. Jednak dla Mike'a i Courtney był to raczej ślepy zaułek. Miasto przejęło jedną piątą wszystkich schwytych zwierząt i całe mięso z rzeźni, a wiele ze zwierząt trafiło do Myrona Raeburna. Jego silos, który miał zaspokajać potrzeby zdumiewająco dużej liczby klientów nie działającej już firmy „Żywność z Epoki z Raven's Mill”, wykarcił społeczność w trakcie najgorszego kryzysu żywnościowego. Jednak nie rozdawał jedzenia, dostarczał je miastu na kredyt.

Courtney wiedziała o tym, ponieważ w trakcie ich nauki u Myrona zaprzyjaźniła się z Bethan Raeburn. Tak więc, o ile Mike nie był pewien, co zrobić z osłem, ona skierowała się do Bethan. Pomimo że traktowała ją prawie jak drugą matkę, doszło do twardych targów. Pozostałe osły trafiły do ludzi, którzy planowali użyć ich do reprodukcji, a jedyny osioł Myrona robił się już stary. Ten wygrany przez Mike'a i Courtney był młody i zdumiewająco rostry, stanowił więc cenne zwierzę.

W końcu stanęło na tym, że Courtney utargowała za niego od Raeburnów młodego woła, koguta i kure, maciorę, która prawdopodobnie była w ciąży i trochę narzędzi do drewna. Razem z młodym wieprzkiem, którego wygrali jako drugie zwierzę na loterii, oraz pługiem, częściami i liną, które nabyli dzięki połączeniu zaoszczędzonych funduszy i pożyczce Herzera, byli w sytuacji lepszej niż praktycznie wszyscy pozostali pionierzy. Dodatkowo Mike przygarnął bardzo pokiereszowanego rottweilera, którego jedyną wadą zdawała się być olbrzymia przyjacielskość i dziwny lęk przed kotami.

– Byłem tu już kiedyś z McGibbonem – stwierdził Mike, wchodząc na ślad ścieżki prowadzącej od głównej drogi. – Za drzewami jest dobre miejsce na dom. Przeszli ścieżynką kilkaset metrów do niewielkiego wzgórza. Ich droga prowadziła obok małego strumyka wypływającego ze szczeliny w zboczu wzniesienia. Courtney rozejrzała się i oceniła teren. Po usunięciu drzew, co wyglądało na dość poważne przedsięwzięcie, ziemia – poza wzgórzem – będzie płaska i dobra pod pług. Jednak na razie czekało ich pierwsze zadanie tego dnia -rozbić obozu.

Mike zabrał się za mniejsze drzewka w okolicy, ścinając pnie i budując z nich szałas, podczas gdy Courtney odwiązała wołu i wypuściła kury i świnię. Rozrzuciła garść ich cennego ziarna, żeby zwierzęta wiedziały, że będą tutaj karmione, a następnie zajęła się oczyszczaniem terenu, który miał stać się ich domem.

Przez następne kilka tygodni oboje zabierali się do pracy jeszcze przed świtem i nie odpoczywali, jak długo mieli jeszcze jakieś światło. Mike zabierał się do cięższej pracy: ścinał drzewa, zostawiając na miejscu szczyty, przycinał pnie do rozmiarów, przy których dawało się nimi operować, a następnie, zaprzęgając do pomocy wołu, ścigał je na stosy do wyschnięcia. Drugiego wieczora, pracując przy świetle ogniska, wystrugał dla wołu jarzmo, przewiercając je przy użyciu narzędzi wytargowanych od Raeburnów. Wszystko trzeba było zrobić samemu, a jeśli czegoś nie potrafili, musieli się bez tego obejść. Bez żadnej pomocy praca posuwała się powoli, lecz równomiernie. Aby oszczędzić przyniesione ze sobą ziarno, Courtney wędrowała po lasach, szukając tych kilku roślin, o których wiedziała, że są jadalne, podczas gdy Mike ustawiał czasem sidła i zapadnie. Wspólnym wysiłkiem udawało im się zbierać dość pożywienia, które przygotowywali nad ogniskiem.

Wreszcie oczyścili dostatecznie duży obszar, by go obsiać, więc spalili pozostawione na miejscu korony drzew, wypełniając całą okolicę dymem, ale po wypaleniu się ognia ziemię zasiliły popioły, a żar przy okazji zabił kiełkujące już na odsłoniętym terenie chwasty. Przy pomyślnym znaku wiszącego na niebie w dzień księżycy Mike użył wołu i pług, do którego kupił tylko lemiesz, resztę wykonując z własnoręcznie ściętego drzewa, by otworzyć żyzną ziemię i zasiać ziarno, które, jak mieli nadzieję, umożliwi im przetrwanie pierwszego roku. Courtney przygotowała ogródek warzywny, w którym posadziła kupione nasiona pomidorów, fasoli i innych warzyw, które miały wzbogacić ich dietę. Pierwszy rok sprowadzał się bardziej do siania w celu przetrwania niż na sprzedaż i doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Jednak Mike planował przygotować dość ziemi pod zasiewy, by następnego roku móc sprzedawać nadwyżki.

Nawet po zasianiu kukurydzy wciąż było wiele do zrobienia. Wahał się chwilę, który z budynków gospodarskich jest najważniejszy i powinien być wzniesiony jako pierwszy, ale w końcu podjął decyzję. Z rozciętych kłód zbudował kojec dla kur oraz wybieg dla świń, które przejawiały uciążliwość dla gospodarzy tendencję do oddalania się w las, jeśli nie zamknęło się ich na noc. Przed rozpoczęciem orki musiał zebrać z pola liczne kamienie, które Wykorzystał teraz do zbudowania spiżarni z drewnianym dachem i prostą tamą blisko źródła strumienia. Bez dobrego cementu mocno przeciekała, ale zyskali miejsce, gdzie dało się w chłodzie przechowywać mięso przez dzień czy dwa, kiedy zdarzyło im się mieć nadmiar. Maciora była już zauważalnie w ciąży i mieli nadzieję na spore stadko prosiaczków na jesień. W sumie wszystko wyglądało raczej nieźle.

Wtedy, pośrodku tych przygotowań, zjawił się gość: zatrzymał się u nich Jody Dorsett ze swoją ekipą, łącznie z Emorym. Prowadzili parę wołów.

– Dobry Boże, ciężko pracowaliście – stwierdził Jody, idąc wąską ścieżką do ich obejścia. Rozejrzał się po oczyszczonym z drzew terenie i równych rzędach świeżo kiełkującej kukurydzy zasianej na wydartym z lasu terenie.

– To jedyny sposób, żeby to zrobić – szorstko odpowiedział Mike.

– To jedyny sposób, żeby zrobić to *dobrze* — ze śmiechem poprawił go Emory, rozglądając się dookoła. Nie byli ze sobą blisko w programie uczniowskim, ale i tak dobrze było zobaczyć znajomą twarz. — Niedaleko stąd urządzili się Earnon i Nergui. Ściął kilka drzew i już posiał, choć słońce dociera do roślin tylko przez kilka godzin dziennie.

– To nie zadziała – ocenił Mike, wskazując na małe pole. – Nie obsiałem tego do samych granic. Kukurydza potrzebuje światła. Był u Myrona, powinien to wiedzieć.

– To Earnon — zde gustowanym głosem stwierdził Jody. – I nawet do mnie nie mów na temat Karlyn. Odeszła i dołączyła do grupy... no cóż, nazywają je Szalone Wiedźmy. Banda kobiet, nie dopuszczają do siebie żadnych mężczyzn, i nie uwierzyłbyś, jak *one* się urządziły. Ale nie przyszedłem tu plotkować. Mike, chciałbym twojej zgody na coś. Wróciłem do ścinania drzew i wypalania węgla drzewnego. To twoja ziemia, ale chciałbym ściąć część drzew. Jesteś dostatecznie blisko drogi i możemy je spokojnie do niej dociągnąć albo jeszcze lepiej: odczyć do strumyka i odciągnąć wołami jak tratwę. W zamian za stratę surowca zyskasz oczyszczoną ziemię. Moim zdaniem to dobry układ. Właściwie, to Earnon jest trochę bliżej, ale...

– Umowa stoi – powiedział Mike.

– Może zjedlibyście z nami obiad? – zaoferowała Courtney. – Znalazłam trochę dzikiej kapusty, a w jedną z pułapek Mike'a złapał się prosiak. Nie zdążymy zjeść całego mięsa, zanim się zepsuje, nie mamy jeszcze wędzarni, a w spiżarni zdołamy je przechować najwyżej dzień czy dwa.

– Będzie mi miło – ucieszył się Jody. — Mam ze sobą kaszę i nieco suszonego mięsa na posiłki, ale trochę świeżego mięsa i zieleniny byłoby miłą odmianą.

– O interesach porozmawiamy po jedzeniu – powiedziała Courtney z uśmiechem. Mike nie odezwał się ani słowem, nie zmienił nawet wyrazu twarzy, ale wiedział, że Jody zostanie tak wzięty w obroty, że zacznie dzwonić zębami.

* * *

Trzy tygodnie później Jody ze swoją ekipą ruszyli dalej. Zostawili po sobie pas oczyszczonej ziemi, prowadzący od głównej drogi aż do gospodarstwa, pięć pięknych pni hikorów i dwa kasztanów, pociętych na belki i zostawionych do wyschnięcia. Oraz pięć buszli węgla drzewnego. Zostawili jedną piątą swojego urobku, ale Mike pomagał im od czasu do czasu, oferując też wołu, kiedy był dostępny, a Courtney przez większość czasu gotowała dla całej ekipy. Jody był w stanie ściąć i odtransportować więcej drewna niż się spodziewał, a Mike i Courtney zyskali kawał ziemi gotowy do posiania. Wszyscy byli zadowoleni z interesu.

Mike nie był jednak pewien, co zrobić ze świeżo oczyszczoną ziemią. Zaczynało się już robić późne lato, szybko rosnąca superkukurydza sięgała już do kolan, a nie miał zbyt wiele innych nasion.

Po długim namyśle zasiał jeszcze trochę kukurydzy, pomimo że nie był pewien, czy dojrzeje na czas, a potem powędrował do miasta, poszukać Myrona Raeburna.

Farmer pracował w swoim warsztacie, a kiedy wmaszerował do niego Mike, podniósł głowę mile zaskoczony.

– Mike, jak wam idzie?

Mike opowiedział mu o ich relatywnym sukcesie i dobrej wieści w postaci wizyty Jody'ego oraz wynikłym w związku z tym problemie.

– Rzecz w tym, że mam teraz kilka hektarów oczyszczonej ziemi, ale nie wiem, co mógłbym tam posiać. I szczerze mówiąc, nie mam ani nasion, ani pieniędzy na ich zakup.

– No to masz problem – przyznał Myron. – Już środek lata. Większość tego, co mógłbyś posiać, nie wykiełkuje, chyba że będziesz miał szczęście i burza ci nawodni teren.

– Przypuszczam, że mógłbym spróbować doprowadzić nawadnianie – zasugerował Mike. — Mam dobry strumień. Ale będzie trochę podmywał teren.

– Istnieje sposób orki, który temu zapobiegnie – wyjaśnił Myron. – Jeśli strumień płynie w odpowiednim miejscu, warto zaorać w poprzek i puścić tamtędy wodę, choć to nie nawodni całego terenu. Kukurydza może się udać. Ale... jak myślisz, ile byłbyś w stanie nawodnić?

– Z tego, co zostało jeszcze nie obsiane, myślę, że z pół hektara – stwierdził po namyśle Mike.

– Wiesz co, to trochę loteria – powiedział Myron. – Ale może uda ci się zebrać plon badwabiu.

Jeśli będziesz dobrze nawadniał i trafi się prawdziwe babie lato, żeby go zebrać, bo nie da się robić tego na mokro. Ale jeśli pogoda się utrzyma, zyskasz dobry zbiór, a przynajmniej będziesz miał nasiona. Będę chciał jednej piątej zbiorów i jednej piątej nasion za te, które ci dam.

Mike zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym zmarszczył czoło.

– Nawet nie myśl, o nasyłaniu na mnie Courtney – z szerokim uśmiechem zastrzegł się Myron. – Nie dam jej lepszych warunków.

– Może być – ze śmiechem zgodził się Mike.

– Dorzucę też trochę fasoli – dodał Myron, podnosząc się ze swojego miejsca. – Nie będzie wymagać dużo wody poza posianiem, a możesz ją podlewać ręcznie. I czego nie przechowasz, łatwo sprzedasz w mieście.

Tak więc Mike wrócił z koszykiem pełnym nasion i zabrał się do pracy.

* * *

– Ishtar – odezwała się Sheida w chwilę po materializacji w rezydencji przyjaciółki. – Ładnie tu masz.

Dom mieścił się na szczycie góry w centralnej Tauranii, stylem trzymając się lokalnych wzorów, z luźnym planem otwierającym się na wewnętrzny dziedziniec z fontanną na środku. Podłogę wyłożono kafelkami, a na ścianach umieszczono mozaiki z półszlachetnych kamieni. Przez okna rozciągał się widok na niekończące się, pokryte drzewami góry. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było śladu ludzkich siedzib, ale Sheida wiedziała, że pod przywództwem jej przyjaciółki żyły miliony.

Ishtar zajmowała się w Tauranii mniej więcej tym samym co ona, choć tworzone przez nią społeczeństwo było znacznie bardziej arystokratyczne niż w Norau. Pozycja Ishtar była też zdecydowanie słabsza niż Sheidy, pełniła raczej funkcję uniwersalnego rzecznika praw obywatelskich w różnych społecznościach rejonu, a nie odgrywała formalnej roli prawnej. Ludność tej okolicy nie była zbyt przywiązana do praw, działając w bardzo nieformalnych społecznościach miast-państw.

Taurania ucierpiała znacznie mniej od innych terenów, ponieważ miała bardzo długie tradycje utrzymywania „naturalnych” społeczeństw oraz dlatego, że wiele domów w okolicy trzymało się tradycyjnych wzorców, skupiając się w małe miasta, a nie tworząc mocno rozproszone społeczeństwa, jak w Norau i Ropazji. Pozwoliło to ludności „upaść” do znacznie stabilniejszych grup. Cały region uległ kiedyś zniszczeniu ekologicznemu od stuleci intensywnej eksploatacji, ale nawet jeszcze przed okresem agresywnego odtwarzania i restytucji ekologicznej Rady przyczyniły się do odbudowania rejonu. Sheida widziała zdjęcia ogołoconych niegdyś gór i potężnych pustyń, ale przez ostatnie parę tysięcy lat region został odbudowany, znów tworząc prawie raj. Co, kiedy doszło do Upadku, było bardzo szczęśliwą okolicznością dla jego mieszkańców.

– Dziękuję – odpowiedziała Ishtar. – Na szczęście Paul nie uznał jeszcze za stosowne zaatakować mojego domu. Mimo wszystko trzymam osłony w gotowości.

– Cóż, mam nadzieję, że go nie zaatakuje – powiedziała Sheida. – Trudno byłoby nam oddać energię. I w tej sprawie właśnie cię odwiedzam. – Wyświetliła wirtualny obraz czegoś, co wglądało

jak bardzo duża wążka. – Aikawa wpadł na ten pomysł. Potrzebujemy energii, a wykorzystaliśmy już wszystkie tradycyjne metody. Ale jedno źródło, do którego jeszcze się nie podpięliśmy z powodu jego rozproszenia, to energia słoneczna.

– Ustawianie paneli... – Ishtar zmarszczyła czoło.

– Nie panele – przerwała jej Sheida. – To stworzenie będzie uwalniać nanity. Produkuje je w swoim ciele, a następnie przekazuje je strażnikom środowiskowym, takim jak chochliki i skrzaty. Potrafi się również reprodukować, jest całkowicie naturalne i biologiczne. A nanity przekażą energię tylko osobom dysponującym odpowiednimi protokołami. Tak więc może rozsiewać nanity, które będą gromadzić energię słoneczną i przekazywać ją potrzebującym.

– To bardzo rozproszona forma zasilania – zauważyła Ishtar, przyglądając się owadowi. – I jak to się wpasuje w środowisko? Będą musiały przeżyć samodzielnie.

– No cóż, część energii pochłona na własne potrzeby. A zjada wszystko to, co normalne wążki. Oczywiście to też będzie gatunek drapieżnika. Przeprowadziłam trochę modelowania środowiskowego i całkiem dobrze się to integruje, a przynajmniej nie ma wpływu destabilizującego.

– Jak proponujesz je rozprzestrzeniać? – zapytała Ishtar. – I co sądzą o nich nasi mali przyjaciele? – dodała, wskazując na owiniętą wokół karku Sheidy jaszczurkę.

– On uważa je za ofiarę – zaśmiała się Sheida. – I można im przekazać dodatkową energię, nakazując dolecieć do określonych miejsc na ziemi. Tak więc stosunkowo łatwo jest je szeroko rozpowszechnić. Ale gdybyś mogła je zacząć tu hodować, a Ungphakorn w Soam, ja w Norau i tak dalej...

– Czy Sojusz Nowego Przeznaczenia może korzystać z tej energii?

– Nie, nie przekazują jej do Sieci. Można im tego zabronić. Ale Sojusz może nas naśladować. Mogę sobie wyobrazić, że będzie dochodzić do walk o nasłonecznione tereny, ale to daleka perspektywa. Musimy najpierw rozpowszechnić nanity.

– Hmm – mruknęła Ishtar, zamykając oczy. – Na dłuższą metę może to nawet bardziej przysłużyć się Paulowi. Ma więcej terenów niż my i więcej z nich w obszarach o wysokim nasłonecznieniu. Czy to interferuje z fotosyntezą?

– Nie – zapewniła ją Sheida. – Pochłaniają kompletnie różną długość fali. I oczywiście nie mogą się same replikować. Więc będą się rozprzestrzeniać wolno, niezależnie od wszystkiego. Ostatnia rzecz to fakt, że się odpychają, nie zajmą więcej niż dziesięć procent metra kwadratowego, i to w maksymalnych odległościach od siebie. Nie chcę, żeby cały świat wyglądał jak pokryty kurzem.

– Dobrze – zgodziła się Ishtar. – Wezmę trochę tych stworzeń i je rozprowadzę. Zacznę na Południowych Bagnach. Powinno im się tam podobać.

– Czy doszłaś może do tego, kto dostarcza Paulowi energii? – zapytała Sheida.

– Jeszcze nie – przyznała Ishtar. – Muszę wysłać biologicznych zwiadowców podobnych do tych twoich owadów, żeby spróbowały zlokalizować wszystkich członków rady nadzorczej Wofa 359. Skierowałam je do ich ostatniego znanego położenia, a potem mają spróbować każdego odnaleźć. Idzie to bardzo powoli, jak dotąd udało mi się ustalić, że sześcioro z nich zginęło albo tuż przed, albo

zaraz po Upadku. Do innych jeszcze nie dotarłam.

– No cóż, informuj mnie – poprosiła Sheida. – Mam dziwne uczucie, że jeszcze nas to ugryzie w tyłek.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Herzer nie bardzo wiedział, jak będzie wyglądać stacjonowanie w jednym miejscu, ale okazało się, że nie różni się to zbyt od dotychczasowego szkolenia. Wciąż intensywnie ćwiczyli każdego dnia, dźwigali ciężary i regularnie maszerowali po drogach, nie wspominając o codziennym wspinaniu się na Wzgórze. Dodatkowo zaprzęgnięto ich do pracy przy wznoszeniu bardziej trwałego obozu. Budowali koszary z drewnianymi ścianami z desek i podłogami w miejsce namiotów, w których dotąd mieszkali, i robili sobie do nich meble. Herzer całkiem dobrze radził sobie przy budowaniu, ale w trakcie produkcji mebli ujawniła się jego nieumiejętność precyzyjnej obróbki drewna. Po zobaczeniu pierwszych, katastrofalnych prób Jeffcoat wysłał go do innych zadań.

Teren obozu został powiększony, a robotnicy z miasta pod nadzorem Herzera powiększyli fosę i obszar objęty palisadą. Został również obarczony odpowiedzialnością za ich utrzymanie i opłacanie, odkrywając przy tym koszar papierkowej roboty. Radził sobie z tym jednak całkiem dobrze, więc Jeffcoat, który -jak się okazało – był prawie funkcjonalnym analfabetą, w coraz większym stopniu przekazywał w jego ręce administrację obozem. Herzer wkrótce stał się odpowiedzialny za dokumentację finansową, wypłaty, plany szkolenia, codzienne grafiki i wszystkie inne prace administracyjne niezbędne przy prowadzeniu jednostki wojskowej. Kiedy stwierdził, że zaczął *generować* dokumenty, zdecydował, że siedzi w tym już za długo i w wolnym czasie zaczął pracować nad planami rozwoju.

Zgodnie z jego sugestią, część szkolenia triari zaczęła obejmować regularne symulowane bitwy z miejską milicją. Dało to dwie korzyści. Po pierwsze umożliwiło zarówno wojsku, jak i milicji dobry trening, bardziej realistyczny niż w przypadku walk w dekuriach. Drugą był fakt, że milicja szybko odkryła, i przekazała wiadomość dalej, że między tymi formacjami istniała przepaść. Przy pierwszym spotkaniu Herzer, pełniący rolę dowódcy triari, był zaskoczony jak łatwo udało im się rozgromić milicję, która w dużej mierze składała się z rekrejonistów sprzed Upadku. W części było to zasługą łuczników, którzy w rekordowym czasie zajęli pozycję i potraktowali „przeciwogniem” kuszników i krótkie łuki milicji, jeszcze zanim obie formacje się starły. Drugą kwestią była różnica między zdyscyplinowanym rzędem tarcz i „luźną formacją” Panów Krwi kontra mniej więcej bezładnej kupie, którą atakowała milicja.

Milicja utworzyła dwa rzędy. Za pierwszym szeregiem praktycznie nieuzbrojonych tarczowników następował rząd włóczników i halabardników. Ścisła formacja Panów Krwi i ich doskonała dyscyplina pozwoliła im rozbić kordon tarcz przeciwnika, a następnie rozgromić lżej uzbrojone grupy w głębi szyku. Przy czym doszło do tego bez rzucania pilum, a nawet bez strzelania do milicji przez łuczników. Bardzo pomogło to w uspokojeniu budzącego się konfliktu między cywilami a wojskiem.

W Raven's Mill wciąż prawie nie istniały żadne towary luksusowe i praktycznie nikt nie miał nadmiaru wolnego czasu. Wszyscy pracowali niemal na okrągło. Tak więc w sobotnie wieczory, kiedy żołnierzy wypuszczano na przepustki, fakt, że większość z nich miała do wydania jakieś pieniądze, w połączeniu z tym, że bardzo rzadko widziano intensywność ich szkolenia, wywoływał sporo niezadowolona. Doszło do kilku walk, a raz nawet dźgnięto żołnierza nożem, na szczęście nie śmiertelnie. Jednak po pierwszej bitwie z milicją, kiedy to wojsko rozgromiło ją tak sprawnie i

szybko, oraz po zwróceniu uwagi na fakt, że Panowie Krwi *będą pierwszymi*, którzy staną wobec każdego przeciwnika i zapewne zarazem ostatnimi, część niepokojów przygasła. Wciąż po obu stronach było paru niezadowolonych, ale ćwiczenia pomogły zredukować napięcia. A fakt, że był to pomysł Herzera, znów ściągnął na niego uwagę Edmunda Talbota.

Przygotowywał właśnie któregoś wieczora parametry następnej bitwy, kiedy otworzyły się drzwi do biura triari, i ukazał się w nich burmistrz.

– Herzer, jest sobota wieczór – powiedział. – Co u diabła robisz, wciąż pracując? Kiedy zobaczyłem światło, myślałem, że to Serż.

– Próbuję dopracować scenariusz następnej bitwy, burmistrzu Edmundzie. Mamy poważny problem, ponieważ nie potrafimy pokryć dostatecznie szerokiego frontu i wydaje mi się, że można by lepiej wykorzystać łuczników. Ale wymagałoby to wykonania jakiegoś rodzaju strzał treningowych albo stworzenia systemu punktacji. A Kane będzie protestował przeciw punktacji, o ile nie będę miał do niej dobrych podstaw. – Wskazał na leżące na biurku książki. – To Crecy, Poitiers i Agincourt, czytałem ich opisy w celu ustalenia, ile strzał pozwala uzyskać określone zniszczenia sił przeciwnika.

– Dobry Boże, synu. – Edmund roześmiał się. – Powinieneś być po prostu spytać mnie. Znam te liczby na pamięć. A prosta odpowiedź jest taka, że gdyby milicja *naprawdę* z wami walczyła, zostałyby wybita w ciągu pierwszych kilku minut. Mimo to masz rację, nie jesteście w stanie walczyć na dość szerokim froncie. Synu, musisz sobie zrobić przerwę. Odłóż pióro, odłóż miecz i chodź do knajpy na drinka. Stawiam pierwszą kolejkę.

– Cóż, sir – niepewnie odparł Herzer. – Nie wiem. Właściwie to nie mam w tej chwili za dużo gotówki.

– No chodź – powiedział burmistrz, chwytając go za ramię i zmuszając do wstania. – Wychodzisz. Sama praca bez żadnej zabawy nie wpływa dobrze na rozwój osobowości. A właściwie, to *czemu* nie masz pieniędzy? Wszyscy narzekają, że wojsko jest przepłacane.

– No cóż, nie przepuściłem ich – tłumaczył Herzer, gasząc lampę i wychodząc z biura. – Właściwie... oszczędzałem i inwestowałem. Robert Usawe uruchamia dragowanie i przyjmuje inwestorów. Biorąc pod uwagę, ile murarze płacą za rzeczny piach i kamienie wygląda na to, że inwestycja w barki i dragę może się zwrócić w pięć miesięcy. A same koszty operacyjne są stosunkowo niskie. Więc ostatnio większość pieniędzy zainwestowałem właśnie w to. Mam również udziały w pożyczce dla Johna Millera na rozbudowę tartaku. Więc to nie tak, że nie mam funduszy, po prostu są zainwestowane.

– A do mnie doszły wieści o twojej umowie z młodym Mike'em – ze śmiechem powiedział Edmund. – Nigdy nie słyszałeś tego powiedzenia „ciesz się chwilą, bo jutro możesz zginąć”? Łap, co możesz, kiedy tylko się da, synu. Nie ma gwarancji, że przeżyjesz do jutra. To znaczy: tak, inwestowanie jest świetne i w ogóle. Ale powinieneś zachować część pieniędzy na wydatki i przyzwoite życie.

Miasto pełne było ludzi cieszących się przyjemnym wieczorem późnego lata, więc dotarcie do gospody Tarmaca wymagało nieco przepychania się. Wnętrze było zatłoczone, ale Herzer zauważył wolne miejsce przy stole zajmowanym głównie przez Pierwszą Dekurię Panów Krwi. Połowę

pomieszczenia okupował Kane, z częścią swoich kawalerzystów, i kilku milicjantów rekreacjonistów śpiewających jakąś piosenkę o jęczmieniu. Na scenie występowała rudowłosa minstrelka – wyglądało na to, że ma tu stałą posadę – a zespół przygrywał jej z zapalem, tak że udawało im się przebijać przez nieskładne podśpiewywanie zebranych w tawernie gości.

Herzer usiadł obok Pedersena, a Edmund zajął miejsce po drugiej stronie stołu i gestem poprosił Estrelle o kolejkę.

– Co tu robisz? – krzyknęła przez hałasy Deann. – Myślałam, że dalej wypalasz olej!

– Powiedziałem mu, że nie mamy oleju do marnowania! – zawołał Edmund, odbierając kufle z piwem i podając jeden Herzerowi. – I że musi częściej wychodzić!

– Taak jess! – nietrzeźwym głosem zgodził się Cruz. – Jedz, pij i ciesz się, jutro zginiemy!

– A ty pijesz na kredyt – roześmiał się Pedersen. – Bo przegrałeś do mnie tygodniowy żołąd w kości!

– I teraz będziesz pi'ował, 'ebym żył! – wyszczerzył się Cruz i klepnął dekuriona po ramieniu.

– Co myślicie o szkoleniu? – zapytał Edmund.

– Okropne! Tak nie powinno 'ę trak... nawet psa!

– Było... interesujące – dodał Herzer. – Myślę, że ten Marsz Śmierci na koniec stanowił szczególnie miły element.

– Dzięki – odpowiedział Edmund. – To był mój pomysł!

– Czy to pan kazał się nam zatrzymać na koniec na tamtej polanie? – zapytał Herzer. – Co jest z tym grobem?

– Tego musisz się sam dowiedzieć – posępnie odparł Edmund. – Został tam pochowany wielki człowiek. Bardzo wielki. Jeden z najlepszych generałów w historii świata. Całkowicie zapomniany, jeśli nie liczyć kilku takich dinozaurów jak ja.

– To pan kładzie tam cytryny? – zapytał Herzer.

– Nie – z uśmiechem zaprzeczył Talbot. – To pojawiło się jeszcze przed moimi czasami. Ale miło jest wiedzieć, że to wciąż działa.

– Cóż, nie są złe – stwierdził Herzer, wzruszając ramionami. – Nie tak kwaśne, jak większość cytryn.

– Nie zjadłeś jej chyba, co? – Burmistrz popatrzył na niego nieufnie.

– Och, tak. – Herzer wyglądał na szczerze zmartwionego. – Czemu?

– Hmmm – wymamrotał Edmund. – Nie... nie masz jakichś dziwnych snów, co? – zapytał, przyglądając się młodzieńcowi od stóp do głów.

– Nie.

– Siedzisz bardzo wyprostowany, czy to coś, czego się nauczyłeś, czy...

– Zawsze miałem dobrą sylwetkę – zachnął się Herzer. – O co u diabła panu chodzi, burmistrz Edmundzie?

– Cóż – Talbot wzruszył ramionami, śmiejąc się *-prawdopodobnie* nic się nie stało. Ale jeśli zaczniesz przy myśleniu podnosić lewą rękę nad głowę, będziemy musieli przeprowadzić egzorcyzmy.

– Co?!

Zespół zakończył ostatnią piosenkę i Cruz z nieprzytomnym wzrokiem oderwał się od swojego piwa, po czym zaczął rytmicznie walić w stół.

– Cam-BREATH, Cam-BREATH, Cam-BREATH!

Okrzyk został podjęty przez innych, łącznie z kawalerzystami w rogu, a dziewczyna potrząsnęła głową.

– Niech was muchy zjedzą, żołnierze! – krzyknęła ze śmiechem. – Zawsze domagacie się Cambreath. No to wam je dam! – Po tych słowach machnęła do orkiestry i zaczęli grać melodię pieśni, ale słowa były inne niż te zapamiętane przez Herzera. Dobrze znał tę pieśń, stanowiła praktycznie hymn Panów Krwi i śpiewali ją podczas każdego marszu. Ale ta miała słowa tak różne, że zaczął się śmiać i nie potrafił przestać.

Rambo Żaba, mężny zbój,

Ruszył godnie w dziki bój.

Wsiadł na żółwia, pędzi, gna,

Przy księżycu walka ta.

Dziki boje, wrogów rój.

Gna z pomocą pluton żab,

Rozbić wroga trzeba w puch,

Wszak trza much nałapać w brzuch!

Kiedy doszło do zwrotki, w której żaba atakowała czapkę, Herzer śmiał się tak bardzo, że miał problemy z utrzymaniem się na ławce.

– Chłopak zdecydowanie musi częściej wychodzić – powiedziała Deann. Herzer nawet nie zdał sobie sprawy, że wypił pierwszy kufel, zanim nie znalazł się w połowie drugiego. A skoro dwa piwa się spotkały, doszły do wniosku, że potrzebują towarzystwa. W miarę upływu wieczoru wszystko stawało się odrobinę bardziej rozmazane, aż do chwili, gdy obie grupy śpiewały „Żółtą wstęgę” i jeden z kawalerzystów zaczął nagle krzyczeć na Cruza.

– To *kawalerzysta*, ty durniu! – wykrzyczał pijany żołnierz, podchodząc do ich stołu.

– To *legionista*, ty patykowaty koniojebco! – odpowiedział Cruz, wstając.

– *Żółty* to kolor *kawalerii*, ty ubłocony kretynie! – oświadczył najwyraźniej pełen samobójczych

intencji żołnierza. Był przynajmniej o głowę niższy od Cruza i ważył o dobre dwadzieścia kilo mniej.

– Hej, hej, hej – spokojnie odezwał się Herzer, wstając i kładąc ręce na ich piersiach, żeby ich rozdzielić. – Żó-łty – wymówił uważnie — to ko-olor ka-wa-lerii, Cruz. – Potem odwrócił się do faktycznie niezbyt mocno zbudowanego kawalerzysty. – Z drugiej stroony, piosenka tra... rta... była zazwyczaj śpiewaana pod sztanda... pod czymś — dokończył.

– Odwal się ode mnie, ty tchórze – burknął żołnierz.

– Coś ty powiedział? – groźnie zapytał Herzer.

– Porzuciłeś i *uciekłeś* od doktor Ghorbani – prychnął żołnierz tuż przed tym, jak w jego twarz uderzyła pięść.

Herzer nie za dobrze pamiętał to, co działo się w ciągu następnej minuty, czy coś koło tego. Później przypominał sobie jedynie niewyraźny obraz przemykającej mu przed oczami twarzy Kane'a, najpewniej wyrzuconego w powietrze, kiedy próbował go powstrzymać i dobiegający gdzieś zza pleców krzyk PANOWIE KRWI! Ale tak naprawdę jedyną rzeczą, którą zapamiętał, było drobne, niewielkie ciało przylegające do jego pleców, przyciskające jego twarz do podłogi w absolutnie niezrywalnym uchwycie zapaśniczym.

– Nie dostaniesz już więcej drinków, triari Herzer – spokojnie oświadczyła Estrelle.

Tak jest, proszę pani – odpowiedział Herzer. Homunkulus zablokował jego nogi w jakiegoś rodzaju bloku krzyżowym, wcisnął mu twarz w podłogę, a obie ręce wykręcił za plecami. A kiedy spróbował się poruszyć, docisnęła ręce na tyle, żeby uświadomić mu, że tylko jej dobrej woli zawdzięczał posiadanie rąk i ramion w całości. Była zaprogramowana na stosowanie minimalnej koniecznej przemocy. – Będę grzeczny.

– Daj mu wstać, Estrelle. – Herzer usłyszał głos Serża, mówiącego najbardziej sierzancim tonem.

Estrelle odwinęła się z niego i dźwignęła jego dobrze ponad stukilowe ciało, jakby nic nie ważył.

– Co się tu stało? – zapytał Serż.

– To całkowicie moja wina – żałośnie odezwał się Herzer.

– Wymieniono ostre słowa, starszy sierzancie Rutherfordzie – powiedział Kane, machając ręką, jakby chciał zbagatelizować incydent. – Jeden z moich ludzi dość głośno wypowiedział dość nieprzyjemne oskarżenie. A Herzer... dość źle to zniósł.

– Co z nim? – zapytał Serż. – Mam na myśli żołnierza.

– Cóż – odparł Kane, pocierając nabrzmiewający na czole siniak – wszyscy będziemy żyć. Ale myślę, że moglibyśmy rozważyć wyznaczenie piechocie i kawalerii osobnych wolnych wieczorów.

– Herzer, czy zaatakowałeś mistrza kawalerii Kane'a? – lodowato zapytał Serż.

– Ja... nie jestem pewien, sierzancie – przyznał Herzer.

– Ja też niezbyt dobrze to pamiętam – szybko wtrącił się Kane. – Naprawdę sugerowałbym, żeby to puścić w niepamięć. Ostre słowa, kilka... uderzeń. To żołnierze, Serż.

– Nie, moi ludzie to *Panowie Krwi* i walczą z tymi, którym *ja* im każą walczyć – oświadczył Serż.
– Herzer, wracaj do koszar. Zostajesz w areszcie domowym do czasu, aż zdecyduję, jak cię ukarać.
Możesz się uznać za pozbawionego statusu triari. Odejść.

* * *

Herzer leżał na swojej pryczy z palcami splecionymi za głową, kiedy przez drzwi wcisnęli się inni Panowie Krwi.

– To pieprzona niesprawiedliwość! – gniewnie odezwała się Deann. – Ten arogancki koniojebca sam się prosił o kopa. Możemy śpiewać, co tylko chcemy!

– Nie słyszałem, co powiedział – odezwał się Cruz. – Co u diabła cię tak wkurzyło? Praktycznie przerzuciłeś go pod drugą ścianę. A przy okazji, to pięknie wyglądało.

– Powiedział, że porzuciłem i uciekłem od doktor Ghorbani, kiedy została zgwałcona – wyjaśnił prosto Herzer.

– CO? – wrzasnęła Deann. – Kiedy wyjdzie ze szpitala, natychmiast go zabiję.

– Deann – odezwał się cicho Herzer – jest tylko jeden problem.

– Jaki?

– Że to prawda – odpowiedział i obrócił się na bok

Kane zgłosił się na wezwanie do biura Edmunda i rozejrzał się po pozostałych. Oprócz Edmunda, który siedział za biurkiem z kamiennym wyrazem twarzy, byli tam jeszcze Serż Rutherford i Daneh Ghorbani, z brzuchem grubym od zaawansowanej ciąży.

– Kane – odezwał się Edmund, wskazując na krzesło obok Serża. – Czy byłbyś uprzejmy opowiedzieć mi swoją wersję wydarzeń wczorajszego wieczora. Proszę, w całości.

– Jeden z moich ludzi najwyraźniej próbował wywołać walkę z Panami Krwi z powodu zmienionych rzekomo słów, do śpiewanej przez nich piosenki – wyjaśnił Kane. – Szykowałem się do odciążenia go, kiedy interweniował Herzer i próbował ich rozdzielić. Żołnierz, o nazwisku McLerran, oskarżył wtedy Herzera o porzucenie i ucieczkę, kiedy...

– Kiedy zostałam zgwałcona – dokończyła za niego Daneh, pocierając się po brzuchu.

– Tak. Wtedy Herzer go uderzył. Mocno.

– Ma szczękę połamaną w kilku miejscach. Próbowałam ją złożyć, ale nigdy już nie będzie za dobrze mówił. Na szczęście, mogłabym dodać – powiedziała jadowicie Daneh.

Twarz Kane'a zmieniła wyraz, ale nie odezwał się i wzruszył ramionami.

– McLerran ma... nigdy nie był jednym z moich lepszych ludzi. Problem w tym, że kiedy Herzer go uderzył, facet przeleciał przez stół i kilku z pozostałych kawalerzystów uznało to za obrażę, niezależnie czy z powodu uderzenia, czy rozlanych drinków. A Herzer ruszył za McLerranem, jakby chciał go zabić. Więc próbowaliśmy... interweniować. Jeszcze dwóch moich ludzi i kilku

milicjantów jest...

– W szpitalu, przynajmniej na kilka dni – westchnęła Daneh i poprawiła się na krześle. – Herzer jest...

– Herzer jest sprawą, którą musimy się zająć – stwierdził Edmund, dotykając palcami czubka nosa. – Problem w tym, że zgodnie z tym, co mówi Daneh, oskarżenie jest prawdziwe. Choć nie do końca jasno mi to wytłumaczyła – dodał z kamienną twarzą.

– Prawdziwe i... wcale nie takie, na jakie wygląda – westchnęła Daneh. – Był z bandą McCanoca, ale z tego, co zdołałam zaobserwować, do tamtej chwili nie robili niczego złego. Po prostu próbowali... przeżyć. To był dziwny czas. Był zagubiony tak jak reszta, a znał McCanoca i... Ach! – nagle w desperacji podniosła ręce. – *Wiecie*, jak wtedy było! Nie muszę wam chyba tego wyjaśniać!

– Mów dalej – cicho poprosił Edmund.

– Kilku z ludzi McCanoca złapało mnie i przyprowadziło do reszty, gdzie był Herzer. On powiedział McCanocowi, że mnie zna, a tamten odpowiedział na to mniej więcej, że to dobrze i może zacząć pierwszy.

– Au – powiedział Serż, potrząsając głową.

– McCanoc wyciągnął miecz. Herzer nie miał żadnej broni, a ich było sporo. Gdyby próbował walczyć, zginąłby i *niczego* by nie zmienił! – wykrzyknęła ostro Daneh, a potem skrzywiła się, gdy poruszyło się w niej dziecko. – To *moja* tragedia i o *moim* ciele rozmawiamy i jeśli ktoś mógłby być zły – dodała, patrząc twardo na Edmunda – to wyłącznie ja.

– A nie jesteś? – zapytał zaskoczony Kane.

– Herzer był moim *pacjentem* – wyjaśniła, wzdychając. – Przed Upadkiem. Włożyłam w niego mnóstwo pracy. Wolalabym, żeby nie została zmarnowana. – Przerwała i znów westchnęła. – Co czuję poza tym, to już wyłącznie *moja* sprawa.

– Czy żołnierz McLerran faktycznie o tym wiedział? – zapytał Edmund.

– Cóż, nie mówi w tej chwili zbyt wyraźnie – przyznał Kane. – Ale twierdzi, że nie, że strzelał na ślepo. Ja... też słyszałem takie plotki. – Potrząsnął głową i wzruszył ramionami. – Herzer stał się dość popularny w społeczności. Jest dobrze znany niektórym z bardziej prominentnych obywateli, a jego działania w trakcie spędu już przeszły do legendy. Włącznie z jego... nieco przesadnym heroizmem. To budzi zazdrość. Znana jest kolejność niektórych wydarzeń do tyczących... ataku na panią. Nie *ta* kolejność, ale to, że Herzer był tam przed kimkolwiek innym.

– Rachel – powiedziała Daneh, zaciskając wargi.

– Możliwe, ale *nie do końca* – poprawił Kane. – Rachel jakiejś koleżance, ta innej, a wszystko wymieszane w plotkę. Miła krwista plotka do obrzucenia błotem kogoś, kto zachowuje się zbyt szlachetnie, by mogła to być prawda. Plotka, która na nieszczęście okazuje się być prawdziwa.

– Serż, a wpływ na Władców Krwi... – westchnął Edmund.

– Zły. Herzer był jednym z ich naturalnych przywódców. Nie są teraz pewni, co mają z tym zrobić.

Dotąd wszyscy traktowali go jak bohatera, do bycia nimi też ich szkoliliśmy. Walcz do śmierci. On uciekł. W ich oczach stał się tchórzem. W tym zakresie mają bardzo jednobarwne spojrzenie na świat. Z drugiej strony, jest jednym z nich. Jeszcze bardziej, skoro przestał być triari. Najeżdżają na niego, ale widać, że nie są z tym szczęśliwi. Przez ostatnie dwa dni doszło do dwóch kolejnych bijatyk.

– Jakie jest *twoje* zdanie na ten temat? – zapytał Edmund. – Gdzie stoisz, Miles?

Serż zastanowił się nad tym chwilę, a potem potrząsnął głową.

– Ilu, pani doktor?

– Ośmiu – odpowiedziała neutralnie.

– Uzbrojonych?

– Jeden z łukiem, McCanoc z mieczem i jeszcze kilku z nożami.

– Może, *może* byłbym w stanie się z tego wydostać – ocenił Serż. – A przy tym utrzymać cię przy życiu i nie dopuścić do gwałtu. Herzer nie miał szans. Nie wtedy. Prawdopodobnie nawet teraz. Kiedyś, w przyszłości, tak, nawet przeciw McCanocowi. Podjął taktyczną decyzję o wycofaniu się i zostawieniu pani za sobą. Czasem trzeba zdecydować się na straty. Kiedy wrócił, był uzbrojony, prawda?

– Tak – powiedziała cicho, trzymając się za brzuch.

– Przypuszczam, że bał się wrócić i zastać panią z podciętym gardłem. Jeśli *on* ma koszmary, to prawdopodobnie tak wygląda jeden z nich. A gdyby został, nie sądzę, żeby jeszcze żył, ale większość z nich zabrałby ze sobą. Nie potrafi się poddawać. Przetrwa. Poradzę sobie z Panami Krwi. Choć nie jestem pewien, jak on sam to znieśie.

– Jest gotów dać się zabić, podejmując bohaterskie wysiłki – stwierdził Edmund, zaciskając zęby tak, że wyraźnie było słychać ich zgrzyt.

– Edmund, wybacz mu – ostro rozkazała Daneh.

– Zrobię to. Ale bądź tak uprzejma i daj mi na to trochę czasu, dobrze?

– Dobrze – powiedziała nieszczęśliwie.

– Niestety, ludzie nie dadzą mu spokoju – stwierdził Edmund. – To naturalne. Widziałem, jak patrzyli na niego z zachwytem, nawet kiedy starał się być skromny. Teraz będą go ściągać w dół.

– Popracuję nad tym – z determinacją oświadczyła Daneh. – Zajmę się tym na następnej sesji. A panie przekażą wieść, że najeżdżanie na Herzera nie jest dobrym pomysłem.

– Rachel – powiedział Edmund.

– Rodzina. – Daneh pokiwała głową, patrząc w stronę pozostałych.

– Dobrze, jeśli to wszystko...

– Nie... zupełnie – niechętnie przyznał Kane. – Pamiętasz, że chciałeś, żebym wysłał patrol w głąb

doliny?

– Tak – odparł Edmund. – Handlarze donieśli o jakichś dużych siłach, które przemieszczały się na północ w pobliżu Rowany. Ich celem mogła być zarówno Rowana, jak i Raven's Mill czy Washan. Wysłano patrol, który miał sprawdzić, czy nie chodzi o Washan, a następny miał zostać wysłany w celu sprawdzenia, co dzieje się w dolinie.

– Cóż, mój patrol leży w szpitalu. Reszta jeźdźców jest za miastem, na południe od Resan. Zostało mi tylko trzech, oprócz mnie. Wolałbym raczej być na miejscu, kiedy wrócą pozostali. A nie chcę tych trzech wysłać samych. Zresztą, oni są... dość niedoświadczeni.

– Cholera – mruknął Edmund, potrząsając głową. Zastanowił się przez chwilę, a potem znów zaklął. – A co, do diabła.

– Tak – powiedział Kane. – Właśnie doszedłeś do tego co ja.

– Herzer – burknął Serż.

– Trzyma się na koniu lepiej niż większość moich jeźdźców – stwierdził Kane. – Znacznie lepiej niż pozostała mi trójka. Wiesz, Edmundzie, w tej chwili albo on, albo ja.

– Ja też potrafię jeździć – wtrącił się Serż. – Potrafię nawet walczyć z konia.

– Nie – oświadczył Edmund. – Z tego samego powodu, dla którego nie może pojechać Kane ani ja. Ten handlarz powiedział, że było ich całkiem sporo, a wydawało mu się, że stanowią tylko część głównych sił. Jeśli to oddziały, które zaatakowały Resan, nie chcę, żeby któryś z was wyjechał na patrol, a jeszcze bardziej, żeby został na nim usieczony.

– I myślisz o wysłaniu *Herzera*? – zapytała Daneh.

– Jego można poświęcić – brutalnie odpowiedział Edmund. – A przynajmniej w większym stopniu niż któregoś z nas trzech albo ciebie.

– I myślisz o wysłaniu go na patrol z trzema kawalerzystami, choć dopiero co umieścił resztę ich oddziału w szpitalu? – Daneh zachnęła się. – Oszalałeś.

– Cóż, przynajmniej nie będą się go czepiać – prychnął Kane. – Nie w twarz.

– Herzer jest... – Daneh umilkła i potrząsnęła głową. – Jest... bardziej wrażliwy na słowa szeptane za plecami niż wypowiedziane prosto w twarz. I skąd wiesz że któryś z nich nie wsadzi mu noża między żebra w trakcie snu?

– Och daj spokój – gniewnie zaoponował Kane. – Nie są aż *tak* wściekli. To zresztą bardziej sprawa pogardy niż złości. Zresztą wydostanie go z miasta dobrze mu zrobi. Pozwoli się wszystkiemu uspokoić, da ludziom okazję do plotkowania o czymś innym.

– Jak długo? – zapytał Edmund.

– Dwa tygodnie – ocenił Kane. – Prosto doliną, a potem powrót od wschodu. Dodatkowe konie i pasza.

– Zrób tak – polecił Talbot.

– Edmund!

– Rozmowa jest skończona – odpowiedział zimno.

– Powiem mu o tym – rzekł Serż, wstając. – Edmundzie, Kane, madame Ghorbani. – Ukłonił się i wyszedł, a w ślad za nim Kane.

– Ta dyskusja jeszcze się *nie* skończyła – powiedziała Daneh, wstając i poprawiając swoją suknię.

– Zobaczmy się wieczorem – westchnął Edmund, zakładając okulary i wracając do dokumentów.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Patrol „zabierzcie go w diabły z miasta”, jak myślał o nim Herzer, nie okazał się wielkim sukcesem, ale przynajmniej dobiegał końca. Trójka kawalerzystów nie zamieniła z nim więcej słów niż było konieczne w sprawach związanych z patrolem, ale jemu to zdecydowanie odpowiadało. I tak nie był w nastroju do rozmów, a jedyne go tematy, jakie przychodził mu na myśl, *zdecydowanie* wolał nie poruszać. Po prostu wykonali swoje zadanie, przejeżdżając długą pętlą wzdłuż zachodniego zbocza góry Massan, a potem z powrotem od wschodu, nie zauważając niczego oprócz dzikiej zwierzyny. Podobno w okolicy miał się znajdować duży oddział wroga, ale nie dostrzegli żadnych jego śladów. Raz natknęli się na pozostałości po obozowisku, ale trop znikł, kiedy obozujący tam ludzie się rozdzielili. Było to na południowo-zachodnich zboczach góry Massan i od tamtego dnia posuwali bardzo ostrożnie, ale po paru dniach, kiedy nie natknęli się na żadne więcej ślady, wrócili do zwykłej jazdy.

Dolina zaczynała ulegać wczesnej jesieni i noce robiły się już zimne, a górne gałęzie drzew powoli zmieniały kolory. Jednak niżej, w dolinie, w dzień wciąż było gorąco i nagrzane powietrze wokół nich stało nieruchomo.

Herzer zdjął hełm i wytarł twarz, spoglądając na słońce, aby ocenić godzinę. Gdyby jechali szybciej i nie zatrzymywali się na popołudniową przerwę, prawdopodobnie mogliby jeszcze tego dnia dotrzeć do miasta, choć może późnym wieczorem. Konie radziły sobie całkiem nieźle, po drodze mieli mnóstwo pastwisk i praktycznie nie tknęli zabranego ze sobą ziarna, z wyjątkiem garści co wieczór dla każdego z koni, żeby utrzymać je w dobrym nastroju. Wierzchowce wciąż pozostawały na tyle w formie, by donieść ich do miasta, choć dotarłyby tam zmęczone. Był przekonany, że kawalerzyści zgadzali się z nim, ale nie zaskodziło zapytać. Odwrócił się, żeby zwrócić się do jednego z nich o opinię kiedy z drzew obok szlaku zerwała się nagle gołębica, a on wbił pięty w boki Diabło.

– Pułapka! – krzyknął, ostro popędzając konia, a powietrze wypełniło się nagle strzałami. Przelatując nad nimi, syczały złowieszczo. Usłyszał zza pleców krzyk, a kiedy się obejrzał, zobaczył, jak jeden z kawalerzystów chwieje się w siodle ze strzałą sterczącą z ramienia.

– Wracać do miasta – wrzasnął, a potem zatoczył się na bok, gdy jego koń juczny przewrócił się ze strzałą w boku.

– Odciąć luzaki! – krzyknął, przeklinając się za niepomyślenie o tym wcześniej. Gdy zrobił to ze swoim, a trzy pozostałe przemknęły obok, zobaczył wypadającą z lasu grupę sześciu jeźdźców.

– Ruszać się – zawołał! – Jeden z nas musi wrócić do miasta!

Obejrzał się i z rezygnacją potrząsnął głową. Goniące ich konie należały do jakiejś nie znanej mu odmiany, ale były szybkie, równie szybkie jak Diabło w pełni sił. A ich jeźdźców chroniły lekkie zbroje, podczas gdy on ubrany był w pełną płytówkę Panów Krwi. Kawalerzyści mieli spore szansę ucieczki, o ile nie czekała na nich dalej kolejna pułapka. Ale on zostawał z tyłu i pościg zaczynał go już dopędzać.

– Hi, Diabło! Biegnij, chłopcze, biegnij po życie – zawołał Herzer. – I *po moje* dodał w myślach.

Pomyślał, że byłaby to upokarzająca śmierć. Uważał, że zginie w bitwie, na pierwszej linii, broniąc Raven's Mill. Ale teraz znalazł się w trudnej sytuacji. Choć właściwie, był *przed* pierwszą linią. Śmiejąc się, znów pogonił konia i popędził lekkim wzniesieniem w stronę wąskiego przesmyku. W tym samym momencie usłyszał przed sobą kolejny wrzask, a potem całą serię okrzyków.

Gdy dotarł na szczyt fałdy, zobaczył, że jeden z kawalerzystów leży na ziemi, a dwaj pozostali walczą z grupą pieszych. Żałując, że nie ma ze sobą lancy, Herzer wyciągnął miecz i zaszarżował na grupę, wpadając na nich z Diabło i tnąc z góry. Zostawił swój miecz Panów Krwi i pawęż w mieście, pożyczając przed wyjazdem od burmistrza Edmunda konwencjonalny długi miecz i kawaleryjską tarczę. Cieszył się z tej decyzji, krótki miecz byłby bezużyteczny w takiej walce, podobnie jak jego szkolenie legionisty. Musiał polegać na tym, co zapamiętał z walki długim mieczem.

Odskoczył na parę kroków od walczących, wodzami zatrzymał konia w miejscu i rozejrzał się po wąskim przesmyku, w którym doszło do potyczki. Dobrze.

Zeskoczył z konia, zdjął z uchwytu tarczę i uderzył w nią płazem miecza.

– PĘDŹ, DIABŁO! – krzyknął. – Pędź do domu!

Z tym okrzykiem zaszarżował na grupę piechoty, wymachując mieczem. Jeden z nich zamachnął się na niego toporem, ale Herzer odruchowo zasłonił się tarczą, a potem wgniół stalowe okucie w przeciwnika i ciął kolejnego przez twarz.

– UCIEKAJCIE, DURNIE! – wrzasnął, gdy jeden z pozostałych kawalerzystów zawrócił mu na pomoc. – Wracać do miasta! To *rozkaz!* – Zamachnął się na kolejnego z napastników, a potem cofnął, by za plecami mieć skarpe. Prawdopodobnie były to pozostałości po dawnej drodze z czasów Norau, i powinno to wystarczyć. Jeśli udałoby mu się pokonać tych trzech, miał dostatecznie dobrą pozycję, by zmierzyć się z kawalerzystami. Jeśli.

Dwóch miało włócznie, z których jedna najwyraźniej dobiła rannego kawalerzystę, ponieważ była czerwona od krwi, a trzeci trzymał dodatkowo niezgrabny topór. Wyższy z włóczników zaatakował, a Herzer zablokował włócznię bokiem tarczy, a potem ciął drzewce, jakby było to kolejne ćwiczenie. Ku jego zaskoczeniu drewno ustąpiło bez problemu, więc poprowadził cios dalej, rozrąbując napastnika.

Pierwszy raz w życiu świadomie zabił człowieka, a jego przeciwnik zatoczył się do tyłu, charcząc jakby z żalem, z krwią wypływającą z cięcia i fragmentami jelit pokazującymi się w ziejącym otworze rany. Miał czarne włosy i brodę, która zaczynała już siwieć. Otworzył usta, a Herzer uświadomił sobie nagle, że życie tego mężczyzny dobiegło końca. Po chwili tamten zamknął usta i bezgłośnie już zwałił się na ziemię.

Przez chwilę Herzera opadły dreszcze, ale gdy zamierzył się na niego topornik, odruchowo wrócił do rzeczywistości, blokując cios tarczą, a następnie skoczył do przodu, uderzając wroga i równocześnie unikając ciosu drugiego włócznika, tego z krwią kawalerzysty na grocie broni. Czubek włóczni przesunął się po płytach jego zbroi, i choć zdołał się wcisnąć w szczelinę między nimi, to

jednak na tyle słabo, że ledwie przebił tkaninę pod spodem. Herzer stęknął od uderzenia, ale znów ciał w dół, rozłupując drzewce tuż poniżej grotu. Potem znów naskoczył na topornika, który wciąż zataczał się od uderzenia tarczą i wykończył go cięciem przez gardło. W ten sposób został mu tylko włócznik, który tymczasem odwrócił się do ucieczki.

Herzer podniósł topór i zważył go w dłoni, po czym wzruszył ramionami i z największą starannością cisnął nim za uciekającym. Bardziej dzięki szczęściu niż umiejętnościom trafił go między łopatki, obalając na ziemię. Co oznaczałoby koniec potyczki, gdyby w tej samej chwili na szczycie wzniesienia nie pojawiło się sześciu kawalerzystów. Chłopak, zmęczony, westchnął i stanął w pozycji obronnej. Czekał go kolejny trening. Kawalerzyści nie mieli lanc, tylko miecze. Mogli spróbować go stratować albo zasieć mieczami. Był dobrze osłonięty przed ciosem z góry, więc technika polegała na odsunięciu się na lewo od szarżującego konia i cięciu go w bok, przyjmując uderzenie miecza na zbroję i hełm.

W tym przypadku problem polegał na tym, że cała szóstka stłoczyła się razem, żeby go dopaść i nie było między nimi dość miejsca. Zresztą ich konie były albo bardzo dobrze, albo bardzo źle wyszkolone, ponieważ zamiast ominąć rannego włócznika stratowały go. A Herzer stwierdził, że najprawdopodobniej za chwilę spotka go taki sam los. W związku z tym, gdy się zbliżali, podbiegł do ściany wąwozu i z rozpędu wbiegł na nią, wykorzystując siłę pędu do odbicia się w powietrze i uderzenia ciałem w jeźdźca z lewej strony.

Nie próbował niczego wyszukanego w rodzaju utrzymania się na koniu czy cięcia, po prostu pozwolił, by ponad sto kilo jego masy plus dwadzieścia zbroi uderzyło w przeciwnika.

Nie był w stanie stwierdzić, czy napastnik zginął na miejscu, czy dopiero od uderzenia w ziemię, ale nie było to istotne. Na wszelki wypadek Herzer wylądował na nim, używając jego ciała do zamortyzowania własnego upadku.

Mimo wszystko lądowanie, prawie płasko na twarz, wycisnęło mu powietrze z płuc, a jego hełm uderzając w ziemię, boleśnie wcisnął mu się w kark. Ale zdołał się podnieść na nogi, upewniając się co do losu przeciwnika przez oparcie się o niego przy wstawaniu czubkiem miecza i przebijając na wylot.

Stanął na nogach i głęboko wciągnął powietrze, machając mieczem i czekając na pozostałych pięciu jeźdźców.

– No chodźcie, dranie! – zawołał. – Do miasta jest jeszcze daleko, boli mnie głowa, a niedługo zrobi się ciemno. Przed północą chcę się napić piwa!

Kawalerzyści zebrali się, żeby znów go zaatakować, ale jeden z nich powstrzymał pozostałych gestem i sięgnął w dół, otwierając wiszący przy kolanie pokrowiec z łukiem.

Herzer zamarł, gdy z pokrowca wyciągnięty został kompozytowy łuk, a przeciwnik nachylił się następnie po strzałę. Strzała z takiego łuku bez problemu mogła przebić jego zbroję, a prawdopodobnie poradziłaby sobie i z tarczą. Co więcej, drań mógł strzelać do niego z dystansu, nawet gdyby na niego natarł.

Mimo wszystko był to jego jedyny wybór, więc podniósł w górę tarczę, osłaniając się nią i zaczął biec.

– ILU DRANI POŚLEM W PIACH!

Rzucili się na niego pozostali jeźdźcy, tnąc z góry, ale skupił się wyłącznie na łuczniku, który próbował uspokoić swojego konia. Z tej odległości był to banalny strzał i Herzer patrzył już na grot wycelowany prosto w swoją twarz, gdy rozległ się świst strzały.

Mężczyzna bezwładnie stoczył się z konia na ziemię.

Nie wiedział, skąd nadleciała strzała, ale odwrócił się w bok i ciął jednego z napastników, a powietrze przeszła seria świstów i brząków zwalnianej cięciwy, których efektem były kolejne cztery ciała spadające z koni na ziemię, ze strzałami tkwiącymi w piersiach, karku i oku.

Spojrzał na wzniesienie nad przewężeniem i zobaczył, jak zeskakuje z niego łucznik w lekkiej zbroi i uśmiecha się lubieżnie.

– Cześć, kochasiu – powitała go Bast, opierając dłoń na biodrze. – Przepraszam, że zepsułam ci przyjemność, ale nie chciałam pozwolić, żeby uszkodzili mi zabawkę.

* * *

Herzer i Bast spotkali Kane'a wraz z grupą milicji o kilometr od granic miasta. Para trzymała się za ręce, Herzer jechał na wymęczonym Diabło, a Bast dosiadała gniadego wierzchowca będącego jednym z koni jucznych. Prowadzili za sobą stadko uwiązanych koni, z których część niosła na sobie trupy.

– Słyszałem, że nie żyjesz – z uśmiechem przywitał go Kane.

– Niezupełnie – radośnie odpowiedział Herzer, ale zaraz spoważniał. – Jednak Barsten nie przeżył. Jest z tyłu na koniu.

– Tak. – Kane kiwnął głową. – Ilu?

– Sześciu w drugiej pułapce i sześciu jeźdźców. Ale nie wiem, ilu w pierwszej. Dużo. Bast widziała ich jeszcze więcej.

– Tak jak powiedział, dużo – potwierdziła Bast. – Ale myślę, że resztę powinien usłyszeć Edmund.

– Cóż, na pewno będzie chciał cię zobaczyć. Wezmę konie.

– Nie czekajcie tutaj, nie wiemy, co nadchodzi. – poradził Herzer, patrząc na resztki światła. – Choć wątpię, żeby miało przyjść dziś wieczorem.

– Pojedziemy za wami, ale lepiej się pospieszcie – zasugerował Kane. – Ruszaj, triari.

– Straciłem to stanowisko – sprostował Herzer, krzywiąc się.

– Nie sędzę, żebyś długo miał się tym martwić – skomentował Kane z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Diabło był w stanie zdobyć się na cwał, a Herzer nie chciał bardziej go poganiać. Kiedy dotarli do miasta dostrzegł pędzących w różnych kierunkach ludzi z pochodniami, a gdzieś rozbrzmiewał dzwon.

– Widzę, że reszta zwiadowców dotarła do miasta – zauważył Herzer.

– Tak – zgodziła się Bast. – A teraz owce gromadzą się za płotem ze strachu przed wilkami.

– Owce mają zęby – stwierdził Herzer, gdy kłusowali do bramy. – I psy pasterskie. Hej, Cruz, otwieraj do diabła. Mam piekielne odciski od siodła i chcę zleźć z tego stworzenia.

– HERZER! – wrzasnął Cruz, zeskakując z palisady i wołając o pomoc w otwarciu bram.

Gdy Herzer przeprowadził konia przez bramę, usłyszał innych ludzi wołających jego imię i nagle otaczała go cała triari, tłocząc się na tyle blisko, że Diabło zrobił się nerwowy.

– Cofnąć się! – roześmiał się Herzer, zsiadając, a potem chwytając się kurczowo za ramię. Po bitwie stwierdził, że przynajmniej jednemu z jeźdźców udało się wgiąć jego zbroję dostatecznie mocno, by obtłuc mu kość, ale poza tym i niewielkim draśnięciem na boku wyszedł ze swojej pierwszej bitwy nienaruszony.

– Ty żyjesz. – Cruz radośnie poklepał go po ramieniu.

– Au! – wrzasnął Herzer. – Tak, żyję. Ludzie wciąż to powtarzają. I uważaj na to ramię.

– Twoja zbroja robi wrażenie – zaśmiała się Deann. Faktycznie, była cała zbryzgana krwią. – Lepiej żeby cię tak nie zobaczył Serż.

– Nie bardzo miałem czym ją wyczyścić – przyznał Herzer, przełykając, gdy przypomniał sobie pozostałości potyczki. – Kane prowadzi pozostałe konie i ciała. Mam się zgłosić do burmistrza Talbota.

– Teraz *barona Edmunda* – poinformowała go Deann. – Kiedy cię nie było, przyjęli konstytucję Wolnych Stanów. I zgadnij, kto został pierwszym szlachcicem wybranym przez aklamację?

– Och – powiedział Herzer, obracając w głowie tytuł. – Wydaje mi się... że jakoś to pasuje.

– Zdegradowali go do barona? – ze śmiechem spytała Bast. – Mnie się zdaje, że to nie pasuje. Książę, tak. Nawet król. Ale *baron*? Nie sądzę.

– Cóż, i tak trzeba się zgłosić do *barona* – stwierdził Herzer, ruszając w stronę ratusza.

Strażnicy przy drzwiach powstrzymywali napór całkiem sporego tłumu, ale przepuścili go bez problemu, rozpoznając ze zdziwieniem.

– Myślałem, że nie żyjesz? – powiedział jeden z nich, a Herzer słyszał swoje imię powtarzane w tłumie. – Prawie, ale jeszcze nie.

Wewnątrz sala rady przedstawiała dziwny widok. Większość z radnych została najwyraźniej wyrzucona i zostali tam tylko Serż, Daneh, grubym od cięży brzuchem, Rachel i baron Edmund zgromadzeni wokół czegoś na stole. Podchodząc bliżej, Herzer uświadomił sobie, że był to królik. Dokładnie rzecz biorąc: białobrazowy królik z oklapniętymi uszami. Miał na sobie uprząż, gęsto obwieszoną uzbrojeniem, od noży wielkości paznokci, aż do pistoletowej kuszy. W pierwszej chwili myślał, że to jakaś zabawka, ale nagle Bast zasyczała.

– Och, na Drzewa i Wodę – krzyknęła gniewnie. – Co *to* tutaj robi?

– Cześć, leśna dziwko. – Królik odezwał się wysokim tenorem, odwracając się przez ramię i skubiąc się po plecach. – Mógłbym cię spytać o to samo.

– Herzer – krzyknęła Daneh, podbiegając, a następnie nieruchomiejąc na widok jego zbroi. — Dobry Boże, Herzer, coś ty robił?

– Walczył o życie – stwierdził Serż. – Witaj z powrotem, triari.

– Miło znów tu być, Serż – rzekł Herzer i skłonił głowę na cofnięcie degradacji. – Pani doktor, Rachel, *baronie* Edmundzie.

– Już słyszałeś – powiedział Edmund, skłaniając się również. – Co masz do zgłoszenia?

– Zbliżaliśmy się do wzniesienia Belleuve, kiedy zostaliśmy napadnięci przez dużą grupę łuczników. Byli schowani za drzewami, więc nie jestem w stanie podać dokładnej liczby. W pościg za nami ruszyła grupa sześciu jeźdźców, a na drodze czekała kolejna grupa piechoty. Barsten został trafiony strzałą w pierwszej pułapce i zabity w drugiej. Zsiadłem z konia, starłem się z przeciwnikiem, zabijając pozostałych. Następnie podjąłem walkę z goniącymi nas jeźdźcami i zostałem mniej więcej ocalony przez Bast.

– Powiedział tylko połowę tego, co tam się działo – roześmiała się Bast. - „Zabijając pozostałych”, mówi. Jasne, sześciu przeciw niemu jednemu, a potem jeszcze odbijając się od klifu zabił jednego z kawalerzystów. Był na dobrej drodze do zwycięstwa, pomimo łuczniaka i ich wszystkich, kiedy uznałam, że miał już dość zabawy jak na jeden dzień.

– Dobra robota, triari – stwierdził Serż z aprobatą.

– Nie miałem jeszcze możliwości wyczyszczenia zbroi, Serż. Przepraszam - Powiedział Herzer, a potem ze zdziwieniem spojrział na Rachel, gdy ta się roześmiała.

– Tym razem przymknę na to oko – odparł sierżant Rutherford z wyrazem twarzy podejrzanie przypominającym uśmiech.

– Wygląda na to, Herzer, że dostaliśmy raport również z samego obozu wroga – sucho odezwał się baron Edmund.

– Królik?

– To nie królik. – Bast splunęła. – Demon chaosu. Siewca niezgody.

– Dziękuję za wszystkie komplementy, ciasteczko – odezwał się królik. - Ale tak, przychodzę od tych palantów, którzy cię zaatakowali. Przyglądałem się, jak wyruszają, i sam się wyniosłem.

– Czemu? – zapytał Edmund.

– Słuchaj, to świat, w którym królik zjada królika, nie? – powiedział królik, wyginając się, by podrapać się za uchem. – No więc słyszę, że tworzy się armia zła, no nie? To sobie pomyślałem: hej, jestem zły. Będzie fajnie. Ale... rety, co to za popaprańcy. Zło powinno mieć trochę rozumu. No wiecie, jasne, że jesteśmy tymi złymi, ale nie musimy być *głupi*. Ale nie te palanty. Łamią wszystkie możliwe zasady. I wszystko, włącznie z zasłaniającymi twarz hełmami i zbroją o jednym rozmiarze dla każdego.

– Tak. I pałą po drodze miasta i farmy – ponuro zauważył Edmund.

– Nie no, to już część *pracy*, wiesz? Ale ci faceci to absolutni kretyni. Wciąż im powtarzam, że trzeba gwałcić, rabować i palić. I potrafią zapamiętać kolejność? Nie. A potem naruszyli Umowę.

– Jaką Umowę? – zapytała zafascynowana Rachel. – I... gwałt? – dodała gniewnie.

– Cóż, niejako taki – sprostował królik. – No wiesz, jestem królikiem. W najlepszym razie mogę kibicować, jeśli wiesz, co mam na myśli – westchnął i przez chwilę wyglądał na przytłoczonego, ale zaraz się rozchmurzył. – I niech to będzie całkowicie jasne, nie byłem z tymi facetami w czasie, kiedy robili takie rzeczy. Nie zbrukałbym swojego dobrego imienia z takimi kretynami.

– Jakiego dobrego imienia? – szyderczo spytała Bast. – Jesteś najbardziej nienawidzonym królikiem na świecie.

– Jasne, ale jestem *dobry* w byciu nienawidzonym – odpowiedział królik - Taki zostałem *stworzony*. Jeśli przez brak działania mogę pozwolić komuś na wpadnięcie w tarapaty, to mój *priorytet*. A jeśli mogę go w nie pchnąć, to jeszcze lepiej. Ale robię to *inteligentnie*. Nie *głupio*.

– A więc twoim zadaniem jest bycie złym? – ostrożnie zapytała Daneh. - Czyli jesteś konstruktem? SI?

– A czyja wyglądam na pozbawionego świadomości? – obruszył się królik. – Jestem *wysokiej klasy* SI, proszę pani.

– Musisz być stary. Tego rodzaju konstrukty już od dawna są zakazane.

– Jest jednym z pierwszych – prychnęła Bast. – W wojnach SI. Po *obu* stronach.

– Hej, moim celem jest sianie niezgody. Oraz oglądanie *Słonecznego patrolu*. No dobra, i zabijanie telemarketerów. Sianie niezgody, oglądanie *Słonecznego patrolu* i zabijanie telemarketerów. To moje cele. Och, i próba zabicia Świętego Mikołaja, a to NAPRAWDĘ TRUDNE W PRZYPADKU MITU – wykrzyczał, jakby w stronę wszechświata.

– Co to *Słoneczny patrol*. – zapytał Herzer.

– I telemarketer? – chciała wiedzieć Rachel.

– Reeety, te dzieciaki – westchnął królik. – Przysięgam, jeśli kiedyś uda mi się znaleźć maszynę czasu, wracam do dwudziestego wieku i kastruję niejakiego Peta Abramsa. Łyżeczką.

– Więc na czym polegała Umowa? – znów zapytał Edmund.

– Cała lucerna, jaką mogę zjeść, i blondynka z dużymi cyckami – odpowiedział natychmiast królik. – A ponieważ olali Umowę, jestem skłonny zmienić strony.

– Nie było cysatej blondyny? – spytał Edmund, unosząc brew.

– Skończyła się im lucerna – gorzko wyjaśnił królik. – Chcieli jej dla swoich *koni*, uwierzysz? A ich skretyniały kowal cały czas za mną chodził, próbując stwierdzić, czy mam jakąś dziurę w zabezpieczeniach, którą mógłby wykorzystać. Facet był cholernym durniem, zostałem stworzony w szczytowym okresie najbardziej złożonej i paranooidalnej epoki w całej historii cywilizacji. Żaden

współczesny palant nie złamie *mojego* kodu!

Bast przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, a potem nachyliła się ku niemu.

– *Jamka* – powiedziała.

Królik spojrzał na nią zaskoczony i drgnął.

– Pudło, leśna suko – wydyszał.

– *Jamka* – powtórzyła, a potem nachyliła się jeszcze bardziej i wyszeptała mu coś do ucha.

– PRZEKŁĘTA! – krzyknął. – Niech cię szlag, leśna suko!

– Zakładam, że teraz będziesz nieco precyzyjnej odpowiadał na nasze pytania – stwierdził z uśmiechem Edmund. – Ilu?

– Trochę ponad pięciuset – odparł królik, wbijając wściekłe spojrzenie w Bast.

– Pięciuset? – wyszeptał Herzer.

– Tak, ten obóz, na który się natknąłeś to tylko przednia straż – wyjaśnił królik. – Zauważyli was i przygotowali pułapkę. Ale udało się wam uciec. Jak już mówiłem, są niekompetentni.

– Jak są uzbrojeni? – zapytał Edmund, jakby wiadomość wcale go nie zaskoczyła. – I skąd biorą materiały na utrzymanie tak dużych sił?

– Mają jakiegoś kowala sprzed Upadku. I jakieś poważne wsparcie z góry. Między innymi większość ich sił to Przemienieni. I to dość paskudnie, mogę dodać. Niscy, ciemni, szerocy i silni oraz tak głupi, że nie mogliby się tacy urodzić. Z drugiej strony lekkie zbroje, przeważnie ze skóry i to nawet niegotowanej. Ale jest tam też oddział ludzkich wojowników, naprawdę mocno uzbrojonych i opancerzonych. A ich przywódcą jest jakiś kretyn o imieniu Dionys, który uważa się za dar Szatana dla Zła.

– Znasz ich plany? – zapytał Edmund.

– Znają je wszyscy w obozie – stwierdził królik. – Mówiłem, że są głupi. Planują podejść zachodnim brzegiem wschodniej doliny, a potem przekroczyć rzekę gdzieś na południe od miasta. Zbliżą się wzdłuż wschodniego brzegu. Dionys obiecał im, że to najbogatsze miasto w okolicy, planują je splądrować, a potem spalić, jak Resan. – Królik wzruszył ramionami, co wcale nie było łatwe u stworzenia, które zdawało się ich nie mieć. – To najlepszy plan, na jaki mogą się zdobyć, coś bardziej skomplikowanego mogłoby ich kompletnie zmieszać i zaczęliby się bić między sobą.

– Jakże wspaniale. – Edmund zadumał się. – Prawdziwie cudownie.

– Tak – potwierdził Serż tym samym tonem. – Pozwolimy im przyjść?

– Nie, strzały zapalające – zaproponował Edmund. – Wojna manewrowa.

– Duża dysproporcja sił – podsunął Serż.

– Rekonesans, teren – zasugerował Edmund.

– Hai, to ja – stwierdziła z uśmiechem Bast. – Dużo czasu upłynęło, od kiedy ostatnio razem

walczyliśmy, mój panie.

– Z tak wielkimi siłami będą mieli poważny problem z logistyką – podkreślił Edmund.

– O czym wy mówicie? – wtrąciła się Daneh. – Dla obecnych tu analfabetów wojskowych?

– Jeśli chcesz mojego zdania, to oni mówią o samobójstwie – stwierdził królik. – Chcą zabrać swoją armię z miasta i walczyć z nimi w polu.

– Poradzimy sobie bez twoich komentarzy, wredniaku – burknęła Bast.

– Odpowiedziałem na pytania – zaperzył się królik. – A moje hasło ulega *rotacji* po użyciu!

– Mogę zgadnąć kilka pozostałych – słodziutkim głosem powiedziała Bast. – I założę się o wszystko, że masz *blokadę*, prawda?

– Niech cię cholera, leśna suko – prychnął królik. – Trzymaj się z dala ode mnie albo skończysz w haremie.

– No cóż, Panie Króliku – odezwał się Edmund. – Myślę, że spełniłeś nasze oczekiwania.

– A co z Umową? – zapytał królik. – Dziewczyna jest ślicznotką. Edmund uśmiechnął się krzywo i wbił wzrok w królika aż ten, z ewidentnym niepokojem, z powrotem opuścił głowę.

– Patrzyli na nas gorsi – wymamrotał pod nosem.

– Co dostaniemy z Umowy? – zapytał Edmund.

– Chaos – wtrąciła się Bast. — Nie zawieraj umów z diabłem, Edmundzie Talbocie.

– Nie zdradzę was im – odpowiedział królik, ignorując Bast. – Zadowolę się samą lucerną, o ile dostanę do niej margaritę.

– Nie mamy tequili.

– Szlag, nie cierpię tego upadłego świata. Dobra, lucerna i cokolwiek tam macie w zakresie bimbru.

– Robię niezłego bourbona i jest trochę brandy – przyznał Edmund. – Ile?

– Trzy porcje dziennie i butelkę najwyższej jakości na Nowy Rok. Sam znajdę sobie dziewczynki. I lucerna. Tyle, ile będę chciał.

– Lucerny mamy dość – stwierdził Edmund. – Umowa stoi. Daj łapę.

– Na moje prawdziwe imię, którego nikt nie może znać – powiedział królik, wyciągając łapę i zerkając przy tym na elfkę. – Prawda?

– Dla mnie może być. – Bast wzruszyła ramionami. – Ale myślę, Edmundzie, że nie wiesz, co robisz.

– Nie zamierzam mu ufać. – Edmund potrząsnął małym pazurem. – Ale skoro jestem baronem, potrzebujemy nadwornego błazna.

– Och, bardzo śmieszne – zachnął się królik, zeskakując ze stołu. – Zamierzam wypić mój

przydział. A reszta może mnie pocałować w ogonek. – Z tymi słowami wykiwał z pokoju, nucąc.

– Dobrze, co się właśnie stało? – zapytała Rachel.

– Twój ojciec zawarł bardzo nieciekawą umowę – odparła Bast.

– Słyszałem o tym króliku – zaczął Edmund, szczerząc zęby w uśmiechu. - Powiedzmy, że to mały, lecz zajadły wojownik.

– Tak, dla obu stron!

– Nie będzie walczył przeciw stronie, z którą się związał, chyba, że ktoś go oszuka – stwierdził Edmund. – Po prostu będę musiał uważać.

– Kiedy wychodzimy? – zapytał Herzer.

– I o co chodzi z tym wychodzeniem? – powtórzyła pytanie Daneh.

– Nie możemy wygrać z tak wielką armią na murach – wyjaśnił Edmund. — Nawet przy zaangażowaniu wszystkich ludzi zdolnych do noszenia broni. Po prostu rozstawią się i zaleją ściany. Tak więc zamierzamy wyjść im naprzeciw i walczyć poza miastem. Będziemy musieli użyć trochę sztuczek, ale to lepsze od próby obrony pozycyjnej. Może gdybyśmy mieli prawdziwy zamek. Do wiem się, czy Sheida da radę nam jakoś pomóc i wyśle też jeźdźca do Angusa. Ale wątpię, żeby krasnoludy mogły przybyć na czas. Więc będziemy musieli ich wymanewrować.

– I dlatego właśnie tyle ćwiczyliśmy – dodał Serż. – Przy bronionych murach i z nami depczącymi im po piętach nie będą mogli zaatakować miasta.

– Oni mają... dużą przewagę liczebną – zauważyła Rachel. – Będzie gorzej niż w mieście.

– Cóż, musimy bardzo uważać, żeby nie dać się otoczyć – zachichotał Edmund. – Serż, piechota i kawaleria godzinę przed świtem. Jutro wyruszamy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

– Herzer – zawołał do niego Edmund, kiedy wychodzili. Baron podszedł do niego i położył rękę na jego ramieniu. – Chodź ze mną do domu. Przypuszczam, że nie jadłeś jeszcze kolacji.

– Muszę się zająć swoją zbroją, sir – zaprotestował Herzer, a potem rzucił spojrzenie na Daneh i Rachel. – I... obawiam się, że nie będę mile widziany.

– Ależ będziesz, synu – powiedział z uśmiechem Edmund. – Muszę przyznać, że byłem trochę... dotknięty wiadomością. Ale jeśli ktoś miał jakiegokolwiek wątpliwości odnośnie twojej odwagi, dzisiaj ostatecznie je rozwiąłeś. Szlag, dwunastu! Chcę dokładniejszego raportu niż te suche fakty, którymi poczęstowałeś nas w ratuszu! I mam w domu mnóstwo środków czyszczących do zbroi.

– I ty też, Bast – dorzuciła Daneh, biorąc elfkę pod ramię. – Po tym, co mówił Herzer, bałam się, że nigdy więcej cię już nie zobaczymy.

– Cóż, kiedy usłyszałam wieść o armii McCanoca idącej na miasto, wiedziałam, że nie mogę zostawić Edmundowi i Herzerowi całej zabawy – odpowiedziała z uśmiechem elfka i wsunęła rękę Rachel pod ramię. – Zjadłabym kolację. A trudno mi wyobrazić sobie do niej lepsze towarzystwo!

Tak więc cała piątka udała się do domu Edmunda. Poruszali się wolno ze względu na Daneh, która nie była już tak ruchliwa jak kiedyś. Miasto było pełne spieszących gdzieś ludzi i Herzer ucieszył się, widząc, że wielu z nich jest uzbrojonych. Wiedział, że triari i łucznicy zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby powstrzymać czarną falę sunącą w stronę miasta, ale możliwe, że o ostatecznym wyniku starcia zdecyduje na wpół wyszkolona milicja. A nawet, choć nie stanowili przeciwników dla Panów Krwi, tak wielu uzbrojonych ludzi może być w stanie powstrzymać na ścianach tych, którym uda się wymknąć z głównego natarcia.

Kiedy tak szli przez miasto, Edmund zatrzymywał się od czasu do czasu, by zamienić kilka słów z różnymi osobami. Informacja o tym, że ich obrońcy opuszczą miasto rozniosła się bardzo szybko i panowała powszechna niepewność, ale gdziekolwiek Edmund się pojawił, niepokój zdawał się znikać. Akceptowano jego proste wyjaśnienie, że lepiej jest stawić czoła przeciwnikowi z dala od miasta, czasem z powątpiewaniem, ale zawsze przynajmniej z niechętną akceptacją. A za każdym razem, gdy podnoszono kwestię różnicy wielkości sił, Edmund po prostu wskazywał na Herzera, wciąż w zachlapanej krwi zbroi i śmiał się.

– Jeśli jeden Pan Krwi może zabić dwunastu, to czym będzie cały ich odział? – Przy każdym takim wyjaśnieniu ludzie kiwali głową Herzerowi, wielu robiąc przy tym wielkie oczy, a do czasu, gdy przeszli pół drogi przez miasto, utworzyła się za nimi cała kolumna dzieciaków maszerujących w najbardziej wojskowym stylu, na jaki mogli się zdobyć.

Herzer zaczął sobie uświadamiać, że choć zaproszenie na kolację mogło być całkowicie szczerze i bezinteresowne, miało też inny cel. Zrozumiał przy okazji, że to samo dotyczyło praktycznie wszystkich decyzji Edmunda. Nigdy nie wybierał tylko jednej ścieżki do sukcesu, ale łączył swoje działania dla zmaksymalizowania zysków. Herzer nie był pewien, jak to osiągał, ale zamierzał się

nauczyć.

W miarę jak zbliżali się do domu, tłumy rzedły. W pewnym momencie Edmund zatrzymał się.

– Muszę zostawić kogoś, kto będzie podnosił na duchu mieszkańców miasta.

– W takim razie zostaw Herzera – stwierdziła Daneh. – Z pewnością zrobił już dość.

– Moje miejsce jest z triari, doktor Ghorbani – cicho oświadczył Herzer.

– To prawda – zgodził się Edmund, potrząsając głową. – Nie, to będzie Kane albo Serż. I chyba raczej Kane. Nie spodoba mu się to, ale wrócił patrol Alyssy i ona dostatecznie dobrze poradzi sobie z kawalerią. A Kane przede wszystkim zajmował się milicją. – Przerwał, wchodząc do domu i uśmiechnął się. – Dobra wiadomość jest taka, że wynająłem kucharkę. Daneh jest trochę... obciążona, a Rachel ma wiele zalet, ale nie należy do niej gotowanie.

Wpuścił ich do domu, a Herzer poczuł się dziwnie uspokojony. Dom, w którym odzyskiwał zdrowie, był dla niego domem w znacznie większym stopniu niż koszary. Uświadomił sobie, nie po raz pierwszy, ale może pierwszy raz tak wyraźnie, że nie miał prawdziwego domu od czasu, gdy rodzice „dali mu jego wolność” w wieku czternastu lat.

– Po pierwsze, zdejmijmy z ciebie tę zbroję – zaproponował Edmund. – Potem będziesz mógł wypić kubek wina i się wykąpać.

– Wydaje mi się, że znajdą się tu jakieś rzeczy, które będą na ciebie pasować – zastanowiła się Daneh, siadając na jednym z foteli i obejmując swój brzuch. – Och, myślałam już, że jeśli zrobię jeszcze jeden krok, to urodzę natychmiast. Nie mogę się *doczekać*, żeby się tego z siebie pozbyć.

– Przyniosę rzeczy dla Herzera – zaoferowała Rachel.

– Jestem pierwsza do kąpieli – zgłosiła się Bast, zaczynając ściągać skromny stój w drodze do łaźni. – Ratowanie zabawek wyciska mnóstwo potu!

Edmund pomógł Herzerowi zdjąć zbroję, a potem wyciągnął skórzany podkład i materiał z rany w boku.

– I to właśnie problem ze zbroją segmentową – skomentował kowal. – Dobrze wymierzone pchnięcie może się prześliznąć między płytami.

– W takim razie czemu jej używamy? – zapytał chłopak, krzywiąc się, gdy baron zaaplikował na ranę ostrą maść odkażającą.

– Jest lepsza dla wojsk maszerujących i kopiących okopy – wyjaśnił Edmund. – Zginanie się, żeby *zrobić* cokolwiek w płytówce albo choćby w litym napierśniku jest strasznie męczące. To zbroja dla pracującej piechoty. A w bitwie większość przeciwników nie ma szans na wymierzone pchnięcie w górę.

– A co z umieszczeniem pod spodem kolczugi? – zapytał Herzer.

– No cóż, możesz ją założyć, jeśli chcesz dźwigać dodatkowy ciężar. – Edmund kiwnął głową, kończąc bandażować ranę na żebrach. – Twoja decyzja.

– Herzer pomyślał o całym ciężarze już noszonym przez Panów Krwi i skrzywił się. – Celna uwaga.

– Żadna zbroja nie jest doskonała—skonstatował Edmund. – Wszystkie wymagają kompromisów. Jedyne, co możesz zrobić, to zdecydować, które kompromisy są lepsze w danych warunkach.

– Czyli trochę przypomina to życie – roześmiał się Herzer.

– Cóż, cieszę się, że widzisz w tym coś zabawnego – odezwała się Rachel, wchodząc do pokoju ze stertą ubrań w ramionach.

– Mogło być gorzej – stwierdził Herzer.

– Jak?

– Nie wiem – odpowiedział z uśmiechem. – Ale jestem pewien, że się dowiemy.

– Mężczyźni – rzuciła Rachel, wznosząc oczy w górę. – A teraz pewnie wskoczysz do wanny z Bast.

– No cóż, zdarzało mi się już kąpać z tobą— zauważył Herzer.

– To coś *innego* – ostro odcięła się Rachel, a potem wyszła z pokoju, mocno uderzając stopami o podłogę.

– O co tu chodzi? – zapytał Edmund, a potem machnął ręką. – Nie ważne. *Z którego* powodu się tak zdenerwowała?

– Wszystkich naraz? – zasugerował Herzer. – Myślę, że część tego wynika z faktu, że o ile pan może mi wybaczyć zostawienie madame Daneh, to ona nigdy nie wybaczy mi tego, że dopuściłem do zgwałcenia jej matki.

Edmund przez chwilę mocno zaciskał szczęki, a potem kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Może nie teraz, ale z czasem. Wiem, że jesteście... przyjaciółmi.

– Tak, dokładnie oddaje to nasze relacje – westchnął Herzer, patrząc na drzwi, przez które uciekła dziewczyna. – Przyjaciele. – Wzruszył ramionami, a potem uśmiechnął się. – Ale, z drugiej strony, jest na tyle dobrą przyjaciółką, że podsunęła mi doskonały pomysł. A więc jeśli nie będzie pan miał nic przeciw temu, sir, wykąpię się.

– Kolacja będzie za około pół godziny – zauważył Edmund. – Będziesz musiał... się pospieszyć.

– Jestem zdecydowanie zbyt zmęczony na cokolwiek poza kąpielą – odpowiedział Herzer z całą godnością, jaką potrafił przywołać.

– Jasne – zaśmiał się Edmund. – Jakbym nie pamiętał, co to znaczy mieć siedemnaście lat. I zapominasz, że znałem Bast, jeszcze zanim się *urodziłeś*.

Zdając sobie sprawę, że został pokonany, Herzer podniósł stos ubrań i skierował się do łaźni.

Zgodnie z milczącym porozumieniem wszyscy w trakcie kolacji unikali tematów związanych ze zbliżającą się bitwą. Rozmawiali o rozbudowie tartaku, w którym Herzer miał udziały, oraz

powiększających się kuźniach i odlewniach. W górze Massan wciąż kryły się pokłady żelaza, pomimo ich intensywnej eksploatacji w przeszłości, i niektórzy zastanawiali się nad podjęciem ponownego wydobycia, choć Edmund nie uważał tego za dobry pomysł.

– Angus ma dostęp do już oczyszczonej stali, wszystko, co musi zrobić, to ją przekuć. A ta jego góra jest pełna rud. Jeśli o to chodzi, pokłady w dolinie tworzy ruda bardzo trudno poddająca się obróbce, wymaga znacznie wyższych temperatur i dłuższego kucia niż zachodnie pokłady. Problem polega na tym, że potrzebujemy lepszego systemu do transportu zasobów Angusa.

– Mieszka w pobliżu jakichś rzek, prawda? – Herzer przypomniał sobie widzianą kiedyś mapę okolicy.

– Tak, ale rzeka płynie sporo na północ i wkracza na tereny, które są w najlepszym razie neutralne, a niektóre z tamtych ziem trzymane są przez popleczników Paula. Ale jest stara droga, która prowadzi do rzeki Pomy. A ta wpada do Shenan. Myślę, że lepszym pomysłem byłby remont i uruchomienie tamtej drogi, w połączeniu z systemem łodzi.

– Nie ma żadnego miasta u zbiegu rzek – w zadumie zauważył Herzer. -

Warto byłoby jakieś tam założyć.

– Myślę, że zobaczymy, co nam czas przyniesie – powiedział Edmund, gdy zostały przyniesione desery. – Och, cudownie.

– Dziękujemy pani za wspaniały posiłek. – Herzer skłonił się kucharce, która miała prawdopodobnie trzy razy tyle lat co on, ale nie wyglądała na więcej niż dwadzieścia. – Co to było za mięso? Smakowało przepysznie.

– Emu – wyjaśniła z dumą. – Trudno je ugotować, bo jest twarde jak kamień. Ale jeśli maceruje się je w moim specjalnym sosie i dobrze poddusi, robi się niezłe.

– A to? – Herzer wskazał na małe ciastka, złotobrazowe z wierzchu z małą białą gwiazdką na czubku każdego.

– Kuskus – odpowiedziała. – Grubo zmielone ziarno. Upieczone z masłem i miodem zmieszanymi z orzeszkami piniowymi.

– Pyszne – pochwaliła Bast z pełnymi ustami. – I cieszę się, widząc, że ty też jesz, Daneh.

– Och, wszystko, co mi wpadnie w ręce – odparła lekarka, biorąc jedno z ciastek i zlizując z dłoni kroplę miodu. – Ale miewam z tego powodu koszmarną niestrawność. Przysięgam, czasem się czuję, jakbym w moim żołądku wylądowały włosy dziecka, choć nie mam pojęcia czemu.

– Dziękuję, madame – dodał Edmund, gdy kucharka przyniosła jeszcze dzbanek ziołowej herbaty. Gdy wyszła, westchnął i napełnił swoją filiżankę. – To cholernie nędzny substytut prawdziwej herbaty – zamarudził. – Przysięgam, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię, wyślę statek do Indii i znajdę plantację herbaty. Albo ją założę, jeśli będzie trzeba.

– Myślę, że za bardzo potrzebujemy cię na miejscu, kochanie – ze śmiechem zaprotestowała Daneh. – Może któregoś dnia ktoś inny podejmie się tego zadania.

– A skoro mowa o rozpaczliwych misjach – odezwała się Rachel. – Co planujesz?

Edmund zawahał się i pociągnął kolejny łyk herbaty, po czym potrząsnął głową.

– Zasadniczo nie mówię o swoich planach, córeczko. Nawet z przyjaciółmi.

– Czemu? – zapytał Herzer.

Edmund przez chwilę siedział w milczeniu, a potem wzruszył ramionami.

– Zdziwiłbyś się, jak ważną rolę w skutecznych działaniach odgrywa wywiad. Nie chcę, żeby pojawił się choćby cień szansy, że wróg będzie wiedział, co planuję. Albo nawet, w jaki sposób. Pomyślcie o tym króliku, który przyszedł do nas z ich planami. Reszty... myślę, że z czasem się dowiecie.

– Myślisz, że w Raven's Mill są szpiegzy? – zapytała Rachel.

– Nie, jeszcze nie – odpowiedział Edmund. – A gdyby byli, Dionys nie wiedziałby, jak ich użyć. Ale na wzgórzach są drwale i zbieracze, których Dionys może złapać i... przesłuchać. Wiem, że nie dacie się dobrowolnie schwytać, ale jeśli nie powiem nic nawet swoim najbliższym współpracownikom, nikt nie będzie mógł mieć do mnie pretensji, że nie powiedziałem. Więc zamilczę.

* * *

Później, gdy podano wino i uprzątnięto ze stołu, Edmund wstał i rozejrzał się wokół.

– Za siły Królestwa Wolnych Stanów – rzekł, podnosząc swój kieliszek z brandy. – Niech zawsze stają po słusznej stronie.

– Zdrowie – odpowiedział trochę niewyraźnie Herzer, który wypił odrobinę za dużo wina.

– A teraz myślę, że wszyscy powinniśmy się wyspać – dodał Edmund. – Jutro wcześniej zaczniemy dzień.

– Herzer, weź pokój Rachel – zdecydowała Daneh. – Ona może spać u mnie. Ja będę spać z Edmundem.

– Dobrze – kiwając głową, odezwała się Bast. – Miło mi to słyszeć. Chodź, Herzer, muszę cię położyć spać.

– Wydaje mi się, że precyzyjniejsze byłoby określenie „do łóżka” – stwierdził Herzer, chichocząc.

– Za *to* może faktycznie położę cię spać!

– Czemu to *ja* zostałam wyrzucona? – zapytała Rachel.

– Ponieważ *moje* łóżko jest jednoosobowe – zaśmiała się Daneh. – Herzer nawet sam miałby problem ze zmieszczeniem się w nim. A wątpię, żeby miał spać sam! – Nie, jeśli będę tu miała coś do powiedzenia. – Bast uśmiechnęła się. -

– Chodź, kochasiu, zobaczymy, jak bardzo jesteś zmęczony.

* * *

Edmund nalał sobie małą porcję brandy i zamiast wyjść od razu, zaoferował butelkę Daneh.

– Dla mnie już dość – odpowiedziała, a potem zmieniła zdanie i wyciągnęła rękę ze szklaneczką. – Herzer zaczyna mi trochę przypominać Serża.

– Jest... bardzo podobny do Serża z czasów, kiedy Miles był znacznie młodszy – zgodził się Edmund. – Włącznie z wyraźnym brakiem pewności siebie.

– Oj, w to ciężko mi uwierzyć u Serża.

– Serż to osobowość.

– Tak, zauważyłam.

– Zauważyłaś, ale nie zrozumiałaś. Jest osoba nazywająca się Miles Rutherford. I jest postać Serża. Ale Miles odtwarza tę postać od tak dawna, że – podobnie jak dobry aktor charakterystyczny – właściwie przejął rolę. Nie wiem, czy Miles wierzy w reinkarnację starszego sierżanta celowniczego korpusu Marines z drugiej wojny światowej. Ale tym właśnie jest. Każdego dnia żyje tak, jak jego zdaniem żyłaby tamta osoba. Robi to od prawie stu pięćdziesięciu lat. A wcześniej był rzymskim centurionem i robił to samo. Jedynym powodem, dla którego zmienił rolę, było to, że doszedł do wniosku, iż Marines studiowali centurie i je *udoskonaili*. Kiedyś wspominał nawet o poddaniu się takiej modyfikacji, żeby mógł jeść stal i wydalać gwoździe. *Nie* mam pojęcia po co ani co to znaczy! Jeśli chodzi o jego epokę, Serż wie znacznie więcej ode mnie.

– To byłoby... wymagałoby to znacznej modyfikacji – powiedziała Daneh po dłuższej chwili spędzonej na kontemplacji pomysłu.

– Tak, wiem.

– Stalowe zęby...? – zastanawiała się.

– Nie, musiałyby być diamentowe, czy jakoś... – z uśmiechem poprawił Edmund.

– Twardy mod... można by stworzyć nanity jelitowe, które... Och, nieważne! – dodała z szerokim uśmiechem.

– Herzer może się dużo nauczyć od Serża – powiedział Edmund, patrząc w dal. – Serż... cóż, bywał w sytuacjach, jakich chyba nikt inny na tym świecie i przeżył. Z drugiej strony, gdyby Herzer nauczył się więcej od Serża Przed... twoim incydentem, prawdopodobnie byłby teraz martwy, niczego tym nie zmieniając.

– Zostałam zgwałcona. Możesz to powiedzieć, Edmundzie. – Nie, *ty* możesz. Ja wciąż nie potrafię. Na pewne sposoby jesteś silniejsza ode mnie. Odeszłaś od... od *nas* kiedy wiedziałaś, że należy. Ja nie potrafiłem.

– I wróciłam – powiedziała, biorąc jego dłoń – kiedy wiedziałam, że należy. Jest późno, Edmundzie. Chodź do łóżka.

– Jesteś pewna? – zapytał, patrząc na nią w świetle pochodni. – Ostatnim razem nie poszło nam za dobrze.

– Nigdy w życiu niczego nie byłam pewniejsza.

– No i znów jesteśmy razem. – Herzer pogłodził Bast po policzku.

– Nigdy jeszcze nie robiliśmy tego w łóżku – odpowiedziała z szerokim uśmiechem elfka. – Jestem *pewna*, że pamiętałabym.

Herzer objął ją ramionami i obrócił się, umieszczając ją nad sobą, tuląc się do jej ramienia.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Wiem także, że wolałbyś raczej mieć w nim Rachel.

Uniósł ją tak, by widzieć jej twarz, ale wciąż się uśmiechała. Przesunął dłonią po jej twarzy i owinał wokół palców kosmyk włosów.

– Wiesz, że cię kocham... – szepnął.

– Jasne – potwierdziła Bast z nieodgadzionym uśmiechem. – Choć tak naprawdę masz na myśli raczej pożądanie. *Kochasz* Rachel.

– Cóż...

– Nie próbuj mnie okłamywać – powiedziała Bast, znów potrząsając głową.

– Aaach, kobiety Ghorbani! Jeszcze będą moją zgubą! Pierwsza była Sheida, wykradając mi Edmunda, potem...

– *Sheida*? Członkini Rady?

– Hai, w swoich dniach była niezłą kotką. – Bast zmarszczyła się na chwilę.

– Świetnie spędzałam czas z sir Edmundem, kiedy nagle pojawiła się i, proszę, znika. W krzakach, z tą zdziwą Sheida! A potem ta przedstawiła mu swoją *siostrę* i facet zaczyna zachowywać się tak, jakby ktoś zdzielił go młotem między oczy! A teraz Rachel! A niech im wszystkim *wyjdą pryszczki!*

– Bast...

– Powiedz mi, Herzer – odezwała się, znów z uśmiechem. – Gdybyś miał wybór znaleźć się w łóżku ze mną, Bast, królową wszystkiego, co cielesne, tysiącletnią kochanką, która potrafi wycisnąć z twego ciała ostatnią kroplę rozkoszy, lub niedoświadczoną młódką, która, no dobrze, ma przyzwoite włosy i większe piersi, którą byś wybrał?

Herzer przez chwilę wpatrywał się w nią z szeroko otwartymi oczami, a potem westchnął.

– Obie?

– Och, ty draniu! – ze śmiechem wykrzyknęła Bast i uderzyła go w mostek.

– Bast... – powiedział.

– Nie jęcz. – Elfka uśmiechnęła się. – Nie zamierzam opuszczać tego łóżka przed świtem i ty też nie zostaniesz z niego wyrzucony. To *dobrze*, że czujesz coś do Rachel. To słodka i kochająca dziewczyna.

– Która wcale mnie nie zauważa – skomentował Herzer. – Nienawidzi mnie za to, że nie uratowałem Daneh. *Sam* siebie za to nienawidzę, więc znam to uczucie.

– *Wydaje ci się, że wiesz, co ona czuje. Ale nigdy jej o to nie spytałeś.*

– To dość oczywiste.

– Może dla ciebie. Ja widzę młodą kobietę, która zмага się z potwornymi wyzwaniem życia, w które została rzucona i która patrzy na ciebie jak na przyjaciela. Z wadami, niektóre z nich odrzucają, ale nie sądzę, żeby cię nienawidziła.

– Naprawdę? – zapytał Herzer z nadzieją na twarzy.

– No pięknie – rozgniewała się Bast. – Jesteś gotów natychmiast pogalopować do jej pokoju!

– Tylko żeby sprawdzić, czy mógłbym ją tu przyciągnąć – zazartował i uniósł ręce wobec zdumiewająco bolesnych uderzeń.

– I za to wykonam pozycję Trzech Łabędzic – oświadczyła Bast z oczami rzucającymi gromy. – Ach! Nie! Litości! – roześmiał się Herzer.

– Śmieję się, ale *nie* zaznasz litości! – odpowiedziała, przesuwając się niżej. - I zobaczymy, czy nie uda mi się wyrzucić z twojej głowy pewnej rudowłosej dziewczyny.

– Kogo? – roześmiał się Herzer, a potem gwałtownie wciągnął powietrze.

* * *

Wyjściu z miasta głównych sił przy świetle pochodni towarzyszył zdumiewająco liczny komitet pożegnany, wyglądało na to, że zjawili się wszyscy mieszkańcy miasta.

– Myron, ty i Daneh będziecie pod moją nieobecność kierować miastem - cicho oświadczył Edmund. – Przynajmniej od strony administracyjnej. Za obronę odpowiada Kane. A wytyczne brzmią: dać Kane'owi wszystko, czego będzie potrzebował do obrony miasta.

– Dobrze, Edmundzie – nieszczęśliwym głosem odpowiedział farmer.

– Kane zna swoją część planu. Po prostu dajcie mu to, czego będzie potrzebował.

– Zrobi się.

Odwrócił się do Daneh i uśmiechnął się.

– Odchodzę na wojnę.

– Napuszeniec – powiedziała, wręczając mu małe pudełko.

Otworzył je i zmarszczył brwi, widząc leżący w nim przyrząd. Wyglądało to jak para okularów w metalowych oprawkach, wyłożonych badwabiem w miejscu styku ze skórą.

– A cóż to jest?

– Wzięłam twoje stare okulary i poprosiłam Suwisę o zrobienie tego – wyjaśniła. – Powinno się to zmieścić pod hełmem. Wiem, że na więcej niż pięćdziesiąt stóp bez okularów jesteś ślepy jak nowo

narodzone kocię.

– Dziękuję – powiedział ze śmiechem. – Miałas rację, powinienem był posolić sobie poprawić wzrok.

– Zawsze mam rację – oświadczyła. – Uważaj na siebie, Edmundzie Talbocie.

– Tak jest, madame Ghorbani -odparł, wyciągając rękę. – Dostanę pocałunek?

– Połowę. – Przytuliła go do swego grubego brzucha i pocałowała w policzek. – Resztę dostaniesz, gdy wrócisz cały i zdrowy.

* * *

– Cześć, Rachel – powiedział Herzer. – Nie spodziewałem się ciebie tu zobaczyć.

– Mój tata idzie na wojnę – odparła, wruszając ramionami. – Pomyślałam, że powinnam się pożegnać. – Przyjrzała mu się w świetle pochodni i westchnęła. – I z tobą też.

– Rachel... – zaczął Herzer, a potem przerwał niezgrabnie. – Rachel... przykro mi z powodu tego, co stało się z Daneh. Naprawdę. Ja po prostu...

– Herzer – przerwała ostro, a potem sprawiła wrażenie, jakby się opanowała. – Herzer, miałam z tym mnóstwo problemów. Ale... od tak dawna jesteśmy przyjaciółmi. Skoro może ci wybaczyć mama i tato, ja też mogę. Dobra?

– Dobra – powiedział smutno.

– Co? – zapytała gniewnie.

– Ja... kocham cię, Rachel – oznajmił zdesperowany. – Już od lat. Po prostu... chciałem, żebyś o tym wiedziała, wcześniej.

Spojrzała na niego z wyrazem absolutnego zdumienia, które po chwili przekształciło się w gniew.

– I chciałeś mi o tym powiedzieć, zanim pójdziesz dać się zabić? Bardzo dziękuję, Herzerze Herricku.

– To wcale nie tak!

– Och – wydyszała, pozbywając się równocześnie całego gniewu. – Ja... przepraszam. Wiem, że nie. Herzer, jesteś bardzo dobrym przyjacielem i zawsze nim będziesz, dobrze?

– Dobrze – przytaknął żałośnie.

– Niech to na razie wystarczy – dodała, kładąc mu rękę na ramieniu. – Wróć, dobrze?

– Dobrze. I... czy będziemy wtedy mogli jeszcze porozmawiać?

– Tak – odparła ze śmiechem. – Zawsze.

– Dobrze.

– Do szeregu – cicho zawołał Serż.

– Muszę iść – desperacko powiedział Herzer.

– Do widzenia, Herzer. – Rachel stanęła na palcach i pocałowała go w policzek. – I nie zrób nic głupiego. Znowu.

– Spróbuję – odparł, spiesząc na swoje miejsce.

Oddział, maszerując przez bramę palisady, pomimo niewielkiej liczebności, i tak przedstawiał sobą imponujący widok. Kawalkadę otwierała kawaleria pod dowództwem Alyssy, za nią maszerowali Panowie Krwi, a dalej siedzący na koniach łucznicy oraz niewielki tabor jucznych mułów i koni. Edmund jechał tuż przed Panami Krwi, ubrany w pełną zbroję płytową, z zarzuconym na ramię młotkiem rycerskim o długim trzonku, za nim maszerował Serż, a obok niego dudziarz. Herzer niósł symbol oddziału, srebrnego orła z rozpostartymi skrzydłami, pękiem strzał w jednej łapie i gałązką oliwną w drugiej, a wszystko to na błękitnym tle.

Gdy przechodzili przez bramę, Serż zaintonował piosenkę.

Błyska topór, śpiewa miecz,

Stalą wroga przegnaj precz.

Konie gnają, tarczy blask,

Bij Psubratów aż po Brzask.

Bitwy zgiełk, krew pot i znój,

Walcz, by Kraj ten Został Twój.

Zadmij w róg i przegnaj strach,

Ilu Drani Poślem w Piach!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Pomaszerowali do Via Apallia, a potem przekroczyli most nad Shenan i skierowali się na zachód.

– Gdzie my idziemy? – wymamrotał Cruz z pierwszego szeregu. Wszyscy wiedzieli, że przeciwnik znajdował się na południe. Zdawali się oddalać od nadchodzącego wroga.

– Nie wiem – odpowiedziała Deann, gdy to samo pytanie zaczęto powtarzać w dalszych szeregach.

– Cisza w kolumnie – zakomenderował Serż.

Szybkim marszem powędrowali Via na zachód, śpiewając od „Marszu Cambreath” do „Żółtej wstęgi”, przy czym różne rodzaje wojsk śpiewały swoje własne wersje, a później „Drogę Wielkiego Pnia” i „Pijąc Bourbona”. Kawaleria próbowała skłonić ich do podjęcia „Garryowen”, ale ponieważ nie sposób było do tego maszerować, a łucznicy nie znali słów, musieli to śpiewać sami. Szli tak przez wczesnoporanny deszcz, który wymagał własnej piosenki, aż dotarli do mostu nad strumieniem Cryptopus.

Tam, na rozkaz przekazany Alyssie przez Edmunda, kawaleria, oprócz pięciu jeźdźców, przeszła w kłus i odjechała dalej drogą, podczas gdy reszta wojska przekroczyła rzekę, utworzyła pojedynczą kolumnę i skręciła na południe.

Maszerowali po wąskiej drodze wzdłuż niewielkiej rzeki. Przeszli przez porośnięty drzewami wąwóz, prowadzący do wewnętrznej doliny masywu góry Massan. Szlak był ledwie widoczny i wyboisty, więc wojsko często musiało się zatrzymywać i oczyszczać go dla ciągnących za nimi koni czy równać większe wykroty. Nawet kiedy już przedostali się do doliny, stary szlak ledwie nadawał się do użycia, ale w sumie posuwali się w całkiem znośnym tempie. Mieli kilka przerw, głównie po to, by dać odpocząć koniom, ale nie zatrzymali się nawet na gotowanie posiłku, jedząc prażoną kukurydzę i popijając ją wodą ze znacznie już węższego strumienia. Kiedy jednak dotarli do drugiego końca doliny, słońce dawno już schowało się za górskim grzbietem na zachodzie i zaczynało się robić ciemno.

– Obóz – rozkazał Edmund. – Strażnicy, ale bez palisady.

Żołnierze przeszli do doskonale przeciwiczonych czynności związanych z zakładaniem obozu, a Serż z McGibbonem ustawili posterunki wartownicze rozdzielone między Panów Krwi i łuczników. Obie grupy nie mieszały się, przygotowując osobne ogniska.

– No i co u diabła się dzieje? – Cruz zapytał Herzera w trakcie wieczornego posiłku. Herzer wylosował tego wieczora przygotowywanie kolacji, więc ugotował prosty gulasz z małpy i solonej wieprzowiny. – Czemu do cholery kawaleria odjechała na zachód?

– Nie wiem – odpowiedział Herzer, przypominając sobie mapę okolicy. Znajdowali się chyba najdalej jak możliwe od bezpośredniej obrony miasta.

– Byłeś wczoraj wieczorem u barona – zauważył Cruz. – Niczego nie powiedział?

– Nie, nie powiedział – odparł Herzer, nie wspominając, jak Edmund uzasadnił swoją

wstrzeźliwość. – A gdyby to zrobił, i tak bym ci nie powtórzył.

– Myślę, że skierujemy się na górę – stwierdził Pedersen. Dekurion z nieszczęśliwą miną spojrzał na górującą nad nimi ciemną masę. – Nie znoszę tego drania.

– Ja też – zgodziła się Deann. – Ale jeśli tak, lepiej wcześniej połóżmy się spać. – Po tych słowach podniosła się od ogniska i zaczęła szykować sobie posłanie.

– Racja – przytaknął Herzer, wstając i zbierając sprzęt kuchenny. Umył go w strumieniu, a potem rozłożył posłanie. Odzyskał futrzany koc i pomimo dodatkowej wagi dodał do swojego bagażu. Rozłożył najpierw skórzaną płachtę, potem koc i uformował pakiet z ubrań w charakterze poduszki. Jednak zanim się położył, dokonał jeszcze przeglądu straży ustawionych wokół obozu i upewnił się, że wszyscy są w pogotowiu i znają rozkład wart. Potem wrócił, zdjął zbroję i buty i położył się, przykryty płaszczem. Wyglądało na to, że w nocy może padać, ale stwierdził, że będzie się tym martwił, jeśli faktycznie zacznie moknąć. On też zastanawiał się nad możliwymi intencjami ich dowódcy, ale usnął, zanim doszedł do jakichkolwiek wniosków.

Następnego ranka, po obfitym posiłku, zaczęli wspinać się na górę.

Szlak był równie kiepski, jak ten, który wiódł do doliny, jeśli nie gorszy. Najwyraźniej prowadził śladami starej drogi, ale mijające tysiąclecia doprowadziły w wielu miejscach do jej całkowitej erozji. Droga wiła się serpentyną, a większość zakrętów została całkowicie zmyta. Jednak triari nieobce były takie warunki z ich poprzednich nieustannych marszów przez te okolice i z wprawą zabierali się do pracy nad każdą przeszkodą, oczyszczając osuwiska skalne i wypełniając miejsca, gdzie droga została zmyta. W związku z tym dotarcie na grzbiet góry zajęło im cały dzień, a baron Edmund był ewidentnie niezadowolony z tego, że posuwają się tak wolno. Na obiad i kolację zjedli suche racje i szli do późna w nocy. Baron nie pozwolił na pochodnie, a przy zachmurzonym niebie i głębokich cieniach pod drzewami, wędrówka wzdłuż grzbietu stała się prawdziwym koszmarem. Herzer nie wiedział, o której godzinie Talbot ogłosił w końcu postój, ale był w stanie już tylko wystawić strażników, a potem zawinąć się w koc, bez zdejmowania zbroi, i usnął praktycznie natychmiast.

Następnego ranka wstali przed świtem i maszerowali dalej, okazjonalnie łapiąc między drzewami widoki na doliny po obu stronach. Niewiele widzieli – ta część Shenan była praktycznie niezamieszkana – aż do późnego popołudnia, gdy zbliżyli się do drugiego krańca góry. Grzbiet, którym się poruszali, wznosił się tam w górę i gdy dochodzili do szczytu wzniesienia, daleko w dolinie na zachód od góry, zobaczyli wolno poruszający się na pomoc duży oddział.

Od czasu do czasu przekraczali antyczną drogę i to właśnie w jednym z takich miejsc Edmund zatrzymał pochód i naradził się z Serżem.

– Koniec marszu – zawołał Serż. – Rozbić pełen obóz.

Ustawili broń w kozły i rozpoczęli przygotowania do wybudowania ufortyfikowanego obozu. Pierwsza dekuria i łucznicy zajęli się kopaniem fosy i stawianiem palisady, podczas gdy pozostałe pododdziały zabrały się za ścinanie drzew w celu odsłonięcia przedpola. Obóz umieszczono u szczytu wzniesienia, z bramą po drugiej stronie w stosunku do szlaku i wąskim przejściem od strony grzbietu.

Przez cały czas, kiedy trwały prace, baron Edmund siedział na szczycie niewielkiego pagórka otwierającego się na południe, a gdy słońce zbliżało się ku zachodowi, nagle z zadowoleniem kiwnął głową i uniósł rękę z trzymanym w niej lustrem, odbijając promienie gasnącego słońca. Następnie truchtem zbliżył się do prawie już ukończonych fortyfikacji i rozejrzał się.

– Serż, zostaw jedną dekurie w obozie. Pozostałe trzy pododdziały i łucznicy pójdą ze mną.

– Tak, mój panie. Pierwsza, trzecia i czwarta, przygotować się do wymarszu.

– A teraz, cholera, co? – wymamrotał Cruz, gdy zmęczeni i brudni żołnierze zaczęli zbierać swoją broń. Widzieli poruszającego się w dole przeciwnika, ale tylko gdy schodzili niżej zbocza.

– Po prostu wykonuj rozkazy, Cruz – powiedział Herzer, podnosząc swoją włócznię i plecak.

– Zdejmijcie hełmy i załóżcie peleryny – rozkazał Edmund, gdy przygotowali się do wyjścia. Sam już to zrobił. – Nie chcę, żeby zdradził nas błysk światła na zbroi.

Herzer zastanowił się nad tym, gdy schodzili w dół kolumną i uśmiechnął się. Stali na bardzo wysokiej górze i widziany z dystansu przeciwnik znajdował się w odległości przynajmniej czterech mil. Zdążył już wcześniej spostrzec, że oddziały w dolinie dawało się zauważyć tylko wtedy, gdy zdradzał je błysk metalu, widok wozów taboru albo wieczorne ogniska. Grupa łuczników i piechoty schodząca po zboczach góry w pelerynach, o szarej i niewyróżniającej się barwie, będzie praktycznie niewidoczna dla przeciwnika w dole.

Ześlizgiwali się i zjeżdżali zboczem góry, a słońce schowało się za horyzont i zmierzch przeszedł w noc. Chmury z poprzedniego dnia rozeszły się po wypuszczeniu zaledwie paru kropli deszczu, a księżyc w pełni dawał dość światła, żeby umożliwiać im marsz. Podążali ścieżką prawie do podnóża góry, gdzie natrafili na mały płaskowyż o szerokości około sześćdziesięciu metrów i zatrzymali się. Baron wezwał Herzera i McGibbona do krawędzi płaskowyżu.

– Herzer, McGibbon, czy jest dość światła, żeby przygotować pozycje obronne? – zapytał.

– Tak jest – wyszeptał Herzer. – Ale tylko fosa, nie widzimy dość dobrze, by ścinać drzewa.

– Nie musisz szeptać, Herzer – zaśmiał się Edmund. – McGibbon?

– Możemy ustawić nasze tarcze i pale – odpowiedział łucznik. – Nie jestem pewien, czy coś więcej.

– Wykopcie fosę przez wąwóz z jednym przejściem – po chwili namysłu rozkazał Edmund. – Będziemy potrzebować jakiegoś sposobu na zablokowanie go. Spróbujcie zakamuflować ją najlepiej, jak się da. *Nie* ustawiajcie tarcz. Jeszcze nie. Ale bądźcie gotowi zrobić to błyskawicznie.

– Tu obok rośnie duży kasztan – zauważył Herzer, wskazując na skraj szlaku trochę poniżej miejsca, gdzie stali. – Jeśli go obalimy i przywiążemy do niego liny, przypuszczam, że moglibyśmy przyciągnąć go do przejścia i zablokować je. Tego właśnie pan chce, prawda?

– Doskonale – pochwalił go Edmund, rozglądając się. – Do roboty.

Herzer wysłał jeden manipuł trzeciej dekurii do pracy przy drzewie, a pozostali zabrali się za kopanie płytkiego rowu wzdłuż krawędzi płaskowyżu. Kiedy skończyli, kazał im pościnać krzaki w

celu zamaskowania niskiej ściany, i poszukać młodych drzewek, którymi można by wzmocnić palisadę. Własne paliki zostawili na grzbiecie góry, więc musieli rozejrzeć się za lokalnymi zasobami. Przekonał się, że *było* dość światła oraz że niedaleko, w miejscu stosunkowo świeżego osuwiska, rosła kolonia młodych topoli, które mogły dostarczyć odpowiedniego materiału. Wysłał zmęczonych kopaniem fosy żołnierzy do ścinania drzewek i przyciągania pni do barykady, aby ją wzmocnić, ale został powstrzymany przez Talbota.

– Na razie wystarczy – oświadczył baron, przyglądając się wzniesionym fortyfikacjom. – Ustaw strażników i prześpijcie się. Rano czeka nas wielka bitwa.

Herzer rozkazał przerwać prace, a potem zastanowił się, kto powinien stanąć na warcie. Dla większości z nich była to pierwsza bitwa i wiedział, że pomimo zmęczenia, trudno im będzie spać. Nie był pewien, czy jemu się to uda. Raz już walczył i przeżył, ale pierwszy raz doświadczał przedbitewnej tremy. Zebrał wszystkie trzy pododdziały, a potem spróbował wybrać tych, którzy jego zdaniem i tak nie usną, przydzielając im obowiązki strażników i wysyłając resztę do posłań.

Kiedy wszystko zostało już przygotowane i większość obozu leżała w ciszy, spała lub stała na warcie, obszedł fortyfikacje, sprawdzając ich stan. W połowie drogi napotkał barona Edmunda, który robił dokładnie to samo.

– Powinieneś się trochę przespać – odezwał się baron.

– Mógłbym powiedzieć to samo o panu, sir – odpowiedział Herzer. – Czy dobrze rozumiem, że szykujemy pułapkę?

– Zobaczymy – enigmatycznie odparł Edmund. — Idź trochę odpocząć. Pobudka przed świtem. Żadnych ognisk. A po wschodzie słońca nikt w zbroi nie śmie pokazać się nad barykadą.

– Przekażę to ludziom, sir, i pójdę spać. Czy mogę kontynuować? – zapytał, salutując.

– Tak jest – odpowiedział baron, oddając honory. Gdy chłopak oddalił się w mrok, Edmund potrząsnął głową i uśmiechnął się, a potem położył się spać.

Świt zastał ich zmęczonych i obolałych, w trakcie zimnego śniadania składającego się z mały i prażonej kukurydzy. Ale przynajmniej dostali do spłukania tego paskudztwa wodę zmieszana z winem. Tuż po świcie Talbot wysłał jednego z kawalerzystów w dół wąwozu, wyszeptawszy mu cicho rozkazy, a potem ustawił żołnierzy na fortyfikacjach. Łucznicy zajęli pozycje po obu ich krańcach, a trzy pododdziały Panów Krwi trzymały centrum. W miejscu, gdzie z płaskowyżu schodziła ścieżka, w fortyfikacjach znajdowała się przerwa, ale wokół pnia wielkiego orzecha uwiązali liny i sprawdzili, że przy zbiorowym wysiłku bez problemu mogli przesunąć drzewo, blokując przejście.

Grupa żołnierzy bez zbroi i dobrze zamaskowanych pelerynami zajęła się ulepszaniem kamuflażu fortyfikacji, lecz niedługo potem w polu widzenia pojawiła się czołówka sił przeciwnika.

Tym razem byli oddaleni o niecałą milę i żołnierze, zdjawszy hełmy, żeby nie zdradził ich odbłask słońca na metalu, przyglądali się przechodzącym siłom Rowany. Najpierw w polu widzenia pojawiła się chmara lekkiej kawalerii, jadącej swobodnie, jakby nie obchodziło ich nic na świecie, z ludźmi siedzącymi na koniach w ponurym milczeniu.

Następnie przed ich oczami pojawił się najdziwniejszy widok, jaki kiedykolwiek oglądali. Za kawalerią ciągnęła zbieranina piechoty, ale jeśli byli to ludzie, to zostali poddani okropnej Przemianie. Zdecydowanie niskiego wzrostu, krępi, z długimi, potężnymi ramionami i mocnymi nogami. W rękach nieśli różnorodną broń, topory do walki i ścinania drzew, krótkie miecze, włócznie i maczugi. Nie tylko maszerowali, ale chwilami posuwali się susami, czasem opadając do podpierania się na rękach, kiedy musieli przyspieszać. Większość nie była osłonięta żadną zbroją, ale na plecach nieśli drewniane tarcze, a tu i ówdzie widać było koszulki kolcze i metalowe napierśniki. Pomimo porannego chłodu na ogół nic na sobie nie mieli. Kilku nosiło koszule, a wielu było nagich, jeśli nie liczyć brudnych przepasek biodrowych.

– Na Boga, orkowie – wymamrotał Herzer, pocierając oczy. – To cholerni orkowie!

– Geny szympanów – odezwał się zza niego Edmund. Baron uważnie im się przyglądał i sapnął gniewnie. – Sheida mówiła mi o tym, ale trudno było mi uwierzyć!

– Czy to konstrukty? – zapytał po chwili Herzer.

– Nie, Przemienieni – ze złością odpowiedział Edmund. – Normalni ludzie Przemienieni przez programy tej suki Celine. To... obrzydliwe.

– Biedne *dranie* – powiedział Cruz, przełykając ślinę. – To by było na tyle, jeśli chodzi o poddanie się, gwarantuję, że nie są to faceci, którzy *zaczęli* po jej stronie.

– Nie, prawdopodobnie są to po prostu jacyś nieszczęśni uciekinierzy, którzy zostali złapani w jej mroczne sieci – zgodził się Edmund. – I prawdopodobnie dokładnie taki sam los czeka każdego, kto wpadnie w łapska Sojuszu Nowego Przeznaczenia. Was też. Ale pamiętajcie również, że nie mamy możliwości Przemienienia ich z powrotem. I nie będą dbać o to, co się z nimi stanie. Nie możemy im w żaden sposób pomóc, więc jedyne, co możemy zrobić, to *zabić* ich. Ponieważ -jeśli tego nie zrobimy – zdobędą nasze miasto, zgwałcą kobiety i spalą wszystko do gołej ziemi. Czy wyrażam się jasno?

– Tak jest, sir – szczechnął Cruz.

– Baronie, mam pytanie – odezwał się Herzer.

– Wal.

– Czy królik nie powiedział, że będą szli *wschodnią* doliną?

– Oczywiście, że tak – roześmiał się Edmund. – Ale on jest *zły*. A przynajmniej maksymalnie chaotyczny. Więc naturalnie nie mógł powiedzieć nam *całej* prawdy, nawet pomimo geas Bast. To byłoby wbrew jego naturze.

– I pan pozwala mu się kręcić przy nas? – zapytał zdumiony Herzer.

– Jak już mówiłem, słyszałem o nim – odparł Edmund. – Wierz mi, warto trzymać go po *swojej* stronie.

– Chryste, patrzcie na tego konia – wyszeptał Cruz, gdy w polu widzenia pojawiła się następna grupa.

Wierzchowiec był monstrualny, przynajmniej trzykrotnie większy od największego hanaraha Kane'a i musiał taki być, by udźwignąć na grzbiecie potężną postać w czarnej zbroi.

– Dionys? – wyszeptał pytająco Herzer.

– Och, tak – zaśmiał się Edmund. – Zastanawiam się, kto w końcu zrobił mu tę jego zbroję.

– Przepraszam?

– Chciał, żebym to był ja – wyjaśnił Talbot, marszcząc nagle czoło. – Spora część jego... osobistej wrogości bierze się stąd, że właściwie zasugerowałem mu, żeby poszedł się pieprzyć.

Herzerowi przyszło na myśl kilka możliwych odpowiedzi, z których żadna nie była do końca odpowiednia. W końcu wzruszył ramionami. – Cóż, myślę, że tym razem będziemy musieli mu w tym pomóc, sir.

– Zobaczymy – odpowiedział Edmund.

Za Dionysem podążała spora grupa zbrojnych i niewielki oddziałek jeźdźców w zbrojach płytowych, a dzięki uniesionym przyłbicom Herzer dostrzegł dość, by rozpoznać kilku z jego starych kompanów. Wiedział, że każdy z nich brał udział w gwałcie na Daneh i od przyglądania się ich przejściu gotowała się w nim krew.

– Och, gdybym miał tu swój stary łuk – wyburczał. – Mógłbym ich stąd powystrzelać jak kaczki.

– Cierpliwości – rzekł Edmund. – Cierpliwości.

Następnie nadciągnęła kolejna grupa Przemienionych, a później bezładna mieszanina wozów z zaopatrzeniem i nędznie ubranych mężczyzn i kobiet. W taborze zdarzały się również dość niezwykle widoki, łącznie z jednorozcem wielkości kuca ciągniętym za jednym z wozów. W końcu ostatnia grupa znikła z pola widzenia.

– Pozwolimy im po prostu odejść? – wyszeptał Herzer.

– Cierpliwości – powtórzył Edmund, a potem roześmiał się, gdy w polu widzenia pojawiła się kolejna grupa kawalerii. Jednak tym razem dało się w niej rozpoznać Alysę z rudymi włosami, która wyciągała właśnie z sajdaka swój łuk.

Kawaleria Raven's Mill po chwili również zniknęła i przez jakiś czas nie było czego oglądać. Słońce podniosło się i doszło już prawie nad górę za ich plecami, kiedy od strony kawalkady pojawił się dym. Potem zobaczyli kawalerzystę, ukrytego wśród drzew u podstawy góry, jak wyjeżdża z ukrycia i macha w stronę północy. Potem pojawiło się więcej kawalerii Raven's Mill, a jeden z jeźdźców chwiał się w siodle raniony strzałą. Wgalopowali w górę wąwozu, na spoconych i zmęczonych koniach, aż dotarli do występu i zatrzymali się na nim, a Alyssa z tylną strażą podjechała do podnóża stoku.

– Trzech na najlepszych koniach niech pojedzie w górę – zawołał Edmund. W trzech miejscach do drzew przywiązane są szmaty. W każdym z nich ma stanąć jeden człowiek. Reszta niech trochę odpocznie.

Alyssa z tylną strażą została u podstawy wzniesienia, aż w polu widzenia pojawiła się goniąca za

nimi grupa goniących ich jeźdźców. Alyssa odczekała, że strzałą założoną na cięciwę, aż dotarli na niewielką odległość, a potem wypuściła ją i natychmiast skierowała się pod górę, razem z resztą oddziału. Jeden z przeciwników spadł z konia, ale reszta pogoniła za kawalerią Raven's Mill w górę wąwozu.

– Spokojnie – rozkazał Edmund. – Zostać w ukryciu. Łucznicy, na mój rozkaz, i niech *nikt* z nich nie ucieknie!

Wroga kawaleria, pędząc za oddziałem Raven's Mill, w żaden sposób nie zdradzała, że zdaje sobie sprawę, iż wpada w pułapkę, pnąc się wąską ścieżką w górę wąwozu.

– Spokojnie – zawołał Edmund, gdy Alyssa i reszta przejechali przez linię obrony, świadomie nie patrząc przy tym na boki.

– TERAZ!

Na tę komendę łucznicy wstali zza barykady i zaczęli strzelać, posyłając strzały praktycznie poziomo w nadciągających jeźdźców. Część spudłowała, ale większość trafiła w cel, jako że przeciwnik musiał zwolnić, jadąc po kiepsko wytyczonej drodze. Po krótkiej chwili zostali zrzuceni z siodeł, niektórzy jeszcze żyjąc, ale wszyscy na ziemi. Spora liczba wierzchowców również dostała i w uszy Herzera uderzył potworny kwik rannych koni, który ustał dopiero, gdy łucznicy zlitowali się i dobili zwierzęta. Kilka koni pobiegło dalej ścieżką, najwyraźniej podążając za stadem Alyssy i te zostały wyłapane przez kawalerię Raven's Mill stojącą teraz na widoku. Reszta pokreśliła się po okolicy, po czym oddaliła się w dół zbocza, zbierając się w ciasną grupkę u jego podstawy.

– Teraz zobaczymy... ach, ha! – powiedział Edmund, gdy w polu widzenia u podstawy wąwozu pojawiła się grupa orków, najwyraźniej prowadzona przez jednego z jeźdźców w zbrojach płytowych. Los jeźdźców, dla obrońców wzgórze, był ewidentny, ale nie było do końca jasne, czy ich dowódca zdawał sobie sprawę z blokujących drogę umocnień. Spojrzał na wzniesienie, gdzie czekała kawaleria Raven's Mill, a potem gestem skierował grupę około pięćdziesięciu Przemienionych pod górę.

– No to bierzemy się do dzieła – oznajmił Edmund. – Alyssa – mówił dalej, podnosząc głos. – Chodź tutaj z kilkoma łucznikami. Zobaczymy, jak długo będziemy potrafili pozostać niezauważeni.

Alyssa rozkazała swoim ludziom zejść z koni, a do przejścia w umocnieniach podbiegło trzech z jej konnych łuczników. Mozolnie wspinający się pod górę orkowie stanowili łatwy cel i łucznicy Alyssy zaczęli wybierać przeciwników po jednym, podczas gdy pozostali ewidentnie szykowali się do obrony płaskowyżu. Niektórzy orkowie szli dalej, pomimo iż zostali trafieni, wyrывая strzały ze zranionych ramion czy boków, ale inni padali i szybko stało się jasne, że pozycja była zbyt dobrze broniona, by mógł ją zdobyć tak mały oddział. Jeździec odwołał ich i wysłał jednego z Przemienionych z powrotem w stronę głównych sił.

– No chodźcie, chodźcie tutaj – wymamrotał Herzer, wyglądając przez krzaki pokrywające ich pozycję.

– Och, przyjdą – zapewnił go Edmund. – Wiedzą, że jeśli ruszą dalej, Alyssa może znów na nich wypaść i zaatakować od tyłu. Myślą, że mogą zablokować wąwóz u podstawy albo pogonić ją pod górę.

Szybko stało się jasne, że przeciwnik wybrał opcję z pogonieniem, jako że w dolinie zaczęło przybywać wrogich oddziałów.

– Dobra, wszyscy na dół i założyć hełmy – zawołał Edmund. – Nie podnosić głów, dopóki wam nie każe, albo na mój rozkaz dekurioni wsadzą wam miecze w karki. Alyssa, musisz być naszymi oczami – dodał, zakładając własny hełm.

– Ustawiają się. Mają też łuczników – zakomunikowała kobieta, gdy kilka strzał ze świstem przeleciało jej nad głową i nieszkodliwie wylądowało na płaskowyżu. – Choć stamtąd nie mają większych szans.

– Idą ścieżką czy się rozstawili?

– Prosto ścieżką – odparła, zakładając strzałę na cięciwę i strzelając. – Idą bardzo głupio.

– Dobrze. Wypuść jeszcze parę strzał, a potem zachowuj się tak, jakbyś uciekała – polecił Edmund. – Łucznicy, przygotować się do wstania.

– Idą dalej. Niektórzy łucznicy zatrzymują się do strzału. – Znów strzeliła. – Ale nie stanowią problemu. Dwieście metrów... sto pięćdziesiąt... Rozstawili się w poprzek ścieżki, jest ich około setki. Pięćdziesiąt metrów...

– ŁUCZNICZY WSTAĆ! – rozkazał Edmund, sam też się podnosząc. Wzdłuż całej barykady ustawiono beczki ze strzałami. Herzer nie widział pola bitwy, ale widział stojących po obu stronach umocnień łuczników wybierających poszczególne cele i wypuszczających strzały. Słyszał, jak śmieją się, gdy nieludzki przeciwnik padał po drodze, i słyszał dobiegające z dołu krzyki. W końcu Edmund potrząsnął głową.

– Głupi, bardzo głupi. Muszę się zgodzić z królikiem.

– Kiedy wstaniemy? – zapytał Herzer.

– Kiedy będą mieli szansę dojścia pod górę – zaśmiał się Edmund. – A w tej chwili przeciskają się nad trupami, co bardzo utrudnia im zadanie. Szlag, wycofują się. – Pomasażował się po policzku i potrząsnął głową. – A co robią gdzie indziej? – zapytał retorycznie. Odwrócił się i spojrzał na słońce, co spowodowało ziewnięcie, a potem wyciągnął swoje małe lusterko. Herzer zauważył, że w środku miało otwór i jakiś rodzaj siatki. Edmund podniósł je i przez chwilę błyskał nim pod górę, a potem czekał. Po chwili dało się zauważyć uniesioną na tle słońca flagę, którą chwilę machano, opuszczono, a potem znów wzniesiono i zamachano nią.

– Dziękujemy Bogu za głupotę naszych wrogów – ucieszył się Edmund, znów błyskając lusterkiem. – Zawracają wszystkie swoje siły i kierują się na nas.

Dopiero w południe wszystkie siły zebrały się u podstawy góry, a Herzer nakazał swoim ludziom zjeść kolejny zimny posiłek z zapasów. Zaczynało im brakować kukurydzy, ale wieczorem powinni dostać coś na ciepło. Chwilę po południu Dionys rozpoczął natarcie, znów wysyłając orkowych wojowników prosto pod górę, podczas gdy jego łucznicy próbowali przedrzeć się między drzewami, żeby uzyskać lepsze pole ostrzału na łuczników z Raven's Mill.

Długie łuki znów zaczęły szyc do Przemienionych, ale tym razem ci osłaniali się tarczami, a części z nich udawało się piąć w górę. W końcu Edmund kiwnął głową.

– Herzer, przesuniecie drzewo na pozycje.

– Triari! Do lin! – zawołał Herzer, podnosząc się i pierwszy raz od rana spoglądając na pole bitwy.

Pierwszym, co zauważył, była cała droga zavalona ciałami, z których sterczały strzały, a trupy kawalerzystów i koni zaczynały się już wydymać w słońcu. Niżej na szlaku leżało więcej ciał, a między nimi posuwała się linia orków, przygiętych za tarczami, wspinając się nad ciałami w próbie dotarcia do obrońców. Na widok Panów Krwi niektórzy atakujący zatrzymali się i zaczęli wyrzaskiwać obelgi, ale zaraz skurczyli się za osłonami, przewracając się czasem, gdy strzała trafiła do celu. A w miarę jak się zbliżali, zdarzało się to coraz częściej, jako że łucznicy szyli teraz z boków i nawet pomimo używania dużych, okrągłych tarcz ciała orków trochę zza nich wystawały. Herzerowi prawie zrobiło się żal przeciwnika prącego do przodu pod nawałą strzał, ale musiał się zająć innymi sprawami, gdy triari złapali za liny i pociągnęli.

Drzewo było w pełni wyrosniętym orzechem, bardzo ciężkim. Musieli użyć wszystkich sił, by przesunąć je pod górę, ale po chwili zatrzymało się w takim miejscu, że wypełniło przerwę w fortyfikacjach, z pniem solidnie podciągniętym pod górę, a gałęziami skierowanymi w stronę nadciągającego przeciwnika, tworząc tym samym barierę praktycznie nie do pokonania od dołu.

Panowie Krwi wrócili na swoje pozycje i podnieśli tarcze, stając w milczącym, zdyscyplinowanym rzędzie wzdłuż barykady. Po obu ich stronach łucznicy kontynuowali ostrzał, wolniej, ponieważ zaczęli już być wyczerpani nieustannym wysiłkiem. Strzelali mniej celnie i niektórzy z nich zamienili się miejscami z asystentami, odstępując na bok i masując przemęczone mięśnie.

– Miecze – rozkazał Edmund, gdy pierwsza linia Przemienionych podeszła do fortyfikacji. Z wysiłkiem próbowali przebić się przez i wokół konarów obalonego drzewa i chwytali się jego gałęzi, po omacku usiłując dotrzeć do słupów palisady. Pierwszy podniósł głowę przed Cruzem i natychmiast padł z szeroką raną w boku od krótkiego, szerokiego miecza Pana Krwi.

Przez chwilę zrobiło się gorąco wzdłuż całej palisady, gdy Panowie Krwi siekli wyciągające się ręce orków próbujących przedostać się przez barykadę, ale Przemienieni nie mieli prostego sposobu na przebicie się przez żołnierzy. Dla Panów Krwi przypominało to ćwiczenia. Po prostu cięli i dźgali każdy pojawiający się przed nimi cel, utrzymując podniesione tarcze, by osłonić się przed ciosami przeciwnika. W krótkim czasie atakujący wycofali się, zostawiając po sobie spiętrzoną pod palisadą linię trupów i rannych, a w trakcie ucieczki doznawali kolejnych strat ze strony ostrzeliwujących ich łuczników.

Bitwa nie była całkowicie jednostronna. Kilku z Panów Krwi wyglądało stosownie do swojej nazwy, mając cięcia na ramionach, wgniecenia na hełmach i tarczach. Ale ich ciężkie zbroje stanowiły osłonę przed większością ciosów przeciwnika i nie zginął nikt, z wyjątkiem jednego pomocnika łuczników, który został chwycony przez ogromnego orka i przeciągnięty przez palisadę, gdzie rozrąbano go na kawałki.

– Cóż, to było interesujące – stwierdził Edmund. – Zebrać siły, triari. Porządki po bitwie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Praktycznie wszyscy zostali zbryzgani krwią na czerwono i jednym z pierwszych rozkazów było polecenie wyczyszczenia broni i zbroi. Następnie Herzer rozdzielił pracę, kierując część ludzi do opieki nad rannymi, podczas gdy pozostali zajęli się naprawami stosunkowo niewielkich uszkodzeń fortyfikacji. Orkowie próbowali ściągnąć i obalić słupy palisady, ale te były dobrze wkopane w ziemię. Kilka zostało prawie przerąbanych, ale szybko zastąpiono je zapasowymi słupkami przygotowanymi jeszcze przed bitwą. Równocześnie jedna de-kuria stała na straży, a po wykonaniu bieżących napraw żołnierze mieli odpocząć, zjeść i zająć się swoim sprzętem.

Wszystkie trzy pododdziały miały szansę zjeść i odpocząć, zanim Edmund wezwał ich z powrotem na pozycje. Łucznicy znów rozpoczęli ostrzał, ale tym razem wrogowie prowadzeni byli przez kilka postaci odzianych w zbroje płytowe, co ani trochę nie podobało się Herzerowi.

– Zwykłym mieczem nie jesteście w stanie nic zrobić zbroi płytowej – przemówił do Panów Krwi Edmund. – Ale z niewielkiej odległości przebiją się przez nie strzały, podobnie jak dobrze pchnięte piłą. To właściwa chwila na ich użycie, weźcie też do rąk narzędzia budowlane, pokażemy im, jak się zabija ludzi w zbrojach.

Odziani w płytówki zbrojni najwyraźniej z dużym wysiłkiem wspinali się pod górę, a gdy się zbliżyli, stanowiska zajęli główni łucznicy, wysyłając starannie wycelowane strzały w szczeliny na szyjach, łokciach, kolanach i w wizjerach hełmów. Zbrojni próbowali osłaniać się tarczami, ale byli w stanie trzymać je tylko z jednej strony, a wtedy ostro atakowali ich łucznicy z drugiej flanki. Gdy pancerne postacie się zbliżyły, strzały zaczęły się przebijać przez blachy, obalając ich. Zresztą Panowie Krwi mogli też wreszcie zaprząć do dzieła piłą. Te nie były w stanie przebić zbroi, ale wbijały się w tarcze, a po wbiciu w drewno masa broni zmuszała przeciwników do opuszczenia osłon. Wojownicy musieli albo zatrzymać się i próbować wyciągnąć pocisk, albo zrezygnować z całkowicie nieporęcznej osłony. Przeciw Panom Krwi wyruszyło czternastu zbrojnych, lecz do szczytu dotarło tylko pięciu.

– Niech przejdą przez barykadę – rozkazał Edmund rozbawionym głosem, gdy pierwszy z nich dotarł do jej podstawy. – Cofnąć się – dodał, robiąc krok do przodu.

Odziana w zbroję postać chwyciła się szczytu umocnienia i podciągnęła się w górę, prawie spadając do środka, unosząc zaraz tarczę i miecz przeciw Panom Krwi po prawej. Robiąc to, równocześnie odwróciła się plecami do Edmunda, który podszedł i spuścił swój młot wprost na tył głowy zbrojnego. Gruba stal hełmu pękła od uderzenia i przeciwnik padł martwy na twarz.

– Tak się to robi – oświadczył Edmund. – Rozdzielcie ich, zatrzymajcie tarczami z jednej strony, a potem załatwcie toporami i młotami. – Gdy nad szczytem palisady pojawił się następny przeciwnik, spuścił młot na jego opancerzoną rękę, wywołując wrzask i mnóstwo hałasu związanego z upadkiem zbrojnego z palisady i turlaniem się w dół stromego zbocza. – I pamiętajcie, żeby nie walczyć fair.

Przez palisadę przedzierało się teraz już tylko trzech zbrojnych, ci również zostali szybko załatwieni w podobnie brutalny sposób. Ostatni zauważył Herzera i desperacko uniósł zasłonę hełmu, odsłaniając twarz należącą do Galligana, jednego z pomagierów Dionysa.

– Herzer! – wydyszał prawie bez tchu mężczyzna. – Boże, proszę...

– Do zobaczenia w piekle – krzyknął Herzer i wbił pilum w twarz przeciwnika. Następnie przeszedł się wzdłuż barykady i odsłonił twarze poległych.

– Benito też tu jest – stwierdził z satysfakcją.

– Lepiej ci? – zapytał Edmund, gdy pierwszego z wrogów przerzucono przez fortyfikację, by sturlał się w dół pod następną falę orków.

– Trochę – przyznał Herzer. – Ale poczuję się znacznie lepiej, kiedy *on* zginie – dodał, wskazując w kierunku podstawy wzniesienia, gdzie widać było jeżdżącego między ludźmi McCanoca.

– Nie powinno ci to sprawiać przyjemności – zauważył Edmund.

– Zabijanie ludzi mnie nie *cieszy* – odparł Herzer, a potem wzruszył ramionami. – No dobrze, jest kilku, których zabicie sprawiło mi pewną satysfakcję. Ale nie mam też w związku z tym jakichś strasznych wyrzutów sumienia. Czy to znaczy, że jestem chory?

– Nie, jeśli nie sprawia ci przyjemności zabijanie dla samego zabijania - odpowiedział Talbot. – Niektórzy łucznicy i część z twoich ludzi wymiotuje teraz na potęgę. Ale to tylko jedno ekstremum reakcji na walkę. Część reaguje tak jak ty, po prostu się za to zabiera. I wszystko w porządku, pod warunkiem, że nie będzie ci to sprawiać *przyjemności*.

– Lubię współzawodnictwo – stwierdził Herzer. – Naprawdę lubię wygrywać. Nawet jeśli oznacza to, że ten drugi ginie.

– W takim razie, jeśli przeżyjesz jeszcze trochę, będzie z ciebie naprawdę dobry żołnierz. – Edmund uśmiechnął się, gdy McCanoc wezwał z powrotem swoje siły. – A niech tam, już jesteś naprawdę dobrym żołnierzem.

Po krótkiej konsultacji Dionysa z kilkoma jeźdźcami w zbrojach jeden z nich podjechał w stronę umocnień i zatrzymał się poza zasięgiem strzału z łuku, machając uwiązaną na końcu lancy białą szmatą.

Edmund stanął na szczycie barykady i przyłożył dłonie do ust.

– Podejdz, jeśli chcesz negocjować. Ale jeśli spróbujesz jakichś sztuczek, szybko zrobimy z ciebie jeża.

Jeździec wolno podjechał do góry, z trudem zmagając się ze swoim wierzchowcem, jako że niezbyt wyszkolony koń nieustannie płoszył się, czując przesycający powietrze intensywny zapach krwi. Kilku z atakujących wciąż żyło, ale jeździec nie zwracał na nich uwagi, po prostu omijając ich wyciągnięte ręce.

Kiedy dotarł na odległość umożliwiającą rozmowę z linią obrońców Raven's Mill, znów się zatrzymał i odsłonił twarz.

– Tego nie poznaję – wymamrotał Herzer.

– Kozioł ofiarny – domyślił się Edmund. – To jak, poddajecie się? – zawołał.

– Nie – odpowiedział tamten z nagłym błyskiem humoru na twarzy. – Ale wzywamy do tego was. Jeśli tego nie zrobicie, po prostu zalejemy waszą nędzną palisadę i zabijemy was wszystkich.

– Powinniście byli spróbować tego od razu – rzekł Talbot. – Teraz straciliście już ilu? Pięćdziesięciu? Setkę ludzi? A reszta nie wykazuje zbytniego entuzjazmu do walki.

– Odejdźcie, a pozwolimy wam żyć – zawołał jeździec. – To najlepsza oferta, jaką dostaniecie.

– Dajcie nam McCanoca i wszystkich pozostałych przy życiu uczestników gwałtu mojej żony oraz ludzi, biorących udział w rzezi Resan, a pozwolimy *wam* żyć – z pogardą odpowiedział Edmund. — Och, i wracajcie do swojej nory. Wtedy pozwolimy wam odejść z życiem.

– Czy to wasze ostatnie słowo? — zapytała postać w zbroi.

– Tak, to moja ostateczna odpowiedź – z uśmiechem odparł Talbot. – Prawdę mówiąc, dopiero zaczęliśmy się rozgrzewać.

Jeździec potrząsnął głową, a potem zawrócił. U podstawy wzgórza zdał raport McCanocowi, który po prostu podniósł środkowy palec w stronę umocnień, przekazując bardzo stary znak pogardy.

– Teraz zobaczymy, co zrobią – zadumany głosem powiedział Edmund. - Każ ludziom, żeby coś zjedli. Pójdę porozmawiać z Alyssą i McGibbonem.

Herzer przekazał informację i sam zabrał się do jedzenia. Z powodu docierającego z dołu nad palisadą zapachu krwi i trupów oraz krzyków rannych, proszących między innymi o wodę, nie był to jeden z jego najlepszych posiłków w życiu. Ale zdołał go przełknąć. W końcu wrócił baron, żując kawałek mały, i kiwnął głową na coś u podstawy wąwozu.

– Mówił poważnie.

U podstawy wzgórza zebrały się wszystkie siły, ze zbrojnym w centrum, przy ścieżce, a łucznikami i Przemienionymi ustawionymi na skrzydłach. Na znak McCanoca, cała armia zaczęła wspinać się do góry.

– Przynajmniej ma trochę zmysłu taktycznego – stwierdził Edmund. – Wie, że mając nas za plecami nie może dobrać się do miasta, i że możemy spokojnie wymanewrować go na wzgórzach.

– I co teraz zrobimy? – nerwowo zapytał Herzer. Niewielki oddział na wzgórzu miał przed sobą prawie dziesięciokrotnie liczniejszego przeciwnika.

– Zobaczymy, ilu drani pošlemy w piach – z chichotem odpowiedział Edmund. – A potem uciekniemy.

Herzer usłyszał ruszające w górę wąwozu konie i odruchowo rozejrzał się wokół.

– Patrzeć przed siebie – zawołał baron. – Oni idą w górę, a my ich będziemy zabijać. Nie ma w tym żadnej filozofii.

Przemienieni posuwający się między drzewami stanowili kiepski cel dla łuczników, więc skupili się na opancerzonych postaciach idących szlakiem. Znów zbrojni padali, ale za nimi posuwała się fala orków, a po jakimś czasie podchodzenia wróg znalazł się w odległości pozwalającej mu odpowiedzieć ogniem. Ich łuki były lżejsze niż te z Raven's Mill, ale trafiali głównie w łuczników i

ich pomocników. Łucznicy skierowali ostrzał na nich, ale robiąc to, dali szansę spokojnego wspięcia się pod górę zbrojnym.

Ludzie w zbrojach, pnący się szlakiem, szli znacznie szybciej niż idący zboczami orkowie, więc pierwsi dotarli do palisady. Znów doszło do desperackich zmagania wokół powalonego drzewa, gdy zbrojni zaleli palisadę. Herzer ochoczo wziął się do dzieła, wymachując potężnym młotem używanym do wbijania w ziemię słupów palisady, a jego zaprawione mięśnie spuszczały go na wrogów z olbrzymią siłą. Jednak posługiwanie się nim wymagało obu rąk i jednemu ze zbrojnych udało się ciąć Herzera w lewe ramię. Po krótkich, zażartych zmaganiach wszyscy zbrojni zostali powaleni i nadszedł czas na uporanie się z nadchodzącymi ich śladem orkami.

Herzer tu też znalazł się w samym sercu bitwy. Podniósł upuszczone przez kogoś pilum i rzucił nim w dół, w tarczę jednego z orków, po czym podniósł swoją tarczę i wyciągnął krótki miecz.

– PANOWIE KRWI, DO MNIE! -krzyknął, tnąc groteskowo Przemienione postacie wspinające się na umocnienia.

Po jego bokach pojawili się Cruz i Deann i we trójkę udało im się utworzyć ścianę tarcz, gdy fala przeciwników zalała umocnienia. Wszystko później rozmyło się, cały czas siekli i kłuli wrogów przed sobą, tnąc odsłonięte ramiona, opuszczając tarcze przed sobą na stopy przeciwników, wyprowadzając mordercze dźgnięcia w twarze, i podnosili je z powrotem.

Gdzieś w trakcie walki Herzer zauważył, czy może wyczuł poruszającego się z boku Edmunda. Za każdym razem, gdy ich szereg wymagał wzmocnienia, nagle błyskał w słońcu młot barona, miażdżąc orka, dwóch czy trzech i obryzgując przeciwników fontanną krwi.

Herzer nie miał pojęcia, jak długo trwała bitwa, po prostu ciął i rąbał, ciął i rąbał, jak na szkoleniu, tyle że towarzyszyły temu wrzaski orków i okazjonalne stęknięcia po jego bokach. W końcu fala zawróciła i jedynymi ludźmi stojącymi na barykadzie byli obrońcy Raven's Mill.

Fosę wypełniały ciała, w większości orków, ale zginęło też kilku Panów Krwi i nieco więcej łuczników. Ed Stalker leżał w wypełnionej krwią i ciałami fosie przebity mieczem, ale z własną klingą wbitą w gardło orka, który go powalił. Bue Pedersen dostał paskudne cięcie na prawym ramieniu, zalewające krwią pospiesznie zaaplikowany bandaż, i przynajmniej trzech łuczników miało już nigdy więcej nie zobaczyć Raven's Mill.

– Wyrzucić ciała wrogów przez palisadę i rozpocząć jej demontaż – rozkazał Edmund. – Zaczynajcie transportować rannych w górę. Martwych zakopać w fosie.

– Tak jest, sir – zmęczonym głosem odpowiedział Herzer. – Nie będziemy obdzierać ciał? – spytał, patrząc na trupy i kilku rannych. Gdy pytał, kilku ludzi dobijało właśnie orków. – Jest tu trochę dobrego materiału, który mógłby się nam przydać.

– Tak, ale nie jesteśmy w stanie tego nieść – zauważył Edmund. – Lepiej będzie, jeśli to zostawimy. McGibbon.

– Panie.

– Wyślij połowę swoich łuczników do pierwszego punktu odwrotu – rozkazał Talbot. – Powinien tam czekać jeździec.

Edmund stanął na płaskowyżu, gdy Panowie Krwi i pozostali łucznicy zabrali się do pracy.

– Ile to potrwa, Herzer? – zapytał, osłaniając oczy przed słońcem.

– Trzydzieści minut, baronie – wydyszał Herzer, wyciągając z ziemi jeden ze słupków palisady.

– Mnóstwo czasu – wymamrotał Edmund, patrząc w dół wąwozu. – Zobacz, jak się kręca. Łucznicy, zostawcie to i sprawdźcie, czy jesteście w stanie ich stąd sięgnąć.

Pod osłoną strzał łuczników, którzy faktycznie byli w stanie dostrzec do miejsca, gdzie wróg usiłował przeformować szyki, triari szybko rozebrali swoje umocnienia i zakopali ciała towarzyszy. Jeśli pokryła ich przy tym krew wrogów, tym lepiej, jednak trupy wrogów zostawiono na powierzchni, żeby zajęli się nimi ich przyjaciele. Albo i nie. W dolinie Shenan wciąż było mnóstwo kruków, które już zaczęły się zbierać.

– Łucznicy, przejść do drugiego punktu obrony — rozkazał Edmund. – Kiedy dojdziecie, Mac, niech reszta rusza w górę. Panowie Krwi, do obozu. Ruszać się.

* * *

Wieczór zastał ich z powrotem za palisadą, którą opuścili poprzedniego dnia. Dostali pierwszy gorący posiłek od jakiegoś czasu, a podpłomyki i gotowana wieprzowina nigdy jeszcze nie smakowały im tak dobrze. Kawaleria odjechała, zanim tam doszli, ale Panowie Krwi i łucznicy stanowili razem dostateczną siłę, by ograniczyć się do minimalnych wart i wszyscy mogli porządnie odpocząć.

W dolinie migotały ogniska przeciwnika i choć nie byli w stanie dostrzec jego ruchów, wiedzieli, że jak długo ogniska płoną, wróg nigdzie się nie ruszył.

Po zejściu z warty Herzer szybko usnął, ale śniły mu się tak żywe sny, że nieustannie się budził. Kiedy nie spał, słyszał obóz wokół wypełniony jękami i mamrotaniem innych, co najwyraźniej stanowiło reakcję po bitwie. W końcu przed świtem zrezygnował z prób dalszego snu, założył zbroję i podszedł do ogniska w środku obozu. Baron też był na nogach i podał mu kubek sasafrasowej herbaty.

– To cholernie nędzny substytut prawdziwej herbaty – Edmund skrzywił się – ale przynajmniej jest gorące.

Herzer napił się trochę i rozgrzał dłonie, przyglądając się palisadzie.

– Jakież wieści?

– Ani śladu. Co, jak myślę, oznacza, że wynieśli się w środku nocy.

Przed podejściem do ogniska Herzer przyjrzał się dolinie, więc teraz potrząsnął głową.

– Wciąż są tam ognie.

– Jasne, zostawia się za sobą kilku ludzi, którzy pilnują ognia, a resztę się wyprowadza. To stara sztuczka.

– Ale nie będziemy wiedzieć, gdzie się skierowali – zmartwił się Herzer. – Mogą być już w

połowie doliny!

– I co? – Edmund zaśmiał się. – Nie obchodzi mnie, jak szybko się poruszają. Teraz, kiedy trochę odpoczęliście, możemy ich bez trudu wyprzedzić. Jesteś my *wewnątrz* ich pola manewru. W którąkolwiek udadzą się stronę, możemy zejść im drogę. Jeśli pójdą na północ, my zrobimy to samo i albo ich wyprzedzimy, albo zejdziemy do mostu, żeby ich odciąć. Jeśli spróbują pójść z powrotem wokół góry, możemy przejść przez rzekę przed nimi i zrobić to samo. Jesteśmy *wewnątrz* ich łuku.

– Ale skąd będziemy wiedzieć, w którą stronę iść? – zapytał Herzer, a potem rozejrzał się wokół.
– Kawaleria.

– Wysłałem naszą kawalerię w dwóch grupach – odpowiedział Talbot. - Nie będą mieli dużo snu, ale dałem im też konie używane przez łuczników. Mogą zostać przed nimi i sygnalizować ich zamiary. Tamci *mogli* też zostać na miejscu, co oznaczałoby, że spróbują szturmować dolinę. Myślisz, że mogą zdobyć ten fort? Po tym, co zrobiliśmy z nimi wczoraj przy znacznie słabszych fortyfikacjach?

– Nie – przyznał Herzer.

– Ja też nie. Gdy tylko wzejdzie słońce, dowiemy się, gdzie są. A przy okazji,

Pora już wszystkich budzić.

Obóz ożywił się przed świtem i do chwili, gdy nad horyzontem pojawiła się tarcza słońca, wszyscy mieli już za sobą gorące śniadanie i byli gotowi na kolejny dzień. Spakowano materiały obozowe i gdy tylko słońce dawało dość światła, mogli się przyrzec dolinie.

Zgodnie z przewidywaniami, obóz w dole został opuszczony. Wiadomość o spodziewanym wymarszu wroga została już rozpuszczona, więc nikt się tym nie zmartwił. Edmund wjechał na szczyt góry, żeby się lepiej rozejrzeć. Wrócił mniej więcej po piętnastu minutach.

– Nie zwracajcie sobie głowy niszczeniem obozu – zdecydował. – Z czasem zapewne wybudujemy tu jakiś rodzaj stałego fortu. Skierowali się z powrotem doliną, w stronę jednego z brodów na wschodzie rzeki. Czas się zbierać.

Oddział wyruszył z łucznikami na przedzie i Panami Krwi za nimi. Łucznicy szli całkiem szybko, ale Panowie Krwi po cichu wyrażali niezadowolenie ze zbyt wolnego tempa marszu.

– Ci faceci muszą trochę popracować nad umiejętnością maszerowania - wymamrotał Cruz. – Moglibyśmy iść dwa razy prędzej. W cięższych zbrojach.

– Cicho – zachichotała Deann. – Osobiście wolalabym mieć ich ze sobą przy następnej walce, ty nie?

– Cisza w szeregach – krzyknął Serż.

Okazjonalnie udawało im się dostrzec między drzewami siły przeciwnika, znacznie teraz zmniejszone, kierujące się na pomoc. Chwilami mogli też zauważyć kawalerię przekazującą flagami sygnały. Pomimo wolnego tempa łuczników wyraźnie poruszali się szybciej od wroga i wyminęli go w południe. Herzer jednak martwił się szybkością, z jaką będą w stanie schodzić w dolinę, nie wspominając o przekraczaniu rzeki. O tej porze roku jeszcze nie wzbierała, ale i tak rozlała się dość szeroko i nie da się jej łatwo pokonać. Przywykł już jednak ufać baronowi i skoro Talbot

powiedział, że mogli odciąć przeciwnika, był skłonny mu uwierzyć.

U końca górskiego grzbietu, w miejscu, gdzie rozdzielał się na dwa mniejsze, z doliną pośrodku, wybrali prawe odgałęzienie, schodząc w dół starym szlakiem turystycznym. Herzer cieszył się, że mieli ze sobą tylko kilka mułów, prawie zupełnie pozbawionych już ładunku, podobnie jak konie Edmunda, ponieważ droga przedstawiała się bardzo kiepsko, przy większej liczbie zwierząt pokonanie jej mogłoby się okazać prawie niemożliwe. Zeszli na pomoc, tracąc z pola widzenia siły przeciwnika, który podjął próbę przejścia rzeki na jakichś kaskadach, i wędrując do późnego popołudnia, tuż przed zmierzchem natknęli się na grupę ludzi z Raven's Mill czekających przy szlaku u podnóża góry.

– Cześć, Herzer – zawołał jeden z nich. Ludzie z miasta mieli ze sobą topory i szpadle i najwyraźniej ciężko pracowali nad polepszeniem drogi.

– Czołem – odpowiedział, schodząc wraz z oddziałem z góry. Niezależnie od wcześniejszego stanu szlaku, od tego miejsca była to praktycznie droga. W miejscach wyjątkowych stromizn przygotowano na niej serpentyny lub schody ze skał i pni, ze stopniami starannie wypełnionymi ubitą ziemią, która wytrzymała szybki przemarsz podkutych butów pędzącego w dół wojska.

– Jak dawno temu pan to zaplanował, baronie? – zapytał Herzer, gdy ten przechodził obok niego, ostrożnie prowadząc go po stopniach konia.

– Od początku – odparł Edmund. – Kazałem Kane'owi wysłać ich wczoraj na tę ścieżkę i dwie inne, nie było pewności, w którą stronę się skierują.

Herzer tylko potrząsnął głową i zaczął się zastanawiać, czy kiedyś będzie stanie opanować planowanie z takim wyprzedzeniem.

U podnóża góry skierowali się drogą do rzeki, gdzie zainstalowano prom. Składał się z prostej tratwy zaczepionej do solidnych lin, ale w zupełności też wystarczył do przetransportowania wojska. Do czasu, gdy wszyscy przedostali się na drugą stronę, zrobiło się już całkiem ciemno. Ale po zdemontowaniu promu i wysłaniu dwóch ludzi z zadaniem spławienia tratwy, pomaszerowali w dół rzeki do zbocza Bellevue, gdzie planowali stawić czoło przeciwnikowi.

Tam również ciężko pracowali mieszkańcy miasta. W miejscu tym do rzeki dochodził skraj pierwszego grzbietu, a jedynym sposobem na przekroczenie go był przesmyk u jego podstawy. Pomimo to na całej linii od rzeki do urwiska, którym kończył się grzbiet, zwalono drzewa, wznosząc barierę, wzmocnioną następnie umocowanymi poprzecznie belkami, tworząc tym samym skomplikowane przedpiersie. W poprzek przesmyku kopano właśnie fosę i wznoszono parapet, a od wschodu, na grzbiecie góry przygotowano pozycje łuczników. Z Panami Krwi na parapecie wzdłuż zachodniego brzegu i łucznikami w górze, mogącymi strzelać ze swoich stanowisk aż do rzeki, dysponowali praktycznie niezdobytą pozycją obronną.

Herzer wiedział, że mimo wszystko czeka ich bardzo ciężka walka.

Po drugiej stronie umocnień przygotowano obóz i po przejściu przez wąską ścieżkę, stanowiącą jedyną drogę przez fortyfikacje, grupa zatrzymała się i zjadła solidny posiłek ugotowany przez kobiety z miasta. Do kolacji dostali po porcji wina, a jeść mogli, ile tylko zechcieli, ale najlepsze było to, że baron dał im wolną noc, na straży postawiwszy milicję.

Herzer usnął, widząc niedaleko siebie barona pochylonego przy świetle pochodni nad mapami, i tym razem, snu nie przerywały mu żadne koszmary.

* * *

Obudził się po południu i zamrugał oślepiiony światłem słońca, które wspięło się nad grzbiet ocieniającego ich dotąd wzniesienia. Kilku z Panów Krwi kręciło się już po okolicy, ale większość wciąż jeszcze spała, przeważnie zwinięci w kłębek. Podszedł do miejsca, gdzie Edmund konferował z Alyssą i skłonił się im.

– Przeprawa nie poszła mu najlepiej – mówiła Alyssa. – Stracił większość wozów i zmyło mu nawet część piechoty. Tych kilku pozostałych jeszcze zbrojnych w większości porusza się pieszo i wydaje mi się, że przynajmniej jeden przepadł, bo widziałam tylko pięciu. Z moich obliczeń wynika, że nie zostało mu więcej niż trzystu ludzi. I poruszają się wolno.

– Dwustu siedemdziesięciu trzech pod bronią – oznajmiła Bast, schodząc ze wzgórza. – Dzisiaj rano, po tym, jak obniżyłam ich liczbę z dwustu siedemdziesięciu siedmiu. A teraz mają jeszcze strażę boczne, co dodatkowo ich zwolniło.

– Cześć, kochasiu.

– Cześć, Bast – odpowiedział Herzer z uśmiechem, czując nagłą falę pożądania. Miał nadzieję, że nie rysowało się to zbyt wyraźnie na jego twarzy.

– Widzę, że cieszysz się na mój widok – stwierdziła elfka z uśmiechem, mrugając. – Ale mamy dziś przed sobą bitwę, a ja nie robię tego z facetami w zbrojach. One są strasznie twarde.

– Czyli teraz czekamy? – Herzer zapytał Talbota.

– Mniej więcej – odparł Edmund. – Ale nawet mając niecałe trzy setki tej hałastry, może nas zalać, jeśli zdecyduje się wysłać wszystkich w jednej fali. – Kiwnął zebrany głową i chwycił lejce swojego konia, wsiadając na niego bez problemu mimo ciężkiej zbroi. Wąską ścieżką przejechał przez umocnienia, pojeździł przed nimi chwilę, a potem wrócił, z satysfakcją kiwając głową.

– Kane, chcę tu grupę milicji. Trochę łuczników i pikinierów, żeby obsadzić umocnienia. McGibbon, Herzer, ściągajcie swoich. Zobaczmy, czy uda się nam jeszcze raz go wykołować.

– Wyślę część ludzi do wznoszenia osłoniętych korytarzy – dodał Kane. - W ten sposób, jeśli tamci zrobią przerwę na noc, obrońcy, niepostrzeżenie, będą mogli się wycofać z parapetu, co przynajmniej pozwoli ich spokojnie nakarmić.

– Dobry pomysł – zgodził się Edmund.

– Serż, musisz wracać do miasta. Poradzimy tu sobie z Herzerem. – Chciałbym, żebyś usztywnił trochę milicję.

– To jak używanie bata do usztywnienia galarety – wymamrotał Serż. – Proszę o pozwolenie na pozostanie, sir.

– Odmawiam. Skoro Kane jest tutaj, ty musisz pojechać tam.

– Tak jest, sir – odpowiedział beznamiętnie podoficer.

– Bierzmy się do dzieła.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Sheida spotkała się z Ishtar w rzeczywistości wirtualnej, używając projekcji, a nie awatara, wezwanie od koleżanki sugerowało powagę sytuacji. Nie zawracała sobie głowy dostrajaniem wirtualnego otoczenia, więc otaczała ją bezkształtna, szara równina rozciągająca się w nieskończoność. Ponieważ jednak nie istniała w rzeczywistości, nie miała też granic do osiągnięcia.

– Wyśledziłam, na ile byłam w stanie, członków rady grupy terraformacyjnej – oświadczyła Ishtar zaraz po pojawieniu się Sheidy. – *Jedynym* żyjącym, którego udało mi się namierzyć, jest Dionys McCanoc. Tak jak sugerowałam, kilku z nich zginęło tuż po Upadku, i żadnego nie spotkał wypadek. Wszyscy zostali zamordowani.

– Jeśli gra się o taką stawkę, człowiek nie zawraca sobie głowy wypadkami - stwierdziła Sheida. – A jeśli on zginie, cała moc zostanie wycofana?

– Do czasu, aż można będzie skontaktować się z quorum udziałowców, albo ich spadkobierców, i zorganizować głosowanie — potwierdziła Ishtar.

– I w tej chwili pozwala Chansie przejąć swoje pełnomocnictwo? – zdziwiła się Sheida. – Czemu?

– Członkom Rady nie wolno uczestniczyć w radach nadzorczych – z cierpkim uśmiechem wyjaśniła Ishtar. – Wolno im doradzać w zakresie spożytkowania energii, ale nie mogą bezpośrednio jej przejmować, więc *muszą* używać pośrednika. Chansa, czy ktokolwiek, kto kontroluje grupę terraformacyjną.

– Podobnie jak my. Ale czemu u diabła on sam nie używa energii?

– Tego nie wiem – przyznała Ishtar. – Jedyne, co mi przychodzi do głowy to fakt, że nie zdaje sobie sprawy, że *może*. Bo skoro dysponuje całą tą energią, dlaczego miałby się ograniczać do pozycji króla bandytów? Mógłby *wygrać* całą tę wojnę!

– Brak wiedzy bardzo pasuje do McCanoca – oceniła Sheida. – Uważa się za geniusza, ale tak naprawdę jest tylko przebiegły i ma skłonność do powierzchowności. Wie, że może dystrybuować energię, ale nie, że może jej używać i to teraz. Prawdopodobnie istnieje jakaś ściśle określona komenda, którą musiałby wydać, żeby móc czerpać energię na własny użytek. A co do tego, dlaczego stylizuje się na bandytę, to proste. Nim właśnie *chce* być. To taki rodzaj człowieka, który lubuje się w bezpośredniej kontroli nad innymi, zmuszaniu ludzi wokół siebie do życia w strachu i niepewności. To jego główny cel istnienia, terroryzować ludzi, żeby *widział*, jak się go boją. Kocha *niszczyć*, nie tworzyć. Posiadanie władzy powyżej tego poziomu to już dla niego nie to samo. A więc prawdopodobnie z Chansą mają taką umowę, że ten ostatni pozwala mu uganiać się po okolicy i bawić się złego, w krwawego najeźdźcę, a „przy okazji, może ustanowisz mnie swoim pełnomocnikiem systemu projektu terraformacyjnego, bo inaczej Matka będzie ci cały czas zawracać głowę raportami”, czy coś takiego.

– Tak – wyszeptała Ishtar. – Ale co możemy z tym zrobić?

– Nie jestem pewna – przyznała Sheida. – Muszę się dowiedzieć, gdzie jest. Ostatnio, kiedy o nim słyszałam, kierował się... O cholera!

– Co?

– Kierował się do Raven's Mill – wyszeptała Sheida. – Niech to szlag!

– Co w tym takiego złego? To znaczy, może je zdobyć, ale Sheida, wiem, że masz tam przyjaciół, ale...

– Pieprzyć to – stwierdziła Sheida, zastanawiając się gorączkowo. – Nie ma szans. Walczy z *Edmundem*. A ten będzie chciał osadzić jego głowę na *włóczni*. Zaraz po tym, jak Daneh obetnie *mu jaja!*

– Jestem pewna, że Chansa dał mu ochronę...

– Nie obchodzi mnie, co zrobił Chansa! On nie pokona Edmunda, rękę za to! Muszę iść! – Po tych słowach zniknęła.

* * *

Daneh zajmowała się ostatnimi szczegółami przygotowań do bitwy, kiedy pojawiła się Sheida. Rachel wraz z kilkoma pielęgniarkami przygotowały lazaret polowy bliżej fortyfikacji, ale zdecydowano, że najcięższe przypadki będą odsyłane do miasta wozami ciągniętymi przez konie, a Daneh była zdeterminowana dać im najlepszą możliwą opiekę. Wyciągała z wrzątka zestaw narzędzi chirurgicznych, kiedy w powietrzu nad kotłem pojawiła się Sheida.

– Daneh, gdzie jest Edmund? – ostro spytała jej siostra. Choć raz zdawała sienie mieć ze sobą projekcji jaszczurki.

– Gdzieś tam, walczy z McCanokiem – cierpko poinformowała ją Daneh. - Bez żadnej pomocy z twojej strony, mogłabym dodać.

– On nie może go zabić! – oświadczyła Sheida. – To bardzo ważne!

– Co to ma *znaczyć*, że nie może go zabić? – gniewnie spytała Daneh. – Czy wiesz, co on robi? Co zrobił *mnie!* – dodała, wskazując na swój brzuch.

– Tak wiem – z napięciem odpowiedziała jej siostra. – Nie ważne. Później wyjaśnię. Gdzie jest *Edmund?*

– W górę drogi – odparła Daneh. – Przy zbiegu Bellevue.

– Ruszaj tam najszybciej, jak możesz – oświadczyła Sheida.

– Sheida, jestem tu *zajęta!*

– *Nie ważne!* – krzyknęła jej siostra, podejmując decyzję. Wyciągnęła rękę, dotykając Daneh i obie nagle pojawiły się w obozie za linią obrony. Ta część jej umysłu, która zawsze obserwowała poziom energii dostrzegła jej niewielki spadek oraz wpływ, jaki wywarło to na ich obronę przed ciągłymi atakami ze strony przeciwnika. Jedna z tarcz energetycznych elektrowni fuzyjnych zamigotała od nagłego spadku mocy, ale wytrzymała.

– Cześć, Sheida – odezwał się Edmund, podnosząc wzrok znad schematu obrony. – Miło cię widzieć, Daneh – dodał z ukłonem.

– Nie możesz zabić McCanoca – oświadczyła Sheida.

– Dziękuję za opinię – spokojnie odpowiedział Edmund. – Ale musisz mi wybaczyć, że ją zignoruję.

– Wysłuchaj mnie! – prychnęła projekcja. – To *bardzo* ważne. Odkryliśmy, skąd Paul czerpie całą swoją dodatkową energię i to właśnie *McCanoc*. – Następnie wyjaśniła problem i potrząsnęła głową. – Jeśli byśmy go *złapali*, mogli byśmy zmusić do zmiany pełnomocnika. To dałoby *nam* energię. W tej chwili powstrzymujemy ich *pomimo* różnicy mocy. Nie używają jej *mądrze*. Jeśli ją dostaniemy, prawdopodobnie będziemy mogli *zakończyć* tę przekłętą wojnę!

Słyszając to Edmund odłożył rysunek i potarł dłonią policzek.

– Przyznaję, że to ważki argument. Ale jak zamierzasz skłonić go do zmiany pełnomocnika? Albo, skoro już o tym mowa, jak chcesz do czegokolwiek go zmusić? Przy pierwszych objawach zagrożenia Chansa natychmiast go odteleportuje. W ogóle dziwię się, że pozwala mu się uganiać po świecie, skoro jest taki ważny.

– Prawdopodobnie to właśnie Chansa mu zaoferował. Mogę uniemożliwić mu wezwanie Chansy, strona Paula nawet nie będzie wiedziała, że coś się z nim dzieje. Mogę go zawinąć w blok komunikacyjny i teleportacyjny.

– A jak zamierzasz skłonić go do zmiany pełnomocnika? – zapytała Daneh.

– No cóż, zaoferuję mu pozostanie przy życiu – oświadczyła Sheida z groźnym uśmiechem. – Ale to *wszystko*.

– Hmmm – wymamrotał Edmund. – I prosisz mnie, żebym go nie zabijał. Człowieka, który zgwałcił moją żonę? Twoją *siostrę*?

– Myślisz, że *mnie* się to podoba? – wrzasnęła Sheida. – Ale to konieczność. Nawet jeśli nie wygramy dzięki temu wojny, zyskamy dodatkową energię. – Zwróciła się do Daneh. – Daneh, co dałabyś za dość energii, by móc przywoływać nanity?

– Och – westchnęła Daneh uderzona przez tę myśl. – Wiele dałabym za możliwość posiadania choćby cholernych podręczników medycznych i lekarstw. Nanity?! – Zastanawiała się nad tym przez chwilę i westchnęła. – *Boże*, ale tak chciałabym, żeby *zginął*!

– Wszyscy tego chcemy – zapewniła ją Sheida. – Edmundzie, zbroja energetyczna? Wspomaganie?

– Wcale ich tak naprawdę nie potrzebuję – odpowiedział. – Mamy technikę i przyjemną armię zawodową, którą zamierzamy powiększyć. Ale szczerze mówiąc, nie ode mnie to *zależy*. To nie ja zostałem bezpośrednio dotknięty. – Odwrócił się do Daneh i skłonił się jej. — Milady, wiem, że składam na twe ramiona wielki ciężar, ale tobie właśnie, jako najbardziej poszkodowanej, pozostawiam decyzję. Życie? Czy śmierć?

Daneh mocno zacisnęła szczęki i potrząsnęła głową.

– Niech cię diabli, Sheida!

– Przykro mi, Daneh – szczerze powiedziała Sheida. – Ale pomyśl, w najlepszym przypadku możemy zniszczyć osłony Paula i zakończyć tę wojnę. W najgorszym, będziemy mieć dość energii, żeby sobie ułatwić życie. A technika medyczna znajdzie się *na początku* listy. Obiecuję.

Daneh zasłoniła twarz dłońmi i prychnęła.

– Niech cię piekło, Sheida – powtórzyła, a potem przez zaciśnięte zęby parsknęła: – *Życie*. Ale lepiej, żeby nie było *łatwe*!

– Obiecuję ci, znajdziemy dla niego ciekawy sposób na spędzenie reszty jego nędznego żywota. Choć pewnie będziemy musieli zgodzić się na nietorturowanie, więc przykucie go do skały i codzienne wyjadanie wątroby przez sępy może nie wchodzić w rachubę.

– Nie prosiłabym o coś takiego – odpowiedziała Daneh. – Po prostu... zamknij go. Samotne więzienie. Na resztę życia.

– Dobrze – zgodziła się Sheida. — Przez resztę życia nie zobaczy ani jednej ludzkiej twarzy i nie usłyszy innego głosu niż swój własny. Zdajesz sobie sprawę, że tego rodzaju samotność stanowi jedną z najokrutniejszych tortur na świecie? Że doprowadzi go to do szaleństwa, a raczej je pogłębi?

– Tak – lodowato odpowiedziała Daneh. – Wiem o tym.

– Załatwione – oznajmiła Sheida, odwracając się do Edmunda. – Zdołasz wygrać tę bitwę?

– Prawdopodobnie. Jeśli nie tutaj, to u bram miasta. Ale on prawdopodobnie dysponuje jakąś energią do obrony. Złapanie go, a nawet zabicie, przypuszczalnie nie będzie proste.

– Po prostu go złap. Zorganizuję ci jakąś pomoc. Jeśli uda ci się go pojmać, uniemożliwię mu ucieczkę. Muszę iść, ale będę mieć oko na rozwój sytuacji. Jeśli Paul albo Chansa zauważą, że on przegrywa, będę musiała spróbować nie dopuścić do ich bezpośredniej interwencji. Ale teraz już leczę. – Po tych słowach zniknęła.

– Och, cudownie – westchnęła Daneh. – Dzięki za zostawienie mnie tutaj, Sis.

– Do i z miasta regularnie jeżdżą wozy – odezwał się Edmund. – Ale skoro Sheidy już nie ma, chcę ci coś powiedzieć.

– Tak?

– Cieszę się, że się zgodziłaś.

– Co? – gniewnie wciągnęła powietrze. – Ale...

Sheida ma rację – powiedział, podnosząc rękę, by powstrzymać jej gniewną reakcję. – Potrzebujemy energii. Ale jest coś więcej. Nie rozmawiałem z tobą o gwałcie i terapii, ponieważ jestem zbyt blisko ciebie, nie jestem właściwą osobą do pomocy. Ale to nie znaczy, że nie... obserwowałem. A ty owijałaś się wokół nienawiści wobec McCanoca do bardzo nie zdrowego poziomu.

Przyglądała mu się przez bardzo długą chwilę, a potem westchnęła.

– Wiem. Ale nie mam pojęcia, co z tym zrobić.

– Właśnie zrobiłaś większość. Używając rozumu zamiast serca wykazałaś, sobie samej, że *możesz* o tym zapomnieć. Zyskałaś dzięki temu przynajmniej tyle samo, ile dzięki tamtej sesji z Bast. Udowodniłaś, że nawet jeśli McCanoc jest na twojej łasce, *możesz* pozwolić mu żyć, dla dobra większej sprawy. Gdybyśmy go złapali, zostałby skazany na śmierć. Ale wyłącznie po uczciwym procesie i zgodnie z zasadami. Emocje nie powinny tym kierować.

– Mogę cię o coś spytać? – odezwała się.

– Oczywiście.

– Gdybym powiedziała nie, to znaczy, że chciałabym jego *śmierci*, zrobiłbyś to? Nawet wbrew obiekcjom Sheidy?

– Tak. Nie sądzę, żeby zyskanie tej energii miało zakończyć tę wojnę. Wojny rzadko, praktycznie nigdy, nie wygrywa się przez tego rodzaju jednostkowe zmiany. Wojny są zbyt złożone. Zabicie go pozbawiłoby frakcję Paula znacznej ilości energii, co byłoby pozytywne. Ale wcale nie zakończyłoby wojny. Z drugiej strony, dodatkowa energia byłaby na tyle użyteczna, że niepodjęcie szansy zdobycia jej byłoby... nie najlepszą decyzją. Ale gdybyś podjęła właśnie tal poparłbym ją.

– Jesteś taki... dziwny, Edmundzie Talbocie – westchnęła, uśmiechając się. Zawsze myślisz o przyszłości, prawda?

– Jeśli zaczniesz żyć przeszłością, to automatycznie kierujesz się na drogę do grobu – skomentował Edmund, a potem się uśmiechnął. – Mogłabyś zostać na kolacji, McCanoc nie dotrze tu dzisiaj, ciągle wpada w pułapki, które stawialiśmy na niego po drodze.

– Niestety, muszę wracać – powiedziała, głaszcząc go po policzku. – Wracając, zatrzymam się w lazarecie i zobaczę, co słyhać u Rachel. Zrób coś dla mnie, nie przychodź *jutro* po czułości. Nie będę czuła.

Po tych słowach odeszła, szukając jednego z wozów.

– Tak jest. – Edmund z powrotem podniósł szkic. Gdy się oddalała, westchnął i znów go odłożył.
– HERZER!

– Tak, baronie – z drugiego końca obozu zawołał triari.

– Znajdź McGibbona, mam dla was dodatkowe rozkazy.

Kiedy cała trójka się zebrała, powiedział im o prośbie Sheidy, choć nie zdradził jej powodu.

– Wiem, czemu o to prosi, i zgodziłem się postąpić zgodnie z jej życzeniem. Ma *nie* zostać zabity. Zrozumiano?

– Tak jest, sir – niechętnie mruknął Herzer.

– Czemu, do diabła, nie? – zapytał McGibbon. – *Wiesz*, co zrobił!

– Tak, wiem – bezbarwnie odpowiedział Edmund. – A powód jest taki, że wydałem rozkaz. Zamierzasz mu się podporządkować i nakazać to swoim podwładnym? Czy mam kazać

Steinweggenowi przejąć dowództwo?

McGibbon zaczerwienił się, ale kiwnął głową.

– Wiesz, że wykonam twoje rozkazy. Ale to wcale nie znaczy, że muszą mi się podobać.

– Nikomu z nas się to nie podoba – odparł Edmund. – Ale to konieczność.

– Mogę zadać pytanie, sir? – odezwał się Herzer.

– Nie jesteś już rekrutem, Herzer – z uśmiechem przypomniał mu Talbot.

– Czy doktor Daneh wie o tym?

– Tak – potwierdził Edmund.

– Och... – Herzer próbował znaleźć jakiś sposób na sformułowanie swoich uczuć, a potem wzruszył ramionami. – Zgodziła się?

– Będziesz musiał sam ją o to spytać. Kiedy będziesz miał okazję. – Tak jest, sir.

– A teraz idźcie przekazać informację.

– Jeszcze jedno pytanie, wiem, że się pojawi – odezwał się McGibbon. – Czy możemy przynajmniej go trochę *poturbować*!

– Wątpię, żebyśmy byli w stanie go złapać, jeśli tego nie zrobimy – odpowiedział Edmund. – Ale osoba, która go zabije, będzie odpowiadać przede mną.

* * *

Po kolacji Herzer sprawdził posterunki wartownicze i poszedł do swoich *rzeczy*. Kiedy dotarł do posłania, zauważył rozłożoną na jego futrzanym kocu Bast i przypomniał sobie, że faktycznie należał on do niej.

– Przyszłaś odebrać swoją własność? — zapytał z uśmiechem.

– Tylko, jeśli sam chcesz się tak określić, kochany – odrzekła z błyskiem w zielonych oczach.

– Bast... to nie jest dobry pomysł – powiedział, siadając obok koca.

– Musisz się wreszcie nauczyć, że z wyjątkiem sytuacji, kiedy ludzie *aktywnie* próbują cię zabić – nachyliła się, by go pocałować – *to* zawsze jest dobry pomysł.

– Mam obowiązki – wymyślił na poczekaniu. – A poza tym nie zamierzam robić tego tu, na oczach wszystkich.

– Przykryjemy się – zachichotała, zasłaniając kocem nogi. – I tak robi się zimno. Chodź tutaj i mnie ogrzej.

Herzer zdjął zbroję i wczuł się między futro a koc, obejmując ją ramionami. Robiąc to, równocześnie uświadomił sobie, że wcale nie byli sami. Było trochę par między milicją i łucznikami, był też przekonany, że słyszał jakieś odgłosy ze zwykłego miejsca Deann. I prawdę mówiąc, nie było obok niego Cruza.

– Na Mithrasa, mam nadzieję, że strażnicy uważają na to, na co powinni - wymamrotał, gdy wspólnym wysiłkiem pozbawiali go munduru.

– Sprawdzę ich, gdy będziesz spał — wyszeptała mu do ucha między pocałunkami.

– Dziękuję – powiedział, pozwalając swojej dłoni przesuwać się po jej ciele i przyglądając się wywołanym tym dreszczom. – Myślę, że cię kocham.

– I ja ciebie też kocham – powiedziała cicho. – Ale miłość, to nie jest pojedyncza, idealna emocja. Kochasz też Cruza.

– Co? – zaprotestował, siadając. – To znaczy, on jest kumplem, ale...

– Ależ jesteś zdecydowanie hetero, kochany – uśmiechnęła się, ściągając go z powrotem w dół. – Nie wpuszczaj tyle zimna! Jednak kiedy walczysz, robisz to za swoich przyjaciół, towarzyszy, w równym stopniu, żeby utrzymać przy życiu ich, jak i siebie. Prawda?

– Tak, ale...

– To też jest *miłość* – oświadczyła z uśmiechem. – Honor i odwaga często są wyrazem miłości. Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłam, dostrzegłam w tobie olbrzymią zdolność do miłości. No cóż, pomyślałam też: „Rety, ale wielki chłopak, ciekawe, czy wszystko ma w tej skali”.

Herzer zachichotał i stuknął ją głową.

– Jesteś... zadowolona?

– Ekstacycznie. Ale tak naprawdę chodzi tu o miłość. Kochasz „Królestwo Wolnych Stanów”?

– Cóż...

– Dobrze, a kochasz Raven's Mill?

Zastanowił się nad tym przez chwilę. Grupa obcych ludzi, którzy przetrwali katastrofę, zebranych w jednym miejscu. Ale...

– Tak – powiedział i wtedy zrozumiał.

– A więc mógłbyś uciec – ciągnęła dalej. – Możliwe, że jutro zginiesz. Ale nie uciekniesz. Zostaniesz. Dla swoich towarzyszy, dla swojego miasta, dla honoru. To właśnie *miłość*.

– Karą za dezercję jest śmierć – zauważył Herzer.

– Czy to dla ciebie problem? Naprawdę?

– Nie – przyznał.

– To właśnie miłość na przestrzeni wieków prowadziła żołnierzy do walki. Zdarzają się chwile, kiedy zwycięża z nią strach i trzeba ich zaganiać do bitwy. Istniały też armie poborowe, kierowane przez strach czy przez nieposiadanie niczego oprócz własnego życia. Są też tacy, którzy po prostu lubią zabijanie, McCanoc jest jednym z nich. Ale to nędzni żołnierze. Najgroźniejszymi zabójcami są ludzie, którzy coś kochają, którzy z otwartymi oczami pójdą za to w bój. Czasem źle lokowali swą miłość. Dżihad, pogromy i holokausty. Nienawiść wymieszana z miłością. Ale sprowadzenie

żołnierza na pole bitwy zazwyczaj wymaga miłości do czegoś. Mogą kochać coś większego niż oni sami, ale muszą *kochać*. Najwięksi wojownicy *są* największymi kochankami. A ja dostrzegłam w tobie wielkość.

– Dziękuję – powiedział cicho.

– Dość już słów – wyszeptała mu do ucha. – Przejdźmy do *czynów*.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Herzer wyplątywał się właśnie z koca w chłodzie przedświt, kiedy do obozu sprężystym krokiem wróciła Bast, najwyraźniej wprost z kąpieli w rzece – włosy zaczynały jej właśnie schnąć, a sutki sterczały tak sztywno, że zniekształcały twardą skórę biustonosza.

– Jak to jest, że narzekasz na zimno, skoro cały czas biegasz po okolicy w bikini? – zapytał trochę niezgrabnie. Był obolały w bardzo dziwnych miejscach, Bast miała uchwyt jak kleszcze i czasem zapominała o własnej sile.

– Jestem praktycznie niewrażliwa na zimno i upał – przyznała z uśmiechem. – Co nie oznacza, że muszę to lubić.

– W takim razie czemu cały czas chodzisz w bikini zamiast włożyć coś cieplejszego? – zapytał skonsternowany.

– Wiesz, ilu mężczyzn zabiłam dzięki temu, że zamarli, gapiąc się na moje cycki? – odpowiedziała, śmiejąc się radośnie.

– Podano śniadanie – oznajmił, przechodząc koło nich Cruz. – Jajka i bekon! Świeży chleb z miasta!

– Brzmi nieźle – ucieszył się Herzer, zakładając zbroję i upewniając się, że miecz gładko wychodzi z pochwy. Ich hełmy wisiały zawieszane na ustawionych w kozły piłach i na razie mogły jeszcze tam zostać.

Bast poszła z nim na śniadanie i wzięła sobie tylko chleb, a potem spojrzała na siedzącego przy pochodni Edmunda.

– Wciąż są tam, gdzie zatrzymali się wczoraj wieczorem, jakieś półtora kilometra na południe – powiedziała. – Kiedy odchodziłam, jeszcze się nie ruszali.

– Dobrze – ucieszył się Edmund, biorąc pełny talerz. – Dziękuję za sprawdzenie.

– Pomyślałam, że ktoś powinien – odparła.

– Przy drodze czeka oddział kawalerii – powiedział Edmund.

– Wiem, widziałam ich – zaśmiała się Bast, gryząc kęs chleba i patrząc w górę, na rozgwieżdżone niebo. – To dobry dzień na bitwę. Rano będzie zimno, ale później dość się ogrzeje.

– Zajmiesz miejsce z łucznikami? – zapytał Talbot, prowadząc grupkę do dużego pniaka.

– Och, tak. Zbrojne starcia nie są dla mnie – uśmiechnęła się. – Poczęstuję ich taką liczbą strzał, że nawet nie będą wiedzieć, że nie żyją. Bardzo mocno nie lubię tych Przemienionych.

– Wątpię, żeby mieli w tej kwestii jakiś wybór – zauważył Herzer, siadając na ziemi.

– Owszem, ale i tak czuję do nich niechęć – odpowiedziała ogniście. – W taborze mają niewolników. Musisz ich uratować, Edmundzie.

– Najpierw musimy *wygrać* – zauważył Edmund. – Właściwie, to mają trochę przewagi liczebnej.

– Załatwię sobie przydział – oznajmiła Bast, wzruszając ramionami. – Mnie się zdaje, że pójde poszukać dobrego miejsca. – Po czym odeszła w mrok, pogwizdując i okazjonalnie podskakując jak w tańcu.

– Cieszę się, że jest taka szczęśliwa – stwierdził Herzer.

– Po prostu taka jest. – Edmund wzruszył ramionami. – Właśnie do bitwy została stworzona, a jest w niej równie dobra, jak każdy elf, którego spotkałem.

– Możemy być zmuszeni do wycofania się – zauważył Herzer, wpatrując się w mrok. – Choć mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Wziąłem to pod uwagę – odpowiedział Edmund. – Milicja zajmie się dzisiaj przygotowaniem drogi odwrotu dla łuczników. Kazałem też sprowadzić dodatkowe piłą i ustawić je wzdłuż trasy. – Spojrzał na niebo i pokiwał głową. – Ustaw ludzi na pozycjach. Nadchodzi świt.

Przez większość poranka Herzer i Panowie Krwi siedzieli skuleni na parapecie. Zgodnie z przepowiednią Bast chłód poranka został szybko odegnany przez wznoszące się słońce, a do czasu, gdy nerwowe głosy milicji zdradziły pojawienie się przeciwnika, zrobiło się już prawie południe i było dość upalnie. Ze swojego stanowiska widział trzech konnych zwiadowców posuwających się szlakiem, ale nie był widziany przez przeciwnika.

Edmund podszedł do jego pozycji i nie patrząc w dół, osłonił oczy przed słońcem i zmarszczył brwi.

– Co za banda.

– Jak to wygląda? – zapytał Herzer.

– Idą jedną grupą. Myślę, że uczy się znaczenia terminu „porażka w szczegółach”, a to znaczy, że spróbuje nas zalać całą armią. Och, nadjeżdża.

– Jak widzicie, mam flagę parlamentariusza – znad ściany dobiegł ironiczny głos McCanoca.

– Wątpię, żebyś sam ją uhonorował – zawołał Edmund. – Ale na tym polega różnica między nami. Tym razem się poddajesz? Wiesz co, zagwarantuję, że *ty* przeżyjesz i nawet dorzucę obietnicę nietorturowania cię każdego dnia przez resztę twojej nędznej egzystencji. Wszystko, co musisz zrobić, to rozbroić swoich ludzi i oddać ich w niewolę.

– Jesteś taki *zabawny*, Edmundzie Talbocie! – krzyknął McCanoc. – Przedstawię ci swoją ofertę. Wyślij nam trybut, a wrócimy tam, skąd przyszliśmy. Powiedzmy, dwie tony pszenicy i tyle samo kukurydzy oraz całą biżuterię i błyskotki miasta.

– I od tej pory zostawisz nas w spokoju? – zapytał Edmund, jakby się nad tym zastanawiał.

– No cóż, *niedokładnie* – odpowiedział McCanoc. — Powiedzmy, opłata kwartalna. Och, i będziemy też potrzebować trochę kobiet. Skąd je weźmiecie, to już zależy od was, pamiętaj, że zawsze możecie najechać inne miasta i zażądać trybutu od nich.

– Tak, słuszna uwaga – stwierdził Edmund. – Możemy zostać bezmózgimi, niszczycielskimi

draniami, tak jak ty. Ale nie wydaje mi się. Ostatnia szansa, poddaj się, a pozwolę *ci żyć*. Twoi... *ludzie* będą wymagali namysłu.

– Nie wydaje mi się – warknął Dionys z jadem w głosie. – Pozwól, że powiem, co ja zrobię. Najpierw, zmiotę tę twoją żalną milicję. Twoi głupi *Panowie Krwi* i łucznicy wciąż gdzieś tam maszerują, prawda? Więc wszystko, co masz, to ta nędzna milicja, stanowiąca zbieraninę byłych *rekreacjonistów*, którzy nie potrafili znieść rzeczywistości i uciekli do wymysłów. Nie na wiele się zdadzą przeciw *mojej* armii. A kiedy załatwię się z *nimi*, Edmundzie Talbocie, zamierzam złapać *ciebie*. A ostatnią rzeczą, jaką zobaczysz, zanim wypalę ci oczy, będzie to, jak gwałcę twoją córkę, jako pierwszy z *długiego* szeregu moich ludzi. Jednak Daneh oszczędzę. Jak rozumiem, nosi moje *dziecko* – dodał z zadowoleniem. – Nie mógłbym zabić swego pierworodnego. Jednak gdy już się urodzi, sytuacja będzie wyglądać inaczej. I z tego, co słyszałem, kobieta może uprawiać seks w trakcie ciąży. Zwłaszcza przez tyłek!

Edmund słuchał jego diatryby z idealnym spokojem, zachował go też jego głos.

– To wszystko?

– A to nie dość?

– Tylko jak na amatora. – Edmund westchnął dostatecznie głośno, by usłyszeli go wszyscy wewnątrz umocnień. – Tak *trudno znaleźć* w tych czasach przeciwników na poziomie – dodał pod nosem. Opuścił przysłonę na twarz i podniósł młot w stronę postaci w czarnej zbroi. – Zamierzasz spędzić cały dzień na gadaniu? Daję ci pięć minut na wyniesienie się poza zasięg strzału. To też część protokołu parlamentariusza.

– Czy ona śni o mnie? – gniewnie krzyknął McCanoc. – Czy śni o mnie na sobie, Edmundzie, kiedy trzymasz ją w ramionach podczas jej nocnych koszmarów?!

– Już nie – zawołał Edmund znudzonym głosem. – Szczerze mówiąc, Dionys, praktycznie udało się jej tego pozbyć. Ma inne sprawy na głowie. Przykro mi. Cztery minuty.

Herzer nie widział, co robi McCanoc, ale sądząc po bolesnym kwiku konia domyślił się, że Dionys gwałtownie go zawrócił.

– Tak *trudno* o przeciwników na poziomie – znów westchnął Edmund.

– Wydaje mi się, baronie, że ten oddział jest dostatecznie dobry – powiedział jeden z milicjantów. – To znaczy jako przeciwnik.

– Doprawdy? I ty to nazywasz szyderstwem? Lepsze szydzenie słyszałem od dzieci. Prawie się spodziewałem, że powie: „*ti, ti, ti*”. Takiej jakości obelgi dostaje się w tych czasach.

– Świetnie – wymamrotał Cruz. – Ktoś mi powie, co się tam dzieje? – Wrócił do swojego wojska i zagrzewa ich do walki – poinformował go

– Edmund. – Prawdopodobnie równie dobrze, jak próbował ze mnie szydzić, sądząc po ich minach. Nie podoba im się to. Teraz jedzie zająć miejsce za nimi. Tam też ustawił swoich zbrojnych, prawdopodobnie mają pilnować, żeby Przemienieni nie uciekli. A teraz ruszyli. Prosto wzdłuż drogi. Panowie, łucznicy, w gotowości!

– Kiedy będzie pan chciał, żebyśmy wstali? – zapytał Herzer.

– Kiedy podejda na odległość rzutu pilum – odparł Edmund. – Nie mogę uwierzyć, że nie skojarzył mnie z wami, chłopcy. Bogom niech będą dzięki za głupotę naszych przeciwników.

– Pewnie pomyślał, że pojechał pan pierwszy – zachichotał Herzer, nasłuchując zbliżającej się hałastry. Dało się słyszeć równomierne uderzenia stóp i nierówne okrzyki. – Sam też bym nie uwierzył, że możemy maszerować tak szybko, zwłaszcza z łucznikami.

– Trzymać te pila schowane! – krzyknął Edmund.

– Nos do ziemi – dodał Herzer, gdy niektórzy z łuczników milicji zaczęli strzelać ze swych krótkich łuków. Wychwytywał też ostrzejsze dźwięki łuku Bast i miał pewność, że każda z syczących strzał była źródłem odpowiadające go jej krzyku przeciwnika. – Pilą w poprzek kolan, tarcze oprzeć o ścianę.

– Czekać! – zawołał Talbot, swobodnie wymachując młotem w jednej ręce.

– Czekać...

– No dobra, to gdzie się w tym roku wybieracie na wakacje? – zapytał w przestrzeń Cruz.

– WSTAĆ I WALCZYĆ!

Herzer zerwał się i jednym płynnym ruchem rzucił pilum w pierwszego dostrzeżonego przeciwnika. Pocisk przebił tarczę, a niosący ją ork, obciążony nagle dodatkową masą żelaza i drewna, zatrzymał się, by ją wyciągnąć i padł z gardłem przeszytym strzałą.

Herzer tak naprawdę wcale tego nie widział, ponieważ pochylił się po jedną z dodatkowych włóczni i znów wprowadził ją w tarczę wroga, a potem wydobył miecz i zajął się poważną kwestią przeżycia.

Orkowie nadchodzili fala za falą, w większości przeredzonymi przez ostrzał z łuków jeszcze zanim docierali do fortyfikacji. Milicja wycofała się, zostawiając w wąskim przesmyku tylko podwójny szereg Panów Krwi i choć Przemienieni nieustannie weń uderzali, nie byli w stanie ani go rozbić, ani odepchnąć. Najpierw musieli wspiąć się na parapet, a potem zmierzyć się z tarczami Panów Krwi, których miecze sięgały do twarzy, rąk i ciał. Nawet jeśli udawało im się przedrzeć przez pierwszy szereg, drugi czekał tylko na wykończenie ich przez bezlitośnie mielącą mieczami maszynę.

Kilku atakujących zdołało się nawet przebić, po czym natykali się na litą ścianę drewnianej broni milicji. Bronie te, w większości przypominające topory czy halabardy, błyskawicznie redukowały przeciwnika do zera.

Herzer nie był w stanie śledzić ogólnego przebiegu walki, ale zorientował się, kiedy orkowie w końcu zaczęli się załamywać. Trzykrotnie stawali naprzeciw Panów Krwi i za każdym razem zostali rozniesieni na strzępy. Teraz, mając przed sobą umocnienia, niewzruszoną linię legionistów i ciągły deszcz strzał, nie potrafili już tego wytrzymać. Najpierw pojedynczo, potem w grupach, a w końcu wszyscy wycofali się w dół wzniesienia. Wszyscy ci, którym udało się przeżyć.

Gdy z parapetu spadł ostatni ork, Herzer mógł się wreszcie rozejrzeć. Wszędzie leżało pełno

trupów Przemienionych, na parapecie, w fosie i w stosach przed ścianą. Brakowało też niektórych znajomych twarzy i niewyraźnie przypomniał sobie, jak ktoś wypełniał przerwę u jego boku. Spojrzał w prawo i zamiast Deann zobaczył Pedersena, dowódcę trzeciej dekurii.

– Deann? – wydyszał, opuszczając miecz i sięgając do manierki po łyk wody.

– Mocno dostała – odpowiedział Pedersen. – Zabrali ją do lazaretu.

– Gdzie jest baron? – zapytał, rozglądając się.

– Grupa orków usiłuje zająć nas od flanki przy rzece — wtrącił Stahl. — Pojechał tam ich wyciąć.

– Cholera – było wszystkim, co powiedział, patrząc w dół zbocza. McCanoc wściekle poganiał swego konia tam i z powrotem, a w końcu skierował go w górę zbocza i zaszarżował.

– Patrzcie na tego durnego drania — wymamrotał Herzer, wypijając do końca wodę i wyciągając szmatkę, by wytrzeć z krwi swój miecz. — Założę się, że nie ujedzie dalej niż pięć metrów od granicy zasięgu łuczników.

– No, nie wiem — po lewej odezwał się Cruz. — Jedzie dość szybko. O co się zakładasz?

– Nie ważne – powiedział Herzer, upuszczając szmatkę. Usłyszał brzęk cięciwy łuku Bast i widział lecącą wprost do celu strzałę, ta jednak odbiła się od czegoś w powietrzu. – Chyba mamy kłopot.

Więcej strzał pomknęło przez powietrze i potężny koń najpierw się zachwiał, a potem padł na bok, wymachując nogami w agonii i kwicząc z bólu. Ale postać w czarnej zbroi lekko wylądowała na ziemi, jakby podpierając się, i szybko skoczyła na nogi, z wrzaskiem sunąc w stronę umocnień. Równocześnie wokół niej utworzyło się coś w rodzaju mgły, czarna chmura, która rozciągała się do rannych po jego bokach, a tam gdzie przeszła, ludzie przestawali dawać oznaki życia.

Kiedy McCanoc dotarł do parapetu, wyskoczył w powietrze w niemożliwym, w oczywisty sposób wspomaganym susie, który przeniósł go nad umocnieniami wprost na ziemię za nimi. W rękę trzymał dwuręczny miecz tak swobodnie, jakby nic nie ważył, a gdy się nim zamachnął, przeciął twarde drewno tarcz i stal zbroi jak masło.

W jednej chwili Herzer zobaczył, jak pół tuzina drugiego szeregu Panów Krwi pada i zaszarżował z wrzaskiem, spadając na plecy znacznie większego przeciwnika.

Dionys nawet nie zachwiał się od uderzenia, ale okręcił się, gdy pole siłowe odrzuciło chłopaka w snopie iskier. Herzera otoczyła czarna chmura i poczuł, jak opuszczają go siły, wysysane przez program sterujący chmurą nanitów.

– Proszę, proszę, czyż to nie mój stary kumpel Herzer – powiedział Dionys, podnosząc miecz. – Czas poznać karę za zdradę.

Dionys dźgnął wprost w dół, ale Herzer zerwał się już na nogi przewrotem w tył, który później zawsze uznawał za niemożliwy do wykonania. Opuścił tarczę i gdy miecz opadł w dół, sparował go desperacko, czego jedynym efektem było odcięcie jego klingi tuż nad jelcem. Odskoczył i podniósł jedno z pilów, ale Dionys skokiem pokonał dzielącą ich odległość i ciął w dół w chwili, gdy po nie sięgał. Klinga energetyczna ze świstem przejechała przez broń, rozcinając włócznię i większość

lewej dłoni Herzera.

Herzer zatoczył się do tyłu, chwytając swoją dłoń i warknął.

– Idziesz w dół, Dionys – powiedział. Ale równocześnie czuł, jak czarna chmura pozbawia go sił i obraz przed oczyma zaczął mu szarzeć.

– I co mi zrobisz, zakrwawisz mnie na śmierć? – zapytał Dionys i właśnie wtedy na jego plecach wylądował mały tajfun.

Lazur z zainteresowaniem przyglądał się bitwie. Właściwie nie uważał, żeby miał w niej stanąć po którejś stronie, ludzie najwyraźniej dobrze się bawili, wydzierając z przeciwników duże kawałki futra. Jednak coś w czarnej postaci przywołało wspomnienia, a kiedy dotarł do niego jej zapach, rozpoznał w niej kogoś, z kim miał do wyrównania rachunki.

Pole siłowe najwyraźniej nie uznało pazurów za coś, co może zabić i nie zatrzymało rozwścieczonego kota. Sześćdziesięciokilowy kot wylądował od tyłu na zbroi Dionysa i zaczął drzeć po niej pazurami, sycząc i plując.

Dionys okręcił się w miejscu, ale kot zaczepił się pazurami o szczeliny zbroi i drapał ze wszystkich sił. I niezależnie od tego, jak bardzo wykręcał się McCanoc, nie potrafił pozbyć się domowego lwa.

Jednak i Lazurowi ani trochę nie podobała się czarna chmura. Sprawiała, że miał ochotę odejść, ułożyć się na słońcu i wszystko przespać. W końcu zrezygnował. Zbroja nie ustępowała pod jego pazurami, a chmura, choć niedostosowana do fizjologii kotów, częściowo jednak i jego pozbawiała siły. Wydając z siebie warkot rozczarowania, kot odskoczył.

Dionys zamachnął się na uciekające zwierzę, ale nie trafił i odwrócił się do Herzera w chwili, gdy chłopak wyskoczył w powietrze i spadł na niego. Przyglądał się atakowi Lazura i zrozumiał, że pole siłowe nie rozpoznawało ciała wewnątrz swojego zasięgu. Pomimo bólu ręki i słabości wywołanej przez chmurę, uczeplił się ręki Dionysa, w której tamten dzierżył tarczę, objął go nogami w talii i spróbował wbić sztylet w szczelinę między napierśnikiem i obojczykiem.

Dionys ryknął wściekle i znów się otrząsnął, dźgając mieczem i próbując pozbyć się przeciwnika. Jednak kiedy poczuł ukłucie sztyletu na ubraniu pod zbroją, rzucił się na ziemię, rozgniatając Herzera o podłoże i wypychając mu z płuc całe powietrze.

Herzer znów więc znalazł się na ziemi, tym razem całkowicie bezradny. Czarna chmura odessała z jego ciała wszelką siłę, a uderzenie ciała Dionysa stanowiło ostatnią kroplę. Poczuł, jak pod masą przeciwnika pękają mu żebra, a z pozbawionych czucia palców wyleciał sztylet. Gdy Dionys podnosił się z ziemi, spróbował się przetoczyć, ale nie był w stanie zrobić nic, oprócz bezradnego czekania na swój los.

– Już dość – wymamrotał Dionys, podnosząc się na nogi i unosząc miecz. – Mam cię już dość, Herzer. – Znów dźwignął miecz, kierując go czubkiem w dół i przygotowując się do wbicia go w leżącego chłopaka, gdy z boku błysnęła szabla, uderzając w jego zbroję w fontannie iskier.

Dionys okręcił się w miejscu i ciął, szybko i mocno, lecz Bast ze śmiechem uniknęła uderzenia.

– Musisz się bardziej postarać – powiedziała, cofając się. – Nikt nie będzie bezkarnie szpecił

mojego kochasia.

– Moglibyście wreszcie zrezygnować*. – krzyknął Dionys i skoczył do przodu, ale za każdym razem gdy ciął, tańczącej z radosnym chichotem i znaczącej jego zbroję swoją szablą elfki już tam nie było.

– Szybciej, Dionysie McCanoc, szybciej. Musisz się nauczyć tańczyć.

I faktycznie, prowadziła go w tańcu, a McCanoc wściekle gonił japo całym obozie. Chwilami ktoś inny próbował interweniować, ale żadna z broni nie była w stanie przebić pola siłowego wokół jego zbroi, a Bast ze śmiechem ich odganiała, gdy na jego zbroi lądował cios za ciosem. Jednak choć była w stanie przebić się przez pole siłowe, nie potrafiła nawet zarysować zbroi i po jakimś czasie słychać było już tylko wściekle posapywania olbrzyma w zbroi płytowej i śmiech elfki. Milicja z początku się wycofała, ale teraz podeszła, przyglądając się pojedynekowi i komentując go. Jednak bardzo uważali, żeby trzymać się poza zasięgiem otaczającej McCanoca czarnej chmury, która zdawała się na elfkę nie mieć żadnego wpływu.

Herzer został dźwignięty do pozycji siedzącej przez Rachel, która skrzywiła się, widząc głębokie cięcie.

– Paskudnie to wygląda – orzekła, przywołując ludzi z noszami. Kiedy się zbliżyli, Herzer potrząsnął głową.

– Chcę to widzieć – oświadczył.

– Dobrze – westchnęła, bandażując jego pokiereszowaną dłoń. – Poczekamy. Ale wydaje mi się, że jesteśmy przegrani. Bast nie jest w stanie przebić jego zbroi, a jemu wystarczy jedno szczęśliwe trafienie. O, do diabła.

– Bast – odezwał się Edmund, podchodząc do pola walki. – Nie masz ochoty odpocząć?

Herzer nie wiedział, skąd baron się tam wziął. Sprawiał wrażenie, jakby się po prostu zmaterializował. Chłopak nie był pewien, czy stary wojownik będzie w stanie poradzić sobie z chmurą nanitów i znacznie większym McCanokiem, ale poczuł dziwny spokój na jego widok.

– Jeszcze... nie – odpowiedziała. Elfka, która pomimo całej swojej energii zaczynała zwalniać, a McCanoc zdawał się dysponować niewyczerpanymi zasobami sił.

– Zabiję cię – wysyczał Dionys, dysząc. – A potem całą resztę. Znów zgwałcę Daneh, zgwałcę tę dziwkę, jej córkę, zgwałcę twoje ciepłe ciało.

– Nie wydaje mi się – wydyszała Bast, ale gdy to mówiła, jej stopa pośliznęła się na kamieniu. Próbowwała zmienić upadek w piruet, ale Dionys wyskoczył do przodu, przejeżdżając mieczem po jej biodrze. Gdy na ziemię wytrysnęła jasnoblękitna krew, uniósł miecz do ostatecznego ciosu.

– Moja kolej – oznajmił Edmund, robiąc krok na przód i osłaniając Bast swoją tarczą. Elfka cofnęła się i zaraz pomogli jej milicjanci, odciągając ją od McCanoca.

– Teraz ty, staruszku? – Dionys cofnął się ze śmiechem. – Nie moglibyście dać spokój? Moi orkowie za chwilę tu wrócą, a twoi cholerni Panowie Krwi nie będą w stanie powstrzymać ich ze mną na tyłach.

– Widzę, że wyszczekałeś sobie zbroję– spokojnie skonstatował Talbot, waząc w dłoni młot.

– Wyszczekałem. Fukyama potrafił poznać dobry interes – odpowiedział McCanoc, unosząc na chwilę przyłbicę. Znajdował się w na tyle dużej odległości, że jego czarna chmura ledwie sięgała Talbota, ale Dionys i tak wyraźnie dziwił się, że nie miała na jego przeciwnika żadnego wpływu. Nanity zdawały się trzymać w niewielkiej odległości od zbroi kowala, jakby bojąc się jej dotknąć. Przez chwilę przyglądał się pytająco, po czym opuścił zasłonę, przyjmując pozycję bojową. – Ty też mnie nie pokonasz, baronie Edmundzie – dodał, robiąc ostrożny krok w przód i wyprowadzając w niego pchnięcie mieczem.

Superostra klinga uderzyła w tarczę Edmunda, ale Talbot sparował cios, pozwalając szczytowi miecza ześliznąć się po zbroi.

– Żadna broń nie przebije mojej zbroi – kontynuował McCanoc, krążąc wokół mniejszego przeciwnika. – Moje ostrze przebije się przez twoje blachy, a chmura zabije cię, nawet jeśli nie zrobi tego miecz. Fajne, nie? To protokół medyczny, który dostałem w prezencie od Chansy. Myślę, że spodoba się twojej żonie. Może ją też nim potraktuję, kiedy już urodzi nasze dziecko. Ty zginiesz tutaj, Edmundzie Talbot.

– Myślę, że nie – odparł baron, wzdychając. – Obelgi, obelgi, obelgi. Prawie się spodziewam, że za chwilę powiesz: „ti, ti, ti”. Jak dotąd twoja chmura nie wygląda, jakby miała działać. – Z łatwością osłonił się przed kolejnym ciosem i odsunął się w bok, unosząc młot w gotowości. – A wiesz, Dionys, naprawdę nie jesteś dobry w obelgach.

– Myślisz, że potrafisz lepiej? – parsknął McCanoc, wyskakując w przód i wyprowadzając cios w tarczę Talbota. Tym razem Edmund wprost zablokował opadający miecz, który zadźwięczał głośno, uderzając o metal tarczy.

– Och, tak – odpowiedział Edmund. – Co? Nie myślisz chyba, że mam *standardową* zbroję, prawda? Jestem mistrzem kowalskim. *Oczywiście*, że to zbroja wspomagana, durniu! A co do obelg... Zobaczmy. – Zastanowił się przez chwilę, a potem odchrząknął. – Dionys, tyś tchórz. Wysyłasz, zaprawdę, innych przed sobą, sam bojąc się walki. Bijesz kobiety, jednakowoż boisz się uderzyć męża, by twej parszywej skóry nie przecięło ostrze lepsze od twego. Prawdziwie powiadam, jesteś tchórzem, McCanoc.

– Co? – wrzasnął Dionys, kolejny raz waląc w tarczę. Edmund sparował cios, jakby ten nie miał żadnego znaczenia i spokojnie ciągnął dalej.

– Dionys, tyś fanfaron. Fanfaronem pustosłownym, albowiem przegrałeś w każdym pojedynku. Walczysz ze słabeuszami i samochwałami jak ty, a kiedy staje przed tobą prawdziwy rycerz, uciekasz z podkulonym ogonem. A jednak ze swej ucieczki wielką czynisz przechwałkę. McCanoc, tyś fanfaronem.

Herzer w zdumieniu przyglądał się, jak kowal zaczyna tańczyć wokół znacznie większego przeciwnika, niewzruszenie blokując cios za ciosem i praktycznie wyśpiewując swoje obelgi, gdy Dionys atakował go z furją.

– Dionys, tyś śmierdziel. Dech twój cuchnie zgniłym ejakulatem koni, bo to właśnie z lubością pijesz co rano. Twe ciało śmierdzi strachem, a gnój żrących szparagi kóz lepiej pachnie niż twe

wąsy. McCanoc, tyś śmierdzielem.

Usłyszawszy to, Dionys praktycznie zaskowytał i zaczął gonić za Edmundem po całym obozie. Inni schodzili im z drogi, śmiejąc się z obelg Edmunda. Pomimo swych potężnych rozmiarów McCanoc nie był w stanie dopaść kowala.

– Dionys, tyś paskudny. Twe orki nie biegną przed siebie do walki, lecz uciekają przed twym obliczem. Zaprawdę, w historii brzydoty zapisano ci znaczące miejsce. Twoja matka, dziwka, zemdląca z przerażenia, gdy z piskiem odraży otworzył się przed tobą replikator. Pechowi opiekunowie, którym przyszło się tobą opiekować, musieli zawieszać ci na szyi mięso, by chciał się z tobą bawić pies. Ten zaś pomylił twarz z zadkiem i to jego wołał lizać. McCanoc, tyś brzydki.

McCanoc dyszał ciężko.

– Dionys, tyś głupi. Trzykrotnie, żeś nas zaatakował i trzykrotnie cię odrzuciliśmy, choć zaprawdę, liczebnie ledwie ułamek twych wojsk posiadamy. Tyś niepiśmienny i niegdyś nie poznał pojęcia „porażka w szczegółach”, albowiem do przeczytania tych paru liter cały dzień musiałbyś zużyć. Nawet największy prostak zrozumie, że taktyka twa jako osiłka ze szkoły, którego nauczyciele wypuścili wreszcie, choć nawet palcami malować nie umie. Sam fakt, że potrafisz oddychać, musi zasługę stanowić homunkulusa jakowegoś, któren to siedzi na twym ramieniu i szepcze nieustannie „wdech, wydech”, albowiem przez bezmyślność z pewnością zapomniałbyś o tym. Spytano mnie, czy potrafisz równocześnie iść i żuć gumę, na co przecząco odparłem, albowiem znalazłem cię twarzą w dół na ziemi, a guma za dowód przed tobą leżała. McCanoc, tyś głupcem. -*I tak* – zakończył, odbijając tarczą kolejny cios i zatrzymując taniec - fachowo się kogoś wyzywa! A teraz uciekaj albo zacznę po arabsku, ty nędzna kupo galarety!

Herzer żałował, że nie widzi twarzy Dionysa, był pewien, że tamten jest o włos od zawału. Głos miał ochrypy i brzmiał prawie tak, jakby płakał.

– Zapłacisz mi za to, Edmundzie Talbocie! – wrzasnął, waląc swoją tarczą o tarczę Edmunda i uderzając mieczem. Edmund z niemal pogardliwą łatwością sparował oba ataki i odbił w bok klingę miecza swoim toporem. Herzer zauważył, że o ile McCanoc był wyraźnie zmęczony, Edmund wyglądał równie świeżo, jak na początku pojedynku.

– I cóż to za powrót – westchnął Talbot, szykując swój młot. – Wiesz, czemu nie przejmuję się, kiedy ludzie obrażają mnie pod imieniem Edmunda?

– Nie – odpowiedział Dionys, podchodząc do przodu tak, by czarna chmura otoczyła kowala. – I nie obchodzi mnie to. Zamierzam cię *zabić*.

– Ponieważ to nie jest moje imię – łagodnie odpowiedział Talbot. – To imię mojego brata, który zginął w Anarchii. Udał się tam jak wielu młodych ludzi próbujących znaleźć w tym świecie prawdziwą rywalizację. I podobnie jak większość padł ofiarą anarchii, od której pochodzi nazwa i zginął w jakiejś bezsensownej potyczce. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, więc udałem się tam za nim. Całe lata zajęło mi odkrycie jego losu. Lata, w trakcie których, szukając brata, znalazłem coś, co uznałem za swoje przeznaczenie.

Jego głos był teraz lodowaty i twardy i nawet McCanoc znieruchomiał, ujęty jakąś niezrozumiałą dla siebie głębią ukrytą pod prostymi słowami kowala.

– Mam na imię *Karol* – wypowiedział w końcu Talbot, i równocześnie otoczył go błękitny blask, który w błyskach srebra rozproszył czarną chmurę. – A ty, Dionys, przekonasz się teraz, czemu nazywają mnie MŁOTEM!

Młot wyskoczył do przodu szybciej, niż można było nadążyć wzrokiem, szybciej nawet niż błyskawiczne cięcia Bast, i Dionys został odrzucony w tył w fontannie iskier. Jego tarcza została strzaskana, więc odrzucił ją z krzykiem, chwytając się za bolącą rękę.

– Chciałeś zostać królem Anarchii, tak? – powiedział Talbot, przechwytyjąc dzikie uderzenie Dionysa na swoją tarczę i odbijając klingę siłową, jakby był to powiew wiatru. – Chciałeś zniszczyć całą *moją* pracę, tak? – kontynuował, uderzając młotem w ramię Dionysa i odrzucając go w tył w kolejnej eksplozji iskier. – Chciałeś zdobyć *moje* miasto, tak? — zapytał, uderzając w ramię McCanoca trzymające miecz w chwili, gdy tamten zamachnął się do kolejnego uderzenia. lecz odleciał w dal, a Talbot niepowstrzymanie postąpił do przodu, przycinając znacznie większego wojownika do ściany. – Zgwałciłeś moją żonę, tak? – powiedział Edmund z furią w głosie, na co Dionys pochylił głowę i rzucił się i niego. – Chciałeś zabić ją jak psa, jak zabiłeś mojego *brata*! Edmund bez wysiłku odsunął się na bok i przy akompaniamencie kolejnej fontanny błękitnych iskier umieścił młot z tyłu hełmu McCanoca, co wywołało dźwięk jak uderzenie w dzwon. Postać w czarnej zbroi padła rozciągnięta na ziemię, a Edmund uniósł swój młot do śmiertelnego ciosu.

– Nie wydaje mi się.

– Edmund! – zawołała z góry Sheida. Nad polem bitwy pociemniało nagle, gdy przeleciało nad nim skrzydło wywern z jeźdźcami uzbrojonymi w kopie i wylądowało na wzgórzu. – Nie! – Zsiadła z wierzchowca i popędziła w j« stronę, gorączkowo wymachując rękami, a przed nią leciała jej jaszczurka. – Niech to szlag, nawet gdybyśmy go nie potrzebowali, nie możesz go zabić w taki sposób!

Na jednej z wywern siedział Harry, który wykonał sardoniczny salut Edmundowi, po czym skrzydło wystartowało, odlatując w dół doliny. Orkowie faktycznie zaczęli formować tam szyki do kolejnego szturmu, ale gdy nadleciały w ich stronę smoki, rozpięchli się w okamgnieniu między drzewami. Wywerny poleciały dalej doliną, a z oddali dobiegły odgłosy paniki przerażonych zwierząt taboru.

Edmund przesunął dłoń na trzonku młota i gniewnie spojrział na członkini) Rady. W końcu uklonił się uprzejmie, a potem ponownie podniósł młot w gór i spuścił go na krzyż Dionysa, zamiast na jego głowę.

– Dobrze — warknął. – Ale nigdy nie powiedziałem, że pozwolę znów mu chodzić. Albo użyć fiuta.

Sheida gniewnie potrząsnęła głową i ostrożnie zsunęła się ze zbocza, biegnąc do McCanoca. Gdy się zbliżyła, uniosła dłoń i na chwilę znieruchomiła w skupieniu, aż czarna chmura opadła i rozproszyła się w ciekłą warstewkę pyłu. Następnie przesunęła dłonią nad plecami McCanoca, kierując wzrok do wnętrza, po czym zerwała się na nogi.

– To było bardzo precyzyjnie wymierzone uderzenie – powiedziała, patrząc na Edmunda.

– Faktycznie, prawda? – zgodził się. – A jeśli to *naprawisz*, wszystkie umowy stracą ważność. –

Odwrócił się do Herzera i potrząsnął głową na widok jego dłoni oraz grupę powalonych Panów Krwi. – Przepraszam za to. Chyba powinienem był wysłać was, żebyście załatwili orków. Nikt nie jest doskonały.

Do powalonej postaci podszedł Lazor i obwąchał ciało warcząc gniewni Następnie odwrócił się i tylnymi łapami kopnął ziemię na ciało, co *jego* zdaniem stanowiło jedyny sposób na potraktowanie pokonanego przeciwnika. I następnie prychnął i odszedł. Nadszedł czas na znalezienie czegoś do jędzy i zwinięcie siew słońcu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

McCanoc odbił się od niewidzialnych ścian swego więzienia i prychnął wściekle na dwie kobiety.

– Napraw mnie! — zażądał ze swego miejsca na ziemi. Wyleczono wszystkie jego rany oprócz jednej, a teraz nie był w stanie sięgnąć wyżej niż pozycja siedząca, którą mógł osiągnąć przez podciągnięcie się na rękach. Znów uderzył pięściami o pole siłowe i wrzasnął.

– NAPRAW MNIE!

– Trudna sprawa -jadownicie stwierdziła Daneh. – Dużo uszkodzeń.

– Wiesz co, Dionys – z uśmiechem odezwała się Sheida – mam propozycję. Jeśli przekażesz nam pełnomocnictwa do Projektu Terraformacji Wolfa, zastanowię się nad tym. A jeśli tego nie zrobisz, oddam cię Edmundowi.

– Och, nie – powiedziała Daneh, z błyskiem w oku podtrzymując swój brzuch. – Dasz go *mnie*. Wiem *dokładnie*, gdzie znajdują się wszystkie zakończenia nerwowe. I jak utrzymać go przy życiu przez *długi* czas, nawet po tym, jak zostaną... uszkodzone.

– Nie zrobiłabyś tego – zaprzeczył McCanoc, a potem głośno przełknął ślinę. – Jesteś *lekarzem!*

– Albo, jeśli dasz mi trochę energii, zmienię go w kobietę – kontynuowała Daneh. – Złapaliśmy sporą liczbę jego orków. A oni są *okropnie* znudzeni.

– Mam pomysł – oznajmiła Sheida. – Może pójdziemy się zastanowić nad innymi rzeczami, które możemy z nim zrobić, a Dionys zastanowi się, nad czym my będziemy myślały. I nad naszą propozycją. Która oferuje mu przeżycie pełnego, naturalnego czasu życia. To wszystko.

– A co z moimi *nogami?* – prychnął Dionys. – Co z nimi?

– Nie bardzo widzę, po co miałyby być ci potrzebne w izolacji – odparła Sheida i kobiety wyszły z szopy.

Budynek znajdował się po drugiej stronie Wzgórza, z dala od ciekawskich oczu z miasta. Większość mieszkańców Raven's Mill i okolic zebrała się w mieście na wielką imprezę z okazji pokonania sił Dionysa. Wszędzie też rozpowszechniano wiadomość o schwytaniu i uwięzieniu McCanoca oraz o tym, że ich baron Edmund był nikim innym, jak Karolem Wielkim z Anarchii.

Gdy kobiety przechodziły przez ścianę, kiwając głowami strażnikom rady miasta utrzymującym z dala ewentualnych ciekawskich, Daneh ze smutkiem] potrząsnęła głową.

– Nie sprawiło mi to tyle przyjemności, ile się spodziewałam – powiedziała, zatrzymując się, by odzyskać oddech.

– To dlatego, że jesteś dobrym człowiekiem– zgodziła się Sheida. – I niezależnie od tego, jak go nienawidzisz, torturowanie go, nawet słowne, jest wbrew twojej naturze.

– Ale jeśli będziemy mieli energię, będę mogła wyleczyć Bast – stwierdziła Daneh, w równym

stopniu do siebie, co do idącej obok niej kobiety. – I Herzera, on praktycznie nie ma już dłoni. I miło byłoby mieć jakieś wsparcie medyczne, i kiedy *to* się zdarzy – dodała, gładząc się po brzuchu.

– Wiem – odpowiedziała Sheida. – Tarcza jest podłączona do sieci energetycznej i odeprze wszystko, co mógłby na nią rzucić Paul. Mam nadzieję. I liczę na to, że Chansa nawet nie będzie zdawał sobie sprawy, że jest w kłopotach do chwili, aż skłonimy Dionysa do zmiany pełnomocnika, po czym po prostu zakopujemy go gdzieś głęboko, w bezpiecznym miejscu, z którego nie da się uciec. Myślę o wnętrzu góry. Może bąblu magmy.

– Ale... i tak mi się to nie podoba.

– Tak, nie powinno – z ponurym parsknięciem zgodziła się Sheida. – Myślę, że powinniśmy pozwolić mu mięknąć przez kilka godzin, a tymczasem pójść na zabawę.

– To pewnie jeden ze sposobów na zapomnienie. – Daneh spojrzała na siostrę. – Wiesz co, tym razem to ty będziesz grać piękną, a ja mózgowca.

– Uważaj. Wiesz, co stało się kiedy zrobiliśmy tak ostatnio!

– Tak, wyszłam za Edmunda... Karola... Szlag, kobieta powinna znać imię mężczyzny, którego kocha! – Zatrzymała się nagle i uśmiechnęła szeroko. - Zapomnij o imprezie, chodźmy znaleźć Edmunda. To najlepsze towarzystwo w mieście.

– Zgadzam się.

* * *

Rachel smutno przeciskała się przez tłumy na ulicy, kiedy usłyszała, jak ktoś ją woła. Miasto było nabite świętującymi, z których wielu stanowiło zwycięzców niedawnych bitew. Była tam milicja w swoich różnobarwnych zbrojach, łucznicy i Panowie Krwi. Nikt z nich nie musiał sam płacić za drinki, jako że ostrożnie dotąd wydzielane alkohole wyciągnięto i całe miasto uznało, że *to* doskonała okazja do Jarmarku.

Jednak dziewczyna nie miała tu nikogo. Jej ojciec i matka cały dzień zachowywali się... dziwnie, rozmawiając półgłosem, a kiedy poszła odwiedzić w szpitalu Herzera, przekonała się, że całkowicie samowolnie i bez pozwolenia przeniósł się do łóżka obok Bast. Kiedy weszła, oboje pogrążeni byli w ożywionej konwersacji, ale przywitali ją i próbowali nakłonić do zostania. Herzerowi trzeba było amputować dłoń, ale jej ojciec już zaoferował się zrobić dla niego protezę, która umożliwi mu trzymanie tarczy. Deann nie miała tyle szczęścia, zmarła na wozie w drodze do miasta mimo wszystkiego, co Rachel zrobiła, żeby ją uratować.

Chciała zostać i porozmawiać z nimi, dwójką jej najlepszych przyjaciół w mieście. W końcu uznała, że bardziej będzie im przeszkadzać i wymknęła się, by znaleźć sobie kogoś innego do towarzystwa.

Zatrzymała się i rozejrzała, dostrzegając przeciskającego się przez tłum białego, choć nieco przybrudzonego podróżą jednorożca.

– Barb? – zapytała.

– Rachel! – pisnął jednorożec. – To *rzeczywiście* ty! Och, tak się cieszę, że cię widzę, miałam

takie okropne przeżycia!

– Naprawdę? – zdziwiła się Rachel. – Cóż takiego mogło się przydarzyć jednorożcowi? To znaczy, no wiesz, możesz paść się trawą, prawda?

– Zostałam złapana przez tego okropnego McCanoca – jęknął jednorożec, z oczami wypełnionymi łzami. – I och! To było okropne. Te rzeczy, do których mnie zmusił!

Mózg Rachel w tym momencie odmówił posłuszeństwa, ale zdołała nie poprosić Barb o podzielenie się swoimi doświadczeniami. Ale na ile znała McCanoca, to jej... koleżanka mogła faktycznie mieć za sobą ciężkie przeżycia.

– Przykro mi, Barb – zdołała w końcu powiedzieć Rachel. – Wielu ludzi cierpiało przez Dionysa. Ale teraz to już skończone.

– Ale ja wciąż żyję – pisnęła Barb. – Co będzie, jeśli on ucieknie?

– Nie ucieknie – zapewniła ją Rachel. – A jeśli czegoś spróbuje, tata go zabije.

– Dobrze – odpowiedziała Barb. – Ale przynajmniej spotkałam po tym miłego faceta.

– Och? – zaskrzeczała Rachel, a potem odchrząknęła. – Och?

– Tak, i potrzebuję przysługi. Czy mogłabyś mi w czymś pomóc?

– Jasne – słabo odparła Rachel, idąc za jednorożcem przez tłumy poza miasto.

Przeszły przez rzekę i zbliżyły się do zagrody dla koni, a Rachel skrzywiła się, gdy Diabło zarżał i przytruchtał do płotu, parszcząc na Barb.

– Wiem, co sobie myślisz, Rachel – smutno powiedziała Barb. – Ale jest dla mnie miły, nie próbuje dobierać się do mnie poza rują i sprawia, że inne konie dają mi spokój. A tak naprawdę już nigdzie indziej nie pasuję.

– W porządku – zgodziła się w końcu Rachel. – Rozumiem.

– Ale... Nie potrafię otworzyć bramy – wyjaśniła Barb. – A wyrzucili mnie stamtąd dziś po południu.

– Zajmę się tym. – Rachel otworzyła bramę tylko na tyle, żeby jej przyjaciółka mogła dostać się do środka. – Dopilnuję, żeby wiedzieli, jak... się tobą zaopiekować.

– Dopóki w okolicy będzie Diabło, nic mi nie będzie – odpowiedziała Barb. – Do widzenia.

– Rachel przyglądała się, jak para galopem oddala się od bramy i zatrzymuje dalej, pogryzając trawę. Od czasu do czasu Diabło pocierał się łagodnie o swoją... partnerkę, a Barb gładziła go po boku długim rogiem. W końcu Rachel uznała, że na miłość nie ma gotowego przepisu.

– A gdzie ja znajdę swoją? – zapytała się smutno, wracając w mroku z powrotem do miasta.

* * *

W ciemności McCanoc gotował się ze złości i od czasu do czasu walił pięścią w pole siłowe, czego jedynym efektem były stłuczenia i delikatna poświata.

Czemu chcieli od niego zmiany pełnomocnika w projekcie terraformacyjnym? Chansa ustawił to jeszcze przed Upadkiem, ale kiedy już do niego doszło, przyjął, że energia została skierowana do ogólnej sieci i zablokowana tak jak reszta. Z pewnością nie był w stanie przywołać nawet swojego dżinna.

Ale może jednak energia *była* dostępna. Nie próbował bezpośrednio do niej sięgnąć. A Chansa zdecydowanie nie odbierał jego wezwań.

W końcu zamknął oczy i wyciągnął przed siebie dłonie.

– Matko, jako jedyny ocalały członek rady zarządu Projektu Terraformacyjnego Wolfa 359 domagam się użycia energii przechowywanej dla projektu. Użyj całej energii niezbędnej do zniszczenia tej tarczy!

Matka przez chwilę rozważała żądanie, a następnie mu się podporządkowała.

* * *

Kula ognia uniosła w powietrze fragment wzgórza i rozrzuciła go na wszystkie strony. Większość energii poszła na zneutralizowanie tarcz, a Matka planowała użyć minimum wymaganej mocy. Jednak drobna jej część, odpowiadająca mniej więcej wybuchowi o sile dwóch kiloton, uciekła. Na miasto spadł deszcz kawałków skał i fragmentów drzew, zabijając i raniąc wielu świętujących.

Słyszac potężną eksplozję Edmund, Daneh i Sheida pospiesznie wypadli przed dom i zobaczyli resztki opadających na miasto śmieci.

– Niech to szlag! – zakląła Sheida. – Matko, tu Członek Rady Sheida Ghorbani. Czy Dionys McCanoc żyje czy zginął?

– Dionys McCanoc zginął – rozległ się głos z powietrza. Daneh do końca życia nie była pewna, czy rzeczywiście usłyszała w nim satysfakcję.

– Co stało się z energią projektu Wolf 359? – zażądała Sheida.

– Energia została zablokowana – odpowiedziała Matka. – Do czasu, aż zbierze się quorum udziałowców lub ich spadkobierców i wybierze nową radę albo Rada głosami dwunastu członków zdecyduje o skierowaniu jej do innych celów.

– A niech to ogień piekielny pochłonie – wykrzyczała Sheida, odchodząc, by sprawdzić zniszczenia. Po zaatakowaniu tarczy pochłonęły znaczącą część dostępnej energii, ale żadna z tarcz nie uległa zniszczeniu. Co zawdzięczali głównie temu, że w tej samej chwili spadła moc ataków na nie. Stało się jasne, że Matka odcięła dostępną Paulowi energię *dokładnie* w chwili śmierci McCanoca. Przez chwilę na jej twarzy rysowała się furia, ale potem westchnęła tylko z rozczarowaniem.

– Hej, spójrz na to od dobrej strony. – Daneh z żalem potrząsnęła głową. – Teraz nie będę musiała nienawidzić cię przez resztę życia za to, że pozwoliłaś mu żyć.

– Bardzo zabawne – ze śmiechem odpowiedziała Sheida. – Bardzo, cholera, śmieszne.

– No cóż, wszystko jedno. – Daneh wzruszyła ramionami. – Muszę się dostać do miasta. Ludzie

będą potrzebować mojej pomocy.

– Jesteś pewna, że powinnaś? – zapytał Edmund. – Zbliża się twój czas.

– Zajmowałam się rannymi z bitwy. Mogę zająć się i tymi. Choć doceniłabym pomoc w dostaniu się do szpitala.

– Pójdę z tobą – zaoferował się Talbot, ściągnając ze stojaka pelerynę i zakładając ją na jej ramiona. – Jeśli nie z innego powodu, to żeby się upewnić, że nie zrobisz *sobie* krzywdy. Albo naszemu dziecku. Sheida?

– Muszę iść – odparła członkini Rady. – Po mojej stronie też zostało sporo sprzętania. – Spojrzała na wzgórze, które znów było czarne w świetle księżyca i westchnęła. – A byliśmy tak blisko.

– Nie bądź taka pewna – odpowiedział Edmund, zakładając własną pelerynę. – Gwarantuję, że nie miałyby to znaczenia, historia *nigdy* nie skręca na drobiazgach. A każdy, kto twierdzi coś innego, usiłuje ci coś sprzedać.

EPILOG

Daneh krzyknęła i mocniej ścisnęła dłoń Edmunda.

– Wszystko w porządku – powiedział niepewnie. – Dobrze sobie radzisz. - Nic nie był w stanie zrobić i ta świadomość była dla niego bolesna.

– To boli! – krzyknęła, kurcząc się. – Jak to *CHOLERNIE* boli!

– Dobrze ci idzie, mamie – zapewniła ją Rachel gdzieś z okolic pośladków. – Widzę już czubek głowy dziecka. Jest dobrze ułożone, a ty dobrze przesz. Jesteś w trakcie porodu i dlatego boli. Już prawie koniec. Jeszcze kilka pchnięć.

Na koniec Sheida sprowadziła ze sobą więcej smocznych jeźdźców. Przywiozła też ze sobą urządzenie, używane do zasilania wewnętrznego silnika, a zawierało ono, między innymi, pełny zestaw tekstów medycznych. A Rachel intensywnie wkuwała do egzaminu.

– Jestem zmęczona – jęknęła Daneh, nienawidząc równocześnie tego jęku we własnym głosie i bezwzględnie go wykorzystując. Kilka razy odetchnęła głęboko, a potem poczuła potężną falę parcia. – Aaaaaaach!

– Tak dobrze – powiedziała Rachel. – Przyj, przyj.

– Nie dysz – dodał Edmund, gdy opadło ciśnienie i ból. – Regularne oddechy. Musisz doprowadzić powietrze do płuc.

– *WCALE MI SIĘ TO NIE PODOBA!* – wykrzyczała, ale zwolniła i pogłębiła oddychanie, by móc wchłonąć niezbędny jej i dziecku tlen. – Och, nie - jęknęła, czując kolejną falę skurczów.

– No już! – krzyknęła Rachel. – Przyj! Tato, naciśnij jej żołądek!

Daneh naprężyła się i poczuła przesuwanie się i rozciąganie, które sprawiało wrażenie, jakby miało rozerwać ją na pół, a potem przemożną falę ulgi. Na chwilę wszystko znieruchomiało, a potem powietrze przeszył płacz, gdy pierwszy od tysięcy lat człowiek zrodzony z kobiety zaprotestował przeciw tak poniżającemu potraktowaniu.

– To chłopiec – oznajmiła Rachel.

Rachel i jedna z pielęgniarek zacisnęły i przecięły pępowinę, wytarły dziecko i podały je Daneh. Ta przytuliła chłopca i sięgnęła, by poczuć jego drobne paluszki. Dotknęła miniaturowego noska, a potem popatrzyła na uszy. I zbladła.

– Och, nie – wyszeptała.

– Co? – zapytał Edmund, a potem spojrzał tam, gdzie ona: uszy miały zdecydowany szpic. Edmund przyglądał im się jeszcze chwilę, a potem wzruszył ramionami, – Nieważne. Czyli jest w połowie bękartem. Druga połowa pochodzi od ciebie, ukochana. A ja będę go kochał całego tak, jakby był moim własnym.

– Dziękuję – westchnęła, ledwie potrafiąc utrzymać dziecko. Oczy maleństwa były wciąż zamknięte, ale podniósł głowę, jakby chciał się rozejrzeć, a potem chwycił jej palce. Uniósł go do piersi, a on przyssał się do niej, jakby robił to od zawsze.

Położyła się z powrotem z przyssanym dzieckiem i spojrzała na Edmunda.

– Jesteś pewien? Ludzie... ludzie by go wzięli. I będą gadać.

– Tak, kochanie, jestem pewien – oświadczył Edmund. – Jest naszą przyszłością. Jedyłą. I przyjmujemy wszystko, co nadejdzie, dzień po dniu.

* * *

Awatar Chansy pojawił się przed budynkiem Rady i rozejrzał się. Z wyjątkiem późnowiosennego śniegu, okolica wyglądała prawie tak samo jak w dniu ostatniego, fatalnego zebrania Rady. Drugą różnicę stanowili strażnicy.

Z pozoru wyglądali jak ludzie, ale bardzo duzi, a ich oczy były całkowicie martwe, jak u rekinów. Spojrzeli na Chansę, a potem odwrócili głowy, trzymając w rękach potężne karabiny i skanując okolicę w poszukiwaniu zagrożeń.

Karabiny były pomysłem Paula, stanowiły broń pneumatyczną sprężającą powietrze tuż do poziomu poniżej dopuszczalnego przez Matkę. I choć miały mniejszy zasięg niż klasyczne karabiny chemiczne, nie wspominając w ogóle o broni gausowskiej z wojen SI, ich pociski na swój sposób czyniły je bardziej śmiertelnymi. Każda ze strzałek w magazynku niosła na sobie kroplę kwasu. Każdy trafiony takim pociskiem miałby do czynienia nie tylko ze zniszczeniami wynikającymi z jego energii kinetycznej, ale i bardzo silnego kwasu.

Chansa nie martwił się z powodu strażników jako takich. Awatar stanowił konstrukt pól siłowych, hologramów i nanitów, a nie istotę ludzką podatną na słabości ciała. Co więcej, nawet awatar chroniony był polem siłowym zdecydowanie wystarczającym do osłony przeciw pociskom strażników. Ale coś w nich wywoływało u niego dreszcze.

Wkroczył do Sali Rady i zatrzymał się, patrząc na nowy wystrój pod tylną ścianą.

– Podoba ci się? – zza jego lewego ramienia zapytał Paul.

Chansa spojrzał na umieszczony w budynku wodospad i strumień, które razem zajmowały połowę pomieszczenia.

– Nie wiem – powiedział. – Jest *ładny*.

– Nie przywołałem tego, ponieważ jest *ładne* – obruszył się Paul.

Chansa odwrócił się, żeby spojrzeć na przywódcę Ruchu Nowego Przeznaczenia i usiłował nie zdradzić przeżytego szoku, Paul wyglądał jak szkielet. Ubrany był w szmaty, a stopy miał bosc. Włosom pozwolił rosnąć i wisiały teraz wokół twarzy w tłustych strąkach. Jego paznokcie również wyrosły, a w oczach płonęło mu dziwne światło. Śmierdział też, jakby nie mył się od wielu dni, emitując nie tylko przyjemny w sumie aromat ciała, ale i smród odchodów.

– Wiesz, chodzę po świecie – zaczął Paul, podchodząc do wody – odwiedzam moich ludzi i ich

pilnuję. Dbam o nich i pilnuję ich we śnie. Ale ich życie jest tak ciężkie, tak ciężkie.

– Tak, Paul, ale to wszystko dla dobra ludzkości – niepewnie oświadczył Chansa.

– *Oczywiście*, że tak – gniewnie odparł Paul. – Ale nie mogę po prostu zignorować ich tragedii. Muszę nią żyć. Jeśli to wystarcza moim ludziom, to musi wystarczyć i mnie.

Chansa przyjrzał się wodospadowi i zauważył leżącą nad brzegiem rzeki stertę ubrań. Zaczął odczuwać nieprzyjemne uczucie z powodu tego, co mogły reprezentować.

– Kiedy moje awatary podróżują przez świat, ja przychodzę tu pracować - wyjaśnił Paul, opadając na kolana. – Pracuję i pracuję, i pracuję...

Chansa przyglądał się, jak przywódca połowy świata zanurza ubrania w zimnej wodzie i trze nimi o skały.

– Przyniosłem je od wieśniaczki, która prała je na brzegu rzeki – rzekł Paul. – Powiedziałem jej, że upiorę je za nią. I zrobię to.

– Rozumiem. Paul, czy ty coś jadłeś?

– Jem to, co jedzą ludzie. Raz dziennie zjadam miskę fasoli. W niedzielę dodaję trochę mięsa. Jestem jednym z ludzi. Będę jadł to, co oni.

Chansa spędził dość czasu ze swoimi grupami partyzanckimi, by wiedzieć, że w słowach Paula było trochę prawdy. Ale tylko jako *średnia*. Wciąż byli ludzie umierający z głodu. Z drugiej strony byli też tacy, którzy jedli bardzo dobrze, zwłaszcza ci, których promował na pozycję przywódców. Musiał przyznać, że Paul ograniczał się do *dolnego zakresu* średniej konsumpcji żywności.

Jeśli zagłodzi się na śmierć, komu przypadnie jego Klucz? zastanowił się Chansa.

Tylko trzynastcie procent śmiertelności, zdecydowanie poniżej szacunków. Ludzie znów wprawili ją w zdumienie. A odzyskawszy energię z projektu terraformacji, ponownie miała jej dość, by zapobiec wszelkim kataklizmom wywołanym przez naturę. Tymczasem rekonstruowały się społeczeństwa i wiele z nich obiecywało niesamowity rozwój. W sumie były to bardzo ciekawe skutki katastrofy.

Interesujące będzie przekonać się, jak się to wszystko zakończy.

Z tą myślą Matka wróciła do swej wiecznej służby.

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA..	1
PROLOG..	4
ROZDZIAŁ PIERWSZY..	7
ROZDZIAŁ DRUGI	26
ROZDZIAŁ TRZECI	43
ROZDZIAŁ CZWARTY..	67
ROZDZIAŁ PIĄTY..	84
ROZDZIAŁ SZÓSTY..	103
ROZDZIAŁ SIÓDMY..	119
ROZDZIAŁ ÓSMY..	139
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY..	157
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY..	172
ROZDZIAŁ JEDENASTY..	189
ROZDZIAŁ DWUNASTY..	204
ROZDZIAŁ TRZYNASTY..	220
ROZDZIAŁ CZTERNASTY..	237
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY..	252
ROZDZIAŁ SZESNASTY..	266
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY..	283
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY..	298
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY..	312
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY..	327
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY..	344
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI	357
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI	371
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY..	385
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY..	401
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY..	416
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY..	427
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY..	441
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY..	454
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY..	468
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY..	490
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI	500
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI	516
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY..	530
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY..	545
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY..	555
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY..	570
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY..	585
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY..	600
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY..	615

[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY.. 628](#)

[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI 639](#)

[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI 655](#)

[EPILOG.. 662](#)